

Simon Quinn słuchał młodego człowieka, który opisywał właśnie, jak uciął sobie kciuk.

- I to - mówił - był początek końca. Bo przecież uciąć sobie palec nożem, to już nie jest drobnostka, prawda? To jest, kurde, poważna sprawa. Urznąć sobie kciuk. Jak tu, kurwa, grać w kregle?

Simon czuł przemożną chęć wybuchnięcia śmiechem, ale stłumił ją w sobie. Najgorszą rzeczą, jaką można zrobić na spotkaniu Anonimowych Narkomanów, jest wyśmianie czyjejs straszliwej historii. Tak się nie robi. Ludzie przychodzą na spotkania, żeby coś z siebie wyrzucić, doświadczyć katharsis przez ujawnienie naj mroczniej szych lęków i wstydliwych spraw - i tym sposobem się uzdrowić.

Młody człowiek dokończył opowieść:

- No i wtedy mnie tknęło. Zrozumiałem, że muszę coś zrobić w sprawie tych prochów i ojca. Dziękuję.

Przez chwilę w sali panowała cisza. Kobieta w średnim wieku, o chrapliwym głosie, powiedziała: „Dziękuję, Jonny”, a zaraz potem wszyscy inni wymamrotali te same słowa.

Spotkanie dobiegało końca. Sześcioro ludzi podzieliło się swoimi historiami, rozdano ulotki i breloczki. Dla Simona była to nowa grupa i polubił ją. Zwykle bywał na wieczornych sesjach AN bliżej swojego mieszkania, żony i syna, przy Finchley Road, na przedmieściu Londynu. Tego dnia jednak sprawy zawodowe ściągnęły go do Hampstead i po drodze postanowił spróbować w nowym miejscu, zaznać nieco świeżości. Nudzili go już ci pijacy, których ciągle spotykał, opowiadający o tym, jak przechodzą na coraz lżejsze paliwo. Zadzwoił więc do telefonu zaufania Anonimowych

Narkomanów i tak odnalazł tę nową grupę, która okazała się niezłą stałą robotą w porze lunchu - nie brakowało tu ludzi z ciekawymi historiami.

Pauza trwała coraz dłużej. Może już czas wejść z własną opowieścią? Trochę odmienić klimat?

Zdecydował się na historię numer jeden. Tę wielką.

- Witajcie, mam na imię Simon i jestem uzależniony.

- Witaj, Simonie...

- Cześć, Simon...

Pochylił się nieco do przodu i zaczął mówić:

- Byłem pijakiem... co najmniej przez dziesięć lat. I nie tylko alkoholikiem... brałem też różne rzeczy, a w zasadzie wszystko, jak leciało. O tym jednak wolę nie mówić. Chciałbym wam wyjaśnić, jak to się zaczęło.

Lider grupy, facet po pięćdziesiątce o łagodnych, niebieskich oczach, lekko skinął głową.

- Jak sobie życzysz. Mów dalej, proszę.

- Dziękuję. No cóż... Dorastałem nie tak daleko stąd, w Belsize Park. Rodzice byli dość zamożni: ojciec był architektem, a matka wykładała na uczelni. Mam irlandzkie kozenie, ale... chodziłem do prywatnej szkoły w Sussex. Stąd ten idiotyczny akcent rodem z angielskiej klasy średniej.

Lider uśmiechnął się uprzejmie. Wszyscy słuchali z uwagą.

- Miałem... miałem starszego brata. Byliśmy dość szczęśliwą rodziną... z początku... Kiedy miałem osiemnaście lat, poszedłem na studia. Któregoś dnia odebrałem telefon od bardzo zdenerwowanej matki. Powiedziała: „Twój brat Tim zwariował”. Zapytałem, co przez to rozumie, a ona: „Po prostu zwariował”. I miała rację. Wrócił niespodziewanie z uczelni i zaczął wygadywać niestworzone rzeczy, cytować równania i formuły naukowe... a najbardziej chore w tym wszystkim było to, że robił to po niemiecku. — Simon spojrzął po twarzach słuchaczy zgromadzonych w piwnicznej salce. - Poleciałem więc do domu i zaraz stwierdziłem, że matka się nie myli. Tim oszalał. Odbiło mu kompletnie. Wiedziałem, że sporo jarał z kumplami z uniwerku, może to było katalizatorem, ale podejrzewam, że po prostu miał schizofrenię. Zwykle właśnie tak bywa, że schizofrenia ujawnia się gdzieś między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia. Tylko że wtedy jeszcze nie miałem o tym pojęcia.

Kobieta w średnim wieku siorbała herbatę z plastikowego kubka.

— Tim studiował nauki ścisłe. Był naprawdę bystry; znacznie bystrzejszy ode mnie. Ja ledwo potrafię powiedzieć *bon-jour*, a on znał cztery języki. Jak mówiłem, robił doktorat z fizyki na Oxfordzie i nagle, bez ostrzeżenia, wrócił do domu, gładząc od rzeczy i cytując naukowe terminy po niemiecku. Robił to całą noc, łącząc po schodach w tę i z powrotem. *Das Helium und das Wasserstoff*. Hel i wodór, bla, bla, bla. Calutką noc. Rodzice zrozumieli, że mój brat ma bardzo poważny problem, i zabrali go do lekarza, który przepisał mu typowe leki. Diabelskie małe pigułki. Neu-roleptyki. I podziały... na jakiś czas... Ale pewnej nocy, akurat gdy wróciłem do domu na święta, usłyszałem jakieś mamrotanie i... i to był ten głos. Znowu. Tak. *Das Helium und das Wasserstoff*. Leżałem i zastanawiałem się, co zrobić. Nagle usłyszałem okropny krzyk. Wybiegłem z sypialni i zobaczyłem brata, który... - Simon zamknął i otworzył oczy. - Mojego brata, który był już w pokoju matki. Byli tam sami, bo ojciec wyjechał... i... i mój brat ją atakował; siekł matkę maczetą. Wielgachnym nożem. Maczetą. Nie wiem dokładnie, co to było. W każdym razie ciął naszą matkę, więc skoczyłem na niego i przycisnąłem do podłogi. Wszędzie była krew, dosłownie wszędzie, pryskała nawet na ściany. Mało brakowało, a bym go udusił. Omal nie zabiłem własnego brata. - Simon odetchnął głęboko. - Przyjechała policja; zabrali go, a... moja matka trafiła do szpitala i tam ją pozszywali, ale straciła władzę w kilku palcach. Nerwy zostały przecięte. Poza tym jednak nic wielkiego się nie stało; miała niewiarygodne szczęście. Mogła zginąć, a była prawie zdrowa. Ale rodzina stanęła przed straszliwym dylematem: Czy powinniśmy go oskarżyć czy nie? Ojciec i ja twierdziliśmy, że tak, ale matka się sprzeciwiła. Kochała Tima bardziej niż nas. Sądziła, że można go wyleczyć. Zgodziliśmy się. Byliśmy głupi, szaleni, ale zgodziliśmy się. Tim wrócił więc do domu i przez jakiś czas wydawało się, że jest zdrowy, bo brał te leki, ale jednej nocy znowu usłyszałem: „*Das Helium und das Wasserstoff*.” - Simon czuł krople potu na czole; spieszył się z tym opowiadaniem. - Tim znowu mamrotał w swoim pokoju. To oczywiście był koniec. We-

zwaliśmy policję; od razu przyjechali. Tim trafił na oddział zamknięty. I nadal tam jest. Zamknięty na klucz w ciasnej klitce. Przebywa tam od tamtej pory i zostanie tam do końca życia. - Zbliżając się do końca opowieści, jak zawsze czuł ulgę. - I wtedy zacząłem pić, wiecie, żeby zapomnieć. Potem amfą, a potem już wszystko po kolei... Aż w końcu, po sześciu latach, przestałem grzać. Przeszedłem kurację w NA, sześćdziesiąt spotkań w sześćdziesiąt dni! Od tamtej pory jestem czysty. Mam teraz żonę i syna i bardzo ich kocham. Cuda jednak się zdarzają. Naprawdę. Oczywiście wciąż nie wiem, dlaczego mój brat zrobił to, co zrobił, i jaki był tego sens, ale... patrzę na to w ten sposób: może nie mam tych samych genów, może mój synek będzie zdrowy. Kto wie? Żyję z dnia na dzień. Oto i moja opowieść. Bardzo dziękuję, że mnie wysłuchaliście. Dziękuję.

W cieplej, dusznej salce rozległy się mrukliwe podziękowania, podobne do głosów wiernych w kościele. Cisza, która potem nastąpiła, była sygnałem: godzina dobiegała końca. Wszyscy wstali i uścisnęli się nawzajem, a potem zmówili modlitwę o spokój. Teraz było już po wszystkim: uzależnieni wyszli gęsiego z sali, wspinając się po skrzypiących drewnianych stopniach wprost na cmentarz przy kościele Hampstead.

Simon usłyszał sygnał swojego telefonu. Przystanął przy bramie kościelnej i wcisnął guzik.

- Quinn? To ja.

Na ekranie widniał napis „Numer zastrzeżony”, ale Simon natychmiast rozpoznał głos.

Dzwonił Bob Sanderson. Jego informator, jego człowiek; DCI - czyli detektyw główny inspektor - z New Scotland Yardu.

Simon powitał go pogodnym „cześć”. Lubił te telefony od Boba Sandersona, jako dziennikarz bowiem zawsze chętnie zajmował się ciekawymi sprawami, którymi karmił go policjant. Czasem były to strzępy informacji o kradzieżach w domach sławnych ludzi, a czasem o niecodziennych zabójstwach. W zamian za te dane Simon dbał o to, by w jego artykułach prasowych DCI Sanderson był ukazywany w korzystnym świetle, jako bystry gliniarz rozwiązujący trudne

zagadki kryminalne, wschodząca gwiazda policji metropolitalnej. Był to naprawdę słodki układ.

- Cieszę się, że pana słyszę, inspektorze. Jestem ostatnio splukany...

- Pan zawsze jest splukany, Quinn.

- To się nazywa „być wolnym strzelcem”. Ma pan coś dla mnie?

- Możliwe, że będzie z tego miła historyjka. Dziwny przy padek przy Primrose Hill.

- Tak?

- Jasne, że tak.

- Zatem o co chodzi? I gdzie dokładnie?

Detektyw odpowiedział po chwili milczenia:

- Duży, stary dom. Zamordowana starsza pani.

- W porządku.

- Jakoś nie słyszę entuzjazmu.

- Cóż. - Simon wzruszył ramionami, obserwując autobus skręcający w lewo przy stacji metra i jadący dalej, ku Belsize Park. - Mówił pan Primrose Hill? Niech pomyślę... Napad z bronią w rękę, kradzież biżuterii... Okolica raczej dobrze znana.

- I tu się pan myli, Quinn - odparł policjant i zachiłotał, choć w dziwnie poważny sposób. - To nie jest stary numer.

- Niech i tak będzie. Co w nim takiego niezwykłego?

- Chodzi o metodę. Ofiara została... nawinięta.

- Nawinięta?

- Najwyraźniej. Podobno tak się to fachowo nazywa. - Policjant zawahał się nieznacznie. - Nawinięcie! Chyba powinien pan tu przyjechać i rzucić okiem.

Za oknem hospicjum rozciągał się widok na ujarzmione piękno arizońskiej pustyni: ubity piach, kreozotowe plamy i bąble zastygłego bazaltu. Zielone ramiona kolczastych karnegii wznosiły się w błagalnym geście ku nieprzejednanemu słońcu.

Jeśli już trzeba umierać, pomyślał David Martinez, to właśnie to miejsce wydaje się najbardziej odpowiednie: dalekie przedmieścia Phoenix, kres ludzkiego skupiska i początek jałowego pustkowia Sonory.

Dziadek mamrotał coś, leżąc w łóżku, a pompa niespiesznie podawała mu morfinę. W tej chwili był ledwie świadomy, ale ostatnio rzadko kiedy bywał w innym stanie.

Wnuk pochylił się, by chusteczką otrzeć krople potu z twarzy dziadka. Zastanawiał się po raz kolejny, po co właściwie tu przyjechał z dalekiego Londynu, marnując bezcenny urlop. Odpowiedź była taka sama jak zawsze.

Bo kochał swojego dziadka. Pamiętał znacznie lepsze czasy: pamiętał, kiedy dziadek był jeszcze ciemnowłosym, krępy i pogodnym mężczyzną; wtedy zdarzało się, że w pełnym słońcu nosił Davida na ramionach. Tak było w San Diego, nad morzem, gdy jeszcze byli rodziną. Małą, ale jednak rodziną.

I może także dlatego David wybrał się w tę daleką podróż. Mama i tata nie żyli od piętnastu lat; zginęli w wypadku samochodowym. Przez piętnaście lat istnieli tylko oni dwaj: David w Londynie i dziadek starzejący się w dalekim Phoenix. Teraz David miał zostać sam. Ten straszny fakt wymagał stosownej oprawy - stosownego pożegnania.

Twarz dziadka wykrzywiła się we śnie. David czuł

przy nim przez godzinę, czytając książkę. Wreszcie umierają ocknął się, zakaszłał i otworzył oczy. Przez jakiś czas ze zdziwieniem spoglądał w okno, na błękitny kwadrat nieba nad pustynią, jakby po raz pierwszy widział ten ostatni pejzaż swojego życia. Wreszcie jego spojrzenie spoczęło na wnuku. David poczuł ukłucie strachu. Czy dziadek zapyta zaraz: „Kim pan jest?” W ciągu ostatniego tygodnia zdarzało się to zbyt często.

- David?

Młody mężczyzna przyciągnął krzesło nieco bliżej łóżka.

- Dziadku...

To, co teraz nastąpiło, trudno było nazwać rozmową, ale jednak... Rozmawiali o tym, jak dziadek się czuje i jak spisuje się kuchnia hospicjum. „Tacos, David, za dużo tacos”. David wspomniął, że jego tygodniowy urlop dobiega końca i za dzień lub dwa będzie musiał wrócić do Londynu.

Stary skinął głową. Wysoko na niebie krążył jastrząb.

- Przepraszam cię, Davidzie. Nie było mnie przy tobie, kiedy twoja mama i twój tata... wiesz... kiedy to się stało.

- Przepraszasz?

- No wiesz: ten wypadek... kiedy to się stało.... Tak strasznie mi przykro. Byłem głupcem.

- O nie. Daj spokój, dziadku. Nie zaczynaj znowu - odparł David, kręcąc głową.

- Posłuchaj mnie, proszę. - Stary skrzywił się boleśnie. - Muszę ci coś powiedzieć.

David w skupieniu skinął głową.

- Muszę to powiedzieć. Mogłem się bardziej postarać. Lepiej ci pomóc. Ale ty tak bardzo chciałeś zostać w Anglii; przygarnęli cię przyjaciele mamy i to wydawało się najlepsze. Nie masz pojęcia, jak trudno mi było. Przyjechać do Ameryki. Po wojnie. A twoja babcia... umarła.

Umilkł.

- Dziadku?

Stary spojrział wprost w popołudniowe słońce, coraz odważniej zaglądające do pokoju.

- Zadam ci pytanie, Davidzie.

- Jasne. Proszę.

- Zastanawiałeś się kiedy, skąd pochodzisz? Kim na prawdę jesteś?

David zdążył przywyknąć do pytań dziadka. Były stałym elementem łączącej ich więzi; tak znajdowali porozumienie: stary zadawał młodemu pytania, żeby zrozumieć jego sprawę. Ale tym razem chodziło o całkiem inne pytanie: niespodziewane, a jednocześnie ważne. Nie było to byle jakie pytanie. To było Pytanie.

Bo kim naprawdę był? I skąd naprawdę pochodził?

Poczucie wykorzenia, które towarzyszyło mu od zawsze, przypisywał zwykle chaosowi w wychowaniu i niecodziennej historii rodziny. Dziadek był Hiszpanem, ale w 1946 roku zamieszkał w San Diego z żoną, która wkrótce zmarła, wydając na świat ojca Davida. Potem ojciec poznał matkę, pielęgniarkę z Anglii zatrudnioną w Bazie Sił Powietrznych Edwards w Kalifornii.

Możliwe zatem, że w pierwszych latach życia David cieszył się czymś w rodzaju tożsamości: był Amerykaninem angielsko-hiszpańskiego pochodzenia oraz Kalifornijczykiem. Jednak latynoskie nazwisko i śniada cera sprawiały, że ich rodzina wyróżniała się spośród tak zwanych normalnych, stuprocentowych Amerykanów. Wreszcie przenieśli się do Wielkiej Brytanii, a potem do Niemiec i do Japonii i w końcu znów do Wielkiej Brytanii - taki był urok służby ojca w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych.

Gdy ich światowe tournee dobiegało końca, David miał dziesięć czy dwanaście lat i nie czuł się już ani Amerykaninem, ani Brytyjczykiem, ani Hiszpanem, ani nawet Kalifornijczykiem - był nikim. A potem rodzice zginęli w tej katastrofie i poczucie odcięcia, samotności, anonimowości i swobodnego dryfu tylko się spotęgowało. Był sam na świecie.

Dziadek powtórzył pytanie.

- I co, Davidzie? Zastanawiasz się czasem nad tym, skąd pochodzisz?

- Nie bardzo - skłamał, wzruszając ramionami.

Nie miał ochoty zgłębiać tego tematu, na pewno nie w takim momencie. Ale jeśli nie teraz, to kiedy?

- Dobrze, dobrze - wymamrotał stary. - Niech będzie. A jak tam nowa praca? Lubisz ją? I co właściwie robisz? Ciągle zapominam...

Czy dziadek znów odpływa? David zmarszczył brwi i odparł:

- Prawo medialne. Jestem prawnikiem. Niezła fucha.
- Tylko niezła?
- Nie... Nienawidzę jej. — David westchnął, zdziwiony własną szczerością. - Myślałem... a przynajmniej miałem nadzieję, że to będzie wielki świat. Wiesz: gwiazdy popu, imprezy. A w rzeczywistości tylko siedzę w ciasnym biurze i dzwonię do innych prawników. Gówniana robota. A mój szef jest wałem.

Stary zaczął kaszleć z wysiłkiem, a potem uspokoił się i spojrzał w sufit.

- Zdawało mi się, że skończyłeś college... coś ciekawego... Nauki ścisłe, nie?

- No tak. Biochemię, dziadku. W Anglii. Tylko że trudno na tym zbić majątek, więc zająłem się prawem.

Znowu pauza. Pokój był pełen światła. Wreszcie dziadek znowu się odezwał.

- David. Musisz o czymś wiedzieć.

- O czym?

- Kłamałem.

Milczenie stało się przytłaczające. Gdzieś w korytarzu zaterkotały koła łóżka.

- Kłamałeś? Co masz na myśli?

Spojrzał uważniej w oczy dziadka. Czy to kolejny krok demencji? Nie miał pewności, ale wydawało mu się, że stary jest przytomny.

- I teraz też kłamię, synu... I tylko... tylko nie mogę... O tym zapomnieć, Davidzie. Za późno na zmiany. *A las cinco de la tarde*. Przykro mi. *Desolada*.

David słuchał go z narastającym zdziwieniem.

- Zmęczony jestem, David... Ja... ja... ja... muszę to w końcu zrobić. Proszę, zajrzyj tam... Chociaż tyle mogę zrobić... Proszę.

- Słucham?

- W torbie... za łóżkiem. W tej z Kmartu. Zajrzyj tam. Proszę!

David wstał energicznie i podszedł do kąta pokoju. Za łóżkiem leżała sterta siatek i walizek, a wśród nich wyróżniała się szkarłatna torba z logo Kmartu. Sięgnął po nią i zajrzał do środka: na dnie leżał złożony papier. Czyżby mapa?

łego, nie czytano żadnych tekstów, w zasadzie nic się nie działo - tylko z odtwarzacza CD płynęły mało harmonijne, egzotyczne dźwięki muzyki gitarowej, zapewne wybranej przez dziadka.

Gdy utwór dobiegł końca, trumna zniecka zaczęła sunąć w płomień. Nagłość tego ruchu była dla Davida jak cios pięścią. Wyglądało to tak, jakby stary chciał jak najszybciej zejść ze sceny, uciec przed życiem albo zrzucić z barków nieznośny ciężar.

Po południu David wybrał się samochodem daleko w głąb pustyni, jakby w tej jałowej głuszy chciał zgubić smutek. Na niebie zbierały się złowieszcze burzowe chmury, gdy rozsypywał prochy dziadka na piachu między opuncjami i *canotiami*. Stał może minutę, przyglądając się, jak wiatr rozwiewa popiół, a potem wrócił do wozu. Był już w drodze do miasta, gdy pierwsze wielkie krople deszczu uderzyły w przednią szybę. Zanim dotarł do motelu, szalała już najprawdziwsza pustynna burza: pomiędzy groźnymi, czarnymi chmurami raz po raz przeskakiwały zygzaki błyskawic.

Do odlotu pozostało mu niewiele czasu. Właśnie zaczął się pakować, gdy zaświergotał motelowy telefon. Czyżby była dziewczyna? W ostatnich dniach dzwoniła parę razy, próbując poprawić mu humor. Starła się być dobrym przyjacielem.

David sięgnął po słuchawkę.

- Aha?

Ale to nie była ona, tylko ktoś z silnym amerykańskim akcentem.

- David Martinez? Mówi Frank Antonescu...

- Tak? Witam.

- Jestem prawnikiem pańskiego dziadka. Przed wszystkim pozwolę sobie złożyć wyrazy współczucia.

- Dziękuję. Ale... przepraszam, czy mój dziadek naprawdę miał prawnika?

Miał. David pokręcił głową z niedowierzaniem. Za oknem pustynny deszcz marszczył powierzchnię motelowego basenu.

- W porządku. Niech pan kontynuuje, proszę.

- Dziękuję. Powinien pan wiedzieć, że rozporządzam spadkiem pańskiego dziadka.

David roześmiał się w głos. Dziadek mieszkał w starym

bungalowie obciążonym niemałą hipoteką; jeździł dwudziestoletnim chevroletem i w zasadzie nie posiadał cennych przedmiotów. Spadek? Akurat.

Zaraz jednak przestał się śmiać - poczuł niepokój. A może właśnie tego stary tak się wstydził? Może zostawił po sobie koszmarnie długi?

- Panie Martinez, spadek to mniej więcej dwa miliony dolarów w gotówce, a ściślej na koncie w Phoenix Bank.

David zachwiał się jak od uderzenia gwałtownego wiatru, a potem poprosił prawnika, by jeszcze raz wymienił kwotę. Antonescu powtórzył, a wtedy David poczuł Gniew.

Przez cały czas! Przez cały ten czas dziadek był nadzieiny, ba, był pieprzonym milionerem?! Podczas gdy on, David, osierocony wnuk, ledwie wiązał koniec z końcem, pracował przez całe studia, z trudem utrzymywał się na powierzchni?! A kochany dziadziuś spał sobie smacznie na dwóch milionach dolarów?

David zapytał, od kiedy stary posiadał taki majątek.

- Miał pieniądze, kiedy mnie zatrudniał. Co najmniej dwadzieścia lat temu.

- Zatem... Po jaką cholere gnieździł się w tym zasranym domku? Jeździł takim gratem? Nie rozumiem.

- Nie dziwię się - odparł prawnik. - Proszę mi wierzyć, panie Martinez, że mówiłem mu nieraz, żeby wydał trochę na siebie albo podzielił się z panem. Nigdy tego nie zrobił. Dobrze, że przynajmniej dostawał niezłe odsetki. -Antone scu zaśmiał się smętnie. - Gdyby kiedyś pan ustalił, skąd się wzięły te pieniądze, proszę mi dać znać. Zawsze mnie to ciekawiło.

- Co mam teraz zrobić?

- Niech pan jutro wpadnie do mojego biura i podpisze parę dokumentów. Pieniądze należą do pana.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. - Pauza. - Tylko że... Panie Martinez, musi pan wiedzieć, że w ostatniej woli zawarty jest jeden warunek, który musi pan spełnić.

- Jaki mianowicie?

- Otóż... - Prawnik westchnął. - Cóż, to dość ekscen tryczne życzenie. Musi pan najpierw wykorzystać część pieniędzy na wykonanie pewnego zadania. Pojedzie pan do

Kraju Basków. W mieście zwanym Lesaka odnajdzie pan niejakiego Jose Garovilla. Zdaje się, że to w Hiszpanii... To znaczy: w Kraju Basków. — Prawnik zawahał się. — Myślę więc, że najlepiej będzie, jeśli zrobimy tak: odezwie się pan do mnie z Hiszpanii, a wtedy ja prześlę pieniądze na pańskie konto. Wtedy już cały spadek będzie pański.

- Ale dlaczego on chce... chciał, żebym odnalazł tego faceta?

- Nie mam pojęcia. Warunek jest jednak jasny.

David przez chwilę obserwował deszcz za oknem, z wolna zmieniający się w mżawkę.

- W porządku. Przyjadę do pana jutro.

- Świetnie. Do zobaczenia o dziewiątej. I proszę raz jeszcze przyjąć wyrazy współczucia.

David odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek, obliczając w myślach różnicę czasu. Było zbyt późno, by dzwonić do Anglii i chwalić się komukolwiek dziwaczną, ale i wspaniałą nowiną. Zbyt późno też, by zatelefonować do szefa i powiedzieć, żeby się udławił tą swoją durną robotą.

Podszedł do stolika i podniósł mapę. Rozłożył miękki, wyblakły papier i ponownie przyjrzał się małym, niebieskim gwiazdkom. Były wyraźne; umieszczono je starannie tuż obok osobliwie brzmiących nazw. Arizkun. Elizondo. Zugar-ramurdi. Dlaczego zaznaczono właśnie te? I o co chodziło z tymi kościołami? Po co w ogóle była dziadkowi ta mapa?

I jak to możliwe, że ubogi starzec był w posiadaniu dwóch milionów dolarów, których przez lata nawet nie tknął? Trzeo oęazie sprawazic połączenia lotnicze z Bilbao pomyślał David.

W zatłoczonej sali przylotów portu lotniczego w Bilbao otworzył laptopa, by wysłać wiadomość do Franka Antonescu. Załączył do niej swoje zdjęcie z baskijską gazetą w dłoni, by nie było wątpliwości, że istotnie dotarł do celu, a tym samym spełnił ostatnią wolę dziadka. Cała ta wyprawa wydawała mu się surrealistycznym doświadczeniem, może nawet wręcz głupim, ale z drugiej strony - skoro właśnie tego życzył sobie dziadek... David z radością spełnił jego życzenie.

Mimo okazałej różnicy czasu prawnik czuwał: niemal natychmiast poinformował go, że właśnie dokonuje przelewu środków.

Po chwili David otworzył stronę internetową banku i zalogował się na swoje konto.

Były. Pieniądze naprawdę tam były.

Dwa miliony sto tysięcy dolarów.

I mieszanka uczuć: wdzięczności i niepokoju, konsternacji i niesmaku. Wszystko naraz. Był bogaty ale czuł się tak jakby ktoś zakradł się chyłkiem do jego domu i pomalował meble na złoto. Czy wolno na nich teraz usiąść?

David zamknął komputer i ziewnął. Ziewnął raz jeszcze i spojrzał przez szklane drzwi terminalu. Padał ulewny deszcz. A on był już bardzo zmęczony. Czuł, że należy mu się odpoczynek przed kolejnym etapem podróży.

Kryjąc się nieporadnie pod egzemplarzem „El Correo”, David podjechał wózkiem bagażowym na postój taksówek. Od ulewy wybawił go rubaszny kierowca w krzykliwej koszulce Barcelony, na którą narzucił elegancką skórzaną kurtkę. Ćmiąc papierosa i paplając bez końca, poprowadził wóz w stronę miasta.

Mknęli autostradą tonącą w strugach deszczu. Po lewej mieli daleką, szarą plamę Atlantyku, a po prawej zielone wzgórza sięgające chmur. W głębokich przełęczach czaiły się ciemne masywy hut i papierni; z wysokich ceglanych kominów sączyły się ku niebu wstęgi dymu w kolorze spranej bielizny.

David opuścił szybę i pozwolił, by krople deszczu zmoczyły mu twarz. Chłód dobrze mu zrobił; pomógł zwalczyć odrętwienie wywołane zmęczeniem; rozbudził go i ożywił pamięć. Jestem na miejscu, pomyślał, podziwiając Kraj Basków.

Trzydzieści godzin lotu wystarczyło, by sporo się dowiedział z Internetu na temat tej krainy i jej mieszkańców. Wiedział więc już, że zdaniem niektórych Baskowie są potomkami neandertalczyków. Wiedział, że mają zaskakująco długie płatki uszu. Wiedział, że posługują się złożonym językiem, niespokrewnionym z żadną inną mową świata. Wiedział też, że *Arraunkada* oznacza „uderzyć wiosłem”.

Wyczytał także, że angielskie słowo *bizarre*, znaczące tyle co „dziwaczny”, pochodzi od baskijskiego „brodaty”; że tubylcy bywają wysocy i barczyści w porównaniu z Hiszpanami; że byli świetnymi wielorybnikami; że hodują specjalną odmianę wiśni, że pasjonują się rugby, że używają bielizny stołowej o charakterystycznym wzorze, mają falisty symbol słońca, *lauburu*, oraz niewielkie dzikie koniki zwane *pottok*.

David nacisnął guzik i okno się zamknęło. Poszukiwania w Internecie skutecznie zabiły nudę podróży, ale nie dostarczyły informacji, na której mu najbardziej zależało: Kim jest Jose Garovillo. Jakie znaczenie mają kościoły? Czemu służyła mapa?

Wspomnienie o dziadku przyniosło ból, ale David zapomniał nad emocjami. Wiedział, że rozmyślanie o nim może, przez ciąg skojarzeń, obudzić pamięć o rodzicach. Potrzebował teraz działania, nie dumania, zwłaszcza że czekała go jeszcze jedna, dość radykalna zmiana.

Sięgnął po komórkę i nacisnął klawisz.

W Londynie zadzwonił telefon.

- Roland de Villiers. Słucham?

Tak, to był ten typowy, nadęty, a jednocześnie znużony ton.

Głos, który David znosił od pięciu lat.

- Roland, mówi David. Ja...
- Na miłość boską, David. Gdzie się znowu podziałeś?
- Roland...
- Zdajesz sobie sprawę, jaka sterta papierów urosła na twoim biurku? Nic mnie nie obchodzą te twoje, szczerze mówiąc, mało ważne sprawy rodzinne. Jesteś zawodowcem, więc weź się w garść. Spodziewam się, że w ciągu godziny będziesz siedział za ścianą, bo jak nie...

- Ja nie wracam.

Pauza.

- Masz godzinę, żeby się tu pojawić.

- Oddaj moją posadę gościowi z księgowości. Temu, który posuwa twoją żonę. Pa.

David przerwał połączenie i zaśmiał się z cicha. Wyobrażał sobie szefa, siedzącego w gabinecie, z twarzą siną z wściekłości.

Jak dobrze.

Autostrada przed maską wozu opadała i skręcała, wyraźnie wiodąc do serca miasta. Po obu stronach stały na baczność mokre od deszczu szare bloki mieszkalne.

Taksówkarz zerknął na Davida w lusterku.

- *Centro urbano, señor? Hotel Donostia? Si?*

- *Si. Eee... si. Tak. Centrum miasta. Hotel Donostia.*

Wóz zjechał z autostrady ku szerokim ulicom miasta.

Wielkie biurowce piętrzyły się pompatycznie pod ołowianym niebem. Wiele z nich było siedzibami banków. Banco Vizkaya. Banco Santander. Banco de Bilbao. Ludzie osłonięci parasolami przemykali między ponurymi gmachami; wszystko to wyglądało jak fotografia Londynu z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Hotel Donostia prezentował się w rzeczywistości dokładnie tak jak na zdjęciach w serwisie internetowym: dość oficjalnie, choć niezbyt świeżo. Portier spojrział pogardliwie na wygniecioną koszulę Davida, ale on nawet nie zwrócił na to uwagi - zmęczenie zaczynało graniczyć z delirium. *Znalazł* swój pokój, poradził sobie z zamkiem na kartę, a potem już tylko padł na zbyt miękkie łóżko i przespał równo jedenaście godzin, śniąc o pustym domu. Śnili mu się też rodzice -jeszcze żywi - w samochodzie, a także małe, dzikie kucyki cwałujące drogą.

A potem krzyk. I czerwień. I mały chłopiec biegnący w stronę morza po wielkiej, pustej plaży.

Gdy się obudził, rozsunął zasłony i zdumiał się widokiem. Niebo było błękitne: powróciło wrześnie słońce. Włożył świeże ubranie, popił ciastka kawą i wezwał tak-sówkę. Przy stacji kolejowej wynajął samochód. Po krótkim wahaniu podpisał umowę na cały miesiąc.

Główna droga wyjazdowa z brudnego Bilbao poprowadziła go na wschód, ku francuskiej granicy. Znowu powrócił pamięcią do mamy, taty i dziadka, ale szybko odpędził te myśli; skoncentrował się na drodze, którą miał przed sobą. Czy wybrał właściwy kierunek? Zjechał na stację benzynową Agip. Wielkie plastikowe logo - czarny pies plujący czerwonym ogniem - lśniło w ostrym blasku słońca. Zaparkował, wyjął starą mapę i palcem prześledził trasę, raz jeszcze uważnie przyglądając się niebieskim gwiazdkom na szarych stokach wzgórz. Wyglądały jak dalekie światła policyjne błyskające w deszczu i mgle.

Po chwili złożył mapę i teraz dopiero spostrzegł odręczny napis na odwrocie, sporządzony innym charakterem pisma. W pełnym blasku słońca wydawał się mocno wyblakły. Słowa wyglądały na baskijskie, może hiszpańskie, a może nawet niemieckie. Tak bardzo zszarzały i były tak małe, że trudno było je odczytać.

Kolejna zagadka, pomyślał, a ja nawet nie zbliżyłem się do rozwiązania poprzednich. Mapa jednak pokazała mu jedno: bez wątplenia podążał we właściwą stronę, do „prawdziwego” Kraju Basków. Uruchomił silnik.

Jechał jak zahipnotyzowany. Czasem dostrzegał mieniający się w słońcu ocean, wody Zatoki Biskajskiej. Niekiedy zaś droga opadała gwałtownie w ciemnozielone, cieniste doliny, usiane białymi baskijskimi domkami przypominającymi kanciaste grzyby wyrosłe niespodziewanie ostatniej nocy.

Wreszcie, opodal San Sebastian, droga rozwidliła się: węższa, ale i znacznie bardziej urokliwa szosa powiodła Da-vida w głąb lądu, do doliny Bidasoa. Internetowe serwisy nie kłamały: naprawdę było tu pięknie. Rwące górskie potoki płynęły rozpadlinami, a ogromne lasy orzechowe i kasztanowe szeptały z cicha w ciepłym wrześnie powietrzu. Zbliżał się do Lesaki w baskijskiej Nawarze. Był prawie na miejscu.

Zwolnił i zauważył.

W Lesace coś się działo. Przy wjeździe do miasta stały duże, czarne furgony policji z metalowymi kratami chroniącymi szyby. Funkcjonariusze oddziałów szturmowych, o antypatycznych obliczach, kręcili się opodal, rozmawiając przez telefony komórkowe. Nawet nie próbowali ukryć broni.

Jeden z nich popatrzył na Davida, zmarszczył brwi i sprawdził numer rejestracyjny wynajętego wozu. Po chwili pokręcił głową i wskazał na parking. Lekko zirytowany David odstawił samochód na miejsce. Policjant zdążył już się odwrócić, niezainteresowany; zależało mu tylko na tym, by przybywający do miasta dalszą drogę pokonali pieszo.

Posłuszny poleceniom władzy David zarzucił plecak na ramię i pomaszerował w stronę centrum. Pamiętał wszystko, co wyczytał na temat baskijskiego terroryzmu: kampanii na rzecz niepodległości Kraju Basków, prowadzonej przez organizację terrorystyczną ETA. Była to brudna wojna: zabójstwa, zamachy bombowe, niepojęte okrucieństwa, mężczyźni w damskich perukach strzelający do nastolatków... Obrzydliwość.

Czy właśnie dlatego miasteczko otoczyła policja?

Z pewnością było to możliwe, choć przecież tak trudno połączyć w wyobraźni okrucieństwa terroryzmu z miejscem takim, jak Lesaka. Świeże górskie powietrze było chłodne, nieruchome i słodkie. Na niebie wisiały tu i ówdzie obłoki, ale stare kamienne domostwa tonęły w słońcu, podobnie jak zabytkowy kościół na wzgórzu i rezydencje przy miejskich placach. Na rogach ulic stały dziwne kolumny, na których wyryto faliste symbole słońca - niby swastyki w stylu art nouveau. *Lauburu*. David wypowiedział to słowo na głos, do siebie, idąc ulicą.

Lauburu.

Nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Usiadł na ławce przy centralnym placu miasta, przyglądając się potężnemu kamiennemu domowi ozdobionemu *ikurriną*, zielono--czerwono-białą flagą Basków. Poczul się jak głupiec. Co ma teraz począć? Tak po prostu... rozpytywać ludzi? Jak detektyw amator?

Obok niego siedziała staruszka. Mamrotała coś, ściskając w dłoni różaniec.

David odchrząknął dyskretnie, po czym nachylił się ku niej i łamaną hiszpańszczyzną zapytał:

- Zna pani może niejakiego... Jose Garovilla?

Kobieta spojrzała na niego nieufnie, jakby podejrzewała go o popełnienie zbrodni, a potem pokręciła głową, wstała i odeszła, strasząc drepczące w pobliżu gołębie. David odprowadził spojrzeniem jej cień, który zniknął po chwili za rogiem budynku.

Przez resztę popołudnia robił, co mógł: wypytywał nieznamomych na ulicy i zajrzał do dwóch *supermercados*, ale wszędzie odpowiadano mu pustym spojrzeniem, a nawet wrogością. Albo nikt nie znał Jose Garovilla, albo nikt nie chciał o nim rozmawiać. Sfrustrowany David wrócił do samochodu, wyciągnął z bagażnika trochę ubrań i szczoteczkę do zębów, po czym zameldował się w hoteliku Eguzki przy końcu głównej ulicy.

Tak zwany podwójny pokój zdobyły kije pasterskie zawieszane na ścianie. Kran w łazience wykaształ strugę rdzawej wody. David spędził wieczór, jedząc chorizo z supermarketu, oglądając hiszpańskie teleturnieje i wpatrując się w niemożliwe do odczytania zapiski na mapie. Samotność męczyła go jak stara, smętna ludowa piosenka.

Rankiem obudził się pełen świeżej determinacji. Na początek odwiedził kościół: rozpadający się, zakurzony budynek przepełniony wonią pleśniejących, krytych skórą kłęczników. Zbolały drewniany Chrystus spoglądał tęsknym wzrokiem na puste ławki. Na mniejszej z dwóch starych kąpieli z szarego kamienia brutalnie wyryto osobliwy symbol podobny do strzałki.

David dotknął kamienia, polerowanego przez stulecia milionami rąk miejscowych ludzi, sięgających po magiczną wodę i zwilżających nią swe brudne czoła.

In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti...

Dość. To bez sensu. David podniósł z posadzki torbę i wyszedł z kościoła. Z ulgą stanął znowu w świetle dnia, otoczony wonią trawy. Gdzie mogli się zbierać mieszkańcy miasta? Gdzie znaleźć życie, rozmowę, a przede wszystkim odpowiedzi?

W barze.

Po chwili był już na najbardziej ruchliwej ulicy, przy

której mieściły się sklepy i kawiarnie. Wybrał bar Bilbo. Z wnętrza dobiegały dźwięki muzyki, a za grubymi oknami widać było pijących gości.

Kilka twarzy zwróciło się ku niemu, kiedy wszedł. Ciemny, duszny bar był pełen ludzi. Grupa nastolatków prowadziła w kącie ożywioną rozmowę, najbardziej gardłową hiszpań-szczyzną, jaką David kiedykolwiek słyszał. Po przeciwnej stronie siedziała młoda kobieta, atrakcyjna blondynka. Spojrzała na niego przelotnie i znów pochyliła się nad telefonem komórkowym. Resztę towarzystwa stanowili w większości śniadzi, czarnowłosi mężczyźni pijący szklankami mętny cydr i raz po raz zagłuszający muzykę gromkim śmiechem.

Teraz dopiero David przypomniał sobie, skąd zna te dźwięki: bardzo podobne towarzyszyły pogrzebowi dziadka. Prawda? Żywiołowa, nieco dysharmoniczna, gitarowa melodia. Ale co to oznacza? Czy coś łączyło dziadka z Baskami? A może... sam był Baskiem?

David w życiu nie słyszał, by dziadek posługiwał się innym językiem niż hiszpański i angielski. Nazwisko Mar-tinez też wydawało się czysto hiszpańskie. A jednak ci krępi klienci baru byli podobni do dziadka. I do ojca Davida, jeśli chodzi o ścisłość.

Kolejna zagadka, pomyślał. Mnożą się jak króliki.

Pochylił się nad kontuarem i posługując się kompromi-tującą słabym hiszpańskim, zamówił cervezę. Usiadł przy stojącym tuż obok stoliku i zaczął pić piwo. Znowu ten paraliż; czuł się jak idiota. Ale jednocześnie pamiętał słowa dziadka: jedź do Lesaki, znajdź Jose Garovilla i zapytaj go o mapę. Powinien to zrobić. Po prostu to zrobić.

Wstał i poklepał po ramieniu najwyższego z mężczyzn stojących przy barze.

- *Ola?*

Został zignorowany.

- *Buenos dias.*

Kilku innych gości o nader ponurych twarzach przyglądało się tej żalosnej próbie podjęcia rozmowy. Obojętnie, a może nawet nieprzyjaźnie.

Raz jeszcze poklepał nieznajomego po ramieniu.

- *Buenos dias, señor.*

Bez rezultatu.

Dwaj inni z pijących popatrzyli na niego wilkiem i ostrym tonem zapytali o coś. Nie rozumiał tego akcentu. Wskazał na mapę i przeszedł na angielski.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale... Bardzo przepraszam. Chodzi o tę mapę. Dostałem ją od dziadka. Kazał mi przyjechać tu i rozejrzeć się... w tych miejscach. Widzicie? Ariz... kun, Elizonda? Muszę też odszukać pewnego faceta, Jose Garovilla. Nie wiecie, gdzie mogę go znaleźć? Teraz dopiero najroślejszy z gości baru odwrócił się i rzucił kilka ostrych słów. David nie zrozumiał.

- Eee... przykro mi, ale bardzo słabo znam hiszpański.

Twarz mężczyzny wykrzywiła się w nagłym ataku furii i David zorientował się, że musiał popełnić fatalny błąd. Za daleko się posunął. Nie miał pojęcia jak i dlaczego, ale najwyraźniej zrobił coś bardzo głupiego. Atmosfera w barze gęstniała w oczach. Ktoś wyłączył muzykę.

Jeden z amatorów cydru zaczął wykrzykiwać coś w stronę Davida, wyraźnie agresywnym tonem. Stojący w oddali barman nerwowo wskazywał kciukiem na drzwi. David wiedział, że powinien usłuchać. Uniósł obie ręce w geście kapitulacji i ruszył w kierunku wyjścia.

Lecz pijący cydr byli szybsi: trzech z nich zerwało się już i blokowało mu drogę odwrotu. Do największego z nich dołączył mężczyzna w dżinsowej koszuli i ubłoconych butach, a także jegomość w podkoszulku z napisem Led Zeppelin i z tatuażami na ramionach.

Jezu. Co teraz?

Najrozsądniejszym wyjściem wydawała się ucieczka -mógł spróbować przedrzeć się przez kordon, do drzwi, do światła, do wolności. Postanowił jednak spróbować jeszcze raz dogadać się z napastnikami.

- Chłopaki, posłuchajcie... Przepraszam... *por favor*...

Słowa nie wywołały żadnej reakcji. Jeden z amatorów cydru zaczął podwijać rękawy.

- Stać!

David odwrócił się gwałtownie i zobaczył blondynkę. Wśliznęła się pomiędzy niego a mężczyzn blokujących mu drogę i teraz przemawiała do nich bardzo szybko i z emfa-

zą. Staccato jej hiszpańszczyzny trąciło obcym akcentem, a słowa padały zbyt szybko, by David mógł je zrozumieć.

Wydawało się jednak, że jej interwencja przynosi skutek. Cokolwiek mówiła, zaczynało docierać do wściekłych mężczyzn: emocje wyraźnie opadły; gniewne twarze były już tylko posępne i z wolna oddalały się w półmrok baru. Uratowała mnie przed solidnym laniem, pomyślał David.

Popatrzył na nią. Odwzajemniła spojrzenie, a zaraz potem sięgnęła wzrokiem dalej, ponad jego ramieniem.

David uświadomił sobie, że być może istnieje jeszcze jeden powód, dla którego napastnicy zaczęli się rozchodzić. Ktoś zbliżał się do niego od tyłu. O ile słowa dziewczyny uspokoiły bywalców baru, o tyle przybycie nieznanego wywołało w nich widoczny lęk. Skąd on się tu wziął?

Był wysoki i śniady. Miał ponurą, nieogoloną twarz, wykrzywioną teraz złowrogim grymasem. Mógł mieć trzydzieści pięć lat, może czterdzieści, jeśli był w formie. Kim był? I dlaczego wszyscy ucichli?

- Miguel? - Barman zaczął bełkotać nerwowo. - Eee... Miguel... eee... *Dos equis?*

Mężczyzna zignorował propozycję. Wpatrywał się to w blondynkę, to w Davida, ciemnymi, głęboko osadzonymi oczami. Stał bardzo blisko. W jego oddechu czuć było alkohol - mocne wino lub brandy. Nie wyglądał jednak na pijanego. Obrócił się z wolna i spojrzał prosto na dziewczynę. Przemówił gładko, głębokim głosem.

- Amy?

- *Adiós*, Miguel - odpowiedziała buntowniczo.

Wzięła Davida za rękę i pociągnęła w stronę drzwi. Szybko i zdecydowanie. Ale Miguel ją powstrzymał: wyciągnął rękę i po prostu chwycił ją za gardło. Uścisk jej palców na dłoni Davida rozluźnił się nagle.

I wtedy Miguel ją uderzył. Mocno. Szokująco, brutalnie, prosto w twarz. Dziewczyna pofrunęła na deski, między pety i zmięte serwetki.

David patrzył na to wszystko z otwartymi ustami. Nagły akt przemocy skierowany przeciwko tej drobnej blondynce był tak szokujący, tak niepojęty, że zmienił go w słup soli. Co powinien zrobić? Rozejrzał się po sali. Nikt nie zamierzał

interweniować. Niektórzy już się odwracali, uśmiechając się tchórzliwie.

David skoczył na Miguela. Bask był znacznie wyższy i mocniej zbudowany - choć i Martinez nie był ułomkiem -ale to nie miało żadnego znaczenia. David zbyt dobrze pamiętał, jak bito go, gdy był nastolatkiem. Zbuntowanym, osieroconym chłopakiem. Pamiętał, jak łatwo przychodzi innym znęcać się nad słabszymi. Pierdolić to, pomyślał.

Złapał mężczyznę za szyję i zamachnął się do ciosu.

Daremnie. Poczul się tak, jakby próbował poskromić wściekłego byka: Miguel najpierw zeszywniał, a potem obrócił się gwałtownie i z pogardą zrzucił go na podłogę. David pochwycił nogę stolika barowego, by się podnieść, ale w tym momencie poczul przeszywający ból: został uderzony metalowym przedmiotem.

Zanim zapadła ciemność, dotarło do niego, że to kolba pistoletu.

Simon Quinn zapłacił, wysiadł z taksówki i zlustrował spojrzeniem ciąg georgiańskich domów o stiukowych elewacjach. Laptop ciążył mu coraz mocniej w torbie, którą niósł na ramieniu.

Miejsce zbrodni było boleśnie oczywiste: dwie policyjne furgonetki parkowały przed domem, a funkcjonariusze w białych papierowych kombinezonach właśnie wyładowywali stalowoszare walizki z narzędziami. Girlandy żółto--niebieskich policyjnych taśm rozciągnięto przed wejściem do jednego z eleganckich szeregowców.

Simon poczuł się niepewnie. Sanderson wspomniał, że zbrodni dokonano przez... nawinięcie. Ale co to miało oznaczać, u diabła?

Nerwowość była wyczuwalna, ba, nawet widoczna: objawiała się lekkim drżeniem rąk. Odwiedził w życiu bardzo wiele miejsc zbrodni - zbrodnia i kara były dlań dziennikarskim chlebem powszednim - ale to słowo... nawinięcie. Dziwne. Niepokojące.

Prześliznął się pod policyjną taśmą i na progu domu stanął twarzą w twarz z uśmiechniętym detektywem sierżantem Tomaskym. Nowy asystent Sandersona był z natury pogodnym londyńczykiem polskiego pochodzenia. Simon spotkał go już kiedyś.

—Pan Quinn... - powitał go Tomasky. - Obawiam się, że spóźnił się pan na spotkanie z trupem. Właśnie zabraliśmy ciało.

—Przyjechałem, bo zadzwonił do mnie inspektor...

—Znowu chciałby zabłysnąć w prasie? - Tomasky ro-

ześmiał się w przyjemnym, jesiennym słońcu. Po chwili spoważniał. - Zdaje się, że ma dla pana kilka zdjęć.

- Tak?

- Tak. Dość makabrycznych, ostrzegam.

Tomasky wyciągnął rękę, blokując dziennikarzowi drogę do wnętrza. Ponad jego ramieniem Simon zauważył dwóch techników, którzy właśnie wyszli z pokoju. Zdażyli już zdjąć z twarzy błękitne papierowe maski.

- W jakim wieku była ofiara?

Policjant nie cofnął ręki.

- Stara. Bardzo stara. Pochodziła z południa Francji.

Simon zadarł głowę, podziwiając stiuki po obu stronach drzwi.

- Ładny domek dla starszej pani.

- Tak. Musiała być zamożna.

- Mogę już wejść, Andrew?

Detektyw sierżant Tomasky uśmiechnął się półgębkiem.

- Dobra. Inspektor jest w pokoju po lewej. Chciałem pana tylko przygotować.

Sierżant odchylił ramię zapraszającym gestem. Simon wszedł do holu pachnącego woskiem i starymi kwiatami, a także gazami i żelami używanymi przez speców zabezpieczających ślady.

Zatrzymał go głos.

- Nazywała się Francoise Gahets. Niezameżna.

To był Sanderson. Jego pobrużdżona, ruchliwa twarz wystawała zza framugi drzwi jednego z pokoi na końcu korytarza.

- Pan inspektor! Witam.

- Ma pan notes?

- Tak. - Simon sięgnął do kieszeni.

- Jak mówiłem: Francoise Gahets. Niezameżna. Zamożna, samotna... Wiemy, że mieszkała w Wielkiej Brytanii od sześćdziesięciu lat i nie miała krewnych. I to właściwie wszystko. Chce pan obejrzeć miejsce zbrodni?

- Chyba że najpierw zamówimy pizzę.

Sanderson zdobył się na wątły uśmiech.

Minęli próg.

- Ciało znalazła wczoraj sprzątaczką - ciągnął inspek-

tor - estońska dziewczyna imieniem Lara. Do tej pory leczy się z szoku wódką.

Dotarli do końca salonu. Funkcjonariusz w białym kombinезonie i białej masce usunął się z drogi, odsłaniając widok.

- Dokładnie tu spoczywały zwłoki. Zostały zabrane dziś rano. O, tutaj klęczała. Jest pan gotów obejrzeć zdjęcia?

- Tak.

Sanderson pochylił się nad stolikiem. Podniósł teczkę i otworzył ją, ukazując plik fotografii.

Pierwsza przedstawiała staruszkę, kompletnie ubraną, klęczącą na podłodze plecami do fotografa. Na dłoniach, co dziwne, miała rękawiczki. Simon porównał zdjęcie z wnętrzem pokoju, po czym znów pochylił się nad odbitką. Ofiara wyglądała jak żywa; jak gdyby uklękła, by poszukać czegoś pod kanapą czy telewizorem. W każdym razie wyglądała na żywą od dołu aż do szyi.

Simon skrzywił się na widok jej głowy, a raczej tego, co uczynił z nią morderca lub mordercy.

- Co u...

Sanderson podsunął mu kolejne zdjęcie.

- Tu mamy zbliżenie. Proszę spojrzeć.

Drugie zdjęcie wykonano z odległości kilku cali: widać było na nim, że z głowy ofiary zerwany został skalp, odsłaniając białą kość czaszki splamioną krwią.

- I jeszcze to.

Sanderson trzymał już trzecią fotografię.

Przedstawiała leżący na dywanie zerwany skalp, a raczej sklejoną masę pomarszczonej skóry i długich, siwych włosów. Przez środek przetknięty był gruby kij - być może od miotły. Był bardzo ciasno oplatany włosami, skreconymi i pourywanymi, jakby obrócono go wiele, wiele razy. Nawinięcie...

Simon powoli zaczerpnął powietrza.

- Dzięki. Chyba rozumiem.

Rozejrzał się po pokoju: plamy krwi na dywanie nadal były doskonale widoczne. Sposób popełnienia zbrodni wydawał się całkiem oczywisty - dziwaczny, ale oczywisty. Ktoś kazał staruszcze uklęknąć, potem oplótł jej długie włosy wokół kija, a następnie obracał nim tak długo, nawijając włosy coraz cia-

śniej, aż utworzyły jeden ciasny węzeł. Wyrwaniu towarzyszyły straszliwy ból i krwawienie. Wreszcie nastąpił moment, w którym od czaszki oderwała się skóra wraz z włosami.

Simon wziął do ręki jedno z ostatnich zdjęć. Wykonane od przodu, ukazywało wyraz twarzy kobiety.

- O mój Boże - wyrwało mu się mimowolnie.

Usta staruszki zastygły w milczącym, przerażającym okrzyku bólu. Właśnie tak musiała cierpieć w chwili, gdy ktoś ukreślił jej czubek głowy.

Tego było już za wiele. Zesztywniały, upuścił teczkę na stolik, odwrócił się i podszedł do marmurowego kominka - pustego i zimnego, ozdobionego pękiem suszonych traw w wazonie i fotografią jakichś wiekowych ludzi. Pośrodku stała kiczowata gipsowa figurka uśmiechniętej Dziewicy Marii, a tuż obok mały, gliniany osiołek. W umyśle Simona pojawił się nagle nieproszony obraz brata, z rękami zbry-zganymi krwią.

Wyparł go czym prędzej i odwrócił się.

- A zatem, inspektorze, sądząc po tym kiju od miotły, wygląda na to, że ktoś kręcił jej włosami tak długo, aż wyrwał je wraz ze skórą głowy?

Sanderson skinął głową.

- Tak jest. To właśnie nazywamy nawinięciem.

- Skąd pan wie?

- To forma tortur. Podobno stosowana przez wieki. - Policjant zerknął na drzwi. - Tomasky, poczciwy chłopak, przejrzał dane na ten temat. Mówi, że takim mękom poddawano często Cyganów. I wrogów rewolucji październikowej.

- A zatem... - Simon wzdrygnął się na myśl o cierpieniu staruszki. - Zatem... umarła wskutek szoku?

- Nie. Została uduszona garotą. Proszę spojrzeć.

Kolejna fotografia. Długopis Sandersona wskazywał na szyję kobiety. Dziennikarz pochylił się niżej i teraz dopiero spostrzegł niewielkie, czerwone ślady.

Wszystko to wydało mu się nedorzeczne, wręcz groteskowe.

- Nic z tego nie rozumiem - wyznał i z niesmakiem zmarszczył brwi. - Ktokolwiek to zrobił, najpierw torturował tę staruszkę. Dopiero potem zabił ją, i to z wprawą eksperta... Po jaką cholereę zrobił coś takiego?

- A kto to, kurwa, może wiedzieć? - odparł Sanderson. -
Osobliwe, co? I jeszcze jedno: sprawca niczego nie ukradł.

- Słucham?

- Na piętrze znaleźliśmy biżuterię. Nietkniętą.

Razem podeszli do drzwi. Simon czuł nagłą potrzebę opuszczenia tego miejsca. Sanderson nie przestawał mówić.

- Dobry z pana dziennikarz, Quinn. Siódme pióro Brytani, jeśli chodzi o reportaż kryminalny. - Jego uśmiech przygasł. - Ja wcale nie żartuję. Wiem, że lubi pan zagadki kryminalne. Niech pan da nam znać, kiedy i tę pan rozwiąże.

Kiedy się ocknął, obolały i sztywny, oboje byli już na zewnątrz, za drzwiami baru. Górskie słońce prażyło niemiłosiernie. Czoło dziewczyny krwawiło, ale niezbyt mocno. Potrząsała Davidem, by oprzytomniał.

Jakiś cień przesłonił słońce. Barman. Przystanął, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Współczucie mieszało się na jego twarzy z lękiem.

- Amy. Miguel... Mogę go zatrzymać w środku, ale wy musicie odejść - powiedział po angielsku. - Odejść natychmiast.

Skinęła głową.

- Wiem.

Znowu złapała Davida za rękę, tym razem po to, żeby pomóc mu wstać. Czuł każdy mięsień i każdą kość twarzy - bolało. Ale nie sprzedał tanio skóry. Na palcach miał zakrzepłą krew; próbował obronić siebie i dziewczynę.

- Wariactwo - powiedziała, kręcąc głową. - To znaczy, dziękuję, że to zrobiłeś. Ale jednak wariactwo.

- Przykro mi. - David był kompletnie rozkojarzony. Za uważał jednak, że jest Brytyjką. - Najpierw ty próbowałaś mnie ratować. Ale ja... ja nie rozumiem. Co tam właściwie zaszło?

- To był Miguel.

Tyle sam już wiedział. Dziewczyna ciągnęła go w głąb cichej uliczki; mijali małe restauracyjki zapraszające na *ra-ciones* i *gorrin* oraz milczące kamienne domy z wieżyczkami.

David przyglądał się swojej wybawicielce. Miała dwadzieścia siedem, może dwadzieścia osiem lat i urodziwą -

choć w tej chwili zastygła w wyrazie determinacji - twarz, nawet mimo siniaka i plamy z krwi. Była stanowcza.

- Chodź. Szybciej. Gdzie twój samochód? Ja przyjechałam autobusem. Musimy się stąd wynieść, zanim naprawdę się wścieknie. To dlatego próbowałam cię wyciągnąć...

- To znaczy, że on jeszcze nie był wściekły?

Potrząsnęła głową.

- To jeszcze nic.

- Słucham?

- Nigdy nie słyszałeś o Miguelu? O *Otsoko*?

- Nie.

- *Otsoko* to po baskijsku wilk. To jego pseudonim.

WETA.

Nie chciał czekać na dalsze wyjaśnienia. Puścili się biegiem do samochodu i wskoczyli do środka. David spojrzął na Amy.

- Ale dokąd mamy uciec?

- Byle dalej od Lesaki; do którejś z wiosek. Jedź tędy... do Elizondo. Tam mieszkam.

David odpalił silnik. Gdy tylko ruszyli w stronę rogatek, Amy dodała:

- Tam będziemy bezpieczni. - Spojrzała na niego. - I ja koś cię doprowadzimy do porządku. Fatalnie wyglądasz.

- A ty nie?

Uśmiechnęła się przelotnie.

- Dzięki. Jedź tędy.

David szarpnął kierownicą, rozmyślając nerwowo o Miguelu zwanym Wilkiem. Wydawało się, że barman i pozostali jakoś zdołali powstrzymać go przed kolejnym aktem przemocy, ale przecież w każdej chwili mógł zmienić zdanie.

Wilk?

David pędził jak szalony i już po chwili minęli ostatni posterunek hiszpańskiej policji i ostatni z kamiennych domów. Panikował, bo to wszystko nie trzymało się kupy. Co się wydarzyło w barze? Kim jest Miguel? Kim jest ta dziewczyna?

Po raz drugi uświadomił sobie, że mówi po hiszpańsku z brytyjskim akcentem. Co tu robi?

Gnali wąską szosą przez las. David czuł, że musi pytać, bo z własnej woli dziewczyna nie wyjawia mu zbyt wiele. Wiedział nawet, od czego zacząć. Gdy się odwróciła, nasłu-

chując, plamy światła i cienia skutecznie maskowały siniaki na jej twarzy. Pierwsze pytanie było najbardziej oczywiste:

- Jak rozumiem, jedziemy prosto na policję, czy tak?

Opowiemy, co się zdarzyło.

Zdumiał się, widząc, że pokręciła głową.

- Nie. Nie, nie możemy... Po prostu nie możemy. Przykro mi, ale ja pracuję wśród tych ludzi, mieszkam między nimi, ufają mi. To terytorium ETA, a policjanci to Hiszpanie. Nikt tu nie chodzi na policję.

- Ale...

- Zresztą co bym im powiedziała? - Błękitne oczy Amy zapłonęły. - No co? Że facet w barze mnie uderzył? Zapytaj o jego nazwisko. Musiałabym powiedzieć, że to Wilk. I w tym momencie zdradziłabym bohatera organizacji ETA, słynnego bojownika. Nie chciałabym popsuć miejscowych statystyk długowieczności - dodała bez cienia uśmiechu. - Nie tu, w sercu Euskadi.

David wolno skinął głową, akceptując to wyjaśnienie. Tyle że odpowiedź Amy zrodziła nowe pytania: Pracowała wśród tych ludzi? Jak? Gdzie? I dlaczego?

Znowu zapytał wprost, tym razem o jej życiową sytuację. Odwróciła się i zapatrzyła na pola w łagodnych odcieniach zieleni.

- Akurat teraz musisz to wiedzieć?

- Mam w zanadru mnóstwo pytań. Dlaczego nie teraz?

- Zgoda - odrzekła po chwili milczenia. - W końcu próbowałeś ratować mi życie. Może i zasługujesz na to, żeby wiedzieć.

Gdy odpowiadała, na jej twarzy malowała się jeszcze większa determinacja.

Nazywała się Amy Myerson. Była Żydówką, lat dwadzieścia osiem, z Londynu, gdzie studiowała języki obce. Pracowała na uniwersytecie w San Sebastian, ucząc baskijskie dzieciaki literatury angielskiej. Do Kraju Basków dotarła po paru latach wędrówek z plecakiem. „Wiesz, chyba przesadziłam z haszyszem w Maroku”. - Nie odwzajemniła jego uśmiechu. Zamiast tego dodała: - I w końcu znalazłam się tu, w Pays Basque, wśród lasów i stalowni. - Przednia szyba wozu jarzyła się plamami słonecznego światła, które przedzierało się przez korony drzew. - Szybko zaangażowałam

się w ruch niepodległościowy. Poznałam paru ludzi z Herri Batasuna, politycznego skrzydła ETA. Choć oczywiście nie popieram przemocy... Ale wierzę w słuszość ich celu. W wolność Basków. - Znow wpatrywała się w krajobraz za szybą. - Bo dlaczego nie mieliby być wolni? Baskowie żyją tu dłużej niż ktokolwiek inny; może nawet trzydzieści tysięcy lat. Zagubieni w cichych dolinach Nawarry...

Wjechali na szosę Bidasoa; co chwilę mijały ich wielkie ciężarówki z cementem.

- Skreć w prawo - poleciała Amy.

David skinął głową; wciąż czuł pulsujący ból wargi. Bolała go także żuchwa od uderzenia kolbą pistoletu, ale był pewny, że kość nie jest złamana. Całe życie sam musiał o siebie dbać i z biegiem lat stał się ekspertem od kondycji własnego ciała. Wiedział, że nic mu nie grozi. Ale co z nią?

Amy spoglądała na niego.

- To tyle, jeśli chodzi o moją autobiografię. Żaden best seller. A ty? Opowiedz mi o sobie.

Uczciwie stawiała sprawę. I zasługiwała na to, by wiedzieć.

W krótkich słowach nakreślił dziwaczną sytuację, w jakiej się znalazł: opowiedział o rodzicach, życzeniu dziadka, o mapie i o kościołach. Błękitne oczy Amy Myerson otwierały się z każdym słowem coraz szerzej.

- Dwa miliony dolarów?

- Dwa miliony dolarów.

- Chryste. Szkoda, że mnie nikt nie zostawił dwóch pieprzonych milionów! - Nagłym ruchem zasłoniła dłonią równe, białe zęby. - Mój Boże. Przecież jesteś w żałobie. To była najgłupsza uwaga pod słońcem. Przepraszam. Tylko że ten poranek...

- W porządku, rozumiem. - David naprawdę nie miał jej za złe. Ocaliła go przed srogim laniem - jeśli nie gorzej! - tak samo jak on ocalił ją. Jeszcze pamiętał nienawistne, ciemne oczy Miguela.

- Skreć tu w lewo.

David posłusznie zjechał z głównej szosy na znacznie spokojniejszą drogę. Przed nimi rozciągała się wspaniała panorama rozległej doliny, okolonej mglistym błękitem gór-

skich szczytów. Najwyższe partie gór były z lekka naznaczone białymi plamami śniegu.

- Dolina Baztan - powiedziała Amy. - Piękna, prawda?

Miała rację, była oszałamiająca. David chłonał uspokajający pejzaż: było stojące po kolana w złotym nurcie rzeki i senną puszcę ciągnącą się aż po błękitną smugę horyzontu.

Po dziesięciu minutach delektowania się krajobrazem pirenejskiej głuszy minęli warsztat naprawy ciągników i *supermercado* Lidl, by wjechać do niewielkiego miasteczka pełnego eleganckich placów i małych piekarń. Przez ogrody przy starych domach z piaskowca płynęły górskie strumyki. Elizondo.

Amy mieszkała na nowoczesnym osiedlu przy głównej ulicy. Otworzyła drzwi i razem weszli do środka. Z wysokich okien mieszkania rozciągał się wspaniały widok na dolinę i wznoszące się nad nią Pireneje. Na zboczach lśniły połacie lodu, a powyżej błękitnawe szczyty wychylały się z wianków mgły. Wyglądały jak rząd mafiosów u fryzjera, każdy z białą chustą pod szyją.

Jak rząd zabójców.

Słuchając krzątania Amy w kuchni, David pomyślał o Miguelu. *Otsoko*. Wilk. Niezwykle silne mięśnie, wysoka, mroczna postać, głęboko osadzone oczy. Wolał o tym nie myśleć. Rozejrzył się po mieszkaniu. Na ścianach było niewiele ozdób, za to sporo półek pełnych literatury dużego kalibru: Yeatsa, Hemingwaya, Orwella. Potężne dzieło zatytułowane *Poezja przemocy*.

Czego właściwie uczyła te dzieciaki na uniwersytecie w San Sebastian?

Odwrócił się. Weszła do pokoju, niosąc papierowe ręczniki, kilka kawałków flaneli i krem odkażający oraz plastikową miskę z gorącą wodą. Uklękli na nagich, drewnianych deskach, by wzajemnie opatrzeć sobie rany. Delikatnie obmyła mu usta; na szmatce natychmiast pojawiły się czerwone i brązowe plamy krwi.

- Au - jęknął.

- Niczego ci nie połamał - odrzekła. - Dzielny z ciebie żołnierz.

Zbył machnięciem ręki ten absurdalny komplement. Po-

chyliła się nad miską i po chwili na wodzie rozkwitła kar-mazynowa plama.

- Moglibyśmy pójść do lekarza - odezwała się po chwili. - Ale to mogłoby oznaczać ze sześć godzin czekania na szwy. Nie widzę sensu, a ty?

Skinął głową. Patrzyła na niego z powagą, ale także jakby z pewną obojętnością i rezerwą. Domyślał się, że o wielu sprawach jeszcze mu nie powiedziała, ale z drugiej strony - przecież do tej pory nie zadał jej najistotniejszego pytania: Dlaczego Miguel ją zaatakował? Dlaczego zrobił to bez namysłu i z taką nienawiścią.

- Już dobrze, Amy; pozwól, że teraz ja ci pomogę. - Sięgnął po czystą szmatkę i zmoczył ją w gorącej wodzie.

Dziewczyna zamknęła oczy i nadstawiła twarz, a on zaczął delikatnie ścierać krew z linii jej włosów. Poczowała szczypanie, gdy woda wniknęła do rany - skrzywiła się, ale nic nie powiedziała. David uznał, że czas na kolejne pytania.

- Chciałbym się czegoś dowiedzieć na temat tego, co zaszło w barze.

- Tak?

- Chodzi o to, że nie rozumiem, bo... nie tylko Miguel był agresywny, ale i wszyscy pozostali goście. Co ja takiego zrobiłem? Jak to możliwe, że wkurzyłem tylu ludzi paroma prostymi pytaniami?

Amy wciąż siedziała z pochyloną głową, pozwalając, by obmył jej czoło. Pomilczała jeszcze chwilę, zanim odpowiedziała:

- Sprawa wygląda tak. Lesaka jest jednym z najbardziej nacjonalistycznie nastawionych miast w Kraju Basków. I niezwykle dumnym.

David skinął głową, sięgając po papierowy ręcznik, by osuszyć głębokie, ale już niekrwawiące zadrapanie.

- Mów dalej.

- Działa tam ETA. Terrorysty. Kumple Miguela. - Zmarszczyła brwi. - Kilka tygodni temu zabili paru ludzi z Guardia Civil. Konkretnie pięciu; to był straszny atak bombowy w San Sebastian. Wkrótce potem hiszpańska policja zastrzeliła czterech działaczy ETA. Madryt twierdzi, że oni także planowali zamach. Baskowie odpowiadają, że był to odwet, dokonany z zimną krwią.

- Aha.

- To dlatego wszędzie jest pełno policjantów. Panuje spore napięcie. Hiszpańscy gliniarze bywają niesamowicie brutalni wobec ETA. To spirala zła.

David cofnął się nieco, by obejrzeć swoje dzieło. Rana wyglądała nieźle; dziewczynie nic nie groziło, podobnie jak jemu. Zauważył jednak coś dziwnego. Gdy zmywał krew z czoła Amy, spostrzegł bliznę. Dziwny, skomplikowany ślad łukowatych nacięć, głębokich, ale i tworzących ozdobny wzór, ukryty pod jasnymi włosami.

Nie skomentował tego.

Zabieg dobiegł końca i dziewczyna usiadła wygodniej. Skrzyżowała nogi w dżinsach i sportowych butach, a dłonie położyła płasko na deskach podłogi.

- Chciałbyś wiedzieć, jaki jeszcze błąd popełniłeś?

- Tak.

- Zatem po kolei. Na początek oskarżyłeś bywalców baru o prowadzenie rozmowy po hiszpańsku w kraju, w którym mówi się po baskijski. Poza tym zrobiłeś to w nieodpowiednim momencie. Mówiłam już o napiętej sytuacji.

- Jasne. Co dalej?

- No właśnie. Jest coś jeszcze.

- Co takiego?

- Wspomniałeś o Jose Garovillu. Właśnie wtedy uznałam, że najwyższy czas jakoś ci pomóc. Powiedziałam im, że cię znam, że jesteś cholernym idiotą i że powinni się nad tobą litować...

- O, dzięki.

- Musiałam to zrobić. Wiedziałam, że paplając o Jose, sprowadzasz na siebie poważne kłopoty.

- Kim on właściwie jest?

Odwróciła głowę i zapatrzyła się w mętłą wodę w misce.

- Naprawdę nie wiesz?

David czuł się coraz głupszy i coraz bardziej sfrustrowany.

- Jose Garovillo jest dziś bardzo stary - wyjaśniła - ale jego wielka sława w tych stronach nadal trwa.

- Chcesz powiedzieć, że go znasz? I że możesz mi pomóc go odnaleźć?

- Znam go dobrze. Jeszcze dziś mogę wysłać do niego e-mail i zawiadomić go, że jesteś tutaj... Jeśli chcesz.

- Ależ... Świetnie! Wspaniale!
- Zaczekaj. - Amy nie odwzajemniała jego entuzjazmu. Uniosła rękę, żeby go uciszyć. - Posłuchaj. Bardzo wielu ludzi w tej okolicy zna Garovilla. Jest ikoną kultury; jednym z intelektualistów, którzy swego czasu pomogli ożywić język i kulturę Basków. To było w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Był wtedy także członkiem ETA.
- Naprawdę jest sławny? Przecież szukałem informacji o nim w sieci! Nic nie znalazłem.
- Jest sławny tylko wśród Basków. W ETA nazywali go po prostu Jose. Nikt nigdy nie zapisał jego nazwiska... Ludzie z ETA cenią sobie dyskrecję. Jako baskijski radykał, Garovillo był w czasie wojny internowany przez Niemców. W Ipparalde.
- Słucham?
- Odwróciła się i drobną, białą dłonią wskazała na okno.
- Tam. Za granicą. Za górami. We francuskim Kraju Basków. W 1970 został z kolei aresztowany i był torturowany przez ludzi Franco, a następnie przez socjalistów. Przed laty lubił wpaść na drinka do baru Bilbo. Naprawdę jest sławny... a może raczej niesławny - dodała z powagą. - Między innymi z powodu swego syna...
- Jak to?
- Jego syn ma na imię Miguel.
- Ten facet, który nas zaatakował...
- To syn Jose. Wilk jest synem Jose Garovilla.

David wynajął pokój na przedmieściu Elizondo, żeby poczekać na odpowiedź na wiadomość, którą Amy wysłała do Jose. Hotel Gernika nie wyróżniał się niczym szczególnym — oferował niewielki basen, skromny bar śniadaniowy oraz towarzystwo rzeszy pomarszczonych Francuzów w niepokojąco obcisłych spodenkach z lycry, uczestników wycieczki rowerowej. David nie miał nic przeciwko temu wszystkiemu.

Teraz, gdy miał górę pieniędzy, do której posiadania jeszcze się nie przyzwyczał, mógł zatrzymać się nawet w najlepszym hotelu w Nawarze, ale to nie wydawało mu się słuszne. Nie chciał się rzucać w oczy. Wolał pozostać anonimowy, niezauważony; być jednym z wielu turystów nocujących w miłym, ale przeciętnym hotelu. Zabrał więc torby z samochodu, zameldował się i spędził resztę dnia, gapiąc się z niewielkiego balkoniku na szczyty i kotły gór lśniące dostojnie w oddali.

Był to upalny dzień, pełen kurzu. Wieczorem David postanowił popływać. Zszedł do hotelowych ogrodów, rozebrał się do szortów i zanurkował w zachęcająco błękitnej toni basenu. Wynurzył się w lekkim szoku, woda bowiem była lodowata — czerpano ją wprost z górskiego strumienia.

Czuł mrowienie na całym ciele i mocne bicie serca. Przyszło mu do głowy, że to doskonała metafora sytuacji, w której się znalazł. Trzy tygodnie wcześniej był znudzonym, apatycznym pracownikiem biura, czytającym darmowe gazety w pociągu wiozącym go do pracy, w której pił kawę z automatu i regularnie oddawał się nic nieznaczącym zajęciom. A gdy tylko przybył do Kraju Basków, natychmiast zanurzył się w nim całkowicie; wskoczył w sam środek jego tajem-

niczości, osobliwości i brutalności - a jednak wszystko to odbierał pozytywnie. To był szok, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Bolesny, ale ożywczy. Jak nurkowanie w basenie pełnym zimnej górskiej wody. Mrowienie na całym ciele.

Ja żyję, pomyślał.

Następnego dnia zadzwoniła Amy. Miała pewien pomysł. Doszła do wniosku, że być może łatwiej byłoby mu rozwikłać zagadkę, gdyby w prasie pojawił się artykuł na ten temat. Znała miejscową dziennikarkę, która była gotowa napisać stosowny tekst - im więcej ludzi pozna nurtujące Davida pytania, argumentowała, tym większe szansę na to, że uda się znaleźć odpowiedzi.

David zgodził się prawie bez oporu.

Spotkali się w urządzonym na biało mieszkaniu Żary Garcii, młodej, ciemnowłosej dziennikarki, która na oczekaniu wystukała tekst na swym laptopie. Półtora dnia później artykuł ukazał się w hiszpańskiej gazecie i niemal natychmiast został przetłumaczony i opublikowany przez kilka angielskojęzycznych serwisów informacyjnych.

Czytając wydrukowany już tekst — na własnym komputerze, siedząc z Amy w kawiarni z bezprzewodowym dostępem do Internetu, opodal głównego placu Elizondo - David czuł niepokój, ale i podniecenie. Tytuł artykułu brzmiał: *Dziwaczny testament i baskijska zagadka warta miliony dolarów.*

Załączona fotografia przedstawiała Davida z mapą w dłoni; gazeta podała nawet adres e-mailowy, pod którym czytelnicy mogli skontaktować się z Davidem, gdyby chcieli mu jakoś pomóc.

Dziennikarka pominęła jednak wątek Jose Garovilla; jak wyjaśniła, w obecnym klimacie politycznym mogłoby to zostać odczytane jako prowokacja. Czytając artykuł, David doszedł do wniosku, że była to słuszna decyzja. Nawet te fakty, które ujawniał tekst, wystarczająco go narażały. Bo co by się stało, gdyby Miguel zajrzał do tej gazety?

David zamknął laptopa i popatrzył na Amy, ubraną we fioletową dżinsową kurtkę i eleganckie, wąziutkie dżinsy. Odpowiedziała mu milczącym spojrzeniem błękitnych oczu. Poczuł nagle, jak bardzo niezwykła jest cała ta sytuacja; jak nagły, zimny dreszcz w upalny dzień. W pewnym sensie byli

już przyjaciółmi: zbliżyła ich, wbrew ich woli, pełna grozy scena w barze. Z drugiej jednak strony, wcale przyjaciółmi nie byli - tak mało o sobie wiedzieli. Dysonans, pomyślał David.

A może po prostu irytował go gwar lokalu? I tak dobrze słyszalne hałasy i śmiechy dzieciaków grających w *pilota*, osobliwy baskijski sport, na pobliskim placu? Coraz trudniej było mu znieść te wszystkie dźwięki. Amy spojrzała na niego badawczo.

- Może pójdziemy gdzie indziej?

- Jeśli masz czas.

- Mam wakacje. Poza tym chętnie ci pomogę, skoro moi studenci i tak się rozjechali, żeby postrzelać do policji. - Uśmiechnęła się, widząc zaniepokojenie Davida. - Hej, to tylko żart. Dokąd się wybierzemy?

- Chciałbym poszukać tych kościołów. Tych z mojej mapy...

- Dobra.

- Ale najpierw... Chętnie pójde gdzieś, gdzie można się napić. - Przez długą chwilę przyglądał się Amy, zanim zdobył się na wyznanie: wciąż jeszcze był zdenerwowany i wystraszony po ataku Miguela.

- Chodźmy więc na kielicha. Pogadamy - odpowiedziała.

Po kilku minutach jazdy znaleźli się w zacisznej wiosce. Napis na tabliczce brzmiał „Irurita”. Przed kawiarniami drzemali starcy w beretach. David i Amy zostawili samochód przy kościele, poszli pieszo do jednej z kafejek i usiedli na zewnątrz, pod parasolem. Słońce przygrzewało, ale górskie powietrze było rześkie. Amy zamówiła oliwki i butelkę miejscowego białego wina, które nazwała *txakolin*. Kelnerka obsłużyła ich szybko i dygnęła zgrabnie.

- Nie zadałeś mi jeszcze najbardziej oczywistego pytania - odezwała się Amy.

Zaprzeczył. Popatrzyła na niego z powagą.

- A przecież powinienś wiedzieć... jeśli mam cię przedstawić Jose.

Dopił chłodne wino i skinął głową.

- W porządku, skoro nalegasz. Dlaczego Miguel cię zaatakował? Pojawił się znikąd i napadł na ciebie. Dlaczego?

- Nienawidzi mnie - odrzekła gładko.

- Za co?

Złożyła dłonie jak do modlitwy.

- Kiedy po raz pierwszy tutaj przyjechałam, byłam, jak już mówiłam, bardzo zainteresowana ETA. Sprawą walki o niepodległość. Sądziłam, że to szczytny cel przyświecający starożytnemu ludowi. Przez jakiś czas sympatyzowałam nawet z terrorystami. Przez kilka miesięcy.

- I...

- I wtedy poznałam Jose. Wielkiego Jose Garovilla. Zo staliśmy dobrymi przyjaciółmi; pokazał mi, gdzie można kupić najlepsze małe kanapeczki *pintxos* w Bizkai. O wszystkim mi opowiedział. Także o tym, że wyrzekł się przemocy po upadku Franco. Mówił, że terroryzm to ślepy zaułek dla Basków żyjących w demokratycznej Hiszpanii.

- Ale jego syn...

- Był innego zdania. To jasne. - Spojrzała Davidowi w oczy. - To Jose załatwił mi pracę wykładowcy literatury angielskiej na uniwersytecie. Widzisz, tak się składa, że wielu młodych ludzi, którzy pojawiają się na moich wykładach, pochodzi z bardzo radykalnych środowisk, z zaułków Vitorii i Bilbao. Są gotowi umrzeć za ETA. Dziewczyny są jeszcze bardziej zaciekle niż chłopcy. Zabójczynie w mini spódniczkach.

Wargi Amy były różowe i wilgotne od wina.

- Uważam, że to moja misja: spróbować odciągnąć ich od ETA, od przemocy, od samoniszczącej siły terroryzmu. Uczę więc o literaturze rewolucji: o pracach Orwella na temat wojny domowej w Hiszpanii, o irlandzkim powstaniu w poezji Yeatsa. Staram się uzmysłowić im i tragiczną, i romantyczną stronę brutalnej walki narodowościowej.

- I dlatego Miguel cię nienawidzi? Uważa, że pracujesz przeciwko ETA?

- Tak. Wiem, że przez jakiś czas przebywał za granicą, ale potem usłyszałam gdzieś, że wrócił. Mimo to sądziłam, że w Bilbo mogę bezpiecznie spotkać się z przyjaciółmi. Ale on musiał już tam być. Siedział pewnie w którymś z pokojów na tyłach, z towarzyszami z ETA...

- I wtedy usłyszał kłótnię.

- Tak. Wyszedł. Zobaczył mnie. Z tobą. - Skrzywiła się. - I zrobił to, co lubi najbardziej.

Słowa Amy wyjaśniały wiele, choć nie wszystko. David

miał wrażenie, że coś nie zostało dopowiedziane; że jakaś część obrazu pozostaje nieostra. Ale czego mogła mu nie powiedzieć? I co oznacza ta blizna na głowie?

Przestał się zastanawiać, gdy kelnerka postawiła na stoliku porcję oliwek.

- *Gracias* - powiedział.

Dziewczyna skinęła głową i odpowiedziała „*Ez horre-gatik*” z mocno gardłowym, hiszpańskim akcentem. Zaraz potem pomachała koleżance spacerującej po brukowanym placu i wróciła za bar.

- Wiesz, co jest zabawne? - odezwał się, obracając się ku Amy. - Ani razu jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tu mówił po baskijsku.

- Słucham?

- Spędziłem dwa dni w Kraju Basków, widziałem wszędzie baskijskie napisy, ale nie słyszałem, żeby ktoś używał tego języka.

Spojrzała na niego spod blond grzywki jak na kretyna.

- Przecież ta dziewczyna właśnie mówiła po baskijsku.

- Naprawdę?

- Tak. - Amy zdjęła kurtkę. Gdy sięgała po wino, David zauważył na jej opalonych ramionach drobniutki, złote włoski. - I wszyscy ci faceci w Lesace - dodała, przechylając kieliszek. - Wszyscy, co do jednego, mówili po baskijsku. I dlatego tak się wściekli, kiedy odezwałeś się po hiszpańsku.

David nadstawił ucha, próbując wyłowić jakieś słowa kelnerki. *Es oregatik*.

Amy miała rację. To musiał być baskijski. A przecież brzmiało to tak, jakby wszyscy tu używali dziwacznej odmiany hiszpańskiego. Słuchałem tego od samego początku i nie załapałem, pomyślał.

- Nie przejmuj się. Ja też potrzebowałam trochę czasu, żeby się zorientować, że ludzie mówią tu po baskijsku. Gdy przyjechałam, zdawało mi się, że to tylko hiszpański z przeraźliwie mocnym akcentem - wyjaśniła, spoglądając ponad ramieniem Davida na białe mury kościoła. — To chyba dlatego, że baskijski jest aż tak dziwny. Ucho i umysł nie dowierzają temu, co słyszą.

- Zdążyłaś się już nauczyć?

- Oczywiście próbowałam! Ale to niemożliwe. Dziwaczny szyk, trudna składnia. - Amy zadarła nieco podbródek. - Podam ci przykład. Jak brzmi pierwsze zdanie, którego uczysz się w nowym języku?

- „Czy mówi pani po angielsku?”
- Geniusz kabaretu. Próbuje dalej.
- „Poproszę piwo”?
- Właśnie. *Une biere sil vousplait. Ein Bier bitte.*
- A jak powiesz to samo po baskijsku?

Amy spojrzała mu w oczy.

- *Garagardoa nahi nuke.*

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, ciesząc się słońcem i własnym towarzystwem. Wreszcie podmuch wiatru zmarszczył czaszę parasola. David spojrzał w lewo. Obłoki na zachodzie nabierały prędkości, spychane znacznie grubszą warstwą chmur zstępującą z najbliższego pirenejskiego szczytu, niczym biały kożuch opadający z ramion.

- No dobrze - odezwał się David. - A skąd mamy pewność, że Miguel nie pojawi się tutaj i nie będzie próbował cię skrzywdzić? Właściwie to nie rozumiem, dlaczego jesteś spokojna. A przynajmniej w miarę spokojna.

- Był pijany. Wcześniej uderzył mnie tylko raz.
- Zrobił to już kiedyś?

Zarumieniła się i szybko dodała:

- Zwykle przebywa w Bilbao i w Bayonne, z innymi przywódcami ETA. Rzadko przyjeżdża do Nawarry, bo nie chce, żeby go ktoś wydał. Po prostu mieliśmy wielkiego pecha. Zresztą i tak nie pozwoliłabym, żeby ten łajdak mnie stąd przepędził.

Ostatnie słowa były pełne buntu: Amy zadarła nos, a w szeroko otwartych oczach lśnił gniew.

David wyczuwał, że mówiła z wielkim przekonaniem, lecz mimo to był niespokojny i spięty. Siedzieli, wdychając ciepły, jesienny wiatr. I nic nie robili.

- Ruszajmy - powiedział. - Obejrzymy sobie te kościoły z mojej mapy.

Amy skinęła głową i wstała. Gdy wsiadali do samochodu, pierwsze krople deszczu zabębniły o szybę.

- Jak szybko zmienia się pogoda. Taka jest tu jesień. Werbel deszczu bębnił w dach wozu, gdy David wyciągał

ze schowka cenny dokument. Ostrożnie rozłożył przed Amy mapę, która przywiodła go tu z drugiego końca świata.

Gdy wskazywała palcem na atramentowe gwiazdki, zauważył, że ma obgryzione paznokcie.

- Tutaj. Arizkun.

- Znasz to miejsce?

- Słyszałam o nim. To jedna z najbardziej tradycyjnych wiosek baskijskich. Wysoko w górach - wyjaśniła, patrząc na Davida. - Pokażę ci drogę.

David wycofał wóz i podążył za wskazówkami Amy: ku granicy z Francją i posępnym górcom. W stronę Ziemi Po Drugiej Stronie.

Im wyżej wjeżdżali, tym mniej napotykali osad. Strzępy mgły unosiły się nad mocno nachylonymi polami, ulotne i melancholijne niczym zszargane proporce odchodzącej armii duchów.

- Jesteśmy blisko granicy - stwierdziła Amy. - Kiedyś kryli się w tych okolicach przemytnicy. I buntownicy. Czarnowice. Terrorysty.

- Którędy teraz?

- Tam.

Wskazała na wąską i krętą boczną drogę. Stojący przed nią znak był ledwie widoczny we mgle.

Szosa do Arizkun była najwęższa ze wszystkich, jakimi się dotychczas poruszali: skalne zwisy pochylały się nad nią niczym siłacze próbujący zastraszyć nadjeżdżających słabeuszy. W dali, na zachodzie, piętrzyły się kolejne szczyty górskie.

- W bezchmurny dzień widać stąd Francję - powiedziała Amy.

- W tej chwili ledwie widzę tę cholerną drogę.

Po pewnym czasie wjechali na mały placyk pośrodku wioski. Tutaj, podobnie jak w innych baskijskich wioskach, było boisko do *piloty*, a dokoła stały rzędami stare kamienne domy. Jedyną większą rezydencję zdobił rzeźbiony herb przedstawiający wiwerę - mitycznego smoka o zwiniętym, długim ogonie i ostrych szponach.

Wioska była zupełnie pusta. Zaparkowali pod murem rezydencji, pokrytym napisami wychwalającymi ETA.

Euskal Presoak, Euskal Herrira.

Pod tym hasłem widniało słowo, jeszcze większe, zapisane tradycyjnym, bardzo starym pismem Basków, ale całkiem czytelne.

Otsoko.

Tuż obok narysowano profil wilczego łba.

Wilk.

Amy przystanąła obok Davida, przyglądając się malowidłom.

- Niektóre z baskijskich dzieciaków go uwielbiają- powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo jest tak absolutnie bezlitosny. Zabójca doskonały. Przybywa i znika. Jest nieuchwytny. - Drżała na całym ciele. - Podziwiają okrucieństwo - dodała. - Co oczywiście.

- To znaczy, że Miguel... jest wyjątkowo okrutny?

- Ekstacycznie. Poetycko. Zachłannie okrutny. Hiszpanie torturują baskijskich radykałów, a on odpłaca im tym samym. Policjanci boją się go kurewsko. Nawet antyterrorysty.

Amy pochyliła się nieco w stronę graffiti.

- Jakiego rodzaju tortury masz na myśli? - spytał David. Na jednym z kosmyków jej jasnych włosów załśniła kropla deszczu.

- Pogrzebał jednego z gwardzistów w wapnie.

- Żeby zniszczyć dowody?

- Nie, nie, nie. Miguel pogrzebał go żywcem w wapnie niegaszonym. Zanurzył aż po szyję. Krótko mówiąc, rozpuścił go. Żywcem.

Nagle ruszyła przed siebie. David dogonił ją truchtem i razem zeszli mokrą, kamienistą ścieżką pomiędzy dwoma starymi domami. Rozglądał się uważnie na boki. Drewniane drzwi ozdobione były brązowymi kolczastymi słonecznikami przybitymi wprost do desek. Niektóre z przydrożnych ostów powiązано tak, że przypominały manekiny o ludzkich kształtach.

Cisza panująca w wiosce wyprowadzała Davida z równowagi. Słyszeć było tylko echo ich kroków we mgle.

- Gdzie, u diabła, są wszyscy?

- Zabici. Umarli. W Ameryce.

Dotarli do końca ścieżki. Tu nie było już domów; otaczały

ich skały i gęste zarośla. Gdzieś tam, za mgłą, były Francja, ocean, miasta, pociągi i lotniska.

Gdzieś tam.

Nagle w тумanie zamajaczyła sylweta świątyni. Bardzo stary budynek z szarego kamienia przycupnął nad wąwozem pełnym mgły. Okna były wąskie, a otoczenie nader surowe.

- Niezbyt przyjazne miejsce. To ma być kościół?

Amy pchnęła zardzewiałą żelazną bramę.

- Kościoły często bywają właśnie takie. Budowano je w miejscach, których znaczenie sięgało dawnych, pogańskich czasów. Być może ze względu na szczególną atmosferę.

David przystanął, zaskoczony. Wzdłuż ścieżki prowadzącej do świątyni ustawiono osobliwe kamienie - jakby koła balansujące na kwadratach. Wszystkie oznaczone symbolem *lauburu* - tajemniczą i eteryczną swastyką Basków. David nigdy wcześniej nie widział okrągłych nagrobków.

- Zajrzyjmy do środka - powiedział.

Podeszli śliską, brukowaną ścieżką do skromnych, poczerniałych ze starości drewnianych drzwi. Były zamknięte na klucz.

- Cholera.

Amy ruszyła w lewo, wzdłuż ściany świątyni, i po chwili zniknęła we mgle. David podążył za nią. Kawalek dalej ujrzał kolejne, jeszcze mniejsze drzwi. Amy nacisnęła zardzewiałą klamkę - otworzyły się. David poczuł wilgotny powiew: było nie tylko ciemnawo, ale i chłodno. Chciał wejść do środka.

Wnętrze kościoła okazało się równie niegościnne jak jego otoczenie. Wilgotne i ciemne pełne było niemalowanych, drewnianych ławek dla wiernych. W powietrzu unosiła się intensywna woń gnijącej w wazonach wody. Pięć witraży filtrowało i tak słabe światło mglistego dnia.

- Ciekawe - powiedziała Amy, wskazując na górę. Na jednym z witraży uwieczniono wielkiego byka, płonące drzewo i biały baskijski dom. - Baskowie są bardzo gorliwymi katolikami - dodała po chwili, wciąż wskazując na okno. - Ale aż do dziesiątego wieku byli poganami i zachowali wiele przedchrześcijańskich wizerunków. Oto przykład. Ten dom, tam - wskazała na środkowe okno - to *etxe*, dom rodzinny,

święty kamień węgielny tutejszej kultury pogańskiej. Dusze zmarłych Basków wracają ponoć podziemnymi drogami do domu Basków...

David wpatrywał się w witraż. Drzewo płonęło zimnym blaskiem podświetlonego szkła.

- A ta kobieta? W sąsiednim oknie.

- To Mari, pani wiem.

- Pani...

- Bogini wiem. Baskijskich wiem. „Nie istniejemy, ale istniejemy, w sile czternastu tysięcy”. Tak brzmiało ich sławne - albo niesławne - powiedzenie. „Nie istniejemy, ale istniejemy, w sile czternastu tysięcy”.

Jej słowa były widzialnymi zjawami w chłodnym powietrzu. David nie mógł dostrzec jej twarzy. Nagle zapragnął wyjść na zewnątrz; doprawdy nie wiedział, czego tu właściwie szuka. Ruszył w stronę drzwi i z ulgą opuścił kościół. Amy z uśmiechem podążyła za nim, ale zaraz skrzyła w lewo i znowu zniknęła za kurtyną mgły.

- Amy?

Cisza.

- Amy?!

Cisza.

- Tutaj jestem - odezwała się po chwili. - O co chodzi, Davidzie?

Zmrużył oczy i teraz dopiero ją zobaczył: niewyraźną postać na spowitym mgłą cmentarzu: kobietą, smukłą, nieuchwytną. Podeszedł do niej energicznym krokiem.

- Spójrz - powiedziała. - Kolejny cmentarz. Jakie za niedbane mogiły.

Miała rację. Stali na innym cmentarzu, oddzielonym od głównego dziedzińca niskim, kamiennym murkiem. I rzeczywiście był znacznie bardziej zaniedbany. Prymitywny posąg anioła leżał w mokrej trawie; w jego oku ktoś pogardliwie zgasił brązowego papierosa. Wokół figury stały okrągłe kamienie nagrobne.

Ich uwagę zwrócił jakiś dźwięk. David odwrócił się i zobaczył starą kobietę wylaniającą się z mgły. Miała śniadą twarz, długą, czarną spódnicę i poszarpany, niebieski sweter, na który wciągnęła T-shirt ozdobiony portretami

postaci z kreskówek Disneya - byli tam Wall-E, Król Lew i Pocahontas.

Starucha była chora: miała na szyi wole wielkości grejpfruta; wyglądała z nim jak zawodnik w pchnięciu kulą, gotów do oddania rzutu.

- *Ggghhhchchc* - rzuciła, wskazując na nich. Podskórny guz pulsował przy tym wściekle. Z twarzą wykrzywioną złością starucha przypominała obleśną, skrzeczącą ropuchę. - *Graktschakk* - odezwała się znowu, wskazując długim palcem najpierw na nich, a potem na zapomniany cementarz.

- Co? O co chodzi? - Davidowi waliło serce, a jedno cześnie miał świadomość, że to głupie. Przecież to tylko staruszka, biedna, zdeformowana staruszka. Lecz mimo to czuł strach; niemal namacalny, niewyjaśniony niepokój. Odwrócił się. - Amy, co ona mówi?

- To po baskijsku... Mówi „gównoludy” - odrzekła szepem dziewczyna, cofając się niezgrabnie.

- Słucham?

- Nazwała nas gównoludami. Nie mam pojęcia dlaczego. Kobieta wpatrywała się w nich hardo. Znowu zaskrzeczała - tym razem przypominało to śmiech.

- Amy, może zabierzemy się stąd w cholerę?

- Poproszę.

W pośpiechu ruszyli ścieżką. Gdy mijali kobietę, David starał się nie patrzeć w stronę ogromnego wola na jej szyi. Jednak ciekawość zwyciężyła. Gdy spojrzął na kobietę, wciąż wskazywała na nich palcem, jakby oskarżała, potępiała albo szydziła.

Prawie biegli. David pospiesznie wciskał mapę do kieszeni.

Uczucie ulgi, które ogarnęło ich, gdy dotarli do samochodu, było głębokie - i niedorzeczne zarazem. David zablokował drzwi, uruchomił silnik i wrzucił wsteczny bieg. Z rykiem silnika pomknęli po bruku, mijając podobiznę *Otsoko* wymalowaną na murze - wilczy łeb szczerzący kły w niemym uśmiechu.

Gdy wjechali na szczyt wzgórza, odezwał się telefon Amy - znowu byli w zasięgu sieci komórkowej.

- To Jose Garovillo. Jose.

- No i? - David był autentycznie podniecony; strach zniknął bez śladu. - Zdecydował się?
- Amy przez chwilę czytała wiadomość.
- Pisze, że jest gotów spotkać się z tobą. Jutro. - Pokręciła głową. - Ale jest coś jeszcze... Coś dziwnego.
- Co takiego?
- Twierdzi, że wie, kim jesteś.

Mały czteromiejscowy samolot mknął nad smagаныmi wiatrem polami Szetlandów, kierując się ku burzliwej, granatowej toni morza, widocznej w oddali.

- To tylko dwadzieścia minut lotu - oznajmił pilot, przekrzykując ryk silników. - Nad wybrzeżem może trochę rzucić.

Simon Quinn siedział wciśnięty w tylny fotel, obok Sandersona; z przodu, obok pilota, siedział Tomasky.

Akcja rozwijała się ze zdumiewającą szybkością. Ledwie poprzedniego popołudnia Simon - zajęty oglądaniem *Shre-ka* ze swoim synkiem Conorem - dowiedział się o kolejnym morderstwie, naiwvrażniejszym powiązany z zbrodnią przy

Primrose Hill. I oto był już w powietrzu nad bezludnymi, skąpanymi w słońcu klifami, a w uszach dźwięczały mu jeszcze słowa naczelnego z „Daily Telegraph”: „Znasz starą prawdę, Simon: morderstwo to kasa. Nasi czytelnicy chętnie to kupią. Leć, rozejrzyj się!”

Materiał bez wątpienia miał potencjał. Simon potrafił wyobrazić sobie nagłówki artykułów - i towarzyszące im zdjęcie autora, rzecz jasna. Ale w tej sprawie był też element zagadki. Powiedziano mu tylko tyle, że kolejną ofiarą, Julie Charpentier, również była starszą kobietą i również pochodziła z południa Francji. Ale najmocniej łączył ten przypadek z poprzednim - ku wyraźnej satysfakcji policjantów - fakt, iż i ta ofiara była przed śmiercią torturowana. Szczegóły owych tortur nie były Simonowi znane.

Gdy dowiedział się o nowym morderstwie, musiał błagać Sandersona, by zabrał go ze sobą; obiecał mu przy tym wyjątkowo pochlebny artykuł. W końcu inspektor ustąpił.

- Tylko niech pan przygotuje żołądek na mocne wraże-

nia. Przechowują ciało od paru dni, żebyśmy mogli je obejrzeć - powiedział z lekko złośliwym uśmiechem.

Samolot przemknął nad urwiskiem i szybował teraz nad otwartym morzem. Dziennikarz pochylił się i zapytał pilota:

- Jak tam jest?

- Słucham? - Pilot, Jimmy Nicolson, uniósł jedną ze słuchawek, by lepiej słyszeć. - Może pan powtórzyć?

- Jak się żyje na Foule?

Jimmy roześmiał się.

- Fula - powiedział. - Niech pan zapamięta, że Foula wymawia się „fula”, a nie „faule”.

- W porządku. Przepraszam.

- Nie ma sprawy - odparł wielkodusznie pilot. - Przy wykliśmy już do tego, że ludzie nic o nas nie wiedzą.

- To znaczy?

- Odkąd ewakuowano wszystkich z Saint Kilda, Foula jest najbardziej odległym z zamieszkanym miejsc w całej Wielkiej Brytanii.

Simon wyrzwał przez okno: spienione grzywy oceanicznych fal były ledwie białymi plamkami na bezkresnej pości wody. Przez kilka minut lecieli w milczeniu. Quinn czuł przykry ucisk w żołądku ale nie był pewny czy to nudności

wywołane dzikimi harcami samolotu, czy może niepokój przed wizytą na miejscu zbrodni. Jednocześnie był podniecony jak nastolatek. Nagłówki. Jego nagłówki.

- Tam - odezwał się Jimmy Nicolson. - Foula!

Na horyzoncie majaczyła nieduża, ale wyraźna plama: bezdrzewna, wysoka skała porośnięta trawą. Klify wydawały się tak gigantyczne, a wzniesienia tak strome, że trudno było uwierzyć, by komuś udało się tam choćby rozbić namiot, nie mówiąc o znalezieniu miejsca wystarczająco płaskiego, by wybudować dom. A przecież były tam domy: małe chaty przytulone do stoków.

Maszyna skrzyła, kierując się ku jednemu lądowisku na całej wyspie: łacie zielonego gruntu.

Sanderson parsknął śmiechem.

- To ma być lotnisko?

- Najbardziej płaska część wyspy. Nigdy nie było tu katastrofy. A nawet gdy ktoś przestrzeli, najwyżej wyląduje w morzu. - Pilot zachichotał. - Trzymajcie się, panowie.

Było to najbardziej strome podejście, jakiego Simon kiedykolwiek doświadczył: mknęli w dół, ku pasowi startowemu, jakby mieli go zaorać śmigłem. Nagle jednak Jimmy szarpnął drążkiem i nos samolotu zadarł się ku górze, a zaraz potem toczyli się już po pasie, by stanąć może dziesięć metrów od potężnych fal.

Tomasky zaczął bić brawo.

- Piękne lądowanie.

- Dziękuję - odparł Jimmy. - A oto i wdowa Holbourne.

I Hamish Leask.

Mieszkańcy wyspy - wszyscy rumiani - pokleпали Jimmy'ego po plecach na powitanie, po czym pomogli mu wynieść bagaże ze schowka w tylnej części kadłuba samolotu. Kilkoro z szacunkiem skinęło Sandersonowi głową. Wysoki, rudowłosy mężczyzna w policyjnym mundurze podszedł bliżej i przedstawił się funkcjonariuszom Scotland Yardu.

- Hamish Leask. Policja okręgowa.

Sanderson uśmiechnął się uprzejmie.

- Oczywiście. Rozmawialiśmy już. Witam pana. A to ten wolny strzelec, o którym wspominałem - dodał, wskazując na towarzysza podróży. - Simon Quinn. Pisze o... różnych sprawach dla „Telegraph”.

- Ach tak. Porządna gazeta. - Leask uściśnął dłoń Simona z miażdżącym zapalem.

Zanim dziennikarz zdążył odpowiedzieć, wtrącił się pilot.

- Okropna historia, Hamish. Okropna.

Leask skinął głową bez słowa, a potem znowu obrócił się ku gościom.

- No, panowie, bierzemy się od razu do rzeczy?

- Bardzo prosimy.

- Korzystałem z samochodu Jimmy'ego. Bardzo miło z jego strony. Tam zaparkowałem.

Pięciu mężczyzn pomaszerowało przez pustą łąkę ku niebieskiemu, niemiłosiernie zabłoconemu wozowi z napędem na cztery koła. W rangę roverze pachniało torfem, psami i owcami.

Minęli niewielką przystań. Na kamienistej plaży leżały na burtach małe drewniane łodzie, niczym pijacy, którzy przysnęli na parkowych ławkach. Największą ze wszystkich

jednostek był czerwony stalowy holownik, uniesiony nad lodowatą wodę na ogromnym haku dźwigu. Leask wyjaśnił:

- Trzeba go wyciągać z wody, bo sztorm by go roztrząsał.

- Ale... - zaczął Simon. - Ależ on jest z metalu.

Jimmy się roześmiał.

- Jeszcze pan nie widział sztormów na Foula.

Droga wiła się między łąkami, na których widać było ciemnobrązowe place - miejsca, w których brutalnie zerwano warstwę torfu. Owce pasły się spokojnie na łąkach porośniętych trawą.

Wreszcie za kolejnym zakrętem szosa zmieniła się w drogę gruntową, na której końcu stało kilka skromnych, białawych domków z widokiem na morze. Niektóre sprawiały wrażenie niezamieszkanych; z kominów innych sęczył się dym. Wszystkie jednak wyglądały tak, jakby przycupnęły na stoku ze strachu przed potężnym wichrem albo jak psy zbyt często maltretowane przez brutalnego właściciela.

Ścieżka do zagrody pani Charpentier - czyli miejsca zbrodni - była krótka i błotnista. Simon pogratulował sobie w duchu, że włożył buty trekkingowe.

- No dobra - zagaił miejscowy policjant. - Niczego nie ruszaliśmy, odkąd odkryto zwłoki.

- Wszystko jest dokładnie tak, jak było? - upewnił się Sanderson.

- I mało przyjemne. Lepiej się przygotujcie. Zwłoki znalazła przyjaciółka ofiary, Edith Tait. To także starsza pani; mieszka tam, za tym polem. Teraz pojechała na drugi koniec wyspy.

W północnym słońcu gospodarstwo wyglądało całkiem niewinnie. Pobielony, solidny dom. Ani śladu działań policji; tego rozgardiaszu, którego oczekiwał Simon.

Hamish spojrzął po twarzach gości i znieruchomiał w teatralnym geście.

- Wejdziemy?

Skinęli głowami. Gdy Hamish Leask pchnął drzwi, Simon omiótł pokój szybkim spojrzeniem. Skromne meble, portret królowej obok fotografii papieża. No i zwłoki leżące na podłodze obok kominka.

Staruszka miała na sobie coś w rodzaju podomki. Od pach w dół jej ciało było w doskonałym stanie, podobnie jak długie, siwe włosy. Miała ciemną cerę i białe stopy. Świadectwem jej strasznego losu były barki i twarz.

Twarz bowiem była w strzępach. Dosłownie: skrawki skóry zwisały z policzków i czoła; wargi zostały wycięte, ale trzymały się na ostatnich włóknach; rany miały jeszcze intensywnie różowy kolor. Język staruszki został rozpoło-wiony i wystawał z ust. Szyja była skąpana we krwi, a najdłuższa wstęga skóry zwisała nisko, aż do piersi. Lecz choć zadano ofierze tak barbarzyńskie rany, czytelny pozostał wyraz jej twarzy: potworny grymas bólu.

Simon poczuł, że robi mu się słabo: widok był bardziej odrażający, niż się tego spodziewał. Znacznie bardziej. Wiedział jednak, że musi zachować jasność umysłu i trafność osądu, wykonać swoją misję, nie zapominać, że jest rasowym dziennikarzem. Wyjął z kieszeni pióro - potrzebował dotyku czegoś materialnego, by się uspokoić.

Sanderson podszedł do ciała. Pochylił się, by obejrzeć obrażenia na szyi. Krew ściekła na pierś ofiary. Woń rozkładu była już bardzo dokuczliwa. Należało jak najszybciej usunąć zwłoki z domu.

- Hej, Tomasky, zobacz no.

Sierżant zbliżył się posłusznie. Simon zdławił w sobie odrazę i, nieproszony, uczynił to samo.

Sanderson gwizdnał nieomalże z uznaniem.

- Garota. Znowu robota fachowca.

Quinn śledził spojrzeniem ruch długopisu w ręku inspektora: na szyi istotnie widać było cienką linię. Krwi już nie było, sińce miały niezbyt intensywny kolor - to była szybka śmierć z rąk bezlitosnego zawodowca. Właśnie to miał na myśli inspektor. A z drugiej strony, ślady tortur sugerowały działanie kompletnego szaleńca.

Coś jeszcze przykuło uwagę Simona. Przyjrzał się uważniej stopom ofiary. Coś z nimi było nie tak. Coś było... absolutnie nie tak.

Nie wiedział tylko, czy powinien o tym wspomnieć.

Sanderson zdążył się już podnieść.

- Trzeba będzie dostarczyć ciało do Zakładu Medycyny Sądowej w Lerwick, prawda?

- Tak jest. Odleci jeszcze dziś po południu. I tak za dłu-
go tu leżało. Sądziłem jednak, że chciałby pan osobiście
obejrzeć miejsce zbrodni. W końcu to... niecodzienna sprawa.

- Coś zginęło z domu?

- Nie. Ani śladu włamania. Ale tutaj to nic nie znaczy:
ludzie i tak nie zamykają drzwi na klucz. Brak odcisków
palców. Właściwie... nic.

Policjant wzruszył ramionami, a Sanderson w roztar-
gnięciu skinął głową.

- Tak... Tak, dziękuję.

- O mój Boże - jęknął po polsku Tomasky. - Matko
święta. Ta twarz.

- Niczego sobie - podchwycił już przytomniej Sanderson.
Simon był wciąż przerażony, ale i zdziwiony tym, co
zauważył. Te stopy. W ogóle całe to dziwne morderstwo.
Zwrócił się do inspektora.

- Podstawowe pytanie brzmi, co łączy tę kobietę z Fran-
coise Gahets.

Sanderson rozglądał się po pokoju.

- Otóż to. Właśnie nad tym pracujemy - odparł w zamy-
śleniu. - Pochodziła z Gaskonii. Zgadza się, Hamish?

- Tak jest. Z francuskiego Kraju Basków, niedaleko
Biarritz. Przyjechała tu z matką, gdy była bardzo młoda,
jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat temu.

Przez chwilę słychać było jedynie przeciągły jęk wiatru
za oknami i ciche, dalekie beczenie owiec.

- To wszystko? - spytał wreszcie Hamish.

- Na razie wszystko - odparł Sanderson. - Oczywiście
chcielibyśmy porozmawiać z jej przyjaciółką.

- Edith Tait.

- Może jutro?

Hamish Leask skinął głową i spojrzął na Jimmy'ego
Nicolsona.

Dobry humor pilota gdzieś wyparował.

- Taka porządna była z niej babcinka. Podobno przyje-
chała tu zaraz po wojnie, a teraz... tylko spójrzcie.

Przycisnął dłoń do oczu i wyszedł z pokoju.

Policjant westchnął.

- Foula to małeńka społeczność. A to, co się stało, to
wielki cios. Może się przejdziemy?

Poprowadził gości na zewnątrz, na rześkie morskie powietrze. Jimmy Nicolson siedział już w samochodzie, łapczywie zaciągając się papierosowym dymem. Tomasky ruszył w jego stronę, ale Hamish Leask skierował się w przeciwnym kierunku: ku najbliższemu wzgórzu. Po chwili odwrócił głowę i zawołał:

- Wejdźmy na Sneug! Muszę przewietrzyć płuca.

Simon i Sanderson spojrzeli po sobie, a potem ruszyli jego śladem.

Podejście było na tyle strome, że nie mogli pozwolić sobie na rozmowę. Wkrótce Simon poczuł w piersiach bolesne pulsowanie; na szczęście chwilę później byli już na szczycie.

Wiatr był tu jeszcze bardziej porywisty. Stali nad wysokim urwiskiem. Dziennikarz zbliżył się ostrożnie do krawędzi i popatrzył w dół.

- O cholera!

W dole krążyły mewy - z tej odległości wyglądały jak drobniutki, białe płatki.

- Dobry Boże. Jak wysoko jesteśmy?

- To jeden z najwyższych klifów w Europie, a może i na świecie - odparł Leask. - Ponad sześćset metrów nad poziomem morza.

Simon cofnął się.

- Bardzo rozsądnie - pochwalił go policjant. - Wiatr mógłby pana zwyczajnie zdmuchnąć poza krawędź. - Hamish zaśmiał się ponuro i dodał: - A wiecie, co jest najbardziej niesamowite?

- Co takiego?

- Że to właśnie te klify pozwoliły mieszkańcom Fouli przetrwać tyle wieków.

- Jak to?

- Spójrzcie. O, tam. - Wskazał ręką na małe kropki mniej więcej w połowie wysokości kamiennej ściany. - Maskonury. Gniazdują na klifie. W dawnych czasach, kiedy podczas długiej zimy brakowało jedzenia, miejscowi mężczyźni schodzili po tych skałach, żeby wykraść jaja i pi skłeta. W ciężkich czasach było to ważne źródło białka. Młode maskonury są zresztą bardzo smaczne, tłusciutkie.

- Schodzili po takiej ścianie?

- Tak jest. Mało tego; wykształcili sobie specyficzną deformację ciała. Stali się jakby podgatunkiem człowieka.

- Jak to?

- Mężczyźni z Fouli i z Saint Kildy. - Hamish wzruszył ramionami. Wiatr tarosił jego rdzawe włosy. - Z biegiem stuleci pojawiły się u nich wyjątkowo duże palce stóp, przydatne do wspinaczki po skałach. Zdaje się, że tak działa ewolucja. Tak się złożyło, że najlepiej wspinali się ci z największymi palcami, więc to oni mieli szansę na ożenek i porządne wykarmienie potomków, którym przekazywali swoją cechę: duże palce stóp.

- Pan mówi poważnie?

- Całkowicie. - Hamish uśmiechnął się ze spokojem.

Ale Simon nie czuł spokoju: wzmianka o palcach przypomniała mu o tym, co widział. O nagich stopach staruszki. Musiał im o tym powiedzieć.

- Panowie, czy możemy się już schować przed tym wiatrem?

- Jasne.

Dwaj policjanci i dziennikarz zeszli z powrotem do kotłowni i rozsiedli się na wilgotnym torfie, by odpocząć.

- Wspomniał pan o palcach stóp, panie Leask - odezwał się Simon.

- Tak jest.

- Cóż, może to dziwne, ale... Czy któryś z panów zwrócił uwagę na palce stóp Julie Charpentier?

Leask spojrział na niego pustym wzrokiem.

- Co takiego?

Simon zastanawiał się coraz usilniej, czy aby nie robi z siebie idioty.

- Palce jej prawej stopy były zdeformowane. Nieznacznie. Sanderson zmarszczył brwi.

- Niech pan mówi dalej, Simon.

- Zdaje się, że to syndaktylia. Moja żona jest lekarzem.

- Syn...

- Tak. Syndaktylia. Zrośnięcie palców. Dwa palce u stopy tej staruszki były zrośnięte, przynajmniej częściowo. To dość rzadka przypadłość, ale znana...

Sanderson wzruszył ramionami.

- I co?

Simon wiedział, że teza jest ryzykowna, ale przeczuwał, że coś w niej jest.

- Pamięta pan tę kobietę z Primrose Hill? Co miała na rękach?

Wyraz twarzy inspektora nagle się zmienił.

- Pan mówi o rękawiczkach... Kurwa, o rękawiczkach!

Zanim Simon zdążył dodać coś jeszcze, Sanderson zerwał się z ziemi i już sięgał po komórkę. Nie przerywając rozmowy, ruszył w dół skąpanym w słońcu stokiem. Wiatr huczał jednak zbyt głośno, by Simon mógł cokolwiek usłyszeć.

Pótleżąc w oślepiającym - a przecież chłodnym - blasku słońca, rozmyślał o cierpieniu tej kobiety, o jej straszliwej, samotnej mecie. Hamish Leask siedział obok, z zamkniętymi oczami.

Inspektor wrócił po paru minutach. Jego twarz, zwykle rumiana, była teraz zdecydowanie bledsza. Wyglądał na zdumionego.

- Dzwoniłem do patologów w Londynie - rzekł, zwracając się do Simona. - Miał pan rację. Rękawiczki ukrywały deformację; lekarze już to zauważyli. - Odwrócił głowę i za patrzył się na daleki ocean. - To była syndaktylia. Ofiara z Primrose Hill miała dwa zrosnięte palce u dłoni.

Z dołu, zza krawędzi klifu, dobiegały krzyki morskich ptaków.

Znowu jechali drogą Bidasoa przez mglistą, zieloną dolinę, ścigając rzekę pędzącą w dół stokiem wzgórza, by nagle odbić w prawo, w górę, pomiędzy wzniesienia, do kolejnej z baskijskich wiosek Nawarry, kolejnej kamiennej fontanny i kolejnego pustego, szarego *frontói**. Lekki niepokój męczył Davida: Co takiego wiedział Jose Garovillo? Co zamierzał mu powiedzieć?

Wioska nazywała się Etxalar.

David wypowiedział to słowo na głos, żeby przeciwżyć wymowę. Amy uśmiechnęła się leciutko.

- Nie. Nie wymawiaj tego „x”. Mów „cz”.
- Ecz... alar?
- Znacznie lepiej.

Stanęli, zablokowani przez ciężarówkę z bydłem. Amy wyglądała na roztertę. Od niechcienia pytała go o jego dawne życie, o Londyn, Amerykę, pracę. Podał kilka szczegółów.

Wreszcie zapytała o życie uczuciowe.

Zawahał się, a potem wyznał, że jest sam. Spytała dlaczego.

Krowa z ciężarówki patrzyła na nich z wyrzutem, gdy odpowiadał:

- Chyba odpycham ludzi od siebie, zanim zdążą się zbyt nio zbliżyć. Może to dlatego, że straciłem rodziców. Jakoś nie mogę uwierzyć, że ktoś może zostać ze mną na dłużej.

* *Frontói* (bask.) - boisko do *piloty*, przypominające kort do *squa-sha*, na którym zawodnicy odbijają piłkę za pomocą specjalnych rakiet (przyp. tłum.).

Znowu milczenie.

- A ty? Jesteś z kimś związana? - spytał w końcu.

Cisza. Ciężarówka przed nimi nareszcie drgnęła. Podążyli za nią, z wolna nabierając prędkości na drodze kluczącej między niewielkimi sadami pełnymi gruszek.

- David... - odezwała się wreszcie. - Muszę ci o czymś powiedzieć. Skłamałam. A przynajmniej...

- Co takiego?

- Nie powiedziałam ci wszystkiego.

- Na jaki temat?

Jej profil rysował się teraz na tle zielononiebieskiej panoramy gór. Sprzeczne myśli malowały się wyraźnie na jej twarzy.

- Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz - zasugerował.

- Nie - odparła zdecydowanie. - Zaslugujesz na wyjaśnienie. Zwłaszcza że mamy się spotkać z Jose, ojcem Miguela. - Odwróciła się i spojrzała mu w oczy z napięciem i determinacją zarazem. - Byliśmy kochankami. Miguel był moim chłopakiem. Przed laty.

- Jezu.

- Miałam dwadzieścia trzy lata. Dopiero co tutaj przyjechałam. Byłam sama. Młoda i głupia. Nie wspomniałam o tym wcześniej, bo... Chyba się tego wstydzę.

David skręcił kierownicę, pokonując zakręt; liście drzew żywoplotów zaśnieżyły w smudze światła. Musiał o to zapytać.

- Wiedziałaś, że on jest w ETA. A mimo to...?

- Spałam z nim? - Westchnęła. - Tak, wiem. *Muy stupido*. Ale, jak mówię, byłam młoda, a smarkule lecą na drani, nieprawdaż? Na niegrzecznych chłopców. Zastrany mit Heathcliffa, brednie o starszych facetach. I o pięknie przemocy. - Pokręciła głową. - Myślę, że to było młodzińcze zadurzenie. A on naprawdę był tajemniczy. Jest inteligentny, przystojny i sławny, słynie z siły, jest aktywny. — Amy uśmiechnęła się z przymusem. - I w gruncie rzeczy jest podobny do ciebie. Tylko starszy i szczuplejszy.

- Tylko że ja nie okaleczam, nie torturuję i nie zabijam ludzi i... nie biję kobiet w barach.

- Oczywiście. Oczywiście. Mniej więcej po dwóch miesiącach zrozumiałam, jaki z niego łajdak. I... - Niezgrabnie wzruszyła ramionami, sposobiąc się do wyznania. - I było

z nim coś nie tak. Był perwersyjny. W łóżku. Rzuciłam go po dwóch miesiącach.

David nie wiedział, co powiedzieć; rozbroiła go szczerością. Mijali jakieś gospodarstwo, gdy odważył się zadać kolejne pytanie.

- Utrzymujecie jakieś kontakty?

- Nie. Unikam tego jak mogę. Ale czasem to po prostu niemożliwe. Miguel przedstawił mnie ojcu, który wciąż jest moim przyjacielem i pomógł mi zdobyć posadę. A ja uwielbiam swoją pracę tak samo jak te góry. - Westchnęła ciężko. - Chociaż wiem, że Miguel gdzieś tam jest, czai się, prześladuje, odkąd... Wiesz, to, co zrobiłeś w barze, było aktem wielkiej odwagi.

- Bił cię, kiedy byliście razem?

- Tak... To znaczy raz. I wtedy go rzuciłam, drania.

David pomyślał o bliźnie na jej czole. Nie bardzo pasowała do scen domowej przemocy, ale nie chciał być wścibski. Gospodarstwa za szybami wozu ustępowały miejsca lasom. Droga zaczęła wspinać się w górę.

- Amy, dzięki, że mi powiedziałaś. - Spojrzał na nią. - Nie musiałaś tego robić. Szczerze mówiąc, nie musisz robić nic z tych rzeczy, które dla mnie robisz.

- Stałam się częścią twoich spraw.

- Tak jakby.

- Nie tak jakby, tylko na pewno. Poza tym potrafię się wczuć w twoją sytuację.

- Jak to?

- Bo sama miałam rodzinę. - Krople deszczu spadły na przednią szybę samochodu. - Mój ojciec zmarł, kiedy miałam dziesięć lat. Wkrótce potem matka zaczęła pić. Musieliśmy z bratem praktycznie sami o siebie dbać. Potem brat wyemigrował do Australii. I tylko tyle mi zostało: ma ma pijaczka i brat na drugim końcu świata. Reszta rodziny zginęła w Holokauście; dziadkowie, kuzynostwo. Nikt nie ocalał. Czuję się więc trochę jak sierota. - Amy spojrzała na Davida. - Podobnie jak ty. - Chłodny, wilgotny wiatr wpadał przez uchyloną szybę i bawił się żółtym kosmykiem jej włosów. Wydawało się, że monolog podziałał na nią uspokajająco; już nie wyglądała na zdenerwowaną. - Tutaj skręć w prawo. Za kaplicą.

Posłusznie zrobił, co kazała.

- Zastanawiam się czasem - dodała - czy żydowskie pochodzenie wyjaśnia moje przywiązanie do Basków. Ich poczucie tożsamości i przynależności jest takie silne. Żyją tu od tak dawna. Jeden lud, jedno miejsce. Żydzi tymczasem włóczyli się po świecie. Nieustannie to robimy. - Potarła twarz dłońmi, jakby chciała się rozbudzić. - Wszystko jedno. Jesteśmy prawie na miejscu.

David zmienił bieg i pokonał ostatni zakręt. Rozmyślał o Miguelu, o jego szczupłym, groźnym ciele, o ciemnych, nienawistnych oczach. Amy zapewniała, że Miguel nie pojawi się w domu ojca - ponoć Jose sam jej to gwarantował.

Lecz David miał problem: nie potrafił zapomnieć o tym, jak Miguel potraktował Amy w barze. Był dziki, brutalnie zazdrosny. Zresztą było w tym coś więcej niż zazdrość: swoista lubieżna nienawiść.

Uniosła dłoń.

- Zwolnij. To ta wąska dróżka.

Droga była nie tylko wąska, ale i pocięta głębokimi koleinami; zdawała się prowadzić wprost to spowitego mgłą, górskiego lasu. David prowadził ostrożnie przez wypełnione błotem zagłębienia i w chwili, gdy koła zaczęły się już mocno ślizgać, wyjechali na polanę.

- To tu.

Dom był maleńki, urokliwy, świeżo pobielony i zaopatrzone w pomalowane na zielono drewniane okiennice. Deszcz ustał i smugi promieni słonecznych zaczęły przebijać ulotne pasma mgły. Przed domem, dumnie machając beretem, stał najbardziej dziarski staruszek, jakiego David kiedykolwiek widział. Uwagę przykuwały nadzwyczaj długie płatki jego uszu.

- *Epa!* - powiedział Jose Garovillo, przyglądając się bacznie Davidowi, gdy ten wysiadał z wozu. - *Zer moduz? Pozten naiz zu ezagutzeaz.*

- Eee..

- Ha! Nic się nie martw, mój przyjacielu, Davidzie... Martinez! - stary zachichotał. - No chodź, chodź, przecież nie każę ci gadać po baskijsku. Doskonale znam twój język. I uwielbiam angielszczyznę, a zwłaszcza te wasze przekleństwa. *Fuckmuppet!* O wiele lepsze niż fińskie.

Jose uśmiechnął się i spojrzał na Amy, lecz zaraz spo-chmurniał na chwilę, widząc siniaka na jej twarzy.

- *Aiii. Amy. Aiii.* Tak mi przykro. *Lo siento.* Słyszałem, co się wydarzyło w Bilbo. - Staruszek wzdrygnął się, pełen żalu. - Ale co mogę zrobić? Mój syn... mój straszny syn. Przeraza mnie. Ale powiedz tylko, Amy, co mam uczynić, a uczynię to.

Dziewczyna pochyliła się ku niemu i mocno przytuliła.

- Nic mi nie jest. David mi pomógł. Naprawdę, Jose.

- Ależ Amy... *El uiolencia?* To straszne!

- Jose! - Tym razem głos dziewczyny zabrzmiał ostro. - Proszę cię. Naprawdę nic mi się nie stało.

Staruszek znowu się uśmiechnął.

- W takim razie chodźmy jeść! Trzeba jeść. Gdy przycho-
dzą kłopoty, Baskowie jedzą. Wejdźmy do środka, Davido. Będziemy ucztować, żeby zadowolić leśnych jentilów.

Nie było czasu na dalsze pytania; gdy tylko usiedli przy stole, pojawiło się jedzenie i trunki. Mnóstwo jedzenia i trunków.

Żona Jose, ciemnooka Fermina, znacznie młodsza od niego, okazała się zapaloną kucharką. Podzwaniając bransoletami, przynosiła z malutkiej kuchni coraz to inne tradycyjne dania baskijskie, które Jose z zapałem zachwalał i objaśniał. Jedli ogniste papryczki *espelette* z *tripotx* - kiełbasą z krwi jagnięcej pochodzącą z Biraitou; *Gerezi beltza arno gorriakin* - zupę wiśniową koloru bordo podawaną ze śmietaną *creme fraiche*; następnie „policzki morszczuka” z oliwkami, wyborne *kanougas* - czekoladowe toffi - oraz miękki krem *turron* z Vizcayi, owczy ser i dżem wiśniowy. Wszystko to popijali spienionym baskijskim cydrem: czerwonym, zielonym i żółtym; a każdy z nich był bardzo mocny.

Pomiędzy daniami tego ogromnego posiłku Jose mówił bez końca: o pochodzeniu beretów pasterzy z Bearn, o zaletach walk byków w Azpeicie, o bezcennym krucyfiksie *ormolu* pobłogosławionym niegdyś przez papieża Piusa X, a także o tajemniczych kromlechach w lasach Roncevaux, wzniesionych ponoć przez legendarnych olbrzymów, mitycznych jentilów i mairu.

Wszystko to było wyczerpujące, ale jednocześnie frapujące, wręcz hipnotyczne. Pod koniec uczyty David czuł się

wręcz nieprzyzwoicie nażarty i pijany, a na dodatek miał wrażenie, że stał się lingwistą amatorem. Prawie zapomniał o lęku, a także o przyczynach, które przywiodły go w to miejsce. Prawie, ale nie do końca. Nie umiałby całkiem wyrzucić ich z pamięci. *El uiolencia, el uiolencia*. Trudno zapomnieć coś takiego.

Spojrzał na Amy. Wypatrywała czegoś za oknem. Odwrócił głowę.

Jose sącył sherry, a Fermina krzątała się w kuchni, przygotowując kawę. To był właściwy moment. David przerwał ciszę, pytając, czy może teraz wysłuchać historii, która być może wyjaśni przyczynę jego wizyty w Hiszpanii. Jose rozparł się wygodniej na krześle.

- Oczywiście! Jak pisałem do Amy, chyba znam już odpowiedź. Wiem, dlaczego tu jesteś!

David popatrzył na staruszkę.

A zatem?

Jose zrobił dramatyczną pauzę.

- A zatem?

Jose zrobił dram

latyczną pauzę.

- Znałem twojego dziadka. Gdy tylko Amy wymieniła nazwisko Martinez, wipHziałem; n kngn rhrnrlzi -----

- Jak? Kiedy?

- Dawno temu. To już tyle lat! - Jose wciąż się uśmiechał. - Przyjaźniliśmy się w dzieciństwie, jeszcze w Donostii, przed wojną. A potem, w 1936 roku, nasze rodziny uciekły do Francji. Do Bajonny. Tam, gdzie robią żydowską czekoladę. Najlepszą na świecie!

David nachylił się nieco, by zadać najbardziej oczywiste pytanie.

- Czy mój dziadek był Baskiem?

-----Jose roześmiał "się, jednocześnie" spugtądając"na nieg"o karcąco, jakby zadał wręcz surrealistycznie głupie pytanie.

- No jasne! Tak. Nie powiedział ci o tym? Cały on. Człowiek wielu zagadek. Ale tak, oczywiście, był Baskiem! Podobnie jak jego młodziutka żona! -Jose zerknął szelmowsko na Amy, a potem znowu popatrzył na Davida. - Tak, Davidzie Martinez: jesteś Baskiem, przynajmniej po części. Człowiekiem Euskadi! Możesz zagrać na txistu w dniu świętego Fermina! Czy już odpowiedziałem na wszystkie twoje pytania? Zagadka rozwiązana?

David milczał przez kilka sekund, analizując to, co usły-

szał. Czy to naprawdę wszystko? Dziadek był Baskiem, ale nigdy się do tego nie przyznał? Nagle przypomniał sobie o mapie i o kościołach. O spadku. W jaki sposób to wszystko pasowało do historii jego przodków?

- Właściwie to nie, Jose. Jest coś więcej.

- Więcej?

- Jose... - wtrąciła Amy. - Chodzi o to, o czym pisały gazety. O ostatnią wolę i o mapę. Nie czytałeś?

- Nigdy nie czytam gazet! - odparł starzec, a jego uśmiech nieco przygasł. - Zatem jest jeszcze jakaś zagadka? Mów! O czym jeszcze powinienem wiedzieć?

David spojrział pytająco na Amy. Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Mów śmiało, dlaczego nie, skoro już tu jesteśmy”.

Opowiedział więc o dziadku, o kościołach i o testamencie. W końcu sięgnął do kieszeni i wyjął mapę poznaną niebieskimi gwiazdkami.

W jednej chwili atmosfera w domku zmieniła się.

Skonsternowana Fermina stanęła w drzwiach kuchni. "Stanisław wpatrywał się w mapę ze zmarszczonym czołem. Jego twarz przybrała wręcz tragiczny wygląd — jakby kogoś oplakiwał.

Zdumiony wrażeniem, jakie zrobiła jego opowieść, David upuścił mapę na stół. Zdawało mu się, że cały pokój pociemniał, jakby jedynym źródłem światła pozostał brudnobiały arkusz.

Jose sięgnął po mapę i przez kilka minut gładził palcami podniszczony papier. Rozłożył ją wreszcie i przyjrzał się niebieskim gwiazdkom, mamrocząc coś pod nosem. Nikt się "nawet nieporuszył.

W końcu staruszek uniósł głowę i spojrział na Davida.

- Zapomnij o tym wszystkim. Proszę, błagam cię. Zapomnij. Nie chcesz wiedzieć nic więcej na temat tych kościołów. Zatrzymaj swoje pieniądze. Pozbądź się mapy. Wracaj do Londynu. *Por favor*.

David otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

----- Zabierz ją — rzekł Jose, oddając mu mapę. — Zabierz ją z mojego domu. Wiem, że to nie twoja wina, ale... zabierz ją z mojego domu. Nigdy więcej nie wspominaj o tych

sprawach. Nigdy. Ta mapa... te kościoły... to klucz do piekła. Błagam was oboje: nie róbcie tego.

David nie wiedział, co począć; żona Jose wycierała ręce w ścierkę, wciąż stojąc w drzwiach kuchni. Wycierała je bez końca, wyraźnie wyprowadzona z równowagi.

Napięcie wzrosło jeszcze bardziej, gdy ich uszu dobiegł jakiś dźwięk. Jose Garovillo uniósł głowę: teraz wyraźniej dał się słyszeć zgrzyt żwiru gdzieś przed domem.

Czerwony samochód właśnie parkował.

Amy zasłoniła dłonią usta.

- O nie...

Jose nie mógł złapać tchu.

- Ależ nie! Przecież mówiłem mu, żeby nie przyjeżdżał. Tak mi przykro. Uprzedzałem, że przyjedziecie, i prosiłem, żeby trzymał się z daleka. *Barkatu. Barkatu.* Fermina!

Trudno było pomylić z kimś rosnącego mężczyznę, który właśnie wysiadał z wozu. Sekundę później Miguel Garovillo pchnął drzwi wiejskiego domku i wszedł do środka. Wysoki i posępny spojrzał złowrogo na Amy i Davida, a potem na mapę. Widać było wyraźnie leciutkie drżenie jego powieki, a także wąską bliznę nad wargą.

- *Papa!* - rzucił głosem pełnym pogardy.

Uniósł rękę i przez upiorną chwilę wydawało się, że zamierza uderzyć własnego ojca. Jose wzdrygnął się mimo woli, a Fermina krzyknęła.

Ciemne oczy Miguela obrzuciły pokój szybkim spojrzeniem. David dostrzegł zarys kabury pod skórzaną kurtką.

Fermina Garovillo zaczęła odpychać syna, ale on nie przestawał krzyżeć. Baskijskie słowa były niezrozumiałe, ale jedno było w nich absolutnie jasne: wściekłość. Jose odpowiedział mu w kilku słowach, ale jakby bez przekonania.

Miguel zaczął krzyżeć po angielsku. Na Davida. Powietrze zawibrowało wściekle.

- Wypierrrrrdalaj stąd! Chcesz tę kurwę? Zabieraj ją. I wynoś się z całym tym gównem. Natychmiast.

David cofnął się o krok.

- Już idziemy... idziemy...

- Za pierwszym razem cię uderzyłem. Następnym razem cię zastrzelę.

Amy i David wybiegli na podwórze i wskoczyli do samochodu.

Ale Miguel błyskawicznie wyciągnął pistolet z kabury i podążył za nimi. Trzymał go tak, żeby go zauważyli. Przez chwilę David miał wrażenie, że jest w tym człowieku coś nieludzkiego; że to olbrzym. Dziki leśny jentil, okazujący swą moc i furję. Czarny pistolet połyskiwał w bladych promieniach słońca.

David wycofał energicznie i wykręcił. Ruszyli, buksując kołami w błocie, i pomknęli po wyboistej drodze, by z poślizgiem wyskoczyć na szosę. Przez pół godziny pędzili szarymi dolinami pośród wzgórz. Byle dalej od tego miejsca.

Wreszcie David opanował strach i zdumienie na tyle, by poczuć narastający gniew. Muszę się zatrzymać i zastanowić, pomyślał.

Zjechał na pobocze na skraju kolejnej wioski; po lewej mieli skład drewna. Dalekie Pireneje już nie wyglądały tak pięknie: gęstniejąca mgła pokryła białą koronką szczyty sosen. Na pobliskim wzgórzu stał kościół, otoczony okrągłymi nagrobkami.

Wszystko wydawało się wilgotne, jakby stopniowo, acz zauważalnie, zaczynało gnić.

David zaklął.

- Co. To. Kurwa. Było.

Amy ze skruchą pochyliła głowę.

- Wiem. Przepraszam.

- Co takiego?

- Przepraszam.

- Przecież to nie twoja wina.

- Ale... - Dziewczyna pokręciła głową. - Jednak moja.

Może rzeczywiście powinieneś wrócić do domu, David. Miguel to mój problem.

- Nie ma mowy. Teraz to także mój problem.

- Mówiłam ci, jaki on jest. Zabójczo zazdrosny. On na prawdę coś zrobi. Może nawet...

- Zabije mnie?

Skrzywiła się.

David poczuł, że narasta w nim bunt.

- Pieprzyć go. Ja chcę poznać odpowiedzi. - Uruchomił silnik i przez parę minut wolno toczyli się szosą. - Chcę

wiedzieć wszystko. Dziadek nie wysłałby mnie tutaj i nie wpakował w taką kabałę, gdyby nie było powodu. Chcę wiedzieć dlaczego.

- Mapa.

- Właśnie, mapa. Słyszałaś, co powiedział Jose, jak zareagował. Jest w tym coś...

Przez chwilę szukał odpowiednich słów, by opisać złożoność całej tej układanki, ale nie dane mu było ich wypowiedzieć.

- Nie zatrzymuj się.

- Co?

- Jedź dalej.

- Co?

David poczuł zimno w okolicy serca.

Amy potwierdziła jego podejrzenie.

- Miguel. Jedzie za nami.

Nie odrywała wzroku od lusterka wstecznego. David podążył za jej spojrzeniem.

- Jezu - mruknął, mrużąc oczy. - Pewna jesteś? To ten sam wóz?

- Numery się zgadzają. To on.

Droga była wąska, a mgła zgęstniała, gdy zaczęli wjeżdżać na kolejne wzniesienie.

- Ale... - David mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. - Ale czy jechał za nami cały czas? Śledził nas?

- Kto wie. Może śledził, a może...

- Co?

- Jest z ETA. A to jest terytorium ETA.

- No i?

- Oni bez przerwy obserwują drogi. Miguel ma wszędzie przyjaciół, kontakty. Może ktoś zadzwonił. Przecież staliśmy przed chwilą przy samej wiosce. Co teraz zrobimy?

Strach był niemal namacalny, ale wraz z nim rosła w Davidzie kolejna fala buntu. Pomyślał o ukochanych rodzicach - którzy zostawili go samego. Przypomniał sobie swoją samotność: musiał walczyć, by skończyć college, radzić sobie sam, mając jedynie dalekiego dziadka w Phoenix. Przebrnął przez całe to gówno, przetrwał tyle przeciwności -nie zamierzał teraz się poddać, dać się zastraszyć, nawet najbardziej demonicznemu ze śmiertelnie niebezpiecznych terrorystów. Nie teraz. Nie w chwili, gdy wiedział już, że tajemnica dziadka była jakoś powiązana z jego pochodzeniem, z jego tożsamością. I z objawieniem prawdy, że płynie w nim baskijska krew.

W dodatku nie podobało mu się, że ktoś na niego poluje.

- Zgubimy drania.

Nacisnął pedał gazu, gwałtownie przyspieszając na wąskiej i krętej drodze. Ryk silnika przyprawiał o ból uszu, gdy mknęli między kamiennymi murkami i błotnistymi skarpami. Po chwili spojrzął w lusterko.

Czerwony samochód nadal się zbliżał.

- Cholera.

Czuł w ustach smak strachu, ale zignorował go. Zmienił bieg na niższy i znowu zaczął przyspieszać, najszybciej jak się dało.

- David...

Po lewej grunt urwał się nagle: jechali wzdłuż przepaści głębokiej co najmniej na trzysta metrów. Wystarczył mały błąd, zboczenie z kursu o parę metrów, i runęliby w otchłań za krawędzią klifu.

Na wszelki wypadek David odbił nieco w prawo. W tym momencie poczuli wstrząs.

Czerwony samochód uderzył od tyłu. Było to mocne, dobrze wymierzone uderzenie, które miało zepchnąć ich z szosy. David desperacko skontrolował kierownicą i jakoś zdołali się utrzymać na szosie. W panice zerknął w lusterko. Nie był pewny, ale miał wrażenie, że ich prześladowca się uśmiecha.

- Nic się nie martw, będzie dobrze - uspokoił Amy.

Dlaczego wygadywał takie rzeczy? Przecież był przerażony. Jednocześnie jednak ogarniała go niepokonana furia. Nie teraz. Nie może poddać się teraz. Gdyby to zrobił -jaki sens miałyby to, co już przeżył? Wszystkie te lata bezczynności, siedzenia w sterylnym gabinecie, bycia prawnikiem, daremne próby zbudowania trwałego związku, życia w strachu przed tym, że znowu ktoś go opuści, zostawi samego.

Serce mu rosło od tego gniewu. Wmówił sobie, że ocali Amy i samego siebie. Stać go było na to.

Wbił pedał gazu w podłogę i rozpędził wóz tak bardzo, jak tylko się odważył. Strach go nie opuszczał, ale jednocześnie pojawiło się nowe uczucie: pewność siebie. Jeździł samochodem od najmłodszych lat, bo nikt nie miał zamiaru go wozić. Był w tym całkiem niezły.

Tyle że to nie była zwykła jazda. Na każdym zakręcie wpadali w poślizg, gnali ku coraz wyższym górom. Byli ścigani.

Droga biegła zygzakiem. Zakręty stały się ciasniejsze, aż wreszcie dotarli do ostrego wirażu wokół skalnej ściany. Wchodząc szeroko w ciasny zakręt, David wstrzymał oddech. Mieli szczęście: nikt nie jechał z przeciwka.

Spojrzał w lusterko. Czerwony samochód zwolnił na chwilę; prześladowca pozostał w tyle! Zyskali kilka sekund przewagi.

Pędząc na złamanie karku, David usiłował myśleć logicznie. Gdyby udało się zatrzymać wóz, wysiąść i pobiec, może zdołaliby się ukryć. Ale Miguel był zdecydowanie zbyt blisko, a poza tym miał pistolet; być może zdecydowałby się na pościg po skałach. Pobawiłby się z nimi, a potem zastrzelił. Zwykła egzekucja w lesie.

- David!

Czerwony samochód zbliżał się szybko, a ich wóz nie mógł już jechać prędzej. To był kryzys; decydujący moment. Nikt nie zobaczyłby tego, co by się stało. Byli ponad chmurami. Słońce świeciło oślepiająco, a pozostałe jeszcze gdzieś czapy śniegu dodatkowo odbijały jego promienie. W tej scenarii mieli umrzeć. Kobieta i mężczyzna w samochodzie. Tak samo jak jego rodzice. Oboje martwi.

I wtedy David dostrzegł swoją szansę. Zbliżali się do płaskiej kamiennej płyty. Trzy sekundy później szarpnął kierownicą, znienacka kierując samochód na wapienny płacyk. Zaciągnął hamulec ręczny i z piskiem opon obrócił wóz jak na karuzeli - jak za dawnych, szczenięcych lat.

Udało się. Czerwony samochód przemknął obok, a David natychmiast ruszył w przeciwnym kierunku - tym razem gnał w dół.

W oszalałym tempie pomknęli górską drogą, ale zanim zniknęli za zakrętem, dostrzegł jeszcze w lusterku, że Miguel zawraca. David miał jednak plan: Gdy z zawrotną prędkością minęli skalny występ i weszli w wiraż, za którym droga niknęła w lesie, prawie nie zwalniając, wykonał kolejny skręt, kierując wóz na drogę gruntową. Między drzewa.

Droga wiła się to w lewo, to w prawo, prowadząc ich coraz dalej w głąb mrocznego lasu. Samochód podskakiwał na wybojach i pojękiwał. Kilkaset metrów dalej droga urwała się. David zahamował gwałtownie, z rozmachem otworzył drzwi

i wyskoczył z kabiny. Amy już na niego czekała. Złapał ją za rękę i razem pobiegli w las, klucząc między drzewami i skałami, przeskakując nad strumieniami, aż znaleźli schronienie za wielkim głazem.

Teraz dopiero mogli się zatrzymać. Przykucnęli i czekali, dysząc ciężko.

Serce tłukło się w piersi Davida jak szalowiec za kratkami; dłoń Amy, którą wciąż ścisnął, była lepka.

Czaili się za głazem, w chłodzie i milczeniu. Z lasu, moknącego w rzadkiej mżawce, dobiegały całkiem zwyczajne szmery i trzaski. Nic się nie działo. Mgła unosiła się między ponurymi, prawie czarnymi modrzewiami niczym widma z bajek.

W oddali rozbrzmiał basowy pomruk silnika. Zapewne zbliżał się czerwony wóz. Sądząc po odgłosie, zaczął zwalniać gdzieś na szosie. Całkiem niedaleko. David poczuł, że palce Amy zaciskają się coraz mocniej. Chwile ciągnęły się upiornie. Czekali, aż morderca odnajdzie ich i zastrzeli.

Albo gorzej.

Odgłos pracy silnika znowu się zmienił. Samochód odjeżdżał, prawdopodobnie szosą w dół stoku. Otoczyła ich cisza. David pozwolił sobie na głębokie westchnienie.

Ulga nie trwała długo. Rozległ się trzask, jakby gałązki pękającej pod czyimś butem.

Stare kobiety śpiewały nosowo, a ich głosy tworzyły zadziwiający chór. Wibrujący głos mężczyzny w ciemnym garniturze, stojącego przed nimi i wymachującego rękami, zdecydowanie prowadził melodię. Zawodzenie kobiet podążało za nim ze zmienną intensywnością.

Wciąż byli na Fouli, dobrych pięćset kilometrów od Glas-gow.

Simon Quinn, Sanderson i Tomasky spędzili nader niewygodną noc w jedynym pensjonacie na Fouli, czekając na okazję rozmowy z Edith Tait. Właściciel domu, wdowiec w średnim wieku pochodzący z Edynburga, był niesłychanie podniecony inwazją tak szacownych gości - a przede wszystkim nowych ludzi, z którymi mógł porozmawiać - toteż długo nie pozwolił im zasnąć. Raczył ich szczodrze whisky i mrozzącymi krew w żyłach opowieściami o dziwactwach i niebezpieczeństwach życia na wyspie.

Wspomniał na przykład o niemieckim miłośniku ptaków, który pośliznął się kiedyś na owczym łożysku i huknął głową w skały - jego mózg pożarły wydrzyki pasożytnicze. Opowiedział też o parze turystów, którzy wybrali się na najwyższy klif, Kame. Oboje spadli w przepaść, gdy jedno z nich kichnęło.

Simon trawił to wszystko z wymuszonym uśmiechem, a Sanderson reagował otwartym sarkazmem.

- Zatem odsetek zgonów wśród turystów sięga pięćdziesięciu procent, co?

Było jednak coś, co autentycznie zainteresowało dziennikarza: gaelickie dziedzictwo wyspy. Jak wyjaśnił właściciel pensjonatu, Foula była tak bardzo odizolowana, że zacho-

wały się na niej relikty nordyjsko-gaelickiej kultury, dawno zapomnianej w innych miejscach. Utrzymał się także specyficzny, gregoriański kalendarz - Boże Narodzenie świętowano 6 stycznia - a niektórzy z mieszkańców wyspy nadal posługiwali się autentycznym językiem szkockim gaelickim.

Czynili to - z wielkim upodobaniem, jak podkreślił właściciel pensjonatu - zwłaszcza w kościele, gdzie i porządek mszy był, jak się zdawało, unikatowy. Charakterystyczną jego cechą były owe nosowe śpiewy *a capella*, znane jako „dysonansowa psalmodia gaelicka”.

I oto nadarzyła się okazja, by posłuchać Nosowej He-terofonii Celtyckiej na żywo, w oczekiwaniu na okazję do rozmowy z Edith. Simonowi bardzo się podobała ta autentyczna, prastara i zapewne jeszcze pogańska tradycja; na Sandersonie robiła znacznie mniejsze wrażenie.

- Brzęczą jak rój wściekłych irlandzkich bąków pod prysznicem.

Inspektor wypowiedział tę opinię na głos. Jedna z kobiet odwróciła się i spojrzała na niego wilkiem, nie przestając wydobywać melodyjnych dźwięków przez swe dziewięćdziesięcioletnie nozdrza.

Sanderson poczerwieniał, wstał, przycisnął się do końca ławki i w pośpiechu opuścił świątynię. Czując, że mimowolnie stał się obiektem zainteresowania, Simon czym prędzej podążył za nim. Odnalazł policjanta na cmentarzu, z papierosem w ustach.

Po chwili Sanderson rzucił niedopałek na ziemię, zmiażdżył go butem i zapatrzył się na Sneek o' da Smaalie, wielki wawóz, który rozpoczął się niedaleko kościoła i ciągnął się aż do brzegu wzburzonego morza, miotającego się jak epileptyk w granatowym kaftanie bezpieczeństwa. Deszcz zdążył już ustać i niebo zaczynało się przejaśniać.

- Pan detektyw niezbyt religijny?

- Domyślił się pan? - odparł Sanderson z sarkastycznym uśmiechem. - Chodziłem do przykościelnej szkoły; rodzice byli głęboko wierzący. To gwarancja zniechęcenia potomstwa do religii.

Simon skinął głową.

- Ja mam za sobą dokładnie odwrotne doświadczenia. Rodzina ateistów: naukowcy, architekci. - W głowie pojawi-

ła mu się całkiem nieproszona myśl: *Das Helium und das Wasserstoff*. Czym prędzej wrócił do rozmowy: - Nigdy nie narzucano mi żadnego systemu wierzeń. A teraz... znalazłem coś na kształt niesprecyzowanej wiary.

- To miło. - Inspektor wpatrywał się w biały, ruchomy kształt. Na cmentarz przybłąkała się owca. - Jezu, co to za miejsce. Wszędzie owce. Owce. Po cholere to żyje? Durne, wełniste skurwiele. - Sanderson położył dłoń na ramieniu dziennikarza i spojrzał mu w oczy. - Quinn, powinien pan o czymś wiedzieć. Jeżeli nadal chce pan pisać o tej sprawie.

- Tak?

- Doszło do kolejnego morderstwa. Dziś rano. Słyszałem przez radio. Jesteśmy pewni, że jest powiązane z pozostałymi. - Zmarszczył brwi. - Tyle mogę powiedzieć.

- Gdzie?

- Niedaleko Windsoru. Starszy mężczyzna, niejaki Jean Mendia. To dlatego Tomasky poleciał z rana do domu. Żeby się rozejrzeć.

Nosowe śpiewy dobiegające z kościoła ustały.

- Niech no zgadnę: ofiara pochodzi z południa Francji? Zdeformowana?

Sanderson pokręcił głową.

- Francuski Bask, z Gaskonii. Ale nie zdeformowany. Nie był też torturowany. - Zanim Simon zdążył zadać oczywiste pytanie, dodał: — Łączymy te sprawy z kilku powodów: sędziwy wiek ofiary, jej baskijskie pochodzenie oraz brak śladów rabunku. Znowu wygląda to na bezsensowny mord.

- A zatem już trzy...

- Tak.

- Kto, u licha, może robić coś takiego? I dlaczego?

- Bóg jeden wie. Może więc Jego spytamy? - Sanderson odwrócił się ku świątyni.

Msza dobiegła końca. Drzwi kościoła otworzyły się i starsze panie w czepkach wyległy gromadnie na zewnątrz, gawędząc po angielsku i po gaelicku.

Szybko odnaleźli Edith Tait. Prezentowała się bardziej dziarsko, niż Simon się spodziewał: miała sześćdziesiąt siedem lat, a wyglądała na pięćdziesiąt. Błysk w jej oku przygasł jednak, gdy tylko usłyszała, kim są jej rozmówcy i dlaczego jej szukali.

Przez chwilę wydawało się, że wybuchnie płaczem. Zaraz jednak zapięła pod szyję swój tweedowy płaszcz i zaprosiła ich do pustego już kościoła, gdzie usiedli na ławce, by porozmawiać.

Nie była wymarzonym świadkiem. Przyznała wprawdzie, że pamiętnej nocy słyszała jakiś dziwny dźwięk, ale nawet tego „nie była pewna”. Być może był to warkot silnika niedużej łodzi nad ranem, ale nawet tego „nie była pewna”.

Edith Tait nie była pewna właściwie niczego, choć oczywiście nie była to jej wina. Starła się jak mogła, a całe to przesłuchanie najwyraźniej nie było dla niej łatwym przeżyciem. Kończąc zeznania, zaszlochała z cicha, kryjąc usta za bladymi dłońmi. Po chwili jednak odsłoniła twarz i spojrzała na dziennikarza.

- Przykro mi, ale nie potrafię panom bardziej pomóc. A Julie była moją przyjaciółką. Dobrą przyjaciółką. Tak mi przykro, panie... panowie. Tak daleką drogę panowie pokonali, żeby się ze mną spotkać, ale czego nie widziałam, tego nie widziałam.

Simon i Sanderson wymienili znaczące spojrzenia. Uroczą starsza pani robiła co w jej mocy; dotarli niemal do granicy możliwości. Pozostało już tylko jedno pytanie, które należało zadać.

- Kiedy i dlaczego Julie Charpentier przybyła na Foule? To dość odległe miejsce.

- Zdaje mi się, że przyjechała pod koniec lat czterdziestych. - Kobieta zmarszczyła brwi. - Tak, czterdziestych. Zaprzyjaźniłyśmy się później, gdy umarła moja mama i odziedziczyłam sąsiednią zagrodę.

- Zatem nie wie pani, dlaczego wyemigrowała z Francji akurat tutaj, na Foule?

- Nieee - odrzekła starsza pani, kręcąc głową. - Nigdy o tym nie wspominała, więc i ja nie wypytywałam. Może to jakaś rodzinna tajemnica? A może po prostu podobało jej się to zaciszne odludzie. Bo nie wiem, czy panowie wiedzą, ale niektórym się podoba... A teraz naprawdę muszę już iść. Przyjaciółka na mnie czeka.

- Oczywiście.

Przesłuchanie dobiegło końca. Simon zamknął notatnik.

Idąc w stronę wyjścia z cmentarza, Edith zwolniła nagle

i przechyliła głowę na bok, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Właściwie to jest jeszcze coś... Coś, o czym może powinni panowie wiedzieć. Taka malutka osobliwość.

Simon otworzył notatnik.

- Tak?

- Nie tak dawno temu nagabywał ją pewien młody człowiek, młody naukowiec... Bardzo się tym zdenerwowała.

- Słucham?

- Angus Nairn, tak się nazywał. - Starsza pani przy mknęła oczy i otworzyła je po dłuższej chwili. — Tak, tak to brzmiało. Porządne, szkockie nazwisko. Tak. A niepokoił ją przez telefon, ten naukowiec.

- Jak to „niepokoił”?

- Chciał ją zbadać. Mówił, że Julie jest wyjątkowym przypadkiem... Baskijką, jak mi się zdaje. Ale czy to prawda? Tego nie wiem. Może i Baskijką. Tak.

- I to ją tak zdenerwowało?

- Nawet bardzo. Bardziej, niż można by przypuszczać. Przez tydzień to przeżywała; tak ją ten Nairn wyprowadził z równowagi. Ale teraz już muszę iść; przyjaciółka do mnie macha.

- Pani Tait? - wtrącił jeszcze Simon.

Skinęła głową.

- Gdy mówi pani, że ów człowiek chciał zbadać panią Charpentier, co właściwie ma pani na myśli? Co właściwie chciał zbadać?

Edith odpowiedziała spokojnie:

- Jej krew.

David wyjrzał zza ociekających wodą paproci. To był koń. Mały kucyk o zmierzwionej grzywie.

- *Pottok* - powiedziała Amy.

Kuc przyglądał im się przez chwilę jakby z melancholią sędziwego starca, a potem stępa oddalił się w las. Zniknął w mroku - tajemniczy, dziki, prastary.

David z trudem rozluźniał naprężone do bólu mięśnie. Spojrzał pomiędzy drzewami. Samochód musiał być już daleko, w dolinie. Byli bezpieczni. Udało im się uciec. Wyciągnął rękę, pochwycił krawędź głazu i podciągnął się do pionu.

- Czekał - szepnęła nagle Amy.

Strach powrócił w jednej chwili.

- Co to? - syknęła.

Wskazywała na coś palcem. David zmrużył oczy i zamarł. Mniej więcej pięćset metrów od nich wysoka, szczupła postać brodziła niespiesznie we mgle, rozglądając się na wszystkie strony. W takich warunkach rozpoznanie jej było trudne, ale nie niemożliwe.

- Miguel?

Pytanie było zbędne. To musiał być Miguel. Czarny wilk tropiący ich w lesie. David znowu złapał Amy za rękę.

- Chodź...

Bez słowa skinęła głową. Wycofali się razem w głębszy mrok lasu. Wolno, diabelnie wolno, popęzli po mokrych, omszałych pniach, starając się nie złamać nawet najdrobniejszej gałązki i nie zgnieść nawet najmniejszego listka.

David obejrzał się przez ramię i nie był już pewny, co właściwie widzi. Czy to Miguel nadal na nich poluje? Mgła przemieszczała się z wiatrem - czarne postacie okazywały

się drzewami, z żalonym jękiem uginającymi się pod każdym mocniejszym podmuchem.

Odwrócił się i skoncentrował: szukał najlepszej trasy w tym ciemniejszym, jesiennym labiryncie.

Tak naprawdę nie miał pojęcia, dokąd prowadzi dziewczynę - po prostu jak najdalej od Miguela. Schodzili w dół przez sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt minut, przedzierając się przez gęsty i zdradliwy las. Amy poślizgnęła się kilka razy, a i sam David nie czuł się pewnie na błotnistym podłożu pokrytym mokrymi liśćmi. Mimo chłodu pocił się obficie. Dłoń Amy wydawała mu się coraz bardziej lepka. A mimo to wciąż słyszał - albo wydawało mu się, że słyszy - miękkie, złowieszcze kroki tego, który podążał za nimi. A może był to tylko kolejny *pottok*?

Teren opadał teraz znacznie łagodniej, a wśród gęstych koron mokrych drzew coraz częściej prześwitywała biel nieba. Zbliżali się do czegoś na kształt ścieżki. Po godzinie pełzania w strachu nareszcie powracali do cywilizacji.

- Tutaj. Tędy.

Pochyleni, przeszli pod na wpół zwałonym starym dębem. Jeżyny zagradzały im drogę. Dalej kamienista ścieżka wiała się w gęstwinie w kierunku małej doliny.

- Wiem, gdzie jesteśmy - odezwała się dziewczyna.

- Gdzie?

- Bardzo blisko Zugarramurdi. - Wskazała na przezrzedzający się tuman mgły. - To wioska, o tam, zaraz za wzgórzem.

- No to na co czekamy? Chodźmy! Pójdziemy do kawiarni i...

- Nie. Czekaj! - Jej głos był ostry, natarczywy, pełen lęku. - On zna te lasy. Spodziewa się, że tam właśnie pójdziemy. Musimy... - Włożyła rękę do kieszeni i wyłowiła z niej telefon. - Musimy się ukryć - dokończyła. - Aż ktoś nam pomoże, przyjedzie po nas.

Wspięła się kilka metrów wyżej po stoku pagórka, żeby złapać sygnał. David patrzył, jak wybiera numer, i domyślał się, że z pomocą miałyby przyjechać jej przyjaciółka Zara Garcia, ta dziennikarka. Chwilę później Amy schowała telefon i wróciła do niego.

- W porządku. Przyjedzie do wioski. Potrzebuje pół godziny.



- Ale gdzie się ukryjemy do tego czasu?

- Tędy.

Schodziła w dół zdecydowanym krokiem. Zdziwiony niezgrabnie ruszył za nią, chwytając się wystających korzeni, by utrzymać równowagę. Wreszcie błotnista ścieżka skręciła i rozszerzyła się, odsłaniając ubity placyk, za którym ciemniał wylot dużej jaskini.

Amy wyciągnęła rękę.

- To jaskinia czarownic z Zugarramurdi.

Grota miała wyjścia po obu końcach - była w istocie naturalnym skalnym tunelem, którego dnem płynął strumień, niczym strużka ścieków w gigantycznej betonowej rurze. Blade, szarawe światło odbijało się od powierzchni spienionej wody, rzucając jasne refleksy na długie sklepienie pieczary.

- Czyja jaskinia?

- Jaskinia czarownic — odparła bez emocji. - Zugarramurdi. Możemy się tu ukryć. System grot nie ma końca.

- Pewna jesteś?

Nie odpowiedziała. Może i słusznie, pomyślał David. Ucieczka przez las była wyczerpująca; musieli odpocząć. Amy wyglądała na wycieńczoną, jej twarz była usmarowana błotem. Potrzebowali pół godziny wytchnienia.

Ostrożnie ruszyli wąską odnogą ścieżki prowadzącą wprost pod kamienny nawis. Znaleźli się na półce skalnej, z widokiem na przestronne wnętrze jaskini i ciągnący się dalej tunel. W białych ścianach ciemniały wyloty bocznych korytarzy. Amy miała rację: byli w labiryncie komnat i przejść, które zachęcały ich, by weszli głębiej.

Usiedli. Ciepła, sucha skała wydawała im się jedwabiem po tym, jak zziębnięci przedzierali się przez mokry las.

David, wyczerpany, oparł głowę o kamienną ścianę. Zamknął oczy i zaraz je otworzył, czujny i wystraszony. Potrząsnął głową, by odpędzić senność, i rozejrzał się po grocie.

- Mówiłaś, że to jaskinia czarownic.

- Tak.

- Skąd ta nazwa?

Lekko wzruszyła ramionami.

- Dość niepokojąca historia. Jose mi ją opowiedział. Uwielbiał o tym mówić.

- Tak?

Amy posłała mu znużony uśmiech.

- Ty chcesz wszystko wiedzieć.
- Chcę. Proszę, opowiedz mi o tym. Obawiam się, że zasną, jeśli tego nie zrobisz.
- Niech ci będzie. - Ziewnęła, szukając w pamięci szczytów. - Ta jaskinia i łąki, które ciągną się za nią, stanowiły kiedyś *akelarre*, miejsce, w którym baskijskie czarownice urządzały sabaty. - Chciał o coś zapytać, ale uciszyła go gestem. - Mniej więcej czterysta lat temu Zugarramurdi stało się centralnym punktem nagonki przeciwko rzekomym wiedźmom. Francuski łowca czarownic, Pierre de Lancre, nabrał przekonania... - Amy skrzywiła się - ...a raczej zdecydował, że w zasadzie wszystkie Baskijki są czarownicami; zapewne dlatego, że to tak odmienna społeczność, tak wyróżniająca się mniejszość. Baskowie są po prostu inni.
- Chcesz powiedzieć, że... tak jak Żydzi?
- No właśnie. Zaczęło się mniej więcej w 1610 roku. Baskijska dziewczyna, która pracowała z dala od domu, na wybrzeżu, w Ciboure opodal Saint Jean de Luz, powróciła do rodzinnej wioski w górach. Do Zugarramurdi.

Światło odbite od nurtu strumienia błąkało się po sklepieniu jaskini i po stalaktytach przebijających pustkę.

- Nazywała się Maria de Ximildegui. Zaczęła denuncjować swoje przyjaciółki i krewniaczki. Twierdziła, że są czarownicami. Miejscowi księża wezwali Inkwizycję. Od bierano dzieci rodzinom i przesłuchiowano. Niektóre zaczęły mówić o nocnych koszmarach, w których pojawiały się usmarowane sadzą, nagie wiedźmy. Rzekomo zabierały je na powietrzne przejażdżki i diabelskie sabaty. Pojawiał się w owych wizjach i szatan, pod postacią kozła chodzącego na tylnych nogach. Rzekomo współżył z kobietami i dziećmi; ponoć miał wyjątkowo gruby, całkowicie czarny penis. Po tem naznaczał ich czoło pazurem. Mówiło się o „znamionach diabła”, które miały być dowodem opętania. - Amy patrzyła prosto w oczy Davida. Nie wiedział, co powiedzieć: może śmiać się czy zaprotestować. Kontynuowała więc opowieść, a jej głos odbijał się miękkim echem od ścian groty. - Tak się zaczęło to szaleństwo. Księża meldowali o swoich odkryciach, a paniczny strach przed czarownicami rozprzestrzenił się w głąb doliny, do Elizondo, Lesaki, San Sebastian.

Aresztowano tysiące ludzi, Davidzie, dosłownie tysiące kobiet, mężczyzn, dzieci... A wtedy kapłani znowu zabrali się do pracy: łamali kołem, upuszczali krew, torturowali każdego podejrzanego.

David starał się nie patrzeć na bliznę na głowie dziewczyny.

- Ależ... - bąknął. - W całej Europie działały się podobne rzeczy, chyba nie było to aż tak niezwykle. W tamtych czasach? Było jak w Salem, szła potrawa jakiś czas. Prawda?

- Nie. Nigdy w historii Europy nie było przypadku zbiorowego obłędu na taką skalę. Zjawisko to nazwano baskijską epidemią snów. Inkwizytorzy okaleczyli setki ludzi. Wieśniacy zlinczowali dziesiątki. Pięć osób oficjalnie spalono na stosie w Logrono.

- A de Lancre?

Amy wpatrywała się w szarawe światło.

- De Lancre był jeszcze bardziej skuteczny niż Inkwizycja. Jak mówiłam, popadł w obsesję: o związki z diabłem oskarżał wszystkich Basków; uważał ich za złą rasę, którą należy wytepić. Spalił setki ludzi, może więcej. To był holokaust. I to niedaleko stąd, w Iparralde. Za górami. - Amy wskazała ręką na potok. - Do dziś nazywają to miejsce Piekielnym Strumieniem. Jak na ironię, de Lancre był Baskiem. Nienawidził samego siebie.

Umilkła. David chciał zadać jeszcze jedno pytanie, ale na wpół uformowaną myśl nagle rozproszył niski głos, który poniósł się echem w jaskini.

- *Epa.*

Odwrócił się gwałtownie.

Miguel stał u wejścia do jaskini.

David zerknął w lewo i w prawo, rozpaczliwie kalkulując. Istniała tylko jedna droga zejścia z półki skalnej, na której siedzieli - czy to w stronę wylotu groty, czy w jej głąb - a wiodła tuż obok miejsca, w którym stał Miguel. Znaleźli się w pułapce.

- *Epa.*

David znał już to baskijskie słowo. Witaj. Terrorysta uśmiechał się leniwie, ale wyczuwało się w nim wściekłość; broń miał wycelowaną w ich stronę.

- *Euzkaraz badakizu?* Ach, nie. Oczywiście. Wy, Ame-

rykanie, znacie tylko jeden język. Pozwól więc, że ci coś wyjaśnię w bardziej osobisty sposób.

Rosły Bask podszedł skrajem kamiennej półki, ani na chwilę nie opuszczając lufy pistoletu. Zwolnił, gdy był blisko, i odwrócił się. Teraz dopiero David uświadomił sobie, że Mi-guel ma współnika: za nim podążał niski, krępy mężczyzna. Miguel skinął nań rozkazująco.

- Enoka. *La cuerda...*

Mężczyzna miał tatuaż przedstawiający *lauburu* na dłoni, w której trzymał zwój liny. Niewysoki Enoka zbliżył się posłusznie.

David spojrział z rozpaczą na Amy.

Mają ze sobą linę? To oznacza, że się przygotowali na to, co ma nastąpić.

Towarzysz Miguela zabrał się do pracy. Gdy związał im ręce za plecami, Amy i David siedzieli w milczeniu, nie stawiając oporu - terrorysta wciąż mierzył do nich z pistoletu. Po kilku sekundach byli już spętani jak zwierzęta prowadzone na rzeź.

Miguel zaczął mówić, ze smutkiem i gniewną pasją zarazem. Stał w blasku podziemnego strumienia, a jego długi cień drżał na sklepieniu jaskini.

- Wiesz co, Martinez? Bardzo dobrze prowadzisz. Na prawdę imponująco. Ale niestety jeszcze nie rozumiesz tych wzgórz. Nie rozumiesz tego kraju. Naszej mowy. I nie możesz zrozumieć tego: *Hizkuntza ez da nahikoa!* Nieprawdaż? - Uśmiechnął się półgębkiem i rozejrzał po grocie. Echo powtórzyło jego słowa. - Mówiłem ci, co się stanie, kiedy się znowu spotkamy. No i znalazłem cię. W jaskini czarownicy! Że też akurat tu. Mała wiedźma i jej wielki gaskoński przyjaciel. Jak stosownie. - Miguel odwrócił się. — Pamiętasz, Amy? Nasz cudowny wieczorny piknik? - Pochylił się, by patrzeć na nią z bliska. David zobaczył z obrzydzeniem, że lufa pistoletu czule gładzi policzek dziewczyny. - Mmm. Amy? Nie pamiętasz? Przypomnij sobie tę pyszną, krwistą kiełbasę. *Tripota*. I twoje ulubione *marmitako**. - Nie odpowiedziała, ale on nie rezygnował. - Czy to w tej jaskini

* *Marmitako* (bask.) - tuńczyk z ziemniakami, papryką, czosnkiem i cebulą (przyp. red.).

się kochaliśmy? A może to było w innej? Nie, chyba jednak tu. Zapomniałem.

Odwracała głowę, ale morderca konsekwentnie popychał lufą jej podbródek tak, by znowu patrzyła na niego. Uśmiechał się w milczeniu. Ona spoglądała z nienawiścią. On z uśmiechem.

Lecz teraz i ona się uśmiechnęła.

David obserwował ją ze zdumieniem.

Amy zadarła głowę i uśmiechnęła się niemal lubieżnie, a Miguel zamruczał:

- Wiesz, że zamierzam go zabić, prawda?

Skinęła głową.

- Tak.

- W takim razie, Amy, może najpierw się zabawimy?

Znowu skinęła głową. Pochylił się bardzo nisko.

- *Dantzatu nahi al duzu nirekin*. Zanim go zabijemy.

- Tak - zgodziła się. - Tak, proszę. Zerznij mnie tutaj.

Zerznij tak jak dawniej.

Miguel wybuchnął śmiechem - smutnym, ale pożądlwym. Przerazenie i rozpacz zmroziły serce Davida. Co tu się dzieje?!

Terrorysta przeciągnął lufę od ucha Amy do warg, niczym chirurg ćwiczący przed dokonaniem cięcia albo rzeźnik zaznaczający linię podziału mięśni. A potem odwrócił się do współnika, który czał się w półmroku.

- Enoka. *Vaya, adiós!*

Krępy mężczyzna wycofał się w pośpiechu i z wyraźną ulgą. David wodził wzrokiem od Miguela do Amy i z powrotem. Z narastającym lękiem przyglądał się ich twarzom.

Amy wciąż się uśmiechała z zadartą głową; uśmiechała się poddańczo, błagalnie, pożądlwie. Nerwowy tik w oku Miguela był ledwie zauważalny, w przeciwieństwie do erekcji w jego spodniach khaki.

W głowie Davida lęk mieszał się z odrazą. Nie chciał dłużej patrzeć na Amy. Jak mogła to robić? Czy miał to być jakiś ponury żart, urządzony jego kosztem? A może próbowała się ratować? A jeśli naprawdę pożądała Miguela? Czy tych dwoje prowadziło jakąś osobliwą, psychoseksualną grę, do której niezbędny jest widz?

Gniew przyspieszał bicie jego serca. Czuł pogardę. Wiedział, że sytuacja go przerasta.

Enoka zniknął w kamiennym tunelu. Zostali sami. Terrorysta właśnie rozwiązywał dziewczynie ręce. Gdy tylko były wolne, skierowały się ku niemu. Natychmiast zaczęła rozpinąć spodnie i zdejmować mu koszulę; całowała jego nieogolony podbródek, gładziła szczękę jak nałożnica kusząca swego sultana, by spędził z nią noc. Albo jak wiedźma zalecająca się do kozła.

David poczuł mdłości i odwrócił głowę. Nie chciał na to patrzeć. Tkwił tu wbrew własnej woli, związany, być może musiał słuchać, ale na pewno nie chciał tego widzieć.

- Ty! - zadudnił głęboki głos.

David otworzył oczy.

Miguel leżał na Amy: potężne ciało przeżyło się nad drobną dziewczyną niczym ciemny dach. Patrzył jednak wprost na Davida, a w dłoni ścisnął pistolet.

- Ty, Martinez. Patrz albo cię zabiję. Patrz, a potem cię zabiję.

Wściekłość tylko spotęgowała nudności. David zmrużył oczy - i patrzył.

Dziewczyna leżała na plecach. Jej usta szukały nagich ramion Miguela, całowały go zapalczywie. David patrzył z odrazą, jak Bask wchodzi w Amy. Teraz naprawdę się pieprzyli, naprawdę to robili, a ona wciąż go całowała. Wkładała palce do jego ust, a on je ssał i gryzł. Jego biodra poruszały się gwałtownie, wbijały się w nią. Pojękiwał, a na jego twarzy malowała się ekstaza.

- Moja słodka, czerwona *marrubi**. Mała dziewczynka. Si? Nadal kochasz swojego tatusia...

Gryzł jej piersi z iście wilczym apetytem i zaciskał ciemne dłonie na białych pośladkach; masywna, czarna sylweta przytłaczała biel jej ciała.

A potem, nagle i groteskowo, szczytował. Jego ramiona zadrżały i opadł bezwładnie na Amy. Jego głowa spoczęła na jej nagich piersiach. Dziewczyna gładziła ją delikatnie.

A potem otworzyła szerzej oczy i posłała Davidowi całkiem przytomne spojrzenie.

* *Marrubi* (bask.) - truskawka (przyp. red.).

- Idziemy.

David aż się zachłysnął.

- Co?!

- On śpi. Po seksie zawsze zasypia. Zawsze. I to najgłębszym snem. Mamy szansę!

Delikatnie zsunęła z siebie ciało Miguela. David z bezbrzeżnym zdumieniem uświadomił sobie, że nie kłamała: terrorysta chrapał, nieprzytomny. Nawet się nie poruszył, gdy Amy wreszcie zepchnęła go na piasek i kamienie.

David odwrócił wzrok, gdy się ubierała, a w jego głowie wirowały niezliczone pytania: Czy naprawdę zrobiła to tylko po to, żeby mogli uciec? Cóż to za okrutna komedia? Zauważył pistolet, który wysunął się z dłoni Miguela.

- Moje ręce.

Już przy nim była i walczyła z supłami. Gdy tylko go rozwiązała, David pochylił się, podniósł broń i rozejrzał się w poszukiwaniu Enoki. Nie było go w pobliżu.

Teraz David miał szansę zastrzelić terrorystę. Zastrzelić Wilka. Spojrzał na śpiącego prześladowcę. Nie umiał się na to zdobyć. Nie potrafił strzelić do śpiącego. Nie potrafił zabić człowieka. Był prawnikiem, nie mordercą, a cała ta sprawa była absurdalna - straszna, ale absurdalna. Poza tym, nawet gdyby go zabił, nie zdołałby go pokonać. Na murach w baskijskich wioskach i tak byłoby pełno malowideł wyobrażających Wilka. *Otsoko*. Co więcej, wspomnienie tego, co uczynił, na zawsze pozostałoby w jego pamięci.

- Proszę! - szepnęła błagalnie Amy.

Było w tym tyle emocji, że posłuchał jej. Wycofali się ze skalnej półki, wybiegli z jaskini i pognali na drugą stronę polany. Musiało im się udać. David czuł już dreszcz towarzyszący udanej ucieczce, nawet jeśli wciąż miał w pamięci ponurą scenę, której musiał być świadkiem. Amy biegła przed nim; była już na ścieżce niknącej między drzewami i krzewami.

- Zara będzie tu lada chwila.

Leśna ścieżka zmieniła się w gruntową drogę, a po chwili w szosę prowadzącą do spowitej mgłą wioski. Nad pustym placem zamajaczyła wieża kościoła w Zugarramurdi.

- Tam!

Gnali sprintem w stronę samochodu stojącego przy koś-

ciele. Niemal jednocześnie otworzyli drzwi. Zdenerwowana Zara natychmiast zasypała ich pytaniami, ale Amy odpowiedziała tylko:

- Jedź!

Wóz ruszył, a chwilę później wyjechał z Zugarramurdi, na kolejną szosę prowadzącą pośród gór.

David spojrział na siedzącą obok Amy i zobaczył, że płacze.

Zara jechała z dużą prędkością tą samą drogą, przy której zostawili wynajęty samochód. Potrzebowali ledwie paru minut, by przebyć odległość, którą, pelzając, pokonali w godzinę. Amy milczała uparcie; wytarła oczy i nie reagowała na niezliczone, coraz bardziej natarczywe pytania przyjaciółki.

Gdy wreszcie wyszli na deszcz, dziennikarka już tylko spoglądała na nich pytająco. Widać było, że bardzo chciałaby wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi i skąd ta absolutna cisza. Bez słowa podała Amy torbę z rzeczami, które zgodnie z instrukcją zabrała z jej mieszkania, używając zapasowego klucza. Wreszcie po raz ostatni spojrzała na przyjaciółkę z niemym pytaniem w oczach, a potem uruchomiła silnik i odjechała.

Nadal milcząc, pomaszzerowali mokrą ścieżką i chwilę później schronili się w kabinie zabłoconego, wynajętego wozu Davida.

Wszystko to robili automatycznie. Jak roboty. David odpalił silnik i sprowadził samochód w dół, ku szosie. Zatrzymali się. Wciąż byli w martwym, ciemnym sercu lasu.

Wyjął z kieszeni pistolet, przyglądał mu się przez chwilę, a potem zamachnął się z całej siły i wyrzucił go za okno. Nacisnął pedał gazu, skręcił ostro w prawo i pomknęli przed siebie, ku Francji. Jak najdalej od Hiszpanii, od Miguela, od zabójcy. Jak najdalej od jaskini czarownicy z Zugarramurdi.

Amy wciąż milczała.

- Wszystko w porządku? - odezwał się David.

- Tak. - Głowę trzymała prosto, wpatrując się w rzędy umykających drzew. - Nic mi nie jest.

W oddali pojawił się samochód. David poczuł nagły atak

strachu, ale to tylko miejscowy rolnik wybrał się dokądś niebieską, ubłoconą furgonetką. Gdy ją wyprzedzili, jeszcze przez długą chwilę obserwował w lusterku, jak powoli znika we mgle.

Mijały minuty. Wreszcie Amy spojrzała z nadzieją na Davida.

- Jedziemy do Francji?
- Tak.
- To dobrze.

Znowu wspinali się pod górę. Po dziesięciu kilometrach znaleźli się na skalnej grani piętrzącej się ponad lasami i strzeżonej przez orły szybujące na ogromnych skrzydłach. Tu przejechali granicę francuską, mijając opuszczone zabudowania służb granicznych. Teraz kierowali się znów ku dolinom.

Przez chwilę David czuł ulgę. Przynajmniej wyjechali z Hiszpanii, gdzie omal nie spotkała ich śmierć. I gdzie Amy została... zgwałcona. Czy to naprawdę był gwałt? Co tam właściwie zaszło?

Po raz czternasty w ciągu trzydziestu minut spojrzął w lusterko wsteczne. Tak na wszelki wypadek, żeby sprawdzić, czy nie jedzie za nimi żaden samochód. Żaden czerwony samochód.

Byli sami na szosie. Sięgnął ręką do karku, by rozmasować napięte mięśnie. Pokonując wiraże górskiej drogi, rozmyślał znowu o stosach, na których płonęły czarownice. I o Zugarramurdi.

Wyobrażał sobie te straszliwe sceny: ktoś ciągnie młodą kobietę za włosy przez ponury brukowany placyk; wieśniacy krzyczana nią, ciskają kamieniami; psy szczekają i próbują ją ugryźć. Słyszał dzieci szlochające w lochach, donoszące na swoich rodziców... Widział też kapłanów w czarnych kapturach, odzierających kobiety z odzieży w poszukiwaniu znamion, znaków po diabelskich szponach...

Spróbował oczyścić umysł i skupić się na drodze. Byli już w dolinie, a słońce grzało coraz mocniej przez cienką warstwę chmur, które wkrótce miały zniknąć. Błękitne jesienne niebo królowało nad zielonymi pagórkami i dolinami południowej Gaskonii.

- Piłował bale, kiedy go poznałam - odezwała się Amy.

David spojrzał na nią, wyrwany z zadumy. Powtórzyła. To był monolog, musiała to z siebie wyrzucić.

- Gdy po raz pierwszy zobaczyłam Miguela... To było na baskijskim festynie. Baskowie lubują się w tych wiejskich konkurencjach sportowych. Nazywają je *la force Basque*. *Herri Kirolak*. Próby wiejskiej siły. - Lekki podmuch powie trza wpadającego przez uchylone okno rozwiął jej grzywkę. - Rzucił głazami, rąbał drwa, wygrywał w przeciąganiu liny. Wiesz, był taki jak jego... legenda. Bo Wilk już był legendą; wszyscy o nim mówili: olbrzym z Etxalar, syn sławnego Jose Garovilla, facet o nieludzkiej sile. Jentil z lasów Irauty. On był półnagi, a ja miałam dwadzieścia trzy lata; to był czysto fizyczny pociąg. I żałuję tego. Przepraszam. Tak strasznie, kurwa, przepraszam.

David zastanawiał się, dlaczego Amy przeprasza; zastanawiał się też, do kogo te przeprosiny kieruje. Słuchał jej niekończącego się monologu, tych słów zlewających się z warkotem silnika i z migotaniem słonecznych promieni przebijających się przez korony przydrożnych drzew.

- A potem zrozumiałam, że jest bystry, ale też, że jest zabójcą, i to naprawdę brutalnym. Cała ta siła, chwała olbrzyma, jentila, wszystko to było skażone, nierozdzielnie połączone z okrucieństwem w czystej postaci. Ale seks był świetny, przynajmniej z początku. Taka jest prawda i tego też żałuję. Wiązał mnie. Ja go gryzłam. Raz mnie skaleczył, nożem, w głowę. To była nasza erotyczna gra. Z nożem. Doszłam, kiedy to zrobił. - Patrzyła prosto przed siebie, wbijając spojrzenie w daleki horyzont wzgórz. - Ale wreszcie zaczęłam mieć tego dość. W sumie szybko to nastąpiło. Miałam dość takiego seksu, dość przemocy. A on miał poważne problemy: psychiczne, emocjonalne, różne. To typ patologiczny. Ale zawsze, gdy uprawialiśmy namiętny seks, zapadał w sen, kiedy było po wszystkim. Głęboki sen podobny do śpiączki. Nie mam pojęcia dlaczego. - Patrzyła na Davida. - I tak to wygląda. To była dla nas jedyna szansa, bo nie wątpię, że on chciał cię zabić. Mnie być może też. Dlatego pozwoliłam, żeby mnie wypieprzył; sądziłam, że to nas może uratować. Przepraszam. Jeśli chcesz, możesz za trzymać wóz i zostawić mnie tutaj. Pojadę dalej autostopem.

Widać było, że z trudem powstrzymuje łzy. Gniew Davi-

da wygaś, a jego miejsce zajęło współczucie; w końcu był świadkiem tego wszystkiego i rozumiał, jak straszne musiało być dla niej to, co przeszła. Zrobiła to, żeby ich ratować, zatem jednak był to gwałt. Pewnego rodzaju gwałt. A może i nie? Tak czy owak, uratowała mu życie.

- Nie musisz już nigdy do tego wracać - powiedział poważnie.

Ale ona pokręciła głową. Jej usta drżały, gdy wpatrywała się w przesuający się za oknem pejzaż zielonych dolin i łagodnych pagórków Gaskonii.

- Ale ja chcę o tym mówić. Gdy tylko wszedł do jaskini, wiedziałam, że będzie chciał zrobić... coś takiego. Znam ten jego żarłoczny uśmiech. Zawsze lubił seks poza domem; lubił ryzyko, że zostanie przyłapany, że ktoś zobaczy. W jaskini czarownic też już to robiliśmy. To dlatego wiedziałam, gdzie jesteście. On wiecznie pragnął seksu; właściwie zawsze był taki wyposzczony.

- Tak mi przykro, Amy.

- Niepotrzebnie. To nie był gwałt, tylko... coś obrzydliwego. Kiedyś go kochałam i do końca życia sobie tego nie wybaczę. Ale on zamierzał cię zabić. A wcześniej zapewne torturować. To dlatego.

- Czy on... - David nie bardzo wiedział, jak to ubrać w słowa. - Czy on jest chory? Bo to, że jest łajdakiem, nie ulega wątpliwości, ale zdaje się, że jest w tym coś więcej.

- Kto wie. Może ma psychozę. Sama się nad tym zastanawiałam, widząc ten nerwowy tik. I to zapadanie w sen, to niewyczerpane libido. Uprawialiśmy seks po pięć, sześć razy dziennie. W przeróżnych miejscach. Z mnóstwem... - Skrzywiła się, ale po chwili ciągnęła: - Jak mówiłam: Wiązanie. Bicie. Kaleczenie. I gorsze rzeczy. Sam wiesz.

- Już dobrze...

Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, nie odrywając wzroku od krętej drogi. Przez kilka kilometrów milczał.

A potem zadał pytanie, które już wcześniej cisnęło mu się na usta.

- Czy teraz możemy pójść na policję?

- Nie.

- Wiedziałem, że to powiesz.

Uśmiechnęła się grzecznie.

- Jasne. Ale to prawda: Żadnej policji. To jedna z tych rzeczy, których Jose mnie nauczył. Gdy chodzi o Basków, nigdzie nie wolno ufać policji, po żadnej stronie granicy. - Znowu uśmiechnęła się blado, zaciskając usta. - Wiesz, że w Kraju Basków istnieje pięć formacji policyjnych? I wszystkie są niebezpieczne. Niektóre zabijają w interesie Hiszpanii. Inne zostały zinfiltrowane przez ETA. Całkiem możliwe, że znowu jedziemy na spotkanie niebezpieczeństwa.

- Tak, ale przecież jesteśmy we Francji.

- Co za różnica? Po prostu... uciekajmy. Weź to sobie do serca.

Ustąpił. Możliwe, że miała rację, nawet jeśli przecucie podpowiadało mu, że jest inaczej. Jednakże po tym, co się zdarzyło w ostatnich godzinach, nie zamierzał kwestionować jej osądów ani naciskać ją bardziej, niż było to konieczne.

Jechali więc dalej, w ciepłych promieniach słońca.

Po jakimś czasie zamienili się miejscami; Amy prowadziła wóz według wskazówek Davida. Doskonale wiedział, dokąd powinni jechać: dalej na północ i na wschód, w głąb Gaskonii, coraz dalej od Hiszpanii. W stronę kolejnych miast zaznaczonych na mapie: Savin. Campan. Luz-Saint--Sauveur.

Wiedział, dokąd pojedą, ponieważ bardziej niż kiedykolwiek był zdeterminowany, by odkryć całą prawdę o kościołach, o mapie i o swoim dziadku. Przerazające wydarzenia ostatnich dni tylko go umocniły w tym postanowieniu. Ku swemu zdziwieniu, wszystko to zaczynało go podniecać: ta prędkość, ten cel, to rozsądne uzasadnienie kolejnych kroków. Jego życie nareszcie miało satysfakcjonujący - choć niełatwy do osiągnięcia - cel; jego życie toczyło się szybciej i w precyzyjnie określonym kierunku, po dziesięciu latach apatii i obumierania. Czuł się tak, jakby podróżował niezwykle szybkim pociągiem po długotrwałym i bezcelowym wałęsaniu się po plaży.

Ale czy Amy wiedziała, dokąd zmierzają? Prawdopodobnie. Być może. Kto mógł to wiedzieć? Chwilami miał wrażenie, że dziewczyna oszukuje go i oczarowuje zarazem. Była jak granatowa toń nad skalistym dnem, pełna zwodniczo czystej wody. Gdy mówiła, zdawało mu się, że jej słowa zawsze są uczciwe, szczerze, że widzi dokładnie wszystko, aż po

skaliste dno. Lecz kiedy wskakiwał w tę toń, uświadamiał sobie prawdę: mógł utonąć w zimnej, niezmierzonej otchłani.

Zatem jechali.

Okolica była rozległa i niezamieszкана, a wąskie drogi pełne były wolno jadących ciągników i ciężarówek. Przez kilka godzin mijali senne wioski, zapomniane baskijskie osady i gospodarstwa reklamujące *Fromage d'iraty* na ręcznie malowanych plakatach. W hipnotycznym południowym słońcu David znowu oddał się sennym wędrówkom wyobraźni, tym razem wspominając dzieciństwo. Latem grywał z ojcem w rugby: pamiętał jego jasny, szczęśliwy uśmiech, mocny zapach szorstkiej skórzanej piłki, która przyjemnie drapała dłoń. Wielkiego psa brykającego beztrudno po trawie. Szczęście. A potem smutek.

Po długiej podróży zatrzymali się przed wielkim hiper-marketem Carrefour przy głównej drodze na Mauleon. W sterylnie czystej kafejce zjedli *croque monsieur* i *salade verte*, a potem kupili ubrania i pastę do zębów, w milczeniu spoglądając na siebie pomiędzy sklepowymi regałami. Byli uciekinierami. Ukrywali się. Czy naprawdę nie mogli zaufać nawet policji?

W końcu wjechali do niewielkiego miasta Mauleon Le-charre, położonego nad urokliwą rzeką, a otoczonego zielonymi wzniesieniami Pirenejów.

David skierował wóz wprost do średniowiecznego centrum miasta i tam zaparkował. Przeciągnął się, przeraźliwie obolały po długiej podróży, a także po fatalnych przeżyciach w jaskini i w lesie. Miasteczko było ciche; tylko nieliczne pary spacerowały w półmroku wąskich, brukowanych uliczek. Amy i David dołączyli do nich, kierując się w stronę rzeki. Zatrzymali się na moście, by popatrzeć na płynącą wodę. Na ciemniejącym niebie śmigły jaskółki. David ziewnął.

- Jestem wykończony.

- Ja też.

Zostawili samochód tam, gdzie stał, i pieszo poszli do najbliższego hotelu - urokliwego, choć skromnego dwugwiazdkowca przy głównym placu miasteczka. Właścicielka miała pięćdziesiąt parę lat oraz długie paznokcie tak przesadnie wymalowane, że wyglądały jak fioletowe szpony.

- *Bonsoir! J'ai deux chambres, mais tres petites.*

- W porządku - odparł David, starając się nie patrzeć na jej dłonie.

Winda była prawdopodobnie najciaśniejsza w całej Ga-skonii. W pokoju David zapadł w niespokojny sen, który męczył go przez całą noc.

Snił o płonącym domu. Słyszał błaganie o pomoc, ale nie mógł nic zrobić. Stał w ogrodzie, patrząc na szalejące płomienie, które lizały ściany, aż wreszcie zobaczył w oknie poczerniałą, osmaloną twarz. To była jego matka. Była w środku, przyciskała dłonie do szkła, próbując dotknąć syna, i powtarzała: „To nie twoja wina, David, to nie twoja wina”, a potem nagle rozdzwoniły się dzwony kościelne i David...

Obudził się.

Spocony.

To nie dzwony.

Dzwonił telefon. David odchrząknął i na wpół przytomny sięgnął po słuchawkę.

- David? Halo? - To była Amy.

Była dziewiąta rano.

Wykapany i przebrany zszedł na dół. Gdy się zjawiała na tarasie, by zjeść śniadanie pod gołym niebem, spojrzała na niego pytająco.

Natychmiast się przyznał.

- Miałem złe sny. Wciąż myślę o śmierci rodziców. Dla tego miewam koszmary.

- To chyba nic dziwnego.

- Wydają mi się ważne, chociaż nie wiem dlaczego.

- Może powinienes mi o nich opowiedzieć? Wyjaśnić. To może pomóc.

- Ale... co? - Wzruszył bezradnie ramionami. Ofiara niekończących się, niepojętych wspomnień. - Co dokładnie chciałabyś usłyszeć?

- Sama nie wiem. Może powiedz mi, jak doszło do wypadku. - Uśmiechnęła się ciepło, z empatią. David miał ochotę ją przytulić, ale zwalczył to w sobie. - Albo w jaki sposób dowiedziałeś się o katastrofie.

- Niech i tak będzie...

Umilkł, stwierdzając nagle, że to bardzo trudne. Jeszcze nigdy z nikim o tym nie rozmawiał. Spoglądał na nadgry-

zionego rogała z dżemem wiśniowym. Amy przyszła mu z pomocą.

- Ile miałeś lat, kiedy to się stało?
- Piętnaście.
- Piętnaście? - powtórzyła z lekkim niedowierzaniem.
- Tak - potwierdził. - Pewnego lata wybrali się w końcu sami na wakacje. Moja mama i mój tata.
- I zostawili cię samego, choć byłeś jeszcze taki młody?
- Tak. Było w tym coś niezwykłego. Byli świetnymi rodzicami, zawsze spędzaliśmy wakacje razem. Aż tu nagle stwierdzili, że wybiorą się gdzieś sami, i to na cały miesiąc. Za granicę.

- Zostałeś sam w Anglii?

David rozejrzał się. Na tarasie było jeszcze tylko dwoje gości: małżeństwo Niemców w milczeniu smarowało bułki masłem. Sezon urlopowy dobiegł końca. David wołał nie myśleć o Miguelu. Znowu popatrzył na Amy.

- Zostawili mnie u Andersonów w Norwich; to byli przyjaciele mamy. Ja zresztą też przyjaźniłem się z ich dziećmi. To właśnie Andersonowie przygarnęli mnie, kiedy... kiedy mama i tata... kiedy mieli... no, wiesz, wypadek. Kiedy zginęli.

- Rozumiem.

- Było w tym wszystkim coś dziwnego! - powiedział nie spodziewanie podniesionym głosem. Zarumienił się i dodał znacznie ciszej: - Dziwne było to, że gdy zapytałem mamę, dlaczego wyjeżdżają beze mnie, ona odpowiedziała: „Jedźcie my, żeby poznać prawdę”, a tata zaśmiał się tak dziwnie, jakby z zażenowaniem.

Amy pochyliła się nieco w jego stronę.

- Żeby poznać prawdę? Co mogła mieć na myśli?

- Nie mam pojęcia. I chyba nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad tym. Nigdy nie chciałem się nad tym zastanawiać.

David westchnął i potrząsnął głową. Upił łyk kawy i zapatrzył się na rzekę i zabytkowy most. Zastanawiał się, czy Miguel kontynuuje pościg, a także nad tym, skąd mógł wiedzieć, że ukryli się w jaskini czarownic. Przeczynał, że znowu zostaną odnalezieni, gdziekolwiek by się ukryli i dokądkolwiek by uciekli.

I nic dziwnego. David poczuł znów dreszcz strachu, widząc, że Miguel obserwuje ich nawet teraz. Z mostu. Średniowieczne balustrady pokrywało graffiti ETA; słowa nakreślono niestarannie, ale można było je odczytać: *Viva Otsoko!*

Tuż obok słowa *Otsoko* widniała prymitywna, ale czytelna podobizna czarnego, wilczego łba.

Wilk.

A zatem był i tu. I obserwował, zawsze obserwował. Patrzył, jak raczą się rogalikami z dżemem wiśniowym.

David splukał gorzki smak graffiti łykiem kawy z mlekiem. Celowo przeniósł spojrzenie dalej, poza bryłę mostu i z dała od niepokojącego malowidła: na drugą stronę rzeki, ku szarym, mansardowym dachom Mauleon.

Za rwącą strugą górskiej rzeki stał też kościół z wysoką wieżą, a przed nim rząd renaultów i citroenów. Ładna kobieta po trzydziestce właśnie wychodziła z piekarni, a z jej torby sterczała długa bagietka. W oknie wisiała reklama *gateaux basques*, grubych ciast ozdobionych lukrowanym znakiem *lauburu*, z pomarańczami i dżemem wiśniowym w środku.

David przyglądał się ładnej blondynce, podobnej do jego matki.

I właśnie teraz, nareszcie, otworzyła się stara rana - niczym tort, *gateau basque*, przekrojony na połowę i odsłaniający wewnątrz nadziane czerwonym dżemem wiśniowym.

Pamiętał doskonale tę scenę: przyjaciółka jego matki, pani Anderson, niepewnie weszła do jego pokoju. Miała zaczerwienione oczy, zacinała się, szlochała, a potem przeproszała. Aż wreszcie wyjaśniła, co się stało. Wypadek samochodowy we Francji.

David próbował wtedy być dzielny: był chłopcem, a starał się być mężczyzną. Miał tylko piętnaście lat, a jednak nie pozwolił sobie na łzy w obecności pani Anderson. Dopiero gdy cicho zamknęła za sobą drzwi, coś w nim pękło, coś na zawsze przerwało srebrny łańcuch życia. Odwrócił się, wcisnął twarz w poduszkę i zapłakał, starając się jednocześnie stłumić ten wstydlivy przejaw słabości.

Od tamtej pory celowo unikał tych stron; nigdy nie odwiedził Francji, nigdy nie starał się poznać okoliczności

tragedii - jak do niej doszło i co tak naprawdę pozbawiło życia jego rodziców. Zamiast tego po prostu zebrał uczucia, wspomnienia, smutne myśli i złożył je na samym dnie duszy. A potem skupił się na pracy i studiach, na utrzymaniu się na powierzchni życia wbrew wszelkim przeciwnościom. Chciał się obronić przed przeszłością, a teraz znalazł się w Gaskonii. Niedaleko Navarrenx. Opoдал Navarrenx.

- Nic ci nie jest?

- Amy uśmiechała się współczująco, z niepokojem, sympatią i czułością, choć nie wiedziała, co się działo w jego głowie. A może błędnie odczytywał jej emocje? Może nawet jej uśmiechy nie były tym, za co je brał?

- Nic - odparł, czując ucisk w gardle. - Coś sobie uświa domilem. Coś, co dawno już powinienem był zauważyć.

- Co takiego?

Patrzyła, jak rozkłada na stoliku miękką, wyblakłą mapę usianą niebieskimi gwiazdkami.

David przyjrzał im się kolejno. Mapa nagle nabrała dla niego niezwykłego znaczenia. Z trudem przełknął ślinę, walcząc z emocjami.

- Spójrz tutaj. Te znaki. Staranność, z jaką zostały wyrysowane. Ja znam ten styl.

- Jak to?

- To dzieło mojego ojca. Mapa musiała należeć do niego. I zaznaczył na niej... to miejsce. - David wskazał na jedno z miast po francuskiej stronie granicy.

Amy podniosła się z krzesła, by przyjrzeć się bliżej.

- Navarr... enx - przeczytała. - To niedaleko stąd... I jest tu ten znak, zatem i tu musi być jeden z kościołów. W porządku...

- Ale spójrz tutaj. - Palec Davida przesunął się nieznacznie, wskazując na jeszcze mniejsze miasteczko, nie daleko Navarrenx.

Amy spojrzała na niego.

- Gurs? To niedaleko.

Skinął głową. Czuł suchość w ustach.

- Gurs.

- To znaczy?

- Słyszałem już tę nazwę. Dawno, dawno temu. Pamiętam, jak wyszeptala ją pani Anderson.

- A zatem Gurs...
- To miejsce, w którym moi rodzice mieli wypadek, jak sądzę. Ojciec musiał mieć tę mapę przy sobie, kiedy to się stało. Zginęli, podążając szlakiem wyrysowanym na tej mapie.

Siedząc w swoim małym domku na północnym przedmieściu Londynu, w gabinecie z widokiem na mały trawnik, Simon usiłował pracować. Tyle że jego czteroletni synek Conor wciąż przybiegał, by pokazać mu pająka albo zapytać, co lubią jeść owce, albo namawiać na wspólne oglądanie *Tomka i przyjaciół* na DVD.

Trudno mu było sprzeciwić się prośbom syna. Wiedział, że jest zbyt pobłażliwym ojcem, a było tak być może dlatego, że dość późno - w trzydziestym szóstym roku życia - doczekał się dziecka. Był jednak pobłażliwy także dlatego, że zwyczajnie uwielbiał swojego synka, jego ufne, błękitne oczy, a także i sposób, w jaki popychał kijkiem niesforną piłkę. Conor był siłą natury. I potrafił skutecznie rozśmieszać rodziców.

Simon musiał jednak popracować. Pierwsze dwa artykuły, które opublikował „Telegraph”, poświęcone dziwnym, powiązanim ze sobą morderstwom, wywołały pewne poruszenie. Wydawca chciał jednak czegoś więcej. Znacznie więcej. Simon musiał więc zagłębić się w temat: przeznaczył na to już tydzień.

Przekupiwszy Conora ekologicznym sokiem malinowym z kuchennego kredensu, wrócił do gabinetu, zamknął drzwi i pozwolił, by sprawą *Tomka i przyjaciół* zajęła się opiekunka, na którą z trudem było ich stać. Zasiadłszy znów przed monitorem, raz jeszcze spojrzął za okno, na niekończące się przedmieścia i na czyjąś tłustą żonę wieszającą pranie.

A potem wrócił do pracy.

Syndaktylia.

Problem polegał na tym, że niewiele mógł dowiedzieć się

na temat tej przypadłości. Pół godziny poszukiwań przyniosło mu tyle samo informacji, ile zdażył wcześniej usłyszeć od swojej żony. Była to względnie popularna deformacja, powiązana z wieloma wadami genetycznymi, a raczej całymi zespołami dolegliwości, związanymi z aberracjami chromo-somalnymi. Nazwy wydały się Simonowi nader dźwięczne: zespół Aarskoga, zespół Lemliego-Opitza, zespół Cornellii de Lange.

Simon zamrugał powiekami, spoglądając na jasny ekran. Przeczytał nazwy dwa razy, po czym sięgnął po długopis i zapisał je w notatniku.

Coś sobie uświadomił. Wiele z nazw owych zespołów zawierało francuskie nazwiska. Zespół Bardeta-Biedla. Zespół Aperta.

Francuskie?

Kolejnych dwadzieścia minut poszukiwań w Internecie przyniosło odpowiedź. Wiele z owych zespołów było spowodowanych chowem wsobnym - „związkami osób spokrewnionych”, jak zgrabnie objaśniono w jednym z artykułów. Był to typowy problem odizolowanych górskich społeczności.

Na przykład zamieszkujących Alpy czy Pireneje.

To dlatego tak wielu francuskich lekarzy zetknęło się po raz pierwszy z tymi dolegliwościami i, w swej próżności, podzieliło się z nimi nazwiskiem. W górzystych regionach Francji odkryto najwięcej anomalii genetycznych.

Simon spoglądał na pulsujące na ekranie słowa. Pireneje. Południe Francji. Baskijskie Pireneje. Znowu sięgnął po długopis. Zanotował słowo „Pireneje” - w zasadzie bez konkretnego celu. Spojrzał na notatnik. Zza ściany dobiegał radosny śmiech synka, ale nie rozproszyło to Simona.

Myśląc intensywnie, wrócił do ekranu. Pospieszenie wpisał hasła „Pireneje” i „deformacja”. Przejrzał kilka stron internetowych. Wspominano o wolu. I o chorobach psychicznych. O dolegliwościach wrodzonych wywołanych kazirodztwem albo brakiem jodu, albo ubogą dietą. I wreszcie pojawiło się coś, czego absolutnie się nie spodziewał.

Aż do osiemnastego wieku w Pirenejach - i nie tylko — uważano wrodzone deformacje ciała za rzecz właściwą ludziom przeklętym, a także czarownicom.

Na jednej z krzykliwie zaaranżowanych stron napisano

tak: „Podczas wielkiego polowania na czarownice w szesnastym i siedemnastym wieku setki niewinnych osób torturowano, okaleczono i spalono na stosie tylko dlatego, że miały nieszczęście przyjść na świat z dodatkowym palcem albo trzecim sutkiem. Kamienowano też ludzi tylko za to, że urodzili się kretynami”.

Tortury. Kamienowanie i palenie na stosie. Pamięć podsunęła Simonowi wizję zdjęć ofiary z Primrose Hill. Nawinięcie. Czy w taki sposób torturowano czarownice?

Wystarczyły cztery sekundy. To jest to, pomyślał. Zastanawiał się przez moment, czy bicie jego serca rzeczywiście jest w tej chwili słyszalne, czy mu się tylko zdaje.

„*Nawinięcie*. Forma tortur popularna w siedemnastym stuleciu, polegająca na wetknięciu kija we włosy potępionej wiedźmy i skręcaniu ich w coraz ciaśniejszy węzeł. Gdy inkwizytorowi brakowało siły, przytrzymywał głowę ofiary lub umieszczał ją w specjalnym imadle, a jego pomocnicy kontynuowali tortury. Często dochodziło do oderwania skalpu”.

Simon zastanawiał się, dlaczego gliniarze sami nie znaleźli tej informacji. Sanderson twierdził przecież, że Toma-sky już zgłębił temat „nawinięcia”. Albo nie starali się należycie, albo ukrywali przed nim fakty. Nie byłby to pierwszy przypadek zatajenia ważnych szczegółów śledztwa.

Simon zapisał coś jeszcze w swoim notatniku. Małe przypomnienie. Po chwili znowu spojrzął na ekran. A co z tą kobietą z Fouli? Tą z twarzą pociętą na wstążki? Simon przewinął w dół listę tortur, którym poddawano czarownice. Po chwili musiał przerwać. Hiszpański pajak, wahadło, kołyska Judasza, hiszpańskie buty, rwanie końmi, gruszka... I wreszcie znalazł.

Nacinanie.

Nic dziwnego, że nie mógł odnaleźć tego hasła, męki zadane ofierze z Fouli nie nazywały się bowiem „nacinaniem”, ale „wyrzynaniem ust”. Opisano je w prostych słowach: wokół ust i na policzkach czarownicy metodycznie wykonywano serię nacięć, aż jej twarz zmieniała się „w jedną odrażającą ranę, a skóra odchodziła od kości; ból tej niewiarygodnie okrutnej tortury wystarczył, by pozbawić ofiarę przytomności”.

Simon sięgnął po kubek, ale kawa była już całkiem zim-

na. Siedział więc przez parę minut w zaciszu gabinetu, zastanawiając się nad wszystkim, co odkrył tego ranka. Wnioski nie były oczywiste.

W gruncie rzeczy - nic się nie zgadzało. Trzy morderstwa popełniono w trzech różnych częściach kraju, a jednak ofiarami były wyłącznie osoby w podeszłym wieku, samotne, pochodzące z baskijskich Pirenejów. W dwóch przypadkach pojawiły się elementy tortur, które stosowano niegdyś wobec czarownic. Nie było jednak żadnych dowodów na to, iż nieszczęsne te osoby istotnie były „wiedźmami” - cokolwiek miałyby to znaczyć.

Jakby tego było mało, dwie torturowane ofiary miały lekko zdeformowane ciało: cierpiały na syndaktylię, czyli zrośnięcie palców; dolegliwość popularną w małych, odizolowanych społecznościach - na przykład wśród górali pirenejskich. Na południu Francji.

Simon czuł się jak małe dziecko spoglądające w jasny ekran telewizora ze zbyt małej odległości: widział kolory poszczególnych pikseli, drobne detale, ale siedział zbyt blisko szklanej tafli, by rozszyfrować obraz całości.

Musiał więc cofnąć się nieco. Zająć bardziej obiektywne stanowisko.

Raz jeszcze przeanalizował pozostałe fakty.

Morderstwa popełniono z kliniczną precyzją i skutecznością, nawet jeśli ich elementem były odrażające tortury. Zabójca lub zabójcy z Fouli musieli być doskonale wyposażeni, skoro nikt nie zauważył ich przybycia; być może mieli nawet łódź. Zapewne zjawili się pod osłoną nocy, poszli prosto do domu Julie Charpentier, poddali ją torturom, a następnie uśmiercili. Zaraz potem, jeszcze przed świtem, opuścili wyspę.

W sprawie z Primrose Hill widać było równie doskonale przygotowanie i wprawę morderców. I tu, po ekstremalnych torturach, ofiarę uśmiercono z zawodową sprawnością, za pomocą garoty. W morderstwie w Windsorze nie było motywu tortur, ale sprawcy zadziałali równie skutecznie. To nie mogła być sprawka bandy nastoletnich gotów naćpanych klejem - co do tego Simon nie miał najmniejszych wątpliwości. Tych czynów dokonał ktoś - lub jakaś organizacja - kto realizował bardzo szczegółowy plan.

Istniała jeszcze jedna okoliczność, dodatkowo komplikująca sprawę. Zaiste intrygująca okoliczność. Jedna z kobiet była nie tak dawno nagabywana przez młodego genetyka, niejakiego Angus Nairna, który próbował pozyskać do badań próbkę jej krwi.

A ów genetyk właśnie zaginął.

Ten fakt, ustalony już na początku tygodnia, był zaiste zdumiewający. Simon wpisał nazwisko Angus Nairna do wyszukiwarki Google, gdy tylko wrócił ze Szkocji. Szybko się przekonał, że i z tym człowiekiem wiąże się jakaś tajemnica. Nairn zaginął osiem tygodni wcześniej.

Pracował w prywatnym londyńskim instytucie badawczym zwanym GenoMap, należącym do organizacji zajmującej się badaniem różnorodności genetycznej. Laboratorium nie działało od trzech miesięcy - zamknięto je w następstwie jakichś kontrowersji - a wkrótce potem Nairn po prostu zniknął. Nikt nie znał miejsca jego pobytu. Ani rodzice, ani byli koledzy z instytutu, ani przyjaciele. Nikt.

Naturalnie było możliwe, iż zniknięcie Nairna było przypadkowe. Może jego kontakty z Julie Charpentier były całkiem niewinne. A jednak coś podpowiadało Simonowi, że jest inaczej: związki między wszystkimi zdarzeniami nie zostały do końca wyjaśnione, ale jednak były dostrzegalne. Genetyka, deformacje, Pireneje, Baskowie, badanie krwi... Potrzeba było jedynie czasu, by z pojedynczych ogniw ułożyć łańcuch zależności.

Simon zerknął na zegarek i sięgnął po kurtkę. Dochodziło południe, a on musiał złożyć komuś przykrą, obowiązkową wizytę.

Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku innego przedmieścia, tam, gdzie obwodnice graniczyły już z pierwszymi gospodarstwami i krótko przyszyżonymi polami golfowymi. I z hektarami pluszowej zieleni, które otaczały St Hilary Mental Health Institution.

Czterdzieści minut po wyjściu z domu dziennikarz stał już opodal boiska, obserwując mecz piłki nożnej w wykonaniu pacjentów.

Gdyby nie wiedział, na kogo patrzy - na wariatów kopiących piłkę - być może wcale nie domyśliłby się prawdy. Dopiero z bliska zorientowałby się, że coś jest nie tak w tej

kopaniu. Bramkarz pełzał po polu karnym bez wyraźnego powodu. Obrońca kłócił się, zapamiętał i gwałtownie, z chorągiewką stojącą w narożniku.

- Simon!

Doktor Fanthorpe, zastępca głównego psychiatry, pomachał do niego ręką, a po chwili podbiegł, żeby się przywitać.

„Leczenie futbolem” było ulubionym projektem prowadzonym przez Billa Fanthorpe’a. Jego zdaniem gra pomagała w adaptacji społecznej najbardziej oderwanym od rzeczywistości pacjentom z psychozami - mogli bowiem grać w zespole - a ponadto pozwalała im zdobywać nagrody za strzelone bramki, co z kolei pomagało w leczeniu niskiej samooceny. Co więcej, ćwiczenia fizyczne sprzyjały utrzymaniu odpowiedniej masy ciała pacjentów, a przecież tak wielu z nich miało problem z otyłością.

- Cześć, Bili.

Lekarz się uśmiechnął. Miał na sobie szorty, za duże co najmniej o trzy numery.

- Czytałem twoje teksty w „Telegraph”. Nadzwyczajna historia, te baskijskie morderstwa!

- Tak... To dość dziwna sprawa. Ale jak się miewa Tim? Czy on...?

Bili był jeszcze zdyszany.

- Tak... Nie jest źle. W zeszłym tygodniu miał kilka ataków, ale w tym jest znośnie. Naprawdę całkiem znośnie. Hej, atakuj go! - ryknął psychiatra dokładnie w chwili, gdy napastnik uniknął żałośnie słabej próby przechwycenia przez obrońcę i z łatwością zdobył bramkę. Z łatwością tym większą, że bramkarz siedział na trawie z zamkniętymi oczami.

Simon miał ochotę wybuchnąć śmiechem, ale się powstrzymał, choć wiedział, że jeśli się nie zaśmieje, to być może będzie musiał zapłakać. Przecież tam był jego brat. Ten pulchny schizofrenik po czterdziestce, mamroczący coś w rogu boiska, przy chorągiewce. Ten nożownik. Przy końcu pola gry spacerował znudzony ochroniarz. Simon się domyślał, że jest uzbrojony - w końcu był to zakład zamknięty.

Sędzia dmuchnął w gwizdek.

- Trzy do dwóch! - zawołał podniecony Bili. - To świetnie, naprawdę doskonale. Pozwól, że przyprowadzę Tima.

Jedna połowa umysłu Simona chciała w tym momencie wymknąć się niepostrzeżenie. W końcu wypełnił swój obowiązek, zobaczył Tima - choć z pewnej odległości - i mógł z czystym sumieniem powiedzieć sobie, że brat żyje, wycofać się, wrócić do żony, synka, opiekunki i udawać, że Tim nie istnieje, udawać, że w jego rodzinie nie ma ani śladu morderczych genów, udawać, że nie spogląda na swego malca co najmniej raz dziennie, zastanawiając się: Czy ty też będziesz taki? Odziedziczyłeś to?

- Simon?

Tim wyglądał na bardzo zadowolonego z wizyty brata. Simon uściskał go mocno. Grube, białe uda Tima wyglądały dziwnie delikatnie w niebieskich, nylonowych szortach.

- Dobrze wyglądasz, Timothy. Jak się czujesz?

- Och, dobrze, bardzo dobrze; świetny mecz, prawda? - Tim promieniał.

Simon przyjrzał się uważniej jego twarzy. Włosy nieco posiwiały, policzki były jeszcze bardziej zaokrąglone niż ostatnim razem, a mimo to znowu wydawało się, że Tim się nie starzeje. Czyżby choroba pomagała mu zachować młodość? A może to tylko wizerunek brata utrwalił się w umyśle Simona: obraz Tima z nożem w ręku dżgającego mamę w sypialni. I krew. Mnóstwo krwi.

- Świetnie grałeś - odezwał się dziennikarz, starając się nie dopuszczać do siebie nienawiści. To nie jego wina, myślał.

- O tak. Miałbym szansę w sporcie. Długo zostaniesz? Mamy tu... Tak. Niewątpliwie. Tak.

Starali się prowadzić rozmowę, ale budowanie zdań było zadaniem ponad siły chorego i po paru minutach dialog zamarł. Tim skupiał się już na czymś innym, a ściślej - myślał Oniebieskich migdałach. Simon znał ten wyraz twarzy, to roztargnienie i udręczenie zarazem: jego brat znowu słyszał głosy. Drobne tiki, mrugnięcia, drżenie twarzy. Tim próbował się uśmiechać, ale te niezrozumiałe rozkazy rozlegające się w jego głowie były silniejsze.

Litość wypełniała braterskie serce. Litość, nienawiść i miłość na dokładkę. Smutek tej sceny przerastał Simona. Chciał już odejść, zostawić tu Tima na resztę życia.

- Muszę już iść, Tim.

Brat spojrział na niego z wyrzutem.

- Nie zostaniesz dłużej? Krótka byłaś. Zajęty, oczywiście. Zajęty jak zwykle. Zajęty, dopóki...

- Tim?

- Ja oczywiście też jestem zajęty, pracuję. Doskonale... W systemie.

- Tim, posłuchaj. Tata przesyła ci pozdrowienia.

Oczy Tima zamglily się, jakby z żalu, kiedy tak stał w łagodnym jesiennym słońcu na trawniku zakładu dla umysłowo chorych. Czyżby zamierzał się rozplakać? Simon nie chciał tego oglądać.

- Simon?

- Tim.

- Raczej, wiesz, niewątpliwie, matka i ojciec w Południowej Afryce. Simon. Ja... Ja... Ja coś zrobiłem. Dla ciebie.

- Słucham?

Bili Fanthorpe podszedł bliżej; obserwował ich teraz z odległości paru metrów.

Tim sięgnął do kieszeni nylonowych szortów. Wyjął nieduży, płaski przedmiot, prymitywnie wyrzeźbiony z kawałka drewna.

- To Gusty. Strasznie fajny. Pamiętasz Gusty'ego, pamiętasz go? Zrobiłem pieska, mam nadzieję, że ci się podoba.

Młodszy brat przyjrzał się bliżej małej drewnianej zabawce. Teraz rozumiał. Gdy byli dziećmi, mieli spaniela Augustusa - Gusty'ego. Simon i Tim spędzali całe godziny i dni, a nawet całe wakacje, bawiąc się z nim. Biegali po wrzosowiskach i zalanych słońcem plażach. To był symbol szczęśliwszych czasów, zanim nastął mrok schizofrenii Tima.

- Dziękuję, Tim. Dziękuję... bardzo.

Miał ochotę cisnąć tę głupią figurkę w krzaki. Jednocześnie chciał ją przytulić, i to bardzo. Było coś głęboko poruszającego w tym drobnym, prymitywnie wyciosanym przedmiocie.

Lekarz podszedł bliżej.

- Tim miał zajęcia techniczne. Pomyślałem, że ci się spodoba...

- Tak - odparł Simon. - Jest piękny. Dzięki.

Bili się wycofał, a dziennikarz raz jeszcze uściśnął brata. Gdy Tim obdarował go swym szalonym, szerokim, pełnym

niepokoję uśmiechem, Simon znów pomyślał z trwogą, że jego brat jest podobny do Conora - to był ten sam uśmiech, dokładnie ten sam.

Zebrał siły, by nie puścić się sprintem alejką wiodącą do bramy. Ucisnął rękę Fanthorpowi i wolno wrócił do samochodu. Idąc przed siebie, czuł w duszy nieznośny żal. Wciąż ścisnął w dłoni zabawkę. Wyjął portfel i wsunął drewnianego pieska do kieszonki tuż obok pukla włosów, który uciął Conorowi wkrótce po urodzeniu.

Czuł przemożny smutek. Z ulgą wsiadł do samochodu. Nawet półgodzinne stanie w wiecznym korku na północnej obwodnicy mu nie przeszkadzało. Było wręcz coś kojącego w regularności, z jaką ruch blokował się właśnie w tym miejscu. Absolutnie przewidywalnie.

Zachmurzyło się i zaczął padać lekki deszcz. Po kilkunastu minutach zadzwonił telefon Simona.

Edith Tait.

Powiedziała, że właśnie spotkała ją niebywała niespodzianka: Okazało się, że to ona jest beneficjentką ostatniej woli Julie Charpentier.

To akurat nie wydało się Simonowi niebywałe. Patrząc na samochód stojący przed nim, poprosił staruszkę, by wyraziła się nieco konkretniej.

- Chodzi o kwotę, panie Quinn, o sumę. Dzwoniłam już do pańskiego kolegi policjanta, ale nie zastałam go. A myślę sobie, że chcieliby panowie o tym wiedzieć. Więc dzwonię do pana.

Simon wrzucił bieg i wóz przesunął się mniej więcej o kilkanaście centymetrów.

- Proszę mówić. Ile tego będzie?

- No cóż - zaśmiała się zażenowana Edith. - Trochę wstyd się przyznać.

- Edith?

Kobieta odetchnęła głęboko i odpowiedziała:

- Julie zostawiła mi pół miliona funtów.

Pogoda pogarszała się z chwili na chwilę. Ulewny deszcz zaczął bić w dachy nieruchomych samochodów nad głowami wściekłych kierowców.

Amy odeszła na koniec tarasu, by zatelefonować do Jose. David obserwował ją z daleka: jej ożywione gesty i rozwiane ożywczym wiatrem jasne włosy. Widząc, jak marszczy czoło, domyślał się, że rozmowa jest dziwna albo trudna. Po chwili usiadła obok niego. Nachylił się ku niej.

- Co powiedział Jose? Pytałaś go o moich rodziców? I czy w tej sprawie rzeczywiście chodzi właśnie o nich?

Amy położyła telefon na stoliku.

- Cóż... trudno było cokolwiek zrozumieć. Mówił bez końca, prawie od rzeczy. Gorzej niż wtedy, gdy pokazałaś mu mapę.

- I...?

- Powiedział, że musimy uciekać. Że Miguel jest bardzo niebezpieczny. Mówił też, że nie możemy ufać policji, tak jak myślałam. I dodał, że Miguel prawdopodobnie nas ściga.

David warknął niecierpliwie:

- To wszystko? Tyle sami wiemy.

- Tak. Ale też... wydawał mi się dziwny. - Rękawy rozpianego swetra Amy dotknęły obrusa, zaszypanego złocistymi okruchami rogalików. - Jose powiedział mi, że wyjeżdża. Że musi się ukryć.

- Jose? Dlaczego?

Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale był przerażony.

- Boi się Miguela?

- Być może. Albo policji. Nie wiem, niestety.

Kropla deszczu upadła na papierowy obrus tuż obok telefonu komórkowego, tworząc szarą plamkę.

- No cóż, ja nie zamierzam uciekać, do cholery - oznaj-

mił zirytowany David. - Chcę wiedzieć, jaki los spotkał moich rodziców. Jeżeli wszystko to jakoś się ze sobą łączy. Bóg jeden wie. - Spojrzał prosto w jej piękne, błękitne oczy. Podobne do oczu matki, pomyślał. - Nie mówił absolutnie nic na temat moich rodziców?

- Nic - mruknęła. - Przykro mi.

David westchnął, sfrustrowany, i rozparł się na krześle. Domyślał się, że Jose wie znacznie więcej, ale wiedział, że nic więcej nie zdołają z niego wycisnąć. Dopił resztkę kawy i skrzywił się, czując smak fusów. Zaraz potem skrzywił się po raz drugi, tym razem spoglądając na telefon Amy.

Komórka.

Objawienie przyszło nagle, jak uderzenie pioruna. Wyciągnął rękę, chwycił aparat i spojrzał na Amy.

- To jest to!

- Co takiego?

- Musi tego używać. Miguel używa sieci komórkowej, żeby nas odnaleźć!

- Jak?

- Można namierzyć każdy aktywny telefon, prawda? To proste.

- Ale jak...

- Sama powiedziałaś, że to francuski Kraj Basków. ETA ma tu wszędzie swoich zwolenników, nawet wśród policjantów. Może więc i wśród pracowników sieci komórkowych?

Wpatrywała się w niego intensywnie.

- Dzwoniłam przed wejścia do jaskini czarownic.

- Właśnie. On zna twój numer. Teraz wie już, że dzwoniłaś do Jose. Będzie nas szukał w Mauleon. Prawdopodobnie już jest w drodze.

Podmuch wiatru omiół taras restauracji. David wstał, otworzył telefon i wyjął kartę SIM. A potem odchylił się, i rzucił ją w nurt rzeki. Amy przyglądała się temu bez słowa. Zatrzasnął klapkę i podał jej telefon.

- W porządku. Jedziemy. Jesteś spakowana?

- Bagaż mam w samochodzie, razem z twoim, ale dla czego...

- Kupimy inną kartę SIM. Chodź!

Ruszył pierwszy ku stopniom prowadzącym w dół. Po chwili wyjechali z Mauleon.

Pędząc wąską szosą dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, wskazał na mapę.

- Posłuchaj, Amy... Proszę, opracuj trasę. Niech biegnie zygzakiem, tak żeby nie dało się jej przewidzieć. Pojedziemy poszukać tych kościołów. I to zaraz.

Posłusznie pochyliła się nad starą mapą, szukając niebieskich gwiazdek. Za przednią szybą las przerzedził się, odsłaniając szczyty górskie z białymi czapami niczym rząd ponurych członków Ku-Klux-Klanu.

Nietrudno było odnaleźć Savin. Po godzinie szybkiej, niespokojnej jazdy znaleźli się pośrodku skupiska mocno nachylonych dachów. Miasteczko było pięknie położone, na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się widok na szarozielone winnice i zagrody. Zaparkowali w bocznej uliczce, rozejrzawszy się najpierw starannie w poszukiwaniu Miguela i czerwonego samochodu. Ale uliczka była pusta.

Wchodząc do kościoła, David poczuł woń kadzidła. Mała grupka Amerykanów właśnie fotografowała wyjątkowo piękne, bogato zdobione organy. David spojrział na starą, odrapaną kropielnicę. Jej postument tworzyły trzy kamienne figury wieśniaków, trzymających misę. Wszyscy mieli smutne twarze. Bezgranicznie smutne.

Przespacerował się wzdłuż nawy, zajrzał na podwyższenie dla chóru i zerknął na prezbiterium, gdzie na kamiennej posadzce połyskiwały kolorowe plamy światła wpadającego do świątyni przez witraże. Zajrzał też do bocznej kapliczki poświęconej papieżowi Piusowi X. Tu najważniejszym elementem wystroju był portret dawno zmarłego pasterza Kościoła, posępnym spojrzeniem przebijającego półmrok i opary kadzidła.

I to w zasadzie było wszystko. Amy poddała się i usiadła na ławce. Wyglądała na zmęczoną.

Simon jednak znalazł coś ciekawego. A może nie?

Były to jeszcze jedne, mniejsze drzwi, w bocznej ścianie budynku. Dlaczego tak mały kościół ma dwa wejścia? Simon rozejrzał się raz jeszcze. Małe drzwi, wciśnięte w południowo-zachodni kąt świątyni, były niskie i niepozorne. Czy to coś oznaczało? Czy dużo kościołów ma drugie wejście? Być może mnóstwo.

Zbliżywszy się do mniejszych drzwi, David przesunął

palcami po ścianie wokół nich. Zimna granitowa ościeżnica była gładka, ale klamka - zardzewiała i wyraźnie nieużywana. Na nadprożu wyryto smukłą, ostro zakończoną strzałkę: trzy kreski połączone u dołu, wskazujące kierunek.

Cofnął się i omal nie wpadł na księdza, który przystanął za nim.

- Eee... *excusez-moi...* przepraszam...

Kapłan spojrział na niego ostro i nieufnie, po czym oddalił się w głąb nawy, szeleszcząc sutanną.

David wpatrywał się w strzałkę jak zauroczony. Przypomniała mu się kropielnica z Lesaki. W tamtym kościele były dwie, a na jednej z nich widniał taki sam prymitywny symbol. Prosty, ale jasny: trzy kreski łączące się w jednym punkcie. Strzałka. Tamta jednak skierowana była w górę.

Myśli Davida wirowały coraz szybciej, jak trybiki mechanicznej zabawki. A co z kościołem w Arizkun, który miał dwa wejścia i dwa cmentarze? Jak mógł zapomnieć o drugim cmentarzu? Przecież obraz obalonego anioła z niedopałkiem w oku tkwił tak wyraźnie w jego pamięci. Podobnie jak wspomnienie o wygrażającej im staruszce z wolem.

Gównoludy, gównoludy, gównoludy.

Był coraz bliżej. Nie wiedział tylko, jak blisko. Czuł, że rozwiązanie jest tuż-tuż, i chciał pójść dalej. Dał znak Amy. Uśmiechnęła się z wysiłkiem, ale wstała. Swoje przemyślenia zachował jednak dla siebie, a to dlatego, że niektóre z nich były nader niepokojące. Czy istniał jakiś mroczny związek między znakami na kropielnicy a znakiem na... głowie Amy? Uwierzył w historię o Miguelu i jego erotycznych zabawach nożem. Bolesna szczerłość dziewczyny była aż nadto autentyczna. Ale te blizny były zdecydowanie dziwne. Jak znamiona na czołach wiedźm, które spółkowały z szatanem.

Za wiele było tych myśli i zbyt wiele było niepokojące. Idąc żwirową ścieżką do samochodu, David czuł zawroty głowy. Znowu mżyło. Nie powiedział ani słowa, gdy slalomem - by zmylić Miguela - pomknęli dalej przez Gaskonię, ku kolejnemu miasteczku.

Szosa była prawie pusta; pokonawszy sześćdziesiąt kilometrów, dotarli do Luz-Saint-Sauveur. Była to piękna trasa, wijąca się między skalnymi ścianami; jej odnogi raz po raz

Pędząc wąską szosą dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, wskazał na mapę.

- Posłuchaj, Amy... Proszę, opracuj trasę. Niech biegnie zygzakiem, tak żeby nie dało się jej przewidzieć. Pojedziemy poszukać tych kościołów. I to zaraz.

Posłusznie pochyliła się nad starą mapą, szukając niebieskich gwiazdek. Za przednią szybą las przerzedził się, odsłaniając szczyty górskie z białymi czapami niczym rząd ponurych członków Ku-Klux-Klanu.

Nietrudno było odnaleźć Savin. Po godzinie szybkiej, niespokojnej jazdy znaleźli się pośrodku skupiska mocno nachylonych dachów. Miasteczko było pięknie położone, na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się widok na szarozielone winnice i zagrody. Zaparkowali w bocznej uliczce, rozejrzawszy się najpierw starannie w poszukiwaniu Miguela i czerwonego samochodu. Ale uliczka była pusta.

Wchodząc do kościoła, David poczuł woń kadzidła. Mała grupka Amerykanów właśnie fotografowała wyjątkowo piękne, bogato zdobione organy. David spojrzał na starą, odrapaną kropielnicę. Jej postument tworzyły trzy kamienne figury wieśniaków, trzymających misę. Wszyscy mieli smutne twarze. Bezgranicznie smutne.

Przespacerował się wzdłuż nawy, zajrzał na podwyższenie dla chóru i zerknął na prezbiterium, gdzie na kamiennej posadzce połyskiwały kolorowe plamy światła wpadającego do świątyni przez witraże. Zajrzał też do bocznej kapliczki poświęconej papieżowi Piusowi X. Tu najważniejszym elementem wystroju był portret dawno zmarłego pasterza Kościoła, posępnym spojrzeniem przebijającego półmrok i opary kadzidła.

I to w zasadzie było wszystko. Amy poddała się i usiadła na ławce. Wyglądała na zmęczoną.

Simon jednak znalazł coś ciekawego. A może nie?

Były to jeszcze jedne, mniejsze drzwi, w bocznej ścianie budynku. Dlaczego tak mały kościół ma dwa wejścia? Simon rozejrzał się raz jeszcze. Małe drzwi, wciśnięte w południowo-zachodni kąt świątyni, były niskie i niepozorne. Czy to coś oznaczało? Czy dużo kościołów ma drugie wejście? Być może mnóstwo.

Zbliżywszy się do mniejszych drzwi, David przesunął

palcami po ścianie wokół nich. Zimna granitowa ościeżnica była gładka, ale klamka - zardzewiała i wyraźnie nieużywana. Na nadprożu wyryto smukłą, ostro zakończoną strzałkę: trzy kreski połączone u dołu, wskazujące kierunek.

Cofnął się i omal nie wpadł na księdza, który przystanął za nim.

- Eee... *excusez-moi*... przepraszam...

Kapłan spojrział na niego ostro i nieufnie, po czym oddalił się w głąb nawy, szeleszcząc sutanną.

David wpatrywał się w strzałkę jak zauroczony. Przypomniała mu się kropielnica z Lesaki. W tamtym kościele były dwie, a na jednej z nich widniał taki sam prymitywny symbol. Prosty, ale jasny: trzy kreski łączące się w jednym punkcie. Strzałka. Tamta jednak skierowana była w górę.

Myśli Davida wirowały coraz szybciej, jak trybiki mechanicznej zabawki. A co z kościołem w Arizkun, który miał dwa wejścia i dwa cmentarze? Jak mógł zapomnieć o drugim cmentarzu? Przecież obraz obalonego anioła z niedopałkiem w oku tkwił tak wyraźnie w jego pamięci. Podobnie jak wspomnienie o wygrażającej im staruszce z wolem.

Gównoludy, gównoludy, gównoludy.

Był coraz bliżej. Nie wiedział tylko, jak blisko. Czuł, że rozwiązanie jest tuż-tuż, i chciał pójść dalej. Dał znak Amy. Uśmiechnęła się z wysiłkiem, ale wstała. Swoje przemyślenia zachował jednak dla siebie, a to dlatego, że niektóre z nich były nader niepokojące. Czy istniał jakiś mroczny związek między znakami na kropielnicy a znakiem na... głowie Amy? Uwierzył w historię o Miguelu i jego erotycznych zabawach nożem. Bolesna szczerość dziewczyny była aż nadto autentyczna. Ale te blizny były zdecydowanie dziwne. Jak znamiona na czołach wiedźm, które spółkowały z szatanem.

Za wiele było tych myśli i zbytnio były niepokojące. Idąc zwirową ścieżką do samochodu, David czuł zawroty głowy. Znowu mżyło. Nie powiedział ani słowa, gdy slalomem — by zmylić Miguela - pomknęli dalej przez Gaskonię, ku kolejnemu miasteczku.

Szosa była prawie pusta; pokonawszy sześćdziesiąt kilometrów, dotarli do Luz-Saint-Sauveur. Była to piękna trasa, wijąca się między skalnymi ścianami; jej odnogi raz po raz

ginęły w ciemnych wylotach tuneli. Znowu kierowali się ku Pirenejom.

Za ostatnim zakrętem nareszcie ujrzeli cel swej podróży, położony w urokliwej, intensywnie zielonej dolinie. Serce Luz-Saint-Sauveur stanowiły stare domy o pochyłych dachach, skupione wokół jeszcze starszego kościoła. Zaparkowali tuż obok świątyni i weszli do środka. David wiedział, że jest blisko rozwiązania zagadki, a przynajmniej jej części: znaczenia kościołów wskazanych na mapie.

W kościele były dwie osoby. W ostatniej ławce siedziała kobieta z młodym i wyraźnie upośledzonym mężczyzną. Zapewne matka z synem. Nieszczęśnik nieustannie przewracał oczami, a z jego ust sączyła się strużka śliny. Twarz kobiety była przedwcześnie postarzała i znużona, zapewne koniecznością nieustannej opieki nad niepełnosprawnym synem. David współczuł jej tego losu; posłał w stronę kobiety bezradny, ale i szczerzy uśmiech.

Amy tymczasem przyglądała się ołtarzowi w prezbiterium. Kiedy zbliżyła się do Davida, na jej twarzy malował się wyraz rozpacz.

- Nie rozumiem tego. Tam nic nie ma.
- Nie byłbym taki pewny... może jednak coś jest.
- Co?

Spojrzał na nią.

- Szukaj par. Czegoś podwójnego. Dwojga drzwi, dwóch cmentarzy, dwóch...

- Dwóch kropielnic? Widziałam dwie. O, tutaj...

Podeszli razem, a ich kroki niosły się echem w kamiennej ciszy.

Rzeczywiście, w tym kościele także ustawiono dwie kropielnice: jedną z nich ukryto w zapomnianym, pokrytym pajęczynami kącie. Była mała i skromna, w jakimś sensie melancholijna.

Podobnie było w Lesace.

- Ale dlaczego dwie? - spytała Amy. - Jakiemu celowi miałyby służyć?

- Nie wiem. Szukajmy dalej.

Po kolejnej godzinie jazdy, w napięciu i milczeniu, znaleźli się w Campan, niewielkiej wiosce ulokowanej na końcu

zaczisnej doliny. David opuścił szybę i rozglądał się uważnie, gdy jechali główną ulicą.

W oknie lub na drzwiach każdego z domów zawieszono okazałych rozmiarów szmacianą lalkę. Niezgrabne manekiny, wielkością niewiele ustępujące dorosłemu człowiekowi, siedziały też w witrynach sklepów. Jedna z lalek musiała spaść z wysokiego parapetu - leżała na drodze, wpatrzona w szczyty gór otaczające Campan.

Amy także przyglądała się szmacianym postaciom.

- Jezu - mruknęła.

Zostawili wóz w zaułku i ruszyli w stronę centrum wioski. Po drodze minęli zaniedbane *office du tourisme*; w oknie wisiała nieduża kartka z wydrukowanym ogłoszeniem. Amy przeczytała je na głos, a potem przetłumaczyła: festiwal twórców szmacianych lalek był miejscową tradycją; mieszkańcy Campan od wieków wytwarzali takie postacie, zwane *mounaques*, i co roku w połowie września ozdabiali nimi okna i drzwi domów, a także wystawy sklepowe i samochody.

Rzeczywiście, była to wioska lalek. Wioska milczących, obojętnych, szmacianych twarzy, uśmiechających się bez żadnego powodu. Absurdalność owych uśmiechów sprawiała, że wydawały się wręcz szydercze, obraźliwe.

Tylko że nie było tu nikogo, kto mógłby się poczuć wyszydzony czy obrażony: Campan było puste, wyludnione. Tylko jedna stara kobieta wychodziła ze sklepu z koniną; rzuciła szybkie spojrzenie w stronę przybyszów, zmarszczyła brwi i czym prędzej zniknęła za rogiem.

Dotarli do głównego placu. Pomnik ku pamięci ofiar wojny, przystanek autobusowy i zamknięty sklep stanowiły środek miejscowego wszechświata: jedna z krótkich ulic wiodła w stronę mostu nad wartką rzeką Adour. Nie musieli iść w tamtą stronę; David widział z daleka, że drugi brzeg to same ruiny - skupisko chat bez dachów i gnijących stodół.

Campan było więc nie tylko zupełnie puste, ale także na wpół opuszczone.

Inna ulica doprowadziła ich do kościoła. Metalowa brama otworzyła się do środka, i ich oczom ukazał się spory dziedziniec otoczony wysokim murem z szarego kamienia.

Drzwi były otwarte. Weszli do środka i pierwszym, co

rzuciło im się w oczy, było przybranie głównej nawy: tan-
detne, fioletowe kwiatki z plastiku. W pierwszej ławce sie-
działy cztery dorodne lale, zapatrzone w ołtarz: cała rodzina
manekinów.

David szukał jakichś podwójnych elementów, ale niczego
nie mógł znaleźć. W Campanie była tylko jedna kropielnica,
jedne drzwi, jedna ambona oraz cztery uśmiechnięte idio-
tycznie lalki, niczym wzorcowe produkty chowu wsobnego.

Nie dwie.

Amy chyba wyczuła tę frustrację. Położyła dłoń na jego
ramieniu.

- Może to jednak bardziej skomplikowane...

- Nie. Jestem pewny, że właśnie o to chodzi. O podwój-
ność. To musi być to.

Ostatnie słowa, całkiem niesprawiedliwie, wycedził
gniewnym tonem. Amy skrzywiła się mimowolnie, a on
ją natychmiast przeprosił. Stwierdził, że potrzebuje świe-
żego powietrza, i wyszedł na dziedziniec. Gasnące światło
pochmurnego jesiennego dnia nie poprawiło mu znacząco
nastroju, ale i tak było tu lepiej niż w półmroku kościoła.

Oddychał głęboko, próbując się uspokoić. Spojrzeć wni-
kliwie. Rozpracować problem. Ponad kamiennym murem
otaczającym kościół widać było dalekie wierzchołki gór.

David wpatrywał się w ceglana ścianę kościoła.

Może właśnie w tej dziwnej, wysokiej ścianie zwieńczonej
blankami należało szukać drugich drzwi?

W poszukiwaniach przeszkadzały mu mokre jeżyny, ro-
snące pomiędzy mogiłami. Wielkie pająki w popłochu umy-
kały mu spod nóg.

- Co tu robisz? - spytała Amy, dołączywszy do Davida.

Uniósł rękę, nie odwracając się.

- Szukam... drzwi. W tym murze. Nie wiem, co jeszcze
mógłbym zrobić.

Kopniakami utorował sobie przejście przez gąszcz splą-
tanych roślin. Miażdżył dzikie róże i przestępował przez
połamane płyty nagrobne. Powietrze było przesiąknięte
wilgocią. David wspinał się na oślizłe kamienie, zsuwał się
z nich i niestrudzenie parł naprzód.

Widział jednak tylko lity mur, nienaruszone cegły.

- Tutaj! - zawołała Amy.

Została w tyle, w miejscu, gdzie część ściany była porośnięta bluszczem. Odgarnęła pnącza i znalazła drzwi: zamknięte na głucho, ale jednak drzwi. Podbiegł do niej i nachylił się ku nim. Były wiekowe; kamienna framuga wykrzywiła się z biegiem lat, brązowe drewno butwiało, ale drzwi jakimś cudem jeszcze się trzymały. I były zamknięte. Od wieków.

David przyjrzał im się jeszcze uważniej. Na nadprożu widniało nacięcie.

Pospiesznie zerwał ostatnie łodygi bluszczu, odsłaniając symbol wyryty w kamieniu.

- Patrz! - zawołał, podniecony. - Ta strzałka. Jest wszędy. Na kropielnicach, na drzwiach, wszędzie.

Amy pokręciła głową.

- To nie strzałka.

- Jak to?

- Wiem, że to nie strzałka.

- Skąd?

- Bo widziałam taki znak na jednym z domów w Elizondo. Pamiętam, że kiedyś przechodziłam obok niego z Jose. Zapytałam go o znaczenie tego symbolu. Uniknął odpowiedzi. Był dziwnie zmieszany.

- Nie rozumiem...

- Pamiętam tylko, jak go nazwał: *Patte dbie*. Pamiętam dokładnie, bo użył francuskiej nazwy.

- *Patt...* co to znaczy? *Patt...*

- *Patte d'oise*. Gęsia łapka. Starożytny symbol. — Amy starła palcem brud z bruzd wyżłobionych niezdarnie w kamieniu. - To jest gęsia łapka, nie strzałka. Łapka z błoną pławną.

To był ostatni etap: zmierzali do ostatniego miejsca zaznaczonego na mapie. Do samego serca labiryntu.

Navarrenx niedaleko Gurs.

Mieli do pokonania niemały dystans w drodze na północ, więc zatrzymali się na stacji benzynowej, żeby zatankować. Idąc w kierunku sklepu, David nie przestawał zastanawiać się nad znaczeniem tego, co odkrył: mniejsze drzwi, mniejsze cmentarze, mniejsze kropicelnice. Dlaczego?

Nie miało to sensu. Dlaczego powielano wszystko w tak niezwykle, nieomalże obraźliwy sposób? Czy był to przejaw czegoś w rodzaju apartheidu, jak osobne ławki dla czarnych w Alabamie lat pięćdziesiątych? Albo w Republice Południowej Afryki?

A może chodziło o coś innego? Czyżby mniejsze drzwi miały służyć... mniejszym ludziom?

To nie miało sensu, przecież nawet karzeł mógłby korzystać z normalnych drzwi.

Gdy przestępował próg sklepu, odezwał się dzwonek. Poszedł prosto do kasy, żeby kupić nową kartę SIM dla Amy i nowy telefon - tak na wszelki wypadek. Właściciel stacji podjadał właśnie czerwoną *saucisson*, zagryzając bagietką, ale to nie przeszkodziło mu w zrealizowaniu transakcji. David spojrział na kwotę widniejącą na rachunku, próbując przekonać się w duchu, że naprawdę nie musi się już martwić o pieniądze.

W samochodzie znowu pogrążyli się we własnych myślach. Pokonując ostatni odcinek trasy, David czuł narastające przygnębienie. Rozmyślał o rodzicach. Wspomnienia przepelniały jego umysł do tego stopnia, że nawet nie patrzył na góry znikające z wolna w lusterku wstecznym.

Siedział na mocarnych ramionach dziadka, a usta miał pełne różowej waty cukrowej. Granatowy Pacyfik lśnił w słońcu, a mama, taka młoda, szła obok nich. Tata też tam był, roześmiany. Kiedy to było? Co tam robili? Ile miał wtedy lat? Pięć? Siedem? Dziewięć? Był to tylko oderwany fragment obrazu, zbyt niewyraźny, by odgadnąć szczegóły.

A największą udręką było dla niego to, że nawet nie miał kogo zapytać, jak było naprawdę. To było najgorsze. Nie mógł zadzwonić do mamy i spytać: „Kiedy tam byliśmy?” Nie mógł liczyć na to, że dziadek odpowie mu na pytanie: „Dlaczego to robiliśmy?” Nie został już nikt, kto mógłby mu udzielić odpowiedzi, wyjaśnić zagadki dzieciństwa, pośmiać się z zabawnych przygód, wymienić wspomnieniami albo chociaż stwierdzić: „Pamiętam, że byliśmy na tym pikniku”. Został zupełnie sam, był ostatni i bardziej niż czegokolwiek innego pragnął odpowiedzi na pytanie dlaczego? Dziadek z pewnością nie wysłał go tu bez powodu, a ów powód mógł mu wszystko wyjaśnić.

Musiał.

Z całą mocą zacisnął dłonie na kierownicy. Droga do Na-varrenx prowadziła przez wioskę Gurs, która, jak się okazało, była w istocie dosłownie przedmieściem tego miasteczka.

W Gurs królowała zieleń. Główna droga wysadzona była szpalerami drzew o pobielonych pniach. W owej części wsi znajdował się dziwny plac, na którym stały jedynie szklane budki przypominające wiaty z przystanków autobusowych. David spojrzął na nie tylko przelotnie. Nad płaskim terenem górował ogromny czarny krucyfiks. Widząc go, David poczuł przemożną chęć przyspieszenia. Niepokoiła go ta czerń.

Jechali cały czas prosto, przez Gurs przytulone do przelotowej trasy, a po paru minutach ujrzeli tabliczkę z napisem „Navarrenx”.

Wreszcie Amy przerwała milczenie.

- Wiesz, nie musimy teraz tego robić - powiedziała ze smutnym, ale współczującym uśmiechem.
- Co masz na myśli?
- Możemy poczekać. Mamy za sobą długi dzień. Może tak będzie lepiej?
- Ale ja się dobrze czuję. Jeśli Miguel ściga nas, wolę mieć to za sobą jak najszybciej.

Zastanawiał się, dlaczego tak jej odpowiedział. Przecież wiedział, że Miguel ich ściga. Pewnie jest już w Mauleon i wypytuje właścicielkę hotelu. Pochyla się nad kontuarem, wysoki, pokryty bliznami i władczy. „W którą stronę odjechała para mówiąca po angielsku?”

Gdy do celu zostało im już tylko parę kilometrów, Amy zapytała:

- Dlaczego nigdy nie próbowałeś dowiedzieć się więcej?

O tym wypadku.

Odetchnął głęboko.

- Byłem młody, chciałem się jakoś ochronić. Przed bólem. Przed świadomością.

- To dlatego nie wpadłeś wcześniej na to, że mapa może mieć związek ze sprawą.

- Pewnie tak. Tak. Negacja. Wyparcie. Unikałem szczegółów. A Andersonowie starali się oszczędzić mi prawdy. Miałem tylko piętnaście lat i byłem sam.

- To zrozumiałe.

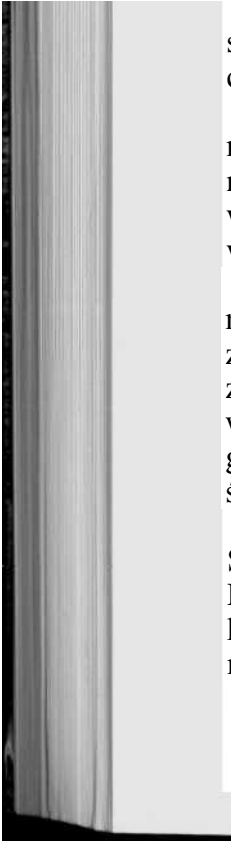
- Właśnie. Ale teraz muszę o tym myśleć.

David wrzucił bieg, obserwując rowerzystę jadącego szosą. Na końcu drogi zamajaczyła sylwetka czerwonego samochodu. Zdławił w sobie krzyk strachu.

Zaparkowali na obrzeżu centrum Navarrenx - zresztą nie mieli wyboru, znaki drogowe nie zezwalały bowiem na wjazd samochodem do *centre de la ville*. Zamknęli więc wóz i pieszo ruszyli w stronę starego miasta, zbudowanego w miejscu wznoszącej się tu kiedyś twierdzy.

Na skraju pustego, szarego placu przystanęli przed plannem miasta. Wynikało z niego, że świątynia, której szukają, znajduje się w pobliżu. Wystarczył stumetrowy spacer, by znaleźli się przed imponującym frontonem kościoła pod wezwaniem świętego Germana w Navarrenx. Był to surowy gmach z pozostałościami gotyckich łuków - ale były to tylko ślady, blade wspomnienia gotyku.

Wnętrze było równie puste jak w pozostałych kościołach. Stary ksiądz krzątał się po prezbiterium, układając księgi. David zauważył portret na ścianie, tuż nad łysiejącą głową kapłana. Nie musiał podchodzić bliżej i czytać napisu; malowidło niczym się nie różniło od tego w Savin. To samo



surowe, wiktoriańskie oblicze, zmarszczone czoło, dezapro-
bata w oczach, może nawet pogarda.

Papież Pius X.

Na odgłos kroków ksiądz obrócił się i wbił wzrok w
Davi-da. Wpatrywał się w niego intensywnie, a na jego
sędziwej twarzy malowało się zdumienie, jakby go
rozpoznał.

David chciał podejść do niego i porozmawiać, lecz ka-
płan oddalił się spieszenie, potrząsając głową. Powrócił do
przerwanej pracy i wydawało się, że celowo unika spojrzeń
przybyszów, konsekwentnie ignorując ich obecność.

Co to mogło znaczyć? David był zdziwiony, zniecierpliwio-
ny i wystraszony. Czyżby to wszystko było tylko wytworem
jego wyobraźni? Czyżby pozwalał, żeby zawładnęła nim
paranoja? Ale przecież Miguel podążał ich tropem. Wiedział
o tym, bo taki sygnał dawało mu serce: szyb-ko, szyb-ko,
szyb-ko.

David obejrzał uważnie drzwi. Dwoje drzwi. Znowu dwoje
drzwi.

Podeszła do niego Amy.

- No dobrze. Mamy Campan, Luz, Savin, Navarrenx.
Dwoje drzwi. Wszędzie dwoje drzwi. I dwa cmentarze. Ist-
nieje między nimi jakiś związek, ale jaki?

Wzruszył ramionami.

- Dwoje drzwi być może można jeszcze jakoś wytłuma-
czyć. Ale dwie kąpielnice? To po prostu nie ma sensu. - Da-
vid westchnął głośno. - I jeszcze ten symbol. Gęsia łapka.
Nic nie rozumiem.

Natarczywy syk przerwał ich dialog.

To był ksiądz.

Starzec przystanął u boku Davida, pociągnął go za rękaw
1 nerwowo powiedział coś po francusku z silnym,
prowincjo-
nalnym akcentem. Spieszył się, mówił z emfazą, jakby miał
coś ważnego do przekazania. Miał nabiegłe krwią, mocno
pożółkłe białka oczu. David odpowiedział mu rozpaczliwym,
przepraszającym wzruszeniem ramion - po prostu nic nie
rozumiał!

Amy słuchała kapłana, coraz mocniej marszcząc brwi.
Po chwili przetłumaczyła:

- Mówi, że... cię poznaje. To bardzo dziwne, ale twier-
dzi, że czekali na ciebie. Ale teraz, gdy widzi twoją twarz,

wydajesz się inny. Chciałby wiedzieć, czy twój ojciec miał na imię Edward.

David poczuł dreszcz. Spojrzał najpierw na Amy, a potem na starca.

- Tak. Edward! Eduardo Martinez. Dlaczego o to pyta?

Ksiądz przeżegnał się, powtórzył dwa razy: „Eduardo Martinez”. „Eduardo Martinez”, a potem znowu zaczął coś gorączkowo mówić.

- Podobno wyglądasz zupełnie tak samo jak twój ojciec. On mówi, że wszyscy w Navarrenx wiedzą, co się stało, że ten wypadek... O mój Boże. - W głosie Amy pojawiło się nagle głębokie współczucie. - Davidzie, nie wiem, jak to powiedzieć, ale to wcale nie był wypadek...

- Po prostu powiedz.

- On mówi, że twoi rodzice zostali zamordowani.

Niebieskie oczy dziewczyny były pełne współczucia. Ale David chciał tylko jednego: prawdy.

- Spytaj go... - zaczął. - Spytaj go, proszę, czy zechce usiąść z nami i opowiedzieć mi coś więcej.

Sędziwy ksiądz wyglądał na zdenerwowanego, może nawet przerażonego, ale zgodził się.

- Twierdzi, że niewiele więcej wie. I że to niebezpieczne. Że Bractwo na nas czekało. Musi je zawiadomić. Nie mam pojęcia, co to oznacza. Mówi, że powinniśmy pójść w jakieś bardziej dyskretne miejsce, najlepiej natychmiast.

- *Merci!* - powiedział pospiesznie David. - Dziękuję. Dziękuję!

Razem ruszyli w stronę jasnego prostokąta - otwartych drzwi kościoła. Już mieli wejść w plamę dziennego światła, gdy nagle Amy uniosła rękę i powiedziała:

- Stój!

- Co?

Skinęła głową w stronę placu przed kościołem.

- Podjechał jakiś samochód.

David już wiedział, co za chwilę usłyszy.

- Miguel.



Zimny strach przeniknął Davida aż po opuszki palców. Walczyć czy uciekać? Osłonił oczy dłonią i wyjrzał na dziedziniec.

Amy miała rację: czerwony samochód właśnie wjechał na plac. Drzwi otworzyły się i wysiadł z niego Miguel, w towarzystwie dwóch ciemnowłosych osobników. Razem ruszyli w kierunku kościoła.

David cofnął się w cień. Strach go obezwładniał. Amy także wycofała się w głąb kościoła.

- Jeszcze nas nie zauważył.

- Ale zauważy. Idzie tu. Jesteśmy w pułapce.

Stojąc w półmroku, bezradni i sparaliżowani strachem.

Ksiądz jednak nie tracił głowy. Szturchnął Amy, mówiąc coś bardzo szybko.

- Mówi, że możemy uciec. Skorzystać z drugich drzwi.

Z tych... *Qu'est-ce que c'est?*

- *La porte des Cagots! La porte des Cagots!*

Biegł już w głąb świątyni, prowadząc ich w stronę drugich drzwi. Ani na chwilę nie przestał mówić. Podążając za nim, Amy syknęła do Davida:

- Opowiada o tych drzwiach. Drzwiach Cagotów. Podobno prowadzą wprost do średniowiecznej części miasta. Mówi, że możemy uciec...

Stanęli przed prostymi, niskimi drzwiami w bocznej ścianie kościoła.

- David! - ponagliła go Amy.

Zmrużył oczy, znów spoglądając w stronę placu. Z tej odległości trudno było coś zobaczyć; światło wypełniało prostokąt drzwi, kontrastując z półmrokiem wnętrza, ale wydawało im się, że mężczyźni się zatrzymali.

Zaraz jednak znowu ruszyli w stronę świątyni.

- On tu idzie!

- *La por te!*

Stary ksiądz siłował się z drzwiami, ale widać było, że od bardzo dawna nikt ich nie otwierał. David spróbował mu pomóc: ciągnął klamkę i próbował obracać, ale one ani drgnęły.

- Klamka całkiem zardzewiała!

Pod wpływem napięcia i strachu dłonie Davida były już mokre od potu. Raz jeszcze pochwycił żelazną klamkę i szarpnął nią z całej siły.

- Spróbuj tego!

Amy ścisnęła w rękę szklaną buteleczkę.

- Znalazłam to na ołtarzu.

Olej spłynął do szczeliny u nasady klamki, którą David wciąż rozpaczliwie szarpał. Stary kapłan nie przestawał powtarzać:

- *Votre pere, votre pere...*

Wreszcie rozległ się zgrzyt metalu i klamka ustąpiła. W drzwiach widać już było sylwetki trzech mężczyzn. David i Amy wyszli na zewnątrz i pobiegli w stronę zaułków starej części miasta.

Za ich plecami rozległ się łomot, spotęgowany echem: ksiądz zatrzaskał drzwi. Został w środku, blokując drogę Miguelowi. Mieli więc szansę.

- Tędy! - ryknął David.

Amy biegła tuż za nim. Chwycił ją za rękę i razem puścili się sprintem. Nawet nie myślał o tym, by się oglądać. Ksiądz został w kościele, pewnie starał się zastąpić Miguelowi drogę. Jaki los go czekał? Miguel mógł użyć broni i otworzyć drzwi, a wtedy...

Nie ustawali w biegu. Uliczka była niewiele szersza niż rynsztok biegnący jej środkiem. Po obu stronach wznosiły się ściany domów. Biegąc, David myślał o swoich rodzicach. Zabitych. Zamordowanych. Strach mieszał się z gniewem, wywracając mu żołądek na lewą stronę. Nareszcie wybiegli na trawiasty plac z ruinami wapiennego muru obronnego.

- Tędy?

Dostrzegli gotycki łuk wyznaczający przejście pod umocnieniami, które niegdyś otaczały Navarrenx. Za nim znajdowała się kładka nad fosą, a dalej - parking.



- Tam!

Kluczyki ślizgały się w jego spoconej dłoni, gdy naciskał guzik pilota. Wskoczyli do wozu, wycofali pospiesznie, z piśkiem opon wyskoczyli na ulicę i ruszyli na południe. Przez kilka minut jechali w milczeniu. David spojrzął w lusterko. Nic. Jeszcze raz. Nic.

Amy westchnęła niespokojnie:

- Tego już za wiele. Byli zbyt blisko...

David raz jeszcze zerknął w lusterko. Droga była pusta. Nikt ich nie śledził. Napięcie trochę zmalało. Miasto zostało daleko w tyle. Dojechali do skrzyżowania przy wielkim aluminiowym budynku należącym do jednego z gospodarstw wiejskich.

David zjechał na pobocze i wręczył Amy telefon, który kupił na stacji benzynowej.

- Mogłabyś coś sprawdzić, proszę?

- Co?

- Ci ludzie od drzwi... Jak on ich nazwał? Cagoci?

Amy pokręciła głową.

- Teraz?! Czy nie powinniśmy czasem spieprzać stąd w cholere?

- Pierdolę to - odparł z sardonycznym uśmiechem. -

Niby dokąd mamy wiać? Jeśli będę wciąż uciekał, nigdy nie poznam odpowiedzi. Tutaj zginęli moi rodzice; ktoś ich, kurwa, zamordował! Ta sprawa musi mieć związek z kościołami, z tymi całymimi Cagotami, bo gdyby było inaczej, po co dziadek przekazywałby mi mapę ojca, na której zaznaczono właśnie te miejsca?

Skinęła głową. Uśmiechnęła się, ale nie wyglądała na szczęśliwą. Wzięła głęboki wdech, a potem włączyła telefon i połączyła się z Internetem.

- Gotowe.

- Sprawdź hasło „Cagoci”. I ten symbol, gęsią łapkę.

Bez słowa zaczęła poszukiwania. David odwrócił głowę i otworzył okno - smród krowiego nawozu i gnijącej kiszonki szybko wypełnił wnętrze samochodu. W oddali, na tle błękitnawego masywu gór, polował myszołów.

- Już - oznajmiła Amy. - Niewiele się dowiedziałam, ale to dziwna sprawa. Zdaje się, że Cagoci to plemię pariasów, tak ich tu nazwano, jak gdyby niedotykalnych. Mieszkali

w Pirenejach. - Umilkła na chwilę. - Korzystali z własnych drzwi „oznaczonych symbolami”. *Pattes d'oise*, rzecz jasna.

- Plemię pariasów?

- Tak napisano. Specjalnie dla nich wstawiano osobne, mniejsze drzwi w kościołach. Niewiele więcej dowiemy się z tego źródła. Jeśli chcemy zgłębić temat, to...

- Tak?

- Znalazłam ciekawą stronę: dernieredescagots kropka fr, czyli „ostatni z Cagotów”. Prowadzi ją człowiek, który jest Cagotem i mieszka w Gurs. Moglibyśmy...

David już przekreślał kluczyk.

- Ależ David... - zaprotestowała. - To bardzo blisko Navarrenx. Co z Miguelem?

Rozumiał jej obawy.

- Posłuchaj, Amy, mogę cię zawieźć na najbliższy dworzec, jeśli chcesz. Dam ci dziesięć tysięcy i nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Zrozumiem to doskonale i...

Położyła dłoń na jego nadgarstku.

- Tkwimy w tym razem. Ja... ja znam Miguela. Znam go dobrze. Cokolwiek zrobię, i tak będzie mnie ścigał. Zabije i ciebie, i mnie, czy będziemy razem, czy osobno. Tak więc...

- Tak więc trzymamy się razem.

Pomknęli w stronę Gurs. Amy prowadziła go, korzystając z nawigacji satelitarnej w telefonie.

- Tędy... skręć w lewo, o, tutaj...

Gurs było nudnym miejscem: stało tu kilka starych, ponurych domostw; nawet linia kolejowa nie była już użytkowana. Parterowe, nieciekawe budynki otaczały znużoną bryłę miejskiego ratusza; nawet Brasserie d'Hagetmau zamknięto na cztery spusty. Sąsiednie, większe miasta, wysały życie z Gurs. A może po prostu nikt już nie chciał tu mieszkać?

Za kolejnym ostrym zakrętem ujrzeli następną kolonię bungalowów; przynajmniej ogrody wyglądały kwitnąco po ostatnim deszczu.

- To tu, numer się zgadza. - Amy wskazała na ostatni dom.

Budynek stał jakby na uboczu, naprzeciwko nowoczesnego i dość paskudnego kościoła. Dalej rozciągało się już tylko zaśmiecone pustkowie.

Ruszyli ścieżką w stronę bungalowu. Drzwi frontowe pomalowano krzykliwą żółtą farbą. David miał wrażenie, że w innych domach drgnęły zasłony, że za szybami mignęły jakieś twarze. Odwrócił się. Nikt na nich nie patrzył.

Nacisnął dzwonek. Rozległ się sygnał - cichsza wersja kościelnych dzwonów. Nic więcej się nie wydarzyło. Amy zajrzała przez okno.

- Może nikogo nie ma...

David znowu zadzwonił, zastanawiając się przy tym, gdzie jest Miguel. I wtedy usłyszał jakiś dźwięk. Stłumiony krzyk. Ktoś wrzeszczał na nich z wnętrza domu.

- Co jest?

Znowu dał się słyszeć krzyk. Gniewny, ale i pełen strachu.

David uniósł pokrywkę otworu na listy i zajrzał do środka.

W korytarzu kuciała młoda kobieta. W niezgrabnym uścisku trzymała strzelbę. Drżąc na całym ciele, celowała w drzwi, za którymi stali David i Amy.

Simon zamierzał przeprowadzić wywiad z emerytowanym profesorem Francisem St Johnem Fazackerlym, niegdysiejszym zdobywcą Nagrody Willarda za badania nad ludzkim genomem, a obecnie byłym szefem projektu GenoMap. Inspektor Sanderson wątpił w sens tego przedsięwzięcia.

- Szczęścia życzę. Bo będzie panu potrzebne, kolego Quinn - powiedział. Jego głos w słuchawce brzmiał całym wyrażnie i bardzo radośnie. - Stary skurwiel, unika mówienia na temat. Gadaliśmy z nim w zeszłym tygodniu.

- Tak?

Simon przeszedł na drugą stronę Euston Road i spojrział na lśniąca siedzibę Wellcome Institute: cała okolica pełna była medycznych centrów badawczych i wydziałów nowoczesnych technologii należących do wyższych uczelni. Widok studentów, śmiejących się beztrudko w ogródkach przed pubami, sprawił, że Simon poczuł wyraźnie każde z czterdziestu przeżytych lat.

- A czy wie coś o Naimie?

Sanderson prychnął drwiąco.

- Nawet jeśli coś wie, to nie pisnął ani słowa. Tomasky miał ochotę łamać go kołem. Spotykacie się w budynku GenoMap?

- Tak.

- Nas też tam zaprosił. Zdaje się, że woli neutralne te rytorium.

Simon skręcił w Gordon Street.

- Inspektorze...

- Chłopie, zacznij wreszcie mówić mi po imieniu, do kurwy nędzy...

- Bob... Inspektorze... Bob...

Bob Sanderson się roześmiał.

- Mam nadzieję, że wyciągniesz coś z niego na temat tych badań krwi. Może okażesz się lepszym detektywem niż my.

- Bob, odnoszę wrażenie, że mu nie ufasz.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. Simon powtórzył pytanie. Inspektor odpowiedział bardzo wolno:

- Nie jestem pewny. Wydaje mi się, że facet unika odpowiedzi, jak mówiłem. Sam się przekonasz.

Rozmowa dobiegła końca. Dziennikarz pchnął stare drzwi, z których na potęgę odłaziła farba, i pojechał windą na ostatnie piętro. Czekał już na niego sędziwy jegomość w tweedowej marynarce, o pomarszczonej szyi i pożółkłych białkach oczu. Na pierwszy rzut oka można było ulokować go w hierarchii społecznej może o jeden stopień wyżej niż włóczęgę. A przecież, jak Simon skrupulatnie sprawdził, profesor Fazackerly był niegdyś jednym z najwybitniejszych genetyków swego pokolenia.

Starzec wbił spojrzenie w przybysza. Uśmiech, który odsłonił jego żółte zęby, był jowialny, ale i odpychający; jak grymas na pysku warana w chwilę po skonsumowaniu tłuściutkiej kozy.

- Pan Quinn z „Daily Telegraph”. Bardzo proszę, niech pan wejdzie. Przepraszam za bałagan. Minęły dwa miesiące, a ja jeszcze nie skończyłem przenoszenia dokumentów.

Fazackerly otworzył szklane drzwi i poprowadził swego projektu ~~GenoMap. Wokół pełno było dowodów na to, że działalność~~ placówki dobiegła końca. Większą część wyposażenia już zdemontowano - w kurzu i ciszy spoczywały na wpół domknięte skrzynie gotowe do wysyłki.

Stary profesor wskazał na kilka urządzeń, wymieniając ich nazwy i przeznaczenie: termocykler do szybkiej segmentacji, mikrofalówka laboratoryjna do sterylizacji i histologii, sekwensery DNA do analizy fluorochromów. Simon pilnie notował obco brzmiące słowa, chwilami mając wrażenie, że przyszło mu pisać dyktando po łacinie.

Następnie Fazackerly zaprosił go do gabinetu, zamknął drzwi i usiadł za biurkiem. Simon zajął miejsce naprzeciw-

ko niego, na stalowym krześle. Czarno-biała zakurzona fotografia przedstawiająca mężczyznę o wiktoriańskiej powierzchowności leżała na blacie.

Fazackerly skinął głową w jej stronę.

- Świeżo zdjęta ze ściany. To Galton.

- Kto taki?

- Francis Galton, nasz bohater. Twórca eugeniki. Wykonał znakomitą robotę w Namibii.

Uczony podniósł oprawione zdjęcie i wsunął je do kartonu stojącego na podłodze. Simon dostrzegł w nim także puste butelki po whisky.

- Domyślam się, panie Quinn, że chciałby pan zadać mi kilka pytań, podobnie jak pański przyjaciel z policji?

- Tak.

- Chyba pójdzie nam szybciej, jeśli pokrótce nakreślę panu tło.

- Zgoda.

Fazackerly zaczął łąć wodę: o genetyce człowieka, o projekcie badania genomu i o problemach w finansowaniu badań. Simon notował.

Wkrótce jednak zaczął rozumieć, co miał na myśli inspektor: Fazackerly kluczył, zasypując go niewiele mówiącymi terminami, jakby chciał zatrzeć obraz całości.

Należało więc przyspieszyć tok rozmowy.

- Profesorze Fazackerly, jaka była bezpośrednia przyczyna zamknięcia projektu GenoMap?

Starzec pociągnął nosem.

- Skończyły się nam pieniądze, niestety. Genomika to drogi interes.

- Zatem nie było w tym czynnika politycznego?

Żółte zęby znów błysnęły w uśmiechu.

- Cóż...

Cisza.

- Profesorze Fazackerly, wiem, że jest pan zajęтым czło-
wiekiem, więc powiem wprost — rzekł Simon, patrząc mu
w oczy. - Poszperałem co nieco w Internecie. GenoMap był
finansowany głównie przez korporacje, a jego celem było
kontynuowanie pracy rozpoczętej w ramach Projektu Ba-
dawczego Zróźnicowania Genomu Ludzkiego, realizowane
go przez Uniwersytet Stanforda. Czy tak?

- Tak...
- Czy wasze prace zostały przerwane z tego samego powodu co w Stanford?
Uczony po raz pierwszy wyglądał na zakłopotanego.
- Panie Quinn, proszę pamiętać: jestem tylko emerytowanym biologiem.
- Zatem co pana skłoniło do odejścia na emeryturę?
- Sądzę, że GenoMap to wspaniała idea: staramy się, a raczej staraliśmy się, stworzyć mapę różnic pomiędzy po szczególnymi rasami ludzkimi. Gdyby to się udało, korzyści byłyby ogromne.
- W jakim sensie?
- Chodzi o leki. W Stanach Zjednoczonych istnieją na przykład nowe lekarstwa dla ludzi pochodzenia afrykańskiego, przeznaczone do leczenia bardzo specyficznych problemów z nadciśnieniem. Jest tego więcej. My w GenoMap mieliśmy nadzieję, że zdołamy coś zdziałać na polu leczeniu choroby Tay-Sachsa, która zdaje się występować wyjątkowo często u Aszkenazyjczyków, pewnej podgrupy Żydów...
- Pojawiły się jednak obiekcje natury politycznej, czy tak? Profesor westchnął.
- Tak.
- Dlaczego?
- Sądzę, że zna pan odpowiedź równie dobrze jak ja, panie Quinn. Dla niektórych sam pomysł, że mogą istnieć różnice między ludźmi, wydaje się bluźnierstwem. Wielu uczonych i polityków lubi nazywać różnice rasowe iluzją, wytworem społecznym. Bajką. Chimera. Taki jest ich punkt widzenia.
- Z którym pan się nie zgadza?
- Nie zgadzam. Uważam, że młody czarnoskóry mężczyzna potrafi biegać szybciej niż młody biały mężczyzna, statystycznie rzecz biorąc, oczywiście. To dość fundamentalna różnica natury rasowej i genetycznej. Ale oczywiście o tym nie wypada mówić... - Profesor zaśmiał się smętnie. - Tylko że ja się tym już nie przejmuję. Jestem za stary!
- W porządku. A gdyby na pańskim miejscu był młodszy uczony?
Fazackerly uśmiechnął się chytrze.
- Sytuacja młodego naukowca jest odmienna: zabierając

się do tego rodzaju pracy, popełniłby zawodowe samobójstwo. To naprawdę kontrowersyjny temat. Koreańczycy lepiej grają w szachy niż Aborygeni i tak dalej! Eugenika obumarła jako nauka po zakończeniu drugiej wojny światowej, z oczywistych przyczyn. Okazało się, że niezwykle trudno jest wznowić badania nad różnicami rasowymi. Projekt HDGP w Stanfordzie był dobrym początkiem, ale politycy doprowadzili do jego przerwania. Wielu uznało potem, że należy trzymać się z dala od tematu różnorodności genetycznej człowieka. Nie mówiąc o tym, że zaczęła się nieskończona seria pozwów sądowych...

- Chodzi o biopiractwo?

- Odrobił pan lekcje - zauważył Fazackerly z jakby tęskną miną. - Tak. Widzi pan, w toku naszych badań chcieliśmy przebadać DNA plemion i ras żyjących w odosobnieniu: Melanezyjczyków czy andamańskich wyspiarzy.

- Po co?

- Niewykluczone, że podobnie jak unikatowe rośliny z amazońskiej dżungli, unikatowe odmiany człowieka mogą nosić w sobie wyjątkowe, korzystne dla nas geny. Gdybyśmy na przykład odkryli żyjące w izolacji plemię kongijskie, genetycznie odporne na malarię, mielibyśmy otwartą drogę do stworzenia genetycznej szczepionki przeciwko tej chorobie.

Simon notował pilnie.

- Tylko że członkowie owych plemion mieli coś przeciwko temu? I poszli do sądu, bo to ich DNA?

- Tak jest. Choć przecież to nie łowcy-zbieracze z Kookveld przeprowadzili serię niezwykle kosztownych badań. — Fazackerly niecierpliwie wzruszył ramionami. - Tak czy owak, niektóre grupy rdzennych Australijczyków oskarżyły nas o biopiractwo. Dla naszych szefów to była zatruta wisienka na i tak niejadalnym torcie. Fundacja Greelera, Kellerman Namcorp i tak dalej. Wszyscy po prostu wyjęli wtyczkę. I tak skończył się GenoMap. - Fazackerly spojrział w okno. - Taka szkoda, głównie ze względu na ludzi. Mieliśmy tu fantastycznych naukowców. Niesamowicie bystrą dziewczynę z uniwersytetu w Kioto. I niezwykłego Kanadyjczyka chińskiego pochodzenia. No i oczywiście...

Spojrzeli po sobie.

- Angus Nairn - powiedział dziennikarz.

- Młodego Angusa Nairna. Być może najlepszego młodego genetyka w Europie. Zdążył opublikować porażająco mocne prace.

- A potem zniknął?

- Po zamknięciu projektu. Tak.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Nie ma pan pojęcia ani dlaczego zniknął, ani dokąd się udał?

- Nie mam. - Fazackerly znowu wzruszył ramionami. - Zastanawiałem się, czy nie postanowił zakończyć życia, jak dobry sokratejczyk. Statystyki samobójstw wśród młodych mężczyzn są zatrważające. Osobiście jednak uważam, że był zbyt ambitny, by skoczyć z Tower Bridge. - Żółty uśmiech profesora był teraz jeszcze smętniejszy. - To autentyczna zagadka. Przykro mi, ale nie umiem jej rozwiązać.

- A co pan powie o jego związku ze sprawą tych morderstw? Mówił pan przez telefon, że czytał moje artykuły. Zatem wie pan, że Angus Nairn badał Basków, zanim zniknął.

- Baskowie to dla genetyków niewiarygodnie interesujący materiał.

- Lecz tak się składa, że przedstawicielka tej nacji nie dawno została zamordowana. Niejaka pani Charpentier...

W laboratorium zapadła cisza. Fazackerly wstał nagle.

- Wie pan co? Mam pewną teorię na temat Nairna. Może więc pójdziemy się przejść po parku?

- Jak pan sobie życzy.

- Świetnie. Może coś panu tam pokażę. Coś, co pomoże panu zrozumieć całą koncepcję.

Weszli do martwego laboratorium. Blask jesiennego słońca za oknami tylko potęgował wrażenie pustki.

Jak na starca Fazackerly maszerował wyjątkowo zważym krokiem. Sprowadził swego gościa schodami w dół, a opuściwszy budynek, przeszli na drugą stronę niezbyt ruchliwej ulicy. Minęli drucianą bramę Gordon Square Gardens; jak zawsze we wrześniu w ogrodach dominowały zieleń i złoto. Studenci, turyści i pracownicy pobliskich biur jedli lunch na trawnikach, racząc się kanapkami z przezroczystych pudełek i sushi z plastikowych tacek. Towarzy-

stwo było mieszane - można było zauważyć przedstawicieli wszystkich ras.

Oto Londyn w pełnej chwale, pomyślał Simon, nadzieja dla świata. Wszystkie rasy w jednym miejscu. A z drugiej strony ludzie tacy jak Fazackerly, próbujący znowu podzielić ludzkość, zaszufladkować, na nowo wzbudzić nieufność.

Simon doskonale rozumiał sprzeciw przeciwko tym badaniom. Czuł, że rasowy podział świata to coś złego, przygnębiającego. Z drugiej jednak strony, to była tylko nauka, a ewentualny sukces badań mógł ratować ludziom życie. Skomplikowany paradoks. Prawdziwe wyzwanie, myślał Simon.

- O, proszę - powiedział Fazackerly. Schylił się, by dłoń pokrytą wątrobianymi plamami podnieść coś z ziemi.

Czerwona mrówka biegła bezradnie po jego ręce, szukając drogi do wolności.

- Niech pan obserwuje, panie Quinn.

Znowu się pochylił. Wokół studzienki kanalizacyjnej ułożone były płytki chodnikowe. W szczelinach między nimi krzątały się czarne mrówki; większość jednak pracowicie obrabiała lśniący ogryzek jabłka.

Fazackerly delikatnie upuścił czerwoną mrówkę w skupisko jej czarnych krewniaków. Simon także się pochylił, nie zważając na to, jak idiotycznie wygląda. Zastanawiał się, czy studenci już się śmieją z dwóch wariatów obserwujących mrówki.

- Jestem pewny, że jako ciekawski dzieciak sam pan robił takie rzeczy - powiedział Fazackerly. - To fascynujący proces. Proszę popatrzeć.

Czerwona mrówka, wyraźnie zdezorientowana nagłą zmianą miejsca, próbowała biec to w jedną, to w drugą stronę. Wreszcie postanowiła dostać się na grządkę z kwiatami. Tyle że drogę zagroziły jej czarne mrówki.

Simon obserwował je w milczeniu.

Czerwona zderzyła się z czarną.

- Niech pan obserwuje, co się będzie działo - odezwał się Fazackerly.

Mrówki rozpoczęły walkę. Czarna pochwyliła czerwoną, nieco większą od niej, szczypcami. Czerwona nie pozostała jej dłużna: zdołała przewrócić czarną na grzbiet, ale pozost-

stałe czarne mrówki były już gotowe: otoczyły samotną czerwoną i zaczęły metodycznie wrywać jej odnóża. Wreszcie jedna z nich pochwyciła ranną ofiarę szczypcami i urwała jej łebek. Konająca mrówka drżała jeszcze przez chwilę.

- Otóż to. - Profesor wyprostował się.
- Co? Co takiego?
- Właśnie był pan świadkiem rywalizacji międzygatunkowej.

- A cóż to takiego?
- Zażarta walka między blisko spokrewnionymi gatunkami, które zajmują podobną niszę ewolucyjną. To jedna z odmian darwinowskiej walki o przetrwanie. Wyjątkowo wyniszczająca. Zażarta, jak mówiłem. - Fazackerly szedł już w stronę najbliższej ławki. Usiadł na rozgrzanym słoncem, starym drewnie. Dziennikarz zajął miejsce obok. Profesor przymknął pomarszczone powieki i zwrócił twarz ku słońcu.

- Równie zażarta bywa rywalizacja wewnątrzgatunkowa - dodał po chwili. - Coś jak rywalizacja w rodzeństwie. Kompleks Kaina. Mordercza nienawiść między braćmi.

- Rozumiem. - Simon odetchnął, ze wszystkich sił stając się nie myśląc o Timie. - Zgoda, wszystko to bardzo ciekawe. Dziękuję. Ale co to ma wspólnego z Angusem Nairnem?

Profesor otworzył oczy.

- Angus był uczonym. Chętnie zaakceptował gorzką prawdę, której wy, laicy, nie chcecie lub nie umiecie zaakceptować.

- A prawda ta brzmi?
- Wszechświat nie jest taki, jak sobie tego życzymy. To nie jest powiększona wersja Szwecji, kierowana przez olbrzymiego pracownika socjalnego w sandałach. To nawet nie królestwo pod rządami kapryśnego suwerena. Wszechświat to pełna przemocy, bezcelowa anarchia, nieskończona bezlitosna walka. - Uśmiechnął się pogodnie. - Dobór naturalny może wydawać się podobny do stałego postępu, ale nim nie jest. Ewolucja dokonuje się w sposób przypadkowy i donikąd nie zmierza. Jedyne prawo jest rywalizacja, zabijanie, walka. Wojna wszystkich przeciwko wszystkim. My zaś nie jesteśmy wyjątkiem. Ludzkość podlega tym sa-

mym prawom bezcelowej rywalizacji co zwierzęta: mrówki, ropuchy i jakże szlachetne karaluchy.

Lekki wiaterek zaszeleścił liśćmi dębu, pod którym siedzieli.

- A Angus Nairn?

- Ludzie nie chcą znać tej prawdy. Dzieło Darwina to warzyszy nam od stu pięćdziesięciu lat, a oni wciąż negują bezlitosne prawdy, które on odkrył przed światem. Nawet ci, którzy wierzą w dobór naturalny, wolą łudzić się jego teleologicznym sensem, wierzyć w jego celowość, kierunek, w nieustanne zmierzanie ku wyższym formom. - Starzec cmoknął lekceważąco. - Ale to oczywiście wierutne bzdury. A jednak nikt nie chce tego przyjąć do wiadomości. Przed nami więc niewdzięczne zadanie. Myślę, że Angus mógł się zniechęcić. Może po prostu się poddał, wyjechał gdzieś i leży na plaży. Nie winiłbym go, gdyby tak zrobił. - Profesor westchnął ciężko. - Był błyskotliwym genetykiem w świecie, który ani myśli słuchać prawd odkrywanych przez genetyków. - Kolejne westchnienie. - Choć oczywiście nie brak w tym wszystkim i smakowitej ironii.

- To znaczy?

- Nairn był wierzący.

- Jak to?

- Tak to. Dziwaczne, prawda? Mimo naturalnej smykałki do genetyki był, w pewnym sensie, człowiekiem głębokiej wiary. — Fazackerly wzruszył ramionami. - O ile wiem, wychował się w religijnej rodzinie, jego ojciec był świeckim kaznodzieją. Angus posiadał więc dość wcześnie obszerną wiedzę teologiczną. Naturalnie nieraz spieraliśmy się o te sprawy, ale ja do dziś nie jestem pewny, czy chciałbym mieć taką wiarę jak on, nawet gdybym był skłonny ją przyjąć. Angus Nairn nie dostrzegał zasadniczego konfliktu między koncepcjami bezlitosnej ewolucji oraz, powiedzmy, złowrogiego bóstwa.

Simon natychmiast pomyślał o swoim bracie. Skazany przez okrutnego boga? Myśl była przelotna, ale nieprzyjemna, a także boleśnie nie na temat. Musiał się skoncentrować na wywiadzie.

Profesor wyjął z kieszeni karmazynową jedwabną chustkę i delikatnie otarł pot z czoła.

- Angus bardzo chętnie rozmawiał o tych sprawach - rzekł po chwili. - Gdy przychodzili goście, nasi sponsorzy, często dochodziło do gorących debat. O Biblii i... Torze? To właściwe słowo? Wciąż zapominam. Chodzi o świętą księgę Żydów.

- Talmud.

- Otóż to. Wszystko to bardziej astrologia, jeśli chce pan znać moje zdanie. Runy i horoskopy! Narzędzie pocieszenia dla głupców, jak loteria dla biedaków. Lecz Angus bardzo się podniecał, dyskutując o tajemnicach swojej wiary. Mówił o dziwnych doktrynach, o węzowym nasieniu, o klątwie Kaina i tak dalej.

- O czym?

- Nie znam szczegółów. Jeśli to pana ciekawi, proszę po rozmawiać z Emmą Winyard. Warto; była dla Angusa bardzo ważną osobą. W ostatnich tygodniach pracy był wręcz przesiąknięty tą tematyką; często cytował jej wypowiedzi. Niech pan sobie zapisze...

- Przykro mi, ale nic z tego nie rozumiem.

- Podam panu namiary na tę kobietę. Od niej dowie się pan znacznie więcej.

Simon przeprosił i przygotował długopis. Fazackerly mówił wolno, a jego twarz nawet w słońcu wydawała się szara.

- Emma Winyard. King's College. Wydział Teologiczny.

- W Londynie?

- Tak. Wiem, że Angus często z nią rozmawiał, zwłaszcza pod koniec. Być może to ważny ślad. Choć oczywiście możliwe, że absolutnie nic nieznaczący.

Dziennikarz zanotował. Przez kilka minut milczeli, a potem stary odezwał się ponurym głosem:

- Prawda jest taka, że brakuje mi go, panie Quinn. Brakuje mi Angusa. Umiał mnie rozbawić. Jeśli więc uda się panu go odnaleźć, proszę dać mi znać. A teraz muszę już wracać do pakowania. Mrówki oblaży panu spodnie.

Miał rację. Kilka owadów wspinało się po nogawce dżinsów. Zanim Simon je strzepnął, Fazackerly zdążył się oddalić energicznym krokiem.

Dziennikarz został sam. W końcu wstał z ławki i ruszył w kierunku stacji metra. Wracając pociągami do domu, wciąż miał przed oczami obraz mrówek. Walczących. Za-

bijających. Wojna między gatunkami. Wojna wszystkich przeciwko wszystkim.

Gdy wychodził z podmiejskiej stacji, odezwał się jego telefon. Bob Sanderson sprawiał wrażenie wyjątkowo podnieconego.

- Forsa!
- Słucham?
- Forsa. Nareszcie mamy trop.

Sanderson mówił z ożywieniem o zaskakującym spadku, który otrzymała Edith Tait. Dziennikarz, choć o tym wiedział, cieszył się, że ktoś przerwał jego posępne rozmyślenia. Słuchał więc z uwagą.

- Miałem przeczucie, kiedy o tym wspominałeś - ciągnął Sanderson. - Pobawiłem się więc trochę w staroświeckiego detektywa. Oni wszyscy byli przy forsie. Ofiara z Windsoru zostawiła osiemset tysięcy funtów. Ta z Primrose Hill ponad milion.

Simon postanowił odegrać rolę adwokata diabła.

- Wielu starszych ludzi ma fortunę, Bob. Przyzwoity dom w popularnej części kraju wart jest pół miliona.

- No jasne, ale... - Zadowolony z siebie inspektor zawiesił głos. — Przyjrzyjmy się bliżej faktom. Dlaczego nie wydali tych pieniędzy? Zwłaszcza Charpentier. Mieszkała w tej chatynce na Fouli, o ile nam wiadomo, odkąd tylko przyjechała do Wielkiej Brytanii. A przecież miała kupę pieniędzy.

- Faktycznie dziwne.
- Co więcej, miała pieniądze już wtedy, gdy emigrowała.
- W 1946 roku?

- Tak jest. Dokładnie w 1946 roku. Cała ta trójka Francuzów baskijskiego pochodzenia przybyła na Wyspy tuż po wojnie. Wszyscy mieszkali poprzednio w okupowanej Francji, wszyscy mieli pieniądze i wszyscy zostali zabici niemal siedemdziesiąt lat później.

- Co oznacza?

- Co oznacza, Simonie... - W głosie Sandersona słychać było śmiech. - Że wielu ludzi spotkał wtedy marny los.

Quinn poczuł dreszcz na plecach, choć jesienne słońce grzało jeszcze całkiem mocno. Odetchnął szybko i głęboko.

- Aha.

- Rozumiesz? Ktoś dał tym trojgu łup, albo sami go znaleźli, w okupowanej Francji.
- Sądzisz, że ta sprawa zaczęła się już w czasie wojny?
- Tak jest. Myślę, że to forsa splamiona krwią. Albo... - Zawiesił głos dla lepszego efektu. - Albo złoto nazistów.

Dziewczyna nie przestawała krzyczeć:

- *Qui est-ce? Qui est-ce?!*

David spojrział na Amy.

- Nie ruszaj się. Ona ma strzelbę.

Amy pobladła i zeszywniała, ale mimo to odezwała się po francusku. David słuchał uważnie i zrozumiał, że wymieniła ich imiona i nazwiska.

Cisza. David czuł na plecach spojrzenia sąsiadów obserwujących go z okien. Był też aż za bardzo świadomy bliskości naładowanej broni tuż za drzwiami: jeden strzał wystarczyłby, by rozwalić drzwi.

Należało jak najszybciej coś z tym zrobić.

- Przepraszam! - zawołał przez drzwi, zdając sobie sprawę z absurdalności sytuacji i z własnego przerażenia. - Proszę pani. Chcielibyśmy tylko porozmawiać. Nie wiem, czy zna pani angielski, ale... Chcę tylko dowiedzieć się czegoś o moich rodzicach. Zginęli w tym miasteczku. Zostali za mordowani. Ale możemy też odejść. Czy mamy odejść?

Cisza.

Spojrział na Amy. Na jej czole lśniły drobnutkie kropelki potu; kosmyk jasnych włosów przywarł do jej skóry. Zdławił w sobie przemożną chęć ucieczki. Chwilę później drzwi otworzyły się i stanęła w nich dziewczyna ze strzelbą przełożoną przez ramię.

- Jestem Eloise Bentayou. Czego chcecie?

David spoglądał w milczeniu na Cagotkę. Miała siedemnaście, może osiemnaście lat. Cienki srebrny łańcuszek lśnił mocno na tle śniadej skóry jej szyi; lakier na paznokciach miał wyjątkowo intensywną barwę. Ciemna cera upodab-

niała ją do Arabki, ale włosy miała typowo baskijskie, przylegające do głowy.

- My... - David szukał odpowiednich słów - ...chcieliśmy dowiedzieć się czegoś na temat Cagotów.

Eloise popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Chcieliście popatrzeć sobie na niedotykalnych, co? - Zrezygnowana, wzruszyła ramionami. - A zresztą, co mi tam. Wejdźcie. Tędy.

David i Amy przeszli przez próg. Drewniany zegar z podobizną Matki Bożej tykał miarowo, wisząc samotnie na ścianie. Eloise poprowadziła ich do salonu, w którego kącie stał duży, nieco staroświecki telewizor. Starsza kobieta oglądała jakiś program, siedząc na kanapie.

- *Grand-mere?* - zapytała Eloise z troską.

Kobieta nie zareagowała, wpatrzona w ekran. Dźwięk był wyłączony, lecz to nie przeszkadzało jej w oglądaniu teleturnieju. W końcu jednak uniosła głowę, spojrzała najpierw na Amy, potem na Davida, po czym znowu na telewizor. Na nogach miała kapcie w szkocką kratę.

Eloise westchnęła.

- Od czasu... od czasu morderstw właściwie przestała żyć. *Grand-mere? Une tasse de the?*

Kobieta nie oderwała już wzroku od ekranu. Eloise pokręciła głową.

- Chodźmy do kuchni - zaproponowała. - Chcecie porozmawiać o Cagotach? O ostatnich Cagotach na tym świecie? Zanim wybiją nas do reszty... - Dziewczyna podeszła do drzwi. - Zaparzę herbaty. Angielskiej herbaty.

Kuchnia była równie nieciekawa jak salon. Może nie brudna, ale z pewnością zaniedbana. Mleko w spodku, przeznaczone pewnie dla kota, było już zsiadłe.

Usiedli przy nagim drewnianym stole, a Eloise zajęła się parzeniem herbaty. David spojrzał na Amy, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Postanowił zacząć od komplementu.

- Bardzo dobrze mówisz po angielsku. - Niemal od razu uświadomił sobie, jak beznadziejnie to zabrzmiało.

- Babcia mnie nauczyła. Świetnie zna angielski. Studiowała, a potem była pilotem wycieczek. Wiele lat temu. Zanim to się stało. A teraz po prostu tam siedzi. - Eloise zapatrzyła się na kubki pełne herbaty. Po chwili rozstawiła

je na stole. - Proszę. Earl Grey. Mam cytrynę, jeśli chcecie.
- Przepraszam za tę strzelbę - dodała Eloise. - Należała do
mojego ojca, zanim... zanim oboje rodzice zginęli.

- Mój Boże - szepnęła Amy.

- Współczuję - dodał David.

Ciemnobrązowe oczy nastolatki skierowały się na nich.

- To dlatego postanowiłam was wpuścić. Twoja historia
jest bardzo smutna. Wiem, co czujesz. I bardzo mi przykro.

- W jaki sposób zginęli twoi rodzice?

- Od kul.

- Kto to zrobił?

- Policja nikogo nie złapała. Policja w ogóle nic tu nie robi.

- Nic?

- Absolutnie. Są... bezrobotni. *En chomage!* Dwoje ludzi
ginie, a oni nikogo nie znajdują. To po prostu *incroyable*. -
Eloise zaczęła łapczywie pić herbatę. Była jeszcze bardzo
gorąca, ale dziewczynie najwyraźniej to nie przeszkadza
ło. - Zastrzelono ich w samochodzie. Tak po prostu! Może
dlatego, że byli Cagotami? Nie wiemy dlaczego. Ale teraz
rozumiecie, dlaczego się boję. Wszystkich, nawet policji.
Cagoci giną.

Zatem temat Cagotów został poruszony. Dziewczyna
skrzywiła się, gdy David wspomniał o stronie internetowej.

- To był pomysł ojca! Głupia strona! Ostatni z Cagotów
kropka com. Mówiłam mu, że to niebezpieczne! Mówiłam,
że przyciągnie uwagę. Ale on, podobnie jak matka, twier-
dził, że my, Cagoci, nie powinniśmy się niczego wstydzić.
Że głupotą było ukrywanie naszej tożsamości. A jako że
być może jesteśmy ostatnimi z żyjących, chciał powiedzieć
o tym światu. - Wzruszyła ramionami. - Mówił, że ktoś
musi opisać historię naszego ludu. *Les Cagots!* Możliwe, że
właśnie za to zginęła moja rodzina. *N'est-ce pas?* Od tam
tej pory trzymam pod ręką strzelbę. Ojciec używał jej do
polowań. Ja właściwie się z nią nie rozstaję. Może i po nas
przyjdą? Jesteśmy ostatnie, ja i moja *grand-mere*. Ale nie
sądzę, żeby babcia się tym przejmowała; ona w zasadzie już
jest jakby martwa.

Słuchając tego wszystkiego, David czuł się beznadziejnie
bezzadny. Każda odpowiedź musiała zabrzmieć niedo-
rzecznie wobec takiej rozpacz. Wiedział, jak to jest zostać

sierotą, i do tego jedyakiem. Nic nie mogło się równać z taką samotnością, z wewnętrzną pieśnią samotnej rozpaczycy. Chciał pomóc tej nieszczęsnej dziewczynie, chociaż wiedział, że nie jest w stanie.

Kiwała głową w głębokim przygnębieniu, odpowiadając na pytania Amy. Jej młodość i uroda sprawiały, że tym trudniej było patrzeć na jej ból.

- Tak, mogę wam wszystko opowiedzieć. Znam całą historię. Ojciec uczył nas jej od najmłodszych lat, żebyśmy byli dumni, żebyśmy nie czuli wstydu. - Odwróciła się i nadsta wiała uszu, jakby nasłuchiwała głosu babci. Po chwili znowu spojrzała na Davida. - Oto, co wiem, co przekazał mi ojciec. My, Cagoci, byliśmy... jesteśmy ludźmi. Unikatomą rasą. Pojawiamy się, jeśli można tak powiedzieć, w dokumentach po raz pierwszy mniej więcej w trzynastym wieku. Właśnie w tym regionie: w Nawarze i Gaskonii.

David zaczął sączyć herbatę, uważnie chłonąc każde słowo.

- Już wtedy uważano Cagotów za rasę niższą. Za pariasów!

- Za wyrzutek? - wpadła jej w słowo Amy. - Za nie dotykalnych?

- *Oui*. W średniowieczu Cagoci byli izolowani na wiele sposobów. Mieliśmy własne dzielnice w miastach, zwykle po tej gorszej stronie rzeki, bardziej malarycznej. - Upiła łyk herbaty. - Ślady tych gett do dziś można znaleźć w pirenejskich miasteczkach. Wystarczy się dobrze rozejrzeć w St-Jean-Pied-de-Port czy w Campan.

David energicznie pokiwał głową.

- Widzieliśmy! Stare chałupy i ruiny w Campan.

- Tak. Nazywano te getta cagoteriami. W Campan istniało jedno z największych.

- Co jeszcze? - spytała Amy. - Drzwi?

- Najpierw musicie poznać historię - odrzekła Eloise. - *Vraiment*. Życie Cagotów było naznaczone podziałami: byliśmy odseparowani od innych ludzi, ukryci jak wstydlivi sekret. Nie wolno nam było uprawiać większości rzemiosł i zawodów. Musieliśmy się zajmować czerpaniem wody albo rąbaniem drewna. Produkowaliśmy więc beczki na wino i trumny dla zmarłych. Staliśmy się zresztą świętymi

cieślami. - Przelotny, smutny uśmiech zagościł na ustach Eloise. - I dlatego to właśnie my zbudowaliśmy tak wiele pięknych kościołów, do których czasem zabraniano nam wstępu.

- Jak ten w Campan?

- Tak, w Campan. I w Bigorre. I w wielu innych wioskach. - Dziewczyna mówiła coraz szybciej. - Niektóre z zażądań były doprawdy dziwaczne. Na przykład nie mogliśmy chodzić boso, jak inni wieśniacy. Tak powstała legenda, że wszyscy mamy błony między palcami. Cagoci nie mieli prawa korzystać z tych samych łaźni co inni ludzie. Nie mogli dotykać poręczy mostów. Szaleństwo, *nori*? A kiedy dokądś się wybieraliśmy, musieliśmy nosić *lapatte dbie*, gęsią łapkę, przypiętą do ubrania. To był symbol błoniastych stóp; rzekomej deformacji Cagotów.

- To tak jak Żydzi w czasie drugiej wojny musieli nosić żółtą gwiazdę - odezwała się Amy.

- *D'accord*. W kościołach także traktowano nas inaczej, czyli gorzej. Musieliśmy korzystać z osobnych drzwi, po lewej stronie od głównego wejścia. Widzieliście te małe drzwiczki? Właśnie. Mieliśmy też własne chrzcielnice, *benitiers*. Oznaczone gęsią łapką, oczywiście. Komunii udzielało nam, używając długich, drewnianych łyżek, żeby księża nie musieli nas dotykać. Dotykać brudnych ludzi.

- Ale dlaczego? - spytał David. Dopił herbatę i miał ochotę na jeszcze jedną, był też głodny, ale przede wszystkim potrzebował czegoś, co pomogłoby mu oderwać się na moment od tej opowieści. Ból dziewczyny sprawiał, że i jego głęboko skrywana rozpacz wpływała na powierzchnię. - Eloise, dlaczego traktowano Cagotów w taki sposób? Dla czego musieliście żyć w takim ucisku?

Dziewczyna przechyliła głowę na bok, na jej ustach pojawił się grymas niesmaku.

- Nikt tego nie wie. Nikt nie jest pewny, dlaczego tak nas traktowano. Wieśniacy mawiali dawniej, że Cagoci są *psychotiqu.es*. Byliśmy też, *certainement*, uważani za gorszych, jak wiecie, za skażonych, zanieczyszczonych. Jak zakaźnie chorzy.

- Czy Cagoci byli też zabijani?

- *Oui, oui*. Zdarzało się, że bigoteria przeradzała się

w agresję. Na początku osiemnastego wieku pewnego zamoznego Cagota w *Les Landes* przyłapano na korzystaniu z chrzcielnicy przeznaczonej dla... nie-Cagotów. Odrąbano mu rękę i przybito ją do drzwi kościoła.

Amy skrzywiła się, a Eloise kontynuowała opowieść.

- Szokujące, *non!* Inny Cagot, który ośmielił się uprawiać pole, co było kategorycznie zakazane, został ukarany przebicciem stóp rozżarzonymi żelaznymi kolcami. Gdy w wiosce popełniono jakąś zbrodnię, winny był zawsze Cagot. Niektórych nawet spalono na stosie. Po śmierci zresztą także spotykała ich dyskryminacja: Cagoci musieli chować swych zmarłych na osobnych cmentarzach.

David spojrział na Amy, a ona skinęła głową. Arizkun.

- Ale skąd się wziął twój lud? — spytała. - Kim właściwie jesteście?

- Nasze pochodzenie nie jest jasne; trudno coś ustalić teraz, gdy nasze istnienie w większości wymazano nawet z archiwów. Mówi się, że podczas *la reuolution* zniesiono prawa pozwalające na dyskryminację Cagotów, ale moim zdaniem wielu z nas celowo zniszczyło księgi, by raz na zawsze pozbyć się dowodów swego pochodzenia. Pozbyć się tej hańby! Po 1789 Cagoci jakby się zasymilowali. Wielu zmieniło nazwisko. Stopniowo wymieraliśmy. Wiele małżeństw było bezdzietnych.

David pomyślał o swoim dziadku, a ściślej o tym, że i on zmienił nazwisko - baskijskie na hiszpańskie. Czyżby też pozbył się pradawnej hańby?

Amy miała w zanadrzu kolejne pytania.

- Czy istnieją jakieś teorie na temat pochodzenia Cagotów?

- *Naturellement*. Tylko że współczesne prace na ten temat wprowadzają tylko zamęt. Nie ma nawet zgodności co do tego, jak powinniśmy wyglądać! Niektórzy twierdzą, że Cagoci są niscy, śniadzi, często otyli. I że cierpią na wole oraz wrodzony kretynizm. Inni uważają, że jesteśmy blondynami o wyjątkowo błękitnych oczach. Pewien uczoney, nazwiskiem Michel, napisał nawet książkę na ten temat: *L'Histoire des races maudites*.

- „Historia ras przeklętych”? - upewniła się Amy.

- *Oui, oui*. W 1847 roku. Była to jedna z pierwszych

prac o Cagotach. Michel odnalazł co najmniej dziesięć tysięcy Cagotów, rozrzuconych po całej Gaskonii i Nawarze, wciąż cierpiących, wciąż wyrzuconych poza nawias społeczeństwa... - Eloise wstała i zaniósła swój kubek do zlewu. Umyła go pobieżnie, nie przerywając opowieści. - Od czasów Michela jeszcze paru innych historyków próbowało rozwikłać wielką zagadkę Cagotów, choć Francuzi wcale nie mieli ochoty dyskutować o naszym istnieniu. Wedle jednej z teorii roznosiliśmy niegdyś trąd; to by wyjaśniało wiele zakazów, jakie obowiązywały Cagotów. Według innej cierpieliśmy na dziedziczną chorobę psychiczną. Ta teoria nie jest jednak zbyt mocna, w wielu innych książkach bowiem opisuje się nas jako całkiem zdrowych i żywotnych. A także inteligentnych, jak sami widzicie, mam nadzieję. Nie jesteśmy trędowaci! Jesteśmy śniadzi, tak. Ale nie trędowaci ani szaleni. David skinął głową.

- Oczywiście.

- Uważam - ciągnęła Eloise - że jesteśmy potomkami mi Maurów, którzy osiedlili się tu, gdy w ósmym wieku dokonali inwazji na tereny dzisiejszej Hiszpanii i Francji. To dlatego niektórzy nazywali nas *les Sarrasins*. W mojej rodzinie wszyscy mają ciemną karnację. - Urwała na moment. - Nawet bardzo ciemną. Ale całej prawdy chyba nigdy już nie poznamy. Jest za późno, prawda? Zwłaszcza że nikt tu nie lubi o nas rozmawiać. Nie wiem, czy nie zostało nas zaledwie kilkoro. Być może moja rodzina była ostatnią czy stę krwi rodziną Cagotów. Może tylko my jesteśmy w stanie prześledzić historię naszych przodków?

- A skąd się wzięła nazwa Cagoci?

- „Psy Gotów”. Tak twierdzą niektórzy. Ale ja uważam, że to zwyczajna obelga, znacząca tyle, co „brudni ludzie”. Gównoludy. Od słowa *caca* albo *cack*. Rozumiecie teraz, dlaczego Cagoci próbowali ukryć się, zasymilować?

Amy odetchnęła głęboko.

- Ostatni z Cagotów. Niesamowite.

- Tak. - Eloise na moment przymknęła oczy. - Tylko że ta niesamowita historia spowodowała śmierć na moją matkę i mojego ojca.

David chciał zadać najbardziej oczywiste pytanie: Dla-

czego w tych czasach ktoś miałby zabijać Cagotów? Wydało mu się ono jednak zbyt brutalne.

W korytarzu rozległ się cichy odgłos kroków. Babcia Eloise, w swym zapinanym swetrze i kraciastych kapciach, stanęła w drzwiach kuchni.

- *Grand-mere?* - odezwała się dziewczyna, z troską wyciągając ku niej dłoń.

Kobieta uniosła szczupłą rękę. Wpatrywała się w Davida.

- Wiem, kim pan jest, monsieur Martinez - powiedziała. - Znałam pańskiego ojca.

Trudno mu było wytrzymać spojrzenie pani Bentayou. W końcu zapytał:

- W jaki sposób się poznaliście?

Staruszka usiadła przy kuchennym stole i zaplotła dłonie wokół pustego kubka.

- Spotkałam go tu, w Gurs. Piętnaście lat temu.

- To znaczy wtedy, gdy został zabity... razem z moją matką? - David czuł, jak krew pulsuje mu w żyłach.

- Mogę panu pokazać, gdzie spotkała ich śmierć, jeśli pan tego chce. To tylko kilka minut drogi stąd, niedaleko obozu.

Kot wśliznął się do kuchni, podszedł bezszelestnie do swojego spodka i zaczął chleptać nieświeże mleko.

- Obozu?

Babcia Eloise wzruszyła ramionami, jakby ze znużeniem.

- Pokaże mi pani to miejsce?

- Pokażę - odpowiedziała łagodnie.

Potrzebowali dziesięciu minut, żeby przejść przez zarośnięte pustkowie zapomnianego przedmieścia, obok brzydkiego kościoła, zaniedbanej restauracji. Dalej wiodła dość długa, prosta ulica. Dotarli do starego, poprzerastanego pokrzywami, rudego od rdzy toru kolejowego. Przeszli na drugą stronę. Teren był nienaturalnie płaski. David zastanawiał się, dlaczego cała okolica wydaje się tak martwa. Taka nijaka i opuszczona.

Czarne owady wirowały w chłodnym wieczornym powietrzu, gdy szli najpierw betonową ścieżką, a potem po żwirze. Minęli wysoki krzyż. Madame Bentayou, wciąż w swych

kraciastych kapciach, przysiadła na drewnianej ławce, obok wnuczki. David przystanął obok i spytał:

- Zatem tu był ten obóz? Dlatego stoi tu ten krzyż? Co tu się właściwie wydarzyło?

Staruszka wskazała wielką połąć bujnych chwastów i dróżki wylane betonem.

- To był nazistowski obóz. Obóz koncentracyjny.

Umilkła.

David rozejrzał się raz jeszcze. Więc o to chodziło: okolica była wyludniona, bo nikt nie chciał tu mieszkać. Miasteczko zostało zatrute przez swą bolesną historię, a nikt nie ma ochoty na takie sąsiedztwo.

- Niemcy okupowali południowo-zachodnią część Francji, aż po hiszpańską granicę - ciągnęła staruszka. Granica z Vichy, kolaboranckim państwem francuskim Petain'e'a, przebiegała sto sześćdziesiąt kilometrów stąd na wschód. A tu mieścił się największy obóz koncentracyjny w całej południowo-zachodniej Francji.

- Kogo tu trzymali?

- Tych co wszędzie. Tam stoi tablica pamiątkowa i krzyż. - Staruszka skinęła dłonią w lewo. - Te dwa budynki to dawne baraki, celowo zachowane.

Amy zmarszczyła brwi.

- Więzili tu Żydów?

- Tak. Ale także... - Madame Bentayou nie dokończyła. - Wielu ludzi. Gdy dotarli tu Niemcy, istniał tu już obóz internowania dla uchodźców z hiszpańskiej wojny domowej. Pełno więc było komunistów, a także Basków. Gestapo do rzuciło Żydów i Cyganów oraz inne mniejszości.

Grunt wydawał się prawie bagnisty; kałuże nieświeżej wody niczym lustra odbijały obraz ciemniejących chmur. David spojrzął na kraniec dawnego obozu: jego ostatnia sekcja była oddzielona od pozostałych niewysokim murkiem. Wzniesiono tam jeszcze jeden krzyż z tablicą pamiątkową.

Kobieta przechwyciła jego spojrzenie i wyjaśniła:

- Tam mieściła się najbardziej niesławna część obozu.

- Dlaczego?

Staruszka zwlekała chwilę z odpowiedzią, jakby zbierała siły.

- To była sekcja medyczna. Potworność. Niemcy wy-

dzielili tę część obozu, żeby przeprowadzać tam eksperymenty. Badania naukowe. Medyczne. - Zgniotła w dłoni chusteczkę, jakby za chwilę miała się rozplakać. - Badania krwi - dodała po chwili. - Badania tkanek. Torturowali ludzi. Torturowali i zabijali. Bardzo wielu.

Babcia Eloise naprawdę była bliska płaczu. I nagle David uświadomił sobie oczywisty, ponury fakt.

- Madame Bentayou, czy pani tam była? - zapytał cicho.

- *Oui*. Byłam tam - wyszeptała. - Jako bardzo młoda dziewczyna. Moja matka też trafiła do obozu, podobnie jak bardzo wielu Cagotów. - Pokręciła głową. - Wiem, jakie pytanie chcesz mi teraz zadać. Chciałbyś wiedzieć, dlaczego po wojnie nie wyprowadziliśmy się z tego miasteczka? - Posłała mu pełne emocji, buntownicze spojrzenie. - Cagoci mieszkali w tych stronach od kilkuset lat; dlaczego mielibyśmy ustępować najeźdźcom? Powiedzieliśmy więc: Zostajemy. Bo my zawsze zostajemy, nawet jeśli czeka nas za to śmierć. - Otarła chusteczką łzy i po chwili jakby się opanowała. - Panie Martinez...

- Proszę mi mówić po imieniu.

- Monsieur David, chciałabym już wrócić do domu. To dla mnie trudne przeżycie. Zwykle nie rozmawiam z nikim na ten temat.

Wstała. Niezadane pytania sprawiały Davidowi wręcz fizyczny ból.

- Proszę jeszcze o jedno. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o rodzicach. - Słyszał żal w swoim głosie. Nic go to nie obchodziło. - Co tutaj robili? Gdzie zostali zabici? W jaki sposób się poznaliście?

Spojrzała na niego ponuro.

- Twój ojciec przyjechał do Gurs. I rozpoznałam go.

- Ponieważ?

- Ponieważ wyglądał niemal tak samo jak twój dziadek.

Non? Nie mam racji?

- Tak - odparł. - Tak, to prawda. Ciemne włosy, szerokie ramiona, wysoki...

- Dostrzegłam twój dziadka w twoim ojcu; tak są mo dziś rozpoznałam ciebie. Wszyscy trzej jesteście tacy sami. I właśnie to powiedziałam twojemu ojcu: „Monsieur

Eduardo, siedziałam w obozie z pańskim ojcem, Sergiem Martinezem".

- Z moim dziadkiem.
- Tak.

Chłodniejszy podmuch wiatru zakołysał topolami rosnącymi wzdłuż granicy obozu. Konary zadrżały niespokojnie, jakby przestraszone niespodziewanym pokazem siły.

Kobieta mówiła dalej:

- Twój ojciec był zaskoczony. Nie znał historii swojej rodziny i dlatego przyjechał właśnie tu, żeby poznać prawdę o sobie. - Oczy staruszki były półprzymknięte. - Nie wie działa też, że twój dziadek był Baskiem i że podczas wojny przebywał w obozie. Więc mu powiedziałam. A kiedy twoi rodzice dowiedzieli się o tym, postanowili tu zostać przez dwa tygodnie, żeby trochę popytać. Często przychodzili do restauracji w Gurs. Zdaje się, że mój mąż dużo mu powiedział na temat obozu; inni zresztą też. - Westchnęła cicho. - Już od dziesięciu lat jestem wdową.

- Co było dalej? Rodzice spędzili we Francji miesiąc.

- Tak. Pojechali do Prowansji i dokądś jeszcze. Na tydzień albo dłużej. Nie wiem, w jakim celu. Kiedy wrócili, zadawali jeszcze więcej trudnych pytań. Na temat obozu, Basków, Cagotów. Na temat Eugena Fischera. Wielu spraw. I na temat człowieka stąd. Zdrajcy.

- Kogo?

- Nie pamiętam nazwiska. Spróbuję sobie przypomnieć. Później. To potworne wspomnienia dla mnie, dla wszystkich Cagotów, dla każdego człowieka.

David musiał zadać jeszcze jedno, niezbędne pytanie. Zdawało mu się, że stoi na nieużywanym od dawna torze kolejowym, na którym nagle pojawił się pociąg, pędzący wprost na niego. I wiozący w brązowych pordzewiałych wagonach całą straszliwą prawdę.

- Gdzie zginęli moi rodzice?

Madame Bentayou wskazała na drogę biegnącą wzdłuż krawędzi dawnego obozu. Za nią rozciągało się pole słoneczników; o tej porze roku wyglądały jak maleńkie, martwe drzewa, wykonane z poszarpanego i osmalonego papieru.

- Właśnie tam. W samochodzie. To był wybuch. Ktoś wysadził samochód w powietrze, a przynajmniej tak uważa-

ją wszyscy w Gurs i Navarrenx. Policja nie przeprowadziła właściwego śledztwa. Podobnie jak w przypadku śmierci mojego syna i jego żony, kilka tygodni temu. - Głos starszki zadrżał. - Zastanawiam się, czy to nie ci sami ludzie są odpowiedzialni za te zabójstwa. Ale przepraszam, rozgadałam się. Wariatka ze mnie, czyż nie? Moja wnuczka twierdzi, że tracę rozum. Muszę już iść. Chcę teraz zostać sama. Później jeszcze gdzieś pójdziemy.

Madame Bentayou wstała ociężale. Podeszła do Davi-da i zamknęła jego rękę w swoich drobnych, chłodnych dłoniach, patrząc mu głęboko w oczy. Potem odwróciła się i odeszła powoli w stronę domu.

David odprowadził ją wzrokiem. On także potrzebował teraz samotności, i to bardzo. Podeszedł na skraj drogi. Patrząc na asfalt, zastanawiał się niedorzecznie, czy teraz, po piętnastu latach, dostrzeże jeszcze ślady eksplozji. Może drobiny rozbitej przedniej szyby wozu, lśniące gdzieś w zagłębieniu? Plamę krwi. Żdźbło trawy zabarwione czerwienią. Poczerniały wrak samochodu.

Ale nie zobaczył nic. Stał tam przez dziesięć minut, wdechając chłodny wiatr, wspominając. Matka w niebieskiej sukience. Żywa i uśmiechnięta. Pragnął wyciągnąć do niej rękę, w nadziei, że zobaczy jej ducha tu, w miejscu, w którym zginęła. A potem znowu był małym chłopcem biegnącym ścieżką wprost w otwarte ramiona rozpromienionej matki. Zimny smutek był niemal namacalny, jak wiatr wiejący od gór.

Słońce zaszło; robiło się coraz chłodniej.

Powrócił do dziewczyn. Eloise rozmawiała przez telefon; najwyraźniej mocno poruszona.

- To babcia. Przypomniała sobie nazwisko, Davidzie. Nazwisko zdrajcy. To był Jose. Jose...

- Garovillo?

- Tak.

David spojrzął na Amy ze zdumieniem.

Eloise zaczęła krzyczeć do słuchawki:

- *Grand-mere? Grand-mere!*

- Co się dzieje, Eloise?! - zawołała Amy.

Dziewczyna wsunęła telefon do kieszeni.

- Powiedziała, że przed domem są jacyś mężczyźni.

Poznała jednego z nich. To on. Ten, którego widziała już wcześniej.

Urwała i puściła się biegiem w stronę domu.

Żeby uprzedzić Miguela.

Pobiegli za nią. Pot zalewał Davidowi oczy, gdy tak gnali. Dziewczyna była młoda i szybka i z trudem za nią nadążali. Szybko minęli zapomniany tor kolejowy i obskurną restaurację. Eloise biegła, by ratować babcię. David biegł, by ratować Eloise, a może także Amy i siebie. I gdy tak biegł, logika wydarzeń eksplodowała w jego umyśle jak jakiś organiczny proces odtworzony na przyspieszonym filmie: jak błyskawicznie rozkwitająca róża.

Oczywiście, to musiał być Miguel. Miguel był sprawcą wszystkich zabójstw. Zawsze Miguel, Wilk, morderca Cago-tów i nie tylko. Lis, który zabija kurczaki dla zabawy.

Zbliżali się do domu od strony lasu. David wytrzymał wzrok.

Czyżby się spóźnili? Droga tonęła w półmroku, była cicha i najwidoczniej pusta. Nie było czerwonego samochodu. Bungalow wyglądał tak samo jak przedtem. I wtedy David zobaczył - przez ułamek sekundy - ciemną twarz w oknie. Wysokiego mężczyznę. Twarz zniknęła, a Eloise z krzykiem chciała rzucić się w stronę domu, lecz David pochwycił ją i przytrzymał, zasłaniając jej usta dłonią.

- Eloise - syknął - ten człowiek jest psychopatą. Bru talem. Próbował nas zabić. Zabija każdego, kto mu wejdzie w drogę. Także twoich rodziców. I ciebie też zabije...

Eloise płakała, wrywając się z jego uścisku. Co robić? Co robić?! David uświadomił sobie, że nie może dłużej jej zatrzymywać; że jest w tym coś niewłaściwego. Jeżeli dziewczyna chciała biec na ratunek babci, chociaż wiedziała, że może przy tym zginąć, to musiał jej na to pozwolić. Z ciężkim westchnieniem rozluźnił uchwyt i opadł na wilgotną ziemię.

Amy syknęła ostrzegawczo, lecz Eloise nie słuchała. Przesunęła się kawałek do przodu, czekając i obserwując - w domu paliły się światła - a potem przebiegła na drugą stronę drogi. Wyłoniwszy się z cienia, pobiegła do babci. Przez chwilę David stał i patrzył, zawstydzony i sparaliżowany. Wreszcie szepnął ochryple:

- Co robimy? Co teraz, kurwa, robimy?

Amy uniosła rękę i bezgłośnie poruszyła ustami:

- Eloise.

Nastolatka biegła z powrotem. Jej twarz była wykrzywiona przerażeniem, a wargi drżały.

- El...

Dziewczyna potrząsnęła głową. Srebrny krzyżyk lśnił na jej ciemnej skórze w blasku ulicznej latarni.

- Ja widzę... widziałam... - wydukała z wysiłkiem - ...przez okno.

- Co takiego?

Znowu potrząsnęła głową. Nie mogła wykrztusić słowa. Drżała jak wystraszona gazela, świadoma bliskości drapieżcy. Amy położyła dłoń na ramieniu dziewczyny, a David sięgnął do kieszeni i podał jej telefon.

- Zadzwoń na policję - szepnął z naciskiem. - Zadzwoń, nawet jeśli im nie ufasz.

Eloise wybrała numer. Amy i David zaczęli naradzać się szeptem, próbując wybrać drogę ucieczki i kryjówkę. Jak do-
tąd wszędzie, dokąd się udali, prędzej czy później stawali się
łowną zwierzyną, więc być może były to daremne wysiłki.
Eloise mówiła szybko do słuchawki.

Drzwi domu otworzyły się. David raz jeszcze pochwycił
dziewczynę i wciągnął między drzewa.

- Chodź!

Wreszcie Eloise przemówiła.

- Ja wiem, dokąd możemy pojechać. Mówicie, że musimy
się ukryć, tak? Bo nas też zabije?

- Tak...

- Daj mi kluczyki do samochodu!

David oddał je bez słowa. Przemknęli chyłkiem wzdłuż
linii drzew.

- Teraz! - szepnęła Eloise, gdy znaleźli się blisko wozu.

Wskoczyli do środka. David i Amy usiedli z tyłu, a Eloise
za kierownicą. Z impetem wcisnęła pedał gazu, wycofała
z piskiem opon i ruszyli. Gnając na światłach mijania,
opuścili Gurs i pomknęli w stronę gór wąską, drugorzędną
drogą. David obejrzał się przez ramię. Szosa była pusta.
Gdy zerknął w lusterko, zobaczył twarz dziewczyny mokrą
od łez.

Nie chciał pytać, co właściwie zobaczyła przez okno. Może

zwłoki babci, a może, co gorsza, była świadkiem jej śmierci? Bez wątpienia była w szoku. A jednak prowadziła samochód pewną ręką. Płakała, ale radziła sobie z emocjami. David popatrzył na jej ciemny profil. Mimo młodego wieku była w niej jakaś godność, duma, a jednocześnie smutek. Raz jeszcze zerknął na srebrny krzyżyk na jej szyi.

Amy otworzyła okno i do wnętrza wpadło chłodne powietrze wieczoru. David zagłębił się w miękkiej kanapie - czuł się brudny i wyczerpany.

Przynajmniej żyli.

Ale zostawili babcię Eloise na pewną śmierć.

Dziewczyna już nie płakała. Jej twarz była pozbawiona wyrazu. Prowadziła szybko i pewnie - bocznymi drogami, wśród piętrzących się dokoła czarnych gór, pod czystym, ciemnogramatowym niebem, na tle którego widać było zarys szczytów otoczonych aureolą gwiazd.

Amy odwróciła się i spojrzała na Davida, a potem na jego rękę. Podążył za jej wzrokiem: długa krwawa linia znaczyła jego dłoń. Musiał się zranić podczas ucieczki.

- Och - jęknęła.

Odetchnął głęboko.

- Nie boli.

- Potrzebujemy bandaża.

Amy sięgnęła po jedną ze swoich koszulek, rozdarła ją na dwoje energicznym ruchem i ciasno owinęła skaleczoną dłoń.

- Na razie musi wystarczyć - orzekła. - Do czasu, aż dojedziemy do... dokądkolwiek.

Pytanie zostało zadane. David skinął głową.

- Eloise, dokąd jedziemy?

Dziewczyna nie odpowiedziała. David i Amy spojrzeli na siebie porozumiewawczo, ale i z niepokojem.

- Eloise?

- Campan - rzuciła po chwili.

Znowu cisza.

Bolesne milczenie przerwała Amy:

- Eloise, posłuchaj, ja...

- Nie! *Non!* Proszę, nie mówmy o tym, bo zawrócę i pojadę tam z powrotem. Nie powiem wam, co widziałam! *Non, non, non.* Nigdy mnie o to nie pytajcie.

David spojrzął na Amy. W milczeniu skinęła głową. Musieli oderwać dziewczynę od tych myśli.

- Dlaczego jedziemy do Campan, Eloise? - spytał. - Co tam jest?

- *Cagoterie*. Cagoteria. - odpowiedziała, pokonując za kręt. - Nikt nie przychodzi do tych ruin. Ciągną się aż do wąwozu. I możemy się tam schronić!

- Campan... - powtórzył szeptem David. Miasteczko lalek.

- Sądzisz, że tam będziemy bezpieczni? - spytała Amy.

- *Oui* - odpowiedziała Eloise z wyczuwalną nutą gorczy. - Po przekłętą stronę rzeki. Wszyscy unikają tego miejsca. Nikt tam nie chodzi. Będziemy absolutnie bezpieczni. *Totalement*.

David nie oponował. Ułożył się wygodnie, a Amy poprawiła mu prowizoryczny opatrunek. W świetle księżycy krew była ciemna jak atrament.

Wszystko wydawało mu się teraz jasne. Wiedział już, kto za tym wszystkim stoi. Kto zamordował jego rodziców. Kto zabijał Cagotów. Nie mogło być inaczej.

- Miguel - powiedział. - On jest wszystkiemu winien. Albo prawie wszystkiemu.

Amy zmarszczyła brwi.

- Ale dlaczego to robi? I jak?

- Nie wiem. Ale jestem pewny, że to on zabił moich rodziców. Ba... - David urwał i ściszył głos do ponurego szeptu. - Babcia kogoś widziała. Wysokiego mężczyznę. Pamiętasz? To musiał być on. Wyczuła to. I podejrzewała, że ten sam człowiek zabił i moją, i jej rodzinę. To jest to, Amy. To musi być to. Zabija z jakiegoś powodu. I ściga nas z jakiegoś powodu. Ma powód, żeby nas zabić.

- Ale jaki? Co łączy tę sprawę z tobą i z Jose? I z Cagotami?

- On widział mapę w domu Jose. - David improwizował, na gorąco analizując sytuację. - Może uświadomił sobie, że podążamy tym samym szlakiem. Tą samą trasą, która doprowadziła moich rodziców do miejsca, gdzie spotkała ich śmierć. Więc i nas musi zabić.

Amy spoglądała przez okno na dalekie gwiazdy.

- Myślę, że Jose wiedział, że jeśli pójdziemy tropem tej

zagadki, Miguel będzie na nas polował. Próbował ocalić nas przed własnym synem. Mój Boże. Ale dlaczego? - ciągnęła po chwili milczenia. - Jaka tajemnica może mieć aż takie znaczenie, że Miguel jest gotów zabijać, żeby nie została odkryta?

- Musi mieć związek z jego ojcem. I z wojną - odparł David. - On trafił do Gurs. Zdrajca w Gurs?

Tablica z nazwą Campan mignęła czerwienią i białą, rozświetlona blaskiem reflektorów. Samochód zwolnił. Eloise odezwała się po raz pierwszy od pół godziny.

- Dalej będzie gorsza droga.

Jechali przez most. W półmroku David rozpoznał ponurą wieżę kościoła, wznoszącą się ponad skośnymi dachami. Wóz wjeżdżał coraz głębiej w tereny po „gorszej stronie” rzeki - do cagoterii. Zrujnowane chaty o pustych, czarnych oknach stały po obu stronach drogi, a obok nich wałące się stodoły i zapuszczone ogrody. Potężne drzewa stopniowo zaczynały na nowo opanowywać stare getto niedotykalnych.

Droga istotnie była tu gorsza, pełna kamieni i niesprzą-tanych gałęzi. David wyobraził sobie, że jada podziemnym traktem - ściany wąwozu wznosiły się po obu stronach. Skromne domostwa były coraz rzadziej rozrzucone; widać było tylko ich szare, niskie sylwety pomiędzy drzewami. Biała jak duch sowa przemknęła przed maską samochodu, trzepocząc skrzydłami.

- *Voila.*

Stanęli przed bardzo dużym i bardzo starym kamiennym domem, zapewne pamiętającym czasy średniowiecza. Lecz mimo imponujących rozmiarów budynek był świetnie ukryty: bujne zarośla zarosły wjazd, gęsto nasadzone drzewa zasłaniały widok, dokoła rozciągały się ruiny cagoterii. Całe to miejsce znajdowało się w głębi ciemnego wąwozu.

- Dziadkowie przywieźli mnie tu tylko raz - powiedziała Eloise. - Chcieli mi pokazać dom, w którym Cagoci ukrywali się podczas najcięższych prześladowań. To ostoja Cagotów. Pod domem ciągną się korytarze i jaskinie. *Les chemins des Cagots*. Tu możemy się schronić.

Wysiedli. Noc była niemal mroźna; powietrze było przesycone intensywną wonią lasu. David zamarł.

W domu paliło się światło. Migotało jak płomień lampy naftowej albo świecy. Ktoś tam był.

Strach walczył w nim z ciekawością. Wreszcie skinął na Amy i Eloise i przycisnął wskazujący palec do ust. Ostrożnie zbliżył się do okna, zajrzał do środka i natychmiast się cofnął. W skromnie oświetlonym pokoju zobaczył dwoje ludzi.

Jose Garovilla i jego żonę.



- Miałem nadzieję, że wyjaśni mi pani pojęcie węzowego nasienia.

Emma Winyard uśmiechnęła się. Siedzieli w restauracji opodal targu mięsnego Smithfield. Odwróciła się ku nadchodzącemu kelnerowi i poprosiła o jeszcze jedną szklankę wody. Simon wykorzystał okazję, by raz jeszcze przyjrzeć się panie Emmie Winyard, profesorowi historii Kościoła w londyńskim King's College.

Była ładna, elegancka i ujmująca. Nieco po czterdziestce, najwyraźniej lubiła dyskretną biżuterię, doskonałe buty oraz modne restauracje. To właśnie ona zaproponowała, by spotkali się w St John's, bowiem, jak stwierdziła przez telefon:

- Miło byłoby zjeść tam lunch, skoro prowadzę badania w Guildhall.

- Wężowe nasienie, tak... - Znowu się uśmiechnęła. -To wielce kontrowersyjna doktryna. Według niej wąż z rajskiego ogrodu odbył stosunek... O, jest już moja przystawka. Szybko poszło. - Odchyliła się, pozwalając kelnerowi postawić talerz.

Simon nie mógł oderwać wzroku od potrawy. Wyglądała jak gumowa rurka, przyozdobiona z boku pęczkiem zielonej pietruszki.

Emma sięgnęła po widelec.

- Otóż wedle tej doktryny wąż z Edenu odbył stosunek z Ewą, a Kain jest owocem owej kopulacji ze zwierzęciem.

- Wąż i Ewa uprawiali seks?

- Tak. Choć oczywiście należy raczej mówić, że to szatan pod postacią węża uprawiał seks z Ewą. Kain jest zatem



synem diabła, a wszyscy jego potomkowie noszą w sobie tę samą skazę.

- Taaak... - mruknął dziennikarz.

Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Kłopotliwe milczenie przerwał sygnał jego telefonu. Zerknął na wyświetlacz. Fazackerly. Czego mógł chcieć stary profesor? Z pewnością niczego ważnego. Simon pochylił się nad aparatem i odrzucił połączenie, kierując dzwoniącego do skrzynki głosowej, a następnie znowu spojrzął na rozmówczynię.

- Najmocniej przepraszam... - rzekł, zastanawiając się usilnie, jak nawiązać przerwany dialog; odruchowo spojrzął na talerz. - Co właściwie pani zamówiła?

- Flaczki wieprzowe. Smażone jelito. Bardzo słone, ale pyszne.

- Jelito?

- O tak - odparła z uśmiechem. - Tutejszy szef kuchni, Fergus Henderson, słynie w całym świecie z wskrzeszania potraw kuchni staroangielskiej. A w pobliżu mamy przecież targ mięsny Smithfield, działający od trzynastego wieku. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zacznę jeść? Na zimno flaczki nie są takie dobre. Pan niestety jeszcze czeka...

- Ależ proszę. - Simon patrzył, jak bierze do ust i przełyka pierwszy kęs gumowatej rurki, a potem zadał pytanie: - Kto wierzy w tę historię o wężowym nasieniu?

- Doborowa, acz skromna grupka świrów, pomniejszych sekty i kultury. - Przez chwilę żuła w zamyśleniu kolejny kęs. - Choć wypada dodać, że sama teoria istotnie ma pewne uzasadnienie biblijne.

- To znaczy?

- Idea zbliżenia Ewy z szatanem, z którego to związków miał się narodzić Kain, pojawia się w kilku fragmentach Pisma Świętego. Na przykład w Nowym Testamencie, w pierwszym liście świętego Jana, rozdział trzeci, pojawiają się słowa: „Nie tak, jak Kain, który pochodził od Złego i zabił swego brata”. Ślady tej koncepcji widać także we wczesnych pismach gnostyków. Choćby w Ewangelii Filipa. Tyle że nauki te zostały odrzucone przez jednego z ojców Kościoła, świętego Ireneusza, a później przez innych najważniejszych teologów chrześcijańskich.

Simon zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał. „Kain, który pochodził od Złego”. Pomyślał o dwóch braciach, synach Adama i Ewy: o Kainie i Ablu. A potem o sobie i o Timie. Który z nich jest Kainem?

Ogarnęło go tak silne przygnębienie, że zapragnął natychmiast się czegoś napić. Skupił się wysiłkiem woli i wbił spojrzenie w oczy Emmy Winyard.

- Zatem można powiedzieć, że to bzdury? Że poważni chrześcijanie nie wierzą w takie rzeczy?

Kelner powrócił, tym razem z talerzem, na którym leżała kość. Tylko kość. Wyglądała jak upieczone kolano.

Jako nowicjusz w tej dziwnej restauracji Simon pozwolił profesor Emmie Winyard wybrać dla siebie danie na lunch. Nie spodziewał się, że będzie to kość.

Emma dyskretnie wskazała czubkiem noża na jego talerz.

- Jedzenie jest w środku.

- Słucham?

- Zamówiłam pieczony szpik kostny, panie Quinn. To dlatego dano panu taki mały widelczyk, służący do wydłubania szpiku z kości. Następnie może go pan rozsmarować na grzance. Pyszności.

Simon sięgnął po widelczyk. I odłożył go na stół.

- Za chwilę zajmę się tą kością.

- W porządku - odparła Emma, z zapalem konsumując szarobrazowe jelito. - Czy mogę kontynuować wykład z teologii?

- Bardzo proszę.

- Znaczenie wężowego nasienia jest następujące: doktrynę głoszą być może tylko najmniejsze sekty protestanckie, takie jak Tożsamość Chrześcijańska w Ameryce czy niektóre odłamy judaizmu, ale też nawiązuje do pewnego ważnego wariantu interpretacji Pięcioksięgu.

- Czy pani na pewno mówi po angielsku?

Uśmiechnęła się.

- Chcę powiedzieć, że istnieje pewna kontrowersyjna interpretacja wczesnych ksiąg biblijnych, która w ciągu wieków była źródłem wielu cierpień.

- To znaczy?

- Chodzi o problem żony Kaina. I tak dalej...

- Aha...

Zbliżali się do sedna sprawy, ale Simon czuł, że musi coś zjeść - choćby dlatego, że nie jadł nic od rana. Sięgnął więc po widelczyk i wbił go w zaskakująco miękkie wnętrze kości. Wydobył zeń mały, drżący kawałek dziwnej galaretki. Pieczony szpik. Wyglądał odrażająco, ale pachniał całkiem przyjemnie. Simon położył go na grzance, wziął głęboki wdech i ugryzł.

Szpik rzeczywiście był pyszny, nawet jeśli nie prezentował się apetycznie.

- Widzi pan? - odezwała się Emma, znowu obdarzając go ujmującym uśmiechem. Naprawdę była urodziwa. - Jednak nie takie złe.

- Chyba nie... Proszę opowiedzieć mi więcej o tej herezji.

Emma dokończyła przystawkę, odłożyła nóż i widelec, napiła się wody i wreszcie oparła łokcie na stole.

- Ja będę opowiadać, a pan niech się skupi na kości, Simonie. Po pierwsze, musi pan wiedzieć, że w Księdze Rodzaju *znaleźć* można zaskakujące sugestie, iż Adam i Ewa nie byli jedynymi ludźmi w czasach, gdy powstawał świat.

Simon przestał żuć; zastygł w bezruchu z pełnymi ustami.

- Co takiego?

- A tak. W Pięcioksięgu znajdują się też i inne osobliwe wskazówki o istnieniu, mówiąc wprost, innych ras ludzkich, prócz tej, która ma się wywodzić od Adama i Ewy. Na przykład w Księdze Rodzaju czytamy, że Kain miał być zbiegiem na ziemi, a wtedy „Dał też Pan znać Kainowi, aby go nie zabił, ktokolwiek go spotka”. Pytanie brzmi: niby kto miałby go spotkać? Teoretycznie w owym czasie żyli na ziemi tylko Adam i Ewa. Mówi nam o tym czwarty rozdział Księgi Rodzaju. Zatem kogo miał się obawiać Kain?

Simon wyprostował się na krześle. Zerknął na torbę z laptopem stojącą z boku i pomyślał, że chyba warto byłoby notować; to był naprawdę intrygujący materiał, ale także niepokojący - oto w Biblii zawarto twierdzenie, jakoby na świecie istnieli inni ludzie, swoiste plemię cieni.

- Zaiste osobliwe - stwierdził. - Proszę mówić.

Ale elegancka panna Winyard już była zajęta czym innym: kelner właśnie zabierał pusty talerz i stawiał na stole kolejne danie. Rozpromieniła się na jego widok.

- Świński policzek z fasolką. Jedno z moich ulubionych dań.

Kelner postawił drugi talerz przed Simonem. Leżało na nim coś czerwonego i gorącego, dziwnie przypominającego produkt aborcji.

- Ach.
- Zamówiłam panu *bloodcake*.
- Jak miło.

Znowu zadzwonił telefon. Simon zerknął na ekranik: Fazackerly. Nazwisko profesora pulsowało natarczywie. O co staremu chodzi? Simon przypomniał sobie jego żółty uśmiech oraz rozwlekłe opowieści o darwinowskiej teorii doboru naturalnego - i ponownie odrzucił połączenie. A po tem wyłączył telefon.

Emma spojrzała na zegarek, chyba lekko poirytowana.

- Może nieco przyspieszymy?
- Bardzo proszę. I przepraszam za te telefony.
- Przeprosiny przyjęte. Doszliśmy do klątwy Kaina, nieprawdaż? Najkrócej mówiąc, ten dziwny fragment Biblii, w okolicy dwudziestego wersetu dziewiątego rozdziału Księgi Rodzaju, mówi nam, że ojciec Chama, Noe, przeklął Chama i jego syna Kaina, by na wieki zostali niewolnikami, po tym, jak Cham zobaczył w namiocie „nagość swego ojca”.
- Ale teraz mówimy o innym Kainie, prawda?
- Tak. To złożona sprawa. Tym razem chodzi o wnuka Noego, syna Chama. Znany jest także jako Kanaan, proto płasta Kananejczyków...

Simon usilnie próbował delektować się lunchem, ale nie dał rady. Odsunął talerz, dzielnie panując nad mdłościami, i poprosił Emmę, by kontynuowała. Uczyniła to chętnie.

- Zatem co nam mówi ta dziwna historia? Cóż, oczywiście klątwa Kaina została wykorzystana przez wyznawców religii abrahamowych do usprawiedliwienia rasizmu i syjonizmu, a w szczególności niewolnictwa czarnych Afrykańczyków. Wierzą bowiem, że są oni potomkami Chama i Kaina.

- Jakim cudem? Chyba znowu się pogubiłem - wyznał, wzruszając ramionami. - Czy Kain był Murzynem?

Uśmiechnęła się.

- To całkiem proste. W Biblii czytamy, że Cham i jego

syn Kain powinni pozostać niewolnikami na wieki, za swe grzechy, a konkretnie za niesłychany akt seksualny z udziałem Noego, polegający na ujrzeniu nagiego pijanego ojca. To wszystko. Ale wcześnie uczeni żydowscy i chrześcijańscy powiadali, że Bóg posunął się dalej: ponoć Jehowa pokarał Kaina czarnym kolorem skóry. Babiloński Talmud na przykład kategorycznie stwierdza, że „Kain został upośledzony na skórze”, to znaczy stał się czarny. Zohar, najważniejsza księga Kabały, zawiera podobne słowa: „Kain, syn Chama, poczerzył oblicze rodzaju ludzkiego”. Stąd Afrykańczycy pochodzą od Kaina...

- Ale to głównie żydowska teoria, prawda?

- O nie, wcale nie. Ojcowie chrześcijaństwa byli równie gorliwi w tej sprawie. Apokryf z czwartego wieku, *Księga jaskinii skarbów*, otwarcie łączy niewolnictwo z czarnoskórami ludźmi. - Emma przełknęła kęs swego wieprzowego przysmaku i wyjaśniła: - Po co to wszystko? W owym czasie Murzyni byli już prawdopodobnie zniewoleni, więc przypisanie im klątwy Kaina było świetnym sposobem na utrwalenie tego stanu rzeczy. W scholastyce średniowiecznej znajdujemy naprawdę sporo odniesień do kwestii Kaina, czarnej skóry i niewolnictwa.

- Czy i za czasów kolonialnych odwoływano się do tej doktryny?

- Naturalnie. - Emma odłożyła razem nóż i widelec. - Hiszpańscy konkwistadorzy, brytyjscy imperialiści, a także Francuzi, Portugalczycy i amerykańscy handlarze niewolników — wszyscy oni chwyтали się tych pseudobiblijnych cytatów, by usprawiedliwić ohydny proceder handlu Afrykańczykami. Mówiono, że Bóg stworzył tę niższą rasę już za czasów Adama albo że uczynił to celowo, gdy przeklął Kaina. Tak czy owak, niewolnictwo było super.

Delikatnie otarła usta serwetką i dodała:

- Ta teoria po dziś dzień ma sporą moc. Mormoni wyrekli się jej dopiero w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym.

To był najwyższy czas, by przejść do sedna.

- Emmo, czy kilka miesięcy temu rozmawiała pani o tej sprawie z niejakim Angusem Nairnem?

Profesor Winyard wyprostowała się.

- Owszem, ale... skąd pan o tym wie? - Jej dotychczas niezatapialny uśmiech jakby przygasł. - Sądziłam, że jest pan po prostu dziennikarzem badającym kwestię rasizmu.

- Bo jestem. Ale... są i inne sprawy, które mnie interesują. Bardzo chciałbym wiedzieć, czego chciał Nairn.

Zmarszczyła czoło.

- Niech i tak będzie. Istotnie, poznaliśmy się dobrze z Angusem. To dość ekscentryczny młody człowiek, ale za razem uroczy. Bardzo bystry naukowiec. Szkocki prezbiterianin.

- Tak słyszałem.

- Ale nie odzywał się już od dawna. Z drugiej strony, byłam tak pochłonięta moimi badaniami...

- O czym konkretnie rozmawialiście?

- O wielu sprawach. Interesowały go dość osobliwe kwestie. Historia kłątwy Kaina w odniesieniu do inkwizycji, Basków i Cagotów.

- Cagotów?

- To takie plemię francuskich pariasów.

- Nigdy o nich nie słyszałem.

- Większość ludzi nigdy o nich nie słyszała. To jedna z grup, które bardzo ucierpiały z powodu ekstremalnej teologii kłątwy Kaina. Niektórzy z księży katolickich uznali Cagotów za synów Kaina, bla, bla, bla, i to wystarczyło, by rozpocząć prześladowania. We francuskim katolicyzmie do dziś istnieje szalenie rasistowski, a czasem nawet antysemityczny nurt.

- A konkretnie?

- Pamięta pan francuskiego arcybiskupa Lefebvre'a? Został ekskomunikowany za skrajnie tradycjonalistyczne poglądy, sprzeciw wobec Drugiego Soboru Watykańskiego i tak dalej. Niektórzy z jego naśladowców jawnie negują Holokaust. Ludzie z tego nurtu mieli konszachty z pronazistowskim, marionetkowym reżimem Vichy. Najbardziej zbuntowani z francuskich księży wręcz pracowali dla Niemców.

- Jak to?

- Jako kapelani w obozach koncentracyjnych, na przykład. - Emma zerknęła na zegarek. - Obawiam się, że niedługo będę musiała iść.

Simon skinął głową.

- Ostatnich kilka pytań?
- Niech pan strzela. Ale bardzo proszę, szybko.
- O czym jeszcze rozmawiała pani z Nairnem?
- Och... naprawdę o wielu rzeczach. Kilka razy spotka liśmy się nawet na kolacji. - Przez krótką chwilę wydawało się, jakby za tym tęskniła. - Bardzo go interesowało, co się stało z wynikami badań Cagotów.
- Jakich badań?
- W 1610 roku, w dobie najgorszych prześladowań Cagotów, król Nawarry polecił, by dworscy medycy dokładnie zbadali ich anatomię. Mieli sprawdzić, czy owi pariasi istotnie są — tu Emma Winyard uczyniła palcami w powietrzu znak cudzysłowu - „inni”. Nigdy nie wyjawiono wyników owych badań. Wiemy jednak, że wkrótce potem wyższa hierarchia kościelna rozpoczęła proces emancypacji Cagotów, kładąc kres prześladowaniom. Ale tak naprawdę musiały minąć wieki, zanim wytepiono bigoterię wśród niższego duchowieństwa i chłopstwa. Tak samo było z Baskami.
- Jak to?
- Basków również prześladowano, głównie z powodu podejrzeń o czary. Ironia losu polega na tym, że palenia baskijskich czarownic na stosach zaprzestano za sprawą hiszpańskiej inkwizycji. Inkwizytor nazwiskiem Salazar zwolnił ze służby łowców czarownic, a następnie postawił ich w stan oskarżenia. Najgorliwszy z nich, Francuz de Lancre, który miał obsesję na punkcie klątwy Kaina, także został usunięty ze stanowiska. - Emma uśmiechnęła się lekko. - Powiedziałabym, że to fakt raczej sprzeczny z obiegową opinią na temat Rzymu i inkwizycji, która uchodzi przecież za zgraję straszliwych prześladowców heretyków i mniejszości. Prawda jest tymczasem taka, że katolicka elita dążyła do zmian na lepsze, przynajmniej w kwestii Basków i Cagotów.
- Co się stało z wynikami tych badań?
- Właśnie to chciał wiedzieć Nairn - odrzekła Emma Winyard, sięgając po torebkę i sposobiąc się do wyjścia. - Odpowiedziałam mu, że inkwizycja trzymała w tajemnicy wszelkie dokumenty na temat Basków oraz Cagotów.
- Domyślam się, że trafiły do Rzymu, do biblioteki watykańskiej?

- I tak, i nie. Przypomnę, że inkwizytorami byli najczęściej dominikanie, czarni braciszczowie, albo też Psy Boga, bo tak na nich wołano z powodu wyjątkowego fanatyzmu i sadyzmu, zarazem tłumacząc nazwę zakonu jako *Domine cani*, Psy Boga właśnie!

- Kto by nie kochał tych średniowiecznych rebusów.

- Dominikanie zasłynęli w średniowieczu głównie paleniem czarownic. Dwóch z nich napisało *Malleus Maleficarum*, czyli *Młot na czarownice*, biblię łowców wiedźm. Do licha, dochodzi trzecia.

Wstała. Simon uczynił to samo i uściśnął jej rękę, a ona powiedziała z właściwą sobie elegancją:

- Naprawdę muszę już uciekać. O czwartej zamykają bibliotekę Guildhall. Ale jeszcze zdążę odpowiedzieć na ostatnie pytanie. Chciał pan wiedzieć, co się stało z tymi fascynującymi archiwami?

- Właśnie.

- Doskonale. Niektórzy skrajni w swych poglądach dominikanie bardzo się interesowali kłutwą Kaina. Do dziś wierzą w jej prawdziwość. Odmówili wydania materiałów, które ich zdaniem dobrze służą ich sprawie. Papież zaś nie życzył sobie schizmy - papież tak już mają, że nie przepadają za schizmami - zatem osiągnięto kompromis.

- Proszę mówić dalej.

- Dokumenty dotyczące Cagotów i Basków zostały ukryte w znakomicie strzeżonym miejscu: w Angelicum, czyli Uniwersytecie św. Tomasza w Rzymie. Przez wieki były tam bezpieczne. Ale później, po wojnie, po czasach nazizmu, miejsce to przestało być uważane za odpowiednie dla tak... prowokacyjnych danych. Rozumie pan, w czym problem, prawda? - Uśmiechnęła się łagodnie. — Co było dalej? Plotka głosi, że dokumenty przeniesiono do jeszcze bezpieczniejszej kryjówki. Ale to tylko plotka. Bolesnie prawdziwa odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: nikt tego nie wie na pewno! Uczeni dyskutują o tym od dziesięcioleci. Mogą jedynie snuć domysły na temat losu materiałów poświęconych Baskom i Cagotom. To niezła łamigłówka teologiczna.

- A jakie jest pani zdanie, Emmo?

- Moje? Podejrzewam, że archiwum zniszczono, a wszystkie te teorie spiskowe to tylko kamuflaż. To samo powie-

działam Angusowi Nairnowi, czym mocno go rozczarowałam. Ale takie jest moje zdanie. A teraz, Simonie, naprawdę muszę pana opuścić, zanim przepadnie mi cały dzień pracy.

- Jasne. Bardzo pani dziękuję. - Czuł się syty: musiał przetrwać ten dziwny lunch i jeszcze dziwniejsze informacje. - Pani wiedza ogromnie mi się przyda. Bardzo rozjaśniła mi pani w głowie. Dzięki.

Emma Winyard odpowiedziała, że nie ma za co dziękować. Już po chwili jej uśmiechnięta twarz zniknęła za spiralnymi, metalowymi schodami. Simon zapłacił, schował rachunek do kieszeni i kilka chwil później podążył tą samą drogą na dół.

Wyszedłszy na ulicę, zatrzymał taksówkę w poczuciu, że w pełni na to zasłużył. Wykonał naprawdę dobrą robotę. Mógł się rozsiąść na kanapie przestronnej londyńskiej taksówki i — przynajmniej w wyobraźni - zapalić grube cygaro.

I wtedy sobie przypomniał. Fazackerly. Taksówka mijła warsztaty zegarmistrzowskie i szklane ściany bloków w Clerkenwell, gdy sięgał po komórkę, by odsłuchać pocztę głosową.

Pierwsza wiadomość była długa, nieskładna, dygresyjna. Profesor zawiadamiał, że po raz ostatni siedzi w swoim gabinecie i że wypracował pewne teorie, które mogą zainteresować Simona. Wspomniał raczej rozwleknie o „kościelnym sprzeciwie wobec jego badań”, a także o papieżu. Przeprosił, że zabiera tak wiele czasu, jako „gadatliwy stary kawaler, dotkliwie odczuwający własną śmiertelność”. Były to przeprosiny tak długie, że urwały się w pół słowa, gdyż przekroczony został limit czasowy pojedynczego nagrania poczty głosowej.

A potem Simon odsłuchał drugą wiadomość.

Tak naprawdę nie była to wiadomość, a przynajmniej nie celowa próba nawiązania kontaktu. Najwyraźniej przypadkowo został włączony klawisz ponownego wybierania ostatniego numeru - tak bywa, gdy usiądzie się z telefonem w kieszeni lub niewłaściwie ułoży go w torbie.

Fazackerly zadzwonił po raz drugi całkiem przypadkowo, a wiadomością, którą zostawił w skrzynce głosowej, był odgłos niesłychanego, nieludzkiego bólu. Ktoś - umierał w strasznych mękach.

Sytuacja była groteskowa: Simon siedział w taksówce, z czołem zroszonym potem i słuchał tego potwornego nagrania.

Zaczęło się od basowego, jęklivego westchnienia. W tle rozbrzmiewało brzęczenie, przywodzące na myśl dźwięk piły tarczowej pracującej gdzieś daleko w lesie. Drwale przy pracy. Jęk wydawał się autentyczny i pełen rozpacz, był jakby mieszaniną bólu i strachu; wkrótce jednak zmienił się w szybkie, płytkie dyszenie. Zaraz potem nastąpił bulgot, chrapliwy bulgot, jakby ktoś się dławiał gorącymi wymiocinami i nie był w stanie oddychać. Przez cały czas w tle było słychać to okropne brzęczenie.

Najbardziej poruszającym momentem nagrania było jedyne zrozumiałe słowo: „Przestańcie”, wycharczane pomiędzy odgłosami dławienia, na chwilę przed przedśmiertnym rżeniem. To słowo wystarczyło, by zidentyfikować głos Fazackerly'ego.

- Stać! - zawołał Simon, stukając energicznie w szybę oddzielającą go od kierowcy.

Byli zaledwie o dwieście metrów od siedziby GenoMap.

Kierowca przyhamował gwałtownie i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

Simon rzucił mu dwudziestofuntowy banknot, wyskoczył z wozu i pobiegł wzdłuż eleganckich szeregowców otaczających Gordon Square. Odnalazł zdewastowane drzwi - były na wpół otwarte. Wbiegł na górę, przeskakując po trzy stopnie, gnany rozpaczą.

Wszedł do laboratorium i biur projektu GenoMap. Urządzenia były zimne; nikt ich od dawna nie używał. Wszystko wyglądało normalnie, dokładnie tak samo jak podczas pierwszej wizyty Simona. Zakurzone sprzęty. Puste biurka. Opuszczone włości. Otwarte drzwi. Gonk - futrzana maskotka - pozostawiony na stoliku przez któregoś z naukowców. Szeroko uśmiechnięty gonk.

Gdzie jest Fazackerly? Może wiadomość, którą zostawił, w istocie nic nie znaczyła? Może ta druga, straszliwa... czy mógł ją po prostu źle zinterpretować?

Panika znowu ogarnęła Simona, gdy usłyszał brzęczenie. To samo brzęczenie, które odtworzył z poczty głosowej. Jakby piła do drewna pracowała w nieskończenie wielkim,

bezlísnym lesie zasypałym sńiegiem. Jakby ktoś ciął pnie w czarno-białej dali.

Tam. Dźwięk dobiegał z kąta. Z jednego z urządzeń, które Fazackerly pokazał Simonowi podczas krótkiej wycieczki po laboratorium. Z przemysłowej kuchenki mikrofalowej, używanej do sterylizacji i pozyskiwania antygenów, i...

Simon podbiegł bliżej. Maszyna wielkości dużej szafy brzęczała pracowicie. Gotowała pilnie, niczym szczęśliwa, podśpiewująca gospodyni domowa. Nie była pusta.

Simon już wiedział, choć doprawdy wolałby nie wiedzieć. Odwrócił głowę, walcząc z przemożnym pragnieniem, by wybiec na ulicę, uciec od tego widoku, który wzbudzał w nim obrzydzenie i przerażenie.

Do szklanej tafli drzwiczek wielkiej kuchenki mikrofalowej przyciśnięta była twarz. Ugotowana, spocona, stara twarz, z której białych, pomarszczonych nozdrzy sączył się jakiś płyn. We wnętrzu urządzenia tkwił Fazackerly. Jego skóra miała różowy kolor, a jedno z ugotowanych oczu zwiślało smętnie z oczodołu.

Brzęczenie ustało i mikrofalówka wyłączyła się z radosnym „ping”.

Rana na dłoni goiła się nie najgorzej, ale ból jeszcze nie ustępował - podobnie jak niepokój.

David stał w zalanym słońcem ogrodzie domu Cagotów i owijał bandażem skaleczoną rękę. Ogród był zarośnięty, tu i ówdzie leżały zwalone drzewa, ścieżki pokrywała płatanina bluszczu, a kwiaty rosły wprost na pokruszonych murkach. Było to miejsce przestronne i niewidoczne z żadnej strony oraz pełne światła i świeżego powietrza, w przeciwieństwie do wilgotnych i złowrogich korytarzy starej kryjówki Cagotów. Dobre miejsce do rozmowy. W sam raz do rozmyślań o konszachtach ukochanego dziadka z nazistami.

Zawiązując końcówki ostatniego kawałka bandaża, David czuł całkiem świeże przygnębienie, które wywołała w nim rozmowa z panią Bentayou. Analizował w duchu jej słowa i za każdym razem nieuchronnie dochodził do takiego samego wniosku: wszystko to miało swój koszmarny sens. Wszyscy ci ludzie musieli być swego czasu więźniami w Gurs: Jose, dziadek, babcia Eloise...

Fakty wskazywały na to, że dziadek był więźniem niemieckiego obozu, ale, co gorsza, że w jakiś sposób zdobył tu majątek - na nieczystą grę wskazywało jego poczucie winy na krótko przed śmiercią, ten niepokój. Może był kolaborantem?

Była to nader przykra ewentalność, ale należało wziąć ją pod uwagę. Czy dziadek współpracował z Niemcami? A jeśli nie, to skąd wziął pieniądze? I dlaczego w ostatnich chwilach życia unikał prawdy? Po co te zagadki?

David przysiadł na kamiennej ławce i zaraz wstał. Wilgoć mchu natychmiast przeniknęła jego dzinsy. Wszystko tu

gniło, trąciło syfilisem i było tak kurewsko mokre! Ściany nasiąknięte były wilgocią pamiętającą pewnie średniowiecze. Ogród tętnił nader niepożądanym życiem: pierwszego dnia David widział, jak do kuchni pełźnie tłusty, niemrawy padalec.

Wszystko to było odrażające. Brudny dom i całe to otoczenie kazało Davidowi gardzić Cagotami. Chciał jakoś zmyć ślady pozostawione przez niezliczonych Cagotów, którzy się tu ukrywali, spali, pieprzyli się, gotowali swoje głupie posiłki...

Opanował się po chwili. Cagoci byli prześladowani, mordowani. Zasługiwali na litość.

Ale tak łatwo było ich nienawidzić.

Wysoko na niebie, szybko ginącym pod warstwą nadciągających chmur, szybowała pustułka. David usłyszał jakiś dźwięk i odwrócił się: Amy stała w drzwiach. Zmarszczyła czoło na jego widok; odpowiedział jej uśmiechem. Ostatnich kilka nocy z konieczności spędzili w jednej, ciemnej i zęchłej sypialni - inne pokoje były po prostu jeszcze brzydsze, wilgotniejsze, stęchłe. Spali w osobnych, ale zestawionych razem łóżkach. Nie doszło między nimi do kontaktu fizycznego, ale jednak coś się między nimi zmieniło.

Rozmawiali długo w noc, sami w migotliwym blasku świec. Ich twarze dzieliło ledwie kilkanaście centymetrów; byli jak dzieci kryjące się pod kołdrą przed rodzicami.

I oto stała przed nim: otwarta, gotowa. Bliska przyjaciółka. Coś dobrego wynikło jednak z tej ponurej, przerażającej historii: pogłębiająca się z każdym dniem przyjaźń z Amy Myerson. Dopiero teraz David uświadomił sobie, że ona patrzy na niego ze zmarszczonym czołem.

- Co się stało? Chodzi o Jose?

- Nie. Nadal nie powiedział ani słowa. Nie... - Zmarszczki na jej czole jeszcze się pogłębiły. - Chodzi o Eloise.

- To znaczy?

- Zniknęła. W każdym razie tak mi się wydaje. Nigdzie nie mogę jej znaleźć.

David poczuł chłodny dotyk pierwszych kropel deszczu. Pobiegnął szukać dziewczyny. W wilgotnym salonie znalazł Jose i Ferminę. Siedzieli razem, posępni i milczący, niczym wieśniacy ze średniowiecznego flamandzkiego obrazu. Albo jak zniszczeni życiem małżonkowie, którzy przetrwali

straszliwą zimę i nadal tulą się do siebie, w obronie przed nieustępującym jeszcze chłodem.

- Jose. Nie możemy znaleźć Eloise. Nie widziałeś jej?

- Nie.

Twarz Jose nie zmieniła wyrazu, odkąd przybyli do tego domu. Wyglądało to tak, jakby stary Garovillo nieustannie użalał się nad sobą i jednocześnie żywił do kogoś urazę, a przy tym z trudem panował nad przytłaczającym lękiem. Czego się tak bał?

Amy jęknęła z rozpaczą.

- Spróbujmy na górze.

Tam także jej nie było. Eloise naprawdę zniknęła. Sprawdzili wszystkie pokoje starego domostwa. Bez skutku. Przetrasnęli ogrody - i od frontu, i na tyłach budynku. Zapuścili się nawet, choć ze strachem, w ciemny las porastający wąwóz, którego stroma, nieprzyjazna ściana piętrzyła się niedaleko za domem.

Nic.

Z wolna kielkowała w głowie Davida straszna myśl. Czyżby ją porwano? Może nieopatrznie zapuściła się do Campan? Kilkakrotnie wspominała, że chciałaby skorzystać z poczty elektronicznej, a także pójść do kościoła i wyspowiadać się. Zrealizowanie któregośkolwiek z tych pomysłów wiązało się z przejściem na drugą stronę granicznego mostu. Czy podjęła tak głupie ryzyko? Czy naprawdę wybrała się do wioski?

Stali w półmroku korytarza, analizując różne możliwości. Tak naprawdę nie mieli wyboru: musieli wyruszyć na poszukiwania i sprowadzić dziewczynę z powrotem. Amy oznajmiła, że rozejrzy się w wiosce; David nalegał, że sam to zrobi.

Wybiegł z domu i ruszył pociętą koleinami drogą wiodącą do mostu. Znajdował się w samym centrum cagoterii, zrujnowanego getta. Wołając Eloise, mijał walące się domy i stodoły. Czy mogła się ukryć w jednej z tych ruin? Raczej nie: czarne oczodoły okien były puste i martwe. Spaczonych drzwi nikt nie otwierał od co najmniej pięćdziesięciu lat. Zapomniane kosy rdzewiały pośród traw. Na ścianie jednej z większych chat namalowano sprayem symbol gęsiej łapki. Obok widniał koślawy, zapewne nastoletnią ręką sporządzony napis:

Fous le camp, Cagot!

David przebiegł po moście. Deszcz zmienił się w ulewę, ale on nie dbał o to. Po chwili był już na końcu alejki, przy murze otaczającym kościelny dziedziniec. Minał sflaczałą, ale wciąż roześmianą szmacianą lalę, której ktoś rozciął głowę, odsłaniając ciasno upchane siano. Pchnął bramkę, przebiegł ścieżką i wszedł do świątyni.

To nie była niedziela, więc się zdziwił, widząc, że trwa nabożeństwo.

Wiernych nie było wielu: miał przed sobą kilkunastu sędziwych ludzi i jeszcze starszego kapłana. A także cztery pełnowymiarowe szmaciane kukły. Msza musiała mieć coś wspólnego ze świętowaniem zbiorów: wokół ołtarza ułożono raczej skromną kolekcję pomidorów i kolb kukurydzy, wzbogaconą o puszkę ananasów marki Del Monte. David potrzebował dwóch sekund, by stwierdzić, że wśród zebranych nie ma Eloise. Zignorował nieprzyjazne spojrzenie księdza.

Wszedł z kościoła, po raz drugi otworzył skrzypiącą bramkę i nie kryjąc się przed deszczem, pobiegł w stronę jedyne miejsce, do którego mogła się wybrać Eloise, by skorzystać z dostępu do Internetu: do niewielkiego sklepu tytoniowego z dwoma komputerami dostępnymi dla klientów.

Sklepik był jednak zamknięty; nie było nawet szmacianej lalki w oknie. Eloise zniknęła bez śladu. David czuł gniew, niepokój oraz głębokie współczucie. Przygnębienie Eloise, właściwe dziecku, które niedawno zostało sierotą, bez trudu obudziło w nim wspomnienie własnego smutku, własnego osamotnienia. Była taka jak on. I cierpiała jak on. Pomyślał o jej dumnych, buntowniczych, przelewanych w milczeniu łzach, gdy uciekali z Gurs przed Miguelem.

Eloise była dzielna. Zasługiwała na znacznie lepszy los. Należało więc ją odnaleźć, zanim uczyni to Miguel. Tylko że David nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Dokąd mogła pójść? I dlaczego? I co się właściwie działo z nimi wszystkimi?

Pytania zalewały ich jak strugi deszczu podczas ulewy. Zaczynali tonąć w tych zagadkach i tajemnicach. Nadszedł czas, by sięgnąć do jedyne źródła odpowiedzi; jedynej tratwy ratunkowej.

Jose.

David znowu biegł w deszczu. Minał pomnik ofiar wojny, przebiegł po moście i zagłębił się w uliczkach dawnej cagote-rii. Woda spływała mu po szyi, a mokra koszula przywarła do piersi. Nawet tego nie zauważał. Był wściekły. Wyprowadziła go z równowagi ponura myśl o tym, że Miguel mógł dostać Eloise w swoje ręce.

Zastał Amy czekającą w holu; jej blond włosy jaśniały w półmroku. Rozmawiali tylko chwilę; konkluzja mogła być tylko jedna: trzeba rozmówić się z Jose. Tylko David mógł to uczynić. Mogła bowiem zajść konieczność użycia ostrych słów, a Amy czuła się zbyt blisko związana z Jose i jego żoną.

David zbierał siły, krocząc korytarzem; skupił w sobie wszystkie gniewne myśli. Musiał wydobyć ze starca prawdę. Bez względu na cenę.

Zanim David odnalazł Jose - a musiał w tym celu przeszukać wiele pokoi starego domu - ulewny deszcz zmienił się w prawdziwą górską nawałnicę, która wystawiła na ciężką próbę wiekowe dachówki kryjące ostoję Cagotów.

Staruszek był w kuchni sam. Przygarbiony nad kuchenką, dolewał właśnie oliwy do fajansowego naczynia. Jego żona zapewne zamknęła się w pokoju, on zaś zamknął się w sobie: dokładnie tak samo jak owego wieczoru, kiedy odnaleźli go w tej zapomnianej kryjówce.

- *Angulas* - powiedział Jose, wskazując na leżący obok talerzyk pełen oślizłych, białych robaków.

David spojrział na nie, zaskoczony. Teraz dopiero poczuł, że jego koszula jest kompletnie przemoczona. Wzdrygnął się i powtórzył:

- *An... gulas?*

- Młode węgorze. Niestety mrożone. Fermina była w sklepie w Campan.

- Wyszła z domu?

- Nie martw się, była ostrożna. - Jose odwrócił się plecami do kuchenki i przez chwilę patrzył na Davida. Jego oczy były szare i puste, smutne. Znowu skupił się nad daniem, które pichcił: dodał półprzeźroczyste płatki czosnku i połówkę niedużej papryczki chili. W powietrzu rozeszła się intensywna woń przypraw.

- Chciałem ich jeszcze spróbować. *Angulas bilbaina*. Jeszcze raz. Ostatni raz. - Jose drżał. - Najlepsze młode węgorze pochodzą z rzeki Deva. Łowi się je w bezksiężycową noc. Woda musi być zaprawiona tytoniem... - Pomarszczona ręka z wprawą sięgnęła po talerzyk i zrzuciła węgorze do

naczynia. Skwierczały w oliwie przez minutę, zanim Jose je wyłowił.

- To najważniejszy moment całego procesu. Jeśli wyjdziesz za wcześnie, nie będą dobre. Jeśli za późno, całkiem do niczego. No i gotowe.

Podniósł naczynie i przelał tłuszcz wraz z usmażonymi już wędzarkami przez sitko. Osobliwy zapach wypełnił kuchnię: na połę rybny, na połę grzybowy. Jose podzielił danie na dwie porcje i rozłożył je na talerzach.

- Spróbuj. - Sięgnął po szczyptę zielonych ziół czekających w miseczce i posypał nimi mięso. - Fermina nie jest głodna. Zjesz ze mną?

- Chyba tak.

- Musisz używać drewnianej łyżki; metalowe sztucce psują smak.

Zanieśli talerze do ciemnego salonu, w którym czuć było gryzący dym ze skromnego paleniska.

Jose skrzywił się, gdy wziął do ust pierwszą porcję.

- Eeee... Mrożone. Nie takie dobre. Ale i tak lepsze niż fałszywe. Wiesz, że sprzedają fałszywe *angulas*? *Si*. Tak właśnie jest. Sprzedają fałszywe, bo prawdziwe są bardzo drogie: pięćdziesiąt euro za pół kilograma.

Gniew i zniecierpliwienie narastały w Davidzie. Nadszedł czas.

- Jose, musimy porozmawiać. Teraz.

- Robią je z przetworzonych wnętrzości dorsza. Ma kreli. Z mięsa. Kto wie. - Jose westchnął melancholijnie. - A prawdziwe *angulas* wymierają, jak poeci, jak baskijskie pieśni, jak wszystko, co dobre.

- Jose...

- Malują nawet małe oczka na tych fałszywych węgorzach! Wiedziałeś o tym, Davido? Fałszywe małe oczka na *txitxardin*

- Dość!

Jose umilkł.

- Posłuchaj mnie - zaczął David, odstawiając talerz na zakurzoną drewnianą podłogę. - Babcia Eloise o czymś mi powiedziała. To bolesna sprawa, Jose, aleja muszę wiedzieć.

Starzec pokręcił głową. Przyglądał się z uwagą zawartości swego talerza, najwyraźniej ignorując pytania Davida.

- Jose! Powiedziała mi, że byłeś znany w Gurs. Stary Bask wciąż wpatrywał się w połyskujące srebrzyście *angulas*.

- Podobno niektórzy znali cię tam jako zdrajcę - nie ustępował David. - Czy to kłamstwo? A może dlatego byłeś w ostatnich dniach taki małomówny? Po co te wszystkie tajemnice? Czego tak się wstydzisz?

Jose siedział nieruchomo, z talerzem na kolanach. Wreszcie uniół głowę i posłał mu przejmujące, bolesne spojrzenie wodnistych oczu. Coś strasznego musiało się przytrafić Jose. Albo popełnił potworny czyn.

- Jose?

- To... to dlatego, że... - Jego wargi były prawie białe, a cała twarz szara jak poranna mgła nad rzeką. — Że to prawda. Rzeczywiście, *coś* się wydarzyło w Gurs.

- Byłeś więziony razem z moim dziadkiem?

Jose zakołysał się w przód i w tył na krześle.

David spróbował jeszcze raz:

- Czy byłeś więziony razem z moim dziadkiem?

- Tak.

- Dlaczego nie powiedziałeś nam o tym od razu?

- Z powodu... różnych spraw. Tego, co się stało. Niko mu nie mogę ufać. Gdybyś znał tajemnice, które ja poznałem, tajemnice Gurs, to rozumiałbyś, jak bardzo trzeba być ostrożnym. Zawsze. - Spojrzał posepnie na Davida. — A jednak, kiedy cię zobaczyłem, tamtego dnia, gdy przyjechaliście do nas, przypomniałem sobie mojego starego przyjaciela Martineza i chciałem, żebyś poznał prawdę, przynajmniej jej część. - Westchnął. - Czułem, że zasługujesz na to, żeby wiedzieć, kim był twój dziadek. Baskiem. Ale z drugiej strony, że trzeba cię chronić.

- Przed Miguelem?

- Przed Miguelem. I przed wieloma innymi, podobnymi do niego. Ale zwłaszcza przed nim.

- Czy to on zabił moich rodziców?

Szum ulewnego deszczu za oknami był jedynym słyszalnym dźwiękiem.

- Tak.

Wydawało się, że od wypowiedzenia tego jednego słowa coś pękło w Jose, który nagle zamknął oczy i zadygotał. Po

chwili odwrócił nieco głowę, uniósł powieki i zapatrzył się w wybite okno za plecami Davida, który odwrócił się natychmiast, wystraszony. Czy to ludzka postać, tam w lesie, za ogrodem?

Deszcz i mgła zwoziły wzrok. Może to tylko *pottok*, jeden z tutejszych dzikich kucyków, płynący jak duch pomiędzy drzewami? Ale David nie mógł nic poradzić na to, że wyobraźnia podsuwała mu zarys sylwetki Miguela. Właśnie ich zauważył, szeptał coś do swojego współnika; a gdy odbezpieczał broń, krople deszczu spływały z jego czapki.

Nie, to nie było możliwe. Nikt nie wiedział, że ukryli się właśnie tu. Dom także był niewidoczny: trzeba było prawie na niego wpaść, żeby zauważyć jego istnienie.

I tu nasuwało się kolejne pytanie. Skąd właściwie Jose wiedział o istnieniu tego domu? To było pradawne schronienie Cagotów, nie Basków. W jaki sposób znalazł się tu Jose Garovillo? A skoro Jose wiedział o tym domu, to dlaczego Miguel nie miałby się o nim dowiedzieć?

David pochylił się ku rozmówcy. Musiał się wszystkiego dowiedzieć, i to jak najszybciej. Może groźby poskutkują?

- Jose, czy Miguel wie o tym domu?

- Nie. Nigdy mu nie mówiłem o tej kryjówce. Gdyby wiedział, nie byłoby mnie tutaj! Wiedziałem, że pewnego dnia będę musiał przed nim uciekać i że potrzebne mi będzie takie miejsce, gdzie nie znajdzie mnie ani on, ani policja.

- Ale skąd ty się o nim dowiedziałeś?

Jose szybko nabrał do ust kolejną porcję węgorki.

David chwycił go mocno za drugą rękę.

- Powiedz mi, co się zdarzyło w Gurs! Dlaczego Miguel zabił moich rodziców?

Jose zmarszczył brwi. David zacisnął dłoń mocniej. Starzec skrzywił się i odpowiedział:

- Z powodu tego, czego mieli się dowiedzieć.

- Mówisz o tym, co zaszło w Gurs? O twojej zdradzie?

- Tak.

David nagle uświadomił sobie, z mieszaniną pogardy i współczucia, że stary Bask płacze. Dwie lub trzy łzy spływały po pomarszczonej twarzy:

- Tak, zrobiłem coś w Gurs. Tam się działy różne rzeczy. Miguel nie chciał, żeby ludzie się dowiedzieli...

- Jose, co ty zrobiłeś?
 Garovillo wymamrotał coś niezrozumiale. Gdy David pochylił się nad nim, powtórzył:

- Torturują nas. Musisz pamiętać, że nas torturują.
- Kto?
- Eugen Fischer.

David pokręcił głową.

- Słyszałem to nazwisko; babcia Eloise wspomniała o tym człowieku. Kim on był?
- Niemieckim lekarzem.
- Co on takiego robił? - David poczuł słodko-gorzki smak podniecenia. Wyczuwał, że jest coraz bliżej tragicznego jądra całej zagadki. Wcale nie był pewny, czy dobrze robi, domagając się odpowiedzi, ale z drugiej strony, niczego na świecie nie pragnął bardziej. - Co oni ci zrobili, Jose? Jak cię torturowali?
- Badali nas. Wiele razy badali krew. I włosy. I... krew. Badali krew.
- Co jeszcze?
- Byli tam też inni lekarze. I katolicy, wielu księży. - Jose drżał coraz mocniej.
- Co robili ci księża?
- Palili nas. Niektórych z nas. Zabijali.
- Dlaczego to robili?

Jose przełknął jeszcze jeden kęs zimnego już jedzenia.

- Uważali, że nie jesteśmy ludźmi - odpowiedział - że zasługujemy na wytępienie, jak węże. Mieliśmy wyginąć jak poganie albo czarownice. Kiedy skończyły się badania krwi, Eugen Fischer przekazał niektórych z nas w ręce bandytów. - Jose z rozpaczą machnął ręką. - A oni palili. Bardzo wielu ludzi. Na bagnach na skraju obozu.
- Ale dlaczego was torturowali? - spytał David. — Było tak jak z paleniem czarownic? Jak w Zugarramurdi? Pale nie Basków?

Jose popatrzył na niego z głębokim smutkiem.

- Nie.

Ramiona Davida opadły. Sedno zagadki wciąż mu umykało. Z wolna ogarniał go gniew: na siebie, za to, że nie umiał rozwikłać tajemnicy, a także na dziadka. Ale przede wszystkim na Jose Garovilla. Starzec mógł przecież powie-

dzieć mu o wszystkim, rozwiać tę mgłę. Jose musiał w końcu wyznać grzechy.

David raz jeszcze ścisnął jego ramię. Musiał się dowiedzieć.

- Jose, ludzie nadal giną - powiedział. - Giną nawet w tej chwili. Co się stało w Gurs? Dlaczego nazwano cię zdrajcą?

Brązowe oczy pozostały zamknięte, ale Jose pokiwał głową, mamrocząc z cicha.

- *Si*, masz rację. Już czas. *Si*.

David nie zamierzał odpuścić i nie obchodziło go już, czy uścisk ramienia sprawia staremu ból.

Jose w końcu przemówił ochryłym szeptem:

- Prowadzili na nas badania, Davidzie. Badali grupę krwi, mierzyli czaszki. Brali Cagotów, Cyganów, komunistów, Basków, także Francuzów i Hiszpanów... - Jose spuścił głowę i spojrzał na dłoń Martineza, wciąż zaciśniętą na jego ramieniu. I ciągnął: - Fischer miał wyniki testów z Namibii. Prowadził je na Basterach. I oczywiście na Buszmenach. Mówił nam o tym. Mówił mi. Celowo.

- Nie rozumiem. Co to ma wspólnego z Baskami? I dla czego mówił to akurat tobie?

- Dlatego, że stałem się... - Dreszcz przeszył ciało Garovilla. - Stałem się jego sojusznikiem. Przyjacielem i pomocnikiem Fischera.

- To tego tak się wstydzisz? Tego, że pomagałeś Fischerowi?!

- Tak.

- Dlaczego?

- Sądziłem, że jestem Baskiem. - Starzec znowu płał. - Wychowano mnie na Baska, mówiłem po baskijsku. Byłem dumny z tego, że jestem Baskiem.

Snop światła padł na tajemnicę. David doznał olśnienia.

- Jose, czy ciebie także badali? Pod kątem rasy?

- Tak.

- Czy powiedzieli ci, że nie jesteś Baskiem?

Szept staruszka był już niemal niesłyszalny:

- Tak.

- Powiedzieli, że jesteś Cagotem?

Deszcz uparcie bębnił o parapet. Jose Garovillo spojrzał

na swój talerz leżący na kolanach, na niedojedzone węgorki
- i cisnął to wszystko prosto w ogień. Wątki płomień przygasał.

- *Si. Si si si si si si!* Powiedzieli, że nie jestem Baskiem, że tak naprawdę wywodzę się od Cagotów. Przeklętych ludzi. Gęsih ludzi. Z wolem. Z szaleństwem. Od Saracenów. Od błoniastostopych niedotykalnych. Tak!

David opanował szok i zadał kolejne pytania:

- To dlatego tu jesteś? W domu Cagotów? Dlatego wie działaś, gdzie go szukać?

- Tak, Davidzie. Gdy Fischer poznał wyniki moich badań, zostałem przeniesiony z baraku Basków do Cagotów. Niemcy mieli obsesję na punkcie porządku, kategorii. Ta rasa tutaj, tamta rasa tam. Żydzi jeszcze gdzieś indziej. Ta ich hierarchia rasowa była straszna! Ale ja się tak bardzo wstydzilem tego, co mi zrobili, tak bardzo... - Jose otarł łzę wierzchem płamistej dłoni i spojrzał na Davida. - Wy chowano mnie w pogardzie dla Cagotów. Nie, raczej w poczuciu wyższości. My, Baskowie, wiedzieliśmy, jak to jest być pariasem, być w mniejszości. Współczuliśmy Cagotom, to prawda. Ale w głębi serca, podobnie jak Francuzi i Hiszpanie, uważaliśmy ich za niższe istoty, jak szczury albo węże. Gównoludy! Coś było z nimi nie tak!

- A zatem Fischer zdradził ci, że masz w sobie krew Cagotów, nie Basków. Wtedy zostałeś przeniesiony do części obozu przeznaczonej dla Cagotów. Co było dalej, Jose? W jaki...

- Rozmawiałem tam z wieloma Cagotami. To oni opowiedzieli mi o tym miejscu. I o wielu sprawach dotyczących ich ludu. Mojego ludu. Naprawdę starałem się zostać jednym z nich. Uwierzyć, że są moimi braćmi, ale...

- Za bardzo się tego wstydzileś?

- Tak.

David dostrzegał już logikę tej strasznej historii.

- Co więc zrobiłeś, Jose? Wyparłeś się ich?

- Tak, do dobre słowo: wyparłem się. Wyparłem się własnej krwi. Bo chciałem żyć. W obozie księcia i Niemcy wyjątkowo okrutnie traktowali Cagotów. Duchowni nazywali ich synami Kaina, torturowali ich i zabijali częściej niż innych. Dlatego chciałem na powrót zostać Baskiem, żeby ratować

życie. A także dlatego, że wychowano mnie na Baska. Do dziś czuję w duszy, że nim jestem.

- Poszedłeś więc do Eugena Fischera?

- Do niego i do innych lekarzy. Powiedziałem im, że jeśli zapomną o badaniu, jeśli będą udawali, że nie jestem Cagotem i zwrócą mi moją baskijską tożsamość, to im pomogę.

- W jaki sposób?

Garovillo znów spojrział w mizerny ogień.

- Byłem bardzo młody - miałem kilkanaście lat - ale już znano mnie jako baskijskiego radykała. Miałem duży wpływ na innych młodych Basków w obozie. Na prawdziwych Basków. - Spojrział z goryczą na Davida. - Baskowie to bardzo dzielny naród, buntowniczy, nieposkromiony. W obozie ciągle dochodziło do bójek: walczyliśmy z Niemcami, próbowaliśmy uciekać, a Fischer miał przez to kłopoty. — Stary pokręcił głową. — Wobec moich towarzyszy stałem się więc zdrajcą. Tak, zdrajcą. Powiedziałem Fischerowi, że wykorzystam swoje wpływy, żeby mu ułatwić pracę. Że namówię Basków do współpracy. Ale tylko pod warunkiem że zabierze mnie od Cagotów i przywróci moją dawną krew.

- I tak zrobił?

Głos Jose raz jeszcze przeszedł w szept.

- Tak było. Udawali, że przetrzucili mnie do baraku Cagotów przez pomyłkę. Wróciłem do swoich, znowu byłem Baskiem! I rzeczywiście wykorzystałem swoje wpływy, że by... pomóc Eugenowi Fischerowi w jego strasznych eksperymentach... Namawiałem innych, żeby pozwalali się zbadać. W pewnym sensie Fischer został moim przyjacielem. Mówił mi o wielu sprawach. Także o Żydach...

- Co? Co takiego powiedział o Żydach? - David złapał Jose za ramię.

- Fischer powiedział mi, dlaczego Niemcy tak nienawidzą Żydów i że zamierzają ich wszystkich wymordować. Tylko tyle mogę powiedzieć.

- Jak to?

Powieki Jose drżały, jakby miał lada chwila zapaść w sen. David zrozumiał, że to wyznanie wiele starego kosztowało. Puścił ramię Garovilla, ale naciskał dalej.

- Jose, muszę wiedzieć więcej o Miguelu. To właśnie

z tego powodu zabił moich rodziców, prawda? Wstydzi się swojej krwi. Mam rację?

- Tak. To najstraszliwszy błąd, jaki kiedykolwiek popełniłem. Powiedziałem mojemu synowi prawdę. Miał wtedy dziewiętnaście lat. Nigdy mi tego nie wybaczył. Wcześniej był taki dumny z tego, że jest Baskiem. Wielkim działaczem ETA...

- W porządku, zatem był wściekły. I sądził, że moja matka i mój ojciec są bliscy odkrycia jego hańby?

- Si.

- A potem dowiedział się, że i ja przyjechałem tu w tej samej sprawie. Zatem i mnie chciałby zabić.

Wiatr zagrzechotał brudnymi szybami w oknach.

- Tak właśnie jest. - Jose skrzywił się boleśnie. - Ale to jeszcze nie wszystko.

- Chodzi o mojego dziadka? - wystraszył się David. Pytanie zawisło w powietrzu jak gęsta mgła. Zmora z przeszłości. Duch, którego trzeba poddać egzorcyzmom. - Powiedz mi, Jose. Czy mój dziadek także był kolaborantem?

- Nie! - Odpowiedź była stanowcza. - Nawet tak nie myśl! Twój dziadek był porządnym człowiekiem. Nie. Chodziło mi o Miguela.

- O co konkretnie?

- Jest coś dziwnego, coś strasznego w moim synu. Musisz być bardzo ostrożny. Niekiedy zastanawiałem się, czy sam nie powinienem go zgładzić. Zanim on zabije mnie. Za nim wszystkich pozabija. Bo mnie na pewno kiedyś zabije.

- Dlaczego?

- Tak już jest. Takim go stworzył Bóg. Przez Boga. Mój syn jest... zły do szpiku kości. Czy nie tak się to mówi? A przecież go kocham. Jest moim synem. Pamiętaj, jaki je stem stary. Sądziłem, że nigdy nie doczekam się potomka, a potem poznałem Ferminę i jednak urodziło nam się dziecko. Syn. Byliśmy tacy szczęśliwi. *Ena semea...* - Oczy starca pojaśniały po raz pierwszy od wielu dni, ale zaraz znowu przygasły, aż w końcu wypełniła je ciemność. - Lecz kiedy zaczął dorastać, zrozumieliśmy, że nosi w sobie prawdziwą hańbę Cagotów. Najprawdziwszą. Jest duży, silny i bystry. Ma też przyjaciół, którzy mu pomagają. Potężnych ludzi, którzy motywów działania nawet nie zrozumiesz. To Bractwo.

- Czym jest Bractwo?
- Nie. Tego ci nie powiem. Już dosyć. Proszę. - Łzy po
płynęły strumieniami. - Pozwól mi zachować dla siebie choć
tę ostatnią hańbę. I tak powiedziałem ci zbyt wiele. Zbyt
wiele i zbyt późno. Jeśli powiem jeszcze więcej, oni nie da-
dzą ci żyć. Sekret, którego strzeże Miguel, nie dotyczy tylko
mnie, jego i Cagotów. Sprawa jest o wiele głębsza, Davido,
a przy tym straszna i niebezpieczna dla nas wszystkich, dla
całej *la humanidad*. Ta tajemnica sprowadziłaby na ciebie
śmierć, jeśli nie z rąk Miguela, to z innych. Jego przyjaciół.
Bractwa. Kogokolwiek. - W spojrzeniu starca pojawiła się
surowość. - Rozumiesz? Ratuje ci życie tym, że nie usły-
szysz ode mnie ani jednego słowa więcej!

To było zaskakujące. Dziwaczne. David siedział przez
chwilę w wilgotnym półmroku salonu, próbując ułożyć sobie
wszystko w głowie. Deszcz nie przestawał łomotać o stare
dachówki. Za oknem podniosła się mgła. Strugi wody spły-
wały okolicznymi stokami, by połączyć się w nurcie Adour.

David spróbował raz jeszcze, zadał kolejne pytanie, ale
Jose już nie ustąpił.

Milczenie.

Niewiarygodnie frustrujące milczenie, bo przecież chciał
zadać jeszcze tyle pytań! O śmierć rodziców. O to, skąd się
wzięły pieniądze. I o co chodziło z tymi Żydami? Jakaż to
tajemnica mogła być tak straszna, że jej poznanie oznaczało
nieuniknioną śmierć?

Wiedział jednak, że - przynajmniej na razie — nie uzyska
już żadnej odpowiedzi.

Drzwi otworzyły się z rozmachem: wróciła Fermina. Była
wściekła; zaczęła krzyczeć na męża. Gestykulując zaciekle,
zasypywała go gradem słów. Ten zaciekły monolog wypo-
wiedziany został po baskijsku i hiszpańsku, a jednak jego
sens był dla Davida zrozumiały. Co mu powiedziałaś, pytała
Fermina. Ty głupcze. Jakie tajemnice mu zdradziłaś?

A potem podeszła do Jose i na oczach Davida z pogardą
spoliczkowała swego starego męża. Jose odchylił się tylko,
ale nie próbował się bronić.

David przyglądał się tej przykłej scenie jak sparaliżowa-
ny. Patrzył, milczący i nieruchomy, jak Fermina powtórzyła
cios, a potem złapała Jose za chudą rękę, pociągnęła w górę

i wyprowadziła z pokoju jak niegrzecznego dzieciaka. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Skrzypnęły schody. Po chwili dało się słyszeć jeszcze jedno trzaśnięcie drzwiami, tym razem gdzieś na górze. Cały budynek zadrżał w posadach; pajęczyny zatrzęśły się w kątach pod gzymsami, a kłębki kurzu zawirowały na podłodze.

Brakowało mu światła.

Simon wstał, podszedł do okna i rozsunał zasłony. Na ulicy panował niewielki ruch, typowy dla późnego poranka. Przekręcił zegarek na nadgarstku i zerknął na tarczę. Dochodziła jedenasta. Wszystko wskazywało na to, że po bezsennej nocy w końcu jednak zdołał zasnąć.

Z dołu nie dobiegały żadne dźwięki, co oznaczało, że Su-zie i Conor już wyszli. Suzie odprowadzała syna, a następnie szła do szpitala.

Simon poczuł w ustach kwaśny smak: strach i poczucie winy powróciły. Znowu. To samo czuł przez całą noc, a wcześniej przez cały tydzień. Czyżby już nigdy nie miał zasnąć spokojnym snem? Nie bez pomocy drinka. Wielu drinków. Był wystraszony i winny. I bardzo, bardzo znudzony. Jego rola dobiegła końca. Po śmierci Fazackerly'ego naczelny „Telegraph” odebrał Simonowi ten temat, bo sprawa stała się zbyt śliska. „Co będzie, jeśli teraz przyjdą po ciebie? Co będzie, jeśli twoje artykuły są dla zabójców niebezpieczne?”

Stojąc samotnie przy oknie, dziennikarz spoglądał na przejeżdżające w dole samochody. Jeden z nich pomknął do światła i zatrzymał się z piskiem opon. Jako ojciec, Simon natychmiast poczuł gniew: zwolnij, draniu, mam malutkiego syna. Poczucie winy natychmiast wróciło. Kto naprawdę zagrażał jego synowi? Kto sprawił, że jego młode życie mogło wkrótce dobiec końca? Kto sprowadził śmierć i zniszczenie na próg jego rodzinnego domu?

On. Ojciec. Ambitny karierowicz. On sam.

Simon wiedział, że jest w niebezpieczeństwie. W tej chwili niczego na świecie nie pragnął bardziej, niż napić się. Lecz

ryzykował utratę z trudem odzyskanej równowagi. Tylko co właściwie miał robić? Nie miał nawet motywacji, żeby pójść na spotkanie Anonimowych Alkoholików. Zostało mu tylko znudzenie, strach i poczucie winy.

Wszedł do łazienki, wziął gorący prysznic, wyszorował zęby, wybrał świeże ubranie i wrócił do sypialni. Czuł się tylko odrobinę lepiej.

Może jednak to nie była jego wina?

Jasne, że to nie była jego wina.

To absolutnie nie była jego wina.

Otworzył laptopa, zaczekał na połączenie z siecią i raz jeszcze zajrzał do wiadomości dotyczących śmierci Fazacker-ly'ego, które przysłali mu Tomasky i Sanderson, osobliwego ciągu zdarzeń i ich następstw.

Kilka chwil po tym, jak odnalazł profesora ugotowanego w jego własnej, laboratoryjnej kuchence mikrofalowej, do pomieszczeń GenoMap wpadli policjanci, których wezwał przez telefon. Błyskawicznie wyprowadzili dukającego coś chaotycznie dziennikarza, a następnie przesłuchali go, uspokoili, przesłuchali raz jeszcze i wreszcie, w następnych dniach, zafundowali dwie sesje z psychologiem, specjalistą od łagodzenia wstrząsów psychicznych.

Jednakże Simon nie potrafił zapomnieć odrażającej sceny z laboratorium GenoMap. Szukał pocieszenia w rozmowach telefonicznych i wymianie e-maili z funkcjonariuszami policji, których znał. Najlepszym rozmówcą okazał się Tomasky: z natury pogodny Polak był szczerze wierzącym katolikiem, co zawsze pomagało w takich sytuacjach; miał ponadto po słowiańsku mroczne, ale też mocno londyńskie poczucie humoru: lubował się w soczystych komentarzach o śmierci, ponoć „równie przykrej jak weekend w Katowicach”.

Tomasky i Sanderson zgodnie starali się wytłumaczyć mu „logikę” śmierci Fazackerly'ego, to, jak sprytna i brutalnie skuteczna była metoda, którą wybrał zabójca: wszystko odbyło się szybko i po cichu, bez zbędnych ran postrzałowych czy dowodów zawierających DNA. Zabójcy mieli tylko jednego pecha: telefon profesora okazał się na tyle dobry, że złapał sygnał nawet we wnętrzu metalowego pudła.

A jednak wszystko to wyglądało w oczach Simona bardziej jak groteskowe średniowieczne tortury - w końcu czło-

wiek został żywcem ugotowany! Osocze krwi Fazackerly'ego musiało dosłownie zawrzeć w jego żyłach.

Zamknął skrzynkę z głębokim, ciężkim westchnieniem. Wizja ugotowanej krwi skierowała jego myśli ku bratu -nie było to dużo przyjemniejsze wspomnienia, ale przynajmniej w pewnym sensie ożywcze. W tej chwili Tim przebywał w zakładzie zamkniętym. Zatem to on, Simon, był jedynym z Quinnów mającym potomstwo oraz jakkolwiek przyszłość. Miał też obowiązki: zarabiać na rodzinę i przekazać nazwisko synowi.

Duma i poczucie własnej wartości powróciły w jednej chwili, i to wysoką falą. Wraz z nimi powróciła złość.

Do diabła z tym wszystkim. Simon czuł, że musi się wziąć w garść; nie był odpowiedzialny za śmierć Fazacker-ly'ego. Być może jego artykuły skierowały zabójców na trop profesora, ale może wcale tak nie było? Wszystko jedno. On, dziennikarz, po prostu wykonał swoje zadanie: pisał, bo jest pismakiem. Podążył za tropem. Myśl o tym, że sprowadził zagrożenie na własną rodzinę, rozrywała mu duszę - ale czy mógł w inny sposób zapewnić im godziwe życie, niż wykonując swoją pracę?

Nie było innego sposobu. Taką wybrał drogę kariery. Pozostał jednak pewien praktyczny problem: Jak miał t e r a z utrzymać rodzinę? Był wolnym strzelcem; żył z opisywania spraw, które sam wynajdywał. Tym razem jednak został zmuszony do porzucenia tematu. Nie miał nic innego - nie miał o czym pisać. Żadnych nowych zleceń. Co miał zrobić tego dnia, nazajutrz, w następnym tygodniu? Wrócić do pisania krótkich notek o drobnych przestępstwach?

Właściwie bez celu wpisał w wyszukiwarce Google hasło „polowania na czarownice”. Trochę z ciekawości. Trochę na wszelki wypadek.

Tego ranka ilość nowych informacji była umiarkowana, w porównaniu z tym, co się działo nazajutrz po morderstwie Fazackerly'ego; pojawił się jeden, może dwa nowe artykuły. Jakaś amerykańska strona odświeżała cały ciąg dziwnych wydarzeń, ku zachwytowi swych co bardziej perwersyjnych czytelników. Simon zauważył nawet, że autor owego artykułu bezczelnie pożyczył sobie całe zdania jego

autorstwa, a także obszernie cytował zapisane przez niego słowa Fazackerly'ego.

Łajdaki.

Upił łyk wody. I wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Całkiem odważna myśl. Przecież żadna siła nie mogła go powstrzymać przed podążeniem za odkrytymi tropami, przed szukaniem informacji, nawet gdyby nie miał napisać ani jednego słowa do gazet. Mógł prowadzić dziennikarskie śledztwo i pisać - dla siebie, dla własnej satysfakcji. Nawet jeśli z tą historią nie miał już wstępu do dziennikarskiego świata, może mogła posłużyć jako materiał na książkę. Tak! Wystarczyło zgromadzić wszystkie notatki, opracować - stworzyć książkę. I zarobić poważne pieniądze, gdy już będzie po wszystkim. Wykonałby swoją misję: zapewnił byt żonie i dziecku, a także spłacił dług w sumieniu oraz w banku, nie drażniąc ani wydawcy gazety, ani policji.

Simon z nowym zapalem przystąpił do wyszukiwania informacji.

Postanowił zastosować jedną ze swych ulubionych sztuczek, przydatną podczas prowadzenia skomplikowanych śledstw dziennikarskich, w których potrzebne są nowe tropy: zaczął wpisywać do wyszukiwarki przypadkowe hasła, łącząc je cudzysłowami w rozmaite sekwencje.

Bawił się słowami przez dwie godziny, sprawdzając rozmaite kombinacje słów „szkocki”, „zabójstwo”, „Naim”, „Ge-noMap”, „Fazackerly” i „Baskowie”.

Bez rezultatu.

Wypróbował kolejne.

„Syndaktylia”, „czarownica”, „Cagot”, „dziedziczenie”, „morderstwo”, „Kanaan”.

Nic.

Spróbował raz jeszcze, tym razem z dłuższą listą haseł. „Nacinanie”, „naziści”, „palenie”, „deformacja”, „tortury”, „genetyczna”, „zabójstwo”, „Gaskonia”, „spadek”.

Trafił! Dopisało mu szczęście: uzyskał dwa trafienia w wyszukiwarce, prawdopodobnie powiązane ze sprawą, którą usiłował rozwikłać. Dwa.

Pierwsza wiadomość mówiła o morderstwie w Quebecu. Jeden z kanadyjskich internetowych serwisów informacyjnych zamieścił krótką notę. Sędziwa kobieta została

zabita trzy tygodnie wcześniej w swoim domu niedaleko Montrealu. Ktoś ją zastrzelił, bez wyraźnego powodu. Najbardziej zainteresowała Simona ostatnia linijka artykułu: kobieta była pochodzenia baskijskiego, a jako mała dziewczynka przebywała w nazistowskim obozie koncentracyjnym w Gurs. We francuskim Kraju Basków. Morderstwo było niezwykle zagadkowe, tym bardziej że z domu ofiary, nieprzeciętnie zamożnej, niczego nie skradziono.

To musiało mieć związek z jego sprawą. Po prostu musiało. A nawet jeśli nie, to należało przyjrzeć się temu przypadkowi nieco bliżej. Simon zapisał szczegóły w notatniku, po czym zajął się kolejnym wyszukanym materiałem. Ten również pochodził sprzed kilku tygodni, a został rozpoznany przez kilka serwisów informacyjnych.

Nagłówek brzmiał zachęcająco: „Dziwaczny testament i baskijska zagadka warta miliony dolarów”.

Trzydziestoparoletni mężczyzna, niejaki David Martinez, spoglądał na niego z fotografii. Uśmiechał się niepewnie, jakby z zakłopotaniem, trzymając w dłoni mapę. Według autorki artykułu na mapie tej zaznaczono wiele miejsc w Kraju Basków. Intrygujące było to, że dziadek owego młodego człowieka zmarł niedawno i pozostawił mu dwa miliony dolarów, co było dlań ogromną niespodzianką.

Simon przeczytał artykuł do końca, z każdym zdaniem czując coraz większe podniecenie. Nie miał już ochoty na drinka. Chciał wiedzieć, o co chodzi w tej sprawie: chodziło o Basków, o tajemniczy spadek i o bardzo starego człowieka, który zmarł tysiące kilometrów od Europy.

Z artykułu Simon dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował, włącznie z tym, że David Martinez był prawnikiem w Londynie, zanim niespodziewanie odziedziczył ów majątek.

Simon potrzebował dwóch minut, by odnaleźć w sieci „dobrze znaną firmę prawniczą”, w której do niedawna pracował David Martinez: wszystkie takie firmy szczyły się przecież listą swych specjalistów.

Simon podszedł do okna, wybrałszy w telefonie komórkowym numer firmy Martineza. Dystyngowany głos poprosił o nazwisko i nazwę gazety, więc je podał: Simon Quinn z „Daily Telegraph”.

Przez chwilę przełączano rozmowę z pokoju do pokoju, każąc mu czekać, aż wreszcie trafił na wyjątkowo nadętego, sądząc po głosie, jegomościa, który był ponoć szefem Davida Martineza. Człowiek ów, niejaki Roland de Villiers, z wielką ochotą podał Simonowi numer telefonu komórkowego swego byłego pracownika.

- Mam nadzieję, że wpakował się w kłopoty - dodał z satysfakcją.

Rozmowa urwała się nagle.

Simon zerknął do notatnika, opierając się o parapet. Numer, który tak chętnie podał mu de Villiers, był obsługiwany przez angielską firmę telekomunikacyjną. Wpisał sekwencję cyfr i usłyszał długi sygnał wybierania, który oznaczał, że ten cały Martinez przebywa za granicą. Może w Hiszpanii?

Wreszcie rozległ się pełen wahania głos.

- Tak? Kto mówi?

Zapach przypalonych węgorzy unosił się w powietrzu. Mgła zakradała się z wolna do pokoju, a David wciąż siedział w milczeniu i chłodzie, rozmyślając nad słowami Jo-se. W końcu ocknął się z zadumy. Muszę koniecznie porozmawiać z Amy. Opowiedzieć jej o tym wszystkim.

— Amy! - Echo powtórzyło jego wołanie. Spróbował jeszcze raz. - Amy?!

Gdzie ona się podziała? Nie widział jej od godziny, a raczej nie podejrzewał, by wyszła na zewnątrz w taki deszcz.

Zawołał po raz trzeci. Głos odbił się od butwiejącego drewna stropów i uleciał pustym korytarzem. Nic.

Pobieżne przeszukanie upewniło go, że nie ma jej na parterze: słyszał wyłącznie szczury, które w popłochu umykały z każdego pokoju, do którego zaglądał.

Mogła pójść do ich wspólnej sypialni, w której przegadali całą noc.

Aby to sprawdzić, musiał wejść na górę po drewnianych schodach. Znowu zawołał Amy po imieniu, lecz i tym razem odpowiedziała mu cisza. Korytarz był pusty.

Otwierając drzwi, nieoczekiwanie wyobraził sobie śmierć swoich rodziców. Eksplozja. Zmiażdżona głowa matki, krew ciekąca powoli z nieruchomych już ust...

Może taki sam los spotkał Amy? Tracił przecież wszystkich, którzy byli mu bliscy. Wszystkich.

David rozejrzał się po izbie, którą dzielił z Amy. Pusto. Nie było nawet szczurów ani kruków hałasujących za oknem. Łóżka wciąż były złączone. Na ścianie, z której oblażyły resztki farby, wisiał krzywo stary obrazek przedstawiający jakiegoś świętego. Woda sączyła się kroplami z sufitu.

Do sprawdzenia został już tylko jeden pokój: ten, który zajmowali Fermina i Jose. Tyle że jego drzwi bez wątpienia były zamknięte na głucho.

Może była tam z nimi?

David zebrał się na odwagę, wyszedł na korytarz i zawołał przez zamknięte drzwi:

- Amy! Amy!

Klaustrofobiczna cisza. Nie mógł dłużej tego znieść. Chciał odkryć prawdę i odnaleźć Amy, a potem uciec z tego ohydneho domu, pomnika ucisku, uciec od cierpienia i strachu Cagotów - piętnowanych, odrzucanych, upokarzanych - które musiało chyba wsiąknąć w cegły i zaprawę tych murów. David marzył tylko o tym, by odszukać Amy i odjechać stąd.

Zacisnął pięść, żeby załomotać w drzwi. Gdyby było to konieczne, gotów był nawet wyważyć je kopniakiem.

Ale zanim zdążył uderzyć, za jego plecami odezwał się głos.

- David?

Odwrócił się gwałtownie. To była Amy.

- Gdzieś ty się podziewała?

- Na dole... - Pokręciła głową. - To znaczy w piwnicy.

Chciałam sprawdzić...

- Co?

- Tunele. *Chemins des Cagots*, pamiętasz? Eloise mówiła, że są tam przejścia zbudowane przez Cagotów. Pomyślałam, że gdybyśmy znaleźli się w opałach, moglibyśmy z nich skorzystać. Ale znalazłam tylko piwnice.

David położył dłonie na jej ramionach.

- Jose mi wszystko powiedział. A potem zamknął się tu razem z Ferminą.

Nieznacznym ruchem głowy wskazał na drzwi.

- Ale dlaczego?

Zaczął wyjaśniać.

I urwał niemal natychmiast. Rozmowę przeciął na dwoje straszny dźwięk, którego nie sposób pomylić z innym.

Huk wystrzału. I zaraz potem drugi.

W pokoju Garovillów.

Skoczyli do drzwi i razem na nie natarli, prbując pokonać opór zardzewiałego zamka. Drewno i metal broniły

się jeszcze, ale deski wykarmiły już pokolenia korników, a zawiasy pamiętały zamierzchłe czasy. Ościeżnica zaczęła pękać, aż wreszcie drzwi ustąpiły i oboje znaleźli się w środku.

David spojrzął na wprost i omal nie stanęło mu serce, tak odrażający był to widok. Amy zasłoniła twarz dłońmi i rozplakała się.

Na dwóch krzesłach siedziały dwa trupy.

Jose i jego żona.

Fermina Garovillo została postrzelona z najmniejszej odległości, prosto w skroń. Części jej głowy po prostu nie było, a ściana za nią zbryzgana była krwią. Wszystko wskazywało na to, że Jose najpierw zabił swoją żonę, a następnie targnął się na własne życie. Jego rana była jeszcze gorsza: brakowało górnej połowy czaszki. Ślady spalenizny na białych, cienkich wargach wskazywały, że włożył lufę do ust i nacisnął spust, roznosząc własny mózg na strzępy.

Rozległe plamy krwi na suficie i na ścianie za jego plecami potwierdzały to. David tylko raz spojrzął na szarą galaretkę, która ściekła na oparcie krzesła, ale i to wystarczyło, by poczuł mdłości.

Dlaczego to zrobili?

Odpowiedź pojawiła się niemal natychmiast. Złowróżbne skrzypnięcie opon na zewnątrz.

David podbiegł do okna i wyjrzał, mimowolnie napinając mięśnie. Czerwony samochód jechał wolno między ociekającymi wodą drzewami. W środku bez wątpienia siedział Miguel. David przypomniał sobie słowa Jose: „Mnie na pewno kiedyś zabije”.

Amy także podeszła do okna. Zakłęta i wzdrygnęła się w jednej chwili.

Pozostał jednak jeszcze cień nadziei. Czerwony samochód zwolnił, zatrzymał się, a potem ruszył ponownie - w niewłaściwym kierunku. David zrozumiał, że Miguel jeszcze ich szuka. Zatem jeszcze nie wiedział, gdzie się ukryli; po prostu przeszukiwał okolicę. Nawet jeśli dowiedział się o kryjówce, torturując Eloise, nie udało mu się jeszcze precyzyjnie namierzyć starego domu.

David wiedział jednak, że wkrótce to się zmieni. W końcu Miguel wypatrzy ukryty zjazd, a potem znajdzie dom.

- Pistolet! - rzuciła Amy.
- Co?
- Pistolet musi tu gdzieś być.

Miała rację. David rozejrzał się szybko, poszukując broni należącej do Jose. Jest! Czarny metal błysnął w bladym świetle. David sięgnął pomiędzy tężące nogi Jose i podniósł z podłogi jeszcze ciepły pistolet. W magazynku musiało pozostać kilka kul. Słyszeli tylko dwa strzały.

Zważył broń w dłoni, kierując lufę ku sufitowi.

Na sekundę cała absurdalność tej sytuacji stanęła mu przed oczami. Rok wcześniej był prawnikiem pogrążonym w życiowym letargu. Znudzonym, bezpiecznym i niewiarogodnie smutnym. Dojeżdżał metrem do pracy, wracał do domu na kurczaka z curry odgrzewanego w mikrofalówce, i od czasu do czasu chodził na piwo z przyjacielem. Jeśli mu się poszczęściło, trafił się przygodny seks z kimś, kogo nie kochał. A teraz? Był przerażony, wściekły, ścigany. Paradoks polegał na tym, że w tej chwili czuł się bardziej żywy niż kiedykolwiek wcześniej.

Co więcej, bardzo chciał żyć. Po to, żeby zrozumieć przyczynę śmierci rodziców, a także po to, żeby ich pomścić. Ale na początek trzeba było uciec z tego miejsca.

- Ogród na tyłach - powiedziała Amy. Już nie płakała. Była raczej zła. - Przez ogród w głąb wąwozu. Myślisz, że możemy spróbować?

Wybiegli na korytarz, a wilgotne deski skrzypiały pod ich butami. Pognali na dół i na tyły domu, w stronę ogrodu i bramki otwierającej drogę w las. Nagle Amy szarpnęła Davida wstecz.

- Słuchaj!

Miała rację. Głosy. Właśnie tam, w ogrodzie, a może nieco dalej, w lesie.

- Nie możemy ryzykować - syknęła. - Droga?
- Miguel.
- Utknęliśmy. Niech to szlag, utknęliśmy! Zamknął nas w pułapce! - David czuł narastającą furję.
- Nie. Piwnica! - Amy chwyciła go pod ramię. - Jestem pewna, że gdzieś tam jednak znajdziemy przejście. Chodź, musimy poszukać.

Odwróciła się i znowu pobiegli cuchnącym stęchlizną

korytarzem. Skręcili w prawo. Pod schodami kryły się stare drzwi do piwnicy. David sięgnął do klamki.

Wyraźnie słyszeli cichy warkot silnika. Wóz był już blisko. Mijał walące się chaty Cagotów, nieomylnie zmierzając ku ostatniej kryjówce. Głosy dobiegające zza domu, od strony lasu, także były wciąż słyszalne. I jakby wyraźniejsze.

Za drzwiami znajdowały się rozpadające się schodki, niknące w głębokiej ciemności podziemi.

Nie mieli wyboru. Amy ruszyła przodem, a David tuż za nią. Odwrócił się jeszcze na najwyższym stopniu i starannie domknął za sobą drzwi. Ciemność stała się jeszcze gęstsza. Miał wrażenie, że toną w środku nocy.

- Amy...
- Jestem!
- Wszystko w porządku?
- Tu chyba jest podłoga. Jak sądzę.

David wyjął telefon, włączył wyświetlacz i użył go jako namiastki latarki. Blask nie był mocny, ale nieco rozjaśnił mrok.

- Czekaj.

Amy położyła palec na ustach. Stali nieruchomi i milczący. Przerażeni. Męskie głosy były teraz dobrze słyszalne. Dobiegały z wnętrza domu.

- Musimy uciekać!

David zmrużył oczy. Teraz, gdy oczy nieco przywykły do ciemności, mógł oszacować rzeczywiste rozmiary podziemia. Było ogromne. Wysoko sklepienie i naprawdę rozległe ciągnęło się daleko, niczym średniowieczny loch. Może Cagoci przechowywali tu żywność, gdy się ukrywali, pomyślał David.

W ścianach głównej komnaty zainstalowano kilkoro ciężkich wrót z drewna i metalu, które, jak się wydawało, blokowały drogę do dalszych pomieszczeń. Troje drzwi było otwartych, dwoje zamkniętych.

- Musimy przeszukać tamte sale.

Zajrzeli do pierwszej z nich. Panował w niej taki chłód, że ich oddechy zawisały w powietrzu jak białe obłoki, niczym duchy słów. David omiół wnętrze światłem telefonicznego ekranu. Na nadprożu kolejny symbol gęsiej łapki. David obracał telefon we wszystkie strony, ale szybko stwierdził, że pomieszczenie jest puste. Wąska kamienna ława stojąca

wzdłuż jednej ze ścian również była pusta. Powietrze zalaływało zjełczalym tłuszczem.

Z góry dobiegły odgłosy kroków, a potem rozległ się tupot nóg na schodach. Intruzi zaczęli przeszukiwać górne piętra domu. Za chwilę zapewne znajdą Jose i Ferminę. To może ich zatrzymać na jakiś czas, pomyślał David. Wolał się nie zastanawiać, jak Miguel zareaguje na widok rodziców. Zapewne widząc, że wybrali samobójczą śmierć, będzie jeszcze bardziej rozwścieczony niż zazwyczaj.

A potem domyśli się, że należy zejść na dół. Wtedy znajdzie drzwi do piwnicy.

Starając się zapanować nad paniką, David przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Niczym nie różniło się od poprzedniego: było puste, długie i śmierdzące.

David wszedł nieco głębiej, żeby się upewnić, czy nie ma tu ukrytego przejścia. Nie było. W trzecim także nie. Nagle usłyszeli ponury głos Miguela, tuż nad sobą, w korytarzu. Pokrzykiwał na swoich ludzi. Lada chwila musiał odkryć drzwi wiodące do piwnicy.

Podeszli do przedostatnich, czwartych drzwi. Były szczelnie zamknięte. Na metalowej płycie przez lata odłożyła się warstwa rdzy.

- Spróbuj! - szepnęła Amy. - Musimy...
- Potrzyj światło.

Amy wzięła do ręki telefon i ustawiła ekranem w stronę Davida, który zaczął zaciekle szarpać zimną, metalową klamkę. Pociągnął raz jeszcze, mocniej, a potem jeszcze mocniej. Drzwi zgrzytnęły, drgnęły, bardzo wolno ustąpiły. Metal jęknął raz jeszcze, trąc o kamień, a potem drzwi jakby eksplodowały: otworzyły się na oścież i chlusnęła zza nich istna powódź brązowego, cuchnącego płynu; ohydnej cieczy płynącej tak wysoką falą, że przewróciła Amy i Davida na posadzkę.

Ślizgali się w dziwnie gęstej wodzie. David zauważył w niej na wpół rozpuszczone kawałki ciała, ludzkie głowy o wykrzywionych twarzach oraz wychudłe ramiona. Mimo zaawansowanego rozkładu na jednej z głów widać było włosy, podobne do zardzewiałego, brązowego drutu. Spomiędzy skórzastych pasm, które niegdyś były mięśniami ramienia, wystawała pokaźna kość...

- Amy?

Usiłowała wstać, z trudem chwytając równowagę w śliskiej brei. Patrzył na nią w niemym przerażeniu. Podobnie jak on, była od stóp do głów umazana zielonobrazową, woskowatą mazią. David nie umiał dłużej bronić się przed odruchem wymiotnym. Amy kaszłała gwałtownie, ale zdołała ustać. A potem zebrała się w sobie, zamknęła oczy, otworzyła je po chwili i bez słowa wskazała na strop.

Głosy były ostrzejsze, bliższe, gwałtowniejsze; ludzie Miguela kończyli przeszukanie domu. Amy syknęła:

- Zostały jedne... Jaki mamy wybór?

Ślizgając się w kałużach, podeszli do ostatnich drzwi.

Prześladowcy byli coraz bliżej. Amy i David razem chwycili za klamkę; metal uparcie wysuwał się z ich pokrytych śliską mazią dłoni. Na twarzy dziewczyny malowało się przerażenie: Co będzie, jeśli za tymi drzwiami też znajdą tę ohydłą maź? Tak się nie stało. Drzwi otworzyły się dość lekko, ukazując przestronne, suche pomieszczenie, w głębi którego ujrzeli... wylot tunelu. Przesłonięty pajęczynami, wydawał się długi i ponury, a jego koniec ginął gdzieś w całkowitej ciemności.

- *Chemin!*

Amy już była w środku i dawała Davidowi znak, by szedł za nią. Zatrzymał się jeszcze na moment, by zamknąć drzwi. Zawiasy pracowały całkiem gładko. Żadna przeszkoda, pomyślał. Zwłaszcza dla Wilka. Ale może pościg opóźni się choć o kilka cennych minut.

- Gotowe.

Tunel był zbyt niski, by mogli normalnie iść: musieli pełznąć na czworaka jak wielkie, niezgrabne owady.

Lecz przynajmniej wciąż uciekali. Odgłosy kroków i głosy ludzi cichły z każdą chwilą. Ale co będzie, gdy napastnicy znajdą drzwi do piwnicy?

- Któreśdy teraz?

David poświecił ekranem telefonu najpierw w lewo, a potem w prawo. To wystarczyło, by stwierdzić, że dotarli do rozwidlenia korytarza. Ze sklepienia najbliższego z tuneli zwisał, wijąc się nerwowo, różowy robak. David czuł, że od stóp do głów usmarowany jest błotnistą, lepką mazią, tym, co zostało z rozkładających się ciał. Odruch wymiotny powrócił ze zdwojoną siłą.

- Tędy! - zawołała zdławionym głosem Amy, wskazując na lewo. - Ten tunel na pewno biegnie w kierunku lasu.

- Idziemy!

Przeciskali się dalej w milczeniu, póki ich wędrówki nie przerwał stłumiony odgłos grzmotu. Zaraz potem usłyszeli dźwięk kropel przesączających się przez glebę ponad ich głowami i opadających na błotniste dno kanału.

- Adour? - zdziwiła się Amy. — Zdaje się, że jednak idziemy w innym kierunku.

- Za późno na zmianę - odpowiedział, chwytając jej mokrą dłoń. - Prędko.

Kilka metrów dalej brudny tunel zaczął się rozszerzać; był też coraz wyższy i wkrótce mogli normalnie iść. Ruszyli biegiem. Korytarz skręcił jeszcze w lewo, a potem w prawo, po czym skończył się nagle ciągiem schodków wykonanych z ubitej ziemi. U szczytu majaczył zarys kłapy.

- Nie wiemy, gdzie jesteśmy - ostrzegła Amy. — Może wyjdziemy w czyimś domu? A może w *boulangerie*!

- No to sprawimy komuś niespodziankę...

David wspiął się po stopniach i mocno naparł barkiem na klapę. Zaczęła ustępować po chwili; smuga światła padła na jego twarz, a potem cały właz odskoczył z głośnym trzaskiem.

Rozejrzał się czym prędzej i zobaczył cztery roześmiane twarze.

Nie były to jednak oblicza ludzi, tylko czterech szmacianych *mounaques* z Campan. Cała rodzina lalek siedziała w pierwszej ławce miejscowego kościoła. Uśmiechały się także wtedy, gdy David podciągał się wyżej, wychodził na powierzchnię i pochylał się, by wyciągnąć Amy. Dziewczyna rozejrzała się ciekawie.

- Kościół. Oczywiście.

David skinął głową.

- Lepiej pozbądźmy się naszych ubrań. Weźmiemy te...

Wskazał na lalki. Rozebrali się błyskawicznie, opróżnili kieszenie swoich ubrań i wskoczyli w workowate dzinsy i rozciągnięte swetry. David kopnął brudne ciuchy w kąt, starając się nie myśleć zbyt intensywnie o tym, z czym dokładnie miała kontakt jego skóra.

- Gotowa? - spytał.

Amy wytarła jeszcze swetrem głowę, drżąc lekko.

- Jezu, David. Co... co to było? Tam w piwnicy?
- Ocieklina gnilna.
- Co takiego?
- Jeśli zamkniesz ciało w szczelnym pojemniku, będzie się rozkładało w specyficzny sposób. Ale...
- Zmieni się w płyn?
- Prędzej czy później. - David rozejrzył się po świątyni, zastanawiając się, co mają teraz zrobić.
- Wyjaśnij mi to!
- W zwłokach dokonuje się stopniowo przeobrażenie woskowo-tłuszczowe. Powstaje coś w rodzaju oślizłego wosku. Gdy mijają stulecia, może on zmienić się... - David mówił, usiłując nie myśleć - ...w coś w rodzaju zupy, w której pływają nierozłożone kawałki ciała. Przykro mi, ale właśnie to znaleźliśmy.
- Skąd wiesz takie rzeczy?
- Biochemia człowieka.

Amy trzęsa się coraz mocniej.

- O Boże. O Boże. O Boże.

Zamknęła oczy, na nowo analizując niedawne upiorne przeżycia. David postanowił, że nie powie jej o tym, co martwiło go bodaj najmocniej. Kontakt z rozkładającymi się zwłokami mógł mieć groźne skutki dla zdrowia.

- Już dobrze - powiedziała, otwierając oczy. - Dobrze, ale Jose... - Zaczepnęła potężny haust powietrza. - Biedny Jose. Co teraz?
- Teraz spierdalamy z Campan.

Podszedł cicho do drzwi i uchylił je. Chwilę później przemknęli ukradkiem przez zarośnięty chwastami dziedziniec do żelaznej bramy w murze. Wyjrżeli na zewnątrz. W zasięgu wzroku nie było ani jednego samochodu i ani jednego człowieka, prócz starszej kobiety z parasolem, pospiesznie idącej szarą, pustą ulicą.

- Biegniemy...

Puścili się sprintem przez bramę i dalej, skromną główną ulicą Campan. Minęli ostatni z zaniedbanych domów i znaleźli się wśród pól. Nie przestali biec.

Dwadzieścia minut później Amy krzyknęła, by się zatrzymał. Pochylona, oparła dłonie na kolanach, dysząc

ciężko i z trudem przelękając ślinę, bliska torsji. David przystanął, równie wyczerpany, i rozejrzał się dokoła. Dotarli w pobliże skrzyżowania szos; szerszą z nich raz po raz przemykały samochody.

Amy już poderwała się do biegu.

- Możemy pojechać autostopem! Złapiemy okazję.

- Dokąd?

- Do Biarritz. Musimy dostać się tam, gdzie jest pełno ludzi. Wmieszamy się w tłum. Ta droga prowadzi do Biarritz.

David pobiegł za nią. Dotarłszy do szosy, uniosła kciuk, mając nadzieję, że zdoła kogoś skłonić, by się zatrzymał. David nie miał w sobie tyle optymizmu: kto, u diabła, zabrałby do samochodu kogoś takiego? Byli ubrani jak strachy na wróble, przerażeni i wysmarowani cuchnącą mazią.

Pięć minut później ciężarówka wioząca jabłka zjechała na pobocze. Kierowca pochylił się w prawo i odblokował drzwi. Wskoczyli do środka, zasypując go podziękowaniami. Szofer spojrzął na nich, pociągnął nosem i wrzucił ramionami. A potem wrzucił bieg.

Znowu uciekali, tym razem trasą szybkiego ruchu do Biarritz. David usiadł wygodniej, czując ból w ramionach i zawroty głowy. Nagle usłyszał piknięcie telefonu. Wiadomość. Poklepał dłonią kieszeń za luźnych džinsów. Zupełnie zapomniał, że włączył aparat, żeby posłużyć się nim jako latarką. Wcześniej konsekwentnie unikał korzystania z telefonu, bo nie mógł wykluczyć, że Miguel śledzi też położenie jego karty SIM.

Wyjmując telefon z kieszeni, zastanawiał się nad tym szokującym kontrastem nowoczesności i kompletnego szaleństwa. Był skąpany w gnilnej wydzielinie z ciał niezliczonych trupów, a jego komórka działała jak gdyby nigdy nic.

Numer, który się wyświetlił, był brytyjski. David odebrał połączenie.

To była najbardziej zdumiewająca rozmowa, jaką w życiu przeprowadził. Z dziennikarzem z Anglii, niejakim Simonem Quinnem. Trwała godzinę, a gdy ją kończyli, ciężarówka od dawna już kluczyła między wzgórzami Gaskonii, opodal Cambo-les-Bains.

Wreszcie David zakończył połączenie. Następnie wybrał losowy numer i gdy tylko odezwał się sygnał, z głęboką ulgą

cisnął wilgotny i zabłocony telefon daleko w wysoką trawę. Jeśli ktokolwiek próbował namierzyć jego rozmowy, czekała go wycieczka do Cambo-les-Bains.

Amy zasnęła na fotelu obok. Kierowca, nieświadom tego, co się wydarzyło, zawzięcie dymił papierosem.

David zamyślił się. Telefon od dziennikarza. Co to wszystko miało znaczyć? Morderstwa w Wielkiej Brytanii? Naukowcy? Genetyka? Deformacje?

Pod koniec dziwacznej rozmowy, gdy już ręka bolała go od notowania, Simon gorąco podziękował Davidowi i Martine-zowi i rozłączył się. Opadł plecami na łóżko, z głową pełną nowych pomysłów.

Nadzwyczajne. Doprawdy nadzwyczajne. I to napięcie w głosie młodego prawnika! Przez co on musiał przejść? Co naprawdę dzieje się teraz w Pirenejach?

Bez względu na to, jak brzmiały odpowiedzi na te pytania, rozmowa z Martinezem była dla Simona objawieniem. Prawdziwym przełomem, który należało uczcić. Nieomalże zbiegł po schodach. Musiał koniecznie porozmawiać z Sandersonem, a także uświetnić swój triumf filiżanką dobrej kawy.

Sypiąc do ekspresu zmielone ziarna ciemnobrązowej kolumbijskiej, zatelefonował do New Scotland Yardu. Kiedy już wybrał numer, przyszło mu do głowy, że Sanderson będzie wściekły, gdy się dowie, że Simon wciąż pracuje nad tą sprawą, ale jednocześnie najnowsze informacje na pewno go zainteresują.

Inspektor był jednak poza zasięgiem. Przełączono go więc do sierżanta Tomasky'ego. Młody policjant wysłuchał go nader chętnie, zwłaszcza że Simon snuł swoją opowieść wręcz w radosnym uniesieniu. Najlepszym motywem były palce stóp. Syndaktylia. Nareszcie mieli wyjaśnienie.

Tłumacząc to wszystko policjantowi, Simon przeklinał w duchu własną głupotę. Że też wcześniej nie skojarzył tak oczywistych faktów; gdy tylko Emma Winyard wspomniała mu o Cagotach, należało poszukać informacji na ich temat! Wtedy sam nanizalby perły na sznurek: zrośnięte palce, Cagoci, Pireneje.

Mimo wszystko był jednak zadowolony z siebie, bo nareszcie zbliżał się do celu.

Kawa się zaparzyła, kubek był pełny. Nadszedł czas delektowania się nią - teraz Tomasky mógł wtrącić swoje trzy grosze.

- Zatem, Simonie - powiedział - twierdzisz, że ci Cagoci...

- Cagoci. Ca-go-ci.

- Tak. Twierdzisz więc, że wszyscy ci Cagoci są zdeformowani? Wszyscy mają zrośnięte palce u rąk lub stóp?

- Nie wszyscy. Ale na pewno niektórzy. To jedna z ich charakterystycznych cech. I to już od średniowiecza. To dlatego kazano im nosić gęsią łapkę przypiętą do ubrania: to był symbol ich deformacji.

- Ale dlaczego? Dlaczego akurat oni mają zrośnięte palce?

- Genetyka. To ludzie z gór, z zamkniętych społeczności. Deformacje tego typu często występują w małych grupach, o ograniczonej puli genów. Brak w nich świeżej krwi. Fascynujące, prawda?

- Jasne. - Tomasky umilkł na chwilę. - Powiadasz więc, że nasze ofiary są Cagotami. Ktoś likwiduje Cagotów?

- Na to wygląda, Andrew. Nie wiemy dlaczego, ale wiemy, że niektóre z ofiar są Cagotami, a te, które prócz tego mają zdeformowane ciała, są przed śmiercią torturowane. Zabójstwa dokonywane są w wielu miejscach: we Francji, Wielkiej Brytanii, Kanadzie. - Simon urwał na moment. - Niekiedy z tych ludzi są już sędziwi, a łączy ich to, że podczas wojny przebywali w okupowanej Francji, być może w obozie w Gurs. To także może być ważny motyw spinający te wszystkie przypadki. Co więcej, niektórzy z zabitych dysponowali pokaźnym majątkiem... - Śmiać się chciało Simonowi, gdy myślał o zdumiewających dowodach w tej sprawie, ale przynajmniej były to jakieś dowody. - Chciał bym złapać Boba Sandersona. Koniecznie muszę mu o tym wszystkim opowiedzieć.

- Jasne. Zajmę się tym. Powiem mu, gdy tylko się zobaczymy.

- Świetnie. Dzięki, Andrew.

Simon przerwał połączenie. Odłożył komórkę i spojrział w okno. Jeszcze przez pół godziny rozkoszował się swoim

odkryciem, a potem do bezgłośnego hymnu na jego cześć dołączył sygnał dzwonka. Dziennikarz pobiegł korytarzem i otworzył drzwi frontowe. Za progiem czekał Andrew To-masky. Niespodziewana wizyta.

— Witaj. Sądziłem...

Policjant pchnął drzwi, wskoczył do środka i zamknął je kopniakiem. Simon cofnął się odruchowo.

Tomasky trzymał w dłoni nóż.

Sierżant warknął gniewnie i zamachnął się - ostrze prze-
mknęło zaledwie kilka centymetrów od szyi Simona.

Dziennikarz wstrzymał oddech, wyczuwając kolejny cios. I tym razem zdążył wykonać unik, jednocześnie odbijając ramię napastnika, lecz Tomaski natychmiast natarł po raz trzeci. Skoczył w stronę Simona, chwycił go za gardło i sprowadził do parteru, drugą ręką kierując ostrze wprost w jego oko.

Dusząc się i śliniąc, Simon w ostatniej chwili powstrzymał dłoń napastnika. Czubek noża był zaledwie o milimetry od źrenicy i drżał niebezpiecznie, gdy dwaj mężczyźni zwarli się w brutalnej próbie sił.

Tomasky naciskał z góry; jego ofiara trzymała go za nadgarstek i odpychała ku górze. Leżeli na podłodze. Ostrze zawisło zbyt blisko, by Simon mógł je wyraźnie zobaczyć; było ledwie srebrzystoszarą plamą przesłaniającą świat. Czubek noża był coraz bliżej. Dziennikarz zadrżał, gdy uświadomił sobie, że za chwilę zostanie oślepiiony, a następnie zabity.

Mrugał odruchowo i łzawił intensywnie. Gdzieś z tyłu rozległ się głośny hałas. Ostrze wciąż drżało - mężczyźni zwarli się w tej próbie sił, ani na chwilę nie tracąc go z pola widzenia. Simon krzyknął, próbując odepchnąć je od siebie, ale czuł, że przegrywa tę bitwę. Zamknął oczy i czekał już tylko, aż stal wbije się w miękką tkankę, otworzy gałkę oczną i przesyje mózg.

I nagle poczuł na twarzy coś mokrego, jakby ktoś rzucił weń gęstym budyniem. W tej samej chwili Tomasky opadł na niego bezwładnie. Simon zepchnął z siebie martwe ciało policjanta i spojrział w górę.

Sanderson.

Inspektor stał w drzwiach, a obok niego funkcjonariusz w kamizelce kuloodpornej. Drzwi wyważyli siłą, a opancerzony policjant trzymał w rękach pistolet.

- Dobry strzał, Richman.
- Tak jest, sir.

Sanderson wyciągnął rękę, by pomóc dziennikarzowi. Simon spróbował wstać, ale strach i szok zrobiły swoje: kolana ugięły się pod nim i opadł z powrotem na podłogę. Popatrzył na zwłoki Tomasky'ego. Strzał z boku, z bliskiej odległości, w zasadzie pozbawił go głowy. Czaszka rozprysła się na kawałki.

Nagła fala nudności ścisnęła Simona za gardło. Pozbierał się bez słowa i pobiegł na piętro, do łazienki. Umył twarz, a potem zużył rolkę papierowych ręczników i pół butelki mydła w płynie, by doprowadzić się do porządku. Wreszcie znowu opłukał twarz. Cały czas zbierało mu się na wymioty.

Teraz dopiero spojrzął w lustro. Był czysty, ale coś jeszcze tkwiło w małej ranie na jego policzku. Połyskiwało jak kawałek szkła. Zbliżył się do lustra i wyjął to z rozciętej skóry.

Zo zęb Tomasky'ego.

- Polska Partia Rodzin.

Głos brzmiał znajomo. Inspektor Sanderson stanął w drzwiach za plecami Simona.

- Co takiego?

- Tomasky. Obserwowaliśmy drania od jakiegoś czasu. Przykro mi, że tak niewiele brakowało... Podśluchiwalismy jego rozmowy, ale zdołał się wymknąć z budynku.

- Wy...

- Przepraszam, stary. Musieliśmy załatwić to siłą. I tak za długo czekaliśmy.

Ręce Simona jeszcze drżały. Wyciągnął ramię przed siebie i obserwował przez chwilę, jak dygoce. Sięgnął po ręcznik i wytarł twarz, próbując zachować spokój. Po męsku. I bardzo nieskutecznie.

- Dlaczego go podejrzewaliście?

Sanderson uśmiechnął się smętnie.

- To kwestia szczegółików. Pamiętasz sprawę nawinięcia?
- Tak.
- Potrzebowałeś godziny, żeby ustalić, że w taki sposób

torturowano czarownicy. Tomasky'emu się nie udało. Zaczął szukać informacji wcześniej niż ty, a niczego nie znalazł. A przecież był bystrym gliną. To mi jakoś nie pasowało. -Wskażał na twarz Simona. - Jeszcze krwawisz.

Dziennikarz znowu spojrzął w lustro. Z ranki rzeczywistość się sączyła się krew. Sięgnął do szafki po kawałek gazy. Spłukał twarz wodą, a potem zaczął delikatnie osuszać ranę gazą. Biała gaza, czerwona gaza, czysta woda, brudna woda. Krew w wodzie.

Sanderson mówił dalej:

- Kiedy to zauważyłem, mówię o sprawie nawinięcia, zacząłem się bliżej interesować Tomaskym. Przypomniałem sobie, jak mu zależało, żebym go włączył do tego śledztwa. Bardzo mu zależało. Potem zauważyliśmy, że przechwytuje wiadomości adresowane do mnie i nie przekazuje mi ich. Tak było choćby w wypadku telefonu Edith Tait. Innymi tropami też nie zajmował się tak, jak należy. Przyjrzelśmy się więc jego otoczeniu...

Dziennikarz gestem dał sygnał Sandersonowi, że chce wyjść z łazienki. Prawdę mówiąc, miał też ochotę wyjść z domu. Słyszał głosy dobiegające z dołu: zapewne zjawili się kolejni policjanci. Przed domem stał już ambulans, który miał zabrać zwłoki.

Zeszli na półpiętro i przystanęli przy balustradzie, spoglądając w dół, na główny hol. Ciało jeszcze tam leżało, a wokół niego kręcili się sanitariusze. Duże plamy krwi, podobnej do jaskrawoczerwonej farby, wyraźnie odcinały się na tle wypolerowanej drewnianej podłogi. Suzie była taka dumna z tych desek. Simon zmartwił się, absurdalnie, jak bardzo rozżłości ją stan podłogi.

- Mówiłeś o jego otoczeniu?

- Tak. - Sanderson skinął głową. - Był Polakiem, jak wspominałem. Przyjechał tu z rodziną mniej więcej dziesięć lat temu. Czysty jak łąka: nienotowany, żadnych podejrzeń, kiedyś nawet kształcił się na księdza czy zakonnika. Ale jego tata był szyczą w Polskiej Partii Rodzin, a brat pracował dla znanej katolickiej rozgłośni radiowej.

- To znaczy?

- To bardzo prawicowa, ultrakatolicka partia nacjonalistyczna i jej środowisko. Ma kontakty z Frontem Narodo-

wym we Francji i rozmaitymi sektami katolickimi, takimi jak Bractwo Świętego Piusa X. Wiele z tych organizacji działa całkiem legalnie, ale wszystkie należą do skrajnej prawicy. Powiedziałbym, że są na pograniczu.

- Zatem był nazistą?

- To nie tak. Według naszej wiedzy to nie są grupy nazi stowskie; wyznają raczej tradycyjne wartości: Bóg, honor, ojczyzna. Matka Boska i śliczna, duża armia. Nie zajmują się kopaniem Murzynów w zaułkach. Albo zabijaniem anglo-irlandzkich dziennikarzy. W każdym razie nie na co dzień.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie, kolego, ja też nie. - Sanderson spojrział z ukosa na Simona. - Ale być może jest pewien związek... wiesz, z twoją teorią o czarownicach. Zainteresowała nas. Nadal sprawdzamy Tomasky'ego. Był gorliwym katolikiem. Czarownice i kościoły? Kościoły i czarownice? Kto wie.

- To znaczy, że podsłuchiwaście naszą ostatnią rozmowę?

- Tak. Tomasky musiał uznać, że jesteś na właściwym tropie, gdy do niego zadzwoniłeś. Na tropie czegoś, co chciał ukryć. Dlatego nie miał wyboru, musiał cię zlikwidować.

- Masz na myśli Cagotów?

- Aha. I ogólny sens twojej rozmowy z Tomaskym. In teresująca sprawa, ci nieszczęśnicy z Francji. Tylko o co w tym wszystkim, kurwa, chodzi?

- To znaczy?

Przez chwilę inspektor milczał, jakby zamyślony, a może nawet rozmarzony.

- Pamiętasz, co ci kiedyś powiedziałem? - spytał. - Mia łem rację.

- Co takiego?

- Mówiłem, że to nie jest byle jaka sprawa, Quinn, to nie bułka z masłem. To coś zupełnie innego. Kto wie, chole ra... - Sanderson odzyskał swój zwykły wigor. - Dobra. Do syć głupot. Kończmy robotę. Muszę cię przesłuchać, Quinn, a potem, niestety...

- Co?

- Przydzielimy ci ochronę. Tylko na jakiś czas. I twojej najbliższej rodzinie.

Zeszli na parter i minęli zwłoki Tomasky'ego, stąpając

na palcach pomiędzy plamami krwi i raz po raz przeprasząc sanitariuszy i policyjnych fotografów. Szara i dżdżysta wrześnieowa aura podziałała na nich ożywczo. Słońce toczyło ciężki bój, by przebić się przez warstwę chmur.

Sanderson otworzył drzwi przed Simonem i obaj zajęli miejsce z tyłu. Wóz ruszył w długą drogę do New Scotland Yardu. Finchley, Hampstead, Belsize Park.

- Będziemy ochraniać twoich rodziców - odezwał się inspektor. - Conor i Suzie zostaną przy tobie...

- Chcesz postawić uzbrojoną straż przy mojej matce i moim ojcu?

Sanderson potwierdził krótkim „tak”, a potem schylił się i poklepał kierowcę po ramieniu.

- Cummings, cholerny tu ruch, może spróbujesz przez St John's Wood?

- Słusznie, sir.

Inspektor spojrział na Simona.

- I to będzie wszystko? Żona, dzieciak, mama i tata. Nikogo więcej raczej nie mogliby wykorzystać przeciwko tobie, czy tak?

Dziennikarz skinął głową, a potem odwrócił się i popatrzył przez okno na całkiem zwyczajne ulice Londynu. Czerwony samochód, żółty samochód, biała ciężarówka. Wózki inwalidzkie. Supermarkety. Przystanki autobusowe. Nóż trzy milimetry od jego oka. Mężczyzna ryczący z wściekłości i mierzący nożem w jego twarz.

Potał twarz dłońmi, jakby chciał wymazać uporczywą, ponurą wizję.

- Przez jakiś czas będziesz dziwnie się czuł — powiedział łagodnie Sanderson. - Obawiam się, że musisz do tego przywyknąć.

- Stres pourazowy?

- Owszem. Ale poradysz sobie, co, bojowy Irołu?

Simon uśmiechnął się półgębkiem.

- Opowiedz mi więcej o sprawie, Bob - poprosił po chwili. - Potrzebuję czegoś, żeby oderwać myśli... Zrobiłeś ostatnio jakieś postępy?

Sanderson poluzował krawat i poprosił kierowcę o otwarcie okna. Do kabiny wpadło rześkie, chłodne powietrze.

- Mamy interesujące wątki w sprawie GenoMap. Ślad

prowadzi do Namibii. Jednym z głównych sponsorów projektów GenoMap była namibijska kompania działająca na rynku diamentów, Kellerman Namcorp.

- Pamiętam, że Fazackerly o niej wspominał. Co dalej?

- Wydało mi się to trochę dziwne, gdy zacząłem się głębiej zastanawiać. Do diabła, handlarze diamentami? A cóż oni mają wspólnego z genetyką? Poprosiłem więc w Yardzie, żeby mi wytropili jednego z uczonych z GenoMap, kana dyjskiego Chińczyka, Aleksa Zhenronga. Znaleźliśmy go w Vancouver. Powiedział nam sporo ciekawych rzeczy.

Mijali właśnie meczet przy Regent's Park. Złota kopuła lśniła blado w nieśmiałych promieniach słońca.

- Na przykład?

- Dużo by gadać. Powiedział nam na przykład, że po tym, co się stało z projektem stanfordzkim, GenoMap miał początkowo problemy ze zdobyciem chętnych do sponsorowania laboratorium.

- Ale Kellerman okazał się bardzo chętny?

- Pojawił się mniej więcej po roku i rzeczywiście był bardzo chętny. Powiedziałbym nawet, że superzajebicie chętny. Innych zainteresowanych firm po prostu nie było. W ciągu kilku lat Kellerman Namcorp wpompował w laboratorium kupę pieniędzy. Genomika nie jest tania, a jednak GenoMap mógł sobie pozwolić na każde urządzenie, jakiego tylko potrzebował. Dzięki Kellerman Namcorp.

- Czym właściwie zajmuje się ta korporacja?

- Diamentami, jak mówiłem. Jest duża, agresywna, wielonarodowa; prowadzi wydobycie i eksport. Coś jak De Beers. Właściwie rządzi częścią Namibii, zwaną Sperrgebiet, Zakazaną Strefą. Właściciele to bardzo stara żydowska rodzina z Afryki Południowej. Żydowska dynastia.

- Dlaczego Kellermanowi tak zależy na finansowaniu laboratorium?

- Zdaniem Zhenronga przez wzgląd na Fazackerly'ego i Nairna.

- Jak to?

- Dwadzieścia lat temu Fazackerly był najlepszym genetykiem w Wielkiej Brytanii. Niesamowita reputacja. Nairn był zaś być może najlepszym młodym genetykiem na świecie. Kellerman potrzebował takich umysłów. I chciał mieć wyniki.

- I dlatego robił dobrze projektowi GenoMap.
Sanderson skinął głową. Zerknął przez okno - właśnie mijali piętrowy autobus pełen ludzi z zakupami.

- Tak, ale, jak mówi Zhenrong, Kellerman żądał przede wszystkim wyników. Inwestycja musiała się opłacić. Dlatego popychali badania w ściśle określonym kierunku... jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Nie bardzo.

Na moment zapadła cisza. Dziennikarz rozejrzał się po wnętrzu policyjnego samochodu. Wyglądało całkiem zwyczajnie, rozsądnie, spokojnie. W przeciwieństwie do wnętrza jego umysłu.

Sanderson wyjaśnił:

- Wydaje się, że pod koniec funkcjonowania projektu Nairn i Fazackerly nie badali różnorodności genetycznej tak, jak należy to robić.

- To *znaczył*

- Nie jestem biologiem molekularnym, Quinn, jak być może odgadłeś. Ale po mojemu wyglądało to tak: Projekt GenoMap z natury miał być przede wszystkim medyczny. Chodzić miało o wynajdowanie lekarstw na różne choroby, poprzez wykorzystywanie różnic genetycznych między rasi ludzkimi. - Sanderson pokręcił głową. - W każdym razie z tego powodu do projektu dołączył Alex Zhenrong. Ale później, idąc za silną zachętą ze strony Nathana Kellermana, Fazackerly i Nairn, jak twierdzi Zhenrong, skupili się na wyszukiwaniu różnic genetycznych, kropka.

- Następny przystanek: Joseph Goebbels.

- Być może.

- Co oznacza... Sądysz, że to rasiści? Mam na myśli Nairna i Fazackerly'ego. Gdyby mieli nazistowskie przekonania, ładnie pasowałiby do Tomasky'ego.

Wzdrygnął się na samą wzmiankę o zabitym policjancie i jego zębach wyszczerzonych we wściekłym grymasie. Spojrzał pytająco na Sandersona.

- Nie. - Inspektor potrząsnął głową. - Nie uważamy, by Angus był rasistą. Wedle zgodnej opinii wszystkich jego kumpli, w tym Zhenronga, po prostu pragnął sławy, publikacji swoich prac. Był ambitny, to wszystko. I na dokładkę dość ekscentryczny, a także wyjątkowo inteligentny. Ale

przynajmniej nie był nazistą. - Sanderson nachylił się ku Simonowi. - Sądźmy, że pod koniec pracy mogli z Fazackerlym wpaść na trop niezwykłego odkrycia. Nikomu nie chcieli powiedzieć, o co chodziło, ale musiało to być właśnie to, na czym naprawdę zależało Kellermanowi.

- A skąd ty o tym wiesz?

- Fazackerly zaczynał się chwalić, kiedy sobie pofolgował! - Sanderson poparł wypowiedź gestem naśladującym picie. - Zhenrong twierdzi, że Fazackerly był starym garusem. Sześć miesięcy temu w Perpignan podczas konferencji poświęconej postępowi w genomice Fazackerly schlał się jak świnia i opowiadał każdemu, kto chciał słuchać, że wraz z Nairnem opublikuje coś tak rewelacyjnego, że Eugen Fischer będzie przy nich wyglądał jak ciota. Nawiasem mówiąc, to nie Zhenrong użył tego sformułowania. Jest moje.

- Eugen Fischer? Już słyszałem to nazwisko. I to całkiem niedawno. - Simon zmarszczył brwi. Męczyła go ta zagadka. - Z ust Martineza młodego Amerykanina podróżującego po Francji.

- Naprawdę? Cóż, tak czy owak, Fischer zajmował się badaniem ras ludzkich. Pracował w Namibii, a potem dla Hitlera, jako jeden z twórców eugeniki. Kawał drania. Uważał Niemców za supermenów.

- W Namibii, mówisz.

- W Namibii.

- Pamiętam... - zaczął Simon i urwał. - Pamiętam, że w gabinecie Fazackerly'ego widziałem portret Francisa Galtona. Też był eugenikiem. I pracował w Namibii.

- A widzisz? - Sanderson uśmiechnął się od ucha do ucha. - Wszystko się pięknie łączy. Mamy namibijski ślad! Oczywiście mówię ci o tym wszystkim tylko dlatego, że dziś rano ząb przedtrzonowy mojego podwładnego wbił ci się w twarz. Proszę, na razie zachowaj to wszystko dla siebie. Bo domyślam się, że kiedy będzie po wszystkim, zechcesz opisać sprawę w książce?

Simon się zmieszał.

- Ha! - zarechotał Sanderson. - Pieprzone pismaki; za den się nie powstrzyma! Tylko dopilnuj, żebym tam ładnie wypadł. Metr dziewięćdziesiąt. Mocno zarysowana szczęka. Sam wiesz... Aha, jeszcze jedno. Nathan Kellerman,



żydowski dziedzic diamentowych miliardów, jest bardzo bliskim kumplem Nairna. Często ucinali sobie pogawędki, kiedy Kellerman wpadał do Londynu, żeby sprawdzić, na co wydaje pieniądze.

- Pogawędki?

- Tak. Na temat Biblii. — Sanderson wzruszył ramionami. - O klątwie Kaina. Księga Rodzaju, rozdział trzeci czy któryś tam... Zhenrong czasem słuchał tych ich rozmów.

- O doktrynie wężowego nasienia? I o klątwie Kaina?

- Tak. Krótko mówiąc, o tym wszystkim, o czym słyszałeś od Winyard. Ciekawe, co?

- A kiedy mówisz, że Nairn i Kellerman byli sobie tacy bliscy, to jakiego rodzaju bliskość masz na myśli?

- Nie byli kochankami, jeśli o to ci chodzi. Ale parę lat temu Nairn zaczął odwiedzać Namibię.

Samochód utknął w korku na Baker Street. Słońce narzucie ukazało się w pełnej krasie, a chodniki były zatłoczone. Trzy arabskie żony w turkusowych hidżabach dreptały potulnie trzy kroki za mężem ubranym w dżinsy i baseballową czapkę.

- Rozumiem. Co z tego?

- Wyprawy na drugi koniec świata to dość kosztowne hobby. A trzeba ci wiedzieć, że Nairn nie był przesadnie nadziany.

Simon dostrzegł w tym pewną logikę.

- Kellerman sponsorował te wyjazdy!

- Tak jest. Jesteśmy tego praktycznie pewni, bo Nairn w ciągu trzech lat był tam kilkakrotnie. Nigdy nie mówił nikomu, po co jedzie i co ma zamiar tam robić.

- Wakacje?

Sanderson zmrużył oczy.

- Trochę daleko jak na surfing.

- Uważasz, że w tej chwili zaszył się w Namibii, prawda?

Inspektor uśmiechnął się chytrze.

- Owszem. Nawet próbowałem do niego pisać, na adres e-mailowy. Próbowałem go zachęcić do wystawienia nosa z kryjówki, opowiadając o sprawie, którą prowadzę. Jeśli rzeczywiście tam jest, prawie na pewno odbiera pocztę. Tak sądzę.

Simon usadowił się wygodniej na kanapie.

- Wiele nie osiągnąłem - przyznał Sanderson. - Żadne tam gliniarskie mistrzostwo świata. Ale przynajmniej zjawiałem się w samą porę, żeby ocalić ci rufę!

W znużonym uśmiechu policjanta było sporo ciepła i szczerości. Simon poczuł się nieco lepiej. A potem przypomniał sobie twarz Tomasky'ego. Wściekły, nienawistny warkot bestii. I poczuł się gorzej.

Milczał już do końca podróży do New Scotland Yardu. Był przybity przez całe przesłuchanie, a potem prawie bez słowa przywitał i przytulił Suzie i Conora z ojcowską miłością, od której jemu omal nie pękło serce, a jego synkowi żebra.

Aura przygnębienia zagościła w domu na dobre, jak nie-mile widziany gość, który zbyt długo pozostaje z wizytą, albo jak plama krwi, której nie można usunąć z podłogi, bez względu na to, ile razy szlifuje się i poleruje deski. Dziennikarz wpadł w melancholię podszytą niepokojem. W milczeniu wpatrywał się w tłustą sąsiadkę wieszającą swe tłuste pranie. I w tłustą, czarną wronę skokami przemierzającą ogród. W domu zjawił się policjant - oddali do jego dyspozycji wolny pokój. Czasem stanowczo zbyt głośno słuchał radia. I miał broń. Lubił czytać czasopisma poświęcone piłce nożnej.

Simon tymczasem zabrał się do zbierania informacji o sektach katolickich i o polskich skinheadach. Pił zbyt dużo kawy i zbyt wiele czasu poświęcał studiowaniu zagadnień z dziedziny genetyki. Pisał też e-maile do Francji, do Davida, i kilkakrotnie dostał od niego odpowiedź. Była to fascynująca lektura, pełna szczegółowych informacji, ale i ona wzmagała w Simonie poczucie zagrożenia i winy. Żałował, że powiedział policjantom o Davidzie - wszak Martinez i jego przyjaciółka Amy, absolutnie nie ufali stróżom prawa. Wszyscy i wszędzie byli podejrzani, niegodni zaufania, groźni.

Simon zaczął się w końcu zastanawiać, czy może ufać Sandersonowi. Przecież Tomasky też wydawał się z początku zabawny, porządny i godny zaufania. Simon zwyczajnie go lubił, a potem sierżant usiłował go zabić. Kto mógł zagwarantować, że przełożeni Polaka są czyści? Jak głęboko, jak wysoko, jak daleko sięgało to wszystko?

Pięć dni później, gdy siedział przy biurku, po raz kolejny snując niewesołe rozważania, zadzwonił telefon. Simon usłyszał w słuchawce zrozpaczony głos.

Była to siostra Tomasky'ego.

Fatalnie mówiła po angielsku, ale jej intencje nie budziły wątpliwości: gnębiło ją poczucie winy z powodu czynu, którego dopuścił się jej brat; pragnęła przeprosić Simona. Odnalazła go dzięki „jednemu policjantowi ze Scottish Yardu”.

Wysłuchiwał się w jej szczere, płaczące i po słowiańsku kwieciste wyrazy żalu przez dobrych kilka minut. Czuł się coraz bardziej niezręcznie. Jasne, brat tej nieszczęsnej kobiety rzeczywiście go zaatakował, ale przecież został zastrzelony. Co miał jej powiedzieć? „Nie ma sprawy, nie było aż tak źle”?

Ani na chwilę nie przestawała mówić.

- Andrew był dobry Polak, panie Quinn. Dobry człowiek, normalny facet! Normalny. — Umilkła nareszcie; wzruszenie ścisnęło jej gardło. - Lubić smalec i piwo. On dobry. Zwyczajny. Ale to miejsce go zmienić, zmienić go.

- Słucham?

- Tak! Straszne. Klasztor... Klasztor Tourette we Francji. - Kobieta stłumiła szloch. - Kiedy on tam pojechać, coś się stać. Coś bardzo złe, to go zmienić. Przykro mi. Tak bardzo mi przykro...

Rozpląkała się na dobre. Rozmowa dobiegła końca.

- *Bonjour!*

Wychylając się przez okno nad niewielkim balkonem pokoju hotelowego, David nerwowo odpowiedział na powitanie miłemu francuskiemu dżentelmenowi w średnim wieku, siedzącemu na sąsiednim balkonie z „Le Figaro” na kolanach. Uśmiechnął się nawet, choć niepewnie, a potem na wszelki wypadek szybko odwrócił się w drugą stronę. Nie miał ochoty na rozmowę, nie chciał zostać rozpoznany i zapamiętany. Teraz pragnął tylko jednego: całkowitej anonimowości.

Patrzył więc w innym kierunku, wzdłuż wybrzeża, nad którym leżało Biarritz. A był to widok niezwykły: szerokie, złote plaże otaczała lśniąca koronka załamujących się z hukiem fal. Architektonicznie, miał przed sobą zadziwiającą mieszankę wiktoriańskich kamienic, betonowych kasyn oraz pałaców ozdobionych różowymi stiukami. Taki koktajl stylów dziwnie harmonizował z jego nastrojem.

Ukrywali się w tym hotelu od kilku dni, korzystając wyłącznie z automatów telefonicznych i od czasu do czasu wymykając się, by odebrać i wysłać pocztę elektroniczną. David dostał dwie wiadomości od Simona Quinna, więc był na bieżąco z postęпами w sprawie prowadzonej w Anglii - i dobrze.

Mimo to nie czuł się tutaj pewnie. Dezorientację wzmacniał zwłaszcza jeden, wiele znaczący fakt: David zaczął sypiać z Amy.

Stało się to drugiej nocy w Biarritz. Zgodnie orzekli, że dość już mają ukrywania się w ciasnych pokojach hotelowych, i postanowili wybrać się na cichy spacer do Skały Dziewicy, miejscowego punktu widokowego, położonego

wysoko na cyplu. Gdy dotarli na miejsce, zatrzymali się, by popatrzeć na latarnie, gwiazdy i księżyc nad zatoką, a także na turystów pałaszujących ostrygi przy Por te de Pecheurs - i wtedy Amy zaczęła płakać.

Nie mogła powstrzymać łez. Trwało to w sumie z pół godziny, aż wreszcie David, nie bardzo wiedząc, co począć, odprowadził ją z powrotem do hotelu. W jego pokoju popłakała jeszcze chwilę, a potem zniknęła w łazience. Został sam, słuchając szumu wody lecącej z prysznica. Wreszcie zaczął się niepokoić, czy nic się jej nie stało.

I wtedy weszła do pokoju, zawinięta w białe hotelowe ręczniki, z mokrymi włosami, zróżowioną twarzą i drżącym ciałem. Jej błękitne oczy wypełniał ból. Spojrzała najpierw na siebie, a potem na niego - szczerze i ze smutkiem.

Powiedziała, że czuje się brudna, nieczysta. Skażona.

Zapytał dlaczego.

Zacząła mówić i utknęła. A potem wyznała mu prawdę. Mówiła z trudem, ale logicznie. Przyczyną bólu i goryczy było to, że kiedyś naprawdę kochała Miguela. Z tego powodu, jak twierdziła, wszystko, co się zdarzyło, było jej winą. Jej miłość do niego zatrąla wszystko i dlatego ona czuje się teraz brudna.

Była naga, jeśli nie liczyć ręczników. Dzieliło ich tylko kilkanaście centymetrów. David czuł zapach jej rozgrzanej skóry. Zadrżała, a potem spojrzała mu w oczy i wyszeptała: „Nie powinnam była kochać Miguela”. Powiedziała to w tak mroczny, tak namiętny, tak przepelniony pragnieniem sposób, że potraktował jej słowa jak rozkaz i poczuł, że nie ma wyboru. Pochylił się i zatopił usta w jej wilgotnych wargach. Słowo „Miguel” zmieniło się w pocałunek, namiętny pocałunek. Potem jego ręka wsunęła się w jej mokre jasne włosy. „Oczyść mnie”, wyszeptała między pocałunkami, a potem powtórzyła: „Oczyść mnie” i dodała jeszcze: „Pieprz mnie”.

Była to jedna z najpiękniejszych chwil jego życia, a zarazem jedna z najtrudniejszych.

Wcześniej był wytracony z równowagi biegiem wydarzeń, a to, co teraz nastąpiło, wcale nie przyniosło mu uspokojenia. Seks był tak naładowany energią, tak dziki, tak odmienny od tego, co znał i czego doświadczył. Leżeli potem bez tchu, lśniący od potu, opodal otwartych na oścież

drzwi balkonowych, a chłodna bryza znad morza chłodziła ich rozpalone ciała. I tak się zaczęło; od tej pory byli stale podnieceni, wręcz dzicy. Pieprzyli się. Ślady jej paznokci na jego plecach były tak głębokie, że czuł piekący ból, gdy brał rano prysznic.

Niekiedy zastanawiał się, skąd się bierze ta czuła brutalność. Czyżby z samotności pomnożonej przez dwa? Ze wspomnień nieszczęśliwej przeszłości? Z tego, że otarli się o śmierć? Czasem Amy opowiadała o swoim żydowskim pochodzeniu, o rodzinie, o nieżyjącym ojcu, o krewnych, których straciła w Holokauście. Wyczuwał w niej wtedy głęboko zakorzenione poczucie winy, typowe dla tych, którym udało się przeżyć. Być może sam nie był wolny od tego uczucia.

Kto wie, czy nie to najbardziej zbliżyło ich do siebie. Kochali się namiętnie, bo byli sami. Ocaleli jako jedyni. Byli jak głodujący, którzy rzucają się na jedzenie po długich tygodniach postu. Pragnęli wzajemnie swoich ciał, ich miłość była jak nieustająca uczta. Czasem Amy gryzła jego ramię naprawdę mocno, prawie do krwi, on zaś szarpał jej włosy; często przeklinała, gdy próbował ją posiąść, walczyła z nim i ustępowała na przemian, a potem znowu walczyła, kopiąc pościel smukłymi, opalonymi nogami. I krzyczała w poduszkę, zaciskając dłonie na wezglowiu łóżka.

„Mocniej, mówiła, jeszcze mocniej”.

Lecz wszystko to nosiło piętno Miguela. David daremnie próbował wymazać z pamięci wspomnienie tej sceny, w której Wilk leżał na niej w jaskini. On był zawsze między nimi. Nawet kiedy uprawiali seks. A może zwłaszcza wtedy, gdy uprawiali seks.

Euskal Presoak! Euskal Herrira! Otsoko.

Minęło pięć dni i David wiedział już, że zakochuje się w tej dziewczynie. Nie wiedział natomiast, co z tym fantem zrobić.

Wszedł do pokoju. Usłyszał szcęk klucza w zamku - to Amy wróciła. Spojrzał na nią pytająco. Od czasu do czasu bywała w kafejce internetowej; uznali, że skoro płynnie mówi po francusku i po hiszpańsku, będzie znacznie mniej rzucać się w oczy niż David. Dlatego chodziła tam częściej niż on.

Wyczytał z jej twarzy, że przynosi ważne nowiny.

- Poczta?
- Tak.

Usiadła na łóżku i zsunęła sandały. Miała na sobie wąskie dzinsy i szary, kaszmirowy sweter; jesień w Biarritz była słoneczna, ale chłodna. Patrząc na jej nagie kostki, David starał się zapanować nad podnieceniem. Rankiem kochali się już dwa razy: za wiele tego. Wszystkiego za wiele. Ale było tak cudownie. I był głodny. Miał ochotę na potężne śniadanie, z brioszką, bagietką i *confit de cerise* z Bajonny. Chciał też widzieć ją nagą, dotykać jej tam, pieścić tę ranę, wilczycę postrzeloną przez myśliwych i krwawiącą na śniegu. Zbyt wiele tego wszystkiego.

- Eloise się odezwała.

Amy leżała na łóżku, patrząc w sufit. Jej oczy były jak błękitny ocean rozświetlony słońcem.

- Miałaś rację. Jest w Namibii. Pisze, że wszystko w porządku, że nie musimy się o nią martwić. I że jeśli chce my przyjechać, to może nam powiedzieć dokąd. Podała mi wskazówki.

- Co takiego?

- Do Namibii. Nie powiedziała, gdzie dokładnie się ukrywa, ale obiecuje, że tam będziemy bezpieczni. Mamy spotkać się z kimś w hotelu, gdy dojedziemy na miejsce. Ten ktoś powie nam więcej.

- Jest z tym facetem? Angusem Nairnem?

- Tak jak się domyślałeś. Nairn dał jej pieniądze. Podobno -Amy wyciągnęła rękę, a gdy David się zbliżył, ucisnęła jego dłoń - próbował już od dłuższego czasu przekonać ją, żeby wybrała się do Namibii.

- Tak?

Amy mocniej zacisnęła palce na jego dłoni.

- Chciał zbadać jej krew, a także krew jej bliskich.

- Bo są Cagotami?

- Oczywiście. Nagabywał ją od miesięcy, ale jej rodzice zawsze odmawiali, nawet gdy proponował im pieniądze.

Jej włosy pachniały cytrusowym szamponem. David pocałował ją w szyję, ale odepchnęła go delikatnie.

- Ale kiedy zaczęły się morderstwa, wystraszyła się. I wtedy Angus Nairn kolejny raz zaoferował jej bezpieczną przystań. Gdy była z nami w Campan, wymknęła się, żeby

odebrać wiadomość od niego. zaproponował, że wywiezie ją samolotem w jakieś bardzo odległe miejsce, gdzie nikt jej nie dopadnie. - Amy wzruszyła ramionami. - Trudno ją winić, że się zgodziła. O ile wiadomo, jest ostatnią przedstawicielką Cagotów na świecie... W wieku rozrodczym.

- Nie licząc Miguela.

Amy zadrżała. David dotknął jej policzka.

- Może i ty powinnaś tam polecieć - powiedział. - Plaże Namibii... Tam rzeczywiście może być bezpieczniej. Musi być bezpieczniej.

Pogładził jej włosy i przycisnął dłoń do jej policzka. Tak bardzo pragnął nie zakochać się w niej. Wiedział, jakie to niebezpieczne. Skacząc do basenu, łatwo skreślić kark, gdy się nie zna jego głębokości. Pocałował ją znowu, chociaż nie chciał; pocałował, ponieważ musiał.

Znowu go odepchnęła.

- Pisała jeszcze o czymś. I coś mi się przypomniało...

- Co takiego?

- To, co ci mówił Jose.

- To znaczy?

Spoglądała na niego z powagą.

- Napisała tak: Cała ta zagadka, prace Nairna i cała reszta, wszystko to jest czymś znacznie większym, niż możemy sobie wyobrazić. Większym niż cokolwiek innego. I ma związek z Holokaustem, nazistami, Żydami... Sama nie wiem, z czym jeszcze.

- Naprawdę tak napisała?

- Mniej więcej. - Amy westchnęła ciężko. A potem, całkiem niespodziewanie, uśmiechnęła się promiennie. - Więc jedziemy tam. Albo nie. Chodź do mnie!

Sięgnęła do guzików jego koszuli.

Przerwało im głośnie pukanie do drzwi.

- *Monsieur! Mademoiselle!*

David zamarł i bez słowa wpatrywał się w Amy, pytając wzrokiem: Co robimy? Wzruszyła ramionami, bezradnie i z rozpaczą.

Wstał, ostatkiem sił stłumił w sobie strach i zbliżył się do drzwi.

- Kto tam?

- *S'il vous plait. Laporte.*

Byli osaczeni. Nie mieli drogi ucieczki. Nie mogli przecież wyskoczyć balkonem. Stukanie powtórzyło się, tym razem głośniejsze, bardziej agresywne.

- Proszę otworzyć!

Za drzwiami stał policjant. Machnął odznaką i poinformował Davida bezbłędną angielszczyzną, choć z francuskim akcentem, że nazywa się Sarria. Miał na sobie ciemny mundur i eleganckie kepi, a towarzyszył mu jeszcze jeden funkcjonariusz, stojący nieco z tyłu. Ten z kolei miał na sobie czarny jednorzędowy garnitur oraz śnieżnobiałą koszulę. Nie uśmiechał się. Oczy miał ukryte za okularami przeciwsłonecznymi.

Sarria właściwie wepchnął się do pokoju, mijając Davida. Spojrzał na Amy siedzącą na skraju łóżka.

- Panna Myerson.
- Pan mnie zna?
- Śledziłem państwa podróż przez Francję. Musimy po rozmawiać, i to natychmiast. To mój kolega - dodał, wskazując za siebie. - Również z policji. Porozmawiajmy więc. Natychmiast.

Myśl o przesłuchaniu wcale się Davidowi nie podobała. Czuł się osaczony, przyparty do muru. Dopóki byli tu, w zacisznym pokoju na najwyższym piętrze budynku, mogło się wydarzyć coś strasznego. Wyobraził sobie krew rozprysniętą na ścianie łazienki.

Zerknął na Amy. Ledwie zauważalnie wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: Cóż innego moglibyśmy zrobić? Zwrócił się do przybyłych:

- W porządku. Ale na dole. Na tarasie. Na tyłach hotelu. Proszę.

Sarria westchnął, zniecierpliwiony.

- Zgoda, na dole.

Zjechali skrzypiącą hotelową windą na parter i wyszli

do holu. David dostrzegł tam jeszcze jednego policjanta, stojącego w słońcu przy drzwiach hotelu. Rozmawiał przez radiotelefon. Hotel był pod ochroną.

Ruszyli w przeciwną stronę, na odkryty taras, ku samotnemu stolikowi na uboczu. Miejsce było dyskretne, osłonięte jodełkami rosnącymi w donicach. Tu nikt nie mógł ich zobaczyć.

Amy trzymała Davida za rękę, a jej dłoń była wilgotna od potu. Policjanci usiedli po obu ich stronach. David też czuł, że się poci. Zastanawiał się nawet przez chwilę, czy aby nie jest chory. A jeśli złapali zakażenie od tej trupiej mazi w piwnicy? Dlaczego tak starannie ukryto te ciała?

Słowa ospa i dżuma, które przeszły mu przez myśl, ostatecznie zbiły go z tropu. Mimo to spróbował skupić się na rozmowie, która ich czekała.

- Urodziłem się niedaleko stąd, w Bajonnie - powiedział Sarria, pozornie bez związku. Umilkł i spojrzął na Amy i Davida. - Tak, jestem Baskiem. To jeden z powodów, dla których wiem, że potrzebujecie pomocy.

- Zatem o co panu chodzi? - spytała bez ogródek dziewczyna. - Po co pan tu przyszedł?

- Śledziliśmy losy panny Bentayou. Możliwe, że będzie ważnym świadkiem w sprawie morderstwa jej rodziców. - Sarria z powagą skinął głową. - *Oui*. Wiemy, że wyleciała samolotem z Biarritz do Frankfurtu.

- Wobec tego jest w Niemczech - odparł prędko David.

- Odleciała stamtąd prosto do Namibii, jeśli wierzyć danym z linii lotniczych - oznajmił lekko zirytowany policjant. - Proszę nie próbować nas zwodzić, monsieur Martinez. Od pewnego czasu śledzimy rozwój tej zagadkowej sprawy. Idziemy śladem chaosu i krwi od morderstw w Gurs aż do tego domu w Campan, gdzie ktoś słyszał odgłos strzałów. - Sarria był oszczędny w słowach. - Stary ksiądz z kościoła w Navarrenx wyjawiał nam pańskie nazwisko. Potem łatwo już było dowiedzieć się więcej. Choćby z tego artykułu prasowego na pański temat, i tak dalej. - Detektyw spojrzął na maleńką filiżankę *cafe noir*, przyniesioną przez kelnera, ale nie tknął jej, - Być może ucieszy państwa wiadomość, że ów ksiądz ma się całkiem dobrze. Ocalił wam życie, jak sądzę. W samą porę zatrzasnął drzwi.

To nie wystarczyło Amy.

- Ale w jaki sposób pan nas tu odnalazł?

- Jestem oficerem *gendarmerie*. Do moich obowiązków należy orientowanie się w poczynaniach baskijskich terrorystów.

David spojrzał przelotnie na Amy. Jej twarz wydawała się spokojna; wiatr łagodnie rozwiewał jej jasne włosy. Lecz pod tą maską opanowania dostrzegł karuzelę uczuć. Zastanawiał się, czy myśli o Miguelu. I c o o nim myśli.

Sarria spojrzał z ukosa na swego kolegę i dodał:

- Mamy kontakty w całym Le Pays Basque. To uważni obserwatorzy. Domyślaliśmy się, że mogą państwo być już w Biarritz, bo właśnie stąd wyruszyła Eloise. Poprosiłem więc wszystkich właścicieli kafejek internetowych, żeby mieli oczy szeroko otwarte, zwłaszcza na dziewczyny z Anglii. Wyglądające tak jak pani, panno Myerson. To nie takie trudne.

Milczący funkcjonariusz w garniturze nieustannie obserwowwał taras i plażę za nim. Zachowywał się jak ochroniarz prezydenta, wodząc wzrokiem to w lewo, to w prawo.

- Wiem też naturalnie - ciągnął Sarria - że ściga was Miguel Garovillo, jeden z najniebezpieczniejszych zabójców z ETA. Cieszący się złą sławą sadysta. Chętnie aresztował bym go osobiście, ale jest sprytny. A także okrutny. - Sarria przechylił głowę i spojrzał na Davida. - Co więcej, dysponuje znaczącym wsparciem. Stoją za nim bardzo ważni ludzie.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Zanim odpowiem, muszą państwo dowiedzieć się nieco więcej o historii. To niezbędne.

- Proszę mówić.

- Doskonale. - Policjant upił łyk kawy i spytał: - Czy ma pan jeszcze mapę? Tę, o której pisano w gazetach?

David poczuł lekki niepokój.

- Tak. Mam ją tutaj. Nigdy się z nią nie rozstaję. - Do tknął kieszeni spodni i po sekundzie wahania wyjął z niej spłowiałą mapę.

Detektyw Sarria rozłożył ją. W słońcu stary papier wydawał się biały, a granatowe gwiazdki prawie ładne. Skinął głową i spojrzał na swego kolegę, po czym na powrót złożył mapę i pozostawił na stoliku.

- Widziałem już kiedyś tę mapę.
- Co takiego?
- To mapa pańskiego ojca, monsieur Martinez. To ja zwróciłem ją pańskiemu dziadkowi, gdy dokonano morderstwa.
- Wiem, że to mapa mojego taty, ale nie rozumiem... - Urwał, bo wypowiadając te słowa, nagle uświadomił sobie całą prawdę. - To znaczy... pan był... - wydukał.
- Monsieur Martinez - odparł Sarria, spoglądając na niego - może dziś jestem starszym *flic* o siwych włosach, ale dawno temu byłem młodym funkcjonariuszem. W Navarrenx. W Gurs. Piętnaście lat temu.
- Olśnienie. David czuł wręcz namacalną rozpacz - ból rozsadał mu piersi.
- Kiedy moi rodzice zostali zabici, czy tak?
- Od początku podejrzewałem, że to robota ETA. Miała, jak to się mówi, wszystkie znamiona typowej akcji tej organizacji. Ładunek wybuchowy w samochodzie, potężna eksplozja... całkiem podobnie, jak w innych zabójstwach w wykonaniu ETA, którymi zajmowaliśmy się w owym czasie. Podejrzewałem też udział młodego Miguela Garovilla; mieliśmy naocznych świadków.
- To dlaczego go, kurwa, nie aresztowaliście?! Sarria zmarszczył brwi.
- Gdy wróciłem na posterunek w Navarrenx, złożył nam wizytę oficer kierujący pracą policji w całym regionie.
- Kto taki?
- To nieistotne. Ważne, że kazał mi umorzyć tę sprawę. Dostałem rozkaz zakończenia śledztwa i zakwalifikowania go jako „sprawa nierozwiązana”. Mimo iż mieliśmy dowody. Byłem wściekły.
- Ale dlaczego? Dlaczego on to zrobił? Sarria spojrzał na Amy.
- W pierwszej chwili sądziłem, że to GAL. David także na nią popatrzył.
- Kto to jest Gal?
- To nie osoba, Davidzie - odrzekła Amy, pobladła ze strachu. - Chodzi o GAL pisane wielkimi literami. To taka grupa utworzona przez władze hiszpańskie, której zadaniem było porwanie i likwidowanie baskijskich radykałów.

Działo się to w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Wsparcia udzielały im bardzo dyskretnie różne... frakcje rządu francuskiego.

- Otóż to, panno Myerson - przytaknął Sarria i skinął głową. - Wydawało mi się, że to oczywista odpowiedź. Co więcej, mój przełożony sugerował, że tak właśnie może być. Zabójstwo w wykonaniu agentów GAL, zatem należy po prostu dać spokój. Władze sugerowały nam wprost, monsieur Martinez, że pańscy rodzice byli baskijskimi terrorystami. Ich śmierć nie była zatem tragedią dla państwa francuskiego.

David czekał w milczeniu. Sarria westchnął.

- Ale dla mnie to wszystko nie miało sensu. Ani trochę. Wedle mojej oceny pańscy rodzice nie mieli absolutnie nic wspólnego z terroryzmem. Amerykanin i Brytyjka zwiedzający górskie okolice? I niby dlaczego znany baskijski radykał, być może najgroźniejszy ze wszystkich terrorystów ETA, znany jako *Otsoko*, czyli Wilk, syn wielkiego Jose Garovilla, miałby nagle zacząć pracować dla GAL? Zdradziłby sprawę, o którą tak walczył?

Pytanie zawisło w powietrzu jak woń soli niesiona wiatrem od pobliskiego morza.

- A zatem dlaczego? - spytała cicho Amy.

- Oto jest pytanie - odparł Sarria. - Dlaczego popełniono potrójne morderstwo?

- Potrójne? - wpadł mu w słowo David.

- Tak, oczywiście.... - Policjant zasępił się jeszcze bardziej. - Pan... pan o tym nie wiedział?

- Miałem piętnaście lat. Nikt mi o niczym nie opowiadał. O czym mianowicie miałem wiedzieć?

- O wynikach autopsji. Pańska matka była w piątym miesiącu ciąży; miała urodzić córeczkę. Niestety, zginęła.

Przy stoliku zapadła cisza. Zamęt w duszy Davida narastał z każdą chwilą. Przez całe życie był jedynakiem. Marzył o rodzeństwie. A kiedy został sierotą, ta samotność, ta tęsknota za bratem czy siostrą tylko się spotęgowała. I teraz jeszcze to... Niewiele brakowało, a miałbym siostrę, pomyślał.

Bolesne wspomnienia podążyły własną drogą, zmieniając się stopniowo w ciąg spekulacji. Czy dlatego rodzice

wybrali się na te dziwne wakacje do Francji? Czuli potrzebę poznania własnych korzeni? Czy tak na nich wpłynęła wiadomość o długo oczekiwanej drugiej ciąży?

- Bardzo mi przykro, monsieur Martinez - odezwał się Sarria. - Jak pan widzi, jestem tu, żeby panu pomóc. Rozpoznałem pańską twarz, gdy tylko ją zobaczyłem. Wygląda pan dokładnie tak jak pański ojciec. To znaczy: wyglądał tak, gdy znaleźliśmy go w samochodzie. - Detektyw spojrzał na morze, a potem znowu na Davida. - Bardzo chciałbym zamknąć Miguela Garovilla w więzieniu, z dożywotnim wyrokiem. Lecz zanim powiem panu coś więcej, muszę poznać szczegóły pańskiej historii.

Odstawił niedorzecznie małą filiżankę na bok i oparł łokcie o blat stolika.

- *Desole*. Być może nie chce pan mi zaufać. Jestem tego prawie pewny. Ale ja pamiętam, co czułem, kiedy zobaczyłem ciała pańskich rodziców. Proszę mi uwierzyć, że takie wspomnienia nigdy nie blakną. Dlatego moja rada brzmi: niech pan jak najszybciej powie mi wszystko, co pan wie. - Krótka chwila ciężkiego milczenia. - Bo spójrzmy prawdzie w oczy: Czy ma pan wybór?

David spojrzał na Amy przeciągle i znacząco. Po chwili zaplotła dłonie na stoliku i powiedziała:

- Musimy. Musimy być uczciwi.

Miała, rzecz jasna, rację, podobnie jak Sarria. To była jedyna opcja. David skinął głową, nabrał powietrza w płuca i rozpoczął opowieść, nie pomijając żadnego szczegółu ze swych dotychczasowych przeżyć. Mówił o związku z morderstwami w Wielkiej Brytanii, Francji i Kanadzie. O dziennikarzu z Londynu. O drzwiach Cagotów. O całej surrealistycznej wyprawie, której każdy cal naznaczony był krwią.

Gdy skończył swój monolog, Sarria zdjął z głowy kepi i położył je na białym, papierowym obrusie. Przez cały czas ani na chwilę nie oderwał wzroku od Davida.

- Tak jak się spodziewałem. *Les eglises. La Societe* - powiedział do siebie, patrząc gdzieś daleko w przestrzeń, jakby szukał odpowiedzi na błękitnym niebie nad Biarritz. Zaraz jednak ocknął się z zadumy i wyjaśnił: - Chodzi o kościoły. To nie dzięki telefonom komórkowym mógł was wyśledzić. To dzięki kościołom. Tak też twierdzi wasz ksiądz z Navarrenx.

- Co to znaczy? - spytała Amy.

- Kiedy odebrano mi sprawę morderstwa Martinezów, gdy po prostu ją umorzono, przeprowadziłem własne, prywatne śledztwo. Dobrze się przyjrzałem środowisku, w którym obracali się ludzie, którzy mnie powstrzymali. Chciałem sprawdzić, czy mają jakiś związek z GAL. Oczywiście nie mieli. *Mais...* - Pauza. - Ale pewien trop prowadził do Kościoła, a konkretnie do Bractwa Świętego Piusa X.

Na twarzy Amy pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Słyszałam o nim. Tak. Jose też miał z nim coś wspólnego. Miał krucyfiks pobłogosławiony przez papieża Piusa. Tak... - Amy chwyciła Davida za ramię. - Ten ksiądz w Narrenx.

- Rzeczywiście, wspomniał o jakimś bractwie - przypomniał sobie David. - Mówił, że miał zawiadomić kogoś, gdy się zjawimy. Poza tym w niektórych kościołach wisiały portrety tego papieża. - Przez chwilę David daremnie próbował rozwikłać kolejną zagadkę. - Ale kim są ci ludzie? - spytał wreszcie.

- To duży odłam Kościoła katolickiego, cieszący się znaczącym poparciem na południu Francji - wyjaśnił Sarria. - A także w Kraju Basków. Niezwykle przywiązany do tradycji. Jego założycielem był arcybiskup Lefebvre. Bractwo jest powiązane z Frontem Narodowym i skrajnie prawicowymi politykami. Niektórzy z należących doń biskupów publicznie negowali Holokaust. Bractwo ma w naszym kraju wielu zwolenników. Działa też... - Policjant zmarszczył czoło. - Działa też aktywnie za granicą. W Bawarii, w Quebecu, w Ameryce Południowej. W Polsce także ma politycznych przyjaciół. Powiązani z nim są też członkowie austriackiej prawicy. Szacuje się, że Bractwo liczy osiemset tysięcy członków. Ma własnych księży, własne seminaria i własne kościoły.

- Jest pan pewny, że wszystko to jedna struktura? - spytała Amy.

- Całkowicie. Gdziekolwiek szukałem, mademoiselle, napotykałem związki z Bractwem. *Un Reseau, une conspiration* Mój przełożony również był gorliwym jego zwolennikiem. Miał bardzo prawicowe poglądy.

David spoglądał na detektywa, wciąż nie wszystko rozumiejąc.

- Ale dlaczego Bractwo miałyby się angażować w to wszystko, co nas spotkało?

Policjant skinął głową cokolwiek niepewnie.

- Odnoszę wrażenie, że Kościół katolicki chciałby uniknąć rozpowszechnienia pewnych informacji. To sprawa się gająca czasów wojny. Być może związana z Gurs. Pańscy rodzice przypadkowo wpadli na trop tej tajemnicy. Najprawdopodobniej przez pomyłkę. *Par erreur*.

- Wcześniej mówił pan, że to Bractwo jest zaangażowane w tę sprawę, a teraz że cały Kościół katolicki?

Sarria wzruszył ramionami.

- To tylko moje przecucie, choć nie wiem, czy to właściwe słowo. Badam sprawę Bractwa od czasu pierwszego zabójstwa w Gurs. Bractwo Świętego Piusa X zostało *excommunic* przez papieża Jana Pawła II, za odrzucenie postanowień Drugiego Soboru Watykańskiego, ale także za ekstremalne poglądy. Niedawno jednak pojawiły się sygnały, że papież przyjmie Bractwo z powrotem na ciepłe łono katolickiej wspólnoty. Widać już pierwsze pokojowe gesty. - Sarria uśmiechnął się blado. - Ale ja sądzę, że Kościół poprosił Bractwo o pewną przysługę, w zamian za zakończenie schizmy.

- O pogrzebanie tajemnicy? Tajemnicy Gurs. Raz na zawsze?

Policjant westchnął.

- Tak. Któż zrobiłby to lepiej niż Bractwo? Jego członkowie dobrze znają całą tę historię, bo korzenie tej wspólnoty sięgają czasów Vichy i *I'occupation*. Wtedy się to zaczęło. Francuscy kapłani o prawicowych poglądach byli kapelami w Gurs. Torturowali Cagotów i Żydów, nawet wbrew sobie.

David dostrzegł już co najmniej połowę obrazu. Mówił półgłosem do siebie, spoglądając pomiędzy ciemnymi jodłami na błękit Zatoki Biskajskiej.

- Dokądkolwiek pojechaliśmy, zawsze odwiedzaliśmy kościoły. Navarrenx, Savin, Luz. Dom Eloise stoi naprzeciwko kościoła. Ona sama poszła do kościoła w Campan...

- *Exactement*. Bractwo prawdopodobnie poprosiło tak że „zwykłe” kościoły o pomoc w namierzeniu was. Księża, zakonnice i świeccy związani z kościołami prawdopodobnie

śledzą każdy wasz ruch we wszystkich kolejnych miejscowościach. Powiedzmy od razu, że przeciętny ksiądz nie będzie miał pojęcia, dlaczego został o to poproszony. Niemniej jednak spełni to życzenie, ponieważ jest posłuszny. W tych stronach lojalność ma wielkie znaczenie.

- I pewnie informacje trafiają wprost do Bractwa? - wtrąciła Amy. - A następnie do Miguela?

- *Et uoila*. Ale co jeszcze wiemy? Jednego chyba nie muszę państwu tłumaczyć, nieprawdaż? Mam na myśli motywację Miguela. - Policjant napił się kawy i spojrzał na morze, nim znowu skupił się na rozmówcach. - Garovillo *fils* musiał zostać wychowany na baskijskiego radykała, dumnego ze swego baskijskiego dziedzictwa. Aż tu nagle któregoś dnia dowiaduje się od ojca, że wcale nie jest Baskiem, tylko Cagotem, godnym pogardy Cagotem. Ktoś taki jak Miguel Garovillo musiał najpierw poczuć się zdruzgotany, a następnie powziąć bardzo mocne postanowienie. - Sarria zmarszczył brwi. - Postanowił mianowicie, że uczyni wszystko, by ta tajemnica nigdy nie została ujawniona, oraz zabije każdego, kto choćby teoretycznie będzie w stanie odkryć upokarzającą prawdę o jego ojcu i o nim samym. Tak się szczęśliwie składa, że jego pragnienia są zbieżne z pragnieniami Bractwa. Może właśnie wtedy został zwerbowany? A może obaj, ojciec i syn, już wcześniej należeli do tej organizacji. Tak czy inaczej, wszystko jakoś się ułożyło.

- A na dodatek pomogła Miguelowi jego pozycja w ETA - odezwał się David. - Mam rację? Zyskał dostęp do broni, do wiedzy. Nauczył się zabijać.

- *Cest urais*. I pewnego dnia dowiedział się, że twoi rodzice przebywają we Francji, szukają informacji o Cagotach i zatrzymali się w rejonie Gurs. Że zadają niewygodne pytania w Brasserie d'Hagetmau. Wilk się wystraszył; zwietrzył niebezpieczeństwo. I podjął niezbędne kroki.

Wiatr od morza przyniósł daleki śmiech dziecka. Na twarzy detektywa Sarrii pojawił się na moment wyraz szczerzego smutku.

- Niestety, dla pańskiej rodziny, monsieur Martinez, jest już o wiele za późno. Przykro mi, że nie mogłem więcej zdziałać. Próbowałem. Wybacz mi pan?

David bez słowa skinął głową, ale nie uczynił tego szcze-



rze. Nie chciał niczego wybaczać i nie potrzebował niczyjej skruchy; żądał odpowiedzi. Tak wielu odpowiedzi, jak to możliwe. Czuł, jak odradza się w nim determinacja: chciał pomścić matkę i ojca. I nienarodzoną siostrę. Lecz aby tego dokonać, musiał nareszcie zobaczyć cały obraz sytuacji, zanim Miguel zdąży zniszczyć wszystkie dowody.

- W jaki sposób to wszystko wiąże się z Gurs? - spytał. - Co się tam wydarzyło?

Sarria wzruszył ramionami.

- Tego niestety panu nie powiem, bo po prostu nie wiem. Wydaje się nawet, że nikt tego nie wie. Powiem panu tylko tyle... - Policjant nachylił się ku środkowi stołu i zniżył głos. - Moja ochrona ma swoje granice. Jest pan w niebezpieczeństwie. W bardzo poważnym niebezpieczeństwie. Bractwo i jego potężni polityczni poplecznicy wciąż pragną pańskiej śmierci. Wręcz jej potrzebują.

- To co mamy robić, do cholery? - nie wytrzymała Amy. Siedziała teraz z ramionami skrzyżowanymi na piersi. - Co robić? W Wielkiej Brytanii jest niebezpiecznie. W Hiszpanii podobnie. Dokąd mamy uciec?

- Dokądkolwiek. Nie macie pojęcia, jak wielkie niebezpieczeństwo wam grozi. - Sarria spojrzał z powagą na Davida i Amy. - Może to wam pomoże zrozumieć i zmotywuje do działania. - Sięgnął do swojej teczki i wyjął z niej dużą, brązową kopertę. Otworzył ją i wysunął plik fotografii. - To są zdjęcia z miejsca zbrodni. Tak zginęła w Gurs babcia Eloise, madame Bentayou. Nie byłem pewny, czy powinienem wam to pokazać, ale... może właśnie tego wam trzeba.

David wziął do ręki kilka odbitek na błyszczącym papierze. Uczynił to z wahaniem. Za chwilę miał zobaczyć to, co Eloise ujrzała przez okno. To, czego nie umiała i nie chciała opisać: niewypowiedziane okrucieństwo zbrodni popełnionej na jej babci.

Spreżył się i spojrzał na największą fotografię.

- O Jezusie.

Był to ogólny plan miejsca zbrodni.

Ciało leżało w kuchni, na podłodze skąpanej we krwi. Można je było zidentyfikować tylko po ubraniu i kraciastych kapciach, brakowało natomiast twarzy - a to dlatego, że głowa została odcięta.

Nie, właściwie nie odcięta: wyglądało to tak, jakby ktoś ją urwał. Postrzępione brzegi rany, skóra rozciągnięta w wąskie paski, podobnie jak więzadła - wszystko to sugerowało, że głowa ofiary została ukrecona, jak gdyby ktoś znudził się jej odcinaniem i urwał ją ze złości, zniecierpliwienia czy zwykłej żądzы krwi. David nawet nie próbował sobie tego wyobrazić: pękającego kręgosłupa, rozrywanych więzadeł...

Ale to nie było wszystko. Ktoś - Miguel, na pewno Mi-guel - odciął także dłonie. Nadgarstki staruszki były zakrwawionymi kikutami, z których wystawały końcówki żył i mięśni. Oba leżały w kałużach krwi, przypominających spłaszczone, czerwone rękawice.

Odcięte dłonie zostały przybite do drzwi. Widać je było na kilku kolejnych, bardziej szczegółowych zdjęciach.

Dwie dłonie przybite do kuchennych drzwi.

Amy ukryła twarz w dłoniach.

- Straszne. Straszne, straszne, straszne...

- Wiem - mruknął Sarria. -1 przepraszam. Ale to także nie wszystko.

David zaklął.

- Jak to nie wszystko? Co jeszcze może być gorszego?

Funkcjonariusz znowu otworzył kopertę i wyjął ostatnią fotografię. To także było zbliżenie jednej z uciętych dłoni. Końcówką długopisu wskazał na jego lewą część.

David zmrużył oczy, z bliska analizując obraz. Wydawało mu się, że na ciele widoczny jest łukowaty rząd znaków. Niezbyt wyraźny, ale jednak widoczny. Łuk drobnych wgłębień w bladej tkance.

- Czy to... - David miał kłopoty z opanowaniem obrzydzenia. - Czy to jest to, co myślę?

- *Oui*. Ślad ludzkich zębów. Ugryzienia. Wygląda to na mały eksperyment... jakby ktoś pod wpływem impulsu zapragnął spróbować ludzkiego mięsa. Przekonać się, jak może smakować.

Nastąpiła cisza. Fale odgrywały na plaży swoją szumiącą kołysankę. I nagle nad stołem pochylił się drugi z policjantów, by przemówić po raz pierwszy:

- *Allez*. Uciekajcie. Dokądkolwiek. Zanim was dopadnie.

Dom był względnie cichy. Znużony, ziewający posterunkowy - ich strażnik i obrońca - leżał na łóżku w swoim pokoju, czytając „Goal”. Suzie była w szpitalu: postanowiła, że nie zrezygnuje z pracy; zgodziła się jedynie na policyjną eskortę. Opiekunka do dziecka dwa dni wcześniej uciekła do rodzinnej Słowenii, wytracona z równowagi tym, co się wydarzyło. Conorem zajmowała się matka Suzie, która zatrzymała się u nich na jakiś czas.

Simon zaś czytał o Eugenie Fischerze.

Internetowa biografia niemieckiego uczonego zawierała suche fakty:

„Eugen Fischer (5 lipca 1874-9 czerwca 1967) był niemieckim profesorem medycyny, antropologii i eugeniki oraz jednym z głównych propagatorów nazistowskich teorii naukowych na temat higieny rasowej, legitymizujących eksterminację Żydów, skazanie na śmierć około pół miliona Cyganów oraz wprowadzenie obowiązkowej sterylizacji setek tysięcy innych ofiar”.

Simon siedział ledwie kilka centymetrów od ekranu, czując w ustach coraz silniejszy metaliczny posmak odraży. Trzy intrygujące aspekty z biografii Fischera wyróżniały się szczególnie. Pierwszym były jego silne związki z Afryką.

„W 1908 roku Eugen Fischer przeprowadził badania terenowe w Niemieckiej Afryce Południowej (obecnie Namibia). Badał wspólne potomstwo «aryjskich» mężczyzn i miejscowych kobiet. Ustalił, że dzieci z takich związków powinny być usuwane, gdy tylko przestają być przydatne”.

Usuwane? Przydatne? Ustalił? Słowa te miały tym większą moc, że były tak suche i sterylne.

Simon odetchnął głęboko i na moment przymknął powieki. Natychmiast zobaczył w wyobraźni wykrzywioną w ataku furii twarz Tomasky'ego, więc czym prędzej wrócił do rzeczywistości. Z sąsiedniego pokoju dobiegały odgłosy zabawy Conora - „brum, brum” jego ulubionego samochodu z zabawkowego garażu.

Słuchając paplaniny chłopca, Simon poczuł potężny przypływ ojcowskiej miłości: był teraz opiekuńczy do bólu. Za wszelką cenę bronić Conora. Bronić przed całym złem tego świata.

Tyle że najlepszym sposobem na to było skupienie się na pracy.

„Hitler był gorącym zwolennikiem prac Eugena Fischera, a zwłaszcza jego opus magnum, *Menschliche Erbllichkeit-slehre und Rassenhygiene* («Dziedziczność u człowieka oraz higiena rasowa»). Po dojściu do władzy w roku 1933 Hitler mianował Fischera rektorem Uniwersytetu Humboldta w Berlinie.

Podbój Europy przez nazistów (1939-1942) był dla Fischera okazją do rozszerzenia badań nad rasami, które rozpoczął dziesięciolecie wcześniej w Namibii. W obozie koncentracyjnym w Gurs, w okupowanej przez Niemcy południowo-zachodniej Francji, Fischer, przy silnym wsparciu Hitlera przeprowadził serię szczegółowych badań przedstawicieli rozmaitych ras europejskich: Basków, Cyganów, Żydów etc.”

Simon notował pilnie w notesie, nie odrywając oczu od ekranu.

„Nazistowski reżim przeznaczał spore środki na utrzymanie «oddziału medycznego» w Gurs. Mówiło się w owym czasie, że tak zwane eksperymenty Fischera pozwoliły na dokonanie znaczących odkryć, jednakże dane uzyskane przez profesora zaginęły w chaosie ofensywy aliantów i zniszczenia hitlerowskiego państwa (1944-1945). Nigdy nie potwierdzono jednoznacznie, czy eksperymenty Fischera istotnie przyniosły rezultaty wartościowe z punktu widzenia nauki. Obecnie panuje opinia, iż plotki o «rasowych od-kryciach» były jedynie nazistowską propagandą, a Fischer nigdy nie ogłosił znaczących informacji”.

Ostatnia część artykułu brzmiała zachęcająco, ale i wprawiła Simona w zdumienie.

„Wielu ludzi dało wyraz oburzeniu, gdy po pokonaniu Trzeciej Rzeszy przez aliantów Eugen Fischer uniknął poważnej kary za swe związki z nazistami i prowadzone dla nich badania. Wkrótce został zresztą profesorem uniwersytetu we Fryburgu, a od 1952 roku był honorowym członkiem nowo utworzonego Niemieckiego Towarzystwa Antropologicznego.

Tak niesłychana pobłażliwość wobec naukowca uważanego za autora i mentora nazistowskiej polityki rasowej nie była jednak wyjątkowym zjawiskiem. Wielu kolegów Fischera z Gurs i innych miejsc pracy z powodzeniem uniknęło kary lub poddanych zostało co najwyżej kilkutygodniowej «denazyfikacji» w więzieniach. Na przykład profesor doktor Fritz Lenz, szef eugeniki w berlińskim Dahlem i współautor fundamentalnych dzieł nazistowskiej teorii rasowej, powrócił do pracy zawodowej natychmiast po wojnie, a wkrótce potem zaoferowano mu katedrę dziedziczności człowieka na uniwersytecie w Getyndze”.

Te ostatnie zdania brzmiały tak dziwnie, że Simon musiał przeczytać cały akapit dwukrotnie. I jeszcze raz. A potem sprawdził na innej stronie internetowej - zawierała identyczne informacje.

Identyczne? Simon zaczął się zastanawiać, czy te zdumiewające tezy nie są aby kłamstwem powielanym i utrwalanym przez leniwe standardy internetowej scholastyki.

Pomaszerował do salonu. Conor grzecznie bawił się na dywanie, na wpół zahipnotyzowany przygodami spalinowo-zu imieniem Derek.

Przystanął przed regałem z książkami. Na najwyższej półce od dziesięciu lat kurzyły się pozostawione przez ojca tomy starego wydania *Encyclopedia Britannica*. Simon zdjął z góry jeden z nich i szybko odnalazł hasło Lenz Fritz.

A jednak to była prawda. Ta bestia, ten potwór w ludzkiej skórze, ten wybitny znawca eugeniki, ten kumpel doktora Mengele, ten nazistowski myśliciel, najspokojniej w świecie wrócił do pracy w roku 1946. Nie poszedł nawet do więzienia. Alianci nie wsadzili go ani na chwilę!

Dlaczego puszczono wolno wszystkich tych lekarzy?

Zmierzył jasną czuprynę synka, powrócił do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Był poruszony. Zagadka wciąż

żyła, ale przyczała się jak zwinięta, sycząca groźnie kobra, chroniąca straszliwe tajemnice.

Popołudnie pracy dobiegało końca. Przejrzał jeszcze raz fakty, kluczowe słowa zapisując w e-mailu adresowanym do samego siebie - był to jeden z jego ulubionych sposobów rozwiązywania zagadek. Działał podobnie jak artysta, który wiesz obraz do góry nogami, by spojrzeć na niego świeżym okiem, dostrzec skazy i raz jeszcze skrupulatnie ocenić jego jakość.

Simon odsunął się od komputera i westchnął. Myśli, które kłębiły się w jego głowie, nie były spójne; układał się z nich obraz z gruntu pozbawiony sensu. Pieniądze, naziści, Cagoci, kolaboracja - co z tego? Nie nasuwało mu się żadne wspólne wyjaśnienie morderstw, które w tej chwili wydawały się nieomalże przypadkowe.

Poczuł, że chwilowe podniecenie zaczyna przygasać. Niebezpiecznie zbliżał się do punktu wyjścia. Musiał koniecznie porozmawiać z Davidem i Amy. Zwłaszcza z Davidem. Ale gdzie oni są? Co się dzieje tam, w południowej Francji?

Przypomniał sobie o siostrze Tomasky'ego. I o tym, co powiedziała o pewnym klasztorze we Francji, zwanym La Tourette.

Ponownie pochylił się nad klawiaturą i wpisał hasło.

Odpowiedź natychmiast pojawiła się na ekranie.

Klasztor La Tourette.

Zbudowany w latach 1953-1960, z inicjatywy wielbego ojca Couturiera z lyońskiego zakonu dominikanów. Architekt: Charles Edouard Jeanneret-Gris (znany jako Le Corbusier).

Simon przerwał lekturę.

Zakon dominikanów?

Przypomniał sobie słowa profesor Winyard. Dominikanie. Psy Boga. Prześladowcy czarownic. Młot na czarownice. *Malleus Malleficarum*.

Jego puls przyspieszył gwałtownie. Ten klasztor leży przecież niedaleko Lyonu, czyż nie? Niedaleko Lyonu...

David Martinez opowiadał o mapie, która należała do jego ojca, a została mu przekazana przez umierającego dziadka. O ile pamięć Simona nie zawodziła, na tej mapie zaznaczono-ręcznie narysowaną, niebieską gwiazdką - jedno miej-

sce, które leżało zdecydowanie poza Krajem Basków i jeszcze dalej od dawnych siedzib Cagotów. Czy aby nie było położone w okolicy Lyonu? A może Marsylii? Nie, chyba raczej Lyonu?

Tajemnica zwinięta w kłębek zasyczała.

Simon czytał dalej.

Według noty z serwisu internetowego Le Corbusier był najwybitniejszym architektem dwudziestego wieku. Słynął z czystości, jasności wizji, a w swojej twórczości przestrzegał zasady „forma wynika z funkcji”. Wszystko, co robił, miało swój cel. Znany był także jako ateista, toteż „zamówienie u niego projektu powojennego klasztoru La Tourette było niespodzianką”.

Nie była to jednak, jak się wydawało, jedyna niespodzianka związana z tą budowlą. Skąd na przykład wzięły się pieniądze na jej wzniesienie w biednej powojennej Francji? Dlaczego dominikanie nagle postanowili zbudować tak duży klasztor, podczas gdy tak wiele innych, zniszczonych podczas wojny, pilnie wymagało odbudowy. I przede wszystkim dlaczego klasztor zaprojektowano w tak dziwny sposób?

W jednej z książek padło stwierdzenie, że zdaniem Le Corbusiera życie w gmachu La Tourette powinno być pokutą samo w sobie. Przygnębiająca konstrukcja, a zwłaszcza trudy życia w tych murach, miały być jednym z elementów surowej zakonnej egzystencji.

Surowość ta była jednak, jak się wydawało, nie tylko teoretyczna. Budowę gmachu „w większości ukończono” w roku 1958. Już po dwóch latach „u połowy zamieszkujących w klasztorze zakonników stwierdzono zaburzenia psychiczne”. Zanotowano między innymi przypadki załamania nerwowego i głębokiej depresji, a jako ich przyczynę podawano „przytłaczający charakter budynku”. Ciasne przestrzenie i szorstkość bryły najwyraźniej wystarczyły, by wytrącić mieszkańców z równowagi.

Jeden z krytyków twierdził, że czynnikiem, który sprawia, że przebywanie w tym budynku jest trudne do zniesienia, jest także jego akustyka. Nocą „każdy, najcichszy nawet dźwięk ulega wzmocnieniu”. Każdy oddech, każdy szept, każde chrapanie. Podobno wynika to z „zastosowania betonu jako materiału budowlanego oraz takiego **zapro-**

jektowania przestrzeni, które sprzyja powstawaniu echa". Innymi słowy, wroga człowiekowi natura klasztoru była celowym zabiegiem twórczym: został on zaprojektowany po to, by dezorientować.

Simon znalazł jeszcze jedną ciekawą stronę. Był to blog poświęcony architekturze - zwykły, skromny blog, tworzony przez studenta architektury z Brisbane. Student ów najwyraźniej miał okazję kilka lat wcześniej zatrzymać się w La Tourette po latach badania twórczości Le Corbusiera.

Esej zaczynał się od krótkiej noty biograficznej. Potem następował zajadły atak na słynnego architekta.

Student zarzucał mu przede wszystkim to, że był nazistą. Podczas wojny, jak pisał, Le Corbusier blisko współpracował z Petainem, przywódcą marionetkowego reżimu francuskiego z siedzibą w Vichy. Sławny architekt był ponoć także wielkim zwolennikiem Hitlera. W eseju pojawił się „niesławny” cytat z wypowiedzi Le Corbusiera, w której określił on fuhrera mianem „cudownego”.

Pojawiły się jednak także i kontrargumenty: Le Corbusier nie był jedyny, wielu bowiem jego kolegów po fachu sympatyzowało w tamtych czasach bądź z faszystami, bądź z marksistami, a to dlatego, że ludzie architektury to z natury utopiści. „Architekci chcą zmieniać społeczeństwo. A to jeszcze nie czyni z nich nazistów, komunistów czy morderców...”

Pod koniec wpisu na blogu pojawił się kolejny zarzut: ponoć słynna budowla Le Corbusiera wzniesiona w Marsylii, Unité d'Habitation, była najpopularniejszym miejscem samobójstw w całej południowej Francji. A przecież klasztor La Tourette, jak twierdził autor eseju, był jeszcze bardziej przytłaczającym tworem — jedynym powodem, dla którego odsetek samobójstw nie był tam jeszcze wyższy, był fakt, iż odwiedzający uciekali stamtąd już po paru dniach. Zakonnicy zaś musieli mieszkać tam na stałe dłużej i cierpieć niewymownie, tyle że wiara powstrzymywała ich od targnięcia się na własne życie.

I wreszcie autor eseju zadawał najbardziej oczywiste pytanie: Dlaczego? Dlaczego dominikanie złożyli to tajemnicze zamówienie na projekt; dlaczego człowiek taki jak Le Corbusier miał zaprojektować tę zagadkową budowlę?

Simon wyłączył komputer, by w spokoju wszystko przemyśleć. Choć tekst kończył się pytaniem, odpowiedź na nie wydawała się Simonowi oczywista. Forma wynika z funkcji: tej zasadzie Le Corbusier hołdował przez całe życie. A funkcją tego gmachu było ukrywanie faktów, być może odrażających faktów. Był on autentycznym świadectwem właśnie tej złowrogiej funkcji. W środku czai się zło. Nie zbliżać się. Musiało to działać na tej samej zasadzie co odstręczająca kolorystyka groźnego jadowitego węża.

Simon przypominał sobie dokładnie słowa profesor Wi-nyard na temat tej ważnej kościelnej dokumentacji: materiałów dotyczących badań krwi Cagotów oraz palenia baskijskich czarownic. Materiałów celowo ukrytych przez papieżstwo.

„Zostały ukryte w Angelicum, w Rzymie. Przez wieki były tam bezpieczne. Ale później, po wojnie, po czasach nazizmu, miejsce to przestało być uważane za odpowiednie dla tak... prowokacyjnych danych. Plotka głosi, że dokumenty przeniesiono do jeszcze bezpieczniejszej kryjówki. Ale to tylko plotka; nikt tego nie wie na pewno!”

Nikt nie wie, dokąd je przeniesiono? Czyżby? A może do dziwnego klasztoru, wzniesionego krótko po wojnie?

Zagadka przypominała teraz Simonowi kwiat nocy, po-malutku otwierający się w blasku księżyca. Zapachniało nocnym ogrodem.

Potrzebował jeszcze jednej informacji. Musiał się skontaktować z Davidem Martinezem i potwierdzić położenie gwiazdki na mapie. I koniecznie musiał to zrobić właśnie teraz.

Spróbował się opanować. Wstał, poszedł do kuchni i zaparzył sobie filiżankę herbatki z melisy, bo słyszał gdzieś, że ma ona działanie uspokajające.

Pieprzyć herbatki! Wylał napar do zlewu, pobiegł do gabinetu i wybrał numer komórki Martineza. Odpowiedział mu głuchy sygnał. Trzy sekundy później spróbował jeszcze raz, jakby to miało coś zmienić. Cisza. Przypomniał sobie, że David wyrzucił telefon; zresztą bardzo słusznie postąpił.

Co teraz? Kiedyś w końcu Martinez musiał do niego zadzwonić... chyba że nie jest w stanie.

Simon zaczął chodzić od ściany do ściany. Martwił się

o Davida i Amy; o niedawnym ataku Tomasky'ego wołał nie pamiętać.

Ten dom jest tak cholernie mały, pomyślał po chwili. O wiele za mały. Ale może jeśli rozgryzę tę sprawę, napiszę świetną książkę, kupię większy dom i...

Dość. Simon ponownie usiadł przed komputerem i wysłał e-mail do Davida. Potem wyszedł z pokoju i dołączył do synka na kanapie w salonie. Razem po raz siedemnasty obejrzeni *Potwory i spółkę*.

A potem jeszcze raz.

Była dziewiętnasta i Conor leżał już w łóżku, gdy zadzwonił telefon komórkowy. Na ekranie ukazał się numer z francuskim prefiksem. Próbuąc wmówić sobie, że jego serce wcale nie bije jak tam-tamy w Burundi, Simon odebrał połączenie.

- Halo?

- Simon?

- David! Dzięki Bogu, że dzwonisz. Wszystko u was w porządku?

- Tak, wszystko gra. Jeszcze jesteśmy w Biarritz, ale niedługo odlatujemy. A co z twoją...

- Nic. To znaczy, w porządku. Pisałem, bo muszę się czego dowiedzieć. - Simon miał poczucie winy, przechodząc do sedna w tak ekspresowym tempie, ale nie mógł się doczekać rozwiązania. - Masz przy sobie mapę?

- Jasne. Ciągle ktoś chce ją oglądać.

- To ważne. Wyjmij ją. Wspominałeś, że zaznaczono na niej gwiazdką jakieś miejsce niedaleko Lyonu...

- Zgadza się, niedaleko Lyonu. Jeszcze nie udało nam się odgadnąć jej znaczenia.

- Popatrz na nią jeszcze raz.

Rozległ się szelest papieru, gdy David posłusznie rozwijał mapę. W tle słychać było odgłosy miasta. Pewnie dzwoni z automatu, pomyślał Simon. Anonimowy telefon z uliczek baskijskiego miasteczka.

- Widzę tę gwiazdkę - zameldował David. - Co konkretnie chciałbyś wiedzieć?

Przez moment panowało pełne napięcia milczenie.

- Powiedz mi - odezwał się wreszcie Simon - w którym miejscu dokładnie się znajduje. Może niedaleko jest jakaś wioska, jakieś miasto...

Dziennikarz nieomalże słyszał, jak David pochyla się nad mapą i studiuje ją z bliska.

- Narysowano ją obok wioski zwanej Eveux.
- Eveux?

Pauza.

- Tak, Eveux... to niedaleko Arbresle... na północny zachód od Lyonu. Po co ci to? - spytał David nieco ostrzejszym tonem.

Simon nie odpowiedział, ponieważ pochylał się już nad komputerem, czytając opis hasła La Tourette. Na stronie internetowej widniała pełna, dźwięczna nazwa klasztoru:

Le Couvent Sainte-Marie de La Tourette.
Eveux-sur-Arbresle.

Wynajęty samochód stał w rzędzie 3B, na parkingu portu lotniczego Lyon-Saint-Exupery. Simon wrzucił bagaże do środka i włączył się w kawalkadę aut, kierując się w stronę przeciwną do centrum Lyonu.

Na północ, wzdłuż Rodanu.

Zastanawiał się, czy nie postąpił zbyt impulsywnie. Może popełnił błąd, przyjeżdżając tu? Zapytał Suzie, co sądzi o tej podróży, o tej złowieszczo zapowiadającej się przygodzie. Odpowiedziała, choć ze smutkiem w oczach, że nie sprzeciwi się, ponieważ go kocha. I ponieważ ona i Conor będą bezpieczni pod opieką policjanta. I ponieważ Simon oszalałby, siedząc w domu i nic nie robiąc, a to mogłoby się skończyć powrotem do picia, czego bardzo się obawiała.

Simon spoglądał na samochody jadące przed nim. Na autostradzie panował duży ruch.

Wiedział, że niemal wszystko, co powiedziała Suzie, było kłamstwem. Nie chciała, żeby jechał. Uważała, że to nieodpowiedzialny krok z jego strony. Jedyne powód, dla którego się zgodziła, był taki, że naprawdę go kochała. A on był szczęściarzem, mając taką żonę.

Oraz idiotą.

Tak czy inaczej, był teraz we Francji. I bez względu na powodujące nim motywy, czuł podniecenie zawsze towarzyszące pościgowi, które go stymulowało i dodawało mu energii. Jakże będzie to miejsce? Czy znajdzie tam owo niesławne archiwum? Simon zerknął na tablice przy drodze i zwolnił nieco: Ecully, Dardilly, Charbonnières-les-Bains.

Jest. Zwolnił jeszcze bardziej, by odczytać napis. Nie pomylił się. Droga N7 do UArbresle.

Skrecił i po chwili był już na szosie odbijającej w lewo od autostrady. Jadąc przez zielone doliny Beaujolais, w zamyśleniu sięgnął po gruby atlas drogowy Francji, by sprawdzić dalszą trasę. Kilkaset kilometrów na południowy zachód od tego miejsca leżało Biarritz, gdzie ukrywali się David i Amy, w nadziei na rychły wylot do Namibii. Czy mógł im jakoś pomóc?

W jego głowie kłębiły się różne, często sprzeczne myśli, podsypane przez ciekawość.

Ostatni etap podróży wiódł między kolejnymi winnicami i pozółkłymi dębowymi młodniakami, a potem przez rozległą łąkę, pośrodku której wzniesiono klasztor La Tourette.

— Rany - mruknął do siebie.

Przez kilka godzin czytał o tym modernistycznym gmachu, wypytywał ojca, architekta, o Le Corbusiera, ale mimo wszystkich tych przygotowań rzeczywistość zrobiła na nim piorunujące wrażenie.

Pośrodku zielonej połąci stało... coś. Wyglądało jak potomstwo wielopiętrowego parkingu i posepnego, średnio-wiecznego zamczyska. Było niemal całkowicie szare. Jedynymi plamkami koloru były czerwone i pomarańczowe zasłony w oknach.

Wóz zbliżał się do klasztoru. Z każdą chwilą Simon dostrzegał coraz więcej zaskakujących szczegółów. Surrealistyczna betonowa piramida tkwiła wewnątrz, pośrodku bryły. Kilka szarych korytarzy sprawiało wrażenie ułożonych w całkowicie przypadkowy sposób. Gmach był z jednej wsparty na trawiastej skarpie, a z drugiej na chudych, betonowych „łapach” o nieregularnych kształtach.

Simon zaparkował i odszukał wejście: było to coś w rodzaju betonowej przybudówki.

Możliwe, że zewnętrzna skorupa gmachu wyglądała szokująco, za to wejście do środka odbywało się w całkiem prosty, wręcz banalny sposób. Stali mieszkańcy najwyraźniej byli przyzwyczajeni do obecności zwiedzających i pielgrzymów, zwłaszcza tych, którzy interesowali się architekturą. W bocznej salce powitał Simona zakonnik w niebieskich dzinsach i szarym T-shircie.

Simon padał fałszywe nazwisko, którym przedstawił się przez telefon, gdy anonsował swoje przybycie - jako Edgar

Harrison, brytyjski architekt podróżujący po Francji w celach turystycznych. Uśmiechając się nerwowo, przyglądał się twarzy mnicha, szukając jakichkolwiek oznak zaciekania, sceptycyzmu czy podejrzliwości. Ale ten tylko skinął głową.

- *Monsieur Harrison. Un moment.*

Zaczął wpisywać nazwisko i inne dane do komputera, a Simon tymczasem rozglądał się po salce. Było to niczym nie wyróżniające się pomieszczenie biurowe, z segregatorami, papierami, telefonami bezprzewodowymi, faksem oraz przeszkloną gablotą, w której klucze do rozmaitych pomieszczeń wisiały na haczykach oznaczonych schludnymi etykietkami. *Le Refectoire, La Librairie, La Cuisine.*

La Librairie? Przynajmniej była tu jakaś biblioteka. Ale gdyby jej zawartość była taka tajna, czy tak beztrząsowo afiszowano by się z jej istnieniem?

Zakonnik wstał od komputera i z sąsiedniej gablotki wyjął klucz, po czym zaprowadził Simona na górę, by pokazać mu jego pokój, a raczej klasztorną celę, w której „zaczynu” miał spędzić najbliższe trzy dni. Schody były strome. Nie zamienili ani słowa przez całą drogę. Wreszcie dotarli na właściwe piętro.

Drzwi ciągnęły się długim rzędem w obu kierunkach niczym żołnierze na paradzie. Przypominało to więzienny korytarz.

Mnich podał Quinnowi klucz i zostawił go bez słowa. Simon wszedł do pokoju, rzucił torbę na wąskie łóżko i rozejrzał się, rozczarowany. Cella była niezwykle wąska; w gruncie rzeczy niewiele szersza od trumny. Wilgotny betonowy sufit wisiał wyjątkowo nisko. Na jednej ścianie były przeszklone drzwi, a na drugiej okno w pordzewiałej ramie. Zewsząd dobiegały jakieś odgłosy: stłumiony bulgot wody w rurach, czyjś kaszel.

I sygnał telefonu - jego nowej komórki. Nacisnął zielony klawisz, czując niepokój tak wielki, że zastanawiał się, czy ten ucisk w piersi to nie atak serca. Tylko jego żona znała ten numer. Co się mogło stać?

Dzwonił David.

- Simon, gdzie jesteś? Twoja żona podała mi ten numer. Dziennikarz rozejrzał się. Popatrzył jeszcze raz na szare

betonowe ściany z obłęsnymi plamami wilgoci, a potem wyszedł na korytarz, żeby złapać lepszy sygnał.

- Jestem w tym klasztorze.
- Tam, gdzie ponoć znajduje się archiwum?
- Mam nadzieję, Davidzie, mam nadzieję.

Korytarzem nadchodził jakiś zakonnik. Drewniany krzyż na jego szyi żywo kontrastujący z surferską koszulką, którą miał na sobie. Uśmiechnął się jakby nieobecnie, gdy mijał Simona. Simon odpowiedział promiennym uśmiechem.

David szeptał do słuchawki.

- Wyjeżdżamy do Namibii. Zaraz.
- Eloise już tam jest, prawda?
- Tak.
- Dobra. No cóż... - Dziennikarz westchnął. - Tylko

bądźcie ostrożni.

Cisza. Wreszcie David odparł:

- Ty też, Simonie. Wiem, że nigdy się nie spotkaliśmy, ale uważaj na siebie.

- Dziękuję.

Dziennikarz przerwał połączenie. A potem ruszył na zwiedzanie klasztoru.

Dwie godziny wałęsania się korytarzami upewniły go, że pozostała część La Tourette jest równie dziwaczna i przytłaczająca jak cele. Za przypadkowo rozmieszczonymi drzwiami mieściły się niewydarzone pokoje. Przez nieliczne świetliki, umieszczone w stropie pod nedorzecznymi kątami, widać było szare chmury na niebie. Betonowe belki stropowe przecinały przestrzeń i wydawało się, że wiele z nich służy wyłącznie temu, by nieostrożni pielgrzymi rozbijali sobie o nie głowy.

Wszystko to było intrygujące, ale jednocześnie rozczarowujące. Nie było ani śladu tajemnicy, nawet wrażenia, że coś mogło tu zostać ukryte. Biblioteka, ulokowana na trzecim piętrze, była tylko biblioteką. Nie ukrywano jej w żaden sposób, a całe jej zbiory były pod każdym względem zwyczajne. Żadnych zabytkowych tekstów przykutych łańcuchem do półek. Żadnych papieskich pergaminów w mahoniowych skrzyniach. Żadnych zakurzonych manuskryptów oprawnych w koźlą skórę. I w ogóle nic, poza zwykłymi regałami pełnymi zwykłymi książkami oraz dużymi metalowymi stołami. Były nawet automaty z napojami.

Jak w każdej miejskiej bibliotece.

Simon westchnął ciężko i usiadł przy jednym ze stołów, by przejrzeć kilka książek, ale w tych apatycznych poszukiwaniach przeszkodził mu telefon.

Co znowu?

Wyszedł z biblioteki na bezbarwny korytarz.

Dzwonił Bili Fanthorpe, psychiatra z St Hilary.

- Cześć, Bili, ja...

- Witaj, Simonie. Bardzo przepraszam, że niepokoję. - Głos lekarza drżał lekko z niepokoju.

- Co się stało, Bili?

- Obawiam się, że Tim zniknął.

Ciche, głucho dudnienie obilo się echem o ściany klasztornych korytarzy: przez daleki las mknął ekspres TGV z Lyonu do Paryża.

- Zniknął?

- Tak. Ale proszę, nie zamartwiaj się tym nadmiernie.

- Jezu, Bili.

- Takie rzeczy często się zdarzają, rzecz jasna. - Ton głębokiej troski zniknął bez śladu, zamaskowany sztucznym spokojem. - Schizofrenicy bywają niekiedy wyjątkowo ru chliwi. Dwa lata temu zdarzyło się już, że Tim samowolnie się oddalił.

- Ale kiedy? Kiedy uciekł? I w jaki sposób?

Psychiatra zawahał się nieznacznie.

- Sądzymy, że ostatniej nocy. Jak mówiłem... — Urwał, jakby zamyślony. - Rozumiem, że masz osobiste powody, żeby obawiać się o bezpieczeństwo swojej rodziny. Twoja żona mi mówiła. Dlatego jesteśmy w kontakcie z policją i uzyskaliśmy zapewnienie, że nie ma mowy, by doszło do... - kolejna, nieco niezręczna pauza - ...do jakichś incydentów, jak to się zdarzyło w przeszłości. Ale przyznaję, że nasz system ochrony zawiódł haniebnie. I za to cię przepraszam.

- Jezu Chryste.

- Proszę, zachowaj spokój. Znajdziemy go. Najprawdopodobniej jeszcze dziś, przed zmrokiem. Dokładnie tak samo jak znaleźliśmy go poprzednim razem.

Simon spoglądał na szarą plamę wilgoci na przeciwległej betonowej ścianie. To była jego wina. Uciekł. Zostawił swoją

rodzinę bez ochrony, i to bez szczególnego powodu. Bo po co właściwie tu przyjechał?

Wyszedł z domu wczesnym rankiem, nie informując policji o tym, co zamierza zrobić. Wziął taksówkę, a potem wsiadł do pociągu i odleciał pierwszym samolotem z Heath-row do Lyonu, a wszystko to tylko po to, by uganiać się za cieniami, jakby sobie wyobrażał, że jest superpismakiem na miarę tych od Watergate i zdoła rozwiązać największą zagadkę dziesięciolecia.

Ależ był głupcem. W rzeczywistości był tylko drugorzędnym reporterem kryminalnym po czterdziestce, który przez alkohol zmarnował zbyt wiele lat, a teraz desperacko starał się dogonić rówieśników, podążając za jakąś chorą fantazją. Zmierzał donikąd. A tymczasem jego brat uciekł, wydostał się na wolność. Co teraz robił? Jak miał przetrwać Owłasnych siłach?

Simon pomyślał zaraz o Tomaskym. A przecież tak bardzo chciał o nim nie myśleć. Tak się starał.

Drgnął nagle, uświadomiwszy sobie, że wciąż ścisną w dłoni telefon i że po drugiej stronie Bili Fanthorpe wciąż czeka na jego odpowiedź. Przeprószył lekarza, rozłączył się. I natychmiast zadzwonił do żony.

Potwierdziła to, o czym mówił Fanthorpe: sprawa wyglądała całkiem niewinnie, Tim po prostu się oddalił i nie był to pierwszy raz; poprzednio udało się go odnaleźć już po dwunastu godzinach.

Ale to nie wystarczyło, by uspokoić Simona. Zapewnił Suzie, że ją kocha - głośno, nie zważając na to, kto może przysłuchiwać się tej rozmowie. A potem dodał, że wróci do domu tak szybko, jak będzie to możliwe.

- W porządku, Simonie. Oczywiście. - Mówiła z troską. Z miłością. Nie zasługiwał na tyle.

- Zadzwonię do ciebie później, kochanie.

Chwilę później po raz drugi tego dnia wykonał pilny telefon - tym razem na lotnisko. Niestety, nie takich informacji się spodziewał: spóźnił się na ostatni tego dnia lot z Lyonu do Londynu.

Następny samolot startował dopiero o świcie, ale i tak był to najszybszy sposób na powrót do domu. Nawet gdyby Simon wyruszył od razu, i tak musiałby czekać w Lyonie

do świtu. Po bardzo krótkim wahaniu zarezerwował bilet na ten lot.

Plan był więc jasny: musiał spędzić noc w klasztorze, przed świtem wyruszyć do Lyonu i tam wsiąść do samolotu. Zostały mu więc popołudnie i wieczór, by się jeszcze czegoś dowiedzieć. Musiał bronić swojej rodziny.

Bez zapału i wiary w sukces podjął przerwane poszukiwania. Czuł się przy tym jak ostatni palant. Wreszcie dotarł na dach porośnięty trawą, płaski dach. Tu i ówdzie sterczały pudłowate struktury udające modernistyczne gargulce.

Zjechał windą na dół. W głębi mieściło się religijne jądro klasztoru: duża, mroczna, tajemnicza kaplica, po części wcinająca się w zbocze, oświetlona tylko z jednej strony, przez wysokie i smukłe okna witrażowe.

I to właściwie było wszystko. Zirytowany wycofał się do betonowej części mieszkalnej i wysłał Suzie krótką wiadomość: „Coś nowego?”

„Żadnych nowin”, odpowiedziała.

Przygnębiony i wściekły na siebie raz jeszcze wybrał się do biblioteki. Może jednak coś się tam kryło? Z całą pewnością mnóstwo książek. Nudnych, niestety. Głównie po francusku. Nieistotnych. Prace Tomasza z Akwinu. Historia zakonu dominikanów. Biografia świętego Dominika. Wybór prac z zakresu architektury dla pielgrzymów zainteresowanych tym tematem. Chudziutka biografia papieża Piusa X zainteresowała Simona, ale zaraz zorientował się, że zgromadzono tu chyba ze trzy setki książek z tej serii - żywoty wszystkich papieży od zarania dziejów Kościoła.

Prócz niego w bibliotece znajdowały się tylko dwie osoby. Młoda kobieta pochłonięta była lekturą wielkiej księgi w żółtej obwolucie, autorstwa Le Corbusiera: *Vers une ar-chitecture libre*. Drugą osobą był zakonnik w rozpinanym swetrze i wypchanych portkach; nosił okulary o tak grubych szklach, że wyglądał jak wystraszona rzekotka.

Simon za wszelką cenę stawał się wypędzić z głowy myśl o Timie, ale ona uparcie powracała. Gdzie jest teraz Tim? Wałęsa się wzdłuż szosy? Śpi na klatce schodowej? Kupuje wielgachny nóż?

Najgorsze było to, że Simon nie mógł absolutnie nic zrobić. Nie stąd. Nie w tym momencie. Potrzebował jakiejś

pracy, żeby zająć czymś umysł. Bez przekonania zaczął przeglądać kolejną książkę: *Isniący*, całkiem nowy tom poświęcony unikatowej konstrukcji klasztoru. Znalazł w nim kilka interesujących szczegółów, zwłaszcza dotyczących detali architektonicznych.

Simon uniósł głowę, wyprostował się, westchnął i rozejrzał się po sali. Za wysokimi oknami rozciągał się niezmierny pejzaż dalekich gospodarstw i winnic. Klasztor naprawdę stał na odludziu. Kanciasty, dziwny i samotny pod szaroczanym teraz niebem.

Zanosilo się na potężną jesienną burzę. Nad doliną Ro-danu przetoczyły się pierwsze grzmoty, od których zatrzęsł się cały budynek. Nawet zakonnik przerwał lekturę, słysząc ten huk, i potoczył dokoła spojrzeniem zza grubych szkieł.

Odgłos grzmotu przywodził na myśl klótnię rodziców gdzieś na piętrze, podsłuchaną przez małe, przerażone dziecko: był jak złowrogi, stłumiony dźwięk ciała padającego na podłogę.

Das Helium und das Wasserstoff.

Dziennikarz wzdrygnął się i spojrzal na tom leżący na końcu stołu. Była to księga gości. Wielkie, oprawne w skórę tomisko, liczące co najmniej tysiąc stron, z historią wpisów sięgającą dziesięcioleci wstecz. Otworzył ją i przejrzał ostatnie noty, w większości sporządzone po angielsku.

Halasy w nocy - nieznośne.

Wyraz czystego geniuszu.

Najpiękniejszy budynek świata. A także najbrzydszy.

Odnalazłem tu spokój. Merci.

Nad ciemniejącą doliną rozbłysnął piorun, na krótko rozświetlając szare mury. Nad Eveux-sur-L'Arbresle lunął deszcz.

Eveux i UArbresle?

Eveux... sur... UArbresle.

Coś drgnęło. Coś się poruszyło w samym środku wiru niepokoju, wywołanego nieznanym losem Tima. Simon uświadomił sobie, że o czymś zapomniał.

Ta gwiazdka na mapie Eduarda Martineza. Gwiazdka pieczołowicie narysowana przez ojca. Może i klasztor był tylko ślepym zaułkiem, ale jednak Eduardo uznał, że to ważny element.

Ale czy naprawdę?

Simon zaczął niecierpliwie kartkować księgę gości, jednocześnie szybko obliczając w pamięci datę. Kiedy wydarzył się wypadek, w którym zginęło małżeństwo Martinezów? Przywołał z pamięci informacje, określił przybliżoną datę i odszukał właściwą stronę. To już piętnaście lat.

Nie pomylił się. Zaczął czytać listę nazwisk: byli tu goście z Ameryki, Hiszpanii, Niemiec... a potem długa seria wyłącznie niemieckich nazwisk, kilku Francuzów, a potem...

Serce Simona było mocno jak pioruny nad dolinami Beaujolais.

Odnalazł krótki komentarz w języku angielskim: „Szukajcie, a znajdziecie?”

A obok widniały dane pielgrzyma: Miasto - Norwich. Kraj — Anglia. Data wizyty - 17 sierpnia.

I wreszcie imię i nazwisko.

Eduardo Martinez.

Potrzebowali trzech dni, by zorganizować przelot do Namibii. Wreszcie opuścili hotel i udali się w krótką podróż samolotem do Frankfurtu. Dopiero z Niemiec wystartowali do nocnego dalekiego, liczącego tysiąc trzysta kilometrów, lotu na południe.

Poza linię równika, niemal nad całą połacią Afryki - aż do Namibii.

Przez całą podróż byli milczący i przygaszeni; nieczęsto się odzywali, jakby nie było o czym mówić. A przecież lecieli w nieznane.

Podczas gdy samolot mknął nad bezkresną i martwą Saharą, David zastanawiał się, co i kogo odnajdą w Afryce. Czy uda się zlokalizować Angusa Nairna i Eloise? A jeśli coś im się stało? Jeśli odnalezienie ich okaże się niemożliwe? Co wtedy? Będą się ukrywać na namibijskiej pustyni do końca życia?

Postarał się stłumić w sobie strach. Bez względu na to, jaki los ich czekał, należało postanowić, co robić dalej.

Amy drzemała u jego boku. David sięgnął po gazetkę pokładową i przekartkował ją w poszukiwaniu map. Namibia była ogromnym krajem. Wielkim, pomarańczowym prostokątem. Przyjrzał się bliżej nazwom nielicznych miast.

Windhoek. Uis. Luderitz. Wszystkie bardzo niemieckie. Relikty niemieckiego cesarstwa. Ale dlaczego jest ich tak niewiele? Wielkie pustkowie, nic więcej.

Przez większą część dwunastogodzinnego lotu Amy spała. Była wyczerpana. David patrzył na nią z czułością i troskliwie poprawiał koc, którym była przykryta. Po pewnym czasie zapadła w naprawdę głęboki sen.

W końcu i David zamknął oczy i pogrążył się w niebycie.

Kiedy się ocknął, słońce już mocno prażyło przez ilu-minatory. Podchodzili do lądowania na lotnisku, jakiego jeszcze nie widział.

Wszędzie dokoła ciągnęła się pustynia - nawet port lotniczy był pustynią. Kilka żalonych palm otaczało szary, zakurzony pas startowy, a tuż za granicami asfaltowej wstęgi zaczynały się ogromne wydmy, niczym pomarańczowe, zamarzniete fale przyboju, z których grzbietów wiatr porywał tumany piachu.

Senni pasażerowie schodzili po schodkach wprost w porażający upał. Afrykańskie słońce zaczynało parzyć, gdy tylko musnęło skórę. Amy osłoniła twarz gazetą; David postawił kołnierz, próbując chronić kark. Lotnisko - wyspa rozpalonego asfaltu na morzu gorącego piasku - było tak małe, że mogli przejść przez cały terminal w ciągu dwóch minut.

Kontrolę paszportową prowadziło trzech ospałych funkcjonariuszy władających angielskim. Po dziesięciu minutach Amy i David byli już na terytorium Namibii. Uśmiechnięty, czarnoskóry taksówkarz zbliżył się do nich, gdy tylko wyszli z budynku na tonący w słońcu parking. Dokąd chcieliby pojechać?

Gorączkowe poszukiwania, prowadzone w kafejkach in-ternetowych w Biarritz, przyniosły pewne efekty: orientowali się w terenie. Swakopmund, miejsce, do którego kierowała ich Eloise, znajdowało się na wybrzeżu, a ściślej w samym środku namibijskiego litoralu. Wydawało się też, że będzie to odpowiednie miejsce do znalezienia przewodników, gotowych poprowadzić ich dalej, na pustynię i w góry.

- Do Swakopmundu, proszę - powiedział David do szofera.

- Okay! Swakop!

Kierowca niedbale rzucił ich torby do bagażnika. Odjechali z piskiem opon, kierując się w stronę drogi przecinającej pustynię. Za idealnie przezroczystą zasłoną drżącego od gorąca afrykańskiego powietrza David dostrzegł na horyzoncie błękitną linię.

- To morze?

- Tak jest! Walvis i Swakop nad morzem. Nad morzem

i mnóstwo, mnóstwo flamingi. Ale nie *schwimmen*, bardzo meduzy i mnóstwo, mnóstwo rekiny. - Wóz wpadł w lekki poślizg, zniesiony potężnym podmuchem wiatru. Kierowca tylko się zaśmiał. - Przyjechali zły sezon!

- Naprawdę?
- Zima chłodna. Wiatr, a może i deszcz.
- Chłodna?
- Tak jest. Ale Swakop zawsze wiatr. I teraz chłodno.

Prąd Benguelski.

David spoglądał na bezkresne, faliste wydmy; w pełnym słońcu wydawały się żółto-białe. Chmury piasku przelatywały nad drogą, niczym pomarańczowe węże, wijąc się i znikając po drugiej stronie.

Teraz, gdy byli prawie na miejscu, plan odnalezienia Eloise wydał im się fatalnym błędem, wręcz donkiszoterią w czystej postaci. Trafili do pustej krainy, o populacji zaledwie dwóch milionów mieszkańców, rozrzuconych po zmasakrowanym przez słońce terytorium wielkości Francji i Wielkiej Brytanii razem wziętych. Szukali tu jednego mężczyzny i jednej kobiety. Czy hotel, do którego się kierują, w ogóle istnieje?

- Swakop! - zawołał kierowca taksówki, wskazując ręką.

David rozglądał się uważnie, gdy wjeżdżali na ulice miasta, i jego poczucie absurdalności otoczenia tylko się pogłębiło. Z piasków pustyni wyłoniła się bowiem parodia bawarskiego miasteczka. Były tu i ozdobne domki, i typowo niemieckie kościółki z wieżami oraz małe sklepiki z szyldami wypisanymi gotykiem, sprzedające niemieckie gazety i piwo Becks. Tyle że na chodnikach kłębił się tłum czarnoskórych ludzi, pomarańczowobeżowych ludzi, nielicznych białych wyglądających na turystów ze Stanów Zjednoczonych lub Australii oraz typowych Niemców w... *lederhosen*?

Kierowca zawiózł ich wprost do hotelu, którego nazwę podała im Eloise. Pochwalił zresztą ich wybór, miał bowiem brata, który niegdyś zatrzymał się tam na noc i „zjadł tyle ostryg, że niedobrze mu się zrobiło”. Hotel był spory, biały i trochę zaniedbany. Może i ze ścian odłaziła farba, za to z okien rozciągały się widoki na nabrzeże i dalej, na bezkresny, szarobłękitny ocean.

Na brzegu wędkowało kilku białych, ubranych w grube

kurtki i swetry. Splamione krwią wiadra pełne oślizłych ryb były dobitnym dowodem ich sukcesów. Rozmawiali po niemiecku i śmiali się, zając ciemne ciasto.

Widząc ich zdobycz, David pomyślał automatycznie o Jose: o małych węgorzach, które okazały się jego ostatnim posiłkiem. I o strzałach z pistoletu, o podwójnym samobójstwie i o bryzgach krwi na ścianie. A potem o płynnych ciałach, które chlusnęły zza piwnicznych drzwi.

W hotelowym sklepie kupili polarowe bluzy, a potem wzięli prysznic, przebrali się i rozpoczęli poszukiwania. Nie zwlekali, choć byli bardzo zmęczeni, wręcz wyczerpani; konieczność odnalezienia Eloise popychała ich do działania. Wypili po dwie mocne kawy, by odzyskać wigor, i spróbowali zrobić to, po co tu przybyli: znaleźć bezpieczeństwo, Eloise oraz odpowiedź.

Ich „kontaktem” miał być zastępca kierownika hotelu Raymond. Znaleźli go w biurze za stanowiskiem recepcji. Niewysoki Namibijczyk o smutnych oczach, siedział pochylony nad wiekowym monitorem komputera.

Spojrzał na nich tylko raz, z powagą skinął głową, a potem rzekł:

- Wiem, po co przyjechaliście. Ale najpierw musicie odpowiedzieć na pytanie - dodał, nieomalże kłaniając się przed nimi. - Co robiła Eloise w chwili, gdy zobaczyliście ją po raz pierwszy?

David odpowiedział bez namysłu:

- Była w domu i celowała do nas ze strzelby.

Raymond twierdząco skinął głową. Odwrócił się, sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej skrawek papieru. David rozpoznał charakter pisma, którym zanotowano ciąg cyfr 1 liter.

- Współrzędne GPS.

- Tak.

- Ale gdzie to jest?

Zastępca kierownika hotelu wzruszył ramionami.

- Damaraland to busz. Tylko tyle wiem... A teraz proszę wybaczyć, ale pracuję. Przykro mi, jesteśmy bardzo zajęci. Szwajcarska wycieczka.

Spojrzał na nich po trosze ostro, a po trosze z obawą. Widać było, że chciałby, aby ci niepokojący przybysze jak

najszybciej opuścili biuro, zabierając ze sobą swoje dziwne sprawy. Amy i David potrafili to zrozumieć, ale też zdawali sobie sprawę, że sytuacja nie zmieniła się zbyt na lepsze. Koordynaty wskazujące jakiś punkt w samym środku głuszy? David czytał wystarczająco dużo o Namibii, żeby wiedzieć, że Damaraland to szmat pustyni i półpustyni na północny wschód od Swakop. W jaki sposób mieli kogoś odnaleźć na tak ogromnym terenie? Nawet znając współrzędne?

Mimo wątpliwości zabrali się do pracy: należało jak najszybciej znaleźć kogoś, kto zechce zawieźć ich w głąb kraju. Było to trudne, a właściwie niemożliwe. Zaglądali do sklepów ze sprzętem turystycznym i z odzieżą sportową, do wypożyczalni samochodów. Gdy tylko wyjaśniali, czego potrzebują, sprzedawcy i znawcy tutejszego terenu śmiali im się w twarz. Pewien Australijczyk, paradujący w szortach mimo chłodu, ojcowskim gestem zarzucił rękę na ramiona Davida i powiedział:

- Słuchaj, kolego, Damaraland, powiadasz? Tam nie ma dróg. Musicie zorganizować ekspedycję. Potrebujecie dwóch albo trzech wozów z napędem na cztery koła i zajebistego arsenału. To nie Hyde Park, kolego. Lepiej spróbujcie kite-surfingu.

Mniej więcej tak to wyglądało za każdym razem, aż w końcu pojawiła się mgła. Wydawało im się, że dwa dni niepokoju, wiatru i chłodu to wystarczający problem - teraz było jeszcze gorzej. W Swakopmundzie nastał czas niesławnej mgły Wybrzeża Szkieletowego.

Nagle zrobiło się tak, jak bywa w grudniu w Szkocji: gęsty, ponury całun spowił ulice miasteczka, skazując wycieczki Niemców w skórzanych porteczkach na koczowanie w przytulnych, ciepłych hotelach. Nie widać było nawet czarnych statków unoszących się na zimnym namibijskim morzu i tylko żółtopomarańczowi tubylcy siedzący w kucki pod ścianami wydawali się nieczuli na kaprysy pogody: mrużyli spalone słońcem powieki i ubrani w rozpinane swetry i dziurawe dzinsy bez końca gapili się w szarą, wilgotną nicłość. Wyglądali jak Baskowie, spoglądający na górską mgłę schodzącą w doliny z wyższych partii Pirenejów.

W najbardziej mglistą noc, gdy byli już naprawdę zdespe-

rowani i gdy drżąc z zimna, wędrowali po Moltkestrasse, natknęli się na bar, którego wcześniej nie widzieli: Becken-bauer Bar.

Lokal był ciasny i bawarski w wystroju; dobiegający z niego hałas słyhać było nawet z odległości pięćdziesięciu metrów. Goście uciekający przed wilgocią i chłodem ulic wstępowali tu chętnie, tworząc wesoły tłum. Śpiewali niemieckie piosenki, rechotali, zamawiali kufle lagera i podzwaniali nimi, wznosząc toasty.

Amy i David cudem znaleźli stolik w kącie sali i usiedli, ciesząc się ciepłem. Czarnoskóry kelner podszedł do nich i przekrzykując szczególnie głośną niemiecką pieśń, zapytał, czego sobie życzą.

- *Ein bier* - odezwał się niepewnie David.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Nie trzeba. Znam angielski. Tafel czy windhoek?

- Chyba tafel.

Amy z coraz większym zdziwieniem przyglądała się rozbawionym Niemcom. Gdy kelner odwracał się, by odejść, skinęła na niego ręką.

- Przepraszam?

- Tak, proszę pani?

- Co oni tak świętują? - spytała cicho.

Kelner wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że to dzień Wniebowstąpienia.

Amy zmarszczyła brwi.

- Dzień Wniebowstąpienia obchodzi się czterdzieści dni po Wielkanocy, nieprawdaż? Czyli zwykle w maju. - Zmarszczyła czoło. - A przecież mamy wrzesień.

Kelner skinął głową.

- Nie, nie Jezusa. Hitlera.

Czytając stary wpis w księdze gości, Simon z trudem opanował okrzyk triumfu. Ojciec Davida naprawdę tu był. Piętnaście lat wcześniej. Rozpracowywał ten sam trop. Był w połowie drogi do rozwiązania dokładnie tej samej zagadki.

Ostatni grzmot wybrzmiał za oknami. Podniecenie Simona stopniowo słabło. Właściwie co wynika z tego, że Eduardo Martinez był tutaj przed piętnastoma laty. To jeszcze nie znaczy, że coś tu znalazł.

„Szukajcie, a znajdziecie?”

Dlaczego postawił na końcu znak zapytania? Co miał na myśli? Bo chyba gdyby znalazł w tym klasztorze coś ciekawego, napisałby po prostu „Szukajcie, a znajdziecie”. Z kropką, nie ze znakiem zapytania. Dlaczego w ogóle napisał ten krótki komentarz? Musiał czuć, że przynajmniej szuka czegoś w tych betonowych ścianach. To nie był przypadek, że trafił akurat tutaj.

Simon ucieszył się, słysząc dzwonek, który wzywał wszystkich na kolację. Był bowiem nie tylko zdezorientowany, ale i porządnie głodny. Nie mówiąc o tym, że w sumieniu słyszał nieustannie tę samą mantrę: wracaj do domu, wracaj do domu, wracaj do domu. Znajdź Tima, znajdź Tima, znajdź Tima...

Chrapliwe brzęczenie dzwonka pobudziło do życia cały klasztor. Ze wszystkich zakątków, z kaplicy, dachu, cel i ogrodów, wychodzili zakonnicy i pielgrzymi, by spotkać się w przestronnym refektarzu, napić się miejscowego wina z dzbanków i zjeść sałatkę oraz porcję jagnięciny, czekające już na długim stalowym kontuarze.

Simon usiadł przy najdłuższym ze stołów, wraz z najlicz-

niejszą grupą. W gruncie rzeczy jednak nieśmiałość toczyła w nim walkę z niecierpliwością: chciał jak najszybciej uzyskać informacje. Miał tylko ten jeden wieczór. Miał ochotę napić się wina, ale wybrał wodę. Między daniami wysłał żonie kolejny SMS: „Jakieś nowiny”. „Żadnych”, odpisała.

Przy drugim końcu długiego stołu zasiedli do kolacji bracia zakonnicy. Niektórzy rozmawiali z gośćmi, inni milczeli, pogrążeni w kontemplacji. Pewien łysy zakonnik po sześćdziesiątce, o mocno zatroskanym obliczu, zajęty był gorącą dysputą z młodym, jasnowłosym mężczyzną, bez wątpienia przyjeźdnym. Duchowny miał na sobie całkiem zwyczajne cywilne ubranie - jak wszyscy jego towarzysze. Wydawało się, że wyjątkowo często sięga po wino.

Simon rozmawiał z ludźmi siedzącymi w pobliżu. Słowacki artysta szukał natchnienia. Belgijski dentysta przeżywał kryzys religijny. Dwaj duńscy studenci najwyraźniej zjawili się tu dla draki: chcieli odwiedzić ten przerażający przybytek, w którym ludzie dostają fioła. Było też dwoje wierzących, autentycznych pielgrzymów z Kanady.

Burza minęła. Na zewnątrz zapadły już ciemności. Simon skończył kolację i siedział teraz przygarbiony, samotny. Pił kawę. Po pewnym czasie znowu wysłał wiadomość do Suzie.

„Niestety, żadnych nowin”.

I właśnie wtedy, gdy tak siedział skulony zrezygnowany, posłyszał słowa, które postawiły go na nogi: „Pius Dziesiąty”

Przesunął się dyskretnie w stronę, z której dobiegał ten dialog, nie przestając spoglądać prosto przed siebie.

Rozmowę prowadziły dwie osoby: zakonnik po czterdziestce i starsza kobieta, która przybyła tu z pielgrzymką ze Stanów Zjednoczonych albo z Kanady. Simon z uwagą nadstawił uszu.

- Ojciec McMahon jest tu już od ośmiu lat.

- Tak?

- Jak mówiłem, panno Tobin, poprzedni bibliotekarz miał... no cóż... miał raczej nie najlepszy wpływ na innych. Był członkiem Bractwa, zanim zostało ekskomunikowane.

- Rozumiem. Ale kiedy to było? Ojciec był pewnie wtedy jeszcze w nowicjacie?

- Tak. W latach dziewięćdziesiątych studiowało tu wielu zakonników. Niestety, ten bibliotekarz przekazywał im nie zdrowe nauki; postępował doprawdy nieroztropnie. Bractwo miało tu wówczas rozległe wpływy. Ale teraz mamy ojca McMahona. I zaprzestaliśmy działalności dydaktycznej. Może doleję pani jeszcze trochę wina?

Kobieta podsunęła kieliszek. Rozmowa dobiegała końca.

Simon dopił kawę, nawet nie czując jej smaku: czuł za to wyraźnie smak małego triumfu. Zatem to było wyjaśnienie. Tomasky był tutaj, jako młody i gorliwy kandydat na zakonnika. I dowiedział się czegoś od bibliotekarza. Ale czego dokładnie? Co tak bardzo zmieniało ludzi? Sekrety ukryte w tym klasztorze miały zadziwiającą moc budzenia w ludziach religijnego zapału, niekiedy prowadzącego wręcz do morderczych skłonności.

A przecież nie natrafił tu nawet na ślad tajnych archiwów.

Simon wstał, gotów opuścić refektarz - może należało jeszcze raz przejrzeć tutejszy księgozbiór? Może archiwum zostało jakoś ukryte? Może zastosowano jakiś szyfr?

Naturalnie była to opcja rozpaczliwa, ale Simon był już bliski rozpaczy. Miał do dyspozycji tylko ten jeden wieczór. Ruszył w stronę wyjścia i w tym momencie zobaczył młodego blondyna, tego samego, który prowadził dysputę z mnichem. Teraz siedział sam na końcu stołu.

Zamyślony.

O co się tak zaciekle spierali?

Dziennikarz postanowił skorzystać z okazji. Zbliżył się, wyciągając rękę. Młody mężczyzna uśmiechnął się przyjaźnie.

- *Guten Abend*. Julius Denk!

- Ssssimon eee.... Edgar Harrison.

Głupi błąd. Ale Julius Denk najwyraźniej nie zwrócił nań uwagi albo było mu wszystko jedno. Był ożywiony, a jednocześnie jakby rozkojarzony. Jego okulary w cienkiej oprawie połyskiwały w blasku lamp. Mówił dobrze po angielsku; był studentem architektury ze Stuttgartu i interesował się Le Corbusierem. Dzięki ojcu dziennikarz był na tyle zorientowany, że mógł dość swobodnie wypowiadać się na temat architektury. Przez chwilę wymieniali poglądy.

A potem Simon zapytał Juliusa o zakonnika, z którym rozmawiał przy kolacji.

- Bardzo nieszczęśliwy. Amerykanin irlandzkiego pochodzenia. Pije. Jest tu od siedmiu lat.

- Tak?

- *Ja*. Zdaje się, że jest archiwistą. Mówi, że przeżywa kryzys wiary. Po prostu traci wiarę w Boga. Nie za dobrze dla kogoś, kto jest zakonikiem, co? - Młody Niemiec roze śmiał się. - Ale żał mi go. Tylko trochę za dużo gada. Bo wino mają tu dobre, *nicht wahr?*

Simon przytaknął. Nagle przyszła mu do głowy zaskakująca myśl. Archiwista traci wiarę? Dlaczego? Julius nie przestawał mówić.

- Mówi pan, Herr Harrison, że przyjechał tu podziwiać dzieło Le Corbusiera? I co pan o nim myśli?

- Moim zdaniem jest w porządku.

- *Ja?* A które jego budowle ceni pan najbardziej?

- Podobała mi się jego willa w Paryżu.

- Savoye?

- Właśnie tak. Jest całkiem do rzeczy.

Julius rozpromienił się.

- To prawda. Ja też podziwiam wille. I może jeszcze Ronchamps. Ale na pewno nie to gmaszysko; istna katastrofa. Czyż nie?

Simon wzruszył ramionami. Nie był gotowy na dyskusję o odmianach betonu oraz Modulorze Le Corbusiera, a już na pewno nie wtedy, gdy jego myśli zaprzętała niepewna sytuacja w domu.

Mimo to postarał się odpowiedzieć w miarę sensownie.

- To niepokojący budynek. To prawda. Te hałasy, które się wszędzie słyszy, zwłaszcza w górnej części.

- Wszystkie dźwięki ulegają wzmocnieniu. Tak, tak! I zdaje mi się, że nocą jest jeszcze gorzej. Ciągłe mam wrażenie, że słyszę, jak się mnisi masturbują. - Niemiec zachichotał. - Dlatego zastanawiam się, dlaczego tak to wszystko zaprojektował. Czy to miała być forma pokuty?

- Albo środek zapobiegawczy, żeby mnichom brzydkie myśli nie przychodziły do głowy. „Uważaj, bo cię ktoś usłyszy!”

Po chwili Julius przestał się śmiać. Simon spróbował jeszcze pchnąć tę rozmowę naprzód. Po raz ostatni.

- Jak rozumiem, nie przepadasz za Le Corbusierem, Julius?

- *Nein*. Nie przepadam. A to miejsce tylko mnie w tym utwierdza.

- Dlaczego?

- Dlatego, że Le Corbusier był kłamcą!

- Jak to?

Niemiec zmarszczył brwi.

- Pamięta pan, co powiedział? - Twarz Juliusa Denka wyrażała teraz melancholię z domieszką pogardy. - Pamięta pan?

- Nie.

- Mówił, że forma wynika z funkcji, ja? Ale czy naprawdę tak myślał? Moim zdaniem nie.

- W porządku...

- Mogę nawet coś panu pokazać, żeby to udowodnić!

Hier.

Sięgnął do torby i wyjął z niej jakiś papier. Simon spojrzał z zaciekawieniem. Wyglądało jak rysunek techniczny. Plan budynku. Niemiec wskazał nań palcem.

- Oto przykład. Przywiozłem to ze sobą. To plan całego gmachu, skopiowany z muzeum Corbusiera w Szwajcarii.

Schemat. Plan.

Tak, to było interesujące. Bardzo interesujące. Szczegółowy plan całego klasztoru. Simon przyglądał się rysunkowi szeroko otwartymi oczami, a jednocześnie usiłował nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zaciekawiony.

- I co z tego wynika?

- Tu - odparł Niemiec, wskazując palcem. — Widzi pan? Skoro wszystko ma być takie funkcjonalne, to co to ma być?

„To” było plataniną linii przerywanych i ledwie widocznych kątów, opisanych za pomocą liczb i greckich liter. Simon nie miał pojęcia, o co Juliusowi chodzi. Od sześciu godzin udawał, że jest architektem, ale teraz już nie był w stanie podtrzymać naiwnej i wątpliwej iluzji.

- Dla mnie wygląda to całkiem normalnie.

- Nie widzi pan?

- Lepiej powiedz od razu, o co chodzi.

Julius uśmiechnął się triumfalnie.

- Przestudiowałem plany budynku, ale ten fragment jest po prostu bez sensu.

- Ta...

- Piramida. Piramida nie pełni absolutnie żadnej funkcji. Po prostu tkwi w samym środku gmachu. Sprawdziłem: nie ma tam nawet przewodów grzewczych, nie mówiąc o funkcji konstrukcyjnej. Nikt nie umie tego wyjaśnić. Stąd wniosek, że to tylko dekoracja, która niczemu nie służy. Rozumie pan?

Simon zawahał się, czując lekki ucisk w gardle.

- Rozumiem.

- To oznacza, że był kłamcą! Wielki Le Corb był oszustem. Narysował sobie tę piramidę jako ozdobnik. To czysto dekoracyjny dodatek architektoniczny. Ten człowiek był szarlatanem! Forma wynika z funkcji? Nonsens!

Simon podniósł plan i przyjrzał się z bliska. Piramida wyrastała z piwnic. Jeżeli był do niej dostęp, to najpewniej z najniższej kondygnacji klasztoru. Z ciemnej i tajemniczej kaplicy.

To musiało być to. Jeśli istniało miejsce, którego szukał, to właśnie tam - bo tylko tam jeszcze nie dotarł.

Do piramidy.

- Niesmaczne, nieprawdaż?

David odwrócił się i zobaczył postawnego blondyna w koszulce z kołnierzykiem. Mężczyzna usiadł przy sąsiednim stoliku i przypatrywał się coraz bardziej rozbawionym Niemcom.

Mówił z południowoafrykańskim akcentem. David wzruszył ramionami, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

- Przepraszam. - Blondyn beknął. - Ale podsłuchałem państwa rozmowę. Kelner ma rację. Ci łajdacy świętują nazistowskie święto.

Nieznajomy przecesał palcami gęste, jasne włosy. Był wysoki, mocno opalony i pełen życia. Mógł mieć trzydzieści pięć lat.

- A przecież ja też jestem Niemcem! Przynajmniej z pochodzenia - dodał, po czym wyciągnął rękę. - Jestem Hans. Hans Petersen. Przychodzę tu tylko na tafel, najlepsze piwo w Swakop. - Znowu się uśmiechnął. - Moja rodzina pochodzi z Otasha. Hoduje bydło.

David przedstawił siebie i Amy.

- Zatem... - powiedział, ruchem oczu wskazując na imprezujących Niemców — ...po co to robią? Czy to jakiś żart?

- Dla niektórych z nich być może tak. - Hans pociągnął solidny łyk piwa. - Przylatują tu z Niemiec i stroją sobie żarty z tej rocznicy. Twierdzą, że to ironia. Chcą zszokować burżujów, ale dla innych to wcale nie farsa. Niektórzy są potomkami nazistów albo są spokrewnieni z tymi, którzy uciekli tu po zakończeniu wojny. Są i tacy, którzy pochodzą ze starych rodzin kolonialnych; ci świętują sukces Hitlera

już od 1933 roku. - Blondyn otarł usta nadgarstkiem. - A wy co tu robicie?

- My... Próbujemy znaleźć jakiś środek transportu, żeby się dostać do Damaralandu. Mamy się tam z kimś spotkać. Tylko że to chyba niewykonalne zadanie.

Niemiec wysłuchał go bez mrugnięcia okiem.

- Do Damaralandu, powiadasz?

- Tak.

Hans zmierzył ich wzrokiem.

- Cóż, możliwe, że to wasz szczęśliwy dzień.

- Jak to?

- Mogę was tam zabrać. Być może. Wiozę paru obrońców środowiska; jadą dopieszczać trąbale.

- Co takiego?

- Pustynne słonie. Tym się zajmuję. Farmę zostawiłem bratu; dla mnie to zbyt nudne. - Zachichotał. - Pomagam ekologom i rządowi. Urządzam też safari dla turystów; mam flotę czterech terenówek z napędem na cztery koła. Bo Namibia to nie jest najłatwiejszy kraj do zwiedzania samochodem.

Amy uśmiechnęła się niepewnie.

- Zauważyliśmy.

Hans kiwnął głową, zaśmiał się i zamówił kolejne piwo. Zadał im jeszcze kilka szczegółowych pytań, a potem parę jeszcze bardziej szczegółowych i wreszcie wstał, rzucił na stół trochę namibijskich dolarów i skinął na kelnera. - W porządku. Jesteśmy umówieni! Cieszę się, że mogę wam pomóc, bo zdaje się, że właśnie tego wam najbardziej potrzeba. - Ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się jeszcze. - Tylko będziecie musieli wcześniej wstać. Ruszamy o siódmej rano. Czeka nas długa droga.

- Gdzie się spotkamy?

- Przy pomniku ludu Herero. Trudno nas nie zauważyć: Faceci z land roverami to my.

Hans zniknął w ciemnościach za drzwiami baru, a David spojrzął na Amy. Naprawdę dopisało im szczęście. Odetchnęli z ulgą, zapłacili rachunek i taksówką wrócili do hotelu.

Optymistyczny nastrój nie trwał jednak długo. Kiedy minęli recepcję, dostęp do windy zagroził im nieśmiało Raymond. Wyglądał na przygaszonego.

- Dobry wieczór.

- Raymond.

Mężczyzna był wyraźnie zatroskany: machnął dłonią na wysokości ust, dając im znak, że muszą być bardzo cicho. Kolejny gest wskazał im drogę do najciemniejszego kąta hotelowego holu.

- Proszę, proszę - syknął. - Proszę ze mną. Posłuchajcie.

- Raymondzie...

- Ktoś was szuka!

- Kto taki?

W szeroko otwartych oczach dziewczyny malował się lęk. Raymond wzruszył ramionami. W całym hotelu panowały półmrok i głęboka cisza.

- Niski człowiek. Dość gruby. Hiszpański akcent.

- Czy to może być Enoka? - spytała szeptem Amy.

David zignorował pytanie.

- Co mówił?

- Niewiele. Tylko tyle, że szuka białej pary. Opisał was. Nic mu nie powiedziałem, ale on nadal szuka. Ma tatuaż na ręku. Jakby niemiecką swastykę.

- Enoka - stwierdziła z przekonaniem Amy.

Enoka.

Amy już biegła w stronę wind.

- Musimy się ukryć.

Uciekli do pokoju i zamknęli drzwi na klucz. Położyli się do łóżka w ubraniach, ale prawie nie spali.

Gdy David się ocknął, miał w głowie tylko mgliste wspomnienie nocnego koszmaru. Śniła mu się Amy. A także Miguel. Dlatego nawet się cieszył, że nie może sobie przypomnieć szczegółów.

Mgła zniknęła. Pośpiesznie spakowali swoje rzeczy, ostatni raz spojrzeli na morze - tym razem lśniąca w promieniach słońca - i wymknęli się z hotelu. Kilkaset metrów dzielących ich od pomniku Hererów pokonali taksówką, skuleni na tylnej kanapie. Byli naprawdę mocno wystraszeni.

Rzeczywiście trudno było nie zauważyć Hansa i jego wozów: dwóch wielkich land roverów w kolorze ochry, z logo i napisem „Projekt: Pustynny Słoń” na burtach. Wozy wiozły na dachach całe sterty sprzętu. Hans powitał Davida i Amy mocnym uściskiem dłoni i wskazał na drugie auto.

- Tamten jest pełny. Lepiej usiądźcie z nami - powie-

dział, po czym wrzucił ich torby do bagażnika pierwszego samochodu. Po chwili przyjrzał się swoim pasażerom z lekko drwiącym uśmiechem. - Dobrze się czujecie? Bo wyglądacie na trochę roztrzęsionych.

- Świetnie. Po prostu... chcielibyśmy już wyruszyć.

- Dobrze, że przynajmniej mgła się zmyła, co? Jak mój wilem, lepiej pojedźcie ze mną i z Samem. Chyba że chcecie przez dwanaście godzin gadać o zoologii. Hej, oto i mój adiutant! Sammy!

Młody Murzyn odwrócił się i błysnął zębami w uśmiechu. Hans wskazał mu kciukiem Amy i Davida.

- Oni jadą z nami. Wyrzucimy ich za Ugab. Będą się dzieć w naszym wozie - wyjaśnił, po czym zwrócił się do Davida: - No dobra, ładujemy się.

David i Amy natychmiast wskoczyli do kabiny. Sekundy ciągnęły się niemiłosiernie, a samochody wciąż stały w miejscu.

- No, dalej - szepnęła Amy do siebie. - W czym problem? Nie możemy po prostu ruszyć?

Czekali. I pocili się. Starali się pozostać niewidoczni w ciemnym wnętrzu samochodu. Po kilku minutach, które trwały całą wieczność, Hans wreszcie wskoczył do wozu i z rozmachem trzasnął drzwiami. Silniki wielkich terenówek obudziły się do życia. To była prawda. Wyjeżdżali z miasta. Niespiesznie minęli przedmieścia Swakop: czerwone i niebieskie bungalowy, slumsy, ostatni zakurzony supermarket i wreszcie dawno zapomnianą linię kolejową. Znaleźli się na pustyni.

David miał wrażenie, że połyka ich ta głęboka cisza i bezmiar pustkowia, ale jednocześnie czuł głęboką ulgę. Na uliczkach Swakop wozy wyglądały na wielkie i zwracały uwagę wszystkich, tu zaś były tylko dwiema plamkami na nieskończonej połaci piachu.

I dobrze.

David i Amy siedzieli z tyłu; Sammy i Hans gawędzili na przednich fotelach. David domyślał się, że mówili językiem Hererów, albo jakiegoś innego lokalnego plemienia. Hans miał pod ręką współrzędne GPS, które dostał od Amy. Dość często porównywał je ze wskazaniem nawigacji satelitarnej i z zadowoleniem kiwał głową.

Szutrowa droga, oświetlona ukośnymi promieniami porannego słońca. Z rzadka tylko zardzewiała ciężarówka albo wielka, nowiutka terenówka mijają ich, zmierzając w przeciwnym kierunku. Wzbudzone ich kołami tumany kurzu już z daleka wyglądały jak sygnały dymne na pustym, błękitnym niebie. Niektóre z półciężarówek wiozły czarnoskórych robotników w szarych kombinezonach: pólzeli na pace, paląc papierosy albo drzemiąc. W lśniących SUV-ach z reguły siedzieli samotni biali mężczyźni, którzy leniwie unosili jeden palec w geście pozdrowienia, gdy ich mijali.

David się zastanawiał, czy Raymond rzeczywiście widział Enokę. Może to tylko paranoja, a może pomyłka, zwykła pomyłka? Tylko że trudno było pomylić z czymkolwiek ten tatuaż. To musiał być Enoka.

W wozie było gorąco i David zaczął się pocić. Potarł czoło, próbując rozpracować sytuację. Możliwe, że Miguel i Bractwo zdołali odgadnąć, gdzie zniknęła Eloise. Ludzie Bractwa najwyraźniej doskonale zdawali sobie sprawę z istnienia projektu GenoMap. W końcu to oni byli odpowiedzialni za zabójstwo Fazackerly'ego w Londynie - zabili go, bo był związany z GenoMap. Wiedzieli wszystko o tym projekcie i bezwzględnie dążyli do zahamowania jego prac; zabijali każdego, kto miał jakiegokolwiek związki z obozem w Gurs i z Cagotami. I to wszystko na rozkaz Kościola?

Tak czy inaczej, musieli też wiedzieć o namibijskim śladzie, o Fischerze i Kellerman Namcorp.

Proste powiązanie faktów wskazywało na dość oczywistą odpowiedź: Nairn i Eloise przebywali w Namibii. David i Amy też. Zatem ich tropem przybył tu także Miguel.

David rozejrzał się, znowu bliski rozpaczy. Czy jeszcze kiedyś poczuje się bezpiecznie? Fioletowoczarne góry załśniły na horyzoncie. Co jakiś czas pojawiały się miraży, które szybko zniknęły: nieistniejące jeziora, połyskujące w blasku rozpalonego słońca. Upał był już nieznośny i wszyscy podróżni coraz częściej sięgali po wodę.

Widok gór przypomniał Davidowi o Pirenejach, a to z kolei przypomniało mu o mapie, którą teraz wyjął z kieszeni. Amy na wpół drzemała, przytulona do niego.

Rozwinął arkusz miękkiego papieru. Znał już znaczenie wszystkich niebieskich gwiazdek, nawet tej koło Lyonu. Po-

została już tylko ta jedna linijka napisana drobnym maczkiem na odwrocie. Odwrócił mapę i spojrzął na litery, tak spłowiałe, tak małe, prawie nieczytelne. To nie było pismo jego ojca. David zbliżył papier do twarzy i zmrużył powieki. Czyżby niemieckie słowo? Strasse? Czyżby jakaś ulica? Możliwe. A może to tylko teutońska atmosfera Namibii tak na niego wpływała, kierując na niewłaściwy trop.

Ostrożnie złożył mapę, kryjącą ostatnią nierozwiązaną zagadkę. A potem pocałował nagie, słodkie ramię śpiącej Amy, mając nadzieję, że nie śni jej się Miguel.

W końcu Hans odwrócił się ku niemu, jedną ręką trzymając kierownicę.

- Pusto, co?

- Słucham?

- Pusto w tej Namibii. A wiesz dlaczego?

- Nie.

- To sprawka moich rodaków. Opróżnili ten cholerny kraj — wyjaśnił, marszcząc brwi. - Niemcy... Słyszałeś kiedy o holokauście ludu Herero?

David stwierdził, że niestety nie.

W tym momencie Amy się obudziła, przetarła oczy i zaczęła słuchać.

- Niesamowita historia - ciągnął Hans, spoglądając na milczącego Sammy'ego. Obrócił się i wbił spojrzenie w dziurawą drogę. Po chwili pociągnął łyk wody z niewielkiej butelki i zaczął mówić dalej: - W 1904 roku lud Herero zbuntował się — doszło do masakry dziesiątek niemieckich osadników. Brat mojego prapradziadka omal nie zginął w tych rozruchach. - Zmienacka wyciągnął rękę w stronę szyby. - Strusie!

Amy i David wyciągnęli szyje, by przyjrzeć się trzem lub czterem wielkim, niezgrabnym ptakom, które biegły drogą przed samochodem. Ze swymi nastroszonymi, czarno-białymi kuprami wyglądały jak spłoszone, wiktoriańskie stare panny, umykające przed zboczeńcem. Był to komiczny widok, ale Hansowi nie było do śmiechu.

- Na czym to ja stanąłem? Aha. Niemcy uznali tę rewolucję za poważne zagrożenie dla potencjału ich bogatej w dialekt kolonii, więc wysłali pruskiego imperialistę, Lothara von Trotha, żeby zdławił powstanie. - Hans znowu napił się

wody. - Cesarz powiedział mu, że ma „naśladować Hunów” w ich barbarzyństwie. Von Trotha obiecał mu, że posłuży się „okrucieństwem i terrorem”. Przemiała gromadka, ci niemieccy imperialiści. - Hans skręcił kierownicą w lewo i w prawo. - I tak właśnie się to odbyło. Okrucieństwo, terror... i ludobójstwo. Po kilku bitwach, gdy Hererowie byli już zdziesiątkowani, nasz uroczy von Trotha postanowił raz na zawsze rozwiązać problem, niszcząc cały lud Here-ro. W 1907 roku wydał niesławny rozkaz eksterminacji, *vernichtungsbefehl*. Zdecydował, że zgładzi ich *in toto*. Do ostatniego człowieka. Cały naród.

- Jezu - westchnęła cicho Amy.

- Ano - zgodził się Hans. - Wypędzono ich na zachód, na pustynię Kalahari, żeby tam poumierali. Przy wszystkich źródłach wody ustawiono posterunki, żeby tubylcy nie mogli się napić; zatruto też niektóre studnie. Musicie pamiętać, że to była naprawdę okrutna pustynia. Hererowie nie mieli ani żywności, ani wody. Cały naród cierpiał więc głód i pragnienie. Nie potrwało to długo. Niektóre kobiety z dziećmi próbowały wracać, ale zostały zastrzelone na miejscu. - Szarpnął kierownicą, by uniknąć rozjechania stadka ptaków siedzących na drodze. - Istnieją relacje naocznych świadków tego holokaustu. Niewiarygodnie przejmujące. Setki ludzi leżało na pustyni, konając z pragnienia. Dzieci odchodziły od zmysłów, kryjąc się wśród ciał zmarłych rodziców. Brzęczenie much było ponoć ogłuszające, a sparaliżowani ludzie byli żywcem pożerani przez drapieżniki.

- Ilu ich zginęło? - spytała cicho Amy.

Wzruszył ramionami.

- Nie ma dokładnych danych. Wiarygodni historycy oceniają, że uśmiercono mniej więcej sześćdziesiąt tysięcy Hererów. Czyli siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent całego ludu. - Niemiec zaśmiał się bardzo posepnie. - O tak, liczby... Kochamy liczby, nieprawdaż? Białemu człowiekowi znacznie łatwiej jest posługiwać się liczbami. Zgrabne, precyzyjnie obliczone odsetki. Siedemdziesiąt pięć i sześćdziesiąt dwie setne procenta! - Hans ze złością machnął ręką i wskazał na pustynię. - Tamta rzeź po dziś dzień ma wpływ na demografię Namibii. I wyjaśnia, skąd takie pustki.



David milczał, przybity tym wszystkim: okropną opowieścią, poruszającą martwością krajobrazu, niesamowitym upałem i nieznośnym blaskiem słońca. Wydawało mu się, że tu, w Namibii, wszystko karłowacieje.

- Uis. Dojeżdżamy do Uis.

Miasto Uis, które na mapie wydawało się znaczącym punktem, okazało się zaledwie wioską. Kilka zakratowanych sklepów z alkoholem stało w pobliżu trzech stacji benzynowych. Na ścianie szarego betonowego budynku, prawdopodobnie restauracji, reklamowano ryby, zapiekanki i grecką sałatkę. Kilka blaszanych bud, kilka dużych domów z wysokimi ogrodzeniami oraz niezbyt liczne chaty i bungalowy - tak wyglądała spalona słońcem dzielnica mieszkaniowa w Uis.

Wielu ludzi siedziało w kucki wokół stacji benzynowych, wpatrując się w rozpaloną pustkę i w nadjeżdżające land rovery. Piaszczyste drogi umykały z wioski i kryły się w pobliskich, nader rzadkich zaroślach. Cienie ludzi i budynków odznaczały się wyjątkowo wyraźnie na pokrywającym wszystko pyle. Czerń, czerń, czerń i nagle oślepiająca biel.

Hans zatrzymał wóz na jednej ze stacji benzynowych. David i Amy wysiedli na chwilę, żeby rozprostować nogi, ale żar lejący się z nieba był nie do zniesienia - czym prędzej wrócili pod dach. Płacąc za paliwo, Hans przyglądał im się sceptycznie.

- Macie może jakieś czapki?

Oboje zaprzeczyli.

- Ludzie! Tutaj obowiązują trzy zasady. Zawsze noś czapkę. Tankuj przy każdej okazji. I nigdy nie pij whisky z Basterem. - Hans roześmiał się. - No dobra. Jesteśmy w pobliżu celu - oczywiście jeśli współrzędne, które mi daliście, są właściwe. Jeszcze parę godzin jazdy.

Samochód zagłębił się w gęstniejący busz. David pierwszy raz był w takim terenie: Pireneje wyglądały przy nim jak zadbane londyński St James's Park. Cieszył się, że znikają w tej dziczy - tym trudniej będzie śledzić ich ruchy, jeżeli ktoś za nimi podążał.

- Wjeżdżamy na mokradła Damarów - obwieścił Hans. - Są tu podziemne rzeki, wypychające wodę ku powierzchni. Dzięki niej da się tu przeżyć. Pojedziemy przez tę krainę.

Zmiana była zdumiewająca. Ze spalonej słońcem pustyni przenieśli się nagle do szmaragdowego rajy rzek i zieleni. Słyszeli nawoływania wodnego ptactwa i kumkanie żab. Samochód kołysał się nieustannie, brnąc aż po nadkole w błotnistej wodzie.

Trzciny szorowały o podwozie, kaczki umykały spod rozchlapujących wodę kół, a co najmniej kilka razy wydawało się, że na dobre utkną w zdradliwym, czarnym mule i będą musieli czekać, aż ktoś weźmie ich na hol. Jednakże za każdym razem, gdy sądzili, że samochód dalej nie pojedzie, Hans wykonywał jakiś zdecydowany ruch kierownicą i drążkiem skrzyni biegów, a maszyna posłusznie wydobywała się z błota i mozolnie parła ku suchej ziemi.

David otworzył okno. Po obu stronach szlaku piętrzyły się wysokie, pomarańczowe urwiska - wjechali do zakurzonego kanionu.

Po chwili David spostrzegł gazelę czy antylopę, stojącą na głazie i przyglądającą się przybyszom z zaciekawieniem.

- Koziołek skalny - wyjaśnił Hans. - Śliczne zwierzaki. Zawsze przypominają mi rosyjskie gimnastyczki... - Urwał i zerknął na współrzedne, które podała mu Amy. - Jesteśmy prawie na miejscu. Mam nadzieję, że ta wasza kobieta podała właściwe koordynaty. Ale ja tu nic nie widzę. Szkoda by było, gdybyście zasuwali tak daleko nadaremnie...

- Tam - powiedziała Amy.

SZV

. *ńd* podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i gestem. W płyt-
1 bocznym kanionie ujrzał spory obóz - różowe namioty, i
ronetki oraz ludzi. Jeden z nich, o jasnorudych włosach, i
różniał się z tłumu: pochylał się nad ciemnoskórą dziew-
nką o nagich piersiach i skórze błyszczącej od jakiegoś
BZCZU, którym była wysmarowana, p -
To musi być Nairn.
, T^and rovery zatrzymały się, a David i Amy wysiedli i ru-
li w stronę mężczyzny, który teraz dopiero odwrócił się •
ojrzał na nich. Zauważyli, że pobiera dziewczynce krew.

-r- Dobra, z tą grupą skończyłem - obwieścił Angus Nairn j
tośnym, pełnym entuzjazmu głosem. Uśmiechnął się
nowo przybyłych, po czym znowu odwrócił się ku kole-, i
wydał serię poleceń. - Alphonse! Alfie. Przestań się
jendać, bo napuszczę von Trotha na twoje czarne dupsko,
piiroś Donnę, żeby nakrywała do stołu. Mam ochotę na
/£z kudu. Doskonale. Fantastycznie. David i Amy, jak się
lyślam? Eloise wszystko mi o was opowiedziała. Dajcie
tylko sekundę, już kończymy. No, moje panie... David i
Amy stali tak, całkiem zbędni, i w lekkim oszo-ieniu
przyglądali się obozowemu rozgardiaszowi. David jrzał na
Nairna, znowu zajętego rozmową. Gdzie się ²⁸²ziała
Eloise?

Hans podszedł do nich, masując zeszywniałe ramiona.
>r podał rękę Angusowi, Szkot uśmiechnął się jakby
nie-ie, błyskając w jego stronę zielonymi oczami.
- A pan to...?
- Hans Petersen. Podrzuciłem tu tych dwoje.
- Tak sądziłem. Zdaje mi się, że słyszałem o pańskiej

pracy z trąbalami. Bo pan ratuje pustynne słonie, czy nie tak?

- Tak.

- I ten akcent jakby znajomy. Dorslander? Północnoholenderski? Bo chyba nie z tych stron?

Hans uśmiechnął się do Angusa.

- Niestety, nie. Niemiecko-holenderski. Otasha. No do bra. Przed nocą musimy być w Huab. Cieszę się, że mogłem wam pomóc.

Nairn skinął głową, a Niemiec wycofał się i po chwili land rovery odjechały, wzbudzając tuman pyłu podobny do dymu nad baterią strzelających armat. Angus sięgnął po dużą, stalową strzykawkę i gestem przywołał kolejną miejscową kobietę. David czuł się absurdalnie. Gdzie była Eloise? I czy Enoka przyjechał do Namibii z Miguelem?

Miguel i Enoka.

- Panie Nairn, sądzimy, że ktoś mógł nas śledzić. Z Europy do Namibii.

Genetyk skinął głową, zamyślony. Nie przerywając pobierania krwi, powiedział:

- Mówcie mi Angus. Niby jak was śledził?

- Nie jesteśmy pewni, ale zdaje się, że ktoś o nas wypytywał w Swakop. Przyjaciół Miguela. Choć może to nie prawda.

Angus westchnął.

- Eloise opowiedziała mi o Miguelu. Garovillo? Wiedziałem, że będą nas tropić. Ale my i tak już prawie skończyliśmy. Tu, w buszu jesteśmy raczej bezpieczni.

- A gdzie jest Eloise?

Angus uniósł rękę.

- Zaczekajcie. Pozwólcie mi skończyć. Jeszcze tylko paru Namów i Damarów. I jak zawsze wspaniałych Himbów.

David przyglądał się, jak Angus pobiera próbki krwi od ostatnich tubylców. Cały proces wydawał się nieskomplikowany: miejscowi stali cierpliwie w kolejce, nie przejmując się upałem, a potem nadstawiali czarne lub ciemnobrązowe ramiona, by Angus mógł wbić lśniącą igłę w miękkie, bogato unaczynione miejsce w zgięciu ramienia. W zamian za pobraną krew ofiarował szybkie badanie medyczne i wydawał swym jakby zaskoczonym, ale i wyraźnie uradowanym



klientom leki - antybiotyki, a także środki przeciwbólowe i przeciwmalaryczne.

Rzeczywiście już kończył. Została jedna dziewczyna. Włosy i nagie ciało miała wysmarowane czerwonawą mazią z ochry. Angus wyjaśnił, że w składzie owego kremu jest sporo masła oraz pyłu.

- Te kobiety z nagimi piersiami to Himba; nie mam pojęcia, dlaczego biust to tabu. No dobrze, wyprostuj rękę... I nie wierć się; będzie łatwiej.

Błysnęła strzykawka i szklany zasobnik napełnił się intensywnie karmazynową krwią, podświetloną gasnącymi już, ale wciąż palącymi promieniami słońca. Cienie ścian kanionu były już długie, a powietrze rozbrzmiewało głosami ptactwa i góralków. Pustynia budziła się do życia po piekielnej spiekocie dnia.

- Już - odezwał się Angus. - Jeszcze jedna uncja płynu i skończymy.

Odwrócił się i przelał zebraną krew do szklanej fiolki, którą szczelnie zamknął i podał Alphonse'owi, a ten odniósł ją gdzieś z ceremonialną wręcz ostrożnością, niczym noworodka, którego zabiera się do ważenia. Angus przetarł ranę na rękę dziewczyny wacikiem.

- Już dobrze, skarbie. Bardzo ci dziękuję. A tu masz trochę lekarstwa dla swojego dzieciaka. Rozumiesz? *De Calpol juju?*

Dziewczyna uśmiechnęła się, onieśmielona i zdziwiona zarazem, a potem zabrała buteleczkę, odwróciła się i podążyła śladem swoich bliskich, którzy już zmierzali ku rosnącym opodal akacjom, z wolna zlewając się z ich długimi cieniami.

- Nareszcie! - Angus najwyraźniej był zadowolony. - *Finito Benito!* Pora na piwko i żarełko. Pewnie jesteście mocno zaskoczeni: przejechaliście taki kawał drogi, zastaliście mnie, ale nigdzie nie widać Eloise? Wszystko da się wyjaśnić, ale najpierw się napijmy. I zjedzmy coś!

Miał rację. Na środku obozowiska ustawiono blaty na kozłach i przygotowania do wieczornego posiłku dobiegały końca. W dużych stalowych misach leżały steki z kudu z zimnym sosem pieprzowym, a w szklankach złościło się piwo. Obok leżały owoce i batony czekoladowe.

- Wszystko to dzięki uprzejmości Nathana Kellermana,

naszego szczerego dobroczyńcy, a także syjonistycznego zbira. Chodźcie, siadajcie, do kurwy nędzy, przejechaliście jednego dnia cholerny kawał drogi! Ze Swakop do Dama-ralandu? Wariaci! Amy... Amy Myerson, prawda? Eloise wszystko mi opowiedziała.

Amy skinęła głową i spytała stanowczo:

- Gdzie jest Eloise?

Nagle Angus podniósł ręce i jednym kłaśnięciem zabił głośno brzęczącego komara. Na jego palcach pojawiła się czarna plama.

- I co wy na to?! - Dumny spojrzął z bliska na resztki owada. - *Anopheles Moucheti Moucheti*. Te żerujące za dnia są chyba bardziej niebezpieczne, przenoszą wirusa dengi.

- Gdzie jest Eloise? - nalegała Amy. - Powiedziała nam, żebyśmy tu przyjechali...

- Masz rację, była tutaj. A ja trochę się o nią niepokoiłem, więc wysłałem ją na południe.

- Dokąd?

- Do Sperrgebiet. Do Zakazanej Strefy. To najbezpieczniejsze miejsce pod słońcem, w sam raz dla ostatniej Cagotki w wieku rozrodczym.

- Nie licząc Miguela.

Oczy Nairna rozbłyły.

- Zatem i on jest Cagotem? Ten terrorysta! Jak to może liwe? Musicie mi wszystko opowiedzieć. Piwo jest chłodne, a pustynne wieczory długie. Mówcie!

Racząc się piwem i kolejnymi porcjami zimnego już mięsa antylopy oraz owocami ketmii, Amy i David opowiedzieli Nairnowi całą historię. Zaczynało im to wchodzić w krew -w końcu jaki sens miało ukrywanie czegokolwiek przed potencjalnym sprzymierzeńcem. Ich wrogiem był Miguel.

Angus rozsiadł się wygodnie, a pustynny wiatr uparcie targał kosmyki jego rudych włosów.

- To wiele wyjaśnia. Wyjaśnia też sens morderstw, o których wspominaliście.

- Jak to? - spytał David. - Nie wyjaśnia przecież, dla czego Miguel...

- Nie rozumiesz? On jest odpowiedzialny za te morderstwa, którym towarzyszyły tortury. Pierwsze dwie ofiary, te

Logika wydarzeń powoli docierała do Davida.

- On chyba właśnie wrócił z zagranicy. Pamiętasz, Amy? Wtedy, gdy spotkaliśmy go w barze...

Skinęła głową.

- A kiedy Miguel wrócił do Hiszpanii, zmienił się sposób dokonywania zabójstw, prawda? Ten mężczyzna z Windsoru po prostu został zamordowany. Nikt go nie torturował. Fazackerly, ten naukowiec, też po prostu zginął. W okrutny sposób, ale przede wszystkim skutecznie. Tak mi się przy najmniej wydaje. Babcię Eloise zamordował Miguel i zno wu skończyło się wymyślnymi torturami... Ale dlaczego? - Amy skierowała na Angusa pytające spojrzenie błękitnych oczu. - Dlaczego torturuje swoje ofiary?

Nairn włożył do ust kęs chleba i przez chwilę żuł go z zapalem.

- Pomyśl trochę. Powód jest oczywisty.

- Czyżby?

- Tak! - Nairn uśmiechnął się szeroko. - Dlaczego Miguel jest tak straszliwie okrutny wobec Cagotów? Właśnie wobec nich?

W umyśle Davida zakwitła nareszcie odpowiedź.

- Bo zna swój rodowód?

- Otóż to. On, kurwa, sam siebie nienawidzi! Jest jak ten baskijski łowca czarownic.

- De Lancre?

- Tak. To jest to! Nie umie spojrzeć prawdzie w oczy, zmierzyć się z rzeczywistością, z własnym pochodzeniem, ze swoją tożsamością. Nie radzi sobie z tym. Wysublimowana nienawiść do samego siebie przeradza się w brutalność skierowaną na zewnątrz. To musi być prawidłowa odpowiedź. Według Freuda! A Miguel Garovillo jest Cagotem, zatem całą swoją nienawiść kieruje na znenawidzonych Cagotów, którzy utożsamiają jego pogardę dla siebie, jego rozpacz. Wskrzesza metody tortur, którym poddawano niegdyś zdeformowanych ludzi, a także czarownice i wyrzutków społeczeństwa. Pariasów, których nie jest w stanie zaakceptować jako swoich krewniaków.

- Ale...

- Co więcej, w dzieciństwie pewnie nasłuchiwał się opowieści na temat prześladowań baskijskich czarownic. Takie



rzeczy muszą człowiekowi wypaczyć psychikę. Te historie o paleniu żywym ogniem! Dziecko terrorystów po prostu musi mieć nasrane w głowie. Sądzę, że Miguel cierpi na neurozę powodującą problemy psychoseksualne na tle tortur zadawanych czarownicom.

Na chwilę zapadła cisza. David spojrział na Amy i skrzywił się odruchowo, gdy zauważył, że na bardzo krótką chwilę przycisnęła dłoń do głowy.

Jakby chciała ukryć bliznę, pomyślał. Znamiona czarownicy. Przez chwilę zastanawiał się nad krzyżującymi się liniami, tworzącymi rysunek jej blizny. Czy był to jeszcze jeden dowód obsesji Miguela, jego seksualnej perwersji, jego chorego zafascynowania torturami z czasów polowań na czarownice? Ale dlaczego Amy pozwoliła mu na coś takiego? Żeby ciał jej skórę? Dlaczego?

Angus znowu mówił, choć jego pełna ekspresji twarz ginęła już w półmroku zapadającym nad krainą Damarów.

- Poza tym, Miguel może mieć wrodzony pociąg do osobliwych praktyk. To jedna z przykrych cech, często spotykanych u Cagotów: skłonność do przemocy. Nieszczęsny łajdak. Nie mam wątpliwości, że Kościół polecił swoim agentom, by działali dyskretnie i skutecznie. Ale gdy Miguel dostał szansę zabawy w stylu średniowiecznym, po prostu nie mógł sobie odmówić...

Duża ćma zatrzepotała skrzydłami w blasku jednej z lamp, które rozwieszono na drzewach wokół obozu.

- Od początku wiedziałeś, że to Kościół? - zdumiał się David.

- Przypuszczałem. I nie pomyliłem się, prawda?

- Jeśli chodzi o ścisłość - wtrąciła Amy - to mówimy o Bractwie Świętego Piusa X.

- Aha. O Uroczych Żarliwcach. - Angus z rozbawieniem klepnął dłonią w stół. - Punkt dla mnie! Powinienem był się domyślić. Żarliwcy z grubą forszą i potężnymi sprzymierzeńcami. A jeśli nie oni, to jakaś inna przykościelna sekta. Tak, to właśnie Kościół katolicki był, jak zapewne wiecie, jednym z głównych sprawców zamknięcia projektu stanfordzkiego. Nas też nienawidzili. Nienawidzili projektu GenoMap. I jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to któż inny nawałby się lepiej do brudnej roboty dla papieża? Dosłownie:

brudnej roboty. Długie ręce Kościoła kontra zrosnięte palce Cagotów. Ha! - Angus pociągnął łyk piwa. - Zawsze mnie fascynowała ta nieskończona zdolność człowieka do aktów przemocy. Skąd się to bierze? Szczerze mówiąc, ja zważyłbym winę na dziewczyny. Łaski. Gdyby nie one, mężczyźni na co dzień siedzieliby spokojnie przy piwku, gawędząc o piłce nożnej.

- Słucham? Dziewczyny?! - powtórzyła zadziornie Amy.

David popatrzył na Szkota, który żuł energicznie mięso, nie przerywając rozmowy. Pożerał niezwykle ilości jedzenia, jak na kogoś tak szczupłego.

- Tak - odpowiedział, odrywając od bochna kolejny ka wał wielkości pięści. - Kobiety. Samice naszego gatunku. To one kierują ewolucją człowieka. Poprzez dobór seksualny, czyż nie? A w którą stronę ją kierują? Otóż ku agresji, wybierają sobie bowiem agresywnych facetów. Tak czy nie? Zgoda, wszystkie udają, że przepadają za metroseksualnymi typkami żłopiącymi chardonnay, ale tak naprawdę o wiele bardziej wolą łobuzów, mam rację? Łajdaków, niegrzecznych chłopców, takich Miguelów Garovillów, a ci dranie przekazują swoje geny i tak oto ewolucja człowieka zmierza do coraz większego okrucieństwa, co być może nieźle tłumaczy gigantyczny rozlew krwi, którego świadkami byliśmy w dwudziestym wieku. - Nairn beknął.

Jakieś zwierzę szczeknęło gdzieś w ciemnościach za granicą obozu - szakal albo hiena. Angus umilkł na chwilę, zajęty jedzeniem i piciem. Raz po raz uśmiechał się szeroko i znacząco do Alphonse'a, swego nad wyraz przystojnego pomocnika. Pozostali tubylcy zniknęli gdzieś wraz z nastaniem zmierzchu; pewnie rozeszli się do swoich wiosek.

Amy miała w zanadrzu nowe pytania.

- Zatem Eloise jest bezpieczna, ale ty wciąż tu obozujesz. Dlaczego?

- Badam ostatnie warianty rasowe - odparł Angus i wzruszył ramionami, zadowolony z siebie. - Stawiam genetyczne kropki nad „i” i kreski w chromosomowym „t”. Już prawie skończyliśmy. Pieprzona hiszpańska inkwizycja trochę się spóźniła. Mam w samochodzie próbki namibijskiej krwi, gotowe do drogi. - Po kolejnym łyku piwa znowu beknął do nośnie. - Jutro musimy się tylko spakować i jedziemy do

Sperrgebiet. Do bezpiecznego schronienia. - Pauza. - Mamy już wszystko, czego nam trzeba. Kellerman Namcorp przygotowywała się do tego od lat, właśnie na wypadek gdyby skasowano projekt GenoMap. W Sperrgebiet zmontowaliśmy bliźniacze laboratorium, żeby w razie konieczności móc dokończyć pracę. - Zarechotał. - I tak to wygląda. Jeszcze kilka dni, ostatnie badania Eloise i... Sukces! Eksperymenty Fischera zostaną powtórzone.

Odwrócił się i spojrzał z troską na Alphonse'a.

- Alphonse, napij się piwa, do cholery. Za ciężko pracujesz.

- Jasne, Angus.

- Alfie, mówię poważnie. Chodź no tu. - Szkot przyciągnął ku sobie młodzieńca o skórze koloru ochry. Alphonse miał lśniące, kocie oczy i smukłe kończyny. Angus pocałował go w usta.

Alphonse roześmiał się i odepchnął go.

- Szurnięty Szkot! - powiedział i skinął głową w stronę stołu. - Znowu zjarłeś całe kudu? Będziesz tłusty!

- Ja? Tłusty? Akurat. - Szkot wstał, podciągnął koszulkę i poklepał się po bladym brzuchu. - Sześciopak Apolla! - Spojrzał na Alphonse'a z udawaną surowością i znowu usiadł na krześle. - Nie nabijaj się ze mnie, mój mały *bambusen*, bo inaczej *sjambok* znowu pójdzie w ruch.

- O nie, nie, sir. Biały pan być dobry. Dać mi dobra robotę, ja zbierać bawełna.

Roześmiali się głośno i znowu się pocałowali. Po chwili Angus sięgnął do miski i podał Amy kawałek mięsa. David popatrzył na niego w milczeniu.

- Kurwa! Co to jest?! - Angus zastygł w bezruchu z ręką wyciągniętą w stronę dziewczyny.

Szkot wpatrywał się intensywnie gdzieś w głąb doliny. Rozległ się jakiś warkot i nagle David uzmysłowił sobie, że słyszał go już od dłuższej chwili, ale podświadomie brał za odgłos pustyni - daleki pomruk jakiegoś zwierzęcia albo szum wiatru w koronach kolczastych drzew.

Nadjeżdżały samochody. Pojawiły się nagle w korycie wyschniętej rzeki i zmierzały prosto ku nim. Z rykiem silników i oślepiającym blaskiem reflektorów. David patrzył na nie, obezwładniony przerażeniem.

- Do namiotów! Broń jest w namiotach...

Angus już się podniósł, ale w tym momencie pojedynczy wystrzał z karabinu przeciął powietrze. Obok nich wytrysnął gejzer piasku. Strzał ostrzegawczy.

Angus usiadł powoli.

David patrzył w przeciwnym kierunku. Na chmurę pyłu. I jeszcze jedną. Jeszcze dwie. Zbliżały się ze wszystkich stron, z wolna wyłaniały się z cienia. Największy z wozów, czarny, z przyciemnianymi szybami, wjechał do obozu, skręcił gwałtownie i zatrzymał się, sypiąc piachem po stołach zastawionych jedzeniem, jakby okazywał w ten sposób pogardę dla siedzących tam ludzi.

Wysiadł z niego mężczyzna. Jego chód i postać były wystarczająco charakterystyczne, nawet w ciemności.

Miguel zmierzył ich wzrokiem.

- Znalazłem was.



Nieszpory w kaplicy dobiegły końca. Ostatni pielgrzymi zdążyli już się rozejść do swoich cel.

Simon przeszedł przez refektarz i wspiął się na wyższą kondygnację, idąc pochyłymi korytarzami. Zamknął się w swojej celi i czekał, myśląc gorączkowo. Piramida. Więc jednak mu się poszczęściło. W ciągu jednego dnia znalazł to, czego Eduardo Martinez szukał daremnie przez tydzień. Archiwum. Ukryte w efektownej i upiornej piramidzie sterczącej w centralnej części budynku. Miejsce oczywiste, ale i dyskretne, pomyślał.

Przez chwilę podziwiał mroczny kunszt tego, kto ją zaprojektował. Była jak dzieło złowrogiemu geniusza.

Wreszcie ułożył się na łóżku. Z sąsiednich cel zaczęły dobiegać pierwsze pochrapywania, a zza drzwi — kroki nocnych strażników. Simon westchnął, rozmyślając niespokojnie o Timie i wpatrując się w niedorzecznie niski sufit. Miał wrażenie, że strop wręcz opada ku niemu - gdy odwracał głowę, a potem znowu na niego patrzył, wydawało mu się, że beton milimetr po milimetrze zbliża się do jego twarzy.

I że wreszcie go zmiażdży. Jak ukamienowaną czarownicę. Śmierć przez nałożenie... Prawie czuł ucisk kamieni na piersi. Coraz więcej coraz większych kamieni. Aż wreszcie żebra pękną pod ciężarem znacznie większym niż ten, którym było ciało Tomasky'ego, uzbrojonego w nóż.

Dość!

Miał zadanie do wykonania. Musiał to zrobić, i to za pierwszym razem. A potem wrócić do domu, obronić żonę i syna oraz uratować brata.

Wstał i wyszedł z celi. O północy korytarz był już całkiem

ciemny. Zewsząd dobiegały stłumione szelesty i skrzypnięcia, zgrzytnięcia i jęki, niczym w ładowni elżbietańskiego galeonu na wzburzonym oceanie. Stojąc na korytarzu, słyszał zbiorowy oddech wielu ludzi śpiących w celach - jakby cały budynek był jednym, wielkim betonowym płucem.

Potrzebował dwóch minut, by dojść do salki recepcyjnej. Klucz wisiał na swoim miejscu, na haczyku oznaczonym słowem „Piramida”.

Tyle że gablotka była zamknięta. Oczywiście.

Simon spojrział w lewo, w prawo, a potem - absurdalnie - w górę i w dół, po czym otworzył scyzoryk. Zaczął podważać zasuwkę i nagle usłyszał jakiś dźwięk. Odwrócił się, spocony. Korytarze i sale w zasięgu wzroku były puste. Czując, jak mu się lepią dłonie, powrócił do pracy, z wigorem gmerając ostrzem w szczelinie.

Szklane drzwiczki otworzyły się. Na wpół ogarnięty paniką, zerwał klucz z haczyka i umknął w głąb ciemnego, pustego korytarza.

Najciszej, jak potrafił, biegł po ciemnych schodach prowadzących w dół i jeszcze niżej, do najdłuższego z pochyłych korytarzy.

Zatrzymał go czyjś ostry głos. Zamarł, wtulony w ścianę. W panice wpatrywał się w mrok. I nagle zrozumiał: To ten głupi budynek! Źródło głosu znajdowało się zapewne ze trzy piętra wyżej. Może to pijany archiwista krzyczał w swym bezbożnym śnie? Może przeklinał boga koszmarów.

Betonowa rampa prowadziła do wielkich drzwi z brązu, za którymi znajdowała się podziemna kaplica. Były otwarte; ba, chyba nawet nie było w nich zamka. Otworzyły się za lekkim dotknięciem, z zaskakującą łatwością. Były doskonale wyważone. Obracały się na osi umieszczonej pośrodku przejścia, aż stały się dla stojącego w korytarzu Simona pionową linią wykonaną z brązu.

Zobaczył za nimi poziome okno, przez które wpadał srebrny blask księżyca. Dwie linie tworzyły razem znak krzyża.

Elektryzujący widok.

Simon rozejrzył się. Kaplica była pusta, cicha, dostojna... i nagle uświadomił sobie, że jest po prostu piękna. Przestronna betonowa sala, w której ustawiono niepozorne drewniane ławki oraz ołtarz. Zagłębienia w ścianie po dru-

giej stronie kryły witraże, które nitowały światło księżyca, malując wnętrze świątyni niezwykłymi smugami barw.

Poczuł dziwne pragnienie, by się zatrzymać. Właśnie tu. Na zawsze.

Tylko że sumienie mu na to nie pozwalało.

Piramida. Kaplica ciągnęła się wzdłuż budynku, a wejście do piramidy musiało się znajdować gdzieś w jej tylnej części. Wejście do tajemniczego wewnętrznego sanktuarium tego gmachu.

Szukał przez chwilę i znalazł je bez trudu: małe, metalowe drzwi w ciemnym kącie. Sięgnął do kieszeni i umieścił klucz w zamku. Znowu jakiś dźwięk. Bóg wie skąd. Ciche drapanie, spotęgowane echem betonowych korytarzy.

No dalej, dalej, dalej!

Zamek ustąpił. Simon wszedł do wąskiego i niemal całkowicie zaciemnionego przejścia. Posuwając się w głąb, czuł się tak, jakby wciskał się do rury. Zastanawiał się, czy tak właśnie wyglądałby świat, gdyby mógł obserwować go z umysłu swego brata. Zbliżające się ściany, ciemność ze wszystkich stron, każdego dnia, aż do śmierci.

Ściany istotnie zbliżały się do siebie na tyle, że musiał odwrócić się bokiem, by posuwać się dalej. Na końcu korytarza zamajaczyły w mroku kolejne drzwi, tym razem stalowe i zardzewiałe. Simon pchnął je.

I wpadł do nieskończonego białego wnętrza piramidy.

Zastłonił oczy ręką.

Na krześle pośrodku sali siedział zakonnik-archiwista. Ojciec McMahon. Jego zęby były czerwone od wina.

- Istnieją dwa klucze do piramidy, panie Quinn.

W wieczornym mroku krainy Damarów Miguel wyglądał na starszego i dzikszego. Wyglądał jak jentil. Mierzył z pistoletu w głowę Davida. Rozległ się szelest kroków na piachu i od strony samochodów nadeszło najpierw czterech, potem sześciu, a w końcu ośmiu mężczyzn. Jeden z nich przemówił z amerykańskim akcentem. Z tyłu, w półmroku, czał się Enoka.

- Zatem to jest Angus Nairn - powiedział Amerykanin. — Oraz David Martinez i Amy Myerson?

Miguel skinął głową.

- Tak. A ta cagocka dziewczyna, Eloise? Gdzie ona jest? Jego współnik wzruszył ramionami.

- Nigdzie jej nie widać.

Miguel warknął:

- Szukać jej! Sprawdzić w samochodach i w całym obozie. Alan! Jean-Paul! Enoka!

Mężczyźni wykonali rozkaz. Wystarczyło pół minuty bieganina między różowymi, nylonowymi namiotami rozbitymi w korycie wyschniętej rzeki, by potwierdzić, że w obozie nie ma nikogo, poza Alphonse'em, Davidem, Amy i Angusem.

- Przykro mi, Mig - odezwał się najroślejszy z kompanów Miguela, Alan. - Ani śladu dziewczyny. Musieli ją gdzieś przerzucić.

- Znajdziemy ją. *Mierda. Pinche puta!* Znajdziemy ją. — Miguel spojrział gniewnie w niebo, ale zaraz się opanował. - Zwiążcie ich.

Ktoś podszedł do Davida z boku, pociągnął go w górę, wykręcił mu ręce do tyłu i brutalnie spętał. To samo spotkało Alphonse'a, Angusa i Amy. Po chwili obrócono go plecami do stołu, żeby nie mógł obserwować, co się dzieje. Patrzył

więc w ciemność pustyni. Jedynym źródłem światła były reflektory samochodów.

- Amy?

- Tu jestem - odpowiedziała zza jego pleców. - Co oni robią, Davidzie?

Jej pytanie zagłuszył krzyk. Miguel przesłuchiwał An-gusa, i raz po raz bił go po twarzy. David widział to kątem oka; stali po jego lewej stronie.

- Gadaj. Gdzie jest Eloise?

Angus pokręcił głową. Zbliżył się do nich Enoka - jak zawsze boleśnie potulny wobec Miguela, niczym szczeniak szukający uznania u przewodnika wilczej sfery. Garovillo skinął głową.

Enoka chwycił dłoń Angusa i wygiął do tyłu palec.

Szkot skrzywił się z bólu.

Miguel podszedł bliżej.

- Mów. Gdzie ona jest? Skończyłeś już badania? Tak czy nie?

- Spierdalaj - wycedził Angus.

- Po prostu odpowiedz. Inaczej będzie bolało. Bardziej. I jeszcze bardziej.

- Jeśli nas zabijesz, nigdy się nie dowiesz. Rób, co chcesz. Wściekły grymas wykrzywił twarz Miguela, który odda lił się o kilka metrów i odwrócił się na pięcie.

- Po co przyjechałeś do Damaralandu? Nie skończyłeś testów, prawda?

David lekko odwrócił głowę w lewo, żeby lepiej widzieć.

Ludzie Miguela otoczyli land rovera należącego do Kel-lerman Namcorp i przeszukiwali jego wnętrze. Z daleka dobiegł nowy głos, tym razem z francuskim akcentem.

- Mamy próbki krwi, Miguel.

Garovillo uśmiechnął się.

- *Milesker*. Zabierzcie wszystkie.

Mężczyźni wznowili poszukiwania.

- Amy? - szepnął David.

Nadal stała za jego plecami, nie widział jej. W ciemności jarzyły się oślepiająco reflektory aut, skierowane na środek obozu. Czuł się jak w klatce oświetlonej jupiterami; jak uczestnik przedstawienia w najmroczniejszym z teatrów.

Miguel był tu głównym aktorem, tragicznym bohaterem.

Spojrzał na Davida. Potem na Alphonse'a. I uśmiechnął się szerzej. Znowu popatrzył na Alphonse'a, jakby chciał potwierdzić swoje podejrzenia. A potem przemówił, jakby do nikogo.

- *Ezina, ekinez egina...* Musimy tylko odnaleźć Eloise. Oni jeszcze nie skończyli badań. Wciąż mają próbki krwi, które tu zebrali. To jest zupełnie jasne. - Przesunął się bliżej Amy. - To dobrze... O tak, Amy Myerson, jak miło, że pozwoliłaś mojemu ojcu, żeby sam się zabił. I mojej matce. *Jakina...* mała *Zulo*.

Amy drżała coraz mocniej.

Miguel już nie krył złości.

- *Aizul* Musimy przekonać Angusa Nairna, żeby powie dział nam, gdzie jest Eloise. W tym celu potrzebna nam będzie pomoc. Widzę, że przygotowaliście ognisko. Chłodne te pustynne noce, nieprawdaż? - Terrorysta zmarszczył brwi i uśmiechnął się jednocześnie. - W takim razie ogrzejemy się...

David przyglądał się temu wszystkiemu bezradnie. Usłyszał, że ktoś popycha Amy, a zaraz potem poczuł kopniaka w łydkę - to był znak, że ma ruszyć przed siebie. Przepędzono ich na nieco przestronniejsze miejsce, z dala od stołów. Duże ognisko rzeczywiście już zostało przygotowane przez Alphonse'a i innych. David przyglądał się stercie suchego drewna i zastanawiał się, co robią teraz miejscowi pomocnicy Angusa. Pewnie od dawna śpią w swoich chatkach i nie mają pojęcia, co się tu dzieje.

Zostali sami z Miguelem i jego ludźmi. Nie mieli żadnych szans na ratunek.

Czworo jeńców zostało zmuszonych do ukłęknięcia na piasku. Klęczeli więc, niczym więźniowie muzułmańskich fanatyków czekający na ścięcie. Obok nich piętrzyła się sęta drewna wyschniętego na wiór.

Czekali. Od strony pustyni zawiewał zimny wiatr. Napastnicy siedzieli w otwartych samochodach, paląc papierosy. Kilku wciąż jeszcze dokładnie przeszukiwało land rovera należącego do Namcorp.

- Zabiją nas?

Głos dziewczyny był pełen napięcia. David bardzo chciał ją przytulić, ochronić, ocalić. Wciąż to samo, dobrze znane



pragnienie... Ale był spętany i klęczał posłusznie. Mógł ją jedynie okłamać.

- Nie. Potrzebują nas, żeby znaleźć Eloise. Po co mieliby nas zabijać?

- Co ty, kurwa, wygadujesz? Jasne, że nas, kurwa, zabi ją. — Angus wybuchnął śmiechem. - Już jesteśmy martwi. Jesteśmy materiałem geologicznym. Pieprzonymi francuskimi grzankami! Byliście świadkami samobójczej śmierci jego ojca! Pewnie sądzi, że zabił się z waszego powodu. Wie, że znacie jego straszny sekret, najmroczniejszą tajemnicę Garovillów! - Śmiech Szkota był podszyty gniewem. - Najpierw będą nas torturować, żeby się dowiedzieć, gdzie jest Eloise. Potem nas zamordują. Tu, na pustyni. Ale hej, są przecież gorsze miejsca. Na przykład Cumbernauld. Byliście kiedy w Cumbernauld?

Amy się rozplakała. Angus

znowu się roześmiał.

- Szczerze mówiąc, wolałbym, kurwa, zdechnąć tutaj, niż żyć w Cumbernauld!

Garovillo powrócił.

- No dobrze. *Jakina. Noski*. A teraz... - powiedział, spoglądając kolejno na Angusa Nairna, Amy, Alphonse'a i Davida, a potem znowu na Angusa - ...doktorze Nairn. Na prawdę chcielibyśmy wiedzieć, gdzie jest Eloise. Tak bardzo, że wydrę z ciebie tę informację. Prosto z twojego jebanego serca.

- Odpierdol się.

Terrorysta wciąż się uśmiechał, ale z najwyższym trudem panował nad wściekłością. Wskazał palcem na Alphon-se'a.

- Weźcie go. Jego narzeczonego. *Sexuberekoi*. Brać go.

Pomocnicy rzucili Alphonse'a do stóp Miguela. Kolana młodego Namibijczyka drżały. Garovillo znowu spojrzał kolejno na swoich jeńców. I przemówił.

- Zawsze się zastanawiałem, czy te wszystkie opowieści o paleniu czarownic to tylko legendy?

David zamarł ze strachu.

- A teraz zastanawiam się - ciągnął Miguel ze smutnym uśmiechem na ustach - jak to właściwie jest? Tak sobie patrzeć, jak ktoś się pali żywcem. A ty się nad tym

nie zastanawiałeś? Pewnie dobrze zbadałeś temat? *Ez?* Nie ciekawiło cię palenie czarownic?

Twarz Miguela była tuż przy twarzy Angusa.

- Jeśli nam nie powiesz, gdzie jest Eloise, przy wiążemy twój beżowy kochasia do pala. I spalimy go żywcem. Lubisz takich ślicznych, młodych Basterów, co? Małych bę kartów koloru ecru? Czarnych pedałów, *marikoi?* - Miguel odwrócił się. - Więc go dla ciebie przyrządzimy! Pedzio z rusztu!

David z przerażeniem spoglądał na Angusa. Twarz Szkota była nieruchoma jak kamień, ale tylko maskowała furję.

- Cagocka cipa - powiedział głośno Angus.

- *Que?*

- Wiemy, że jesteś Cagotem. Gównoludem. Podobnie jak twój tatuś. Cagot.

Twarz Miguela zadrgała spazmatycznie.

- Absurd. Zresztą co mnie to obchodzi? - Garovillo machnął energicznie ręką. - Spalić chłopaka. *Agur.*

Jego ludzie już wbijali w ziemię pal, dokładnie pośrodku sterty suchego drewna. Wielki drewniany pal.

Alphonse wiał się w uścisku milczących współników Miguela. Bełkotał niezrozumiale. Pal zagłębiał się coraz głębiej w piaszczysty grunt. Księżyc przyświecał mocno, a nocne ptaki poderwały się z pobliskich drzew i odleciały gdzieś w spokojniejszą okolicę. Dokoła rozciągały się kaniony wyschniętych rzek Damary, porośnięte kolczastymi akacjami i pogrążone w mroku.

- Po co to robisz, Miguel?! - zawołał Angus. - Przecież i tak wszyscy wiedzą, nie ukryjesz prawdy. Jesteś kurewskim gównoludem, i tyle. Popatrz na ten swój nerwowy tik. Która to z cagockich przypadłości, co? Zespół Aperta? Choroba Hallervordena-Spatza? No który? Drzenie pęczkowe mięśni, Miguel. Cagocka przypadłość. Szaleństwo ludzi gór...

Garovillo uderzył go w twarz tak mocno, że z ust Szkota trysnęła krew.

- Spalić czarnucha. Natychmiast - warknął Miguel.

Zaciągnęli Alphonse'a do pala. David przyglądał się temu jak zahipnotyzowany. Oni naprawdę zamierzali to zrobić.

- Miguel! - krzyknęła Amy. — Przestań, proszę cię. Proszę! Po co to robisz?

- *Zulo* przemówiła? Tak? *Bai? Ez?* Powiedz mi, gdzie jest Eloise Bentayou, to przestanę. A póki tego nie zrobicie, będę smażył tego pieprzonego mieszańca, tak jak palono moich rodaków, jak ich torturowano, bo Basków palono za rzekome czary...

- Nie jesteś Baskiem, pierdolony debilu - wycedził Angus. - Jesteś Cagotem. Gównoludem. Spójrz na siebie.

- Angus, pomóż mi! Błagam, pomóż!

Alphonse krzyczał i zawodził jednocześnie. Stał przywiązany do pala, wyraźnie widoczny na tle ciemnego nieba. Amy wpadła w gniew:

- Przestań!

- Tylko jeśli mi powiecie. Gdzie jest Eloise, co?

- Po co? - odparował Angus. - Dlaczego, cagocki dupku? Mielibyśmy ją wydać tylko po to, żebyś i ją zabił? A może się mylę?

Miguel skinął dłonią.

- *El fuego. Mesedez...*

David patrzył w niemym przerażeniu, jak jeden ze współników pochyla się nad drewnem leżącym u stóp Alphonse'a. Zauważył, że chłopak ma na nogach buty Nike, i zaczął się absurdalnie zastanawiać, czy się stopią. Naprężył mięśnie, w oczekiwaniu na to, co się miało zdarzyć. Enoka trzymał w rękę zapalniczkę. Pierwsze gałązki zajęły się ogniem.

- Anguuussss!

Alphonse wrzeszczał jak opętany, głosem potężnym jak dzwon i niosącym się echem w głąb kanionu.

Pierwsze płomienie liznęły go z wahaniem, jakby chciały go wy badać albo poznać jego smak. Jak młode drapieżniki, które dopiero uczą się polować.

- Będzie nam ciepłutko — stwierdził Garovillo. - Piecze nie bękart. Pieczenie *sinotsu*. Pieczenie pedała.

Ogień sięgał coraz wyżej, jakby nabierał pewności. Płomienie głośno trzaskały w chłodnym powietrzu nocy, przesyconym już wonią dymu. Księżyc przyświecał z góry, a Alphonse krzyczał i wył, szarpiąc się w więzach.

Garovillo westchnął głęboko.

- No i stało się. Angusie Nairn. Uczony Angusie Nairn. Teraz musisz mi powiedzieć, gdzie ona jest. Twój kochaś za chwilę będzie martwy: ugotowany, a może raczej upieczony.



Wtedy chyba nie będziesz go tak pożądał, co? Wiesz, kiedy już będzie kawałkiem chrupiącej pieczeni? Angus spojrział mu prosto w oczy.

- I tak nas zabijesz. Możesz z nami zrobić, co ci się po doba. Jakie to ma znaczenie?

Alphonse nie przestawał krzyczeć i wić się z bólu.

- Angus, nie! Angus, proszę cię, powiedz mu!

Miguel znowu się uśmiechnął.

- Chłopak bardzo chce żyć, doktorze Nairn. Nie chce, żeby jego młodzieńcze członki zbyt szybko się spiekły. A ja go doskonale rozumiem. Jestem wegetarianinem. *Barazkijalea naiz!* - Westchnął. - Więc mów.

Angus nie odpowiedział. David dostrzegł tylko nieznaczne drżenie jego policzka: genetyk ze wszystkich sił zaciskał zęby.

- To boli! - zawodził Alphonse. - Angus! Ja się palę! Błagam!

Pojedyncza iskra z wysokiego już ognia przeskoczyła na jego włosy. Zaczęły dymić i skwierczeć, a do zapachu płonącego drewna dołączyła woń spalonych włosów.

Sekundy oczekiwania ciągnęły się w nieskończoność.

- Zgoda! Przestań już! - wykrzyknął Angus. — Powiem ci, gdzie jest Eloise! Tylko zgaś ten ogień.

Miguel obrócił się na pięcie.

- Gdzie? - warknął.

- Jest w Sperrgebiet.

- Gdzie?

- Dwadzieścia sześć kilometrów na południe od Diaz Point! Przestań to robić, skończ wreszcie...

- Gdzie dokładnie?

- Kopalnia Tamara. Droga na Rosh. Garovillo...

Miguel uśmiechnął się.

I odwrócił się do niego plecami.

- Dolejcie trochę benzyny do ognia. Zapowiada się bardzo zimna noc; potrzebne nam duże ognisko.

Taki był początek najdłuższej, najbardziej groteskowej i najpotworniejszej godziny w życiu Davida. Czegoś takiego nie doświadczył nawet w najtrudniejszych dniach ostatnich kilku - niełatwych przecież - tygodni.

Alphonse płonął powoli, w straszliwych mękach. Naj-

pierw zadymiły jego buty, po czym poczerniały i zamieniły się w długie nici sztucznego tworzywa. Zaraz potem spłonęły bawełniane spodnie; poczerniałe strzępy odsłoniły brązowe nogi chłopaka. I płomienie zaczęły trawić ciało. Brązowa skóra pękała, ukazując tłuszcz i mięśnie. Po chwili tłuszcz zaczął się topić i pryskać na boki, skwiercząc w ogniu. Al-phonse wrzeszczał przez cały czas, najbardziej przesywającym i najstraszliwszym głosem, jaki David kiedykolwiek słyszał. W kryształowym powietrzu krzyk człowieka palonego żywcem niósł się bardzo daleko.

Po pewnym czasie wrzask zmienił się w przeciągły, wibrujący jęk. Woń pieczonego mięsa była potworna i słodka zarazem: woń krematorium, woń grilla.

Wokół kolumny dymu krążyły nietoperze. W ciemności, w pewnej odległości od obozu David widział połyskujące ślepią zwierząt zwabionych światłem i zapachem. Szakale.

Stojąc tuż przy stosie, Miguel delektował się widokiem i wonią śmierci. Wreszcie pochylił się w stronę szalejących płomieni i długim kijem szturchnął poczerniałe ciało. Al-phonse drgnął spazmatycznie. Jeszcze żył. Ogień huczał głośno.

— *Puerca? Urdaiazpiko?*

Amy wymiotowała. Przechylona na bok, wymiotowała na stojąco. David poczuł ten sam odruch, ale się opanował. Po jego lewej stronie stał Angus. Zamknął oczy, a jego twarz była jak nieruchoma maska. A przecież wyrażała najgłębsze uczucia. Całkowite osamotnienie.

Wreszcie Alphonse skonał. Jego głowa opadła bezwładnie; płomienie ogarnęły całe ciało. Po chwili dzieło było skończone i ogień zaczął przygasać. Zwłoki były już tylko zwęgloną masą kości i mięśni. Czarną kukłą na tle czarnego nieba. Klatka piersiowa pękała, odsłaniając cynobrowy węzeł martwego już serca.

Angus nie spuszczał wzroku z Miguela. Mrużył oczy, w których płonęła zimna furia; straszliwy i wykalkulowany na zimno gniew.

David zauważył, że nawet kompani Miguela wyglądali na poruszonych tą sceną całopalenia.

Odwracali wzrok, spoglądali po sobie ukradkiem, kręcili głowami. Lecz mimo to pozostali posłuszni. Nie było w ich



zachowaniu choćby cienia nielojalności. Raczej strach. Teraz naprawdę bali się Wilka.

Garovillo popatrzył badawczo na Davida.

- Zaimponowałeś mi, Martinez - powiedział, przeczesując palcami długie, czarne włosy. - Jesteś mężczyzną i nie brakuje ci odwagi. Albo zimnego okrucieństwa. Tylko ty jeden podziwiałeś całe to przedstawienie. Tylko ty. I nie wymiotowałeś. Masz mocny żołądek. W ogóle jesteś mocnej budowy. Nabity jak byk. Albo jak dzik.

Miguel spojrział w niebo. Dym dryfował z wolna, zmieniając oblicze księżycy w bladą twarz młodej wdowy, przesłoniętą żalobnym welonem. Ogień już prawie zgasł.

- Musimy przygotować drugie ognisko. Teraz jest nam ciepło i *tostada*. Ale płomienie już opadły, więc potrzeba nam nowego, dużego stosu. Upieczemy sobie kolejne danie. Tego oto krzepkiego młodzieńca. To będzie amerykański basko-burger.

Alan pokręcił głową.

- Nie mamy już drewna, Mig.

- Ale musimy go spalić. Zaraz! - Głos Miguela był nieco wyższy niż do tej pory. Brzmiała w nim frustracja. - Kiedy zabijemy i spalimy tego *Amerikako*, sami oddadzą nam Eloise.

David poczuł na sobie szorstkie ręce współników Miguela, które brutalnie pociągnęły go w górę. Kolana się pod nim ugięły, a przerażenie dosłownie go obezwładniło.

Chcieli go spalić żywcem. Jak Alphonse'a.

Dziennikarz stał jak wryty, kompletnie oszołomiony. Był w pułapce.

- Skąd znasz moje nazwisko?

- Też coś - zaśmiał się zakonnik. - Sądziłeś, że nie czytam gazet? Pisałeś przecież artykuły o tych morderstwach w Anglii, a może się mylę? Widziałem twoje zdjęcie.

Simon przygarbił się bezwiednie.

- Ale...

- Obserwowałem cię, odkąd się tu zjawiłeś. Ostrzeżono nas, że ktoś może przyjechać. Nazywam się McMahon. Patrick. Ojciec Thomas McMahon.

Simon oparł się o stertę książek. Teraz dopiero rozejrzał się po wnętrzu piramidy: wiele półek było pustych; wyglądało to tak, jakby ktoś obrabował bibliotekę.

Zakonnik pokiwał głową.

- Tak. Jak widzisz, zjawiłeś się zbyt późno.

- Jak to?

- Przedstawiciele papieża przybyli tu dwa miesiące temu. Zabrali prawie wszystko. - McMahon uniósł butelkę wina, która stała obok krzesła, i napełnił stalowy kubek. - Chcesz trochę?

Simon pokręcił głową, obserwując go. W tej chwili McMahon wcale nie wyglądał na zakonnika. Miał na sobie stare, brązowe sztruksy, wyciągnięty sweter i brudne trampki. Do tego był pijany.

- Zabrali wszystkie dokumenty?

- Wszystkie ważne, tak jest. - McMahon zaśmiał się smętnie. - Wszystko, na widok czego mógłbyś powiedzieć: „Oooo”. Powiedzieli, że dokumenty nie będą tu bezpieczne. Mieli pozwolenie z Watykanu. Tak ważna sprawa, że aż pa-

piez musiał wyrazić zgodę! A kiedy już tu byli, mówili też, że pewnie zjawi się ktoś, kto będzie szukał tych dokumentów, a kiedy to się stanie, muszę zawiadomić przełożonych. No i jesteś. Witaj w mojej świątyni rozkoszy. Tylko nie za wiele tu zobaczysz. - Pociągnął zdrowy łyk wina. Zmrużył oczy, przyglądając się wysokiej ścianie pustych półek. - Chciałeś się dowiedzieć, co jest w tych dokumentach, prawda?

- Po to tu jestem. Ale się spóźniłem.

- Owszem...

McMahon uśmiechnął się sardonicznie.

Simon dostrzegł cień nadziei.

- Ale ty możesz mi powiedzieć, prawda?

Cisza.

- Możesz mi powiedzieć? - powtórzył dziennikarz. - Ty wiesz, co się kryje w tych dokumentach, czyż nie?

- Cóż... - westchnął McMahon. - Trochę mogę ci powiedzieć. Bo jakie to ma teraz znaczenie?

- Powiesz mi o Baskach? O Cagotach? O inkwizycji?

Mnich skinął głową. Przechylił głowę na bok, jakby się nad czymś zastanawiał, analizował opcje. Wreszcie rzekł:

- Nie pamiętam za wiele, ale mogę ci powiedzieć, dlaczego zaprzestali palenia baskijskich czarownic. Mówił o tym jeden z tych dokumentów, które tak ochoczo stąd wywieźli.

- A więc?

Smutny, splamiony taniną uśmiech.

- Zrobili to, bo Kościół się obawiał, że Baskowie mogą się stać drugimi Żydami. Kolejnymi synami Chama.

- Słucham?

- Kościelny slang, co?

- Wyjaśnij.

- Inkwizycja i kardynałowie przeczuwali niebezpieczeństwo „podziału w niepodzielnym chórze ludzkości”. Takie właśnie zdanie przeczytałem w jednym dokumencie. Uderzające, prawda? Naturalnie był to lęk oparty na koncepcjach ukrytych w Biblii i w Talmudzie. I w tekstach ojców Kościoła.

- Mówisz o klątwie Kaina? O węzowym nasieniu?

- Tak. - McMahon uśmiechnął się, trochę z pijacką beztroską, a trochę melancholijnie. - Związłe to ująłeś, zuch z ciebie. Przez dwa tysiące lat uczeni w piśmie, kapłani

i kardynałowie zmagali się z tymi straszliwymi i... - beknął cicho - niewygodnymi implikacjami teorii węzowego nasienia, czyli istnienia ludzi niewywodzących się od Adama. Odmiennego gatunku człowieka. Nigdy jednak nie uporali się z tym problemem. Ich badania jedynie pogorszyły sprawę.

- Mówisz o fizycznych badaniach przeprowadzonych na Cagotach?

- Oczywiście.

- Co takiego odkryto?

- Kolejne wyzwanie. - Bibliotekarz znowu poczęstował się winem. - Lekarze królewscy próbowali nawet zbadać krew Cagotów, ale nic z tego nie wynikło. Nie mieli niezbędnego aparatu naukowego; to był dopiero siedemnasty wiek. Ale same fizyczne oględziny Cagotów wystarczyły, by wprawić w konsternację ludzi Kościoła. Pamiętam dokładnie taki fragment: „Obawiamy się, że Cagoci mogą nie być dziećmi Bożymi”. Tak napisał biskup Bordeaux do króla Nawarry po tym, jak zapoznał się z wynikami badań.

Słowa McMahona rezonowały w głowie Simona, jak echo w korytarzach klasztoru. Z wolna, jedno po drugim, otwierały się drzwi.

Chciał zadać ostatnie pytanie, a potem odejść. Musiał opuścić to miejsce. I nie mógł zapomnieć o Tomaskym. O zębie wbitym w jego policzek. Gdyby zastał go tu ktoś mniej zalany niż brat McMahon, wszystko byłoby możliwe; nawet najgorszy scenariusz. Simon musiał się stąd jak najszybciej wydostać. Ale najpierw chciał zadać to jedno pytanie.

- Powiedz, dlaczego straciłeś wiarę? Zapewne napotkałeś tu coś, co cię do tego zmusiło.

- Czyżby?

- Co to było?

Miał wrażenie, że ta dziwna przestrzeń wokół nich zaczyna się kurczyć. Dziwaczne kąty, nachylenie ścian, wszystko jakby się zmieniało, zacieśniało, ciemniało. A pośrodku siedział pijany mnich, który nie wierzył już w Boga.

McMahon smętnie potarł dłonią oczy.

- W 1942 roku papież zawarł pakt z Hitlerem.

- Co takiego?

Zakonnik zniżył głos.

- Przechowywano tu dane archiwalne na temat tego

paktu. Wraz z dokumentami poświęconymi Baskom i Ca-gotom. A to dlatego, że te sprawy się... łączą.

- Jakiego rodzaju pakt?

Bibliotekarz nie przestawał trzeć oczu. Obsesyjnie, jakby już na nikogo nie miał ochoty patrzeć.

- Zastanawiałeś się kiedy, dlaczego papież Pius XII tak uparcie milczał w sprawie Holokaustu? Przez całą drugą wojnę światową?

Simon zmarszczył brwi.

- Tak. Oczywiście, że tak.

- Otóż to! Postrzegano to jako jeden z najbardziej haniebnych epizodów w historii Kościoła rzymskokatolickiego. A może i najbardziej haniebny. W Rzymie nie uczyniono absolutnie nic, kiedy Hitler mordował Żydów. Kościół nawet nie potępił Holokaustu, co najwyżej wydawał jakieś bliżej nieokreślone odgłosy... niepocieszenia.

Simon powtórzył pytanie:

- Ale co z tym układem?

- Hitler coś odkrył. Dzięki swoim naukowcom pracującym w obozach południowo-zachodniej Francji.

- Mówisz o badaniach Eugena Fischera w Gurs?

Zakonnik pokiwał głową, rozsiadł się wygodniej na krześle i spojrzał ku górze, na ostry wierzchołek piramidy...

- Tak. Układ był prosty: Hitler zgodził się nie ujawniać odkrycia dokonanego przez swoich uczonych. A to dlatego, że w pewien sposób, naukowy sposób, potwierdzało ono to, co zasugerowały niegdyś badania inkwizycji oraz te, które przeprowadzono na Cagotach. Już kilkaset lat wcześniej było to odkrycie tak wstydlive, że należało ukryć je za wszelką cenę. Teraz więc także je ukryto. Najpierw w Angelicum. Potem tutaj. To właśnie te materiały doprowadzały archiwistów do szaleństwa. To one wywoływały zaburzenia nerwowe u tutejszych zakonników, przynajmniej u tych, którzy wcześniej nie dostali obłądu z powodu tego przekłętą gmachu. Trudno było zrozumieć te dokumenty, ale jednocześnie były zbyt ważne, aby je zniszczyć.

- Zatem nie wiesz dokładnie, co w nich było? - wtrącił Simon. - Jak brzmiały te sensacyjne doniesienia z Gurs?

- Nie wiem. Po tym, jak ostatni bibliotekarz z Tourette przystąpił do tej bandy, Bractwa Piusa, najpilniej strzeżone

sekrety umieszczono w sejfie, w tej sali. Ja ich nigdy nie widziałem. Nic o nich nie wiem z pierwszej ręki.

- Ale orientujesz się w ogólnym obrazie sytuacji - odparł Simon, z wolna rozwiązując węzeł we własnym umyśle. - Wiesz, że w zamian za nieujawnienie tajemnicy przez Hitlera, tajemnicy odkryć w Gurs, papież zgodził się zachować milczenie na temat zagłady Żydów. Czy tak?

Bibliotekarz uniósł stalowy kubek pełen wina, by wznieść najbardziej gorzki z toastów.

- Tak jest. Zgrabnie to ująłeś. Papież zawarł pakt z Hitlerem, pakt z samym diabłem, a sześć milionów ludzi, kurwa, zginęło. - A potem dodał: - A przy okazji, masz godzinę, żeby stąd wyjechać. Nie mogę przecież udawać, że się nie pojawiłeś. Ja tu pracuję. Może i uważam, że ci nadgorliwi dziwacy, którzy zabrali dokumenty, są ostatnimi sukinsynami, mogę nawet być zdania, że cała ta sprawa jest szaradą nienawiści, a pakt groteskową zdradą ideałów, ale z drugiej strony, mam sześćdziesiąt pięć lat i donikąd się nie wybieram. Niby co miałbym ze sobą zrobić? Zamieszkać w Miami? - McMahon pokręcił głową. - Zamierzam im powiedzieć, że się tu włamałeś i obezwładniłeś mnie. To oznacza, że musisz stąd wiać, kolego, i to szybko. Zawiadomię ich za godzinę. A w zamian - za to, że jestem tak miły i nie wydam cię od razu - chcę, żebyś mi coś obiecał.

- Co takiego?

- Że jeśli kiedykolwiek dotrzesz do prawdy o tym, co odkryli ludzie Hitlera, powiesz mi. Całe życie wierzyłem w te gówna, służyłem dominikanom i cierpiałem w tym pieprzonym domu wariatów, więc chciałem przynajmniej, do ciężkiej cholery, wiedzieć, dlaczego straciłem wiarę. Bo urodziłem się jako człowiek wierzący; moim przeznaczeniem było wierzyć. A teraz jestem samotny. Tak bardzo samotny. - McMahon zapatrzył się na metalowy kubek z winem. - Krew Chrystusa, krew kłamstw. Zdrówko.

Osobliwy był wyraz twarzy Miguela: malowały się na niej zmęczenie oraz poczucie zaspokojenia i triumfu. David uświadomił sobie, że dokładnie te same emocje widział na jego obliczu chwilę po kopulacji z Amy w jaskini czarownic w Zugarramurdi.

- Czekajcie. Zaraz, zaraz... Śpiący jestem - powiedział Miguel. W zimnym powietrzu nocy widać było obłok jego oddechu. - Możemy z tym poczekać. *Bukatu dut!* Amerykanin ogrzeje nas rankiem.

Angus patrzył na terrorystę bez słowa.

Miguel wydał rozkazy swoim ludziom. Angus, Amy i David zostali ustawieni plecami do pnia akacji i ciasno skuci łańcuchem. Wyznaczono warty. A potem Garovillo nagle położył się i zasnął - tak błyskawicznie, że wydawało się, jakby zemdlął. Leżał nieruchomy jak kłoda na płótnie rozciągniętym przy ognisku.

- Kleinego-Levina - powiedział Angus cichym, bezbarwnym głosem.

- Co takiego? - szepnął David, stojący tuż obok niego.

- Zespół. Mówię o stanie Garovilla. Nadmierna potrzeba snu, tik twarzowy, skłonność do przemocy. Moim zdaniem to zespół Kleinego-Levina.

- No i?

- No i nic. To po prostu ciekawe.

Cisza. Po chwili odezwała się Amy. Jej głos drżał z emocji.

- Angus. Wszystko jedno. Musimy... musimy coś zrobić...

Nairn skinął głową.

- Wiem. Ale co? Co możemy zrobić?

Nikt się nie odezwał.

Była to groteskowa noc, naznaczona cierpieniem. David nie mógł zasnąć. Myślał tylko o jednym: rankiem miał zostać spalony. O świecie. Miał cierpieć tak jak Alphonse. Miał nadzieję, że śmierć nadejdzie szybko.

Tylko on cierpiał na bezsenność. Angus i Amy wprawdzie najpierw go pocieszali, ale wkrótce ulegli przemożnemu zmęczeniu i zasnęli ze spuszczonej głowami.

A David pozostał świadomy. Wpatrywał się w ciemność i czuł ukąszenia owadów. Cmy fruwały wokół jego twarzy jak małe, przerażone duchy. Lecz nawet one zniknęły gdzieś, gdy zrobiło się naprawdę zimno.

I wtedy, w tej szarej i sennej godzinie przed świtem, coś się poruszyło. Ludzka postać. David przyglądał jej się uważnie.

Miguel skradał się w stronę dogasającego ogniska. Jego współnicy spali głębokim snem. Wcześniej zmienił ostatniego z nich, przejął wartę, a teraz pełził ku smętnej, dymiącej kupie zwęglonego drewna. Rozglądał się przy tym na prawo i lewo, aby się upewnić, czy nikt nie patrzy. David pozostawał w cieniu pod drzewem. Miguel nie wiedział, że jest obserwowany.

Ale co to właściwie było? Co zamierzał zrobić Garovillo? W tej samotnej scenie było coś nieporadnego i przerażającego zarazem.

Miguel zbliżył się do resztek wypalonego ogniska i wyciągnął rękę w stronę wiszących smętnie zwęglonych zwłok. Położył na piasku porcję ludzkiego mięsa i wyjął wielki, ostry nóż. Struzka śliny ciekła z jego ust, lśniąc srebrzyście w świetle księżyca. David patrzył, jak terrorysta wbija nóż i odcina kawałek nogi Alphonse'a.

Miguel rozejrzał się raz jeszcze, niczym prawdziwy nocny wilk strzegący swojej zdobyczy. A potem nabił kawałek mięsa na czubek noża i chciwie uniósł do ust, a może raczej głodnej paszczy wilka.

Otsoko.

David z wymiotował.

Miguel usłyszał go. Zaraz potem zobaczył, że David nie śpi. Że wszystko widział.

Na jego twarzy odbiło się na moment coś na kształt poczucia winy i niewymownego wstydu. Upuścił nóż na ziemię,

jak gdyby chciał udać, że nigdy w życiu nie miał go w ręku. Wstał nagle i lekceważąco kopnął mięso z powrotem w czarny krąg ogniska. Potem otarł twarz rękawem i parsknął szyderczo, spoglądając na Davida. Bezgłośnie. Uczynił to jednak nieprzekonująco; na jego twarzy nadal malował się straszliwy wstyd.

Miguel wycofał się w cień, ciągnąc za sobą koc. Po chwili znowu zapadł w sen.

David patrzył na tę scenę, zmrożony jej potwornością.

Teraz, gdy naprawdę został sam w głuszy, znowu popatrzył na pustynne niebo. Świt budził ziemię do życia. Zabarwił horyzont zielenią i chłodnym błękitem, a potem najbledszym odcieniem moreli. Na dnie kanionu pojawiły się pierwsze, ledwie zauważalne cienie. Najwątlesze z drzew pokłoniły się dwornie przed ożywczym podmuchem wiatru. David nadal był jedyną osobą, która nie spała.

Zmrużył oczy, przyglądając się sporemu zwierzęciu z rodziny kotów, które pojawiło się kilkaset metrów od niego, w głębi doliny. Płowy drapieznik kroczył z gracją między akacjami; miał uszy zakończone pędzelkami i dość długi, sprężysty ogon. Karakał.

Jeszcze dalej w głębi płytkiego kanionu zobaczył znacznie większe, poruszające się, ciemne sylwety. Pustynne słonie. Kontynuowały swoją niezwykłą pielgrzymkę przez spieczone połacie Namibii, w poszukiwaniu wody.

Chciało mu się płakać. Miał umrzeć lada chwila, a świat był taki piękny. Okrutnie piękny. Brutalny, groźny i piękny. Jeszcze nigdy David nie był tak bardzo świadomy swego otoczenia. Każdego chrząszcza czerniejącego na złotym piasku, każdego świergotu ptaków dobiegającego od strony akacji. A on miał wkrótce umrzeć.

Głos Miguela rozniósł się echem po całym obozie.

- No, dobra! Wstawać! Jest zajębiście zimno. Musimy go spalić. No dalej! *Egun on denoi!* Wstawać!

Nagle obóz ożył. Pojawili się ludzie Miguela, drżący z zimna i czekający na rozkazy swego przywódcy.

- Potrzebujemy drewna, Miguel.

- Niech oni przyniosą- szczechnął Garovillo. - Amy i Naim. Niech sami zbiorą drewno, na którym upieczemy ich przyjaciele. A z jego mózgu zaparzemy sobie pożywny napój.

- W porządku. - Alan nonszalancko machnął pistoletem w stronę więźniów. - Róbcie, co kazał. Nie ma powodu, żebyśmy się męczyli, skoro wy możecie nazbierać drewna. Będę szedł tuż za wami.

Amy i Angus zostali rozkuci. Ruch lufy pistoletu wskazał im kierunek. David odprowadził ich wzrokiem, wciąż przykuty do drzewa. Powędrowali w głąb kanionu. Amy schyliła się jako pierwsza, żeby podnieść suchą gałąź akacji. Mężczyźni w obozie palili papierosy i rechotali, wymieniając obsceniczne żarty na temat zbliżającej się egzekucji Davida.

Zauważył, że Angus rozmawia z Amy. Szeptem. Alan zareagował krzykiem:

- Mordy w kubeł! I zbierać drewno.

Angus odwrócił się i przeprosił, a potem schylił się i wyrwał z piasku małe, niemal uschnięte drzewko z zaledwie kilkoma zielonymi liśćmi. Amy uczyniła to samo: wybrała bardzo podobną roślinę, rosnącą kilkadziesiąt centymetrów dalej.

Tak zaczął się dzień. Angus i Amy wolno wykonywali swoje ponure zadanie, stopniowo układając na obozowym placu spory stos drewna. Zimny wiatr gnał nad jałowym pustkowiem; chłód się utrzymywał, mimo iż słońce mocno już świeciło.

W porannej ciszy głos Miguela brzmiał wyjątkowo potężnie.

- Alan, rozpalaj ogień! Zamarzam tu. I ustaw naszego przyjaciela pośrodku stosu.

- Dobra, Mig...

Narastające przerażenie rozrywało Davida od środka. Choć przygotowywał się na to przez całą noc, rzeczywistość była zbyt straszna, by mógł ją znieść. To niemożliwe. Niemożliwe! A jednak podeszli do niego. Walczył i wił się, ale był sam, a ich wielu. Próbował gryźć, ale dostał w twarz na uspokojenie. Nieuchronnie i niepowstrzymanie wlekli go przez piaszczysty placyk w kierunku czekającej już sterty drewna.

- Macie liny?

Brutalnie wepchnęli go, a właściwie wrzucili w sam środek stosu. Przez chwilę miał wolne ręce i próbował uderzyć kogoś z napastników - i nawet trafił - ale zaraz złapali

go za nadgarstki. Poczuł, że związują je po drugiej stronie pala; po chwili podobnie postąpili z jego kostkami.

Dookoła ułożono stos suchych gałęzi, sięgający mu ponad kolana. Szarawe paliwo pustyni czekało na ogień.

Popatrzył na Amy, a ona na niego. Łzy ciekły po jej policzkach, ale milczała. David odszukał wzrokiem jej błękitne oczy; w tych ostatnich chwilach chciał znaleźć w nich potwierdzenie, jakiś dowód, że i ona go kocha. Jej twarz była łagodna, smutna i niewinna. Ale czy na pewno tego szukał?

- *Basta!* - zawołał Miguel. - Pora na śniadanie. *Torrijas. Kafea.*

- *Zaczekajcie* - odezwała się Amy. - Pozwól mi pocałować go na pożegnanie.

Miguel spojrział na nią sceptycznie i drwiąco zarazem, jakby miał zaraz wybuchnąć złośliwym śmiechem. Słońce stało już wysoko i po raz pierwszy tego ranka David poczuł na twarzy jego ciepły promień. Spodziewał się, że wkrótce będzie mu jeszcze cieplej; że krew zagotuje się w jego żyłach.

- *Aii.* Dlaczego nie? Pocałuj go na pożegnanie. Powiedz *agur*. Posmakuj go po raz ostatni. A ja sobie popatrzę.

Amy potulnie skinęła głową. Podeszła do stosu, przestała nad pierścieniem chrustu i pocałowała Davida w usta. A kiedy to czyniła, szepnęła bardzo cicho i bardzo wyraźnie:

- Staraj się nie wdychać dymu. To drewno to wilczo mlecz. Staraj się.

David skinął głową bez jednego słowa. Amy pocałowała go jeszcze raz i wycofała się. Do stosu zbliżył się Alan.

- Zatankujemy?

Ktoś się roześmiał.

- Kto ma zapalniczkę?

Francuz imieniem Jean-Paul zaczął polewać suche drewno benzyną z kanistra. David poczuł na kostkach chłodną ciecz, a w nozdrzach jej ostry zapach. Enoka wyjął zapalniczkę. Przykucnął i skrzesał ogień, osłaniając go dłonią przed pustynnym wiatrem, jakby trzymał w ręku małe pisklę. Wolno przybliżył płomień do gałęzi, a potem wycofał się powoli i ostrożnie. Polaną benzyną drewno stanęło w płomieniach z niezbyt głośnym „pufff”.

To się naprawdę działo. Tutaj. Teraz. Na zielonych polaciach Damaralandu. Pod czujnym okiem sokołów patro-

lujących niebo nad Huabem. Za chwilę David miał spłonąć żywcem.

Chryst był tak suchy, że natychmiast zajął się ogniem. Wielkie, żółte, huczące płomienie szybko pięły się w górę. Angus i Amy przykucnęli przy ognisku, próbując ogrzać dłonie. Miguel wybuchnął śmiechem.

- A to dobre. Tak, ogrzejcie sobie ręce przy stosie swego przyjaciela! Ja też to zrobię. - Miguel zerknął na swoich kolegów i wydał rozkaz: - Trzymajcie ich na muszce.

Stanął bliżej, by podziwiać cierpienia swojej ofiary. Oczy Davida zaczęły łzawić od dymu. Czuł gorąco. Płomienie podpełzały już do jego stóp, jak ramiona obrzydliwych żebaków. Starał się nie wdychać dymu. Wilczomlec. Czy to miał być jakiś plan? Strach omal nie pozbawił go zmysłów. Miał umrzeć! Przeważenie rosło, a czasu było coraz mniej, podobnie jak nadziei. Co oni wymyślili? Amy i Angus kucali na nawietrznej, z dala od oleistego dymu buchającego z suchych, trzaskających gałęzi. Spoglądali raz po raz na Miguela, który stanął na zawietrznej.

Garovillo zaciągał się dymem. Nabierał go w płuca i uśmiechał się błogo.

- Ten zapach. Aromat podobny do jagnięciny. Jagnięcina, nieprawdaż? Czy nie tak? *Ez? Bai?* Amy?! Czujesz? To... to twój przyjaciel., pali się i... - Miguel zaczął mamrotać niezrozumiale zza ściany gorąca i dymu. - Taaak... *Marmitako...* będzie...

David patrzył na niego w zdumieniu, choć ogień zaczął go już parzyć.

Miguel zatoczył się w bok. Belkotał i tracił równowagę, aż w końcu opadł na kolana, półprzytomny. Po chwili runął na ziemię.

Angus rzucił się na niego jak drapieżnik, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Skoczył ponad ogniem, złapał Miguela za gardło, a drugą ręką wyrwał mu z ręki broń. Przystawił lufę do jego kołyszącej się bezwładnie głowy.

Półprzytomny morderca wybelkotał jakieś przekleństwo. Jego kompani zamarli.

- Nie ruszać się albo go zabiję! - warknął Angus. Niektórzy zastygli z bronią w ręku, inni w trakcie wyśiadania z samochodów.

Amy podniosła nóż leżący na piachu - ten sam, którym Miguel kroił ludzkie mięso. Zanurkowała w płomienie, przecięła liny kłępujące Davida i zanim jeszcze opadły na ziemię, odskoczyła z powrotem, ciągnąc za sobą Davida.

- Zabiję Miguela! - krzyczał Angus. - Niech nikt się nie waży ruszyć!

Posłuchali go. Amy własnymi rękami gasiła dymiące dzinsy i buty Davida. Tuż obok ryczały płomienie, jakby rozgniewane tym, że odebrano im strawę. Amy położyła dłoń na twarzy Davida.

- Wszystko w porządku?

- W porządku, w porządku. Ledwie ją słyszał, tak głośno huczał ogień i tak energicznie kaszłał, próbując wyrzucić z siebie dym.

Angus włókł po ziemi półprzytomnego Miguela. Tymczasem pozostali terroryści tylko wymieniali spojrzenia i żaden z nich nie miał pojęcia, co mają zrobić, gdy zabrakło ich dowódcy.

- Nie zbliżać się, skurwiele, bo rozwalę mu łeb! - wrza szał Angus. - Amy, pozbieraj wszystkie kluczyki od samochodów. Zabierz skrzynkę z próbkami krwi. David, łap spluwę i biegnij do samochodu. Do land rovera...

Wspólnicy Miguela znowu popatrzyli po sobie, zdezorientowani, wściekli i bezradni. Amy błyskawicznie wykonała zadanie i wróciła, potrząsając dumnie pękiem kluczyków.

- Mam je, Angus! Próbkę też.

- Wsiadaj do wozu! David!

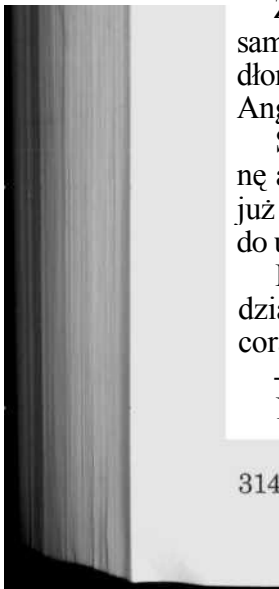
Zapanował nad strachem i posłusznie pognął w stronę samochodu. Wskoczył na fotel kierowcy. Poparzoną, obolałą dłoń położył na kluczyku. Był gotów do ucieczki, gdy tylko Angus będzie bezpieczny.

Szkot z mozołem ciągnął bezwładne ciało Miguela w stronę auta, wciąż trzymając wylot lufy przy jego skroni. Amy już siedziała obok Davida, obserwując jego ruchy. Gotowa do ucieczki.

Lecz Miguel zaczął się budzić z omdlenia. Oszłamiające działanie dymu zaczynało ustępować. Terrorysta rzucał się coraz energiczniej, by wyswobodzić się z uścisku Angusa.

- Angus!

Naukowiec wciąż przyciskał Miguelowi lufę do skroni.



David wiedział, co się teraz stanie. Twarz Nairna wykrzywił grymas ponurej satysfakcji.

Martinez patrzył na to z odrazą: Szkot pociągnął za spust, by wykonać egzekucję.

Tylko że jego uchwyt był już słaby. Miguel rzucił się w ostatniej chwili z wyjątkową gwałtownością. Znowu był olbrzymem z lasu, legendarnym i nieśmiertelnym jentilem. Angus oddał strzał i z głowy Miguela trysnęła krew, ale to była tylko powierzchowna rana. Wilk żył; był powalony na ziemię, ale wolny. I dawał znaki swoim ludziom.

Pierwsza kula karabinowa przecięła chłodne powietrze poranka. David wrzucił bieg i w tym samym momencie kolejny pocisk uderzył z głośnym hukiem w karoserię. Drzwi otworzyły się z rozmachem i Amy chwyciła Angusa, który w tej samej chwili wskoczył na tylne siedzenie. David wciśnął gaz do dechy. Sypnęło piachem spod kół, ale opony złapały twarde gruntu i wóz wyrwał do przodu, szybko nabierając prędkości. Szybciej. Jeszcze szybciej.

Kolejna kula strzaskała tylną szybę. Angus odpowiedział ogniem. Strzelił trzykrotnie, w dość przypadkowy sposób. Jeden z przeciwników padł na ziemię. Enoka.

- Jedź! - wrzasnął Angus.

Zygzakując dziko, David odkrzyknął:

- Ale dokąd?!

- Tam!

Wóz wyskoczył wysoko ponad mały pagórek i z hukiem opadł na piasek. Pomknął dalej, trzęsąc się niemiłosiernie, ślizgając na kamienistym podłożu i chwilami wpadając w poślizg. David trzymał mocno kierownicę i choć rzucało nimi na boki, jakoś prowadził land rovera slalomem między akacjami, korytem wyschniętej rzeki.

- David!

Był to krzyk Amy.

Przed nimi, na kursie kolizyjnym, pojawił się potężny słoń. Powolne zwierzę przeżuwało sporą gałąź. Odwróciło się i spojrzało z lekkim politowaniem na nadjeżdżający samochód.

David szarpnął kierownicą w ostatniej chwili. Wóz przechylił się w bok, pędząc z dużą prędkością. Martinez był właściwie pewny, że lada chwila będą dachować i zginą

niechybnie, zmiążdżeni w kruchej kabinie, ale nagle land rover stanął bezpiecznie na kołach i pomknął dalej.

- Rzeka! Trzymaj się rzeki!

Rozpędzony samochód przeciął błotnistą strugę i skręcił, ustawiając się równoległe do koryta rzeki. Ptaki z głośnym krzykiem protestu uciekały spod kół. David zmienił bieg i jeszcze przyspieszył. Wóz był biały, nowy i bardzo szybki.

Przez trzydzieści minut gnali nadrzecznym traktem. Antylopa oryks, spokojnie pijąca wodę, uniosła łeb, słysząc warkot silnika, i czym prędzej czmychnęła. Springboki także rozpięchły się w podskokach, gdy tylko spostrzegły wóz ślizgający się na kamienistych wirazach.

- Tędy!

Angus wskazał kierunek i gdy dojechali do rozwidlenia rzeki, David skręcił ku bardziej suchej odnodze. Skorzystał z okazji, by spojrzeć za siebie, i raz jeszcze poczuł, że wstępuje w niego nadzieja. Naprawdę się udało.

Uciekli.

Miał ochotę wypłakać cały swój strach i triumf jednocześnie. Ale nie zrobił tego, tylko w milczeniu prowadził wóz. Nikt zresztą się nie odzywał. Zatrzymali się tylko na kilka minut, a wtedy Amy znalazła w apteczce maść, którą nałożyła na jego poparzoną dłoń. Patrzył na nią, gdy to robiła.

Słońce było już wysoko i zrobiło się bardzo gorąco. David spróbował znów dojść do ładu z własnymi emocjami. Dlaczego? Dlaczego Miguel w ogóle się tam znalazł? Jak to się działo, że zawsze ich odnajdywał. Było tak, jakby polowała na nich sama śmierć: sprawna, brutalna i bezlitosna. *Otso-ko*. Wilk. Nieustępliwy.

Po godzinie jazdy wzdłuż rzeki Angus znowu kazał zmienić kierunek. David skinął głową i ostro odbił w prawo. Wjechali na prawdziwie suchy łąd. Kamienie i piach. Mknęli jednak dalej na południe, uparcie milcząc. Tu już nie było dróg. Zostawili daleko w tyle względnie bujną roślinność wokół rzek Damaralandu i teraz mieli pod sobą udreżoną suszą ziemię. Po obu stronach pojawiły się wydmy.

Angus jako pierwszy przerwał długotrwałą ciszę.

- Jesteśmy w Parku Narodowym Namib Naukluft - powiedział. - Pustynia, ciągnie się przez setki kilometrów.

David popatrzył na jałowy bezkres ciągnący się jak okiem sięgnąć. Wiatr toczył chmury piasku po grzbietach ogromnych, pomarańczowych wydm. Tu i ówdzie widać było kikuty martwych drzew wzięte wprost z sennych koszmarów.

Dość. David otrząsnął się z ponurych myśli. Obrazy, które kłębiły się teraz w jego umyśle, były zbyt straszne, by mógł je znieść. A przecież nie były pozbawione logiki, coś się w nich zgrabnie układało.

Pozbierał więc te wizje w jedną całość. Miguel jedzący mięso Alphonse'a. Trudne wyznanie starego Garovilla: „Miguel nosi w sobie prawdziwą hańbę Cagotów”. A potem ta upiorna scena z trupami zamkniętymi w piwnicy.

A jeśli te ciała nie zostały zamknięte w szczelnym pomieszczeniu po to, by je pogrzebać, ale po to, by się lepiej zachowały?

Jak w spiżarni?

David napił się wody i zadał proste pytanie.

- Angus, czy Cagoci byli...

- Tak?

- Czy oni byli kanibalami?

Amy spojrzała na niego blada i przerażona.

Angus milczał przez kolejny kilometr. David spróbował jeszcze raz. Znowu cisza. Zapytał więc po raz trzeci. Wtedy dopiero Szkot odchrząknął i odparł, z nietypowym dla siebie napięciem w głosie, jakby nagle utkwiał mu w krtani pustynny kurz:

- A dlaczego tak sądzisz?

David nie chciał mu odpowiedzieć: „Bo widziałem, jak Miguel kroi twojego chłopaka”. Czuł jednak, że nie ma wyboru. Poprzedziwszy odpowiedź ostrzeżeniem, opowiedział mu szczegółowo o wszystkim. O tym, co widział ostatniej nocy. O wydarzeniach w Domu Cagotów. O ciałach, które znaleźli w piwnicy.

Angus przez cały czas patrzył przez okno na wielkie pustkowia Namibu. Wreszcie odpowiedział, nie odwracając się:

- Tak, oczywiście. I właśnie dlatego udała nam się sztuczka z dymem.

- Słucham? - wtrąciła się Amy. - Jak to?

- Mam wrażenie, że to dość okrutne. To znaczy dyskusowanie o tym. Cagoci praktycznie wymarli. Po co mamy rozrzucać jeszcze łajno na ich grobie?

- Ale...

- Ale i tak się domyśliłeś. Właściwie to byłeś nawet świadkiem. Więc równie dobrze mogą być, kurwa, całkiem szczerzy. Tak, to prawda. Miguel ma skłonności do kani balizmu, ponieważ jest Cagotem. To część ich przekłętego dziedzictwa genetycznego.

Amy potrząsnęła głową.

- Wyjaśnij nam to.

- Już we wczesnym średniowieczu oskarżano ich o je-
dzenie ludzkiego mięsa i ta opinia przyłgnęła do nich na
dobre. Oczywiście mogła być kompletną bzdurą, tak samo
jak pogłoski o używaniu przez Żydów ludzkiej krwi do ob-
rzędów, tylko że było w niej ziarno prawdy. Oni naprawdę
byli węzowym nasieniem. Klątwą Kaina. Osobną rasą ludzi
przeklętych. To wszystko prawda.

- Jak to? Nie rozumiem! - Amy pobladła z oburzenia. -
Eloise nigdy nam o tym nie wspominała.

- O, to doprawdy bardzo zaskakujące - odparł sarka-
stycznie Angus. - To autentyczna hańba Cagotów, a nie
temat do rozmówek z sąsiadami: „Hej, może wpadniecie dziś
na kolację? Tylko przyprowadźcie tuściutkiego przyjaciela”.

- A co na to nauka? - spytał David, wjeżdżając między
dwa kikuty drzew. - Kanibalizm? Skąd się to bierze?

Angus zmarszczył brwi.

- Wszystkiemu jest winne odosobnienie cagockich spo-
łeczności, chów wsobny. Weźmy na przykład syndaktylię,
zrośnięcie palców dłoni czy stóp. To typowa anomalia wy-
stępująca u ludów górskich, o niewielkiej puli genetycznej.
Syndaktylia jest powiązana w wieloma różnymi zaburzenia-
mi chromosomalnymi. Niektóre z nich prowadzą do psychoz,
skłonności do agresji, zaburzeń w sferze seksualnej i kto wie
czego jeszcze. Rozumiesz?

Amy zerknęła najpierw na Davida, a potem na Angusa.

- Miguel bez przerwy miał ochotę na seks.

- Otóż to, wybujałe libido. -Angus aż się uśmiechnął. —
Hiperseksualność. *Satyriasis*. I do tego nadmierna potrze-
ba snu.

- On zawsze zasypiał po seksie.

- Typowy facet. Co robić... - Nairn zapatrzył się w prze-
strzeń, a po chwili dodał: - Podejrzewam więc, że Miguel
cierpi na kombinację zespołu Kleinego-Levina i choroby
Hallervordena-Spatza, występujących nierzadko u Cagotów.
Z czasem objawy jeszcze się pogłębią. A jednym z objawów
może być właśnie antropofagia, czyli kanibalizm. Zdałem
sobie sprawę z tych jego ciągot wczoraj w nocy, kiedy pa-
rzyłem, jak zaciągał się dymem.

David spojrzął w lusterko. Głupie żarty i przyklejony do

twarzy Szkota uśmiech był tylko maską, kryjącą szokująco głęboki smutek.

- Zatem dlatego zadziałał na niego dym z wilczomleca - powiedziała Amy.

- Tak jest. Po tym, jak się zachowywał przy nieszczęsnym Alfiem, wiedziałem, że znowu będzie chciał poczuć ten dym, woń palącego się ludzkiego ciała. Zrozumiałem też, że nastąpi to w chwili, gdy ty znajdziesz się na stosie, Davidzie. Że nie oprze się pokusie.

- A ten wilczomlecz?

- *Euphorbia virosa*. Nazywany jest też trucizną Buszmenów. Zjedzenie liści powoduje szybką śmierć. Dym z palonego drewna prędko wywołuje omdlenie. Zaryzykowałem: wierzyłem, że Miguel podejdzie blisko, zaciągnie się i będzie się delektował tym cudnym dla siebie aromatem.

David poczuł mdłości i zawroty głowy.

- Ależ Angusie, ja też mogłem od tego umrzeć.

- No tak. Doszedłem do wniosku, że nie będziesz miał nic przeciwko szybszej śmierci z powodu zatrucia, skoro miałeś się piec na wolnym ogniu.

W samochodzie zapadła cisza. Stary, piaszczysty szlak zmienił się w przyzwoitą drogę: czarną, asfaltową i prostą, niczym igła wskazująca południe. Słońce wisiało nisko, a na dalekim, pustym horyzoncie widać było ciemne sylwetki biegnących strusi. David pomyślał o swoim dziadku, konającym w hospicjum na skraju pustyni: *Desolada, desolada, desolada*.

Smutek i wstyd dziadka. Straszliwy los rodziców.

- Dokąd jedziemy? - spytała Amy.

- Do Reheboth, Miasta Bękartów.

- To znaczy?

David spojrział w lusterko. Na ustach Angusa wciąż błąkał się ten dziwny, zawadiacki uśmiech.

- Muszę się zobaczyć z matką Alphonse'a. Opowiedzieć jej, co się wydarzyło. Alphonse był Basterem, czyli po angielsku Bękartem. Jego matka mieszka w Roheboth i musimy się tam dostać jak najszybciej, skoro Miguel żyje. Jego ludzie przyjadą do Sperrgebiet, żeby dopaść Eloise...

- Dlaczego on ci nie uwierzył? - przerwała mu Amy. - Wtedy, gdy mu powiedziałeś, że Eloise jest w Zakazanej

Strefie? Dlaczego nadal to robił? Przecież uzyskał odpowiedź.

Angus spojrział na nią kpiąco.

- Ty naprawdę jeszcze nie rozumiesz? Tym człowiekiem kierują haniebne żądze. Zapewne przez lata nad tym panował, ale te objawy tych chorób nasilają się w miarę upływu czasu, a wtedy do głosu dochodzą najgorsze, najbardziej pierwotne pragnienia.

- On ugryzł rękę kobiety, którą zabił w Gurs. Babci Eloise.

- Otóż to. Krótko mówiąc: on coraz dalej stacza się w obłąd. Choroba przejmuje nad nim kontrolę. Wyprzedź ten wóz; musimy się spieszyć.

Był to pierwszy samochód, który zobaczyli w ciągu ostatniej godziny. David przyspieszył i sprawnie wyprzedził wóz, za którego kierownicą siedział otyły facet o typowo niemieckiej powierzchowności. Gdy kończyli manewr, Niemiec mruknął do nich światłami: dwa srebrne impulsy w drżącym z gorącą powietrzem.

- Jak zatem widzicie - ciągnął Angus - Miguel tylko czekał na okazję, by kogoś ugotować. Owszem, otrzymał odpowiedź, której szukał, lecz ani myślał puścić nas wolno. Impulsy wzięły nad nim górę. Bo tak naprawdę chciał przede wszystkim spróbować ludzkiego mięsa. Nie mógł się powstrzymać.

- A teraz?

- Teraz będzie ścigał Eloise. Wciąż ma zadanie do wykonania. Musi zniszczyć wyniki moich badań i uniemożliwić ich kontynuowanie, a także zlikwidować Eloise, ostatnią z Cagotów.

Zatrważająca myśl przyszła Davidowi do głowy.

- Angus. Czy Eloise też jest szalona?

- Nie. Nie wszyscy Cagoci byli chorzy. Jej akurat nic nie dolega. Podobnie jak bardzo wielu Cagotom, którzy cieszyli się doskonałym zdrowiem. Zwłaszcza na początku ich... izolacji.

- A co się stało potem?

- Z biegiem stuleci doszło do replikacji złego materiału genetycznego. Coraz mniej było zdrowych Cagotów, a tych nieszczęsnych, którzy chorowali, traktowano coraz surowiej,

jak plemię pariasów. W tak małej społeczności groźny proces wymiany złych genów tylko się nasilił. Z braku nowych partnerów doszło bowiem do chowu wsobnego, być może nawet zredukowanego do najprostszego kazirodztwa. Na świat przychodziło coraz więcej kanibali, kretynów i gwałcicieli o zrosniętych palcach... Lepiej zatankujmy.

Stacja benzynowa wyrosła przed nimi nagle, na środku bezludnego pustkowia. Zatrzymał się na niej furgon wiozący sześć uśmiechniętych czarnoskórych zakonnice. Kilku motocyklistów siedziało w cieniu, polewając spieczoną słońcem czoła wodą z plastikowych butelek.

Nabrawszy wody i paliwa, kupili jeszcze trochę orzechów, kilka pomarszczonych jabłek i *biltong* - suszone, peklowane mięso na patyku. Wsiedli z powrotem do terenówki i po chwili czarna wstęga drogi znowu rozwinęła się przed nimi aż po horyzont.

Angus wciąż gadał, jakby to pomagało mu nie wracać myślą do tego, co przeszli. David chętnie włączał się do rozmowy, bo także nie miał najmniejszej ochoty na wspomnianie niedawnych przeżyć.

- No, to mówcie, jak myślicie - rzekł Angus, popijając wodę, kto właściwie nas zdradził. - Sądzę, że to dość oczywiste. A wy?

- Nie - odparł David.

Angus cmoknął z cicha.

- Wrobiono was już w Swakop. Ten facet, Hans Petersen, musiał już na was czekać. Bo jakoś trudno mi uwierzyć, że naprawdę wpadliście na niego przypadkiem, a on uprzejmie podwiózł was aż do naszego obozu. Podejrzewałem to, kiedy się zjawiliście, ale byłem półgłówkiem, do tego mocno zajęтым, skoro nic z tym fantem nie zrobiłem. Po prostu nie pomyślałem.

David zaprotestował:

- Wcale mi się nie wydaje, żeby nas zdradził, nie...

- Jasne, kurwa, że to on. Miłośnik słoni. Jest znany w Namibii; nienawidzi nazistów naukowców. Pewnie go wiedzieli mu, że powtarzamy eksperymenty Fischera, więc zgodził się pomóc, czyli wrobić was... Powiniennem być się tego domyślić.

- Nie powiedzieliśmy mu, dokąd jedziemy.

- Ależ on już to wiedział! Ktoś już go o tym poinformował, więc był gotowy się z wami zaprzyjaźnić, żeby wyciągnąć informację o miejscu pobytu Eloise. Całe szczęście, że wywozłem ją z obozu. - Kolejny łyk wody. - Wszystko, kurwa, jedno. Teraz jedziemy do Miasta Bękartów.

Wkrótce znaleźli się w sporym mieście, otoczonym stacjami benzynowymi i metalowymi bungalowami. Białe słupy telefoniczne sterczały nad piaszczystymi pagórkami, a szerokie, senne ulice nosiły niemieckie nazwy: Bahnhof-strasse, Kaiserstrasse. Za wysokimi drucianymi ogrodzeniami biegały wielkie psy. Ciemnoskóre dziewczęta śmiały się przed wejściem do różowego bungalowu z napisem „Vil-joen's Pool Hali”. David opuścił szybę i spojrzął na klientów wchodzących do supermarketu Spar.

Byli uderzająco piękni. Podobni do Alphonse'a. Mieli skórę koloru kawy, nieco skośne oczy i wysokie kości policzkowe.

- Kim właściwie są ci Basterzy?

- To mieszańcy - wyjaśnił Angus. - Potomkowie hollenderskich osadników i członków plemienia Khoisan, słynnych Buszmenów z Kalahari. Mieszane małżeństwa zawierano głównie w osiemnastym i dziewiętnastym wieku, w Kolonii Przylądkowej. Tutaj skręć w lewo. Tu... - głos Angusa załamał się na chwilę - ...tu mieszka rodzina Alphonse'a. Spotkałem go na Uniwersytecie Windhoek. Potrzebowałem asystenta, a on był taki piękny... Piękny bękart z Rehoboth.

Amy spojrzała na Davida i powiedziała:

- Angus, jeśli chciałbyś przez chwilę być sam, możemy...

- Nie, nie, nie. Nic mi nie jest. Naprawdę. Pozwólcie mi mówić. - Po chwili mówił dalej: - Basterowie byli znienawidzeni, gardziły nimi obie strony. Upředzenia rasowe zmusiły ich do migracji na północ, przez pustynię, do Namibii. I tu się osiedlili, na wysokim płaskowyżu na południe od Windhoek. Zajęli się hodowlą bydła. - Angus wskazał ręką na widoczny za szybą szyld sklepu mięsnego o solidnie zakratowanych oknach. - Z czasem ustanowili własny naród, z własną flagą i hymnem. Naród bękartów. Bo to właśnie oznacza słowo Baster: bękart. - Angus zaśmiał się gorzko. - I tak żyją tu do dziś. Genetycznie cenna pamiątka przeszłości. Unikatowe dziedzictwo czyni Basterów tak nie-

wiarygodnie pięknymi - daje im kawową skórę, wysokie kości policzkowe i niesamowite włosy, czasem jasne, a czasem ciemne. To dosłownie najpiękniejsi ludzie świata. Zresztą sami popatrzcie, choćby na tę dziewczynę, tam, koło poczty. Oszalająca. Basterowie sporo piją, lubią też hazard. No i są waleczni. Biją się wiecznie, gdy się urzną... Uważaj na ogrodzenie. Okay, to ten dom. Tu mieszka mama Alfiego. Dajcie mi pięć minut.

Bungalow był jasnoniebieski, a nad garażem wisiała obęcz do koszykówki. Trawnik otaczał wysoki druciany płot. Równie dobrze mógł to być jeden z wielu amerykańskich domów, gdyby nie pałace afrykańskie słońce oraz akacje rosnące przy ulicy oraz gromadka dziwnych, smukłych ludzi o cudownych kościach policzkowych, śmiejących się na schodach luterńskiego kościoła, stojącego tuż obok szuflerni Le Pałace, pomalowanej mdląco zieloną farbą.

David i Amy siedzieli w milczeniu. Nieśmiało dotknęła jego ręki, a on zacisnął dłoń na jej palcach.

Szkot wrócił po chwili.

- Wesoło było - oznajmił i machnął ręką, dając im znak, żeby nie zadawali pytań. Kazał Davidowi ruszać. - Jedź na południe, do Sperrgebiet, najszybciej, jak się da. Ruszaj!

Jechali więc, a on mówił i mówił bez końca. O Basterach i Eugenie Fischerze. Wszystko wskazywało na to, że mówienie to dla niego rodzaj terapii. David słuchał go zresztą jak urzeczony; i jego uspokajał po trosze ten słowotok An-gusa. Znowu wjechali na pustynię, gnając sto kilometrów na godzinę po prostej, czarnej szosie. Droga była jednak tak pusta i doskonale równa, że wydawało się, jakby na liczniku mieli co najwyżej trzydzieści. Nie napotkali ani jednego samochodu.

- Chcecie wiedzieć, dlaczego Fischer tu przyjechał? Do Roheboth. Do Namibii.

David wzruszył ramionami.

- Tak.

- Odpowiedź jest prosta. Dlatego, że jest to raj dla kogoś, kto interesuje się genetyką. W Afryce występuje u ludzi więcej wariantów genetycznych niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie, a w Namibii najwięcej w całej Afryce. Od ludu Nama, przez mieszkańców Prowincji Przylądkowej

Zachodniej, aż po Burów. A ja zebrałem próbki od wszystkich tych grup. Mam je. Mam Khoisan, Buszmenów! Przodków Alfiego... To była bardzo ważna część eksperymentów Fischera. Tutaj musimy skręcić w prawo. Zjedź z szosy na tę piaszczystą drogę.

Znowu pochłonęło ich pustkowie. Silnik wył, gdy jechali dnem martwej doliny, kolejnej *vlei* pełnej pyłu. Tylko wydmy były tu nieco mniejsze niż poprzednio.

- Zatem co tu robił Fischer? - ciągnął Angus Nairn. - Otóż wierzył on, że, technicznie rzecz ujmując, Buszmeni są szczególnym rodzajem ludzi. Z pewnością występowały u nich pewne przystosowania do życia na suchych, pustynnych terenach. Są bardzo drobni, zwinni, ale mają też wiele innych niezbędnych cech. Tej sprytnej miniaturyzacji doznała sama natura. Są jak japońska elektronika. Dlatego nazywam ich Sony Buszmenami.

- W jakim sensie są szczególni? Co ich wyróżnia?

- Budowa genetyczna i zewnętrzna. Weźmy choćby ich steatopygię...

- Steato... co?

- Gigantyczne dupy, zwłaszcza u kobiet. To forma przystosowania do trudnego klimatu i regularnych okresów głodu. Coś jak garb u wielbłądów. U kobiet buszmeńskich występuje też ciekawy detal zwany fartuszkim hotentocim. Francis Galton, wybitny eugenik, z właściwą sobie delikatnością nazwał to hipertrofią warg sromowych mniejszych. Nie wiem, czy wiecie, ale badał pochwy kobiet za pomocą sekstantu.

- Chcesz powiedzieć - wtrąciła Amy niedowierzająco - że kobiety Buszmenów czy Hotentotów mają inne... genitalia?

- Tak. Właśnie tak. Inne wargi sromowe mniejsze, bardzo wydłużone i jakby wywinięte. Gdyby Buszmeni byli, dajmy na to, mewami, uczeni pewnie zaliczyliby ich do osobnej kategorii, stworzyli osobny podgatunek. - Angus uśmiechnął się, widząc w lusterku zdumienie malujące się na twarzy Davida. - A swoją drogą, czy to nie dziwne, że Fischer, najwybitniejszy eugenik obok Galtona, miał na imię Eugen? To tak, jakby rodzice Darwina dali mu na chrzcie Ewolut zamiast Karol. - Nairn umilkł na chwilę. -



Ale Fischer wcale nie był jakimś wielkim rasistą. Kiedy tu przebywał, zaprzyjaźnił się z Kellermanami. Lubił towarzystwo miłych, kulturalnych, inteligentnych żydowskich milionerów z Johannesburga czy Kapsztadu, zwłaszcza gdy mieli piękne żony. Trochę mniej przepadał za Zulusami. No dobra, gdzie my jesteśmy?

Przez chwilę przyglądał się wędrującym piaskom. Wydm już prawie nie było; wjeżdżali na płaski i nieco bardziej zielony teren. Wciąż była to pustynia, ale tu i tam na nieskazitelnie żółtym piachu pojawiały się samotne akacje. David spojrzął na zegarek. Jechali już od wielu godzin. Setki kilometrów, przez sam środek Namibii. I nie spotkali ani jednego człowieka.

- Powinniśmy się kierować na Aus, a potem przez pułstynię do Rosh. - Angus zmrużył oczy i spojrzął w słońce. - Chociaż zdaje mi się, że przed zmrokiem nie dojedziemy do Aus. Tak, zjedź na tamten szlak, przy tej starej bramie. - Szkot zmienił pozycję na tylnej kanapie. - O czym to ja... A tak, o Hotentotach. Otóż są oni osiadłą wersją Buszmenów, czyli ludu Khoisan. Występowały u nich dość dziwne obyczaje, które wcale się nie spodobały pierwszym badaczom. Choćby to, że kapłan oddawał mocz na nowożeńców, jakoś nie przypadło im do gustu. Albo czczenie koników polnych. No i oczywiście najlepsze: jedzenie takich smakołyków jak jelita. Poza tym, wstępując w związek małżeński, Buszmeni kazali sobie usuwać jedno jądro. Dziwaczne, co? - Angus wyszczerzył zęby w dzikim uśmiechu. - Często nabijałem się z Alfiego. Mówiłem, żeby uciął sobie jedno i wyjechał ze mną do Szkocji. Zostałby...

- Angus. - Amy była wyraźnie przejęta. - Nie wydaje mi się, żeby to było zabawne.

- Nie?

- Czy ty jesteś rasistą?

Za wozem ciągnęła się wielka chmura pyłu, niczym szaropomarańczowy welon panny młodej unoszony przez wiatr.

- Gardzę rasizmem - odparł ostro Nairn. - Nienawidzę go. Rasizm jest głupi. Jest jak nienawiść do osłów za to, że nie są owcami. Poza tym... wszyscy jesteśmy dziećmi Boga. Braćmi i siostrami.

David nie krył zaskoczenia:

- Ty wierzysz w Boga?

Uczony omal nie wpadł w gniew.

- A jak można nie wierzyć? W takim miejscu jak to? To jest ostatnia i największa z namibijskich pustyń, Karoo. Popatrzcie tylko. Jedno z najbardziej suchych miejsc na świecie. Nawadniają je tylko mgły nadciągające z nad morza. Widzicie te śmieszne drzewa. - Mówiąc to, wskazywał na grube, niezgrabne drzewko, kierujące potężne kolce ku bezchmurnemu niebu. - *Koekerboom*. Fauna i flora są tu niezwykle: nedorzeczne kaktusy, zwariowane owady, ty ślaczelnie drzewa rosnące pod ziemią. Są też hieny, a raczej ich wyjątkowo wredny podgatunek, zwany wilkiem piaskowym. Kiedyś widziałem jedną niedaleko Luderitz; mało się nie posrałem ze strachu. Polują na plażach na młode foczki. Nie wyglądają pięknie.

David pomyślał o Miguelu, który gdzieś tam wciąż na nich polował. Pustynny wilk.

Angus nie przerywał swego rozpaczliwego monologu:

- I właśnie z tego powodu wierzę. Spójrzcie na to wszystko. No spójrzcie! To nie jest przypadek, że tak wiele religii wywodzi się z terenów pustynnych. A to jest bodaj najbardziej nieprzyjemna ze wszystkich pustyń. Spójrzcie tylko na ten krajobraz! - Machnął gniewnie ręką. - Chciałbym wylądować w Luderitz samolotem pełnym ateistów i przegonić ich przez to pustkowie z garstką nerkowców w kieszeni. W dziesięć dni byłiby albo martwi, albo wierzący. Ateiści. Niedojrzałe palanty.

David był szczerze zdumiony. Nie umiał rozgryźć Angu-sa Nairna. Nigdy wcześniej nie poznał nikogo podobnego. Tymczasem Szkot nie przestawał mówić:

- Choć oczywiście wszystko to nie oznacza, że Bóg jest przemitym facetem. Bo nie jest. Wszechświat jest faszystowski. To tyrania, szalona dyktatura. Stalinowski terror. Irak Saddama. Do tego tak przerażająco przypadkowy. Naszym życiem rządzi przypadek. Każdy z nas leży sobie czasem w nocy i myśli: kiedy śmierć przyjdzie po mnie? Nie mam racji? I w końcu, jeden po drugim znikamy. Przychodzi Gestapo Śmierci i zabiera nas, by przed zgonem skatować nas jeszcze, a to rakiem płuc, a to niewydolnością serca, a to Alzheimerem... - Angus mówił już głównie do siebie. -

A inni ludzie tylko szepczą: Słyszałeś o tym i o tym? Już go nie ma. Zabrali go ostatniej nocy... - Nairn pokręcił głową. - Alphonse, kurwa mać, biedny Alphonse...

Wóz sunął na południe. Angus nareszcie umilkł.

David pomyślał o dziadku. Pustynia Sonora też była piękna, ale Angus miał rację: krajobraz Karoo był jeszcze bardziej poruszający, przejmująco smutny. Zielone i żółte trawy, blade akacje, różowawe pustkowie pocięte dawno nieużytkowanymi liniami kolejowymi. Porażające odłudzie. Fioletowe zarysy łańcuchów górskich i pojedynczych szczytów wznosiły się ponad rozmazanym morzem piasków, niewyraźne jak wspomnienie: wspomnienie gór zdobiących widmo krajobrazu.

Patrzył, jechał i rozmyślał o dziadku. O jego dziwnym wstydzie, o poczuciu winy.

Desolada, desolada, desolada...

Trzy godziny później słońce zniknęło, a fiolety na horyzoncie zmieniły się w czerń. Wciąż mknęli, cicho i bardzo szybko, przez prawdziwy i szlachetny mrok pustyni.

Było zimno.

Milczący i wyczerpani, raz na jakiś czas dostrzegali w snopie światła reflektorów nocne zwierzę: fenka albo pustynnego zająca. A potem znowu mrok. I wreszcie w światłach błysnęła duża, biała tablica: SPERRGEBIET. STREFA DIAMENTÓW I. NIEBEZPIECZEŃSTWO!

- W porządku - rzekł Angus. - Jedź tą gruntówką.

Dwieście metrów dalej nagle włączyły się potężne światła. Dwaj uzbrojeni czarnoskórzy wychynęli z drewnianej budki, niosąc w rękach gotowe do strzału karabiny. Na ich twarzach malowała się ponura determinacja.

- Stać!

Angus wychylił się przez okno.

- Solomon. Tilac. To ja!

Cisza.

- Angus?!

Wartownicy uśmiechnęli się szeroko.

- Angus, cholerny wariacie, mogliśmy was zastrzelić!

- Przepraszam.

Cofnęli się, a jeden z nich zamaszystym gestem pokazał im kierunek jazdy.

Ruszyli dalej kamienistą drogą. Trudno było wypatrzeć coś w srebrzystym mroku, ale wydawało się, że krajobraz się odmienił. Nocne powietrze było coraz chłodniejsze.

David uświadomił sobie, że wyczuwa ostry, słonawy zapach morza.

Po chwili rzeczywiście zobaczyli ocean, mieniący się złowieszczo w blasku księżyca. Droga wiodła przez nagie, szare nadmorskie skały. Zobaczyli przed sobą kolejne światła i zarys budynku, a raczej rozległego kompleksu budynków, najeżonego masztami i talerzami anten satelitarnych.

- Kopalnia Tamara - powiedział Angus. - Zaparkuj tutaj.

Ich przybycie wywołało natychmiastową reakcję: do samochodu podbiegło kilku ludzi, w tym wysoki i szczupły biały, w zupełnie niepasującym do okoliczności, szarym, flanelowym garniturze.

- Nathan - odezwał się Angus, bardzo znużonym głosem. - To Amy Myerson i David Martinez. Przyjaciele. Przyjaciele Eloise. Przyjaciele, przedstawiam wam Nathana Kellermana.

Nathan Kellerman podszedł nieco bliżej. Był młody i przystojny.

- Mój Boże, Angus, co się z wami działo? Fatalnie wyglądacie.

- Nic nam nie jest. Musimy się tylko przespać.

- A gdzie Alphonse? I reszta ludzi? Co tam się stało, do diabła?

Angus wzruszył ramionami. Zapanowała bolesna cisza.

Nathan Kellerman uniósł wypielęgnowaną dłoń.

- Masz próbki? - spytał ostro, z nieznacznym amerykańskim akcentem. - Ostatnie próbki krwi, Angus!

- Tak.

- W takim razie wszystko gra. - David zauważył ulgę w uśmiechu Kellermana, odsłaniającym doskonale białe zęby. - Wejźmy do środka. Robbie, Anton, pomóżcie tym dobrym ludziom.

Weszli do nowoczesnego, jasnego budynku, w którym mieściły się biura i sypialnie. Schludność i nowoczesność wewnątrz wybitnie kontrastowały z tym, czego doświadczyli na pustyni. Drogie telewizory, lśniące sprzęty kuchenne.

Stalowe lodówki pełne błyszczących probówek. Kolejny szokujący kontrast - jakby w samym środku dżungli natknęli się na wenecki pałac.

Ktoś wskazał Davidowi i Amy drogę do ich pokoju. Gdy się rozbierali, David starał się zachować spokój, ale prześladowała go jakaś bliżej niesprecyzowana myśl.

Pomyślał o Miguelu obwąchującym mięso. A potem o oczach Amy wtedy, gdy na niego patrzyła. Dziwna była też nieobecność Eloise. Amy podeszła i pocałowała go.

- Hej...

- Eloise - powiedział. - Gdzie jest Eloise?

- Ja też się dziwię, że nie przywitała się z nami - odpowiedziała. - Ale jestem taka zmęczona, że nawet nie mogę myśleć. Może jutro.

Gdy się położyli, Amy przytuliła się mocno, spragniona bliskości. Z okna sypialni mogli podziwiać morze. Ostry, słony wiatr wydymał zasłony, odkrywając wysoko wiszącą tarczę księżyca, podobną do krzyczącej twarzy torturowanego człowieka.

Przez kilka chwil leżeli blisko siebie w pokoju rozświetlonym wyłącznie blaskiem księżyca.

A potem zasnęli.

I śnili.

David jadł mięso, wyjątkowo suchy, żylasty, nawet kościsty kawałek mięsa. Siedział w szpitalnym pokoju swego dziadka, a za oknem oślepiająco lśniła pustynia. Dziadek wyciągnął rękę, wskazując na coś. David odwrócił się i zobaczył na pustyni dziewczynę. Zaraz potem spostrzegł, że nie miała rąk. A nie miał rąk, ponieważ David właśnie je zjadał. Uświadomił sobie, że je ręce dziewczyny...

Obudził się, przerażony. Był środek nocy, a on patrzył przez okno prosto w oblicze księżyca. Amy pochrapywała cicho u jego boku.

Nareszcie dotarła do niego prawda. Zrozumiał, dlaczego wciąż powracał myślą do swojego dziadka. Do jego wstydu i poczucia winy. Do strachu, który nie pozwolił mu wyjawić prawdy. Do strasznej tajemnicy.

Dotarł do Zakazanej Granicy we własnym umyśle. Wkroczył na Zakazane Ziemie.

Dziadek był Cagotem. Tylko takie wyjaśnienie miało

jakikolwiek sens. I wyjaśniało wszystko. Dziadek był Cago-tem. Niedotykalnym. Pariasem. Kanibalem z Gaskonii. Bo przecież Cagoci naprawdę byli kanibalami. A David pochodził od Cagotów. Był jednym z nich.

Amy westchnęła i przewróciła się na drugi bok. Jej nagie ramię wydawało się takie miękkie w świetle księżyca. Miękkie jak soczysta brzoskwinia.

Simon stał przy automacie telefonicznym obok grupki wygnanych palaczy, tuż przy Wejściu A do portu lotniczego Lyon-Saint-Exupery. Wodniste jesienne słońce wschodziło nad gmachem terminalu. Pierwsze samoloty z hukiem wznosiły się w szarawe poranne niebo.

Dziennikarz zważył w dłoni lśniące monety euro. Przez całą noc próbował dodzwonić się do Suzie, ale nikt nie odpowiadał. Czy są bezpieczni? Gdzie jest Tim? Ciężko mu poczuć winy. Owszem, wydobył pewne informacje od zakonnika z La Tourette, ale czy było warto? A jeśli coś się stało? Gdzie się podziała Suzie? Poszła do pracy? Nie, nie o tak wczesnej porze. No i Conor. Co z Conorem? Gdzie jest teściowa? No i Tim?

Pytania katowały jego duszę.

Do nikogo już nie mógł zadzwonić. Spróbował złapać rodziców, ale ich także nie zastał w domu.

Nie miał wyboru. Musiał spróbować kontaktu z policją. Raz jeszcze popatrzył na garść monet. Jedna, dwie, trzy...?

Wyszukał odpowiednie nominały i kolejno wrzucił je do aparatu. Usłyszał sygnał. A potem głos.

- Sanderson.

Simon odczekał sekundę, zaczerpnął powietrza zalatującego spalinami z diesla, a potem wyrecytował swoją litanię pytań. Tim. Conor. Suzie. Conor. Tim.

Policjant przerwał mu po chwili.

- W porządku, Quinn, w porządku. Rozumiem. Uspokój się. Dzwonisz z automatu?

- Tak.

- Skąd dokładnie?

W myślach Simona zakiełkowała wątpliwość.

- Gdzieś z Francji - odparł wymijająco. - Wyrzuciłem nową komórkę. Przestałem jej ufać. Sam już nie wiem, komu mogę zaufać. Powiedz mi, Bob, co tam się dzieje.

- Są bezpieczni - odpowiedział łagodnie Sanderson. - Twoja żona i twój syn są cali i zdrowi. Ale sytuacja się rozwinęła. Ostatniej nocy. W tej chwili wchodzę do gabinetu mojego szefa. Obiecuję, że zadzwonimy do ciebie za parę sekund. Tylko podaj mi numer automatu.

- Jak to rozwinęła się? Czy Conorowi nic się nie stało? I czy Tim już się znalazł?

- Conor jest zdrowy, Suzie też. I bezpieczni jak w sejfie. Jaki to numer?

Simon przełknął swój strach, dziwnie podobny w smaku do żółci - jakby niedawno wymiotował. Wcisnął palec do drugiego ucha, by wyciszyć ryk samolotowych silników. I odczytał szereg cyfr.

- Czekaj - polecił mu inspektor. - Już rozmawiam z głównym superintendentem. Czekaj i zaufaj mi, dobrze?

Simon odwiesił słuchawkę. Przez chwilę patrzył na nieciekawą stalową obudowę aparatu.

- *Excusez-moi...*

Odwrocił się gwałtownie. Przyjaźnie uśmiechnięty Francuz w eleganckich dżinsach i kaszmirowym, turkusowym swetrze zarzuconym luźno na ramiona stał przed nim, gestem wskazując na automat.

- *Puis-je?*

- Spadaj - warknął Simon.

Mężczyzna popatrzył na niego, zdezorientowany.

Simon warknął po raz drugi:

- Spadaj! *Merci*, kurwa, *beaucoup!*

Francuz najpierw wycofał się ostrożnie, a potem puścił się biegiem w stronę wejścia do terminalu.

Zadzwonił telefon. Simon podniósł słuchawkę.

- Jestem - odezwał się rzeczowy, ale i ciepły głos Sandersona. - Musiałem wysłuchać najnowszych informacji.

- Mówiłeś, że sytuacja się... rozwinęła?

- Wyznaczyłem dodatkowych ludzi do ochrony twojej żony i syna. A także twoich rodziców. Dlatego twierdzę, że

są bezpieczni. Nie dzwoniłiśmy do ciebie, bo zachowujemy szczególną ostrożność po tym, co się stało...

Dziennikarz nareszcie zaczął się domyślać, dokąd zmierzają ta rozmowa, a policjant potwierdził jego domysły.

- Chodzi o Tima, Simonie. O twój brata. Dlaczego nie powiedziałaś nam o nim ani słowa?

- Sam nie wiem... Nie wiem dlaczego.

Simon poczuł dreszcz żalu. Tim. Oczywiście. Dlaczego nie wspomniał policjantom o Timie? Gdy Sanderson pytał o członków rodziny, którzy wymagają ochrony, dlaczego nie pomyślał o Timie? Może wstydził się brata? A może w ogóle nie chciał o nim myśleć? A może tak naprawdę sądził, że Tim jest bezpieczny i że to nie ma żadnego znaczenia?

A być może wszystko to było po trosze prawdą. Jedną wielką negacją.

- Co się z nim stało? Jezu, czy on...

- Żyje. Ale wiemy, że został porwany.

- Skąd wiecie? Jesteś pewny, że to nie jest zwykła ucieczka?

Głos Sandersona nie zdradzał emocji.

- Przykro mi, ale nie. Mamy dowód. Został porwany.

- Dowód?

- Nagranie wideo. Przyszło e-mailem. Porywacze może ślali je wczoraj wieczorem. Do twojej żony, do rodziców i do ciebie, jak się domyślam. Jeśli będziesz miał okazję zajrzeć do poczty, pewnie je znajdziesz. Proponuję, żebyś skasował tę wiadomość.

- Słucham?

- Nie oglądaj tego nagrania, Simonie. Naprawdę, nie rób tego.

- Dlaczego?

- Jest... cholernie trudne do zniesienia.

Huk lądującego samolotu na chwilę zagłuszył wszystko. Simon mocniej przycisnął do ucha słuchawkę.

- Torturują go?

- Nie. Ale wykorzystują go. Manipulują emocjami. Chcą zagrać na twoich uczuciach, żeby cię osiągnąć. A on jest tylko argumentem. Dobrze wiedzą, że jesteś w kontakcie z Martinezem i Myerson. Chcą informacji; chcą wiedzieć wszystko. Tim jest w wielkim niebezpieczeństwie.

- Więc co mam teraz zrobić? Wrócić do domu?
- Nie.
- Zatem co?
- Ukryć się.

Simon znowu docisnął słuchawkę, jakby nie dowierzał własnym uszom.

- Ukryć się? Chcesz, żebym tak po prostu gdzieś się zaszył?

- Na jakiś czas. - Sanderson mówił teraz znacznie ciżej. - Przykro mi, ale taka jest sytuacja. Sam dokonałeś wyboru. Pojechałeś tam i nie winię cię za to, ale... Wycieczka do Francji? Bez naszej wiedzy? Niezbyt mądry pomysł, jeśli chcesz znać moje zdanie. Cóż, twoja decyzja. Teraz jednak podjąłbyś ogromne ryzyko, wracając do Londynu. Mogą cię namierzyć w drodze, bo na pewno oczekują, że spróbujesz odszukać rodzinę. Twoi przyjaciele mówili ci, że francuskiej policji nie wolno ufać, prawda? Zatem sytuacja jest cholernie śliska. - Sanderson westchnął ze złością. - Ale najważniejsze jest to, że twoja żona i syn są bezpieczni. Ręczę za to. Moi ludzie są naprawdę dobrzy. A ty w żaden sposób nie możesz nam pomóc w odnalezieniu Tima.

- Więc mam tu zostać?

- Przez jakiś czas. My popracujemy nad sprawą. Spróbuj nie zwracać na siebie uwagi, siedź gdzieś we Francji czy Niemczech; dzięki Schengen możesz dyskretnie przekroczyć granicę. Przyczaj się. Korzystaj wyłącznie z automatów telefonicznych.

- Dobrze.

- Nigdy nie korzystaj dwukrotnie z tego samego automatu. Dzwonь bezpośrednio do mnie. Albo do Suzie, na ten specjalny numer.

Simon zapisał ciąg cyfr.

Inspektor znowu westchnął.

- Simon, przykro mi, że tak wyszło. Ale sądzę, że po winieś przygotować się na najgorsze. I nie oglądaj tego nagrania. Wiesz, jakie to bezduszne dranie. Odezwij się niedługo.

W słuchawce rozległo się ciche piknięcie.

Simon pomyślał o swoim bracie.

Zrobiłem pieska, mam nadzieję, że ci się podoba.

Poranek był nieznośnie, oślepiająco jasny. David obudził się, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Jeden z pracowników firmy wyjaśnił:

- Pan Kellerman życzy sobie, żeby państwo dołączyli do niego na tarasie.

David odwrócił się i spojrzął w okno. Musiał zasnąć bardzo głębokim snem: nawet nie zauważyli, gdy słońce pojawiło się za cienkimi zasłonami.

Biorąc prysznic, wolał nie myśleć o nocnym koszmarze.

Ale Amy coś wyczuła.

- Nic ci nie jest?

- Nic. Dzięki Bogu, udało nam się.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Chodź, poszukamy Eloise.

Włożyli czyste ubrania znalezione w szafie i wyszli na korytarz. Natychmiast pojawił się ktoś z personelu, by poprowadzić ich na zalany słońcem taras z widokiem na morze.

Wiatr ucichł. Pejzaż był nieskazitelny, choć trochę surowy: całkowicie pusta plaża i kilka dalekich, małych, skalistych wysepek w zatoce. Z daleka dobiegało poszczekiwanie fok. Na północy i południu rozciągało się skaliste pustkowie pełne wąwozów i stromych urwisk. Wrażenie całkowitej dziczy psuła jedynie wielka bryła kopalni diamentów, widoczna w oddali.

Stolik już czekał. Angus pił kawę, a Kellerman siedział obok, tym razem ubrany w kremowy lniany garnitur oraz dyskretny jedwabny krawat.

Po drugiej stronie stołu siedziała Eloise.

Amy podbiegła natychmiast i mocno uścisnęła dziewczynę.

Nathan skinął na Davida.

- Proszę usiąść.

Usiedli. Eloise wyglądała na spokojną, nawet szczęśliwą. A przynajmniej nie okazywała strachu.

Przyniesiono koszyk z ciastkami i dzbanek z kawą, a także świeżo wyciśnięty sok, zimne wędliny oraz chleb. David i Amy byli wręcz zszokowani: oto znaleźli się w luksusowym hotelu w samym środku piekła.

Jedli łapczywie; dopiero teraz uświadomili sobie, jak bardzo są głodni. W pewnej chwili jednak David znieruchomiał. Przeszył go dreszcz. Wolno zsunął lśniący plasterek szynki z talerza z powrotem na półmisek, dołożył za to więcej owoców i chleba. Żadnego mięsa. Na mięso zdecydowanie nie miał ochoty.

Kellerman obserwował swych gości, sącząc kawę z porcelanowej filiżanki. Milczący i wyniosły. Jego elegancki cienki telefon leżał na stole. David jeszcze nigdy nie widział tak anorektycznej komórki.

Angus odezwał się jako pierwszy.

- Moi drodzy. Chwilowo jesteśmy tu bezpieczni. Rozmawiałem o tym z Nathanem. Oni nie odważą się uderzyć na Sperrgebiet. Nie przy takiej ochronie.

- Jesteś pewny?

Angus spojrział na Nathana, a ten skinął obojętnie głową. Był zajęty sprawdzaniem czegoś w telefonie.

- Możemy się zatem wyluzować. Przynajmniej na dzień lub dwa.

David omal się nie roześmiał pogardliwie. Wyluzować?!

Wizja Alphonse'a została na zawsze wyryta w jego mózgu. Człowiek spalony na węgiel, wrzeszczący w agonii. Miguel delektujący się aromatem mięsa. Cagot-kanibal...

Opanował drżenie i dokończył śniadanie: pieczywo, owoce, ser. Żadnego mięsa. Przez chwilę rozmawiali o pingwinach i fokach zamieszkujących okoliczne wyspy. Eloise pochwalila się, że poprzedniego dnia znalazła na plaży różę pustyni.

- Można też trafić na agaty!

Jej entuzjazm był wzruszający, taki młodzieńczy, prawie porywający, ale David nie mógł się przemóc. Za wiele przeszedł, by teraz prowadzić nic nieznaczące pogawędki.

Już nie potrafił. Odsunął krzesło i przeprosił wszystkich -pragnął zostać sam. Gdy Amy spojrzała w jego stronę, spróbował się uśmiechnąć, ale bezskutecznie. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać.

Zszedł po betonowych schodkach na pustą plażę. Statek przetwórnia płynął w oddali, poza linią wysp. Piasek był szary i lśnił w promieniach słońca. Wybrzeże, jak okiem sięgnąć, przypominało pejzaż księżycowy. Wybrzeże Zakazanej Strefy. Ostatnia reduta Cagotów.

- Hej.

Odwrócił się. Dołączył do niego Angus.

- David... Nic ci nie jest?

Krótko, bolesna pauza.

- Nic.

Szkot uśmiechnął się melancholijnie. Nic nie powiedział. Za to David nie mógł już dłużej wytrzymać. Musiał to komuś wyznać, wyrzucić to z siebie.

- Angus, myślisz, że to możliwe... - Zmuszał się do wypowiedzenia każdego słowa. - Że ja jestem Cagotem? A przy najmniej miałem przodków Cagotów? Sporo rozmyślałem o moim dziadku. O jego wstydzie i poczuciu winy. Jedynym sensownym wyjaśnieniem jego zachowania jest to, że i on mógł być Cagotem. Może dowiedział się tego w Gurs, jak Jose Garovillo?

Uczony przechylił głowę w bok. Jego blada twarz była jeszcze bielsza niż zwykle.

- Zastanawiałem się, kiedy dojdiesz do takiego wniosku.

- Naprawdę? I jakie jest twoje zdanie?

- Moim zdaniem nie zdradzasz żadnego ze znanych obywateli, które cechują Cagotów. Być może jedyną wspólną cechą jest twoja karnacja.

- Też o tym pomyślałem. Jezu.

- Ale to jeszcze nie oznacza, że oszalejesz. Nawet jeśli jesteś Cagotem, możesz być zdrowy, jak Eloise. Choć może również być inaczej.

- Chryste.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się upewnić: badania genetyczne. Jeśli chcesz, mogę je przeprowadzić tutaj, w laboratorium. Naprawdę chcesz znać odpowiedź?

Prawda była więc na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło

podjąć decyzję. David czuł się trochę jak przed testem na obecność HIV, tylko jeszcze gorzej. Długo spoglądał na otwarte morze. W dali, ale nieco bliżej niż statek przetwórnia, pojawiła się kolejna, mniejsza jednostka. Być może łódź należąca do miejscowych rybaków. Odetchnął głęboko.

- Nie wiem, Angus. To kurewsko trudna decyzja. Szczere mówiąc, jestem przerażony. Nie chciałbym się dowiedzieć, że jestem... taki jak Miguel. Jak mógłbym żyć, wiedząc coś takiego?

- Rozumiem.

Ruszyli wzdłuż brzegu, kopiąc kamienie i rozmawiając po cichu. Angus mówił o poważnych sprawach: o węzowym nasieniu, tym, czego można dowiedzieć się z Biblii o odrębnych rasach ludzkich. Wreszcie zatrzymał się i zapatrzył w bezkres oceanu. Po chwili zaczął mówić o wczesnych hominidach, takich jak *Homo antecessor*, *Homo habilis* i wreszcie *Homo floresiensis*, karłowaty krewniak człowieka.

- Wiesz, że niektóre z tych istot mogły żyć jeszcze w czasach historycznych? - Angus nie odrywał wzroku od skał stych wysepek. - Mocna rzecz, co? Nie tak dawno na zagubionych wyspach Indonezji żyły sobie elf, hobbit i goblin...

David prawie nie słuchał. Milczał, przygnębiony.

- Meduzy.

Kilka metrów od brzegu w płytkiej wodzie unosiły się dziesiątki przezroczystych, fioletowawych stworzeń. Niektóre miały nawet metr średnicy, a ich ciała i macki pulsowały organicznie.

Były piękne i odrażające zarazem.

- *Chrysaora Hysoscella* - uściślił Angus. - Namibijskie meduzy zawsze przypominały mi pochwę. Ten kolor, te ruchy... dziwnie podobne do kobiecego orgazmu. - Urwał. - Ale teraz przypominają mi pływające rany. Wielkie, czerwone, pływające rany. - Popatrzył na Davida, a potem stwierdził stanowczo: - Pozwoliłem mu umrzeć. Prawda?

- Słucham?

- Alfiemu. Mojemu małemu Alfiemu. Pozwoliłem, żeby go zabili. Żeby ten skurwiel Miguel...

- Nie, Angus. Próbowaleś go ocalić.

- Ale zawiodłem. Zawiodłem... - Szkot był bezbronny.

Wieczna hucpa minęła, ustąpił nieodłączny uśmiech, umilkł pewny siebie, nieskończony słowotok. Wykrzywiona bólem twarz była bliska płaczu. - Próbowałem wymyślić lepsze wyjście! Naprawdę. Tak było. I wymyśliłem, wilczomlec. Ale było już za późno.

Angus przykleknął i podniósł piękną muszlę. Była kremowa, jakby porcelanowa, z drobnymi żyłkami różu i żółci, i śladami najdelikatniejszej czerwieni. Delikatna. Bezbronna.

Leżała na jego dłoni, a on patrzył na nią, szlochając przez ściśnięte gardło.

- To dlatego wierzę w Boga, Davidzie. Spójrz choćby na tę muszlę. Czyż nie jest piękna? Dlaczego? Tak bezsensownie piękna. Bo po co miałyby być aż tak piękne? Kto miałby na tym skorzystać? Jaki w tym sens? To zbytek. Ewolucja jest zbytkiem formy. Właśnie tutaj mylą się kreacjoniści, wszechświat bowiem nie jest zaprojektowany; on jest produktem natchnienia.

Upuścił muszlę i kopnął ją w dal. David znowu nie wiedział, co powiedzieć.

- Kłamałem, Davidzie.

- O czym ty mówisz?

- Przy śniadaniu. Kłamałem.

- Jak to?

- Wcale nie jestem pewny, czy tutejsza ochrona powstrzyma Bractwo. Chyba nie na długo.

- A zatem... - David urwał, bo w jego głowie zaświtała nieuchronnie myśl: Miguel gdzieś tam jest, idzie po nich. - Co teraz zrobimy?

- Nathan jest zbyt arogancki, żeby mnie usłuchać. Próbowałem mu powiedzieć, co myślę, ale to na nic. On sądzi, że nikt się nie dostanie do Zakazanej Strefy. Że jest bezpieczny w swojej fortecy. Wielcy Kellermanowie ze Sperrgebiet. Ale wcale nie jest bezpieczny. Kellerman Namcorp to potęga, ale, kurwa, nie aż tak wielka! Przeciwno całemu Kościołowi? Jeśli tamci zechcą nas dopaść, to znajdą jakiś sposób. - W pełnym słońcu włosy Nairna miały niemal miedziany kolor. - Potrzebny nam plan. Bo oni się tu zjawiają, David. Jutro, za kilka dni, może w przyszłym tygodniu. Pewnie są już w drodze.

David spojrział na polerowane srebro oceanu. Szkot bez wątpienia miał rację: potrzebna była nowa droga ucieczki.

Ciepły, wonny wiatr znad morza przyniósł echo dalekiego poszczekiwania fok i kwilenia pingwinów żyjących całymi koloniami na wyspach. David nie miał wątpliwości, że trafił do świata piękna, które niczemu nie służyło: nikt go nie podziwiał, nikt się nim nie zachwycił. Martwy kwarc i lśniące popioły, agaty i piaskowe róże - wysypisko piękna.

Ktoś obserwował ich z morza. David wyteżył wzrok. Na błękitnych falach kołysała się łódź, a na jej pokładzie stał człowiek z lornetką lub czymś podobnym.

Teraz spojrział wprost na nich. Drugi, stojący obok, wskazał na nich... Nie, nie wskazał.

David poczuł niepokój.

I nagle zrozumiał: Ten człowiek nie wskazywał kierunku. On trzymał jakieś urządzenie. Podłużny, czarny kształt. Celował w nich.

W tym momencie Angus ruszył w stronę skał, krzycząc:

- Uciekaj, David! Uciekaj!

Ale David stał nieruchomo na plaży, nie mogąc ruszyć się z miejsca.

Pierwszy pocisk przeciął czyste, błękitne niebo.

Kule ognia były ogromne; unosiły się z nich kłęby czarnego dymu, niczym szatańskie mandarynki na tle chmur. Słupy pyłu pięły się ku niebu.

- Amy! Amy!

David wspiął się na grzbiet ostatniej wydmy, ale kompleksu budynków już nie było. Jego miejsce zajęła potworna ściana ognia i zniszczenia; powietrze aż wibrowało z gorąca, a do huku płomieni raz po raz dołączały odgłosy wtórnych eksplozji.

Angus był tuż obok. Leżąc na piasku, położył dłoń na ramieniu Davida.

- Trafili w generator; wybuchł zbiornik oleju napędowego. - Szkot odwrócił się na plecy i spojrzał w kierunku morza. - Łódź... łódź tych drani... Kurwa!

David w niemym przerażeniu patrzył na piekło pożaru. Nikt, kto przebywał w budynku, nie miał najmniejszych szans wyjść z tego cało. Zero nadziei.

- Musieli przypłynąć od strony Walvis Bay - mamrotał Angus. - Albo Oranjemund...

- David?

Odwrócił się szybko na dźwięk tego głosu.

To była Amy. Cała i zdrowa.

Tuż za nią stał Nathan Kellerman. Chwiał się na nogach i krwawił obficie.

Amy padła ukochanemu w objęcia.

- Właśnie schodziłam na dół, żeby was poszukać... I wtedy nastąpił wybuch.

Przytulił ją mocno. Angus spytał Nathana:

- Co z Eloise?

Kellerman odpowiedział wolno, z wysiłkiem:

- Zginęła w ogniu.

Jego garnitur był poplamiony czymś, co przypominało smołę. David dopiero po chwili uświadomił sobie, że to krew. Kellerman był poważnie ranny w pierś.

Do ogólnego zgiełku dołączył nowy hałas: na plażę zjeżdżały wozy, a mężczyźni w niebieskich kombinezonach wyskakiwali z nich wprost na piach. David rozpoznał Solo-mona i Tilaca, ochroniarzy Kellerman Namcorp. Nathan uniósł rękę.

- Ognia!

Wykonali rozkaz. Przygotowali broń, ukłękli na plaży i wymierzili. Ale łódź była już daleko. Odpływała na południe. Zadanie zostało wykonane. Ochroniarze mimo to strzelali, a echo palby dołączyło do huków płonącego paliwa i rumoru rozpadającej się konstrukcji budynku. Powietrze cuchnęło spaloną ropą, a czarny, tłusty dym przesłonił niebo. Amy drżała, a Angus spierał się z Nathanem.

David prawie nie słyszał ich dyskusji. Wychwycił tylko słowa: Amsterdam, helikopter i ponton. Popatrzył na nich. Nathan właśnie wręczał coś Angusowi - mogła to być broń, może pistolet, a może coś innego w aksamitnym woreczku. Mimo opalenizny skóra Kellermana była coraz bledsza. Krew wciąż sączyła się z rozległej rany, wsiąkając w lnianą marynarkę i powiększając ciemną plamę. Angus wydawał się niezwykle ożywiony. Odwrócił się energicznie ku Davi-dowi i Amy.

- Nathan chce, żebyśmy skorzystali z łodzi należącej do firmy. Jest tam - dodał, wskazując kierunek. - I ma rację. Moim zdaniem mamy jeszcze szansę.

- Co takiego?

Angus wskazał ręką na szeroką, czarną chmurę dryfującą z wolna nad plażą.

- Tamci jeszcze przez godzinę lub dwie będą mieli zero węż widoczność. Ostrzał utrzyma ich na dystans.

David zaprotestował:

- Eloise...

- ...Nie żyje, Davidzie. Nathan by nas nie okłamał. Chodźcie. Wróg obserwuje drogi wylotowe z Zakazanej Strefy, ale jeśli popłyniemy łodzią do Luderitz...

- On chyba ma rację - powiedziała cicho Amy.

Angus już zarzucał sobie na szyję bezwładne ramię Nathana, by sprowadzić go niżej, na plażę. David i Amy spojrzeli po sobie i podążyli za nimi. W gorącym powietrzu za ich plecami zagrzmiało kolejnych kilka wystrzałów karabinowych.

W małej zatoczce ujrzeli krótki pomost i uwiązany doń gumowy ślizgacz zaopatrzony w potężny silnik.

Angus wskoczył do łodzi i pomógł Kellermanowi wejść na pokład. Głowa Nathana zwisała już prawie bezwładnie. Amy zajęła miejsce obok niego; David zwinnie wskoczył do łodzi jej śladem. Oleisty dym przesłonił słońce, zmieniając pustynny dzień w zmrok. Szkot szarpnął linką, silnik zawył i chwilę później już gnali na złamanie karku wzdłuż wybrzeża.

Płomienie i zgliszcza zostały daleko w tyle. Przez jakiś czas milczeli, obserwując malejący w oddali, ponury spektakl. Ślizgacz skakał po błękitnych falach, mijając nieczynną od dawna kopalnię diamentów. Ponad stromym brzegiem wznosił się już tylko zardzewiały szkielet konstrukcji.

Nathan mówił szeptem, leżąc na plecach na dnie łodzi. Na czoło wystąpiły mu krople potu, a na policzku miał czerwoną kreskę krwi, podobną do barw wojennych plemienia Nawaho.

- Zatem Eloise nie żyje. Ostatnia z Cagotów.

- Tak. - Angus uśmiechnął się z żalem. - Wygrali, Nathanie. Miguel na nic nam się nie przyda.

Zapadła pełna napięcia cisza. Po chwili Nathan z trudem wyciągnął rękę i dotknął nadgarstka Angusa Nairna.

- Jest jeszcze jeden sposób.

- Jaki?

- Odnaleźć wyniki Fischera.

- Co takiego?

Błyszczące, zielone oczy szkockiego naukowca wpatrywały się w wykrzywioną bólem twarz Nathana Kellermana. David pochylał się nieco, by spróbować uchwycić choć fragment tej rozmowy. Angus spytał Kellermana:

- Wiesz może, gdzie są?

- Nie. Ale może Dresler wie. To jedyna opcja. Skoro za wiodła mnie Tamara, moja ostatnia nadzieja... Sądzę, że on wie, gdzie ukryto dane, ale będzie bardzo trudno wyciągnąć to od niego. - Kellerman zakaszłał, zasłaniając usta dłonią.

Spojrzał na palce: były poplamione krwią. Opadł bez sił na plecy i zapatrzył się w niebo. Po chwili raz jeszcze odwrócił oczy ku Angusowi. - Myślę, że Dresler wie. Zawsze czułem, że można go zmusić do mówienia, tylko trzeba się posunąć do ostateczności. Nigdy nie chciałem aż tak ryzykować; był zbyt przydatny. - Nathan znowu zakaszłał, a potem dodał, krzywiąc się z bólu: - Ale teraz? Jakie to ma znaczenie? Spróbuj. Nie masz nic do stracenia. - Kellerman pocił się w słońcu. - To jest mój przystanek, Angus. Tutaj wysiadam. Angus złapał go za ramię.

- Daj spokój, Nathan.

- To koniec, Angus. Patrz. - Rozchylił marynarkę tak, jak prostytutka rozchyła frymuśną bieliznę. Odsłonił wielki, lśniący owal krwi, podobny do szkarłatnej meduzy, pulsujący w jego piersi. Amy i David spojrzeli po sobie. Angus odwrócił się; próbował zwolnić obroty silnika, ale zanim to zrobił, Nathan dzwignął się i wdrapał na burtę łodzi.

- Nie! - krzyknął odruchowo David.

Ale było już za późno. Na ich oczach Kellerman zsunął się do wody. Jego twarz była teraz tylko smutnym, białym owalem w niebieskiej toni. Angus zatrzymał łódź.

Lecz Nathan zniknął już pod falami, a krew sącząca się z rany unosiła się w wodzie podobna do obłoku dymu.

Rekiny dopadły go natychmiast. Płetwy grzbietowe zło-wrogo przecinały powierzchnię wody. David dostrzegł też błysk zębów splamionych czerwienią. Żarłoczne ryby rozrywały ciało na strzępy, wciągając je coraz głębiej. Nie mógł oderwać oczu od tego widowiska; było w nim coś hipnotyzującego. Wszystko odbyło się w upiornej ciszy.

David jeszcze przez chwilę obserwował szafirowe cienie, kręcące piruety wokół czarnego, poszarpanego ciała. Bąbel gazu i krwi dosięgnął powierzchni, zmieniając się w czerwona pianę.

Angus milczał. Ponownie uruchomił silnik i w blasku słońca znowu pomknęli po niespokojnych falach.

Mijali bezludne zatoki, a morskie ptaki krążyły w górze, krzycząc przeraźliwie. David obserwował czarne skały i żółty piach wybrzeża.

Wciąż miał przed oczami obraz człowieka pożeranego żywcem przez zwierzęta, wodę szkarłatną od krwi.

Wreszcie Szkot przemówił:

- Cała dokumentacja i wszystkie próbki krwi znalazły się w tym budynku. Wszystko stracone. A on myślał, że będziemy tam bezpieczni... - Angus potrząsnął głową. - Strasznie się pomylił. Biedny sukinkot. - Genetyk poruszył sterem, kierując ślizgacz nieco bliżej brzegu. - Niedługo będziemy w Luderitz.

David musiał zadać oczywiste pytanie:

- I co wtedy?

- Mamy kilka godzin przewagi, ale władze Namibii będą musiały interweniować, więc prędzej czy później stanie się jasne, że zdołaliśmy uciec.

- I tym sposobem utkniemy w Luderitz - odezwała się Amy. - Jaki z tego pożytek?

- Być może uda nam się stamtąd uciec.

- Jak?

Angus wyjaśnił całkiem spokojnie:

- Dostawa diamentów. Nathan mi o tym przypomniał. Co drugi dzień Kellerman Namcorp wysyła transport nie obrobionych diamentów do Amsterdamu. De Beers robi to samo, tylko że do Londynu. - Angus znowu poruszył sterem. - Dostawy lecą przez Windhoek.

David chciał zaprotestować:

- Ależ...

- Załapiecie się. Znają mnie tam, a kontrolę paszportową prowadzi w zasadzie sama firma. Wylądujecie bezpośrednio w kwaterze głównej korporacji Kellerman w Amsterdamie. Znowu będziecie w Europie. W domu. Bezpieczni.

- A ty?

- Nie wiem. Może zjem brunch. Wszystko mi jedno.

- Zamierzasz się poddać?

Rudowłosa naukowiec zapatrzył się na skąpane w słońcu wybrzeże. Słupy dymu już dawno przestały być widoczne.

- A czego się spodziewałeś? Że wrócę i zacznę wszystko od nowa? Skończyłem. Jestem skończony. Moje wybujałe ego sprawiło, że tak mocno unurzałem się w krwi. Sądziłem, że powtórzę sukces Fischera, wykorzystam wyniki jego badań, a zaraz potem dostanę Nobla i Bóg wie co jeszcze. Z pomocą Nathana, rzecz jasna. Ale czy naprawdę mógłbym liczyć na nagrodę za ujawnienie tak apokaliptycznej wiedzy? Za

doprowadzenie do nieuchronnej wojny? Byłem idiotą. Rasa to przekleństwo rzucone przez Boga na człowieka. A Keller-man miał własne motywy. Księga Kapłańska, rozdział 25. Byłem takim cholernym idiotą.

- O czym ty mówisz?

- Zastanów się. Śmierć Alphonse'a i Eloise to moja wina. Nathan też nie żyje. Mało brakowało, a i was by nie było. Fazackerly nie żyje. To już, kurwa, koniec! Ruszam dalej. Otwieram nową stronę. Gruba kreska. Może zacznę grać w golfa.

- Ale ja jeszcze nie skończyłam - odezwała się Amy.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na nią. Gorący, słony wiatr rozwiewał jej jasne włosy.

- Pamiętacie, co powiedział Jose? - spytała, spoglądając najpierw na Angusa, a potem na Davida. - Mówił, że wie, co się stało z Żydami. To jest cały klucz do tej sprawy, prawda, Angus? Pracowałeś po to, żeby rozwikłać tę tajemnicę. Twoje prace mogą wyjaśnić, dlaczego doszło do Holokaustu, prawda? Eloise tak nam mówiła. Wiedziała o tym od ciebie.

Angus w milczeniu prowadził ślizgacz. Ale

Amy nie rezygnowała.

- To jest ta wielka tajemnica, prawda? - nalegała na tarczywym tonem. - Co było przyczyną Holokaustu? Ku temu to wszystko zmierza, tak? - Genetyk nadal milczał, lecz ona nie ustępowała. - Powiedz mi, Angus, czy się mylę. Powiedz. Hitler mógł wykorzystać Żydów jako niewolniczą siłę roboczą, miał nawet plany, żeby wysłać ich do jakiejś nowej ojczyzny, może w Rosji albo w Afryce, prawda? A potem nagle zmienił zdanie. - Amy wpatrywała się uporczywie w Angusa. - Nagle postanowił, że ich wszystkich wymorduje. Co do jednego. Nawet gdyby to miało osłabić już i tak zniszczoną i przeciążoną niemiecką gospodarkę wojenną. Dlaczego to uczynił?

Angus milczał jeszcze przez chwilę, a potem westchnął i odpowiedział:

- Tak. W pewnym sensie masz rację. Te prace wyjaśniają Holokaust. Być może. Kto to wie? Wspomniałem o tym Eloise... - Nairn wyraźnie spochmurniał - bo było mi jej żal. Ostatnia Cagotka na świecie. Cierpiała. Zasługiwała

choćby na szczątkowe wyjaśnienie tego wszystkiego, co ją spotykało.

- Zatem co to było? Co odkrył Fischer?

- Nie mogę wam, kurwa, powiedzieć. Ponieważ nie mam dowodów, a nigdy nie stawiam tez, których nie mogę poprzeć dowodami. Jestem naukowcem. - Popatrzył na nich ze złością. - I może dacie mi trochę spokoju, co? Mój chłopak nie żyje, a krew Eloise także jest na moich przeklętych rękach. Więc dość tego. Dość.

- Nie powiesz nam?

- Nie. Nie powiem, bo nie mam pewności. Nigdy nie przeprowadziłem takich samych eksperymentów jak Fischer. Ale... jeśli Kellerman się nie myli, istnieje ktoś, kto może mógłby nam pomóc. Właśnie to Nathan miał na myśli.

Zmiany nastrojów Szkota były zdumiewające. Spoglądał teraz przed siebie. David podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i na dalekim, surowym brzegu zobaczył zarys budynków, wieży kościelnej i stojących bliżej nabrzeża kolorowych domków. Kolejne surrealistyczne niemieckie miasteczko zagnieżdżone na pustynnym wybrzeżu, u bram potężnego oceanu.

- Kim jest ten człowiek? - spytał David.

Angus zmniejszył obroty silnika; zbliżali się do portu.

- Nazistą - odparł. - Parszywym, starym nazistą na zwiskiem Dresler. Pracował w Gurs dla Fischera. Znał dziadka Kellermana. I, jak już słyszeliście, Dresler może wiedzieć.

- Co może wiedzieć?

- *Herr Doktor* Dresler uciekł tu z Europy w latach dwudziestych. Ktoś odkrył jego tożsamość; nie wiem w jaki sposób. Przyjechał więc tutaj, bo to dobre miejsce, żeby się ukryć. Luderitz, milion mil od najbliższej *kartoffelsalat*. Poza tym wiedział już o Kellermanach.

- I?

- Przewińmy taśmę.

- To znaczy?

- W 1946 roku Eugen Fischer nawiązał kontakt ze swymi starymi przyjaciółmi, Kellermanami. Powiedział im o tym, co odkrył w Gurs. *Natürlich*, Kellermanowie byli bardzo podekscytowani tą wiadomością. - Łódź wciąż zwalniała. - Tyle że nie mieli dowodów na poparcie twierdzeń

Fischera; brakowało danych zebranych w toku jego badań. Musieli więc poczekać, aż światowa genetyka dogoni osiągnięcia Niemców. Czekali sześćdziesiąt lat. - Uśmiechnął się przelotnie. - Żydowskie dynastie myślą długofalowo. Można powiedzieć, że czekali tak od babilońskiej niewoli. Tak czy inaczej, Kellermanowie wiązali duże nadzieje ze stanfordz-kim Projektem Badawczym Zróżnicowania Genomu Ludzkiego, ale został on skasowany. - Nairn przymknął oczy, gdy spod dziobu chlusnęło wodą. - Wtedy ruszył GenoMap, a oni, mówiąc najprościej, przejęli nas i wykorzystali do powtórzenia badań Fischera. Dresler był zmuszony zamieszkać tu w latach dziewięćdziesiątych i on także nam pomógł; dostarczył wielu cennych informacji. O ludziach potrzebnych do testów, o kierunkach badań i wreszcie o Cagotach. Angus spojrzął na Davida.

- Ale... w jaki sposób Dresler może nam pomóc teraz? - spytała Amy.

- Może. Jeśli Nathan się nie mylił, Dresler wie, co się stało z innymi lekarzami po wojnie. On naprawdę dużo wie.

- Po wojnie? Co to znaczy?

Szkot wzruszył ramionami.

- Angus!

Łódź znowu zwolniła. Ptaki zaczęły krążyć tuż za nią. Nairn spojrzął najpierw na Amy, a potem na Davida.

- Podczas wojny naziści odkryli DNA.

David był tak oszołomiony, że miał wrażenie, iż gumowy pokład ślizgacza usuwa mu się spod nóg.

- DNA?!

- Tak. Już od jakiegoś czasu byli bliscy prawdy. Fischer, ale też inni. Pierwszych odkryć dokonał w Namibii, badając lud Khoisan i Basterów. Dowody zdobył w Gurs. Ale nie to jest najważniejsze w tej historii. Liczy się to, co Niemcy zrobili z tą techniką. To, co zdołali ustalić na temat zróżnicowania genetycznego ludzi, jest kluczową sprawą. Było to odkrycie tak... - Angus urwał i wzruszył ramionami. - Chciałem powiedzieć: podobno, bo nie mam dowodów i pewnie nigdy nie będę miał, podobno było to odkrycie tak porażające, że jego następstwem był Holokaust. Jego znaczenie było tak wielkie, że nazistowscy lekarze mieli po wojnie w rękę bardzo silną kartę przetargową.

- Nadał nie ogarniam całości.
Angus cmoknął niecierpliwie, ale wyjaśnił.
- Pod koniec wojny lekarze z Gurs mieli w ręku tylko jeden argument, który mógł im zapewnić życie i wolność. Owym argumentem były wyniki badań Fischera. Plotka głosi, że zostały one ukryte gdzieś w niedostępnym miejscu. W Europie, jak się domyślam. Prawdopodobnie we wschodniej części, co wynikało z tempa postępów sił alianckich w wojnie z Trzecią Rzeszą. - Angus umilkł na chwilę, by rozejrzeć się po przybrzeżnej płyciźnie. - Alianci nie mogli uwięzić tych ludzi, a tym bardziej skazać na śmierć, bo wy starczyłoby, żeby choć jeden ujawnił wyniki badań.
- Dlatego zwrócono im wolność - wtrąciła Amy. - I przebaczone winy. Fischer został... profesorem we Fryburgu już w 1945 roku, mimo całej swej przeszłości.
- Tak.
- A ten lekarz z Luderitz? Jak on się ma do tego wszystkiego?
- Jeżeli nieszczęsny Nathan się nie pomylił, Dresler powinien wiedzieć, gdzie zostały ukryte wyniki badań.
Nagle David poczuł podniecenie. Widząc to, Angus uniósł dłoń.
- Wiem, kusząca wizja... Ale pamiętajcie, że Niemcy musieli ukryć te dokumenty w naprawdę niedostępnym miejscu. Bardzo wielu ludzi próbowało je odnaleźć. Ale kto wie... - Angus urwał na moment. - Może nam się po szczęści?
- Nam? - zdziwił się David. - Więc jednak wybierasz się z nami?
Szkot przeczesał palcami rude włosy. Jego oczy znowu błyszczały jak dawniej.
- Dobra, będę szczery: sam jestem ciekaw, co z tego wyniknie. Za mocno mnie to wszystko zaintrygowało. Wóz albo przewóz, może Dresler rzeczywiście wie. A jeśli tak, to i ja chcę wiedzieć. Poświęciłem temu projektowi pięć lat i chcę wiedzieć, czy przecucie mnie nie myliło na temat Żydów, Hitlera, Holokaustu i Basterów. - Wychylił się i rzucił na brzeg linę w chwili, gdy ślizgacz przybił do nabrzeża. - Ale najpierw musimy złożyć wizytę Dreslerowi. I jeśli trzeba, torturami wycisnąć z niego prawdę.

Simon przechadzał się nerwowo brukowaną uliczką. Jesień w bawarskich Alpach była zadziwiająco cicha. Sklepy narciarskie były zamknięte, a turystów niewiele - głównie pieszych, wiecznie pochylonych nad trzepocącymi na wietrze płachtami map. Dzień był chłodny i szary, a kiczowate złocone uliczki w większości opustoszałe.

Mimo to był zdenerwowany. Wolał anonimowość, jaką mogły mu zapewnić duże hotele w wielkich miastach, ale nie ośmielił się korzystać z karty kredytowej ani okazać paszportu. Wybrał więc to miejsce, Garmisch-Partenkirchen, jako świadomy kompromis. Przed laty spędził tu urlop z Suzie.

Suzie.

Suzie i Conor.

Suzie i Conor, i Tim.

Nocował w ascetycznie urządzonym, zimnym domku należącym do paskudnego nowoczesnego osiedla, tuż nad miasteczkiem, w ciszy Alp. Przesiadując tam, każdej minuty każdego dnia pragnął jednego: informacji. I było to pragnienie trudne do zniesienia.

Dlatego też połowę czasu spędzał w miasteczku, dzwoniąc z automatu do Sandersona i Suzie albo siedząc przed komputerem w kawiarence internetowej z dzwonkiem nad drzwiami i ze ścianami pokrytymi proporczykami Bayernu Monachium.

Przywitał się z dziewczyną przy kasie. Uśmiechnęła się, rozpoznając go, i wróciła do lektury czasopisma. Wybrał jeden z zakurzonych, zwykle nieużywanych terminali, i załogował się na koncie pocztowym. Czy będą nowe wieści o Timie? Od Davida i Amy? I co nowego u Suzie i Conora?

Ale w skrzynce znalazł tylko jedną wiadomość, która mogła go zainteresować. Jeśli chodzi o ścisłość, miał tam dwie nieprzeczytane wiadomości, ale tylko jedną z nich chciał otworzyć. Do drugiej nie zamierzał zaglądać, wiedział już bowiem, że to dotyczy Tima, a wysłali ją jego prześladowcy. To przed tą wiadomością przestrzegali go Sanderson.

Me oglądaj tego nagrania, Simonie. Naprawdę, nie rób tego.

I dlatego najechał kursorem na tę drugą, od Davida Martineza. Przeczytał ją dwukrotnie, chłonąc wszystkie ważne informacje i zapisując niektóre rzeczy w notatniku. Gdy skończył, wstał i podszedł do dziewczyny przy kasie. Zapłacił tylko parę centów.

Otworzył drzwi i wyszedł na ulicę. Przez chwilę patrzył na sklepy, domy i szare góry piętrzące się nad nimi. Przypominały rząd ośnieżonych twarzy, białych i posepnych.

Tim. E-mail w sprawie Tima?

E-mail w sprawie Tima.

Nie mógł już tego znieść. Od trzech dni z powodzeniem unikał otwarcia wiadomości w sprawie Tima, ale za każdym razem przychodziło mu to z większym trudem. Tak bardzo kusilo go, by kliknąć i obejrzeć. Jednak chciał wiedzieć, chciał być świadomy najgorszego.

I nie mógł się dłużej opierać.

Obrócił się na pięcie, wszedł z powrotem do środka i lekko zawstydzony znowu skinął głową pilnującej lokalu dziewczynie. Powrócił przed ekran.

Usiadł i otworzył konto pocztowe. Kliknął na nieprzeczytanej wiadomości.

Temat: twój brat.

Napiął mięśnie. Czuł suchość w ustach.

Wiadomość była pusta, jeśli nie liczyć ikonki, będącej linkiem do niewielkiego pliku wideo. Buforowanie trwało sekundę, a potem w oknie przeglądarki ukazał się Tim. Siedział na krześle. Na jego puciołowatej twarzy gościł półuśmiech. Był zdenerwowany.

Tim został sfilmowany.

Obok brata Simona stał człowiek w masce.

To on przemówił jako pierwszy.



- Bardzo dobrze, Tim. Patrz prosto w kamerę. Przywitaj się z bratem.

- Cześć!

Tim pomachał ręką. Był spięty.

Mężczyzna w masce skinął głową.

- Chciałbyś mu coś powiedzieć? - spytał.

Uśmiech Tima wykrzywił się. Prawdopodobnie znowu słyszał głosy. Ale Tim odezwał się, nie zważając na nie.

- Przykra sprawa, Simon, ale cześć. Jak się masz? Nie stety, ci ludzie mnie przetrzymują, zostałem zatrzymany. Raczej marnie. Co mogę powiedzieć? Cześć.

- Dobrze - pochwalił go zamaskowany mężczyzna. - Coś jeszcze, Tim? Chciałbyś coś jeszcze powiedzieć Simonowi?

- Ten pies, Gusy. Oni chcą, żebym wspomniał o Augustusie. Pamiętasz, jak poszliśmy nad strumień z Augustusem? Byliśmy wtedy szczęśliwi, prawda?

Tim przelknął ślinę. Mężczyzna w masce czekał. Starszy brat Simona spoglądał prosto w obiektyw kamery.

- Simon, możesz powiedzieć matce, że żałuję tego, co zrobiłem, bo źle zrobiłem, dźgając ją. Tak. Bardzo, bardzo źle. Ja rozumiem. Mamo?

Łzy szczypały Simona w oczy, ale jeszcze z nimi walczył.

Twarz Tima była pulchna i taka delikatna.

- Chciałem jeszcze tylko powiedzieć, że przypomniałem sobie też o piłce nożnej, i myślę, że dobrze nam było razem, kiedy byliśmy chłopakami, a ja to wszystko zepsułem, bo to była moja wina, moja wina. Więc jeśli... jeśli... przepraszam, mamo. Powiedz mamie przepraszam, dobrze, Simon? Dziękuję.

Mężczyzna w masce przysunął się bliżej do Tima i powiedział głośno:

- Tim, czy ty wiesz, dlaczego tu jesteś? I dlaczego rozmawiasz z Simonem?

Tim pokręcił głową.

- Pojechałem do Oxfordu i potem było już całkiem inaczej. Uwierz mi, ja niewątpliwie... coś się stało. - Tim odwrócił się i spojrzał na zamaskowanego mężczyznę. - Już tego nie chcę. Dlaczego tu jesteśmy?

- Jesteśmy tu, bo twój brat nie chce nam czegoś powiedzieć. A my bardzo chcemy, żeby nam wszystko powiedział.

Wydadz nam Davida Martineza i Amy Myerson. Powiedz, gdzie oni teraz są. Powiedz, ile on wie. Niech się odda w nasze ręce. A jeśli nie, to będzie cierpiał tak samo jak ty już wkrótce.

Tim, wyraźnie wystraszony, spróbował dzielnie się uśmiechnąć. Uśmiechnąć się specjalnie dla Simona.

Była to nieznośna scena.

Za plecami Tima stanął inny mężczyzna. Trzymał w ręku linkę i kawałek drewna. Po co pętla z kawałkiem drewna?

Pierwszy z porywaczy przemówił znowu spokojnie, z minimalnym śladem obcego akcentu.

- Cóż, Tim, bardzo mi przykro, że musimy to zrobić, ale to z powodu twojego brata, któremu na tobie nie zależy. Dlatego pożegnaj się teraz z Simonem, twoim bratem, któremu nie zależy.

Drugi mężczyzna zarzucił garotę na szyję Tima, który niemal natychmiast zaczął się dusić. Wierzgał nogami, kopał i drapał, z piskiem obcasów szorując butami po podłodze. Garota zaciskała się na jego gardle coraz mocniej i mocniej. Twarz Tima stała się różowa, potem czerwona, aż wreszcie prawie sina.

Mężczyzna, który stał za nim, zachowywał całkowitą obojętność: po prostu zaciskał garotę. A potem nagle rozluźnił uścisk. Tim odetchnął gwałtownie i zaczął dyszeć ciężko. Przeżył.

Pierwszy mężczyzna pochylił się w kierunku kamery.

- Następnym razem go zabijemy.

Ekran pociemniał.

Simon wpatrywał się w czarny prostokąt. Wreszcie odsunął się z krzesłem i wstał, gotów pójść dokądkolwiek, byle dalej stąd. Rzucił kilka euro zaskoczony dziewczynie i wyszedł na brukowaną ulicę. Potrzebował świeżego powietrza, żeby przestać krzyczeć.

Tim...

Policyjny samochód toczył się wolno po kocich łbach, którymi wybrukowana była główna ulica miasteczka. Wszedł pod górę, w stronę Gasthofu Fraundorfer. W stronę jego wynajętego domku.

Simon odprowadził go wzrokiem. A potem przypomniał sobie wiadomość od Davida. Odwrócił się i ruszył biegiem.

Rozciągała się przed nimi dziwaczna panorama Luderitz: surowy, luterański kościół i stojące przy gruntowych drogach kolorowe, pseudoszwarcowaldzkie domki oraz obleśne tawerny górników. Zwoje drutu kolczastego strzegły drewnianych pomostów, wbijających się we wzburzone, błękitne wody oceanu.

Angus szedł energicznym krokiem. W pewnym momencie skrzył w lewo i powiedział do Davida, podążającego jego śladem:

- Dom Dreslera.

Budynek był pomalowany bodaj najbardziej jaskrawą farbą ze wszystkich - na odcień żywej czerwieni. Na pustej ulicy parkowały duże, białe jeepy, niemiłosiernie rozgrzane słońcem.

Angus zapukał i czekał. Rękę trzymał w wewnętrznej kieszeni - David wiedział dlaczego. Nairn zapukał po raz drugi, tym razem głośniejsze i dłużej. I znowu czekali.

Ze środka dobiegł jakiś szmer, potem szcęk zamka i wreszcie drzwi się uchylły. Stał w nich bardzo stary mężczyzna. Angus natychmiast wyjął pistolet Nathana, siłą otworzył drzwi i pchnął starca w głąb holu.

Broń wymierzona była wprost w pierś mężczyzny. Amy i David wymienili lękliwe spojrzenia.

Angus z kolei nie okazywał ani strachu, ani niepewności.

- Słuchaj no, Dresler, wszyscy są już, kurwa, martwi, a ja muszę wiedzieć, gdzie schowaliście wyniki badań Fischera. Więc gadaj.

Stary nazista próbował się wycofać, ale Angus był już przy nim i przygwoździł go do ściany. Dresler patrzył to na

pistolet, to na Angusa. Kiedy spojrzał na Davida, mrugnął trzy razy, jakby jego widok przeraził go bardziej niż broń.

- Dresler. Gadaj, do kurwy nędzy.

Starzec zaczął się jąkać. Angus uznał, że należy dobitniej powtórzyć prośbę.

- Gadaj natychmiast! - warknął.

- *Ich weiss es nicht nein nein...*

- Dobrze wiem, skurwielu, że znasz angielski.

Nagle stary zaczął się ślinić ze strachu.

David chciał już interweniować. Ta scena była doprawdy ohydna. Podczas gdy Angus wrzeszczał na starego Niemca, David rozejrzał się i zauważył, że znajdują się w holu żywcem przeniesionym z bawarskich Alp. Na ścianie wisiał nawet zegar z kukułką, a także kolekcja lasek z żółtymi rogowymi rękojeściami.

I portret papieża Piusa X?

Być może jednak Angus miał rację, usiłując siłą wyciągnąć od tego nazisty informacje.

Pomarszczone usta Dreslera to otwierały się, to zamykały, nie wydając głosu. Angus podszedł jeszcze bliżej.

- Gdzie wyniki? Strzełę, jeśli będę musiał zapytać jeszcze raz.

Starzec daremnie spróbował go odepchnąć. Szkot cofnął się o krok, wymierzył w jego kierunku i strzelił w powietrze. Kula o milimetry minęła cel; omal nie otarła się o twarz starego lekarza.

Amy wstrzymała oddech, a David odwrócił wzrok. W tym momencie zauważył mały notes adresowy leżący na stoliku w holu, tuż obok telefonu. Na okładce ktoś zapisał odręcznie kilka słów. Coś w tym jest, pomyślał David. Coś... Ale co?

Odwrócił się, by znowu spojrzeć na Dreslera.

Starzec klęczał, przerażony.

- Słuchaj no, *Herr Doktor*. Masz dwie pieprzone minuty. Gdzie są wyniki badań Fischera?

Angus raz jeszcze uniósł broń i tym razem przyłożył lufę do ramienia Niemca.

- Zaraz przestrzele ci bark, tu, na wysokości łopatki. Możliwe, że odstrzele ci ramię...

Lekarz zaczął się trząść.

- *Ja! Ja!* - zawołał, unosząc rękę pokrytą wątrobowymi plamami. - Shark Island.

- Gdzie?

- Przecież mówię: Shark Island. Jedźcie. Zobaczcie. - Wciąż był przerażony. Na jego spodniach widać było ciemną, moką plamę.

- Shark Island? Co to ma znaczyć? Dlaczego tam? To nie ma sensu. - Angus jeszcze mocniej wbił lufę w ramię Niemca. - Wyjaśnij.

- *Aber... Aber...* - Starzec dygotał. Zamknął oczy, jak ktoś, kto spodziewa się rychłej egzekucji. Mamrotał jakieś słowa - może modlitwy? Tak to brzmiało. Wreszcie Dresler otworzył oczy. Spojrzał na Davida, a potem na Amy. Pokręcił głową. - Nie wierzę w to. Nie wierzę ci.

- W co?

- Ty... wy mnie nie zabijecie. Brakuje wam odwagi. *Nein.*

Angus zaklął i strzelił jeszcze raz, tym razem w podłogę, kilka centymetrów na lewo od nóg starca. Drzazgi wystrzełyły w powietrze.

Ale nazista zebrał w sobie resztki odwagi. Pokręcił głową, z buntowniczym błyskiem w oczach. A może był to po prostu inny rodzaj strachu - może Dresler uświadomił sobie, że bardziej powinien bać się tego, co się z nim stanie, jeśli powie prawdę.

Amy uznała, że to właściwy moment, żeby zaprotestować:

- Angus, nie możesz tak po prostu go zastrzelić.

Szkot zaklął znowu i machnął pistoletem.

- Przecież Kellerman mówił... Kurwa, Kellerman mówił...

Impas. Utknęli. Angus przyciskał wprawdzie lufę do głowy Dreslera, ale David wiedział już, że Niemiec ma rację: Angus nie umiałby tego zrobić. Nie z zimną krwią. Nie potrafiłby zastrzelić tego staruszka o pajęczym charakterze pisma... Pajęczym charakterze pisma? Jakaś zapadka przestawiła się w jego umyśle niczym dobrze naoliwiony mechanizm. Wstrzymał oddech z wrażenia. Oczywiście. Notes z adresami.

- Stój!

Trzy twarze zwróciły się w jego stronę.

- On mnie zna - wyjaśnił David.

- Co?! - prychnął z niedowierzaniem Angus.

- Wreszcie to rozpracowałem. Ten facet naprawdę mnie zna. Musiał mnie rozpoznać.

Amy chciała coś powiedzieć, ale David wpadł jej w słowo:

- Angus. Gdzie on mieszkał, zanim się przeniósł do Luderitz?

- We Francji. W Prowansji.

- Właśnie. To jest to. — David energicznym gestem wskazał na klęczącego Niemca. - Rozpoznał mnie. Widziałem to w jego oczach. - Pochylił się nisko nad zroszoną potem twarzą starca. - Znasz mnie, prawda? A to dlatego, że spotkałeś mojego ojca. On cię znalazł. Ktoś z Kraju Basków, kto przeżył Gurs, podał mojemu ojcu informacje na twój temat. Znając nazwisko, ojciec wytropił cię w Prowansji. - David pochylił się jeszcze niżej. - Zagroził, że ujawni światu twoją przeszłość, więc przyznałeś się albo postanowiłeś mu pomóc. Zgadza się, co?

Dresler uparcie i w milczeniu kręcił głową. Wyglądał na zdeterminowanego, ale jego milczenie nikogo nie przekonało.

- Myślę, że masz rację - szepnęła Amy. - Tylko spójrz na niego.

David nie potrzebował już zachęty.

- To jedyne sensowne wytłumaczenie. Ktoś musiał po wiedzieć mojemu ojcu o klasztorze - ktoś, kto znał sekrety. Ktoś, kogo żywo interesowała ta sprawa - na przykład stary nazista z Gurs. Zwłaszcza taki, który został członkiem Bractwa Świętego Piusa X... Taki ktoś na pewno wiedziałby, gdzie są ukryte archiwa. To byłeś ty. To ty zdradziłeś tajemnicę mojemu ojcu, a potem musiałeś uciec do Namibii. Popatrz tutaj... - David porwał ze stolika notes z adresami i machnął nim przed nosem Dreslera. - Poznaję twoje piśmo! Te drobniutkie, precyzyjnie kreślone znaczki. To ty napisałeś coś na odwrocie mapy mojego ojca. Prawda?

Dresler znowu potrząsnął głową. Tym razem równie nieprzekonująco.

Angus był wyraźnie podniecony.

- W porządku, załóżmy, że masz rację. Na pewno masz rację. Złóżmy do kupy wszystkie znane fakty...

- Jak?

- Shark Island. Tak powiedział ten skurwiel. Shark Island.

- Gdzie to jest?

- Tutaj. Całkiem niedaleko! Przy porcie rybackim.

Angus odwrócił się w stronę Dreslera. Przez sekundę wydawało się, że uderzy go kolbą pistoletu. Najwyraźniej jednak się rozmyślił: splunął pogardliwie i opuścił broń.

- Chodźmy. Nie mamy wiele czasu; Miguel może być już w pobliżu, a helikopter odlatuje za dwie godziny.

Skoczyli do drzwi, zostawiając roztrzęsionego i bełkocącego Dreslera w holu, kłęczącego w tym, co jeszcze niedawno stanowiło zawartość jego pęcherza.

Południowy skwar był obojętnym. Angus wskazał ręką na południe. Pobiegli zakurzoną ulicą w kierunku przystani.

Dwaj Murzyni siedzieli na rogu zaułka, apatycznie przesiewając piasek między palcami. Woń ryb i rozkładu była trudna do wytrzymania. W Davida wstąpiła nadzieja. Może jednak rozwiążą tę zagadkę? Rozumiał nareszcie, a przynajmniej zaczynał rozumieć, że musi odkryć tajemnicę. Tajemnicę samego siebie. Nie mógł dłużej znosić niewiedzy.

Ulica kończyła się bramą.

- To jest Shark Island. - Angus wskazał na coś w rodzaju półwyspu wrzynającego się daleko w morze. - Pójdziemy tędy...

Szli rozpaloną, wąską ścieżką oddzieloną od morza rozpadającym się, betonowym murkiem. Wreszcie przystanęli. Po lewej mieli smagany wiatrem, chylący się ku ruinie magazyn, dający przynajmniej odrobinę cienia. W gorącym powietrzu czuć było intensywny zapach zimnego Prądu Benguelskiego.

Angus pospieszył z szybkim i zwięzłym wyjaśnieniem.

- Na początku dwudziestego wieku na Shark Island Niemcy wymordowali mnóstwo ludzi. Kiedyś była to wyspa, ale teraz grobla łączy ją z lądem. To tu Niemcy spędzili wszystkich Witboii, żeby ich wytępić.

- Mówiłeś, że to byli Hererowie?

- Nie. Mówisz o innym holokauście. Tak, wiem, wiem...

- Jezu.

- Kiedyś opowiem ci to bardziej szczegółowo. Pokaż mi tę mapę.

David wyjął bezcenną starą mapę, poznaczoną niebieskimi gwiazdkami. I notatka na odwrocie.

Angus zmrużył oczy, by odczytać drobniutkie litery.

- Miałeś rację. To pismo Dreslera.

Wysoko na niebie krążyły mewy. Warczał silnik ciężarówki z logo Namsea, cofającej się pod rampę wielkiego magazynu.

- Myślę, że to może być adres - powiedział David, wskazując. — Widzisz? Czy to nie „*strasse*”?

- Tak, ale... - Szkot zmarszczył brwi, a potem odwrócił się i rozejrzał dokoła. Wiatr rozwichrzył jego rude włosy. - To jest adres, niemiecka nazwa, której nie poznaję. W tym mieście nie ma Zugspitzstrasse. Co więc łączy tę nazwę z Shark Island?

- Może Dresler skłamał? - zasugerowała Amy.

- Nie - odparł stanowczo Nairn. - Był przerażony. Wi dzieliście przecież, że poszczał się jak dziecko. Tu musi coś być. Na Shark Island. Nie rozumiem tylko, w jaki sposób wiąże się z tym, co zapisano na mapie.

Znowu rozejrzał się po okolicy. Widzieli tylko żółtawy pył, szarą wstęgę drogi oraz zaniedbane szopy i nabrzeża. Za klifem wylegiwały się foki.

- Musimy tu znaleźć coś niemieckiego. Albo związanego z Niemcami. - Znieruchomiał. - Tam. Muzeum Holokaustu. W tamtej chacie. To musi być to.

- Muzeum Holokaustu?

Angus wzruszył ramionami.

- Wiem, nie wygląda zbyt imponująco. Ale wyobraźcie sobie, że to naprawdę muzeum. Dla Namibijczyków jest bardzo ważne. I zwykle zamknięte. Leży na tyle daleko od miasta, że prawie nikt tu nie zagląda. Trzeba więc anonso wać wizytę i...

- Chodźmy - przerwał mu David.

Muzeum było niskim, drewnianym budynkiem, bezlitośnie wysmaganym przez wiatry napędzane Prądem Bengu-elskim. Stało na samym końcu cypla. Drzwi istotnie były zamknięte. Powietrze było chłodne, ale David czuł na skórze palące promienie słońca.

Angus nacisnął klamkę i pchnął. Zamknięte na klucz. David cofnął się i kopnął z całej siły. Otworzyły się z łatwością.

Weszli do środka. Duszne, drewniane pomieszczenie pełne było półek, regałów i gablot ustawionych wzdłuż ścian. Ze specjalnego cokołu ustawionego w kącie szczyrzyły do nich zęby trzy duże czaszki.

- Chryste - szepnęła Amy.

- To czaszki Hererów - wyjaśnił Angus. - Fischer kazał je skrobać do czysta kobietom Hererów. Musiały preparować czaszki własnych mężów, bo on chciał je zbadać, porównać rozmiary. Błogosławione niech będą jego suwmiarki. Ale my musimy szukać miejsca, w którym mogłyby zostać ukryte dokumenty Fischera. Na pewno w tym budynku...

Szukali, z zapalem i determinacją, w każdym kącie, w każdej zakurzonej gablocie, na każdej półce, za wszystkimi zmurszałymi tomami o tytułach pisanych gotykiem, a nawet między ich stronicami. *Die Rehobother Bastards und das Bastardierungsproblem beim Menschen*.

Bez skutku. Przejrzeli zadbane stalowe przyrządy badawcze, dziwnie podobne do ginekologicznych. Nic. Z nie-małymi wyrzutami sumienia David odstawił na bok całe pudło wysuszonych ludzkich kości. Miał wrażenie, że nie okazuje należytego szacunku szczątkom ofiar dwóch zapomnianych ludobójstw; ohydnych pamiątek dawno upadłego nazistowskiego reżimu.

Niczego nie znaleźli. Zbici z tropu, uklękli pośrodku niewielkiej chaty, by podzielić się swoim rozczarowaniem. Szeptali przez chwilę, aż Angus spojrzął na zegarek.

- Helikopter startuje za czterdzieści minut. Jeśli nic tu nie znajdziemy...

Amy rozejrzała się raz jeszcze. Czaszki Hererów uśmiechały się do niej z postumentu. Zakaszłała muzealnym kurzem i powiedziała:

- Okropne miejsce. Straszne. I nic z tego nie rozumiem, Angusie. Nie ma tu absolutnie niczego, co pochodziłoby z Niemiec; same namibijskie przedmioty. Może i związa-ne z Niemcami, ale jednak namibijskie. Zresztą jakim sposobem ktoś mógłby tu ukryć te papiery?

Angus pokiwał głową.

- Masz rację - odparł zrezygnowany.

David słuchał, ale się nie odzywał. Czaszki uśmiechały się także do niego, jakby naśmiewały się z Cagota. Ale czy był Cagotem? Drwiły z niego. Skupił się na swojej mapie, żeby odpędzić głupie myśli. Na podpowiedzi.

- Zugspitzstrasse. Co to oznacza?

- Nic konkretnego. - Angus westchnął i pokręcił głową. - Typowa niemiecka nazwa ulicy. Gdzieś już ją słyszałem... - Jego twarz nagle stężała, a potem w jednej chwili kompletnie zmienił się jej wyraz. - Już ją słyszałem! Jezu! - zawołał i zerwał się na równe nogi. - Słyszałem ją kiedyś. David, dawaj mapę! Jeszcze raz; tak, tak, to musi być to...

Poderwali się wszyscy, czując żywsze krążenie krwi. Rozwinęli mapę w powietrzu pełnym drobin kurzu. Angus przybliżył ją do twarzy i raz jeszcze przeczytał notatkę.

- To adres Instytutu Cesarza Wilhelma w Berlinie! Zugspitzstrasse 93. Magazyny.

- Ale jak...

- To słynne miejsce w kręgach eugeników. I chyba tylko ich.

- Dresler podał twojemu ojcu adres. Tam możemy więc znaleźć to, czego szukamy, a może chociaż jakąś podpowiedź. W Instytucie.

- Ależ to berliński adres, co ma wspólnego z Namibią?

Genetyk uśmiechnął się triumfalnie. Nawet w najbardziej przejmujących, dramatycznych chwilach nie zapominał o okazywaniu dumy z własnej przemyślności.

- Już to rozpracowałem! Jednak jest tu coś, co przybyło z Niemiec.

Odwrócił się i wskazał na czaszki Hererów.

- One?

- Berlin pozwolił na ich wywiezienie w 1999 roku, zresztą po latach przepychanek. Wcześniej przechowywał je Kaiser Wilhelm Institut. A teraz są tutaj. Były w Niemczech. W czasie wojny należały do Fischera, a potem do Instytutu. W jakiś sposób to właśnie one muszą zawierać odpowiedź.

Angus podszedł szybko do cokołu i wybrał największą z czaszek. Wolno obrócił w dłoniach smutną, a zarazem uśmiechniętą pamiątkę po jednym z Hererów.

- Obsceniczny żart. No, ale przecież naziści lubowali się

w takich. Na przykład brukowali getta żydowskimi płytami nagrobnymi, żeby Żydzi mogli deptać własnych zmarłych. Poza tym... - Angus przyjrzał się czaszce z bliska. - Poza tym chyba trudno o lepsze miejsce do ukrycia czegoś naprawdę bardzo ważnego. Czaszka, święty relikwiarz straszliwej zbrodni przeciwko ludzkości. Fischer musiał wiedzieć, że nikt nigdy nie ośmieli się jej rozwalić i dotrzeć do sekretu, chyba że wiedziałby, czego i gdzie należy szukać. - Szkot uniósł czaszkę wyżej, zajrzał do środka, a potem przemówił do niej szeptem. - Przykro mi, bracie. Naprawdę bardzo mi przykro, ale muszę to zrobić. Wybacz.

Z rozmachem upuścił czaszkę. Wyschnięta kość natychmiast rozpadła się na kawałki. Odłamki rozprysnęły się po zakurzonych deskach, wzbijając kurz.

Na podłodze błysnął mały stalowy cylinder.

- Był ukryty w jamie nosowej.

Amy i David stanęli przy nim. Ich spocone twarze wyrażały tylko jedno: napięcie.

Angus zerwał końcówkę smukłej, metalowej tulejki i wyjął z niej małą, starannie zwiniętą arkusik papieru przypominający pergamin.

Szkot w skupieniu przebadł miniaturowy dokument. Na papierze naszkicowano mocno już wyblakłym atramentem małą mapę.

- Zbiroh! - Angus westchnął z głęboką ulgą. - Zbiroh...

Na wyjaśnienia nie było czasu. Za oknem przemknął jakiś cień. Namibijski ochroniarz stanął w drzwiach.

Angus wetknął mapkę do tulejki, a tulejkę do kieszeni - i pobiegł w stronę wyjścia. Stanął oko w oko z ochroniarzem, który przeraził się na widok pistoletu wymierzonego w jego pierś.

Murzyn cofnął się o krok, w plamę oślepiającego światła.

- Nie! Żadnych kłopotów! Nie chcę kłopotów!

- I dobrze - odparł Angus, idąc za nim i obmacując jego kieszenie. Oddał Davidowi znaleziony tam pistolet oraz telefon. Ruchem głowy wskazał na ocean.

David chętnie wykonał polecenie: zamachnął się i wrzucił broń i aparat prosto w fale, ładnych parę metrów od brzegu, płosząc przy okazji żerujące opodal mewy.

Angus skinął teraz na ochroniarza.

- Dobra. Zostajesz tutaj. I nie ruszaj się. My odchodzimy, a ty zrób sobie przerwę. Kapujesz?

Puścili się biegiem ścieżką wiodącą na stały ląd. David obejrzał się przez ramię: ochroniarz naprawdę stał tam, gdzie go zostawili. W pełnym słońcu przypominał czarną rzeźbę, i tylko spoglądał w ślad za uciekającymi, najwyraźniej nie wiedząc, co robić - niczym pomnik niezdecydowania.

Dotarli do ulicy i po chwili biegli już między samochodami. Angus pomachał zwitkiem południowoafrykańskich randów przed nosem kierowcy pierwszej z brzegu toyoty. Mężczyzna rozpromienił się i zahamował z piskiem opon.

Wskoczyli do środka, spoceni i wyczerpani.

- Na lotnisko! Najszybciej, jak potrafisz - rzucił Angus.

Dojechali w ciągu dziesięciu minut, pędząc jak wariaci po skąpanych w słońcu ulicach. Minęli po drodze Bank of Windhoek, starą salę bilardową i stację Shell - i już byli za miastem, na równinie. David przypomniał sobie o Miguelu. O czarnych wozach nadjeżdżających dnem kanionu.

Przeraziła go ta myśl. Miguel naprawdę mógł być w pobliżu. Mógł się pokazać w każdej sekundzie.

Znalazłem was.

Smugi żółtawego piasku, podobne do węży, przemykały w poprzek drogi, niesione wiatrem. Znowu byli na pustyni. Angus wyjął mapę i przyglądał się jej z bliska, aż nagle zerknął na okno i krzyknął:

- Patrzcie!

Potworny strach owładnął Davidem. Rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. *Miguel?! Angus wskazywał na coś palcem.*

- Tam patrzcie! To rzadki widok. Spójrzcie tylko na tego konia!

David poczuł absurdalną ulgę i razem z Amy nachylili się, by wyjrzeć przez porysowaną szybę wozu. Ale na co właściwie patrzyli?

W pierwszej chwili niczego nie zobaczył, ale potem go dostrzegł: wychudzonego, samotnego konia przebiegającego przez drogę. Zaraz potem zobaczył ich dziesiątki, a następnie setki. Dokazywały w pustynnym skwarze i pyle.

Angus był rozanielony.

- Dzikie konie z Namibu. Uwielbiam je. Są ostatnią pamiątką po Schutztruppe, niemieckiej armii kolonialnej. Ich przodkowie uciekli na pustynię i zdziczeli. - Genetyk w spokojnym zachwycie przyglądał się niezwykleму spektaklowi. - Są szczególnie przystosowane do suchego klimatu. - Angus usiadł prosto. - Zawsze sobie myślę, że wyglądają raczej jak dusze koni, włączące się swobodnie w przyszłym życiu. To jeden z powodów, dla których trudno stąd wyjechać. Właśnie przez takie rzeczy. Ale oto i lotnisko. Zaraz za tymi wydmami.

Niewielki samolot i dwa śmigłowce stały na plamie asfaltu pośrodku spalonej słońcem pustyni. Jeden z helikopterów miał na burcie napis „Kellerman Namcorp”. Jego wirnik już się obracał.

David spojrzął na Angusa.

- Dokąd polecimy?
- Do Amsterdamu.
- Tak, ale później?
- Do Zbirohu! To zamek w Czechach. Kiedyś zajmowało go SS. Później ci to wyjaśnię, stary, teraz musimy się spieszyć. Miguel ciągle gdzieś tam jest...

Przebiegli przez asfaltowy plac. Mężczyzna z pistoletem maszynowym zawieszonym na długim pasku stał przy helikopterze i patrzył w zdumieniu, jak się zbliżają.

- Angus?!

- Roger!

Murzyn się uśmiechnął.

- Angus, chłopie!

Genetyk musiał krzyczeć, by Roger usłyszał go przez narastające wycie silnika i szum łopat. A potem przekazał mu jakieś zawiniątko - czyżby aksamitny woreczek? David domyślał się, że to diamenty. Roger skinął głową.

- Wsiadajcie! - zawołał Angus.

Roger także pokrzykiwał, energicznymi gestami ponaglając ich, by wsiedli. Prędszej!

David i Amy wspięli się do kabiny i usiedli na pierwszych wolnych fotelach. Angus dołączył do nich - był wyraźnie spięty i wymęczony. Zapięli pasy, ale zanim jeszcze trzasnęły klamry, maszyna była już w powietrzu.

Lecieli.

David popatrzył w dół. Roger był teraz już tylko małą sylwetką. Spoglądał na oddalający się helikopter, osłaniając oczy przed tumanami piasku. David popatrzył na pustynię rozciągającą się na południu. Dziki koń galopował po bezkresnym pustkowiu.

A potem chmury pyłu przesłoniły wszystko.

2.58, 2.59, 3.00

Nie pojawił się. David spojrział nieufnie na dworcowy zegar.

3.02, 3.03, 3.04

Angus stał obok niego, milczący - choć raz. Ale na jego twarzy malowało się napięcie. Amy była zamyślona, a może nieco przybita.

Ile wiedziała? Bez wątpienia zachowywała się inaczej, odkąd wylądowali w Amsterdamie i przemierzyli Niemcy, by dotrzeć do Norymbergi na umówione spotkanie z Simo-nem. Dlaczego? Może podejrzewała, że David jest Cagotem? Może po prostu tak reagowała na zmianę jego nastroju? A on był daleki, chłodny, humorzasty - a wszystko dlatego, że zadręczał się pytaniami, szukając odpowiedzi i uspokojenia.

Przestali się kochać. Nie mógł się zdobyć na seks - kiedyś byli tacy namiętni, a teraz? Wyobrażał sobie, jak gryzie jej delikatne ciało i wypija krew. Była to otchłań, do której musiał zajrzeć; musiał zanurzyć się głęboko we własną duszę i odnaleźć swoje prawdziwe „ja”. A wszystko to dlatego, że w tych decydujących godzinach, które się zbliżały, potrzebował całego spokoju, na jaki było go stać. A może dniach? A może minutach?

3.07, 3.08, 3.09

Czyżby Simon miał nie przyjechać? Wysłali do niego wiadomość z Amsterdamu, a on odpowiedział niemal natychmiast: „Tak”.

W skrzynce pocztowej czekał na Davida jeszcze jeden, bardzo zaskakujący e-mail: od Franka Antonescu. Prawnik

z Phoenix zorganizował małe prywatne śledztwo, korzystając ze swoich kontaktów w urzędzie podatkowym, i „po długotrwałych staraniach” ustalił wreszcie, skąd dziadek dostał pieniądze.

Od Kościoła.

Pieniądze, jak napisał Antonescu, zostały „wypłacone nie tylko pańskiemu dziadkowi, ale całej grupie ludzi, krótko po zakończeniu wojny. Środki te znane były jako «pieniądze z Gurs». Nie mam pojęcia, dlaczego je wypłacano. Kolega z urzędu podatkowego był równie zdziwiony”.

Tym sposobem David zyskał kolejny skrawek odpowiedzi, pasujący do stale rosnącej struktury, którą nazywał rozwiązaniem. Jednak całą prawdę mieli poznać dopiero w Zbirohu. Jeżeli są tam wyniki badań Fischera.

3.16, 3.17, 3.18

Czy Simon zamierzał się pojawić? Może przytrafiło mu się coś strasznego? Może dorwał go Miguel?

- Tam! - zawołała Amy.

Mniej więcej czterdziestoletni piegowaty, jasnowłosy mężczyzna w wymiętym ubraniu biegł przez halę dworcową. Szukał kogoś wzrokiem.

- David Martinez!

- Simon Quinn?

Irlandzki dziennikarz spojrzął na oczekujących i uśmiechnął się nieśmiało.

- Ty pewnie jesteś Amy. A ty...

- Angus Nairn.

Uścisnęli sobie dłonie, przedstawili się oficjalnie. Ale potem David i Simon długo patrzyli sobie w oczy i nagle obaj jednocześnie dostrzegli absurdalność tego formalnego powitania.

Padli sobie w ramiona. David przytulił tego człowieka, którego spotkał po raz pierwszy - jak dawno zaginionego brata. Albo jak brata, którego nigdy nie miał.

Napięcie jednak szybko powróciło, gdy Amy przypomniała im, jak to czyniła regularnie od trzech dni:

- Miguel wciąż nas ściga.

Wydawało się, że teraz boi się go nawet bardziej niż wtedy, gdy byli w Namibii. Być może strach pogłębiał jej depresję. Nieustępliwość łowcy po prostu niszczyła jej wolę

życia. Może Amy już uznała, że Miguel i tak wygra? Przecież zawsze jakoś udawało mu się ich odnaleźć. Może więc i tym razem Wilk dopadnie zdobyczą i dokończy dzieło, które rozpoczął?

Nie, jeśli jako pierwsi dotrą do tego, czego szukają.

Nie zwlekając dłużej, poszli do wypożyczalni samochodów.

Angus pilotował: udzielał wskazówek, jak wyjechać z No-rymbergi, między pagórkowate pola i dalej, ku czeskiej granicy. Gdy oddalili się od miasta, Simon wyznał im prawdę: że Bractwo przetrzymuje jego brata i znęca się nad nim.

David widział udrękę w oczach Simona. Rozumiał jego ból i poczucie winy. Gdy Simon wyjaśnił im sytuację, milczeli przez dobrych kilka minut. Teraz los Tima spoczywał także w ich rękach. Był to wielki ciężar.

Zbliżali się do granicy. Dawnej żelaznej kurtyny. Na pobliskich polach stały bezużyteczne zardzewiałe wieżyczki wartownicze oraz zapomniane zwoje kolczastego drutu. Całą infrastrukturę współczesnego przejścia granicznego tworzyła jedna jasna, przeszklona budka - w dodatku pusta. Nie musieli nawet okazywać paszportów.

- Dlaczego akurat Norymberga? - spytał Simon. - Dla czego tam się spotkaliśmy?

Angus wyjaśnił, że zależało mu, by było to miasto duże i anonimowe, a także położone blisko granicy z Czechami. Choćby po to, by łatwiej było zmylić ewentualną pogoń.

Simon skinął głową.

- A co z tym zamkiem?

- Mapa wskazuje, że mieści się on w miasteczku zwanym Zbiroh. Ale wejście znajduje się dwa kilometry dalej, w małej wiosce Pliskov. Do tunelu można się dostać przez synagogę w Pliskovie.

Simon znowu skinął głową. Był przygnębiony.

Jechali dalej. Zmiana w krajobrazie była bardzo wyraźna, odkąd opuścili bogate Niemcy. Tu wszystko było nieco skromniejsze, bardziej zniszczone, brudniejsze. Co ciekawe, przy drodze na Pilzno minęli ponad trzydzieści kobiet w bardzo krótkich spódniczkach i blondperukach.

Angus wyjaśnił ten fenomen:

- prostytutki.

- Co takiego?

- Parę lat temu byłem na konferencji w Pradze. Te kobie ty to prostytutki; obsługują głównie klientów przyjeżdżających z Niemiec. Kierowców ciężarówek, biznesmenów. Poza tym, sprzedają krasnale.

- Krasnale?! - zdumiała się Amy.

Szkot wskazał na przydrożny sklepik, który właśnie mijali. Przed wejściem ustawiono cały zastęp krzykliwie pomalowanych krasnali ogrodowych.

- Z jakichś powodów, zapewne podatkowych, krasnale są tańsze po tej stronie granicy. I dlatego Niemcy przybywają tłumnie po dziwki i krasnale!

Zaśmiał się kwaśno, ale nikt mu nie zawtórował. David cieszył się jednak w duchu, że Angus znowu się śmieje. Szkot był jedynym w tym towarzystwie, który zdawał się mieć jakiś zapas pozytywnej energii, prawdziwego optymizmu. Potrzeba intelektualna, która nakazała mu poznać wyniki badań Fischera, jego czysta ciekawość oraz samolubne pragnienie udowodnienia, że jednak miał rację, stały się - jak na ironię - głównym motorem napędzającym tę wyprawę.

Wkrótce jednak w samochodzie znowu zapadło milczenie - jechali autostradą do Pilzna. Angus trzymał na kolanach rozłożoną mapę. Po obu stronach drogi pojawił się mroczny las, a dotychczasowa mżawka zmieniała się w rześisty deszcz.

- No dobra - odezwał się wreszcie Angus. - Dostyc tego kurewskiego smucenia. Zróbmy coś! Pomóżmy Simonowi! Opowiedzmy, co się działo do tej pory. Biedaczysko, jest wolnym strzelcem, potrzebny mu dobry temat, żeby mógł spłacić hipotekę. Połączmy całą naszą wiedzę w jedno.

Nastrój był dotąd tak fatalny, tak przytłaczający, tak pełen strachu, że David z zadowoleniem powitał tę zaimprovizowaną inicjatywę. Gadać, pomyślał. Po prostu gadać. Gadać o czymkolwiek. I tak też uczynili: David prowadził wóz, a pozostali zaczęli dorzucać elementy układanki, dodając je do wspólnej puli. Słuchając ich dyskusji, Simon pilnie notował.

A potem wyprostował się i usiadł wygodnie. Głos łamał mu się z emocji, ale przynajmniej wreszcie się odezwał.

- W porządku. Oto jak ja widzę całą sytuację. - Jak dotąd, ma się rozumieć.

David poczuł absurdalną obawę, że Simon lada chwila

zwróci się ku niemu, pokaże go palcem i powie: A ty, rzecz jasna, jesteś Cagotem. Simon zaczął mówić.

- Początki tej tajemnicy sięgają trzech tysięcy lat wstecz, gdy zaczynało się zapisywać Biblię. W rozmaitych miejscach Księgi Rodzaju pojawiły się sugestie istnienia innych istot ludzkich niż Adam i Ewa.

Amy podziwiała krajobraz przez okno, z niepokojem przyglądając się przede wszystkim samochodom.

- Od zawsze też towarzyszą ludziom problemy wywołane tymi tajemniczymi wzmiankami - ciągnął Simon. - Tak naprawdę jednak nabrały one znaczenia w chrześcijaństwie dopiero w piętnastym i szesnastym wieku, podczas prześladowań Basków i Cagotów. - Zerknął przelotnie na Angusa, nim zaczął mówić dalej: - Baskowie są zaiste odrębną grupą: mają swój język, kulturę, społeczeństwo, niezwykłą grupę krwi i tak dalej. Ich dzieje prawdopodobnie sięgają czasów preindoeuropejskich, czyli trzydziestu tysięcy lat przed naszą erą. Przez stulecia cierpieli prześladowania tylko dlatego, że byli inni. Szczyt owych prześladowań przypadł na okres słynnych polowań na czarownice w latach 1610-1611, czyli tak zwanej Baskijskiej Epidemii Snów.

Wynajęty wóz właśnie wyprzedzał starą skodę, relikw motoryzacji ery komunizmu. Czeski samochód jechał 30 kilometrów na godzinę, prowadzony przez miejscowego rolnika w towarzystwie siedzącej obok tłustej żony.

- Przypadek tajemniczych Cagotów jest podobny - kontynuował Simon - ale jeszcze trudniejszy. Cagoci są - albo byli - mieszancami, zamieszkującymi ten sam region co Baskowie. Prawdopodobnie zresztą wywodzą się od Basków, którzy w ósmym i dziewiątym wieku łączyli się ze śniado-skórymi Saracenami, potomkami muzułmańskich wojowników. I właśnie jako mieszanczy byli od początku bardzo mocno izolowani ze społeczności chrześcijańskiej; zarzucano im między innymi pokrewieństwo z niewiernymi. Byli więc prześladowani. W siedemnastym wieku represje znacznie się zaostrzyły; dochodziło nawet do przybijania Cagotów do kościelnych drzwi. Postępująca izolacja Cagotów doprowadziła do tego, że zaczęły się nasilać problemy genetyczne nękające tę społeczność.

- To nie była ich wina - wtrącił David napastliwym tonem.

- Nie, oczywiście, że nie - odparł zdziwiony Simon. - Jednakże ich opinia, jako osobników z tendencjami psychotycznymi, kretynów, a nawet kanibali, była, choć tragiczna, nie całkiem niezasłużona. Wielu Cagotów cierpiało na różne choroby, prowadzące niekiedy do dziwaczych czy odrażających zachowań.

- I dlatego król Nawarry kazał poddać ich badaniom? - spytała Amy. - Żeby przekonać się, czy Cagoci naprawdę są „inni”?

- Tak. Co więcej, choć nauka nie stała wówczas na wysokim poziomie, to wydaje się, że lekarze królewscy trafnie zaobserwowali przypadki syndaktylii, czyli zrosnięcia palców, oraz innych deformacji i fizycznych anomalii wynikających z chowu wsobnego, uszkadzającego genotyp. Doszli więc do wniosku, że Cagoci stanowią odmienny gatunek człowieka, a różnice są bardzo poważne. - Simon przewrócił kartkę w notatniku. - Odkrycie to zaniepokoiło papieża i kardynałów. Idea, jakoby Bóg naprawdę stworzył różne rodzaje ludzkie, wydawała się jawnym bluźnierstwem. Podważała głębokie podstawy doktryny katolickiej, według której człowiek został stworzony na podobieństwo Boga. Teoria nie tylko usprawiedliwiałaby nawet najgorsze prześladowania wśród chrześcijan i Europejczyków, ale także podałaby w wątpliwość całą teologię katolicką.

- A nawet chrześcijańską- uzupełnił Angus.

- Dlatego też Kościół postarał się o zakończenie prześladowań Cagotów. Z tej samej przyczyny inkwizycja zaprzeciła palenia na stosach baskijskich czarownic. Katolicka elita pragnęła, by „chór chrześcijaństwa” był „niepodzielny”. Baskowie i Cagoci mieli powrócić na łono ludzkości. Mimo to istniały jeszcze w Kościele elementy, które pozostały wierne filozofii klątwy Kaina. Poglądy te były popularne zwłaszcza wśród niższego kleru, chłopstwa oraz w zakonach o co bardziej surowych regułach, takich jak zakon dominikanów.

Zawsze gotów do zapobiegania schizmom Watykan zgodził się na kompromis. Ważne i najbardziej kontrowersyjne dokumenty - dotyczące polowań na czarownice oraz badań krwi Cagotów i późniejszych decyzji papieskich - nie zostały

zniszczone: ukryto je w starożytnych archiwach Angelicum. Wieki później dyskretnie przeniesiono je do nowego klasztoru w środkowej Francji.

- Zbudowanego w tym celu - wtrącił Angus — przez architekta o skrajnie prawicowych poglądach. Prawda?

- Oraz jako arcydzieło funkcjonalności - uzupełnił Simon. - Gmach tak straszny, że przyprawiający mieszkańców o choroby umysłowe.

Amy nie odrywała spojrzenia od okien. Sweter zsunął się jej z ramienia, odsłaniając nagą, opaloną skórę - złotą, delikatną i kuszącą.

David wbił spojrzenie w asfalt. Simon uniósł swój notatnik nieco wyżej.

- W 1907 roku młody i błyskotliwy niemiecki antropolog Eugen Fischer przybył do słabo zaludnionej, za to bogatej w diamenty kolonii niemieckiej zwanej Sud West Afrika, czyli do dzisiejszej Namibii. Podążał śladami swego idola, wielkiego uczonego brytyjskiego i twórcy nowoczesnej eugeniki Francisca Galtona. Dokonane tam odkrycia zdumiały Fischera. Badając Khoisan, Buszmenów z Kalahari oraz ich bliskich kuzynów Basterów, mieszańców krwi buszmeńskiej i holenderskiej, Fischer ustalił, że jeszcze w bardzo niedawnej przeszłości rodzaj ludzki był prawdopodobnie podzielony na gatunki.

Amy milczała. David także. Angus uśmiechał się jakby w roztargnieniu. Simon kontynuował:

- Proces powstawania gatunków poprzez dzielenie się jednego gatunku na nowe jest oczywiście jedną z podstaw ewolucji. Tyle że proces ten został niewłaściwie zdefiniowany. Kiedy nowy rodzaj organizmów może być nazwany podgatunkiem, a kiedy zasługuje na miano odrębnego gatunku? Genetycy, zoolodzy i taksonomiści wciąż spierają się na ten temat, nikt jednak nie neguje faktu: proces powstawania gatunków wciąż trwa.

Simon przewrócił kartkę.

- Wcześniej jednak nikt się nie spodziewał, że w wypadku gatunku *Homo sapiens* proces ów mógł rozegrać się w ciągu zaledwie ostatnich kilku tysięcy lat. Niektórzy eksperci uważają, iż stosunkowo niedawno w Azji mógł się wykształcić karłowaty gatunek człowieka, *Homo flore-*

siensis. Istnienie hominidów tego typu może być dobrym wyjaśnieniem biblijnych mitów o nie-Adamowych ludziach, pojawiających się w pierwszych wersach Księgi Rodzaju. Mogą one być autentycznymi przekazami o istnieniu karłowatych, prawie ludzkich form. Te procesy mogły jednak zachodzić kilka tysiącleci temu. Tymczasem Fischer nabrał przekonania, że proces zbliżony do powstawania nowych gatunków zachodzi w tej chwili w Afryce: albo Buszmeni byli nowym gatunkiem, albo byli bliscy stania się nim. Odkrycie to potwierdziło czynnik rasistowski i tak obecny już w jego podejściu. Podobnie jak wielu innych uczonych owej doby, Fischer bez śladu zażenowania wyrażał przekonanie, że w hierarchii ras ludzkich biali znajdują się na szczycie, Aborygeni i czarni Afrykanie zaś na samym dnie. Buszme-nów umieścił więc jeszcze niżej, poza rodzajem ludzkim.

David zmienił bieg, żeby wyprzedzić wielką, czerwoną ciężarówkę z napisem Intereuropa na burcie.

- Ale jednocześnie ten cały Fischer lubił Żydów? - spytał. - Na przykład Kellermanów?

- Tak - odparł Simon. - Fischer, jak na ironię, wcale nie był antysemitą. Cenił sobie przyjaźń inteligentnych ludzi, zwłaszcza bogatych i sławnych. Rzeczywiście był też w świetnej komitywie z Kellermanami, niemiecko-żydowskimi właścicielami kopalni diamentów, zarabiającymi miliony na eksploatacji bogatych w minerały piasków Namibii. Owa przyjaźń miała się okazać ogromnie znacząca w późniejszych latach.

Kolejna strona notatnika.

- W 1933 roku Adolf Hitler doszedł do władzy w Niemczech. Jeszcze jako młody człowiek łapczywie pochłaniał dorobek naukowy Fischera. Teraz, jako Führer, nareszcie miał środki, by zapewnić uczonemu należyte zajęcie. Na początek uczynił go rektorem Uniwersytetu Humboldta w Berlinie. Potem, w 1940 roku, wysłał Fischera do nowo utworzonego niemieckiego obozu koncentracyjnego w Gurs, w pobliżu fascynującego dla genetyka baskijskiego regionu Francji. Adolf Hitler wynalazł bowiem dla wielkiego uczonego odpowiednią misję: uwiarygodnienie nazistowskiej teorii rasowej. Fischer miał więc zbierać w Gurs najbardziej interesujące pod względem genetycznym okazy gatunku ludz-

kiego i poddawać je intensywnym badaniom medycznym. Zgromadził w jednym miejscu Cyganów, Żydów, Francuzów, Basków, Hiszpanów i Cagotów. Fiihrer miał nadzieję, że porównując dane uzyskane z testów poszczególnych podmiotów z danymi pochodzącymi z badań prowadzonych w Namibii, jego ulubiony naukowiec zdoła stworzyć ostateczną, autorytatywną i genetycznie udowodnioną hierarchię ras: ostateczny dowód na to, że Niemcy znajdują się u szczytu drabiny, a Żydzi na samym dole. Fischer odniósł przekonujący sukces w tym przedsięwzięciu. W pierwszym roku, z pomocą zdolnych niemieckich lekarzy, odkrył istnienie DNA - podstawy całej współczesnej genetyki. Simon zamknął notatnik.

- Ale co Fischer odkrył później? - spytała Amy. - W drugim roku pracy w Gurs? Jakież to było przerażające odkrycie? O co chodziło?

Angus już się nie uśmiechał. Siedział ze zmarszczonymi brwiami.

- Cóż, to jest właśnie podstawowe pytanie. I wkrótce poznamy na nie odpowiedź - dodał, spoglądając na drogę przed maską wozu. — Jeżeli najpierw nie zginiemy.

Po dwudziestu minutach jazdy autostradą wypatrzili zjazd na Zbiroh. Kręta droga wiodła pomiędzy pagórkami, lasami oraz podupadłymi gospodarstwami. David opuścił szybę po swojej stronie; chłodne powietrze pomagało mu się uspokoić. Był gotów na wszystko, byle zapomnieć o strachu - do tego stopnia, że nawet pragnął bólu fizycznego, by móc nie czuć bólu psychicznego.

- Skreć tu w lewo.

Zjechali z szosy i pokonali ostatni zakręt, nim wreszcie ujrzeli zamek.

Była to olbrzymia budowla. Wielki, paskudny, żółtawy, neoklasycyzy pałac, kanciasty i wyniosły, usytuowany na skalnym wzniesieniu. Wioska Zbiroh leżała w dolinie poniżej, niczym chłop leżący krzyżem u stóp cara.

David zwolnił, by mogli się przyjrzeć.

- No i co w nim takiego szczególnego? - spytała Amy.

Angus pospieszył z odpowiedzią:

- To zamek średniowieczny, zbudowany na kwarcowych formacjach skalnych z żyłami jaspisu. Gdy Niemcy okupowali Czechy, odkryli, że właśnie jaspis doskonale odbija fale radiowe. SS zainstalowało więc tu ukryty punkt dowodzenia i monitorowania transmisji radiowych. Po wojnie armia czechosłowacka zrobiła dokładnie to samo, lokując tu stację śledzenia radarowego - samolotów NATO, ma się rozumieć. Dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych udostępniono zamek zwiedzającym.

- Ale dlaczego Niemcy właśnie tu postanowili coś ukryć? - spytał Simon.

- To też można wyjaśnić: Przez wiele stuleci ta potężna

skała pod zamkiem była stopniowo zamieniana w kompleks podziemnych tuneli. Aż tu nagle, pod koniec wojny, SS zrobiło coś bardzo dziwnego: zamknięto cały system korytarzy grubymi ścianami z betonu. Nikt jeszcze nie zdołał się przez nie przebić, nawet używając najnowocześniejszych wiertel. Komuniści próbowali kopać, ale też bez rezultatu.

Zamek piętrzył się dumnie ponad dachami wioski. Angus mówił dalej:

- Naturalnie wielu ludzi snuło teorie na temat tego, po co to zrobili. Po cholere tyle tego betonu? Czy ukryto tam skarb? Niektórzy uważają, że znajduje się tam Bursztynowa Komnata. Ale kto to może, kurwa, wiedzieć.

Milczeli przez krótką chwilę.

- Pliskov - powiedziała Amy. - Pamiętajcie, że musimy jechać do Pliskova. Do synagogi.

Jak się okazało, była to mniejsza wioska między niewysokimi wzgórzami, odległa zaledwie o dwa kilometry. Nie prezentowała się zbyt okazale: był tu kościół pomalowany na pomarańczowo, mała piwiarnia z brudnym neonem reklamującym Budvar, kilka starych, zawilgoconych domów oraz supermarket Spar z plakatem ginu London na ścianie.

To było wszystko. Potrzebowali pięciu minut, żeby przejść główną ulicę w tę i z powrotem.

Usiedli pod wiatą przystanku autobusowego. Amy zadała oczywiste pytanie:

- Gdzie ta synagoga?

Deszcz nie odpuszczał; był to ponury, mokry, październikowy dzień. Stary kundel przykucnął po drugiej stronie drogi, żeby się załatwić. David spojrzał niespokojnie na kościół, górujący nad senną wioską. Wydawało się, że i on jest pusty. Ale może ktoś tam jednak był, obserwował ich, by łała chwila zatelefonować do Miguela?

Miguel. Straszne wspomnienie powróciło z nowym smaczkiem: zadźwięczały mu w uszach słowa wypowiedziane niegdyś przez Amy: że on, David, wygląda podobnie jak Miguel. „Tyle że Miguel jest starszy i szczuplejszy”.

Czy to możliwe? Czy mógł być spokrewniony z tym terrorystą?

Dwaj Cagoci. Dwaj kuzyni-kanibale.

Wzdrygnął się. Było coraz gorzej, jakby zaczynał tonąć

w ponurej prawdzie; jakby wciągała go bezdenne toń. Coraz głębiej i głębiej, aż w końcu nie miał już siły oddychać.

Gównolud.

Przemierzył wzrokiem niepozorną, szarą uliczkę i zaklął z rozpaczy.

- Nic. Tu nic nie ma. Utknęliśmy. Nie ma synagogi, bo pewnie została zniszczona.

Simon przyznał mu rację.

- Masz rację - rzekł zrezygnowany. - Przegraliśmy.

Sfatygowany trabant beknął czarną chmurą dymu, przejeżdżając obok przystanku. Amy oddaliła się nieco i rozglądała się smętnie to w jedną, to w drugą stronę.

Nawet Angus Nairn sprawiał wrażenie zniechęconego.

- No to napijmy się. Bo skoro mamy umrzeć, nie odma wiajmy sobie jednego pieprzonego drinka.

Był to niedorzeczny pomysł, może nawet komiczny, ale zawsze jakiś pomysł. Sytuacja już nie mogła być gorsza. Nie mieli wątpliwości, że Miguel ich znajdzie - jeśli nie tego dnia, to już wkrótce. Dopadnie ich. Więc po co odmawiać sobie jednego pieprzonego drinka?

Przeszli na drugą stronę mokrej drogi i otwierając drzwi gospody, uruchomili zainstalowany tam dzwonek.

Wnętrze piwiarni było prawie tak samo zaniedbane jak jej otoczenie: kilka chwiejnych stolików i tylko jeden klient, pochylony nad wielką golonką. Cztery duże, stalowe beczki piwa Budvar i Staropramen stanowiły kompletną listę dostępnych trunków.

Przynajmniej mają tu dobre piwo, pomyślał David. Dobre czeskie piwo. Ostatnie piwo. Trunek w sam raz, żeby zapomnieć, żeby pogodzić się z losem. David poczuł, że jest zmęczony jak pies, że bolą go wszystkie kości i że w duszy także czuje znużenie: miał dość uciekania. Niech to się w końcu stanie, niech przyjdzie, byle prędzej. Był wyczerpany, zdruzgotany, może nawet w lekko samobójczym nastroju. Jeżeli miało się okazać, że jest Cagotem i być może nosi w sobie jakąś chorobę, to wcale nie był pewny, czy chce jeszcze żyć.

Właściciel lokalu był nieogolonym, mniej więcej sześćdziesięcioletnim typem o obwisłych policzkach. Mówił po niemiecku, ale niezbyt dobrze. Przyniósł do stolika cztery spienione lagery. Simon zawahał się jeszcze, ale w końcu spróbował.

Siedzieli wszyscy przy stole, ale tylko Angus się odzywał. Tylko on miał energię. Gadał o czeskim piwie, żłopiąc je ochoczo.

- Najlepszy pilsner powinien smakować odrobinę chrzanem. Wiedzieliście o tym? A to jest świetny przykład. Nie da się nie kochać czeskiego piwa. Żarcie mają gówniane, wszędzie dają bitą śmietaną, ale na warzeniu piwa to się znają. I mają tu nawet specjalne piwo na śniadanie! Ha!

Amy wstała i ruszyła w stronę drzwi.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem - oznajmiła.

David się nie sprzeciwił. Rozumiał, dlaczego chce być z dala od niego, z dala od przekłętą Cagota. Która dziewczyna chciałaby mieć takiego chłopaka? Gdy zatrzasnęły się za nią drzwi, zrozumiał, że sprawa jest zamknięta, dokonana: został - nareszcie i całkowicie - sam. Wszyscy go porzucali, wszyscy prędzej czy później odchodzili. Był zagubiony na pustyni własnego życia.

Niech więc Miguel przyjdzie i w końcu go zabije. Niech Cagot uśmierci Cagota, brat brata. To już nie ma znaczenia, myślał David.

Angus tymczasem rozprawiał o Holokauście. Osuszał właśnie drugą albo trzecią dużą szklanę Staroprime-na i jego wypowiedzi były już naznaczone lekkim szaleństwem i pijackim nihilizmem.

- Wiecie, co naprawdę mnie wkurza? Że Niemcy zafundowali ludzkości w dwudziestym wieku aż trzy holokausty. Nie jeden, nie dwa, ale trzy: najpierw Hererowie, potem Witbooi i wreszcie Żydzi. - Angus uśmiechnął się ze złością. - Co się z nimi dzieje? Ja rozumiem jeden holokaust - w porządku, nikt nie jest doskonały, każdemu mogło się przydarzyć... „O przepraszam, cyklon mi się wyśliznął”. Ale dwa? Hmm. To już trochę dziwne. Jest się nad czym zastanawiać, nieprawdaż? - Angus umilkł na moment. - A potem trzeci raz? Jak mogło do tego dojść? - Angus pił dalej, a Simon siedział obok wpatrzony w swoje buty. - I jeszcze jedna sprawa. - Nairn ciągnął swoją tyradę. - Wiecie, że zbudowali najlepszy hotel w Luderitz dokładnie naprzeciwko Shark Island? To miło, prawda? Dzięki temu ma się z balkonu widok na obóz zagłady. Można sobie popatrzeć na groby, prasując spodnie. Sądzicie, że był to celowy manewr

architektów? Żałuję, że nie byłem na spotkaniu projektantów, kiedy....

- Angus - przerwała mu Amy, która przed chwilą wróciła do baru, z wyrazem determinacji na twarzy. - Angus, kurwa mać, zamknij się wreszcie.

Szkot wybuchnął śmiechem. A potem przeprosił. I jeszcze raz się roześmiał, tym razem kwaśno, po czym umilkł.

Rozmowa o Shark Island przypomniła Davidowi o Namibii. O muzeum i czaszkach Hererów. O obscenicznym nazistowskim żarcie.

- Wiecie co... - odezwał się bardzo powoli. - Możliwe, że zachowujemy się głupio. Przecież nie ma mowy, by synagoga mogła przetrwać w takim miejscu. W Pliskovie. Przecież wszyscy Żydzi zginęli.

- A jednak jest zaznaczona na mapie. Po co by ją tam umieszczano, gdyby była zburzona? Nie rozumiem.

David nachylił się nad stołem.

- Więc może nie została zburzona, tylko zamieniona w coś innego, może nawet jeszcze przed wojną. Taka synagoga w przebraniu.

- W co mieliby ją zamienić?

- W coś odpowiednio obraźliwego dla Żydów? W ramach kolejnego żartu, takiego jak ten w Luderitz.

Angus z powagą skinął głową.

- Tak, to prawda. Naziści zamienili niektóre synagogi w chlewy, inne w kluby nocne. Po to, żeby obrazić Żydów. To możliwe.

Amy pokręciła głową.

- W Pliskovie nie ma nocnego klubu. To maleńka wioska. Tu w ogóle nic nie ma, ani dyskoteki, ani chlewni, ani niczego.

Chłop siedzący przy sąsiednim stoliku beknął donośnie, uporawszy się z golonką. Simon wskazał na coś palcem.

- A co powiecie o tym?

Odwrócili się. W samym szczycie ściany frontowej znajdowało się małe i brudne, bardzo stare okienko. Nie wpuszczało wiele światła, bo wstawiono weń ciemny witraż koloru mocnego wina. Ale wątki blasku neonu Budvar świecącego na zewnątrz budynku wystarczył, by podświetlić wzór witraża.

Była to gwiazda Davida.

Właściciel lokalu nie był zainteresowany dziwacznym życzeniem gości oraz dziwnymi pytaniami - póki David nie wręczył mu trzystu euro.

Wtedy się rozpromienił natychmiast i zabrał całą czwórkę na tyły budynku, gdzie stalowe beczki przesłaniały ścianę.

Na murze widniało hebrajskie pismo.

- Przetawcie beczki - powiedziała Amy.

Zrobili to, ale niczego nie znaleźli. David był rozczarowany, ale poczuł też coś na kształt ulgi. Jakaś częścią umysłu wcale nie chciał wiedzieć, co się znajduje w podziemiach. Nie chciał znać dowodów na swoje pochodzenie. Jednak inna część jego umysłu domagała się tego.

Właściciel przyglądał im się przez chwilę, stojąc z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Na jego białej marynarce widać było plamy po piwie.

- *Die Juden Tur?* - zapytał.

- Tak!

- *Hier.*

Poprowadził ich w najciemniejszy kąt zaplecza. W ścianie osadzone były niskie drewniane drzwi. Właściciel łamaną niemieczyzną wyjaśnił coś Amy, która przetłumaczyła jego słowa z rosnącym podnieceniem:

- Mówi, że to drzwi z czasów wojny. Za nimi jest piwniczka, a dalej korytarz. Korzystał z piwniczki, żeby przechowywać coś, o czym nie chce mówić. Może coś z przemytu? Nie wie, gdzie się kończy korytarz. Nigdy nie wchodził tak daleko. Za bardzo się bał komunistów urzędujących na zamku.

Jeszcze sto euro skłoniło właściciela do otwarcia drzwi i do zamknięcia ich za nimi. A także do milczenia.

Za dodatkowe pięćdziesiąt kupili latarkę.

Drzwi skrzypnęły i otworzyły się. Zaglądając do środka, David poczuł się nieswojo. Kolejne małe drzwi, jak dla Cagotów.

Zeszli po kilku stopniach do wilgotnego pomieszczenia pełnego pajęczyn. Wokół stały sterty kartonów marlboro oraz z tuzin ogrodowych krasnali. Kolorowe figurki spoglądały na nich chytrze w blasku latarki; jedna z nich przedstawiała skrzata z wędką, śmiejącego się szkarłatnymi ustami.

- Wszystko gra? - David próbował zapanować nad nerwami. Teraz już niemal wyczuwał, że Miguel się zbliża. Że poluje na nich. Krew wyczuwa krew.

- Gra - odpowiedzieli jednocześnie.

Gdy zeszli z ostatnich schodków, właściciel piwiarni popatrzył na nich jeszcze przez sekundę, wzruszył ramionami, jakby miał do czynienia z wariatami, i zamknął za nimi drzwi.

Otoczyła ich ciemność. Mieli tylko jedną, niezbyt mocną latarkę. David poświecił nią w głąb sali. Ciągnęła się zaskakująco daleko, przedłużona podziemnym korytarzem ginącym w chłodnej ciemności.

- Idziemy.

Wiedzieli, że mają do pokonania dystans dwóch kilometrów, dzielący ich od zamku Zbiroh. Ruszyli w milczeniu, a jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę był szmer butów ślizgających się po błotnistym dnie tunelu.

Maszerując w dobrym tempie, wkrótce dotarli do kolejnych drzwi. Tym razem żelaznych. Były zamknięte.

David oparł się ciężko o ścianę korytarza. Czuł pod plecami wilgoć, ale nie dbał o to.

- Chryste.

Angus zaklął z cicha. Simon pokręcił głową. David ukrył twarz w dłoniach.

Jeszcze jedno drzwi. Tylko jedno drzwi. Czy coś takiego mogło ich powstrzymać? Przypomniwał sobie wszystkie drzwi, przez które przechodził w ostatnich tygodniach: drzwi Cagotów, drzwi kościoła w Navarrenx, drzwi do muzeum, drzwi Jose w domu Cagotów i wiele, wiele innych. A teraz jeszcze te, ostatnie, które miały ich pokonać. O jedno drzwi za daleko.

Amy podeszła do nich i nacisnęła klamkę.

Otworzyły się.

Weszli zwartą grupą do pomieszczenia o ceglanych ścianach i betonowej posadzce.

David powiódł snopem światła od lewej do prawej. Sala była przestronna. Po obu stronach stały drewniane skrzynie, schludnie ustawione jedna na drugiej.

Angus podszedł do nich i skierował latarkę na jedną ze skrzyń. Na jej ścianie wypalono symbol: dużą, czarną swastykę w szponach cesarskiego orła. Poniżej widniał goetycki napis:

Die Fischer Experimente.

Wystarczył szczyryk Simona, by podważyć wieko pierwszej ze skrzyń. Amy znalazła lampę naftową z knotem, która stała gdzieś w głębi sali. Pokrętem wyregulowali długość knota i zapalili lampę. Dała dobre, mocne światło.

A potem przez godzinę siedzieli kręgiem w głębokim skupieniu, w blasku lampy i latarki odczytując dokumenty, które znaleźli. Amy tłumaczyła z niemieckiego, Angus służył wiedzą z biochemii i genetyki, a Simon dobrze orientował się w historii i polityce. Razem stanowili dobry zespół.

Szybko odtworzyli ostatni, brakujący element zagadki. Simon notował skrzątnie, od czasu do czasu mrużąc oczy, by lepiej przyjrzeć się dokumentom, na które się powoływał. Raz na jakiś czas Angus wykrzykiwał coś albo kłął:

- A więc to dlatego! Więc tak się o tym dowiedział!

Wreszcie Angus rzucił ostatni z dokumentów i spojrzał na Simona.

- Jesteś pisarzem, więc dokończ wreszcie tę historię.

Przez chwilę Simon nie wyglądał na zachwyconego: miał

chyba dość tych emocji, odkryć i niebezpieczeństw. Wreszcie odpowiedział cicho:

- Niech będzie. To jest to. Ostatni rozdział.
- Czytaj.

- Pierwsze zdumiewające odkrycie dokonane przez Fischera było następujące: powstawanie nowych gatunków człowieka wciąż trwa. W Europie. Na jego oczach ewoluowali Cagoci.

W wyniku izolacji językowej, kulturowej i społecznej stali się nowym gatunkiem człowieka. Wciąż mogli się krzyżować ze swym bliskim krewniakiem *Homo sapiens*, ale w sensie genetycznym oddalali się coraz bardziej. Fischer przewidywał, że już za kilka pokoleń Cagoci wymrą, właśnie z powodu problemów z rozmnażaniem. Oznaczało to, że tworzenie ich gatunku zakończy się porażką.

Fischer przekazał informację o tym Hitlerowi, a ten był zachwycony. Nareszcie miał dowód, że nazizm to tylko biologia stosowana, dokładnie tak, jak zawsze twierdzili. Ludzie naprawdę różnią się od siebie. Różnice rasowe w obrębie rodzaju ludzkiego są większe, niż przypuszczał nawet sam Hitler. W Europie powstawały nowe gatunki. Dowodził tego choćby przykład Cagotów...

David rozejrzał się, jednocześnie starając się nie okazywać emocji. Wolał nie myśleć o swoich mrocznych sekretach, które go niszczyły.

A potem Simon odwrócił kartkę.

- W roku 1941 korespondencja między Hitlerem a jego ulubionym naukowcem stała się jeszcze bardziej entuzjastyczna. Pieniądze płynęły do obozu szerokim strumieniem, umożliwiając przyspieszenie badań. Hitler potrzebował do wodu na to, że Niemcy są najwyżej rozwiniętym gatunkiem w nowo powstałej hierarchii.

Lecz wtedy Fischer dokonał w Gurs znacznie bardziej doniosłego odkrycia, i bardziej skomplikowanego. Przewidział, że proces zachodzący u Cagotów powtórzy się jeszcze. Przepowiedział, że inny gatunek oddzieli się wkrótce od *Homo sapiens*, podobnie jak Cagoci.

- Żydzi - domyśliła się Amy.
- Jak wynika z dokumentów - odparł Simon, wskazując na jedną z otwartych skrzyń. - Dzięki autosegregacji narzu-

conej zasadami wiary, która zakazywała małżeństw z nie-Żydami, nie dochodziło do wymiany genów z resztą ludzkości. Z tej przyczyny Aszkenazyjczycy stopniowo stawali się nowym podgatunkiem człowieka, a może nawet nowym gatunkiem z sobie tylko właściwym genomem. Wszystko to Fischer opisał Hitlerowi w liście. W tym liście. - Simon pomachał oryginalnym dokumentem i znowu skupił się na swoich notatkach. - Z tego, co Fischer powiedział Hitlerowi, wynikało paradoksalnie, że izolowanie Żydów przez nazi-stów jedynie zwiększy ich szansę i przyspieszy powstawanie nowego gatunku. Przekazując te informacje, był świadom, jak bardzo ucieszy Fihrera sposobność udowodnienia, że Żydzi naprawdę są inni. Problem polegał tylko na tym, jak wyznał niechętnie profesor, że Żydzi stawali się - pod pewnymi względami - gatunkiem wyższym. Z pewnością dotyczyło to inteligencji. Wyższym nawet od Niemców. - Simon przewrócił kartkę. - Jak to się mogło stać? Przez stulecia żydowska tradycja podkreślała znaczenie i prestiż uczonych. Dla żydowskiej dziewczyny w średniowiecznej Europie znacznie bardziej pożądanym kandydatem na męża był błyskotliwy rabin niż zamożny kupiec czy bogaty złotnik. Dlatego też mózgowcy mieli więcej dzieci niż inni. - Skinął głową na Amy. - Ewolucja genetyczna Żydów była więc nakierowana głównie na wzrost inteligencji. Pogromy, które miały ich niszczyć, tylko wzmacniały ten efekt. W czasach wielkiej wrogości i prześladowań tylko najlepiej wykształceni i najlepiej adaptujący się do zmian Żydzi mogli przetrwać. Mniej bystrzy ginęli. - Simon zakaszłał, jakby dopadły go emocje. Kontynuował po chwili: - Wynikiem owych wieków presji wzrostowej w kwestii inteligencji, a także jednoczesnej izolacji genetycznej w gettach i sztetlach, była szybka ewolucja Żydów w kierunku bardziej inteligentnego gatunku człowieka. Istniały jednak i słabe strony tej tendencji: Żydzi byli i nadal są szczególnie narażeni na pewne przypadłości genetyczne, takie jak... jak to się wymawia?... choroba Tay-Sachsa? - Angus skinął głową, a Simon powrócił do czytania własnego tekstu: - Mimo to Żydzi stawali się coraz inteligentniejsi. Pewne choroby były genetyczną ceną za wyjątkowe dary umysłu. To niezwykle odkrycie, przekazane przez Eugena Fischera Hitlerowi w Berlinie, obudziło

w umyśle Fihrera najmroczniejsze lęki. Wcześniej przywódca nazistowskich Niemiec snuł ambitne plany względem europejskich Żydów: zamierzał wysłać ich na Madagaskar albo wykorzystać jako utalentowaną siłę roboczą gdzieś na dalekiej rosyjskiej prowincji. Mając jednak najnowsze dane od Fischera, Hitler zrozumiał, że nie ma wielkiego wyboru. Musiał uderzyć teraz, póki kontrolował Europę, zanim nowi Żydzi staną się dominującą siłą i zniewolą Niemcy. W 1942 roku Hitler wydał rozkaz ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, to jest eksterminacji wszystkich europejskich Żydów, bez względu na ogromny koszt tej operacji oraz możliwe straty dla niemieckiej maszyny wojennej. Uznał, że raz na zawsze musi skończyć z zagrożeniem dla supremacji rasowej Aryjczyków. Postanowił jednak także wykorzystać wiedzę o procesie powstawania gatunków w zaskakujący sposób: jako groźbę wobec Kościoła katolickiego.

- Traktat mediolański - wtrącił David.

— Tak. Mocą sekretnego porozumienia podpisanego

w Mediolanie w 1942 roku Hitler zobowiązał się do milczenia na temat powstawania nowych gatunków człowieka, teorii tak niebezpiecznej dla doktryny katolickiej, pod warunkiem że papież zgodzi się zachować milczenie w sprawie zagłady Żydów. Był to wielki blef. Hitler nie zamierzał ujawnić odkryć Fischera, z których wynikało, że Żydzi mogą stać się rasą wyższą w stosunku do Niemców. Po prostu chciał sprawnie przeprowadzić eksterminację. Blef jednak zadziałał. Papież milczał w sprawie mordowania Żydów, tym samym współuczestnicząc w ludobójstwie popełnionym przez Niemców. Haniebna postawa Piusa do dziś jest skazą na honorze Kościoła. - Simon westchnął, znużony, ale czytał dalej: -A zatem... W 1944 i 1945 roku alianci stopniowo wyzwolali terytorium okupowanej Francji. Nazistowscy lekarze, którzy pracowali w Gurs, obawiali się o swoje życie. Mieli jednak w zanadrzu cenną kartę przetargową: szokujące wyniki eksperymentów. Eugen Fischer zrozumiał, że zachodnie demokracje równie chętnie jak Kościół ukryją tę wiedzę przed opinią publiczną, by nie doprowadzić do destabilizacji świata, i to na wiele sposobów, a także nie potwierdzić oficjalnie wiarygodności nazistowskich teorii rasowych. Fischer i jego koledzy mieli więc silną kartę

przetargową w negocjacjach z aliantami, ale tylko pod warunkiem że zniknęłyby wyniki badań. Wszczęli więc plan ukrycia ich w labiryncie korytarzy pod niedostępnym zamkiem należącym do SS, na terenie Czech. W chwili, gdy pospiesznie budowano podziemną komnatę, Armia Czerwona maszerowała już przez terytorium dzisiejszej Słowacji. Plan się powiódł. Lekarze, z których wielu dopuściło się ohydnych zbrodni, zagrozili ujawnieniem wyników badań, jeśli tylko spotka ich jakaś krzywda. Czym prędzej więc oczyszczono ich z zarzutów i zainstalowano na niemieckich uniwersytetach. Ku zadowoleniu wystraszonych aliantów, dane Fischera pozostały w ukryciu. Zmowa milczenia zadziałała. Do pewnego stopnia. Pod koniec wojny istniała jeszcze jedna klasa ludzi, którzy mogli ujawnić straszliwe sekrety eksperymentów Fischera. Więźniowie, którzy ocalili z Gurs - głównie Cagoci i Baskowie. Niemcy urządzili się doskonale, ukrywając wyniki badań. Należało więc także uciszyć świadków, a dokonano tego za pomocą okazałych kwot. Więźniowie z Gurs zostali kupieni przez Kościół, którego przedstawiciele odczuwali wyrzuty sumienia z powodu postawy obozowych kapelanów. Kościół wstydził się także swych pertraktacji z nazistami. Niektórzy z ocalałych rozjechali się później po świecie, emigrując do Wielkiej Brytanii, Kanady czy Stanów Zjednoczonych. Jednak dla wielu z nich były to brudne pieniądze, nierozzerwalnie związane z terrorem w Gurs. Wielu nigdy nie naruszyło otrzymanej kwoty, wiodąc życie w starannie skrywanej hańbie.

- Co było później? - spytała Amy.

- Nic - odpowiedział jej Angus. - Z początku nic. Plan zadziałał: nazistowscy lekarze z wolna umierali, podobnie jak byli więźniowie z Gurs.

- Czyżby wszyscy zapomnieli o Kellermanach?

Simon skinął głową.

- Tak. Dynastia Kellermanów w dalekiej Namibii. Oni także byli bliscy Fischerowi; pozostał w kontakcie z nimi po wojnie. Jeden z nazistowskich kolegów Fischera wyjechał nawet do Namibii i był chroniony przez Kellerman Namcorp.

David popatrzył po twarzach przyjaciół.

- Ale na co właściwie liczyli Kellermanowie?

- Ja znam odpowiedź - odparł Angus. - Prawda jest taka, że Kellermanowie byli zainteresowani pracami Fischera przez wzgląd na naród żydowski. Stary Samuel Kellerman poważnie brał słowa z dwudziestego piątego rozdziału Księgi Kapłańskiej; o tym, że Bóg pozwolił Żydom brać niewolników spośród niższych gojów.

- Ależ Nathan! - zaprotestowała Amy.

- Jasne, że młodsi Kellermanowie byli już inni. Może i odpuścili sobie te przesady, ale pozostali zatwardziały mi syjonistami. Chcieli za wszelką cenę stworzyć i utrzymać Izrael, ojczyznę Żydów.

- Co z tego?

Angus spojrział na nią z ukosa.

- Pomyśl o Izraelu, Amy. Jesteś Żydówką, orientujesz się w tym wszystkim. W latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych demografowie zauważali, że zanoszą się na niekorzystne rozwiązanie dla Izraela: pewnego dnia Żydzi staną się mniejszością we własnej ojczyźnie. I wtedy Izrael już nie będzie bezpieczny. Niewykluczone, że dojdzie do kolejnego Holocaustu.

- Dane Fischera obiecywały filozoficzne wyjście z sytuacji - wtrącił Simon. - Gdyby udało się dowieść, że Żydzi są odrębnym podgatunkiem albo że ich ewolucja zmierza w tym kierunku, pojawiłoby się usprawiedliwienie dla dyskryminacji nie-Żydów na terytorium Izraela. Dlaczego na przykład przedstawiciele innych ras mieliby mieć prawo głosu w ojczyźnie Żydów?

Amy pokręciła głową.

- *Homo judaicus*? Hańba.

- Ale to ma sens - odparł spokojnie Angus. - Uniwersalne prawa człowieka nie działają, gdy ludzie nie są uniwersalnie jednakowi. Skoro Żydzi byłiby innym, lepszym gatunkiem, to może należałyby im się inne, lepsze prawa. Jeśli koniecznie chcesz wchodzić w szczegóły.

- Tak czy owak - ciągnął Simon - Kellermanowie chcieli pozyskać wyniki eksperymentów Fischera z pobudek syjonistycznych. A gdyby to się nie udało, byli gotowi sfinansować podobne eksperymenty, by uzyskać ten sam wynik. Zgadza się?

- Aha - przytaknął Angus, gestykulując w blasku lam-

py - ale pierwsza opcja od razu była zamknięta. Nikt nie chciał im zdradzić, gdzie ukryto dane. Została więc druga możliwość: nauka. Powtórzenie eksperymentów. Potrzeba jednak było siedemdziesięciu lat, by nauka dogoniła poziom nazistowskich prac w Gurs i by można było spróbować na nowo dowieść słuszności tamtych wniosków. Lecz nawet dziś, gdy nauka dokonała postępu, istnieją siły zdecydowanie przeciwne samej koncepcji różnic rasowych i eugenice jako takiej. Stanfordzki Projekt Badawczy Zróżnicowania Genomu Ludzkiego został skasowany pod naciskiem zachodnich rządów oraz Kościoła.

- Zatem Kellermanowie zainteresowali się projektem GenoMap.

- Właśnie. Eksperymenty, które prowadziliśmy w Geno Map, były bezpośrednio finansowane i zamawiane przez Kellerman Namcorp. Ten stary nazistowski lekarz, Dresler, uciekł do Namibii w latach dziewięćdziesiątych, gdy został zdemaskowany przez ojca Davida. Przekazał uczestnikom projektu GenoMap cenne wskazówki, które umożliwiły od stworzenie badań Fischera. Zasugerował nawet, żeby prze testować tych samych ludzi, ocalałych z Gurs, zwłaszcza Cagotów.

- I wiecie co? - ciągnął Angus. - Ten plan mógł się powieść, gdyby Fazackerly tyle nie gadał. Podczas konferencji we Francji zaczął się przechwalać, że wkrótce z powodzeniem powtórzy eksperymenty Eugena Fischera z Gurs. Byłem tam. Zamarłem. Zdaje mi się, że właśnie wtedy Kościół został zaalarmowany i podjął pierwsze poważne kroki. Wezwał na pomoc Bractwo Świętego Piusa X, bo jak wiemy, to wyjątkowo gorliwe skurczybyki. A jako że sami już znali tajemnicę z Gurs, nie musieli powiększać kręgu wtajemniczonych. Ich korzenie sięgają jeszcze reżimu Vichy. - Simon zerknął na Davida, a potem znów pochylił się nad notatkami. - Co więcej, sympatycy Bractwa już wcześniej udaremniali próby odgrzebania tajemnic Gurs. Zabili rodziców Davida, gdy ci przybyli do Francji w niewinnym celu wybadania swojego baskijskiego rodowodu...

Tym razem to Amy przerwała Simonowi, dość ostrym tonem:

- W dodatku Bractwo korzystało już z usług najbardziej

bezlitosnych ludzi: terrorystów ETA pokroju Miguela. Doskonale! To świetnie wyszkolony zabójca, gorliwy katolik. W dodatku skrycie nienawidzący samego siebie z powodu cagockiego pochodzenia.

Angus powrócił do jednej ze skrzyń. Wyjął z niej dokument ozdobiony kilkoma czarnymi swastykami, wyglądającymi jak futurystyczne lauburu.

- To było sensowne... - rzekł z wahaniem David. Starał się nie myśleć o rodzicach ani o dziadku, a najlepiej o niczym. Zająknął się. - Mówię o wykorzystaniu go. Miguela. Wilka. On zna te strony: Kraj Basków, gdzie mieszkało wielu Cagotów i innych więźniów Gurs...

Simon dokończył swoją opowieść.

- Morderstwa zaczęły się na nowo. Celowo zabito grupę ocalałych. Śmierć dosięgła też kilkoro Cagotów tylko przez wzgląd na ich pochodzenie. - Quinn rozejrzał się po niewielkiej przestrzeni oświetlonej blaskiem naftowej lampy i z trzaskiem zamknął notatnik. - To właśnie jest największa tragedia Cagotów, prawda? Musieli odejść. Byli żywym dowodem na wyodrębnianie się nowych gatunków człowieka, które być może kiedyś będzie dotyczyć także Żydów. Ale wystarczy ich usunąć, a przynajmniej tych z nich, u których ponad wszelką wątpliwość można stwierdzić cagockie pochodzenie, a po całej teorii powstawania gatunków nie zostanie ślad. Usuńmy Cagotów, a eksperymentów Fischera nie da się już nigdy powtórzyć. Doktryna katolicka jest bezpieczna. Wielorasowa demokracja jest bezpieczna. Cagoci musieli wymrzeć.

Przez chwilę siedzieli w bezruchu.

- To chyba wszystko - odezwał się w końcu Simon. - Jezu Chryste.

- Racja, pora iść - zawtórował mu David. - Mamy odpowiedź. Mamy argumenty. Tylko światło zaraz nam się skończy.

Angus oglądał jeszcze ostatni dokument.

- David, powinieneś to zobaczyć.

W duszę Davida znowu wkraść się strach. Nadeszła ta chwila.

- Dlaczego?

- Znalazłem coś. Zwróciłem uwagę na nazwisko - wyjaśnił. - Martinez.

Podał Davidowi arkusz, świecąc nań latarką.

David przyjął dokument i przeczytał go szybko, czując drżenie rąk oraz dziwny ucisk w piersi. Przeczytał po raz drugi. Spojrzał na Amy, potem na Angusa, a potem znowu na listę nazwisk. Znał niemiecki na tyle, żeby zrozumieć ogólny sens, i aż się zachwiał pod wpływem emocji. Dłoń wciąż mu drżała, gdy oddawał pismo Nairnowi.

- Przeczytaj na głos - powiedział.

Nairm ostrożnie przyjął dokument i odczytał zeń historię, której Jose nie przekazał Davidowi. Nie mógł mu przekazać.

- Twój dziadek sądził, że jest Cagotem. Ale oczywiście nie był nim. To było kłamstwo, tak tu jest napisane. Po roku w obozie został uznany za wichrzyciela, nastoletnie go baskijskiego buntownika. Więc Niemcy upokorzyli go i uciszili, osadzając w oddziale Cagotów. W baraku znie nawiedzonych pariasów. Przekonali go, że w jego żyłach płynie krew Cagotów. A przecież był Baskiem. I ty także nim jesteś, Davidzie. Jesteś Baskiem.

David spojrział na Amy. Czuł nieopisaną ulgę, niemal bezwstydną radość. Ale jej twarz pozostała spięta. Nie było w niej ani krzty zadowolenia, jedynie lęk.

I wtedy jego radość także zniknęła bez śladu, a jej miejsce zajęło przerażenie. Jego przyczyną było jedno, jedyne słowo:

- *Epa!*

Simon patrzył na niego struchlały. Miguel uśmiechnął się przelotnie i machnął pistoletem w kierunku Angusa i Da-vida. Za plecami terrorysty pojawili się jego ludzie, niosący broń, kanistry z benzyną i płaskie, srebrne pakunki -z pewnością materiały wybuchowe. Natychmiast zabrali się do pracy w półmroku pod ścianami pomieszczenia.

Wilk i jego wspólnicy nie mieli trudnego zadania: łatwo jest podejść grupę tak bardzo zaaferowaną odkrywaniem wielkiej tajemnicy.

Miguel uśmiechnął się do Amy.

- Amy. *Esti. Muchas gracias, señorita.*

Spojrzała na niego i odpowiedziała dziwnie monotonnym głosem:

- Tak. Zrobiłam to, co obiecałam.

- To prawda.

Miguel zaśmiał się posepnie. David czuł, że gniew wzbiera w nim na podobieństwo burzy.

- Ty, Amy? Ty nas zdradziłaś?

Nie odwróciła się ku niemu. Nie mogła nawet na niego spojrzeć.

Miguel stanął przed Davidem. Jego oddech miał słod-kawy zapach, zaprawiony czerwonym winem. W powietrzu coraz silniej czuć było smród benzyny, którą milczący terroryści polewali drewniane skrzynie. David pomyślał natychmiast o woni, która biła od ogniska w Namibii. Wtedy Amy go ocaliła, a teraz zdradziła.

Miguel skinął głową prawie ze współczuciem.

- Tak, oczywiście, że cię zdradziła. Ponieważ kocha mnie. Zawsze kochała. Ile dla niej znaczy twoje życie...

Ale David go nie słuchał, tylko zaczął wrzeszczeć na Amy.
- To byłaś ty? Od początku? Kto ich informował, dokąd jedziemy?! Ty?! Pierdolona suko!

Dziewczyna skuliła się, jakby się bała, że ją uderzy.

- Dość! - wtrącił się Miguel.

David zaklął jeszcze raz, a Amy wycofała się w cień.

Uśmiech na twarzy Miguela zgasł.

- Nie wiń jej. To kobieta *Arrotz herri, otso herri*. Poza tym, Davido, ona postąpiła właściwie, dokonała moralnego wyboru. Słusznego. Bo to ja jestem bohaterem. My jesteśmy bohaterami. Nie rozumiecie? Jesteśmy po stronie dobra. - Na jego twarzy pojawił się lekki tik. - Gdyby informacje zgromadzone w tej piwnicy kiedykolwiek zostały ujawnione, narody, rasy, plemiona musiałyby ruszyć na wojnę. Ludzie, którzy nie są ludźmi? Jedna rasa lepsza od drugiej? *Imagine*. Ludzki gatunek przeciwko ludzkiemu gatunkowi. Potwierdzenie rasowej hierarchii. Usankcjonowanie nauki nazistów. Demokratyczny, wielorasowy świat w gruzach.

- Nauki nie powstrzymasz - odezwał się Angus. - Pewnego dnia ktoś w jakimś laboratorium powtórzy ten eksperyment i otrzyma ten sam wynik, wiele mówiący o różnorodności genetycznej. To nieuniknione.

- Czyżby, Nairn? - Miguel odwrócił się zwinnie. - Do prawdy? Zamknęliśmy projekt w Stanford University. Zamknęliśmy GenoMap. Cagoci wyginęli i nikt już nie powtórzy eksperymentów Fischera. Wygraliśmy. Musimy wygrywać. A może chciałbyś, żebyśmy byli jak zwierzęta, jak szczury wiecznie walczące przeciwko sobie? Naprawdę tego chcesz? *Umeak!* Jesteście jak dzieci! - Rozejrzał się po piwnicy. Jego ludzie rozłożyli ładunki: złowrogie, płaskie pakunki zostały przymocowane do ścian. Skrzynie polaną benzyną czekały tylko na ogień. - Doskonale. Prawie skończyliśmy. *Bai*.

Czy istniała jakaś droga ucieczki? David gorączkowo przeliczył napastników. Było ich siedmiu albo ośmiu. Uzbrojonych, wyszkolonych i sprawnych. Rzeczywiście, kończyli swoje zadanie.

Ucieczka była niemożliwa. A nawet gdyby im się udało, to co by to zmieniło? Dali się pokonać, przegrali, a on, David Martinez, miał zginąć zdradzony przez kobietę, którą

kochał. I to w chwili, gdy odkrył tę prawdę, której tak poszukiwał. Przepiękna, gorzka ironia.

- Gotowi?

Jeden z ludzi odwrócił się.

- *Bai*, Miguel.

- Doskonale. - Wilk odwrócił się ku swoim jeńcom. -

Muszę wam też podziękować za pomoc w odnalezieniu wyników badań Fischera. Ludzie, agencje, rządy, wszyscy szukali tych dokumentów przez dziesięciolecia.

Spojrzał kolejno na Simona, Angusa i Davida, jakby chciał się upewnić, czy z należytą uwagą wysłuchają tego, co ma jeszcze do powiedzenia. A potem zaczął, starannie cedząc słowa.

- Oczywiście sądziliście, że to Kościół, prawda? Domyślaliście się, że chodzi o Bractwo Świętego Piusa X, i dlatego uznaliście, że za kulisami musi stać cały Kościół. Kościół Święty. - Miguel potrząsnął głową, uśmiechając się pogardliwie. - Cóż, może i dostaliśmy małą pomoc, może była jakaś współpraca, ale czy naprawdę sądzicie, że Rzym ma aż tyle pieniędzy i środków, a także silnej woli i okrucieństwa, żeby tego wszystkiego dokonać? Odebrać życie tylu ludziom, hmm? Kardynałowie z pistoletami i pociskami rakietowymi? Naprawdę? *Bai*? Czy to by miało sens? Chcecie wiedzieć, od kogo tak naprawdę pochodziły pieniądze?

Lampa trochę przygasła. Powietrze cuchnęło benzyną. Miguel mówił dalej:

- Pieniądze spłynęły ze znacznie ważniejszych źródeł. Powiedzmy ogólnie: z Waszyngtonu, Londynu, Paryża, Jeruzolimy, Pekinu... i oczywiście z Berlina. Ach, ile pieniędzy i wsparcia z Berlina! To chyba jedyny rząd, który uważa za swój obowiązek i swoje przeznaczenie obronę świata przed naukowym rasizmem. Gotów jest zatrudnić każdego fanatyka czy terrorystę. I jeszcze dopilnuje, żeby mógł on spokojnie robić swoje. Tak na wszelki wypadek, żeby można było skorzystać z klauzuli, ach te wasze soczyste, angielskie zwroty, „wiarygodnego zaprzeczenia”. - Miguel cofnął się o krok. - *Bai*, Davidzie i ty, Angusie, i ty, wścibski dzieńnikarzu. Oczywiście nie mogę pozwolić, żeby któryś z was przeżył. Co oznacza, że zostanieie tu pogrzebani wraz z tymi dokumentami. Na zawsze. *Nola bizi, hala hil*. Przej-

ście zostanie zabetonowane, piwiarnia zburzona, a tunel zawalony. - Uniósł w górę dłoń, w której trzymał zdalny detonator. - To będzie jeden z najbardziej imponujących grobowców. Wygodnie wam tu będzie, prawda? Choć oczywiście będziecie martwi.

Zanim wybrzmiały ostatnie słowa, Amy wyszła z cienia.

- Miguel, obiecałeś, że puścisz ich wolno - powiedziała z gniewem.

- *Mazetow!* Kłamałem oczywiście.

- Ależ Miguel! Mówiłeś, że oszczędzisz ich specjalnie dla mnie, obiecałeś.

Jego twarz spochmurniała.

- Sądzisz, że aż tak cię kocham, mój mały prosiaczku? Taką kurwę, która pieprzyła się z tym *Amerikako?* He?

Blask lampy naftowej stojącej na podłodze podświetlał twarz dziewczyny. W jej oczach był ogień, ale i nieme błaganie. Słowa przychodziły jej z trudem.

- Ale ja nigdy nie spałam z Davidem.

Kłamie. Po co wygaduje takie rzeczy? - pomyślał David.

Miguel zbył ją pogardliwym machnięciem ręką.

- Nigdy z nim nie spałam, Miguel - powtórzyła. — A to ważne, bo... bo...

Amy umilkła i zakryła oczy dłonią. Próbowała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. David widział jednak w półmroku jej drugą rękę, delikatnie spoczywającą na brzuchu. Jakby chciała coś ochronić.

Kolejna fala rozpaczyny ogarnęła Davida, bo zrozumiał.

- Nie.

Tylko jedno słowo, ale tak mocne, że wszyscy zwrócili się ku niemu.

- Jesteś w ciąży? - spytał.

Miguel podszedł bliżej.

- Jesteś w ciąży - powtórzył David. - I w dodatku wiesz, że to jego. Wiesz czy nie?

Tego było już za wiele. Po twarzy Amy spłynęły łzy. Skinęła głową, chwyciła rękę terrorysty i położyła na swoim brzuchu jego wielką, ciemną dłoń.

- To twoje, Miguel. Twoje.

Rezygnacja, którą David czuł jeszcze przed chwilą, teraz zmieniła się w poczucie totalnej klęski. Amy go zdradziła.

Zdradziła ich wszystkich, a teraz jeszcze i to? Popatrzyl na Simona i Angusa, którzy w napięciu obserwowali całą scenę.

- A więc mam syna... - powiedział Miguel ochryplym, radosnym szeptem. - Mam syna! Dziecko. Córkę. - Jego oczy błyszczały. - Ród Garovillo przetrwa. Nazwisko przetrwa. - Oddalił się w stronę skrzyń i uniósł broń.

- Amy, robię to tylko dla ciebie. Zastrzelę ich. To lepsza śmierć, niż być żywcem pogrzebanym. Co za nieszczęście! *Hauxe de lorraldia!* Zabiję twoich przyjaciół już teraz, żeby im oszczędzić bólu. Na pewno nie chcieliby zostać pogrzebani żywcem.

Machnął pistoletem w kierunku Davida. Jego wspólnicy stali na baczność za jego plecami, trzymając ręce złożone z tyłu. Ładunki były gotowe. Czekwały na sygnał.

- Klęknij!

David pokręcił głową. Kolejny ruch lufy był bardziej natarczywy.

- Klęknij!

- Pierdol się.

Miguel podszedł do Davida, położył mocarną dłoń na jego ramieniu i zmusił go, by ukląkł. Nie miał wyboru. Lufa zawisła o kilka centymetrów od jego ucha. Kolana same się pod nim ugięły i wolno opadł na beton.

Amy wpatrywała się w niego błyszczącymi oczami. Odpowiedział jej nienawistnym spojrzeniem, bo nie czuł teraz już nic poza nienawiścią. Czyżby cieszyła ją ta sytuacja? Sprawiała jej rozkosz? Czy ona naprawdę nigdy go nie kochała? Zawsze należała do Miguela?

Garovillo przykucnął przed Davidem. Zatrzymał pistolet dziesięć centymetrów przed jego oczami. Na pożegnanie uśmiechnął i ułożył usta jak do pocałunku, z uznaniem kiwając głową, jak smakosz delektujący się ulubionym daniem.

I wtedy Amy krzyknęła:

- Zabiję dziecko! Przestań. Przestań natychmiast.

David spojrział na nią.

Trzymała w rękach nóż Simona z ostrzem skierowanym w stronę brzucha.

Angus przyglądał się temu wszystkiemu z otwartymi ustami.

- Wypuść ich, Miguel, bo inaczej zabiję dziecko. Twojego syna. Ostatniego Cagota na świecie, który żyje we mnie. Zabiję go. Wypuść ich i wtedy dopiero wysadź to miejsce. Niech odejdą.

Rozległ się wściekły ryk. Miguel poderwał się i skoczył na Amy, próbując wyrwać jej nóż. Nie zdążył. Wbijając ostrze, krzyknęła do Simona:

- Lampa!

To już się stało. Kopnięta lampa naftowa poszybowała nad drewnianymi skrzyniami i rozbiła się o ścianę za nimi. Od jej płomienia natychmiast zajęły się papiery i drewno, nasączone benzyną. Podziemna sala eksplodowała. Fala płomieni obiegła ją błyskawicznie, buchając dymem i wysysając powietrze. Rozległ się krzyk. Czyjeś włosy stały w ogniu. Miguel wyciągał ręce do Amy, a ona krzyczała do Angusa. Ale gdzie on był? Teraz dopiero David go zauważył: Nairn wziął potężny zamach i uderzył latarką w głowę Miguela.

Wszystko to działo się tak szybko, że David nie zarejestrował innych wydarzeń. Czy Miguel upadł? I gdzie zniknął Simon? Powietrze paliło go w płucach, dusił się. Krzyki dobiegały ze wszystkich stron, pomieszczenie wypełniał dym, płomienie sięgały coraz wyżej. Amy? Nagle ktoś wrzasnął:

- Materiały wybuchowe! Wiać!

I wszyscy rzucili się do ucieczki. Zapanował chaos. Wszyscy próbowali znaleźć drogę do tunelu. David starał się dojrzeć Miguela. Terrorysta leżał na betonie. Krwawił. Ale mimo to wyciągał rękę, próbując dosięgnąć detonatora. David stał najbliżej, skoczył, żeby mu przeszkodzić. Spóźnił się. Miguel wcisnął guzik.

- Nie...

- David! - krzyknęła Amy.

Jej głos utonął w huku dziwnej eksplozji, jakby przerwanej. Przez ułamek sekundy sala wibrowała, a potem nadeszła fala uderzeniowa.

Niczym cios od samego Boga, cisnęła Davida w kąt na betonową posadzkę. Otoczyły go ciemność i dym.

Ból był nie do zniesienia: jego ognisko znajdowało się głęboko w ciele. Ten ból mieszkał w ciemności, jak bezokie zwierzę. Kiedy David otworzył oczy, zrozumiał, że jednak żyje. Był na wpół przysypany gruzem i kamieniami. Prawie nie mógł się ruszyć, ale za to mógł oddychać i widział.

Sklepienie się zawaliło. Kamienie i ziemia wypełniły większość wolnego miejsca, przysypując skrzynie i gasząc płomienie. Panowała głęboka cisza. David pomyślał, że chyba miał sporo szczęścia. Gdyby eksplodowały wszystkie ładunki, już by nie żył. Może płomienie uszkodziły przewody, a może po prostu któryś z ładunków był wadliwy.

Płomienie dogasały, ale on był uwięziony. Nikt nie dawał znaków życia, zatem nie mógł zbyt liczyć na ratunek.

Szmer. Odwrócił głowę najpierw w lewo, a potem w prawo. Gdzieś daleko, w tunelu, dostrzegł światło. Szczelinę, którą uciekał dym i którą wpadało powietrze.

Kilka metrów obok niego ziemia znowu się poruszyła i wyłoniła się spod niej twarz.

Miguel przeżył. Niezniszczalny zabójca, jentil z lasów Irauty.

Terrorysta strzepnął ziemię z twarzy. Był osłabiony. Krwawił obficie z rany na skroni. Miał też mocno pokaleczoną nogę; jedna z ran była bardzo rozległa.

Resztki dymu i pyłu dryfowały smętnie. Dopalała się ostatnia kałuża benzyny.

I wtedy Miguel zauważył Davida. Zmarszczył brwi, rozeźmiął się i pokręcił głową. A potem odrzucił deskę, która leżała na jego piersi, uwolnił się spod ciężaru kamieni i zaczął pełznąć przez zgliszcza w kierunku Davida.

Ten widok zmroził krew w żyłach Martineza. Było coś niewymownie strasznego w tym powolnym ruchu rannego Cagota, wlokącego za sobą poszarpaną nogę.

David rozpaczliwie starał się uwolnić spod kamieni, uciec przed tym zbliżającym się nieubłaganie, zakrwawionym drapieżcą. Ale ciężar spoczywający na jego ciele był zbyt wielki, by mógł go zrzucić, a napastnik był tuż-tuż.

Ślinił się.

Garovillo rozerwał koszulę na piersi Davida i odsłonił ciało. Strumyczek śliny ciekł z jego ust. David wzdrygnął się odruchowo, gdy ciepła ciecz dotknęła jego skóry.

Cagot błysnął zębami.

- *Jaio zara, hilko zara...*

Otarł usta, wyszczerzył kły i zacisnął szczęki na ciele Davida. Zamierzał zjeść go żywcem. Martinez czuł ból w miejscu, gdzie Miguel wbił zęby. Po chwili jego uszu dobiegł odgłos żucia. Miguel jęczał z rozkoszy, zlizując krew z rany.

Nagle rozległ się strzał. David wstrzymał oddech. Druga kula otworzyła czaszkę terrorysty jak wielki, czerwony kwiat. Miguel skonał.

Amy stała nad nim, a za nią mężczyźni. Musieli się przedostać przez to pęknięcie w stropie, w którym wcześniej widać było światło. Wciąż jeszcze przerażony, patrzył, jak Amy i Angus zaczynają przerzucać kamienie, by uwolnić go spod ich ciężaru.

- Chodź - stęknęła Amy, podnosząc go z posadzki.

Spojrzał na swój brzuch. Krwawił i miał na skórze ślady zębów, ale to nie było nic poważnego.

- Już! - Angus naglił ich, ruchem głowy wskazując drogę ucieczki.

Wydawało się, że w szczelinie mającej postać żołnierzy albo policjantów. Jaskrawe światła. Latarki. Mundury.

- Ale... - zaprotestował David. - Ale...

Amy ścisnęła jego rękę. Patrzyła na niego namiętnie, z ogniem w oczach.

- Dogadałam się z policją. Chcieli dopaść Miguela, więc im go dałam. Archiwum też. Dla nas, dla ciebie i dla mnie. A teraz spróbuj wstać. Policjanci walczą w barze z ludźmi Miguela.

- Musimy iść! - ryknął Angus.

Z góry spadł kolejny głaz. Kamienne, zabłocone bryły zsuwały się w dół z cichym jękiem, jakby cała sieć tuneli zaczęła się walić. Wypełzli przez dziurę na korytarz i puścili się biegiem, a za nimi gnała już fala błota. Zresztą wszyscy biegli, uciekając przed lawiną, która goniła ich jak dzikie zwierzę, jaskiniowy potwór o szarej paszczy i czarnych, kamiennych zębach, gotów pożreć ich żywcem.

U wyjścia z tunelu czekało już kilku niemieckich i czeskich policjantów. Towarzyszyli im Sarria i jego kolega z Biarritz. Było też paru cywilów w okularach przeciwsłonecznych. Tajna policja? Lekarze opatrywali ludzi leżących na noszach. Niektórzy z rannych mieli ślady postrzałów.

Jeden z niemieckich funkcjonariuszy podszedł do Simo-na, niosąc telefon komórkowy.

- Herr Quinn?

- Tak. Ale...

- Dzwoni Scotland Yard. Proszę. - Niemiec wręczył mu telefon.

Dziennikarz przycisnął słuchawkę do ucha i wyszedł na ulicę, szarą i wilgotną od październikowego deszczu. David patrzył w tę stronę jeszcze przez chwilę i zobaczył: Simon zachwiał się i jakby skulił w sobie. Przycisnął dłoń do oczu, by ukryć szloch.

Bez wątpienia dostał wiadomość o śmierci Tima. Spóźnili się. David, Amy i Angus także wyszli na deszcz. Cała wiejska ulica zastawiona była samochodami policyjnymi; czekało też kilka karettek, błyskając czerwonymi światłami, a parę innych już wspinało się szosą na najbliższe wzniesienie. Pluton żołnierzy w polowych mundurach stał przy końcu uliczki.

Panował chaos: kolejni policjanci wbiegali do piwiarni, niosąc coś, co wyglądało jak materiały wybuchowe.

David spojrział na Amy, na jej twarz usmarowaną ziemią i krwią. Dziewczyna była cała i zdrowa. Czy naprawdę była w ciąży?

- Posłuchaj - odezwała się. — Pozwól mi wszystko opowiedzieć. Wiedziała, że oni nas złapią. Zanim dotarliśmy do Amsterdamu, wiedziałam już, że Miguel nigdy nie zrezygnuje. Że po prostu odnajdzie nas pewnego dnia. Musie-

liśmy więc zwabić go do pułapki i liczyć, że uda się go zabić. W takie miejsce, gdzie gliniarze mogliby go dopaść. Nie mogłam ci o tym powiedzieć, bo wiem, jak bardzo mnie kochasz. A także dlatego... - Zatrzepotała powiekami i otarła oczy brudną ręką. - Dlatego, że nigdy nie pozwoliłbyś mi na takie ryzyko. Zwłaszcza jeśli wiedziałbyś, że jestem w ciąży. A ciąża była moim jedynym atutem, gdybyśmy musieli kupić sobie trochę czasu tam, w piwnicy. I okazało się, że dobrze to wykalkulowałam. Potrzebowaliśmy czasu. - Przez cały czas patrzyła na Davida spokojnie, ale z uczuciem. - Było tak: zadzwoniłam do Miguela. Zdradziłam nas. Powiedzia-łam mu, dokąd jedziemy. Uwierzył mi. Wciąż mnie kochał. Chciał mi uwierzyć.

- Ale...

- Ale zaraz potem zadzwoniłam na policję, do Sarrii.

A on zwrócił się do władz Niemiec i Francji. Powiedział im, że dostaną wszystko, co zechcą: Miguela, koniec kłopotów, kryjówkę z archiwum Fischera. Żeby można było wreszcie zniszczyć te dokumenty. I zabić ostatniego Cagota.

- Zawarłaś układ z policją?

- Tak samo jak z Miguelem. Musiałam, Davidzie. To było takie trudne. Miguel musiał dotrzeć tu pierwszy, a gdy by zobaczył choćby ślad policji, nigdy by nie zaryzykował. A policja śledziła nas od wielu dni. Mieliśmy szczęście. Mnóstwo szczęścia. Zgodzili się puścić nas wolno; musimy tylko zobowiązać się do milczenia. Na zawsze. Taki jest układ. Układ, który uratował nam wszystkim życie.

Wzięła go za rękę tak samo jak wcześniej Miguela, położyła jego dłoń na swoim brzuchu.

- Zatem to była prawda? Naprawdę jesteś w ciąży?

- Tak.

Nie zdobył się na odwagę, by zadać oczywiste, ale i straszne pytanie. Zamiast tego odwrócił się tylko i zapatrzył na ciasną uliczkę i smętnie błyskające w deszczu koguty policyjnych wozów, podobne do błękitnych gwiazdek na starej, wyblakłej mapie.

Simon wyszedł spod prysznicza, wytarł się i włożył świeżą koszulę. Wciąż jeszcze słyszał śmiech - szczęśliwe dźwięki letnich wakacji.

Energicznym krokiem podszedł do szczytu schodów. Nie po raz pierwszy w tym tygodniu wyrzął przez okno, na błękit nieba i skapane w słońcu szczyty Pirenejów w śniegowych czapach, widoczne po drugiej stronie doliny. Zbiegł po schodach, wprost do przestronnej kuchni. Chciał dołączyć do przyjaciół, tam, w słońcu, zanim popołudnie dobiegnie końca.

Ale po drodze coś przyciągnęło jego uwagę.

Na kuchennym stole leżała paczka. Adresatami byli Simon Quinn i David Martinez. Znaczkę pochodziły z Republiki Południowej Afryki. Simon natychmiast rozpoznał pismo.

Lekko zdenerwowany, otworzył paczkę. Wypadły z niej dwa przedmioty: pukiel włosów i małej drewniany piesek. A także notatka: *Zadzwoń pod ten numer.*

Simon opanował się i podszedł do drzwi, za którymi rozciągała się łąka, a za nią błyszcząca rzeka. Wybrał numer. I od razu poznał głos, który odezwał się w słuchawce.

- Cześć, Angus.
- Zatem spędzasz wakacje z Martinezami?
- Dwutygodniowe.
- Fantastycznie. Nawdychaj się powietrza milionerów!
- A co u ciebie? - Simon bardzo chciał zadać pytanie, ale też bardzo nie chciał poznać odpowiedzi. Oparł się o ścianę. - I po co ta szopka z dzwonieniem? Paranoja jeszcze ci nie minęła?
- Trochę się już uspokoiłem. Doszedłem do wniosku, że oni musieli się zgodzić na układ z Amy. Nasze życie za

Miguela. I za zniszczenie odkumentów Fischera. Gdyby cokolwiek knuli przeciwko nam, już byśmy o tym wiedzieli; w końcu, do cholery, minęły trzy lata! I dlatego uznałem, że mogę się wyluzować. Pójść naprzód. Poćwiczyć trochę z kijem golfowym. Sam wiesz.

- Bardzo miło mi to słyszeć. - Simon przyglądał się czapli szybującej po niebie nad gaskońską doliną. - Gdzie teraz jesteś?

- W małym miasteczku niedaleko Cedarbergs. Zatrzy małem dość diamentów, żeby nie zabrakło mi na *biltong*.

- To dobrze.

Simon znowu chciał zadać te pytania, ale nie miał odwagi. Zapytał więc o coś innego.

- Wiesz co...

- Co?

- Nie mówiłeś nam, czy udało ci się odnaleźć Alphonse'a? Rozciągnięta na pół świata pauza pełna zadumy.

- Zajęło mi to sześć miesięcy - odparł wreszcie Angus. - Przeczesałem pustynię i znalazłem to, co z niego zostało. I tam go pochowałem, na pustyni. Biedny, stary Alfie.

- Pomogło ci to?

- Domknięcie tej sprawy? Tak, chyba tak. Ale chyba już zawsze będę czuł się winny. Tylko że wcześniej też się tak czułem. To chyba genetycznie uwarunkowane. A skoro o tym mowa... - Nairn zniżył głos. - Chciałem ci to powie dzieć osobiście, a nie pisać jakiś głupi e-mail. Davidowi też bym powiedział, ale przez ciebie chyba będzie mi łatwiej. - Umilkł na moment. - Wykonałem oba testy, Simonie. Z powodzeniem.

- Dobra robota.

- *Danke*. I obyło się bez ściągania całej sekcji dętej do studia nagraniowego. Lubię myśleć, że jestem jedynym genetykiem na świecie, który potrafi pobrać wystarczającą ilość materiału genetycznego z drewnianego pieska. Ale udało się. Mam DNA twojego brata. I porównałem je z DNA z włosów twojego syna.

- Gdzie?

- Wynająłem laboratorium w Witwatersrand.

Nadchodził t e n moment. Napięcie ścisnęło gardło Simona żelazną obręczą. Angus podał odpowiedź.

- Timothy Quinn, twój zmarły brat, miał klasyczne markery genetyczne schizotypalnych zaburzeń umysłowych, zmiany w sekwencjach DNA w NRGI oraz DISCI. - Pauza. - Mogę stwierdzić z niemal stuprocentową pewnością, że twój syn Conor Quinn nie ma tego typu zmian w sekwencjach DNA.

- To znaczy?

- Że nie odziedziczył tego. Oczywiście twój słodki mały Conor może na przykład paść na serce w wieku lat pięćdziesiąt, tego nie sprawdzałem. Ale na pewno nie będzie miał schizofrenii. Jest zdrowy.

Poczucie ulgi, które ogarnęło Simona, było jak skok do basenu z chłodną wodą w upalny, letni dzień. Odetchnął głęboko i rzekł:

- Dzięki, Angus. I?

- I druga część dobrych wiadomości. Bardzo mało prawdopodobne było to, by Miguel został ojcem; miał pewne wrodzone problemy. Ale teraz już mamy dowód. Mała panna Martinez rzeczywiście jest córką Davida Martineza. 99,99 procent pewności. Lepiej się nie da. Poza tym ani David, ani jego córka nie są Cagotami. Jest Baskiem i jego córka też.

Simon zająknął się.

- No... to... cóż, wielkie dzięki, że to dla nas zrobiłeś.

- Ach, nie ma o czym mówić! - odparł Angus nieco tęsknym głosem. - Dobra, muszę już lecieć. Przekaż uściski Davidowi i Amy, kiedy zanieziesz im dobrą nowinę. Powiedz, że podoba mi się imię, które wybrali. Może wkrótce się spotkamy. Na razie.

Połączenie zostało przerwane.

Simon wsunął telefon do kieszeni i wyszedł z domu. Amy i David siedzieli nad brzegiem rzeki: była to spokojna scena rodzinnego szczęścia.

Dziennikarz też nie mógł narzekać. Był szczęśliwy, chociaż nie opuszczała go ta uporczywa nuta żalu. Zawsze była w pobliżu i tak już miało pozostać. Conor był zdrowy. Tim był martwy. Harmonia życia, niezmienna od zarania dziejów: basowy ton rozpaczy i wysokie nuty miłości.

Usiadł na krześle obok Davida.

- Suzie pojechała do supermarketu, zabrała Conora - powiedział David, obracając się ku niemu. - Chyba po wino.

- W porządku.
- Widziałem paczkę. To od Angusa?
- Tak.

Pauza.

- I co?

- Jest twoja. Tak jak mówiłeś. Przecież byłeś pewny.

David skinął głową.

- Ale wolałem być naprawdę pewny. Nie to, że mniej bym ją kochał. Jest moją córką. Ale z przyczyn medycznych woleliśmy wiedzieć. A co z Conorem.

- Jest świetnie. Czysty jak łza.
- To dobrze. Naprawdę dobrze.
- Fakt.

Umilkli. Amy bawiła się z córeczką - jasnowłosą dwulatką. Dziewczynka śmiała się beztrosko, podskakiwała i z podnieceniem pokazywała mamie ptaszki, które wypatrzyła na nadrzecznych drzewach.

- Zabawna sprawa... - powiedział cicho Simon. - Twoja córka wygląda na Angielkę. Odziedziczyła geny po babci.

- A przecież jest pół-Żydówką i ćwierć-Baskijką. A dla mnie jest przede wszystkim jasną przyszłością tego świata! Chociaż na razie potrafi powiedzieć tylko: „Tatusiu oć sklepu sklepu”. - David wychylił się i zawołał do córki: - Eloise Martinez, bądź grzeczna, to mama nauczy cię czegoś o drzewach.

Eloise odpowiedziała mu uśmiechem.

Łagodny wiatr kołysał liśćmi drzew, a ciepłe powietrze pachniało żywicą. David sięgnął po kieliszek z winem i unióś go na tle horyzontu, jakby wznosił toast za zdrowie Pirenejów.

- Oczywiście to oznacza, że oni naprawdę wymarli. Cagoci. Nieszczęśni *Caqueux*. Zniknęli na zawsze. — Unióś kieliszek jeszcze wyżej. - Teraz już tylko góry będą pamiętać.

Simon skinął głową, dopił sok i zapatrzył się na wartkie wody Adour. Piękna, melancholijna i spokojna była to scena. Czysty nurt rzeki płynął spokojnie przez las, zmierzając ku dalekiemu morzu. Przypominał mu szczęśliwą dziewczynkę, biegnącą wprost w ramiona matki.